

FRAZA

POEZJA PROZA ESEJ

nr 1-2 (111-112) 2021



Portrety: Janusz SZUBER, Andrzej TOPCZYJ

Wiersze i proza: BIRON, Bukowski, DAÑHELOVÁ, Dłuski, GEORGE, Glück, JABŁOŃSKA, Mączka, PASTAN, Rosenau, TOMCZYK-MARYON, VOKOLEK, Zieliński, ZYMAN. Laureaci XVI OKP im. K. Ratonia:

Andała, BARYS, BERRACHED, Czempiel, KIJKO, KUŚKA, ROSZKOWSKI, Simiński, Smolak, Świłło, WIERNY. Wspomnienia, rozmowy: Belcik, Chorniszczak, Gołda, Lizakowski, Machno, Matuszkiewiczowie, Mścisz, Pasterski, Sabo, Wojski, Zabierowski. Rysunki i proza Małgorzaty SKAŁBANI

Fot. Archiwum rodziny Topczyjów



Andrzej Topczyj
(1962–2020)

Nauczyciel, poeta, prozaik, patriota biecki, założyciel i redaktor „Frazy”

Jego pamięci dedykujemy ten numer pisma

Redakcja

*Czy mnie tylko potrzebne to moje wyznanie
żeby przeszła w jedność świata tego wielkość
I żebym się zgodził na trwałość nie moją
Zaplątując się w szepty zadumliwych niedziel
I dokąd biegnie miłość prywatnych pejzaży
Na które zarzucają swoje sieci dnie
Jeżeli nie jest pewne czy było co było
Bo oczy nie rozsądzą czy to ja czy sen*

Andrzej Topczyj, *Opis Itaki*



Motto:

*Dlaczego moje wiersze mają nie imitować losu?
Być wzorem, niekoniecznie apoteozą,
zamyśleniem a nie zwykłym gestem.*

*Pragnienie, samotność, powiew wiatru w kwitnącym migdałowcu –
to kopalnia niewyczerpanych tematów
na których uczyli się poetyckiego rzemiosła moi poprzednicy.
Ich głosy odbijają się echem w moim sercu.*

Louise Glück
Przełożył Ryszard Kołodziej



© Copyright by Stowarzyszenie
Literacko-Artystyczne „Fraza”
Rok XXIX nr 1-2/2021 (111-112)
PL ISSN 1230-4832
Nr indeksu 332593

Redaguje zespół:

Magdalena Rabizo-Birek – redaktorka
naczelnia, Anna Jamrozek-Sowa,
Iwona Misiak, Janusz Pasternski,
Jan Wolski, Małylda Zatorska
(sekretarka redakcji)

Współpracownicy: Kazimierz
Maciąg, Antoni Matuszkiewicz
(Czechy), Ryszard Mścisiz, Elżbieta
Rokosz-Piejko, Grzegorz Strumyk,
Krystyna Walc, Edward Zyman
(Toronto)

Projekt okładki: Antoni Nikiel

Recenzenci: dr hab. prof. UWm
Joanna Chłosta-Zielonka,
dr hab. prof. UWm Libor Martinek, dr
hab. prof. KUL Paweł Panas, dr hab.
prof. UŚ Bożena Szałasta-Rogowska

Adres do korespondencji:
„Fraza”, ul. Rejtana 16 C, p. 107,
35-310 Rzeszów
e-mail: fraza@univ.rzeszow.pl
„Fraza” w Internecie:
<http://frazo.univ.rzeszow.pl>
Wydawca: Stowarzyszenie
Literacko-Artystyczne „Fraza”
35-310 Rzeszów
ul. Rejtana 16 c, p. 107
Nr konta: PKO BP 10 / Rzeszów
89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 25.05.2021 r.

Prosimy o teksty w wersji
elektronicznej. Materiałów
niezamówionych nie odsyłamy.
Zastrzegamy sobie prawo do zmiany
tytułów i skrótów.
Korekta: Iwona Misiak, Krystyna Walc,
Małylda Zatorska
Skład i łamanie: „Otwarty Rozdział”
Druk: „Bonus Liber”

Spis treści

DWA PORTRETY (TRUMIENNE)

<i>Klimaty secesji: Stefan GEORGE, Z księgi wiszących ogrodów. Kompozycje Arnolda Schönberga, przełożył Andrzej Lam</i>	4
<i>„Ten właśnie, a nie inny ja”. Spotkanie poświęcone pamięci Janusza SZUBERA</i>	8
Janusz GOŁDA, Magiczne miejsca Janusza Szubera; Rano, 7:30; Do Janusza Szubera.....	39
Zygmunt Wawrzyniec WOJSKI, Janusz Szuber z Sanoka.....	44
Janusz PASTERSKI, Podróż.....	49
Wasył MACHNO, Na odejście Janusza Szubera, przełożył Bohdan Zadura.....	50
Jack MacZKA, Listopad, wypływka, dwie kosy, Kawafis, lekarstwo, Pan Cogito pisze list do Michała Montaigne’a, potrząsnąc.....	53
Jan BELCIK, Poeta subtelnej pamięci. Kilka zdań o Januszu Szuberze, Mgła nad Polonią (1 listopada 2020).....	57
Ryszard MŚCISIZ, Andrzej Topczyj – okrucy wspomnień, To nie tak miało być, Przyjaźń.....	62
Andrzej TOPCZYJ, ***Rozstałem się dzisiaj z Polską..., ***Siedzimy sobie..., Już po bólu (ćwiczenia z metafory), Monolog z Judysem, Ty mi wybaczysz.....	74
Janusz PASTERSKI, Poeta i sztukmistrz z Biecza.....	80
Stanisław DŁUSKI, Pocałuj w usta wiatr, Elegia za Andrzeja Topczyja, Elegia za opuszczonych, Maraton życia w czas pandemii.....	85
Andrzej TOPCZYJ, Miasteczko (fragmenty).....	88

TRUDNA PAMIĘĆ

Charles BUKOWSKI, A wyglądał tak sympatycznie, Po co tytuł?, Wędkarz, K.O., Woskowanie, Kiedy Hugo Wolf oszalał, przełożył Andrzej Szuba.....	123
Stefan ZABIEROWSKI, Wszystko zaczęło się w Kosowie... Andrzej Busza – interpretator Conrada... Linda PASTAN, Myślę „stół”, Zwierzęta, Duszę się. Do córki opuszczającej dom, przełożył Andrzej Szuba.....	146
Roman SABO, Każda nagroda ma dwoje bohaterów.....	150
Louise GLÜCK, Odzienie, Zwykła miłość, przełożył Roman Sabo, 6. Kofi, 7. Studium mojej siostry, przełożył Adam Lizakowski, Posłańcy, Ararat, Dylemat Telemacha, Zgrzyota Kirke, Letnia noc, Zmierch, przełożył Ryszard Kolodziej.....	152
Epos o trudnej pamięci. Z Tomaszem CHOMISZCZAKIEM o powieści Kalmána Segala <i>Jeszcze żyjemy</i> rozmawia Joanna SARNECKA.....	161
Philip ROSENAU, Elegia dla Pana Cogito; A.D. 1955, żydowski chłopiec uczy się o polskim bohaterstwie; Ojczyzna; Wiedeński walczyk, <i>Made in Poland</i> ; O zdradzie, przełożyli Philip Rosenau i Beata Tarnowska; Myśli zbytyczne, Aforyzmy, przełożył Philip Rosenau.....	170
Beata TARNOWSKA, Philip Rosenau – matematyk i poeta.....	178
Edward ZYMAN, Jeszcze niedawno, Starość, Samotność.....	180
Renata JABŁOŃSKA, Ulica Krzywa, Ceramika, Obraz.....	183
Marta TOMCZYK-MARYON, Nasze dzieci, Wielka cisza, Most, Powrót z pogrzebu, But marki Franco Martini..., Nieboglos, ***wilgotna ziemia..., Transfuzja, My wszyscy z Auschwitz, Modlitwa, Ktoś.....	193
Kim był Tadeáš Biron? (Karol MALISZEWSKI).....	198
Tadeáš BIRON, Rysunek śmierci, Czerwony plecak, Obecność diabła, Czytanie, Wózek dla Pana, ***Z przeszłości nic..., ***Malowali kobiety..., Pomyłona mewa, ***Niedziele popołudnie..., To samo południe, przełożył Karol Maliszewski.....	199
Iwona MATUSZKIEWICZ, Las Hercynski.....	204
Václav VOKOLEK, <i>De natura sonoris</i> albo Trzydzieści rozdziałów pana Morounka (fragment), Kim jesteś?, Krajobraz, przełożył Antoni Matuszkiewicz.....	219
Lenka DAŇHELOVÁ, Krainie, Słowa, Pokój szpitalny, ***mogą być..., ***w dniu kiedy..., Wtedy nie mogło..., ***To była moja babcia..., ***Na ziemi zapach..., Po raz drugi, ***Nie trzeba było..., tyle życia, przełożył Antoni Matuszkiewicz.....	224
Antoni MATUSZKIEWICZ, Ból i szczęście.....	228
Lukasz BARYS, Wdowa; W trzech kolorach, lecz z obrózką; Kocięta, szczenięta, chłopięta; Kawki, pustulki, dzierlatki; Dynie, kabaczki, kukinie; Lekcja historii.....	231

Aleksander WIERNY, wewnątrz wierzymy, wielka niedziela, cały strach, stare ciała, nagle piekło, duża rzecz, Bóg.....	236
Wojciech ROSZKOWSKI, Owoc, List ostatni, Nieprzekładalne, Przerębel, Kalsarikännit.....	241
Jacek Antoni ZIELIŃSKI, Malarz i modelka.....	245
Ewelina KUŚKA, Czarnoskóry, Wróbel, Krwawiący, Srebrzysty.....	249
Maciej KIJKO, Bicie ryb, Patroszenie kury, Wakacje na wsi, ***W kępie lawendy.....	252
Tomasz BERRACHED, Recepcja, Powód, Regulamin, Światło w lodówce, Zadaszenie.....	256
Małgorzata SKALBANIA, Obrazki z (mojej) wystawy: Jąkpowszeczniwiadomo, Dlaczego ja?, Jak Tworzyłaśawa ocaliła Gniwosađka przed nim samym; Bobaki, czyli kupą w społeczności.....	259
Jacek ŚWILŁO, Proszę podać cel manifestacji, Wolne słowo, Szylidy, Proszę wyjść.....	270
Mateusz ANDAŁA, morze brzegowe, ocean burz, jezioro szczęścia, jezioro fal, zatoka harmonii.....	274
Bartosz SIMIŃSKI, nos z dumą prochy mojej matki, strefa komfortu, Bagdad plonie.....	276
Piotr SMOLAK, <i>Tod mił uns</i> , Portret kobiety po przejściach (wszystko o mojej matce), Na długiej przerwie, O wschodzie słońca.....	280
Henryk CZEMPIEL, ***chłód..., ***szkatułka..., ***festyn, ***jesień..., ***jesienny, ***szukając..., Z cyklu <i>Epidemiągawki</i>	286

FRAZY OSOBISTE

Antoni MATUSZKIEWICZ, Janusz i Michał, Kolumna, Magdalena.....	288
Grzegorz STRUMYK, Łatanina 38.....	292
Robert SUWAŁA, Stanisław Wygodzki. Proch i pył.....	294
Jacek UGLIK, <i>Nothing's Impossible</i>	297
Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, Pod stołem i na szafie.....	299
Teresa TOMSIA, Pawła Joczca wizerunek niedokończony, Jedna kreska.....	303
Mariusz KALANDYK, Czarne zeszyty i przymys światła. Kilka trwałych uwag.....	311

SZTUKA

Magdalena RABIZO-BIREK, Małgorzata Skalbania – artystka barbarzyńska.....	315
---	-----

O KSIĄŻKACH

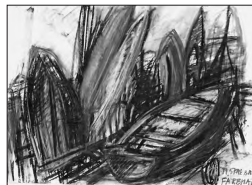
Wojciech KWIECIŃSKI, Pożegnany blues (B. Loebel, <i>Pożegnany blues</i>).....	318
Tomasz PYZIK, Istnienie ponad wszelkie istnienie (W. Kass, <i>Metaf. 20 wierszy o położeniu</i>).....	320
Jan TULIK, Miłkiemi wrniebogłosy (K. Konecka, <i>Kruczość. Sonetti a corona</i>).....	322
[Jerzy Ł. KACZMAREK], Nieskończona przestrzeń (N. Skupniewicz, <i>czyli za daleko</i>).....	324
Ryszard MŚCISZ, Krośnieńskie urzeczenia (<i>Antologia Krosno i okolice</i> , red. J. Belcik, M. Petrykowski, W. Turek).....	326
Maciej F. KUBIAK, Palimpsest Śląska według Utopka (L. Libera, <i>Testament Utopka</i>).....	329
Joanna SARNECKA, Czuly narrator w podróży do czytelnika (O. Tokarczuk, <i>Czuly narrator</i>)	
Ewelina RADION, Aksjologia historii i literatury (G. Ostasz, <i>Mowa dziejów, mądrość poezji. Szkice</i>).....	331
Kazimierz MACIĄG, Na pograniczu narodów i kultur (<i>Na pograniczu narodów i kultur</i> , wybór i opracowanie B. Wróblewskiej i Ł. Janicki).....	336

KRONIKA

Moje spotkania z Adamem Zagajewskim (Adam LIZAKOWSKI).....	339
Wiersze z czasów pandemii (Magdalena RABIZO-BIREK).....	342
Jiří, Juri, Jurek (1943–2021) (Antoni MATUSZKIEWICZ).....	345

Autorzcy „Frazy”.....	347
Zaprosili nas.....	362
Publikacje nadesłane.....	364
Komunikaty.....	368

W galerii Frazy:



Małgorzata Skalbania, *Fareham, przystań*, sucha igła

nakład 300 egz.

„Frazy” jest pismem redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji.

Rada Naukowa „Frazy”:

Joanna Chłosta-Zielonka (Uniwersytet Warmiński-Mazurski, Olsztyn), Elwira Grossman (University of Glasgow), Bogumiła Kaniewska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań), Marlis Lami (Universität Wien), Renata Makarska (Johannes Gutenberg-Universität Mainz), Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódzki), Anna Nasiłowska (IBL PAN, Warszawa), Tomasz Swoboda (Uniwersytet Gdański), Tamara Trojanowska (University of Toronto), Maria Zadencka (Stockholms universitet)



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie

DWA PORTRETY (TRUMIENNE)

Klimaty secesji

Stefan George

Z KSIĘGI WISZĄCYCH OGRODÓW¹

Kompozycje Arnolda Schönberga

1

Pod strażą liści sklepionych
Płatki gwiazd dalekich śnieżą ·
Cicho brzmią cierpienia tony
Gdy baśniowych oczy zwierząt
Na marmurowe misy patrzą ·
Z nich potoczek bieży rączy:
Świece krzewy rozświetlają ·
Białe formy dzielą wody.

2

Gaik w raju tym szczęśliwym
Z kwiecica łączy się łakami
W światła kolorowe flizy.
Dziobami mącą bociany
Stawy, gdzie się iskrzą ryby ·

¹*Księga wiszących ogrodów*, 1895. Księgę stanowi 31 utworów, spośród których Arnold Schönberg wybrał piętnaście do cyklu *15 Gedichte aus Das Buch der hängenden Gärten von Stefan George für eine Singstimme und Klavier*, op. 15, 1907–1909 (<https://www.youtube.com/watch?v=9rGUov3Adlk>). Numery oznaczają miejsce pieśni w cyklu. Zachowano interpunkcję Georgego (wyśrodkowane kropki, brak przecinków), którą trudno byłoby zastąpić konwencjonalną.

Z kalenic tryluje krzywych
Ptaków korowód niesforny ·
W dali szumią złote trzciny –
Lecz mój sen za Jednym goni.

3

Jako nowicjusz w twe progi wstąpiłem
Zdumienia wpierw nie miałem na obliczu ·
Życzenia też żadnego nim cię zobaczyłem.
Patrz na splecenie młodych rąk w podziwiew ·
Do tych mnie wybierz co ci służą chętnie
Oдноś się do mnie dobrze i cierpliwie
Bo się potykam na tak obcej ścieżce.

4

Że nieruchomo płoną moje wargi
Wpierw patrzę, gdzie stanęła moja stopa:
Gdzieś w innych władców cudownej krainie.
Wciąż jeszcze z nią się mogłem rozstać·
Lecz zdało mi się że przez pręty kraty
Kłęcząc tajemny wzrok przed sobą widzę
Co mnie pytając szuka albo daje znaki.

5

Mówcie mi po jakiej ścieżce
Będzie dziś się przechadzała –
Bym ze skrzyni najprzedniejszej
Jedwabistą szatę dobył ·
Zrywał fiołki zrywał róże·
Chętne lica ku niej skłonił·
Stołek pod jej stopą małą.

6

Dla wszystkich dzieł już martwy jestem.
Przywołać do mnie cię serdecznie ·
Rozmowy z tobą snuć codziennie:
Służbę i zgodę · zakaz i pociechę ·
Ze wszystkich rzeczy to jest martwe tylko...

I płacz że te obrazy giną zawsze
Które się pięknej ciemności nie wstydzą –
Gdy wstaje czysty i zimny poranek.

12

Kiedy się w świętej ciszy sennych mar
U skroni nasze dłonie połączyły ·
I hołd łagodzi pożar naszych ciał:
To nie myśl o tych cieniach migotliwych
Co w dół i w górę ważą się u ścian ·
Nie ma strażników, którzy nas rozłączą
I ten przed miastem rozsypany piach
Nie będzie chleptał naszej krwi gorącej.

13

Ty się opierasz o srebrzystą wierzbę
Na brzegu · potem wachlarza fałdami
Osłaniasz głowę jak błyskawicami
I jak w zabawie kręcisz swym pierścieniem.
Ja pod listowia cienie płynę w łodzi
Do której próżno ciebie zapraszałem...
I widzę wierzbę co się niżej kloni ·
I płynące po wodzie kwiaty rozsypane.

15

W smutki poszliśmy jesienne
Ścieżka · liście · jak świątynia
Ona z uśmiechem ja z szeptem –
Tak · na zawsze odchodziła.
Wysokie kwiaty blednące złamane ·
Blednie lustro stawu i się łamie ·
Po zmurszałej stąpam błędnie trawie
Palmy kłują ostrymi pazurkami.
Suchych liści kłęby szeleszczące
Z tyłu się skradają ręce niewidoczne.
Noc jest pochmurna · duszące opary.

*2

Na kogo jak nie ciebie zwrócić ma spojrzenie
Żarliwie Szukająca, której tyś z początku
Wyzyny wskazał i darzył ją szczęściem,
Którego barwne dni nie znają wątku?

Ty dajesz zew · i płynię w wieczną bramę
Marzonych blasków jasnego wesela
Do królewskiego stołu idzie poprzez sale ·
Spełnienie świcci · i w chórze brzmia pienia.

Niedosiężona niwa jej własna się staje
Wzlatuje nad przepaścią orła lotem
Dołącza się do małych gwiazd gromady
I spada na ojczyste słońce rozżarzone.

Winieś ją powściągnąć w tym rozpędzie ·
Chylisz się z twego królestwa zza chmur
I chronisz drżącą upojoną szczęściem
O wierny duchu! ciężkim skrzydłem snu.

Pamięci Janusza Szubera

Stefan George
Przełożył Andrzej Lam

²Kobierzec życia i Pieśni o śnie i śmierci, 1899.

„TEN WŁAŚNIE, A NIE INNY JA”

Spotkanie poświęcone pamięci Janusza Szubera, zorganizowane w siedemdziesiątą trzecią rocznicę jego urodzin i promujące ostatni przygotowany przez niego tom poetycki *Zdrój uliczny*¹.

Janusz Pasterski: Witam państwa w imieniu Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego na spotkaniu poświęconym pamięci Janusza Szubera i jego najnowszemu tomowi, który stał się niespodziewanie tomem ostatnim. Miał być to zbiór ofiarowany poecie na jego siedemdziesiąte trzecie urodziny, nosi tytuł *Zdrój uliczny*. Mieliśmy okazję wielokrotnie spotykać się z Januszem Szuberem w Instytucie Filologii Polskiej, obecnie Instytucie Polonistyki i Dziennikarstwa. Łączyły nas zarówno więzy przyjacielskie, jak i więzy pasji literaturoznawczej, więzy miłośników literatury. Janusz publikował wielokrotnie we „Frazie”, wcześniej mieliśmy też okazję, by poznać go osobiście i poświęcić mu na jego sześćdziesiąte urodziny rocznicową konferencję naukową, a po niej księgę zatytułowaną *Poeta czulej pamięci*². Nasze dzisiejsze, tak liczne spotkanie jest też dowodem, że do tych określić, jakie przypisujemy Januszowi Szuberowi, trzeba dołożyć jeszcze jedno, mianowicie „poeta przyjacielski”. Poeta, przyjaciel właściwie większości z nas, który obdarzał nas uwagą, zainteresowaniem, rozmowami, dzięki czemu mogliśmy go poznać nie tylko jako autora tych świetnych wierszy, ale także jako człowieka. Nie mogę się też przy tej okazji oprzeć przygnębiającemu wrażeniu, że – posłużę się tu cytatem z wiersza Janusza – nieuwaga jest grzechem nie do wybaczenia. Zawsze w przypadku takich nagłych odejść mam poczucie – może państwo również – że nie dopełniłem swoich powinności do końca, że wiele przeoczyłem i można było pokusić się o więcej. Jeśli myśleliśmy o spotkaniu poświęconym Januszowi, to raczej o czymś w rodzaju dopełnienia księgi *Poeta czulej pamięci*, może na jego siedemdziesiąte piąte urodziny. Zamiast tego przyszło nam jednak pożegnać Poetę i Przyjaciela. Zatem witamy państwa bardzo serdecznie na dzisiejszym spotkaniu, niech będzie ono okazją do tego, by każdy z nas miał szansę podzielić się refleksją i o człowieku, i o jego wierszach, czyli o naszym Mistrzu, Januszu Szuberze. Magdo, oddaję ci głos i proszę o poprowadzenie spotkania.

¹ Spotkanie zorganizowała Dyrekcja Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego oraz redakcja kwartalnika literacko-artystycznego „Fraza”. Odbyło się online 10 grudnia 2020 r. Wzięli w nim udział: Jan Burnatowski („Czas Literatury”), Anna Hanus, Alicja Jakubowska-Ożóg, Grażyna Jarosz, Krystyna Lenkowska, Wojciech Maryjka, Jolanta Pasterska, Janusz Pasterski, Magdalena Rabizo-Birek (moderatorka), Jan Wolski.

² *Poeta czulej pamięci. Studia i szkice o twórczości Janusza Szubera*, red. J. Pasterska, M. Rabizo-Birek, Rzeszów 2008.

Magdalena Rabizo-Birek: Serdecznie witam wszystkich państwa. W naszym spotkaniu zechcieli wziąć udział bliscy Janusza Szubera i znawcy jego twórczości. Wszyscy zostaliśmy zaszczytzeni uwagą Janusza, dostrzeżeni przez niego. Po części stało się tak dlatego, że jesteśmy miłośnikami i badaczami jego twórczości. Dla większości z nas pierwsze było zauroczenie jego utworami poetyckimi, w których jest coś bardzo osobistego, intymnego, nakazującego zwrócić szczególnej uwagi na osobę autora. Na pewno także nas, żyjących na Podkarpaciu i w Rzeszowie, przykuło do jego poezji to, że jest ona tak bardzo zanurzona w tym kawałku świata, w naszej małej ojczyźnie, że pojawił się ktoś, kto potrafi o niej fascynująco i oryginalnie pisać. Te dwa elementy budziły potrzebę, by jak najszybciej poznać tego człowieka, odbyć do niego do Sanoka wyprawę czy nawet pielgrzymkę. Te podróże później wielokrotnie powtarzaliśmy. Spotykamy się z kilku przyczyn – Janusz Pasternski już wspomniał, że pierwotnym powodem spotkania miała być promocja urodzinowego tomiku poety – niezwyklego albumu *Zdrój uliczny*, wymyślonego przez Jana Wolskiego w bogatym opracowaniu graficznym Grzegorza Wolańskiego. Ale Janusz nie doczekał swoich urodzin, 1 listopada 2020 roku dotarła do nas wiadomość o jego śmierci, zatem ten wieczór musiał stać się również spotkaniem *in memoriam*, upamiętniającym jego niezwykłą osobę i twórczość.

Czekając chwilę na połączenie się ze wszystkimi panelistami, rozmawialiśmy na temat relacji Janusza do śmierci. To było bliskie z nią obcowanie przez wiele lat ciężkiej choroby, zatem oswojenie się z jej grozą, przygotowanie do niej, co przekłada się także na nastrój naszego z nim pożegnania. Czujemy ból, smutek i żal, ale jednocześnie wielu z nas, na pewno ja, ma poczucie, że on dalej z nami jest, że z chwilą śmierci mocniej wcielił się w swoje słowa. Jest taka piękna fraza z wiersza *Fortepian Szopena* Cypriana Kamila Norwida, poety, który był Januszowi Szuborowi bliski. Napisał wiersz *Epizod z fortepianem* w dialogu z tamtym arcydziełem. U Norwida czytamy: „Gdy koniec życia szepcze do początku: / „Nie stargam Cię ja – nie! – Ja u - wydatnię!...”. Śmierć „uwydatnia” pisarza i pora spojrzeć na całą jego twórczość w takim właśnie „uwydatnieniu”, powiększeniu, poszerzeniu. Drugą myśl w związku z przeżywaniem żaloby po Januszu, która przyszła mi do głowy, pięknie ujęła wybitna znawczyni jego twórczości, Alicja Jakubowska-Ożóg, która w poświęconej mu książce *Wciałowzięty* zapisała następującą myśl o śmierci: „Pocieszeniem dla poety jest przekonanie, że przyjaźń nie kończy się wraz ze śmiercią człowieka, świadczy o tej więzi pamięć, rodzaj braterstwa dusz przeniesiona jako swoisty depozyt”³. Myślę, że tego uczył nas w swojej poezji Janusz Szuber – napisał wiele wierszy, w których przedstawiał obcowanie żywych z umarłymi. Nie chcę używać zbyt wielkich słów, Janusz na pewno dodałby teraz coś żartobliwego albo ironicznego jako komentarz.

Chciałabym opowiedzieć państwu sen, który miałam, kiedy zaczęłam organizować to spotkanie. A przyśnił mi się Janusz Szuber. Na początku snu na wózku,

³ A. Jakubowska-Ożóg, *Wciałowzięty. Szkice o poezji Janusza Szubera*, Rzeszów 2019, s. 148.

Fot. Janusz Górnicki



Janusz Szuber na spotkaniu z cyklu Preteksty Literackie z udziałem Philipa Levine'a i Adama Zagajewskiego, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, 22 czerwca 2006 r.

taki, jakiego poznałam i pamiętam. Później pojawił się w tym śnie wartki, wypełniony ciemną, błotnistą, powodziową wodą głęboki strumień, przez który z trudem i strachem się przeprawiałam. I po jego drugiej stronie znów zobaczyłam Janusza, który kroczył wiosenną, rozświetloną słońcem ulicą willowej dzielnicy, ubrany w elegancki, jasny płaszcz i kapelusz – strój, który skojarzył mi się z wykreowaną przez niego w limerykach postacią Emeryka. Był zatem przemieniony, widziany już po tej drugiej stronie bytu. Gdyby Janusz był tu z nami, mógłby stworzyć na kanwie mojego snu wiersz, a może to ja śniłam jego wiersz... Był jednym z najbliższych mi ludzi literatury i czuję wielką wdzięczność do losu, że miałam okazję go poznać, rozmawiać z nim, słuchać, jak wspaniale czyta swoje utwory oraz mądrze mówi o swoim życiu i poezji. Głos mi się łamie, gdy to mówię, choć miałam nadzieję, przygotowując się do tego spotkania, że uda mi się zapanować nad wzruszeniem. Nie udało się...

Zapraszając uczestników spotkania, myślałam o podjęciu kilku tematów: kim dla państwa był Janusz Szuber, jakie były pierwsze lub ważne z nim osobiste spotkania, a także o jego twórczości, o tym, co w niej było dla państwa ważne, in-

spirujące, nowe, odkrywcze. Jestem przejęta faktem, że jest z nami doktor Grażyna Jarosz, która połączyła się z nami aż z Oslo w Norwegii. Jest najbliższą krewną Janusza, najdłużej z nas wszystkich go znała, będąc jego kuzynką, towarzyszką zabaw, osobą, z którą spędził dzieciństwo i młodość. Dla nas, miłośników i badaczy jego twórczości, istotne jest, że pani Grażyna Jarosz pomogła Januszowi w istotny sposób zadebiutować, ponieważ sfinansowała wydanie jego słynnego „pięcioksięgu” – złożonego z pięciu tomików wierszy poetyckiego cyklu. Wydany w latach 1995–1996, świetnie przyjęty przez krytyków i mistrzów polskiej poezji, wprowadził Janusza Szubera do polskiej literatury. W tym ostatnim – jak miało się okazać – roku życia ukazały się dwie jego książki. Pierwsza, będąca wyborem wierszy z ostatnich kilkunastu lat twórczości nosi znaczący tytuł *Przyjęcie postawy* i jest dedykowana „Grażynie”. Powstaje niezwykła klamra, łącząca początek i koniec twórczości, jakby artysta miał tego faktu przeczucie. W perspektywie ostatecznej czytamy także jego ostatnią książkę, złożony z ośmiu wierszy *Zdrój uliczny*, który staje się jego testamentem. Bardzo proszę panią Grażynę Jarosz o wypowiedź. Jesteśmy zaszczycony i wzruszeni pani obecnością wśród nas.

Grażyna Jarosz: Jest to dla mnie ogromnie trudny i dramatyczny czas. Śmierć Janusza jest najmocniejszym i najbardziej bolesnym wydarzeniem w moim życiu, wydarzeniem, którego wciąż nie potrafię sobie w pełni wyznaczyć, i pomimo że jestem biologiem, nie jestem w stanie racjonalnie zaakceptować. Całe moje życie było bardzo mocno z nim związane i do końca byliśmy „nierozłączni”. Pomimo tego, że pochodzę z Warszawy, wczesne dzieciństwo spędziłam w Sanoku. Nasze mamy były siostrami, pewnie dlatego nigdy nie czułam się jedynaczką, gdyż Janusz był moim starszym bratem. Na prawie każdej fotografii z dzieciństwa Janusz trzyma mnie opiekuńczo za rękę. Potem, w latach szkolnych, każde wakacje i okresy świąteczne również spędzaliśmy razem, często w Krynicy gdzie mieszkał nasz dziadek i wuj, ale zawsze chociaż częściowo w Warszawie. Warszawa była w dzieciństwie i wczesnej młodości Janusza jego drugim miastem rodzinnym. W czasie jednych z wakacji, w Miłosnej pod Warszawą (o czym wspomina w jednym ze swoich wierszy) kupiliśmy razem szczeniaka, boksera, ukochanego psa, który spędził z nim wiernie 14 lat. W okresie studiów na Uniwersytecie Warszawskim Janusz oczywiście mieszkał u nas. Chodziliśmy często razem do teatru (zawsze on wybierał spektakle), na wystawy, podsuwał też mi książki do czytania. Byliśmy zyci jak rodzeństwo, a może nawet bardziej. To były bardzo szczęśliwe lata, potem wszystko nagle i dramatycznie się zmieniło, gdy Janusz zachorował. Choroba odcięła go praktycznie przez wiele lat od świata zewnętrznego. Miał wtedy tylko najbliższą rodzinę. Popularność i znajomi pojawili się później, wraz z jego sukcesem.

Po pierwszych latach, gdy choroba spowodowała największe spustoszenie i umieściła go na wózku inwalidzkim, największą radością w jego życiu były wycieczki w Bieszczady, wtedy już tylko samochodowe, trasami które wcześniej objeżdżał na motorze z ojcem. Kochał Bieszczady i znał je doskonale. Miał swoje ulubione cerkwie, przydrożne stare drzewa, gniazda bocianie i wyboiste polne drogi.

Pomimo cierpienia i ograniczeń związanych z agresywnie postępującą chorobą Janusz przez wiele lat pisał wiersze, wprawdzie „do szuflady”, ale pozwalał je czytać swojej mamie i mnie. Była to zapewne również forma terapii i chociaż chwilowe zapomnienie o rzeczywistości. Większość wtedy napisanych wierszy niestety później zniszczył, tak jak zniszczył malowane przez siebie w latach szkolnych obrazy. Szkoda.

Obok literatury zawsze ogromnie interesował się sztuką. Stworzył później na ścianach swojego mieszkania własną galerię ulubionych twórców, z licznymi pracami Leszka Róźgi, z którym się przyjaźnił i którego ogromnie cenił. Ostatnią jego grafikę zakupił dwa tygodnie przed śmiercią.

Po wygraniu konkursu poetyckiego w Sanoku, w 1994 roku, Janusz dał się namówić na próbę opublikowania swojej poezji i zebrano z tego pięć tomików. Pamiętam, jak całe letnie wakacje spędziłam stukając, na staroświeckiej maszynie do pisania, ustawionej na kuchennym stole, przepisując jego wiersze. Pierwsze tomiki wydaliśmy własnym sumptem. Chcieliśmy zobaczyć, jak zostaną ocenione na zewnątrz, jeśli w ogóle do kogoś dotrą. Janusz był bardzo skromny, nie spodziewał się takiego sukcesu. Dalszą historię pierwszych wydruków wierszy znać państwo ze wspomnień Antoniego Libery. Potem już wszystko działało się szybko. Kolejne tomiki, spotkania, znajomość z ciekawymi ludźmi i kolejne, już teraz poważne nagrody literackie. Równoległe z sukcesem postępowała choroba.

Czytając jego wiersze, w których przyjmuje on często bierną rolę narratora lub obserwatora, można by przypuszczać, że odzwierciedlała ona jego osobowość, ale było wręcz przeciwnie. W sprawy i projekty, w które wierzył, angażował się z pasją i robił wszystko, aby doprowadzić do ich realizacji. Z inicjatywy Janusza w 1996 roku powstało Stowarzyszenie Korporacja Literacka, której założeniem była integracja twórców z terenu miasta i regionu, reprezentujących różne dziedziny sztuki, jak i organizacja spotkań oraz sesji poświęconych twórcom, których dorobek pisarski związany był z regionem południowo-wschodnim. Sesje korporacji odbywały się regularnie w jego mieszkaniu przy ulicy Sienkiewicza 8, a bywali na nich obok stałych uczestników przyjezdni goście, znani pisarze, poeci czy literaturoznawcy, wspomnę tylko Pawła Huelle, Antoniego Libere, Bronisława Maja a nawet z USA Wilhelma Dichtera. Raz w miesiącu, dołączony do „Tygodnika Sanockiego”, ukazywał się do 2000 roku, wydawany przez korporację „Dodatek Kulturalny”, którego redaktorem prowadzącym był Janusz Szuber.

Był wielkim miłośnikiem twórczości Mariana Pankowskiego, z którym łączyła go również osobista przyjaźń, z inicjatywy Janusza w ramach Korporacji Literackiej przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sanoku powstał ośrodek, którego celem jest badanie i popularyzacja twórczości Mariana Pankowskiego, co realizują wydawane dotychczas „Acta Pankoviana”. A wraz ze swoją najbliższą i wieloletnią przyjaciółką, panią Janiną Lewandowską, na własny koszt umieścili na budynku Biblioteki poświęconą mu tablicę pamiątkową.

W późniejszych latach na cykl spotkań „Goście Janusza Szubera”, odbywających się w Bibliotece Sanockiej, przyjeżdżali jego przyjaciele i znajomi ze świata

literatury i teatru, którzy nie tylko chcieli się spotkać z sanocką publicznością, ale przede wszystkim z samym gospodarzem.

Na koniec wspomnę o jego niemałym udziale w powstaniu w sanockiej uczelni im. Jana Grodka, w co nawet zaangażował ówczesnego premiera Jerzego Buzka, prosząc go o poparcie, gdy ten odwiedził go prywatnie w mieszkaniu na Sienkiewicza. Wspominam o tym wszystkim, aby uzmysłowić państwu jego ogromną siłę woli i dyscyplinę, wbrew postępującej chorobie, powodującej chroniczny ból, zmęczenie, osłabienie, a również u wielu chorych ciężką depresję.

Janusz przeżył ze swoją chorobą ponad pięćdziesiąt lat. Ostatnie dwa lata były wyjątkowo trudne ze względu na nowe groźne komplikacje i kilkakrotne pobyty w szpitalu. Za każdym razem przyjeżdżałam do Sanoka, by być z nim w tych ciężkich chwilach. Rok temu, niestety, okazał się konieczny zabieg chirurgiczny eliminujący zagrożenie, ale bardzo negatywnie wpływający na jakość jego życia. Być może dlatego rozmówcy odbierali jego zmęczenie nowymi utrudnieniami jako poddanie się chorobie i rezygnację z życia. Ale tak nie było, podobnie wielokrotnie od wielu lat zapowiadał, że już nie będzie więcej pisać, ale pisał dalej.

Mówiliście Państwo o przeczuciach Janusza, o robieniu twórczego testamentu, podsumowywaniu swego dorobku... Ostatni raz byłam u Janusza we wrześniu tego roku, przez około dwa tygodnie, w związku z nagłą śmiercią jego długoletniego opiekuna. Miał wtedy robione rutynowe badania medyczne, które ku naszej ogromnej radości wyszły o wiele lepiej, niż zwykle. Absolutnie nie odczułam, że miał choćby słabe przeczucie bliskiej śmierci. Nie miał ku temu powodów, zaprzeczam więc teorii sporządzania przez niego twórczego testamentu. Wręcz przeciwnie, Janusz planował załatwienie pewnych ważnych rodzinnych spraw w czasie mojego kolejnego pobytu, zakupił kolejną grafikę Leszka Róźgi i zamawiał książki przez internet, a jego największym zmartwieniem było wówczas to, czy z powodu pandemii uda nam się spędzić razem święta Bożego Narodzenia.

Chciał robić wszystko z wyprzedzeniem, bardzo skrupulatnie i dokładnie, a podsumowania robił na różnych etapach życia. To że zawsze, a zwłaszcza ostatnio, podchodził z dużą rezerwą do przyszłości, wynikało z jego bolesnego doświadczenia w ciągu wielu lat choroby.

O Januszu wiem najwięcej, bo przez całe życie mieliśmy bardzo częsty i regularny kontakt, a w ostatnie lata rozmawialiśmy nie tylko tak jak dawniej codziennie, ale nawet dwa, trzy razy dziennie. Znałam wszystkie wyniki jego badań, leki, które zażywał, rozmawiałam regularnie z lekarzem, który nim się opiekował i wiem, że nic nie wskazywało na nadchodzącą katastrofę. Oczywiście wzrastająca liczba przypadków infekcji covidem była bardzo niepokojąca i groźna, ale zdawało się, że przy bardzo ograniczonym kontakcie z otoczeniem i przestrzeganiu środków ostrożności i higieny będzie bezpieczny. Niestety stało się inaczej.

Wciąż nie jestem sobie w stanie uświadomić, że teraz Janusz już tylko będzie dla mnie istniał poprzez swoją poezję, wspomnienia i może poprzez sen. Wracając do pani snu, w którym Janusz szedł, a nie poruszał się na wózku, to może

dziwne, ale w moich snach Janusz zawsze chodził, tak jak kiedyś, gdy był zdrowym i aktywnym młodym człowiekiem i wiem, że on podobnie śnił siebie. Przynajmniej sen uwalniał nas od inwalidzkiego wózka.

Od początku choroby podziwiałam jego ogromną dyscyplinę i niezwykłą siłę psychiczną. Janusz nigdy się nie poddawał, a o chorobie rzadko mówił i jeszcze rzadziej pisał. Często w rozmowach ze znajomymi zachowywał pozory normalności, pomimo bólu i cierpienia. Tylko najbliżsi wiedzieli, jak heroicznie od tyłu lat z tym walczył. Zawsze starał się zachować maksymalną samodzielność i niezależność od innych, choć ta była mu konsekwentnie ograniczana i odbierana. Pomimo tragicznego życia był ogromnie pozytywny, zawsze życzliwy, przyjazny i bezpośredni. Był bardzo dobrym i ciepłym człowiekiem. Zawdzięczam mu bardzo wiele. Janusz był i zawsze pozostanie moim bohaterem.

M.R-B.: Bardzo pani dziękuję i składam najszczerze wyrazy współczucia. Miałam wielokrotnie okazję przebywać blisko Janusza i obserwowałam, z jaką uwagą potrafił słuchać innych osób. Utrata kogoś najbliższego jest wielkim ciosem. Bardzo cieszymy się, że podzieliła się pani z nami swoimi wspomnieniami. Tylko tyle możemy zrobić... Proszę nam jeszcze powiedzieć, które wiersze Janusza są pani najbliższe, czy te rodzinne, gdy wskrzesza świat rodziców, dziadków i dalszych przodków, czy też są inne jeszcze, które są dla pani szczególnie istotne.

G.J.: Trudno jest mi wybrać. Poezja Janusza zawsze dla mnie miała, a teraz ma jeszcze większe znaczenie emocjonalne. Każdy jego wiersz ma dla mnie wielką wartość, nie tylko pod względem poetyckim, ale również osobistym, uczuciowym. On pisał swoje wiersze bardzo starannie, często poprawiając je i zmieniając. Każde słowo i każde zdanie jest głęboko przemyślane i przeanalizowane. Dzięki jego wierszom mogę i ja zbliżyć się i do jego świata, poznać, co czuł i myślał, gdy je pisał. Szczególnie teraz, gdy jego już nie ma, jest to dla mnie bezcenne. Niektóre jego wiersze odbieram szczególnie osobiście również dlatego, że pisze o naszych przodkach, których postaci, czasem z dalekiej przeszłości pojawiały się w rozmowach i wspomnieniach rodzinnych. Opowieści naszych dziadków i stare fotografie z rodzinnego albumu, zapamiętane z dzieciństwa, wracają teraz po wielu latach z krótką refleksją Janusza. Wiersze Janusza mnie urzekają, ale jednocześnie zawsze wprowadzają w nastrój głębokiego smutku, gdyż mają wążek przemijania, nietrwałości i nieuchronnej śmierci.

Wspaniała, chociaż obecnie dla mnie również bardzo bolesna jest najnowsza płyta *W centrum żręnicy*, z głosem Janusza i piękną muzyką Łukasza Sabata. Pierwszy raz słuchaliśmy jej fragmentów rok temu, gdy Janusz w ciężkim stanie leżał w sanoc-kim szpitalu. Było to dla nas obojga wielkim i bardzo wzruszającym przeżyciem.

Ostatni tom *Przyjęcie postawy* z piękną grafiką Leszka Różgi jest teraz mi chyba najbliższy. Na pewno wpływa na to również dedykacja, a oprócz tego myślę, że „przyjęcie postawy” było mottem życiowym Janusza. Kończąc te wspomnienia, chciałabym przytoczyć fragment wiersza *Jewgienij Bronistawowicz*:

ile zostanie ze mnie
w pamięci tych
którzy mnie znali

kiedy już odpłynę
wodospadem piasku
z warkoczem przyciętym
gilotyłą rydła?

M.R-B.: Jest pani dla nas legendą, o której czytaliśmy w opracowaniach. U początku i na końcu twórczości Janusza Szubera jest Grażyna Jarosz, i tak już na zawsze pozostanie. A teraz mogliśmy wreszcie panią poznać i zobaczyć.

G.J.: Zawsze dziwiło mnie, że Janusz określał mnie oficjalnie jako „dr Grażynę Jarosz”. Łatwiej byłoby, gdyby wspominał, że to siostra pomogła mu w wydaniu debiutu, ale zawsze był bardzo precyzyjny i w pewnym sensie bardzo prywatny.

M.R-B.: Zgadzam się. Na przykład fakt, że on tak błyskawicznie przechodził z nowo poznaną osobą na ty. Czynił to natychmiast, kiedy tylko wyczuł, że ktoś się na niego za taką propozycję nie pogniewa. Miał jakiś szósty, siódmy czy dziesiąty zmysł, co skłaniało tych nowo poznanych ludzi do otwierania się i intymnych niekiedy wobec niego zwierzeń. Budził natychmiast ogromne zaufanie, jakby cały otwierał się na drugą osobę. Nie udało się, niestety, dołączyć do nas drugiej, bardzo bliskiej mu osobie, Małgorzacie Sienkiewicz-Woskowicz z Sanoka, natomiast jest z nami Andrzej Busza. Poeta, prozaik, tłumacz, anglista i conradysta mieszkający na drugim końcu świata, w kanadyjskim Vancouver, członek dawnej grupy Kontynenty, ale przede wszystkim inny bliski nam mistrz i przyjaciel, który nas w Rzeszowie regularnie odwiedza. Mam nadzieję, że niebawem znów będzie u nas gościł. Kiedy tylko było to możliwe, odwiedzał Janusza w Sanoku i, mam wrażenie, Andrzeju, ponieważ byłam obecna podczas waszego pierwszego spotkania, że zapalałście do siebie miłością od pierwszego wejrzenia.

Andrzej Busza: Tak, od pierwszego wrażenia.

M.R-B.: To był właśnie jeden z tych momentów, o którym przed chwilą opowiadałam. Żywa rozmowa zaczęła się niemal natychmiast, a później poeci dedykowali sobie wzajemnie utwory. Świetne opowiadanie *Mój praprawuj* Andrzeja Buszy, takie trochę z ducha rozmów o ekscentrycznych galicyjskich przodkach, jest dedykowane córce Ewie i właśnie Januszowi Szuberowi. Andrzej, podziel się z nami swoimi refleksjami i wspomnieniami.

A.B.: Gdyby nie covid, to nie jest wykluczone, że o tej porze odwiedzałbym Janusza. Po raz pierwszy zawieźliście mnie do niego w 2008 roku i potem bywałem w Sanoku, kiedy tylko przyjeżdżałem do Polski i do Rzeszowa. Bardzo ważnym elementem mojej wizyty zawsze był wyjazd do Janusza, który był nie tylko dobrym poetą, ale także niesłychanie ciepłym człowiekiem. Tak jak mówiłaś, od pierwszej chwili człowiek nawiązywał z nim kontakt, a ponieważ moja rodzina pochodzi

z tamtych stron, mieliśmy sporo wspólnych tematów. Janusz regularnie przysyłał mi swoje książki, ja jemu też coś posłałem, zdążyłem jeszcze otrzymać jego *Zdrój uliczny*. To jest z jednej strony moment bardzo przyjemny, z drugiej strony smutny – kiedy uda mi się pojechać do Rzeszowa, to nie będę mógł zawadzić o Sanok. Pomyslałem, że przeczytam jakiś wiersz Janusza przełożony na angielski, ale niestety nie mam angielskiego tekstu, dlatego przeczytam króciutki wiersz po hiszpańsku. Januszowi sprawiłoby to przyjemność. To jest znany nam wszystkim wiersz *Pianie kogutów*, dedykowany Czesławowi Miłoszowi:

Cantan los gallos

Cantan los gallos anunciando el cambio del tiempo:
Bajo una nube azul, las bolas azules de las ciruelas
Con su pelusa gris y una grieta pegajosa –
Dentro, granos dulces de ámbar sucio.

La lengua intenta pulir lo áspero del hueso
Pasan los años y sigue hiriendo el paladar
Y promete que me será posible llegar
Al grano – al fondo de aquel día –
Cuando cantaban los gallos
Anunciando el cambio del tiempo⁴.

W tym wierszu dostrzegam aspekt poezji Janusza, który szczególnie cenię, to jest jego sposób widzenia świata, konkretność. Zaurocza nas u niego to, że opisuje rzeczy w sposób tak konkretny... Dziś wielu poetów nie oddaje miłości rzeczywistości, a u Szubera to mamy i to na różnych poziomach, to są nie tylko rzeczy, ale także osoby, miejsca i czasy, to jest właśnie ten wspaniały Janusz.

M.R-B.: Bardzo ci dziękuję. Mam wrażenie, ale nie wiem, czy dobrze pamiętam, Janusz Pasterski i ty będziecie służyć pomocą, że Janusz Szuber dedykował ci wiersz, jesteś jedną z osób uczczonych dedykacją. On był szczodry w dedykacjach, ale miał swój klucz do dedykowania, obdarzał szczególną uwagą wielką rodzinę poetów i artystów. To byli pierwszoplanowi bohaterowie jego dedykacji, z którymi toczył dialogi ponad miejscem i czasem. Wiersz *Pianie kogutów* przeczytałeś zapewne w przekładzie Zygmunta Wawrzyńca Wojskiego. Nie wiem, czy wszyscy państwo o tym wiecie, ale to także mały wkład „Frazy” do dorobku Szubera. Pierwszym jego tomem poezji, który mieliśmy szczęście wydać, była polsko-hiszpańska *Entelechia / Entelequia* w przekładzie Wojskiego.

A.B.: A potem wydaliście także jego portugalski przekład.

M.R-B: Tak, *Próbe dębu / Teste do carvalho*. To jest dobry moment, żeby poprosić o zabranie głosu Jana Wolskiego, głównego sprawcę faktu, że staliśmy

⁴ J. Szuber, *Cantan los gallos* [w:] tegoż, *Entelechia / Entelequia*, układ tomiku i tłumaczenia na język hiszpański Z. W. Wojski, Rzeszów 2012, s. 13.

się jako Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” wydawcą dzieł Szubera. Janek znalazł sposób komunikowania się z poetą, który doprowadził do tego, że wydaliśmy aż cztery jego tomy – w tym wspomniane dwa dwujęzyczne wybory w przekładach Zygmunta Wawrzyńca Wojskiego. Chciałabym odesłać państwa do jego pięknego wspomnienia, związanego z dość niezwykłym zdjęciem Janusza nad swoim grobem⁵. Pani Grażyna mówiła, że on wszystko drobiazgowo planował i przygotowywał. Przygotował sobie także za życia miejsce, na którym chciał spocząć. Kiedy zobaczyłam podpis pod fotografią, którą przysłał pan Wojski, to zdumiałam się, bo brzmi on: „Janusz nad swoim grobem”. Zachęcam do lektury tego wspomnienia, odśladającego mniej znaną sanocką kartę jego aktywności, Korporację Literacką, którą współtworzył.

Nasza frazowa współpraca z Januszem Szuberem nie była czymś przypadkowym, ponieważ on pielęgnował lokalną stronę swojego artystycznego istnienia. Jego pięćksiąg wydano w Sanoku, w drukarni o pięknej nazwie „Piast Kołodziej”. Kiedy stał się znany, publikował swoje tomy i wybory wierszy w oficynach krakowskich, głównie w Wydawnictwie Literackim i Znaku, ale równolegle ukazywały się jego książki podkarpackie, wydawane w Sanoku, Lesku i Rzeszowie. Dowartościowywał prowincjonalność, którą przeniósł w wysokie rejony sztuki, a sanocką „mojość” uczynił uniwersalną. Chciałam dopowiedzieć do wątku wprowadzonego obecnością z nami Andrzeja Buszy, że Szuber został bardzo życzliwie przyjęty przez artystyczną Polonię w Kanadzie. Tuż po debiucie został laureatem Nagrody Fundacji Turzańskich w Toronto, a jego tomy *Biedronka na śniegu* i *Glina, ogień, popiół* ukazały się przy wsparciu Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. A są to nasi przyjaciele z Kanady, którzy i z nami od lat współpracują. Janku opowiedz nam o swojej długiej przygodzie z publikowaniem utworów Janusza i oczywiście chcielibyśmy jak więcej usłyszeć o okolicznościach powstania *Zdroju ulicznego*.

Grzegorz Jaśkiewicz: Chciałbym przypomnieć jeszcze jeden ważny fakt – 15 czerwca 2015 roku Janusz Szuber był gościem Biblioteki Austriackiej w Instytucie Germanistyki Uniwersytetu Rzeszowskiego. Bardzo proszę Annę Hanus, która w tym uczestniczyła, żeby powiedziała na ten temat coś więcej.

M.R-B.: Zaprosiłam profesor Annę Hanus na nasze spotkanie, dziękując Grzegorzowi za słuszne przypomnienie, że jej oraz Ruth Büttner zawdzięczamy przekład i wydanie polsko-niemieckiego tomu Janusza Szubera *Esej o niewinności*⁶. Ponadto przekonały, co nie było wcale oczywiste, Adama Zagajewskiego do tego, żeby napisał do niego wstęp. Ukazał się w pięknej oprawie graficznej Małgorzaty Drozd-Witek, wykładowczyni w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego. Byliśmy z Jankiem Wolskim na promocji tego tomu w Sali Gobelinowej

⁵ Z. W. Wojski, *Janusz Szuber z Sanoka*, online: <http://fraza.univ.rzeszow.pl/aktualnosci/Zygmunt-Wojski-Janusz-Szuber-z-Sanoka.php>, publikowany w tej „Frazie”.

⁶ J. Szuber, *Esej o niewinności / Essay über die Unschuld*, wybór i przekład A. Hanus, R. Büttner, wstęp A. Zagajewski, opr. graf. M. Drozd-Witek, Wrocław – Drezno 2015.

zamku w Sanoku, omawialiśmy go też we „Frazie” w dwugłosie Janka i profesora Zbigniewa Światłowskiego. Ale teraz proszę o wypowiedź Jana Wolskiego.

Jan Wolski: *Zdrój uliczny* o mały włos nie ukazał się w wersji dwu-, a nawet trójjęzycznej, ale stało się, jak się stało, co nie stoi na przeszkodzie, żeby w przyszłości wrócić do pewnych niezrealizowanych zamiarów. Jaki był Janusz, już powiedzieliście. To był człowiek niezwykły. Nie dlatego, że odprawiamy panichidę, a zwyczaj mówi, że o zmarłych mówić albo dobrze, albo wcale. O nim nie da się wszystkiego powiedzieć, to byłoby za dużo, bo każdy z nas ma swoje okoliczności Januszowe. To był Człowiek Kontakt. Ja go zapamiętałem jako arcywesolego człowieka, o typie humoru nie narzucanym, ale skrywanym. Pod głównym nurtem niekiedy arcyważnych sytuacji, opisów i opowieści zawsze był w jego utworach i wypowiedziach taki maleńki strumyczek, który mógł się przerodzić w rwący potok eksplodujący śmiechem. Być może to był jego sposób na osvajanie rzeczywistości.

Z racji smutnej okoliczności jego śmierci różne media, głównie pisma zamieszczały i zamieszczają informacje i komentarze na jego temat. Uderzyło mnie jedno – że prawie wszędzie mówią: „Miłosz go wskazał i Herbert, i Szymborska...”. Janusza Szubera nie trzeba z kimkolwiek zestawiać, aby się wesprzeć tego kogoś autorytetem, bo to jest absolutnie osobna jakość i wartość poetycka. I ludzka. Tak jak jest Miłosz, Szymborska i Herbert, tak samo jest i Janusz Szuber. To jest ten sam rząd poetów. Jego początki wiążą się z okolicznościami rzeczywistości spóźnionego debiutu i kiedy się zaczyna, dobrze jest, gdy taki Pan Bóg Noblista powie: „Pańskie wiersze mi się podobają” albo „To arcydzieło”. Świetne, ale myślę, że przyszła pora na to, żebyśmy traktowali Janusza Szubera całkowicie poważnie, stawiając go w tej samej linii, co ci przywołani wielcy twórcy. Bo jest jednym – nie boję się tego określenia – z największych współczesnych poetów polskich, który wypracował swój własny styl. A o to przecież chodzi, żebyśmy poetów i ich poezję odróżniali, a kiedy usłyszymy frazę albo fragment tekstu, stwierdzamy nieomylnie i natychmiast: „Aha, to musi być Szuber”. Tak więc Janusz Szuber bez wątpienia osiągnął szczyty poetyckiego Parnasu.

M.R.-B.: Na czym, twoim zdaniem, polega niepowtarzalność jego twórczości?

J.W.: Powiedziałbym, że to jest styl i tematyka. Szuber to taki współczesny archiwista, to znaczy, że używając absolutnie współczesnej polszczyzny, jednocześnie jest – ale nie stylizacyjnie, tylko naturalnie – zagłębiony w dawny język. Janusz niekiedy testował na mnie znajomość różnych pojęć, terminów lokalnych i pytał znieacka: „A wiesz, co to jest?”. Myślę, że to był w jakimś sensie test, czy możemy dalej rozmawiać, czy musimy zaprosić tłumacza i przejść na bardziej oficjalny i dystansowany poziom. On jest bardzo głęboko zakorzeniony w swojej, w naszej okolicy, bo my, tak jak on, najlepiej ją znamy. Tylko, że on miał jeszcze taki specyficzny sposób mieszkania w przeszłości. Przeszłość nie jest rzeczą zamkniętą, tylko czymś, co cały czas żyje w nas, bo każda chwila, trzy minuty temu, sekundę temu, to już przeszłość, ale przecież zarazem teraźniejszość. U Janusza nie było to zamknięcie w podręczniku do historii. Taka jest właśnie jego tajemnica, jak choć-

by w *Zdroju ulicznym* w wierszu *Czemu? No właśnie*. Chyba w ten sposób można odpowiedzieć na każdą sytuację życiową, z którą się zderzamy. On opisywał to, co czuł, a czuje się nie tylko przez codzienne doświadczenia tego, co nowe, ale także przez wyobrażenia tego, co było.

Antykwariusz czy archiwariusz – podoba mi się to określenie – to jest taki człowiek, który może nie tyle żyje przeszłością, ile bardzo dobrze zna się na tym, co było i pamięć jest dla niego ważna. Żyje tu i teraz, tylko zadaje sobie to samo pytanie, które zadawał sobie jego dziadek czy ktoś pięć pokoleń wcześniej. To, co jest naszą istotą w jakimkolwiek życiu, to są kluczowe, podstawowe pytania zadawane sobie. On to robił i to w taki sposób, że, jak sądzę, każdy może identyfikować się z jego procesem dochodzenia do odpowiedzi. Ponadto jego styl nie jest na takim Parnasie, że tylko kilku specjalistów jest w stanie go przeniknąć. Ten, kto pierwszy raz w życiu styka się z wierszami Szubera, może poczuć, że poeta go nie onieśmiela w sensie komunikatu językowego. Oczywiście, to nie jest też takie proste...

Podpisuję się pod tym, co powiedziałaś, Magdo, o jego automatycznym skracaniu dystansu. To było naturalne, on był ciekawy ludzi, uważał, że szkoda czasu na konwenanse, zastanawianie się, potem osvajanie, aby z czasem wykonać kolejny gest. Mówmy tu i teraz, bo to jest ciekawe, jest drugi człowiek, który być może ma inną historię, a być może mamy ze sobą coś wspólnego. W ten sposób snujemy nie tylko swoistą nić, ale tworzymy całe pole porozumienia. Raczej nie nazwałbym tego towarzyskością, owszem, Szuber był człowiekiem bez dystansu, był poetą bez dystansu. No i mogę też powiedzieć, że niejednokrotnie nosiłem na rękach Janusza Szubera, choć na pewno było wiele takich osób. Przy czym nie chodzi tu o wyrazy admiraacji, tylko wiązało się ze zwykłą koniecznością życiową, przecież trzeba było zanieść go gdzieś po schodach, a nie zawsze była do dyspozycji winda. To są dla mnie bardzo ważne, ciepłe wspomnienia.

Pani Grażyna powiedziała, że on intensywnie żył i nie myślał o pewnych rzeczach. Kiedy przygotowaliśmy *Zdrój uliczny*, odniosłem jednak wrażenie, że był niecierpliwy jak nigdy. Dzwonił czasem kilkanaście razy dziennie. Jest na przykład brązowy, roboczy wariant tej książki, bo myślałem, że poeksperymentujemy, spróbujemy z takim papierem. I jeszcze tego nie zrobiliśmy, bo był wieczór, nie da się natychmiast iść do drukarni, najwcześniej następnego dnia albo za kilka dni będę mógł pomysł zmaterializować, a on właśnie dzwoni, bo sobie pomyślał, że może to czy tamto zrobilibyśmy inaczej. Wcześniej go takiego nie znałem, tak niecierpliwego. Czasem, kiedy rozmawialiśmy telefonicznie, ustalaliśmy coś, potem mile się zegnaliśmy i sprawy toczyły się swoim rytmem. A teraz ledwie odłożyłem słuchawkę po rozmowie z nim, już dzwonił telefon z jakąś nową uwagą, pomysłem czy wątpliwością. Na przykład długo rozważaliśmy dołączenie do niektórych wierszy dedykacji. Dawać, nie dawać? Na początku, na końcu? Jest więc i taki roboczy wariant tomu, gdzie są dedykacje. Jednak ten, który ostatecznie się ukazał, jest bez nich.

Janusz bardzo lubił eksperymenty typograficzne, być może niekiedy wbrew temu, co narzucały mu duże wydawnictwa. Mam wrażenie, że takie swoiste „zabaw-

ki”, których przygotowanie umożliwiały mali, wręcz „kieszonkowi” edytorzy, tacy jak na przykład Piast Kołodziej, o którym wspominałaś, bardzo mu się podobały. Był nadzwyczaj ciekaw wydawniczej roboty koncepcyjnej. Grzegorz Wolański nie uczestniczy w naszym spotkaniu. Tu muszę wtrącić słowo o nim, bo Duet WOLWO bez niego nie byłby w stanie niczego zrobić. I tu mamy kolejny element wspomnień – oto ja omawiałem z Januszem, co moglibyśmy zrobić w książce, potem próbowałem opisać to Grześkowi, który jest grafikiem i malarzem biegłym w sztuce edytorstwa komputerowego, a on ten nasze wizje i pomysły po pewnym czasie przekładał na obrazki. Potem ja coś korygowałem, sugerowałem albo zatwierdzałem efekty. Kiedy się dogadaliśmy, wracałem do Janusza, a on dokładał swoje trzy grosze. Tym razem, z racji pandemii, mieliśmy dziwny sposób komunikacji, bo niecodziwną stała się pomoc Małgorzaty Sienkiewicz-Woskowicz. Janusz nie miał komputera, więc jak mógłby zobaczyć nasze projekty? Wysyłałem je do niej, ona je drukowała (nie zawsze we właściwej skali, ale to drobiazg), przekazywała mu wydruki, on coś jej na ich temat mówił, co wracało to do mnie tą samą drogą, czyli za pośrednictwem Małgorzaty. Oczywiście wszystko jeszcze omawialiśmy telefonicznie. To była praca etapami. Kiedy teraz wracam do niej myślą, wydaje mi się trochę śmieszna, bo niepotrzebnie skomplikowana komunikacyjnie. Ot, tak mi się tu wspomniało o naszej kuchni edytorskiej, zdarzenie może bez znaczenia...

Ale może jednak nie, bo to było wyjątkowe doświadczenie. Na ogół spotykamy się z książkami przygotowanymi przez wydawcę, ich lektura ma inny smak, niż kiedy, jak w tym przypadku, mogliśmy współkształtować ich tło technologiczne. Nie wystarczy mieć wiersz na kartce, trzeba jeszcze zrobić z tego coś, co będzie czytelne dla innych, być może trochę sugerujące, może podpowiadające interpretację. Praca przy tym skromnym przeciwieństwie tomiku, to były w sumie bardzo miłe rozmowy. Janusz był gawędziarzem i jego dygresyjność często wyprowadzała nas dwadzieścia kilometrów dalej. Ale zawsze krążyliśmy wokół tej jednej książki, wokół sceny z wiersza, przedstawionej w nim sytuacji. Mam wrażenie, że miał tym razem potrzebę dopowiedzenia wielu podtekstów. Wcześniej, z *Emerykiem u wód*, to była właściwie czysta zabawa, jak i forma tej dawniejszej książeczki jest poważnie niepoważną. Chciałem, żeby wybrzmiało w mojej bardzo emocjonalnej wypowiedzi, przede wszystkim to, że mieliśmy okazję spotykać człowieka o ogromnej skali humoru. Janusz Szuber to bez wątpienia poważny poeta najwyższej rangi, ale przede wszystkim poeta dystansu do świata i do siebie. Ten dystans świetnie budował własnie przy pomocy bardzo delikatnego, ale czasem także dosadnego, humoru.

M.R-B.: Mówiłeś o zaangażowaniu Janusza w projektowanie strony wizualnej tomu, o tym, że lubił takie bogate książkowe projekty. Trzeba wspomnieć o tym podrozdziale jego twórczości, który tworzą z archaiczną przez niego nazywane „albuma”, tworzone w dialogu z artystami plastykami – jak *Mojość* z Władysławem Szulcem czy książka z Tadeuszem Budzińskim – *Tam gdzie niedźwiedzie piwo warzą*. Jak widać z twojej opowieści, *Zdrój uliczny* też powstawał w ścisłym dialogu

z artystami. Gdy pisałam o motywach plastycznych w jego twórczości⁷, wspomniałam, że być może chciał kiedyś zostać artystą. Powiedział mi później, że trafnie to wyczułam, marzył, by zostać artystą, ale nie wyszło, może nie starczyło mu plastycznego talentu. Potem wymyślił sobowtórową postać grafika Davida Artura Coyrreno. Zaczął o nim pisać powieść, artysta pojawia się w kilku jego wierszach (także w formie opisu wymyślonych przez Szubera jego kompozycji). Wydaje się, że artystyczna część jego osobowości znajdowała później wyraz w projektowaniu tych „albumów”. Trzeba wspomnieć wydany przez Krystynę Lenkowską, którą zaraz będę prosić o wypowiedź, polsko-angielski tom Szubera *Las w lustrach*. Poeta wybierał do niego obrazy Henryka Wańka – miał pełną swobodę ich zestawiania ze swoimi wierszami.

Moje ważne pytanie do ciebie, Janku, jest takie: w jaki sposób Szuber wybrał wiersze do *Zdroju ulicznego*? Są w nim cztery wiersze, które pochodzą z wcześniejszych tomików i cztery nowe wiersze. Jacek Łukasiewicz, analizujący ostatni autorski wybór wierszy Herberta *89 wierszy*, uznał go za testament poety. Ten wybór Szubera wydaje mi się bardzo znaczący – że to są nie tylko nowe wiersze, ale też specjalnie wybrane do tego tomu, tworzące razem osobną konstelację. Wspomniałeś o *Emeryku u wód* – to jest pierwszy tom Janusza Szubera, który wydalicie we współpracy z Grzegorzem Wolańskim⁸. Zawiera limeryki i podobnie jak *Zdrój uliczny*, ukazał się w bardzo bogatej szacie, zbiera humorystyczne wiersze Janusza Szubera.

J.W.: Poruszyłaś kilka wątków, więc postaram się odpowiedzieć krótko. Specyficzną cechą poezji Szubera jest to, że często stawała się ona inspiracją dla plastyków, którzy próbowali przełożyć tekst wiersza na obraz. Coś musi w tym być. To nie jest przypadkowe, że w jego stylu wypowiedzi poetyckiej zawarty jest element, który powoduje, że oko i ręka plastyka czują się z nimi zaprzyjaźnione. Ale to uwaga na marginesie, ze sfery spekulacji.

Dlaczego osiem wierszy... Latem, przypadkowo zupełnie, pojawił się pomysł, że może znów byśmy się pobawili w stworzenie czegoś wspólnie. Ale nie mieliśmy po temu żadnej specjalnej okazji. Janusz proponował siedem wierszy, więc mu przypomniałem, że już miał *Siedem wierszy*⁹, więc nie możemy tego powtarzać. On na to, że może damy pięć. Trochę trwało to nasze targowanie się o ilość wierszy. Ostatecznie kwestia liczby przestała grać rolę, a zaczęło się ich komponowanie i niebawem zarysował się nam krąg autobiograficzny, choć niepełny. Nie ma problemu, można czasem powtórzyć już raz drukowany w książce wiersz.

Wydaje mi się Magdo, że masz rację z tym testamentem. To jest przeżycie świeże i nie umiem teraz powiedzieć, czy wymyślił to świadomie, ale im dłużej przestaję z tą książką, tym wyraźniej widzę w niej pewną opowieść, jej zamknięcie

⁷ M. Rabizo-Birek, *Zaczarowany przez Nikifora cudotwórcę. Motywy plastyczne twórczości Janusza Szubera* [w:] *Poeta czulej pamięci...*, s. 211–220.

⁸ J. Szuber, *Emeryk u wód*, oprac. graficzne Duet WOLWO (J. Wolski i G. Wolański), Rzeszów 2012.

⁹ J. Szuber, *Siedem wierszy*, oprac. i wykonał w technice linorytu Z. Osenkowski, Sanok 2012.

i przesłanie. Między początkiem a końcem jest cały Janusz Szuber. Zaczyna się w wierszu *Czemu? No właśnie* od studium przypadku, bo tak się czasem dzieje, a kończy się *Epigramem*, czyli „bytem metafizycznym”. Oczywiście można czytać to, co dzieje się w każdym wierszu z osobna. I ten finał, w którym życie jawi się niczym epigramat: robimy coś, robimy i nagle wszystko znika. „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr” – Szuber cytował to powiedzonko w jednym ze swoich wierszy. Poza tym świadomie układał wiersze w określonej kolejności, która pokazuje wyraźne etapy jego życia i doświadczeń, także ilustruje to, co mówiłem o jego stosunku do historii – że jest integralną częścią jego świadomego życia. Skądś się wzięłem i teraz snuję o tym opowieść, coś robiłem, kiedyś jednak to wygasa i zostaje po mnie, co najwyżej, jakiś epigramat.

Ten ostatni zbiór Szubera to na pewno jego autoportret. Mówił mi, że chce, żeby ten tomik wyglądał na opowiadający o nim i dlatego najlepiej, żeby było w nim mało wierszy. Ponieważ planowaliśmy tomik bibliofilski, uznałem, że dodamy – na czym mu bardzo zależało – portret autora narysowany przez Władysława Szulca, do kolofonu. Myślę, że to właściwe miejsce. Jest więc w tomiku i jego wizerunek. Ot, takie drobiazgi, choć znaczące. Było też kolejne przekomarzanie: „A w jakim wydamy go nakładzie?”, „Parę sztuk, dla przyjaciół”. „Ale ile? *Emeryk u wód* miał 222 egzemplarze”. Na co Szuber: „Nie wiem, z dwadzieścia?”. „Dwadzieścia to się nie oplaca, zróbmy więcej, przecież chyba masz więcej przyjaciół?”. „Masz rację, zróbmy więcej”. Przypomniałem sobie wtedy (ale nie od razu), że zbliżają się jego urodziny. Zaproponowałem więc: „To drukujmy siedemdziesiąt trzy”. Stąd właśnie te nieprzypadkowe 73, podpisane przez niego osobiście kolejnymi cyframi, egzemplarze tomu. I nie będzie ich więcej. Przynajmniej w tym kształcie. To była miła praca, nawet nie tyle praca, co zabawa. Dobór wierszy i ich kolejność są ostatecznie dziełem Janusza. Dwa utwory przedstawialiśmy kilkakrotnie, kiedy koncepcja tomu się wykrystalizowała. Rozmawialiśmy na przykład o tym, czy układamy utwory chronologicznie, ale tu miałem wątpliwości. On pomedytował i za dwa dni odpowiedział: „Racja, przedstawiamy”. Na pewno pracował nad tym tomikiem koncepcyjnie, nad kolejnością utworów, nad wymową całości. Do wizji plastycznej nie miał zastrzeżeń. Muszę powiedzieć, że Grzesio Wolański bardzo dobrze mnie rozumie, bo ja mu powiadam o jakimś pomysle, a on robi z tego „obrazek” i tylko czasem coś mu w tym z lekka koryguję.

Moglibyście zapytać, czy w plastycznym opracowaniu tej książki odzwierciedla się styl Janusza Szubera? I tak, i nie. Ale pomysł zabaw z literami od razu mu się spodobał: „Ja robię w słowach. Litery są dla mnie ważne”. Nie wiem, czy odpowiedziałem na twoje pytanie, to dla mnie zbyt świeże przeżycie. Właściwie tak wewnętrznie to nie wierzę, że Janusz Szuber nie żyje. Co prawda nie dzwonił ostatnio, ale przecież tacy ludzie nie znikają tak po prostu. Gdzieś się pewnie zaczął, wychynie za chwilę zza rogu albo zadzwoni. Jest z nami. Jestem tego pewny.

M.R-B.: Dziękuję Janku. Na pewno jest z nami, jestem o tym przekonana.

J.W.: To dobrze, jest nas więcej. Teraz ja się wzruszyłem.

M.R-B.: Chciałabym poprosić o głos Krystynę Lenkowską, która jest znakomitą poetką, tłumaczką Emily Dickinson. Poetką tego miejsca, tego samego, co Janusz, kawałka świata. Pisała kilka razy o jego twórczości Szubera. Czytałam dziesiąt rano jej piękne wspomnienie o nim¹⁰, polecam je państwu, zawarła w nim także ważne uwagi na temat jego twórczości. Jest też – o czym wspomniałam – wydawczynią pięknego tomu Szubera *Las w lustrach* w serii „Przylaszczka”, z barwnymi reprodukcjami obrazów Henryka Wańka, w przekładach na angielski Ewy Hryniewicz-Yarbrough i Clare Cavanagh. Być może Ewa Hryniewicz-Yarbrough, za twoją to, Krystyno, podpowiedzią zainteresowała się jego poezją, co kilka lat później zaowocowało wydaniem w jej przekładzie amerykańskiego wyboru wierszy Szubera *They Carry a Promise* w znakomitej serii amerykańskiego wydawnictwa. Jak wspominasz Janusza? Czy twoim zdaniem istnieje w polskiej poezji „szkoła Szubera”? Czego ty nauczyłaś się od niego? Co jest dla ciebie jako poetki i czytelniczki istotne w jego poezji?

Krystyna Lenkowska: Na pewno wiele się od niego nauczyłam. Nauczyłam się tego, że należy mieć bardzo wyraźną dykcję. Poeta musi być rozpoznawalny już w pierwszej frazie, w kilku pierwszych frazach. Nasza znajomość zaczęła się od spraw okołoliterackich, byliśmy uczestnikami festiwalu Przemyska Wiosna Poetycka. Jak wspomnieli przedmówcy, Janusz był człowiekiem rozmownym i bardzo przystępnym, od pierwszej rozmowy poczułam, że się zakolegujemy, że jest to ktoś, z kim można usiąść w jego samochodzie po stronie kierowcy (bo on siedział po stronie pasażera) i po prostu gadać. Od razu zagięłam parol towarzyski na Janusza, bo dał mi takie przyzwolenie, nie tylko przyglądałam się jego wierszom, ale postanowiłam je wydać, nie będąc w zasadzie wydawcą, bo co to za wydawca, który wydał w życiu trzy książki. Na promocji drugiego tomu z tego cyklu „Przylaszczka”, w pubie Prohibicja, powiedział Magdo, że wydawanie tak drogich książek to ekscentryczność. Miałś rację, finansowo odplynęliśmy z mężem na tych książkach, nasza naiwność była niezmierna, ponieważ nie mieliśmy żadnej logistyki wydawniczej. Co z tego, że książki były piękne, podziwiane, bibliofilskie, kiedy nie umieliśmy ich sprzedawać, nawet nie mieliśmy czasu się tego nauczyć, będąc szkołą językową pełną parą. Ale bardzo się cieszę, że ta książka Szubera powstała, bo miałam szansę zaprzyjaźnić się z wielkim poetą.

Zgadzam się z Janem Wolskim, że współpraca z Januszem była bardzo specyficzna. On był urodzonym logistą, był niesamowicie precyzyjny. Gdyby życie potoczyło się inaczej, a – jak wiemy – w wierszach często wysnuwał hipotezy: „co by było gdyby” – może zostałby dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa (*śmiech*). Długo pracowaliśmy nad jego książką. Często jeździłam do Sanoka, miał swoje wymagania i oczekiwania. Do książki wybrał wybitne obrazy Henryka Wańka, dzięki czemu poznałam też artystę i do tej pory jesteśmy w kontakcie.

Myślę, że każdy z nas ma takie wrażenie, że przyjaźnił się, a co najmniej kumplował się z Januszem Szuberem. On dawał nam odczuć, że jesteśmy ważni. Ja

¹⁰ Krystyna Lenkowska wspomina Janusza Szubera, https://www.biznesistyl.pl/ludzie/sylwetki/10015_.html.

też miałam takie nicobiektywne wrażenie, że jestem jego przyjaciółką, a w książkach wymienialiśmy dedykacje o przyjaźni. Wiele razy pielgrzymowałam do Sanoka i spotykałam w jego domu ciekawych ludzi. Dzięki temu, że Ewa Yarbrough tłumaczyła wiersze do *Lasu w lustrach*, miałam szansę ją poznać bliżej i do tej pory przyjaźnimy się. Później była też moją tłumaczką. Jeżeli nawet straciłam pieniądze z powodu niewypracowanej logistyki wydawniczej, to tylko w cudzysłowie straciłam, bo zyskałam dużo więcej. Zyskałam fantastyczną znajomość z wybitnym poetą. Byłam też pośredniczką między Ewą a Januszem do końca. Janusz w każdym liście, w każdej rozmowie telefonicznej, pytał mnie o nią, jakbyśmy często przebywały razem, a przecież ona mieszka w Bostonie, a ja w Rzeszowie. Ewa przetłumaczyła wiele jego wierszy na język angielski, przede wszystkim ten pierwszy, który ukazał się w „The New Yorkerze”, co jest bardzo ważne, bo niewielu polskich poetów publikowało w tym słynnym piśmie. Janusz był ogromnie dumny ze swojego świetnego amerykańskiego tomu *They Carry a Promise*¹¹. Kiedy Ewa odwiedzała mnie w Rzeszowie, starałyśmy się jeździć razem do Sanoka. Mam w pamięci wiele prywatnych epizodów z tych naszych wypadów.

Wracając do wierszy Janusza z *Lasu w lustrach*, bardzo mnie ujęły, ale tych, które mnie poruszają, jest znacznie więcej. O jego poezji napisałam trzy recenzje, pierwsza dotyczyła *Czerteży*¹², a potem w tej waszej wspaniałej akademickiej książce poświęconej Januszowi opublikowałam szkic *Pianie kogutów czyli próba Erosa*. Ostatnia dotyczyła jego książki polsko-niemieckiej i ukazała się w „Twórczości”. Rozbierałam Janusza na czynniki pierwsze: rodzinne, tożsamościowe, erotyczne, seksualne i dworowaliśmy potem oboje również z tego. Wspominaliście, że lubił i umiał żartować. Na promocji *Lasu w lustrach*, którą prowadziliśmy z Janem Tulikiem w nicistniejącym już pod tą nazwą pubie Czarny Kot w Rzeszowie, powiedział w pewnym momencie: „Nie wiem, czy państwo wiecie, ale jesteśmy z Krystyną Lenkowską w konkubinacie”. To było bardzo wesołe i smutne zarazem, dowcipne, ale i bardzo wieloznaczne. Janusz miał specyficzne poczucie humoru; nie każdy mógłby tak powiedzieć. W życiowej sytuacji Janusza nie było w tym żadnego podtekstu, jedynie przepastna metafora. Ostatni raz, jak się okazało, odwiedziliśmy go z Waldkiem wracając z Bieszczadów, pod koniec sierpnia. Janusz zadzwonił do mnie pod koniec września lub na początku października, rozmawialiśmy długo, a było to po śmierci mojej mamy. Rozmawialiśmy o śmierci, ale nie tylko, nawet było wesoło.

Chcę powiedzieć o czymś, o czym do tej pory publicznie nie mówiłam. Pewnego razu Janusz odwiedził nas we Wzdowie, na letnim obozie językowym dla młodzieży ze specjalizacją „angielski teatr i film”. Trafił na zajęcia filmowe i na prośbę naszych „filmowców” zgodził się zagrać postać o nazwie „Wariat numer dwa”. Młodzież była przeszczęśliwa, bo mieć wariata na wózku inwalidzkim, który tak wczuł się rolę, to było coś! Odwiedził nas również na obozie survivalowym,

¹¹ Wyd. Alfred. A. Knopf, Nowy Jork 2009.

¹² *Póki czerteże jeszcze w żarze (rzecz o najnowszej książce Janusza Szubera)*, „Nowa Okolica Poetów” 2006, nr 22–23 (3–4).

gdzie otrzymał pamiątkową koszulę, którą dawaliśmy tylko za wybitne zasługi sportowe. Był wówczas wśród nas człowiek, który przepłynął Atlantyk na pontonie, a potem opłynął Przylądek Horn. Arek był pod wielkim wrażeniem poznanego poety i powiedział, że Szuber jest jednym z największych twardzieli, jakich spotkał w życiu. Przeróżnych sportowych koszulek Janusz dostał od nas wiele, z napisami „Challenge”, „YES challenge”, itp. i nosił je z dumą. Jednak kiedy przyjeżdżałam do Sanoka, za każdym razem pytał, czy mam ogórki kiszzone własnej roboty. Jakby na nic tak bardzo nie czekał, jak na te ogórki.

M.R-B.: Dziękuję bardzo, Krystyno. Toczył się także między wami poetycki dialog; napisałaś dedykowany pocie *Epigram*, który jest odpowiedzią na wiersz zamykający *Zródź uliczny*. Poproszę teraz Alicję Jakubowską-Ożóg, która napisała o pocie znakomitą książkę, uhonorowaną stopniem naukowym profesora. To jest bodaj ostatnia książka poświęcona twórczości Janusza, w dodatku to „nasha” książka, wydana we współpracy Wydawnictwa Uniwersytetu Rzeszowskiego i „Frazy”, wyrastająca z prowadzonych przez wielu z nas badań i krytycznych komentarzy do twórczości Janusza Szubera. Alu, jak przyjęłaś ostatni tom Janusza i w jaki sposób spróbowałabyś podsumować tę twórczość? W twojej książce jest wiele interesujących uwag dotyczących formy jego poezji, która wydaje się z pozoru komunikatywna, ale przecież jest w jego poezji niemała grupa „ciemnych wierszy”, są też te wiersze bliskie prozie. Kiedy powracam do jego dorobku, często myślę, że trzeba mieć naprawdę dobry pomysł na interpretację wielu jego wierszy i dużo wiedzieć o tajnikach poetyckiego warsztatu. Wydaje się, że Szubera pociągały poszukiwania „formy bardziej pojemnej”, poszerzania i przekraczania granic poezji w różnych kierunkach. Jak wspominasz Alu swoje spotkanie z Januszem Szuberem i jego twórczością, jak doszło do tego, że to jego twórczość uczyniłaś tematem swej ważnej, bo profesorskiej książki?

Alicja Jakubowska-Ożóg: Wysłuchałam z zainteresowaniem państwa wspomnień, bowiem dotyczą osoby, która wszystkich nas łączy i to jest niesamowite. Dlaczego Janusz? Pewnie dlatego, że za każdym razem, kiedy się czyta jego wiersze, odlatania się coś innego. Po prostu Szuber wodzi swoimi wierszami, uwodzi i czasem zwozdi na manowce. Chyba każdy miał okazję tego doświadczyć, że bywa trudno i że to nie jest taka poezja, którą da się przeczytać i zrozumieć od razu. Ciągłe znajduję w niej coś ciekawego. Wydaje mi się, że tomik, który wydał we „Frazie” Janek, o czym państwo już wspomnieliście, ma taki właśnie rys podsumowujący – osiem wierszy, które łączy nadrzędny temat – życie. Ja go tak właśnie odbieram, sam układ tych wierszy, ich zakresy tematyczne – bo one pięknie układają się w cykl o życiu, a trochę „o sobie samym dla potomności”. Są w nich wszystkie najważniejsze zakresy tematyczne ważne dla poety – wspomnienia od najwcześniejszego dzieciństwa, młodość, wspomnienia o nieobecnych, po tę kodę, którą jest ostatni, zamykający tomik wiersz (ósmym) *Epigram*. W tych wierszach jest wszystko: i trudny czas dojrzewania, choroba, młodość w rodzinnym mieście, subtelna erotyka (*Początek pory deszczowej*), która mnie u Janusza najbardziej ujmuje. Tak odbieram

te wiersze, wydaje mi się jednak, że one za każdym razem będą znaczyć nieco więcej, w zależności od tego, jaką perspektywę przyjmimy. Czy po prostu będziemy analizować poszczególne utwory, czy będziemy je ustawiać w określonym porządku czasowym i tematycznym.

Moje wspomnienia związane z Januszem to przede wszystkim niezwykle doświadczenie, że autor, o którym napisało się tekst, dzwoni i za niego dziękuje. To jest ewenement i sytuacja, która urzekała mnie za każdym razem. Autor, który pyta o to, dlaczego tak to widzę, a nie inaczej albo po prostu spiera się z moją interpretacją, zadaje pytania, podpowiada pewne rozwiązania. Mówiliście państwo o Januszu jako człowieku towarzyskim. Na rzeszowskiej sesji poświęconej Szuberowi pierwszy określił to tak wyraźnie profesor Łukasiewicz, ale myślę, że każdy z nas tej „towarzystości” doświadczał. A *Zdrój uliczny* rzeczywiście robi wrażenie w kontekście niespodziewanej śmierci Janusza, która wciąż jest trudna do przyjęcia. Jego wiersze, jak każda dobra poezja, pozwalają się czytać ciągle od nowa, odsłaniają znaczenia i sensy wcześniej niezauważone, pomijane w analitycznym oglądzie. Cały czas mam wrażenie, że kiedy otworzy się jakikolwiek jego tomik, pierwszy, który jest pod ręką, to trafia się na wiersz, który na nowo intryguje, a to, co wydawało się poprzednio oczywiste, zaczyna grać dodatkowymi znaczeniami. To jest cecha tej poezji ważna dla każdego, kto czyta i analizuje teksty poety. Wodzi Szuber za nos i czasem wywodzi na interpretacyjne manowce, przynajmniej mnie.

M.R.-B.: Dziękuję bardzo. Pójdziemy zaproponowanym przez Alicję tropem, skupiając się na twórczości Janusza, ale siłą rzeczy nadal będziemy też mówić o nim. Ten aspekt biograficzny jego twórczości zawsze był bardzo silny. Poproszę teraz o głos Jolantę Pasterką, znawczynię literatury emigracyjnej i współczesnej prozy. To ona w 2007 roku była pomysłodawczynią konferencji jubileuszowej w sześćdziesiąte urodziny Janusza Szubera, z której wyłoniła się monografia *Poeta czulej pamięci*. Jolanta i Janusz Pastersey włożyli wiele uwagi i pracy w jej powstanie. Jak wspominasz Jolu swoje spotkanie z poezją Janusza Szubera? Zadaję to pytanie tym bardziej, że przecież poezja nie jest pierwszoplanowym obszarem twoich badań, a pisałaś o twórczości Janusza i zaangażowałaś się w projekt spotkania z nim na naszym uniwersytecie? Jak ty czytasz *Zdrój uliczny*?

Jolanta Pasterka: W obliczu faktu śmierci Janusza Szubera chciałoby się zapytać za poetą, parafrazując tytuł jego liryku: „Czemu? No, właśnie”. Wiersz ten otwiera tom *Zdrój uliczny*, jest swego rodzaju opowieścią liryczną o pochodzeniu poety, doprowadzoną do chwili jego przyjścia na świat. Dziś na tym spotkaniu odczytywać możemy go jako kodę zamykającą biografię poety, ale też jako nieczgodę na fakt jego odejścia zamknięty w niemym pytaniu „czemu”? Janusza poznałam osobiście przy okazji naszej konferencji *Poeta czulej pamięci*. Później tych spotkań było bardzo dużo. Przyjeżdżaliśmy, a właściwie pielgrzymowaliśmy do sanockiego barda z naszymi przyjaciółmi: Florianem Śmieją, Andrzejem Buszą, Romkiem Sabo. Janusz był bardzo gościnny, ciekaw swoich kolegów po piórze, otwarty na ich twórczość. Dyskusjom (nie tylko literackim) nie było końca.

Jednak najbardziej utkwiła mi w pamięci pierwsza wizyta u Janusza, kiedy pojechaliśmy wręczyć mu księgę jubileuszową, owoc wspomnianej konferencji. To było bardzo prywatne, wręcz intymne spotkanie: Janusz oprowadzał nas po swoim domu, odsłaniał zakamarki, opowiadał dykteryjki o niemal każdej domowej pamiętce. Moją uwagę zwróciła wówczas uważność, z jaką opisywał przedmioty. Pamiętam obrazy, które nam objaśniał, opowiadał ich historię, pamiętam uszeregowanie zdjęć, które stały u niego na komodzie. O każdej rzeczy, drobiazgu snuł piękną, wciągającą opowieść. Potrafił budować zajmującą narrację, dobierać konteksty historyczne, kulturowe, biograficzne, a wszystko okraszał świetnym stylem, anegdotą, humorem. Dlatego cały czas czekałam na to, że Janusz Szuber stworzy dzieło epickie. Niestety, tak się już nie stanie. Ale ten charakterystyczny rys, o którym tu mówię, odnajduję też w jego tomikach, także w *Zdroju ulicznym*, gdzie dość wyraźnie wyczuwa się jego skupienie na przedmiocie.

Trzeba powiedzieć, że nie jest to zwykle skupienie, a właśnie uważność, koncentracja, która leży u podstaw kreowania Szuberowego świata poetyckiego. Sądzę, że to ważny zabieg, gdyż przez detal poeta opowiada nie tylko świat, ale i siebie. Dobór tych drobiazgów, rzeczy, przedmiotów nie jest przypadkowy, to nie jest gromadzenie, ale wybieranie z rozmysłem¹³. Są to przedmioty, które łączy z poetą szczególna więź. Odcisnął na nich swój ślad, dotknął ich, a one stały się częścią jego życia, jego historii, więc w pewien sposób zaświadczały o jego istnieniu. Poprzez te przedmioty możemy w *Zdroju ulicznym* lepiej poznać/zrozumieć Janusza Szubera. Ten tomik poetycki jest także swego rodzaju mapowaniem miejsca. To zajmująca wędrówka po Sanoku wyznaczona topograficznym i poetyckim zapisem miejsca, a więc tam gdzie się poeta urodził, gdzie dorastał, gdzie był. Narrator zabiera czytelnika w fantastyczną podróż po zakamarkach i zaułkach miasta. Ekskursja wiedzie również w jego przeszłość, w historię. Dlatego jestem przekonana, że także dla kogoś, kto interesuje się tylko prozą, jest w twórczości Szubera duża przestrzeń do interpretacji.

Właśnie na detal, przedmiot obecny w jego poezji, zwrócili uwagę pracownicy Wydziału Sztuki. Warto bowiem wspomnieć, że konferencji poświęconej twórczości Janusza towarzyszyła wystawa pt. *Światło pamięci*. Były to niezwykle inspirujące dzieła, część z nich została opublikowana w jubileuszowej monografii dedykowanej poecie. Przypominają mi się choćby obrazy Krzysztofa Neuberga – *Perfectum I* i *Perfectum II*, na których uwagę odbiorcy przykuwają guziki i lampa. Umieszczone w centralnym miejscu rzeczy, umiejętnie doświetlone, świetnie oddawały charakter tej poezji. Minęło dziesięć lat i w 2018 roku przygotowaliśmy konferencję „Podkarpacie literackie”. Z tej okazji zorganizowaliśmy wystawę zatytułowaną *Pejzaże pamięci*. Studenci Wydziału Sztuki właśnie poezji Janusza Szubera poświęcili kilka ciekawych prac, których głównym tematem była rzecz. To

¹³ Szerzej o tym m.in. Wojciech Ligęza, *Rzeczy i opowieści. O poezji Janusza Szubera* [w:] *Poeta czulej pamięci...* s. 188–209.

było niesamowite przeżycie obserwować, jak pod pędzlem, rysikiem czy ołówkiem Szuberowe przedmioty ożywają, jak powiększa się to międzypokoleniowe „studium przedmiotu”. Niesamowite jest również to, że obie te wystawy przygotowywała, ich kuratorką była Marlena Makiel-Hędrzak, przyjaciółka Janusza, admiratorka jego poezji, która, niestety, prawie rok temu od nas odeszła. Twórczość tych dwojga artystów stanowi dla mnie niezwykle ciekawy splot inspiracji poetyckich i malarskich, jest dowodem owej uważności, wrażliwości, tego wyczulenia na detal, który będzie trwał i będzie inspirował także młodych adeptów sztuki i młodych adeptów pióra.

M.R-B.: Dziękuję bardzo Jolu, także za inspirację. Mówisz o oczekiwaniu na niepowstałą powieść czy też zbiór opowiadań Szubera, ale zamiast nich mamy w jego poezji powieść w wierszach. Jest w nich zawarta opowieść, która snuje się przez całą jego poezję, pojawia się w rozmaitych wariantach i epizodach, niekiedy ze sobą powiązanych i dialogujących, pączkujących. Ale mamy także w dorobku Janusza *Mojność*, czyli próbę opowiedzenia o Sanoku krótkimi narracjami z pogranicza prozy i poezji. Dziękuję też za przypomnienie tak bliskiej nam wszystkim Marleny. Nie sposób mówić o Januszu bez wspomnienia Marleny, która zorganizowała trzy wystawy zainspirowane jego twórczością (bo między tymi dwoma wspomnianymi przez Jolę była jeszcze wystawa prac rysunkowych studentów i artystów z kręgu Wydziału Sztuki UR, interpretujących tomik *19 wierszy*). Marlena powracała do wierszy Szubera, były inspiracją jej prac (rysunki do wierszy stanowiły ważny element jej ostatniej za życia wystawy zatytułowanej *PreTeksty* – niedawno pięknie udokumentowanej albumem pod tym tytułem, również przygotowanym przez Janka Wolskiego). Potrafiła zaszczepić swoim studentkom i studentom fascynację poetyckim słowem. Zwrócę się teraz do wywołanej już wcześniej Anny Hanus, jedynej w naszym gronie reprezentantki niemałego grona tłumaczek i tłumaczy Janusza Szubera, popularyzatorów jego poezji w świecie. Z Ruth Büttner przetłumaczyłaś wybór jego wierszy, wydany pod tytułem *Esej o niewinności* na język niemiecki. Co to była za przygoda, jak się tłumaczy jego poezję, skąd wziął się pomysł na przekład, wreszcie jak książka ta została przyjęta w kręgu czytelników niemieckojęzycznych, bo o tym niewiele wiemy?

Anna Hanus: Cieszę się, że mogę podzielić się z państwem moimi przeżyciami i wspomnieniami związanymi z bohaterem naszego spotkania. Na początku krótko powiem, że o pozdrowienie wszystkich państwa prosi także dr Ruth Büttner-Maloszek, współautorka przekładu i pomysłu wydania galicyjskich wierszy Janusza Szubera. Ruth w latach 2009–2016 pracowała na Uniwersytecie Rzeszowskim, oddelegowana przez Niemiecką Agencję Wymiany Akademickiej (DAAD). To właśnie jedno z naszych wspólnych przedsięwzięć zaprowadziło nas do Janusza Szubera. Ponieważ nie udało jej się z przyczyn technicznych dołączyć do nas, prosiła mnie o odczytanie kilku zdań, które właśnie przesłała, zrobię to na końcu, a teraz opowiem, jak doszło do naszego spotkania z Januszem Szuberem. Miało to miejsce w 2013 roku, kiedy wspólnie pracowałyśmy nad projektem „Galicja jako przestrzeń kultury i pamięci / Galizienals Kultur- und Gedächtnislandschaft”. Był to

projekt naukowy, połączony z tzw. szkołą letnią dla zainteresowanych doktorantów i studentów niemieckich uczelni, podczas którego ci niezwykle zdolni młodzi ludzie mogli prowadzić badania na temat wybranych zagadnień dotyczących Galicji, a ich wyniki zaprezentować na wieńczącej przedsięwzięcie konferencji. Projekt obejmował ponadto spotkania z wybitnymi naukowcami i twórcami kultury związanymi z regionem. Nie sposób było więc pominąć literatów. Myślałyśmy o dwóch osobach. Rozważałyśmy spotkanie autorskie z Andrzejem Stasiukiem, bowiem to poeta, którą wielu czytelników niemieckojęzycznych kojarzy z Galicją. Ostatecznie wybór padł jednak na Janusza Szubera, kogoś, kto jest nam jeszcze bliższy, bo przecież sanoczanin, związany rodzinnie od pokoleń z obszarem i tradycją dawnej Galicji, zakotwiczony w jej tematyce, a jego poezja, jeszcze nie tak bardzo znana w krajach niemieckojęzycznych, warta była zaprezentowania niemieckojęzycznej publiczności. Zaproponowałyśmy poecie warsztaty literackie dla studentów, na które ochocho przystał. Jednak nie mogły się one odbyć bez prac poety w języku niemieckim. Wybór i przygotowanie przekładu wierszy Janusza Szubera w ciągu niespełna pięciu miesięcy okazały się dla nas niemałym wyzwaniem, gdyż przekład wymaga czasu i skupienia. Konsultowałyśmy wiele różnych rozwiązań tłumaczeniowych z poetą. Wtedy też udało nam się poznać go osobiście, zaprosił nas do Sanoka i oprowadził po swoim mieszkaniu. Zainteresowało go bardzo, skąd wziął się nasz pomysł i dla czego wybrałyśmy jego wiersze. Kiedy powstały przekłady, uczestnicy projektu zachwycili się poezją sanoczanina i to oni zauważyli, że kilka wierszy nie wystarczy dla dobrego poznania poety i że warto tę poezję opublikować w języku niemieckim. Zachęczone tymi słowami, a także przychylnością naszych koleżanek i kolegów polonistów i germanistów, wydałyśmy wiosną 2015 roku nasz pierwszy tomik przekładów wierszy Janusza Szubera, *Esej o niewinności*. Jest to tomik dwujęzyczny, który ukazał się równolegle we Wrocławiu i w Dreźnie. W niemieckim tłumaczeniu nosi tytuł *Essay über die Unschuld*, a jego tematyka dotyczy przede wszystkim Galicji jako krainy historycznej. Niecodziennymi bohaterami wybranych przez nas utworów są, podobnie jak wspominała profesor Jolanta Pasterska, przedmioty, często bardzo prozaiczne, nierzadko zapomniane już dziś sprzęty domowe przełomu XIX i XX wieku, które Janusz Szuber wydobywa, o których pamiętać koniecznie chce ocalić. Są też i inne motywy: galicyjskie społeczeństwo i jego codzienne życie, ukazane na przykładach prawdziwych historii przodków poety, a także Galicja jako kraina, której śladów nie sposób odnaleźć już na współczesnych mapach, czy liczne wątki związane z monarchią habsburską. Jako przykłady podajmy tu chociażby *Kolej transversalną* czy *Notatki o pannie Teodozji*. To są historie i zdarzenia, w których my, jako tłumaczki, zaznajomione z kulturą niemieckojęzyczną, bardzo dobrze się poczułyśmy. Tym bardziej, że czasy i epoka opisywane przez Janusza Szubera zdają się być bliższe naszym sercom niż zabiegana i stechnizowana współczesność.

Zauroczone magią poezji i możliwościami, jakie daje tłumaczowi przygoda przekładu, nie poprzestałyśmy na tym jednym tomie. Powstał też drugi projekt, a skoro już nadarza się okazja, wspomnę jeszcze krótko i o nim. Projekt, którego losy

z zainteresowaniem śledził Janusz Szuber, niestety, nie został zrealizowany przed jego śmiercią. Poeta dzwonił do mnie jeszcze w październiku trzykrotnie, pytał, jak toczą się jego losy, czy prace zostały już zakończone, miał nadzieję, że może uda nam się zdążyć na jego urodziny. Poprosił mnie też jeszcze o zamówienie w wydawnictwie Atut kilku tomików *Eseju o niewinności*, który właśnie został wznowiony. Ten drugi projekt także w dużej mierze wiąże się z Januszem Szuberem, bo właśnie on bardzo pomógł w jego ostatecznej krystalizacji, pośredniczył w kontakcie z niektórymi poetami, których wiersze przetłumaczyliśmy, niektórych sam nam zaproponował. Myślę, że nie zdradzę zbyt wiele, jeśli powiem, że owym przedsięwzięciem jest przygotowywana jeszcze antologia współczesnej polskiej poezji, zawierająca wybrane utwory poetów współcześnie żyjących. Niestety, nie wszyscy poeci doczekali ukończenia prac nad tomem. Do tego grona, obok Julii Hartwig i Leszka Moczulskiego dołączył niestety także Janusz Szuber. Z początkiem nowego roku, mamy nadzieję, ukaże się wspomniana antologia – *Na ulicach wyobrażeń. 122 wiersze polskie / Auf den Straßen des Imaginären. 122 Polnische Gedichte*, do której Janusz dołożył swoich siedem wierszy. Nasz nowy projekt jest prowadzony w swego rodzaju tłumaczeniowej kooperacji. Wypada zatem wymienić wszystkich jej uczestników, a zatem, obok Ruth także panią dr Marlis Lami z Wiednia/Krakowa, która do nas dołączyła, oraz panią prof. Zofię Bilut-Homplewicz, która, już kiedy powstawał *Esej o niewinności*, wspomagała nas radą i żywym zainteresowaniem. Jest to rodzaj kooperacji zespołowej tłumaczy, mały eksperyment, pokazujący, jak cztery osoby zanurzone w dwóch kulturach tłumaczą poezję. Mamy nadzieję, że ta formuła się sprawdzi.

Chciałabym teraz odczytać kilka słów od Ruth, napisała je po polsku: „Bardzo cieszę się, że powstał nasz tomik poezji Szubera w przekładzie na język niemiecki. Ja nadal jestem pod wrażeniem naszego spotkania z mistrzem poezji, który, jak warto tu zaznaczyć, bardzo się interesował pochodzeniem pani Hanus, jej historią i przodkami. Chciał jak najwięcej dowiedzieć się o historii jej rodziny. To pokazuje jego wielkie zainteresowanie losami ludzi z tego regionu. Poza tym ma on piękne niemieckie nazwisko Szuber, wskazujące na rodzinę ojca poety, która przybyła w te strony około 500 lat temu. Właśnie tygiel narodowości w tzw. *Waldkarpaten* fascynuje nas Niemców, a szczególnie mnie. Bardzo jest mi przykro, że nie mogę być z dziś Państwem i życzę Państwu żywych wspomnień o tym fascynującym poecie. Dziękuję”. Wzruszające i piękne te wspomnienia i życzenia. Dziękuję Ci Ruth.

M.R-B.: Dziękuję pięknie Anno i bardzo proszę o przekazanie naszych pozdrowień i podziękowań dr Ruth Büttner-Maloszek za przypomnienie arcyważnego wątku twórczości Janusza Szubera, którego do tej pory nie podejmowaliśmy. Przypomniałaś wielokulturowe dziedzictwo, które jest tak wyraźne w historii rodziny Janusza, ale też zaznacza się w jego tropieniu i odnotowywaniu obecności w jego małej ojczyźnie i rodzinnym mieście różnych nacji, religii, języków, które wytworzyły przez wieki unikalną kulturę tego miejsca. To jest także element, na który on sam zwraca uwagę, czytając – np. że ktoś pochodzi z Sanoka i Karpat albo ma stąd

przodków i, choć urodził się w Ameryce, to poniekąd, według Szubera, nadal jest stąd – jak malarz Andy Warhol czy muzyk rockowy Tuli Kupferberg.

A.H.: Tłumacząc jego wiersze, miałyśmy cały czas wrażenie, że Sanok jest centrum Galicji.

M.R.-B.: Sanok to taka mała Jerozolima dla mieszkających tu nacji. Tak go też w swojej poezji kreował Janusz, wzmacniając „szkołę sanocką” w polskiej (i nie tylko polskiej) literaturze i sztuce. To zagadnienie prowadzi w stronę naszego gościa z Krakowa, rodem z Sanoka, doktora Jana Burnatowskiego. Jest pan z nami dzisiaj ze wskazania nieobecnej Małgorzaty Sienkiewicz-Woskowicz. Znamy się jednak od dawna, drukował pan przed laty we „Frazie” teksty związane z osobą Mariana Pankowskiego, ale od Małgorzaty się dowiedziałam, że przymierza się pan do książki o Januszu Szuberze i często spotykał się pan z nim w ostatnim okresie. Mamy wśród nas doktora Wojciecha Maryjkę – obaj panowie reprezentujecie młodsze pokolenie czytelników i badaczy twórczości Szubera. Wspominam z nostalgią, że kiedy poeta debiutował, byliśmy w państwa wieku. Teraz w panach jest nadzieja na jego trwanie w polskiej kulturze. Czym ten poeta może zainteresować młodsze i kolejne pokolenia miłośników poezji? Dodam, że Jan Burnatowski, oprócz tego, że napisał pracę doktorską o twórczości Mariana Pankowskiego, który był przyjacielem Janusza Szubera, jest również sekretarzem redakcji krakowskiego pisma „Czas Literatury”. Będę wdzięczna także za pana słowo komentarza do *Zdroju ulicznego*, jestem bardzo ciekawa lektury wyrastającej z innych nieco niż dotąd opowiadane doświadczeń.

Jan Burnatowski: Bardzo dziękuję za zaproszenie, kłaniam się państwu nisko. Wiele z tych spraw, które zostały dziś zarysowane, wydaje mi się szalenie istotnych. Pozwolę sobie dołożyć skromny apendyks. Nie pozwoliłbym o sobie mówić jako o przyjacielem Janusza Szubera, bo to wielka kwalifikacja. Zналиśmy się dość krótko, zaledwie dwa lata, ale myślę, że będzie to dłuższa znajomość, teraz już w innej, niematerialnej lub mniej materialnej formie kontynuowana. Spotykaliśmy się dość często dzięki Małgosi Sienkiewicz, która po raz drugi skojarzyła mnie z Januszem, bowiem pierwszą osobą, która zwróciła na niego moją uwagę była pani profesor Krystyna Latawiec, promotorka mojej rozprawy doktorskiej. I tak nasze losy zaczęły się splatać. Muszę szczerze przyznać, że gdy byłem sanoczaninem i Sanok opuszczałem rzadko, o Januszu Szuberze słyszałem niewiele, prawie nic. Ta sytuacja uległa zmianie dopiero u schyłku trzeciej dekady mojego życia i wtedy zacząłem zbliżać się pod adres Rynek 14/1. Po tym wprowadzeniu przez Małgosię, której jestem za to dożgonnie wdzięczny, zacząłem do Janusza regularnie przyjeżdżać, w pewnych odstępach czasu, w zależności od tego, jak pozwalał mi czas, a jemu zdrowie. Mieliśmy taki duży plan, na który on się wspinałomyślnie zgodził, aby przygotować coś na kształt wywiadu rzeki dla jednego z największych wydawnictw, z którym Janusz kolaborował od dłuższego czasu. I tak przyjeżdżałem do Sanoka, odwiedzając rodzinę, ale też pielgrzymując ulicą Cerkiewną pod Rynek 14/1. Spotykaliśmy się u niego i miałem tę przyjemność, że

nagrywałem nasze rozmowy, zatem głos Janusza jest ze mną blisko, w zasadzie na wyciągnięcie ręki. Dużo większą przyjemność i szczęście miał mój kolega Łukasz Sabat, muzyk, który skomponował płytę wspólnie z Januszem. Janusz czyta swoje wiersze i to jest piękny zapis tego niesamowitego Szuberowego głosu, bardzo aktorskiego, o wspaniałej dykcji, bardzo dziś rzadkiej wymowie, do muzyki, która bardzo koreluje z poezją Janusza.

Spotykaliśmy się, Janusz opowiadał, ja słuchałem, to się nagrywało. Zaczęłem odkrywać w nim tego człowieka, którego państwo przedstawiłście wieloma pociągnięciami różnej twardości ołówka – człowieka towarzyskiego, człowieka głęboko mądrego, ale nigdy nie mędrkującego, człowieka szalenie zabawnego, bardzo otwartego na to, co ktoś młodszy i ułomniejszy intelektualnie ma mu do zaoferowania. Był żywo zainteresowany tym, co ja mówiłem, w co początkowo nie wierzyłem. W tak zwanym międzyczasie Janusz napisał wiersz *Był wtedy jeszcze*, który państwo pewnie doskonale znacie. To jest wiersz szczególnie mi bliski, bo przyszpila moment fundamentalnej zmiany w człowieku, obserwuje – ledwie przecież zauważalny – moment postępów ciemności, uzyskiwania bolesnej świadomości egzystencji. Zresztą, Janusz zamknął w nim jeden ze swoich przeklętych tematów: pożegnanie dzieciństwa, które najpewniej postrzegał w kategoriach złotego wieku, przecież nieobarczonego jeszcze przecuciem kresu, a wzmocnionego przeświadczeniem o naszym ludzkim długim trwaniu, które kończy się wraz z rozwojem naszej samowiedzy, wraz z nabywaniem świadomości (wzruszający jest ten incipit z Ciorana do wiersza *Esej o niewinności*: „Wszystkie istoty godne są litości z racji samego faktu, że żyją”). Wtedy oczywiście z Januszem telefonicznie komentowałem ten wiersz, który miał się ukazać na łamach „Czasu Literatury”. Przede wszystkim – jak go zaprezentować? Dla redakcji portret Szubera przygotowała Agata Dębicka, myśmy dali jedną stronę na ten jego wizerunek, a na stronie obok wydrukowaliśmy jego wiersz. Od czytelników odebraliśmy kilka sygnałów, że była to bardzo ładna prezentacja nowego wiersza poety.

Pyta pani o to, czy Janusz może być czytany przez ludzi w moim wieku lub młodszych. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, dlatego że jest ono trudne i nie pozwoliłbym sobie na daleko idące wnioski. Myślę jednak, że wskazówek może dostarczać sama poezja Janusza, a myślę o jej uniwersalizmie. Polega on między innymi na tym, co kiedyś profesor Łukasiewicz określił mianem kondycji mieszańca. To znaczy, że bohaterowie Szubera lub bohater Szubera – zależy, z której perspektywy na ten problem spojrzeć – są mieszańcami albo on jest mieszańcem. To wielkie dobrodziejstwo, które niesie poezja Janusza – to nie jest przegadana, opisana kondycja ludzka. Ona jest mniej stematyzowana, położona gdzieś w tle, ale wydaje mi się na tyle mocno obecna, że w istotny sposób oddająca kształt rzeczywistości. Kim jesteśmy? Skąd i z czym przychodzimy? Dokąd zmierzamy? Można zadać w tym miejscu inne pytanie o to, czym jest ta rzeczywistość, w której funkcjonujemy – tutaj odwołałabym się do uwagi Antoniego Libery, który mówił o twórczości Janusza Szubera jako powidoku. To, co ujawnia się w wierszach Janusza, to, co jest

w nich obecne, to są rzeczy pozbawione twardego statusu ontologicznego. Jeżeli miałbym ujawnić jakąś osobistą perspektywę – podejmowana przez niego w wielu utworach kwestia niematerialnej obecności ludzi, spraw, przedmiotów, myśli, pamięci, tożsamości i wyobrażania sobie samego siebie, czyli świadomości – jest mi bardzo bliska. Bo przecież uporczywie współistnieją w nas różne „równoległości”, „różnoczasowości”, współtworzące nas, istniejące w taki sposób, w jaki pamiętamy zapachy...

Inną bliską sprawą, która porusza we mnie struny ogólnohumanistycznych zainteresowań, jeśli użyć takiego wielkiego słowa, jest kwestia afirmatywnego tonu, który kryje się w tych wierszach gdzieś w tle, bo nie jest przecież taki oczywisty. Pan Andrzej Busza mówił o czymś takim w twórczości Szubera, jak miłość do rzeczywistości. Wydaje mi się, że dotyka tu czegoś niezwykle istotnego. Pozwolę sobie wrócić do jednego z wierszy, który Janusz Szuber umieścił w tomie wydanym przez wydawnictwo Znak, czyli *Pianiu kogutów*. Ten wiersz ma bardzo podobne przesłanie, co esej Giorgia Agambena, w którym filozof mówi o tym, czego można nie móc, czyli o granicach naszych możliwości, o wygaszeniu oczekiwań, zredukowaniu ambicji do punktu zerowego, do tego, że jesteśmy, jeszcze jesteśmy. I ta świadomość jest jakoś oswabdzająca. Esaj Agambena jest afirmatywny w tonie, tylko że autor robi to we właściwy sobie trudny, teoretyczny sposób. A Janusz te prawdy wyklada wprost i dotyka czegoś twardego, co nazywamy egzystencją. Pozwolę sobie odczytać ten krótki wiersz. Mam nadzieję, że Janusz nie będzie się zżymał na moją dykcję:

O, tak

Mogłeś. O tak, przecież wiele *mogłeś.*
I choć tyle zostało ci odjęte, jednak *mogłeś.*
I to właśnie się liczy, że *mogłeś.*
Mimo że potem zostało ci odjęte.
I ta twoja błogosławiona niewiedza,
Kiedy jeszcze *mogłeś*, niczego nie przeczuwając,
I potem, krok po kroku, kiedy przestawałeś móc.
Więc teraz, mimo wszystko, chwal, tak, bądź wdzięczny,
ułoż hymn.

Za to mu jestem szczególnie wdzięczny, za ten rodzaj nadziei, która nie jest oparta na tanim mędrkowaniu, tylko na uchwyceniu spraw fundamentalnych w trybie afirmatywnym. Chciałbym podkreślić, że macie państwo wspaniałe zasługi dla kultywowania przyszłej pamięci o Januszu, jako ośrodek rzeszowski, nie tylko jako pracownicy akademicy, ale także akolici. W dobrym sensie tego słowa wykonalicie już i wykonujecie państwo wspaniałą pracę nie tylko na rzecz poezji Janusza, ale także pamięci o nim. To jest ważna sprawa. Wiem również, że po tej fatalnej wieści, która napłynęła z Leska 1 listopada 2020 roku, w kilku miejscach

w Polsce trwa wyraźne ożywienie, mające na celu ułożenie pewnych książek, które były odkładane *ad acta*, a teraz wyraźnie przyspieszyły. Jest duża szansa na to, że jedno z krakowskich wydawnictw wyda wybór poezji Janusza Szubera; pracujemy teraz nad tym. Ta poezja cyrkuluje, krąży, wiem, że jest ważna również dla młodych poetów i mam taką nadzieję, że jako człowiek aspirujący do roli redaktora, bo trudno mi porównywać się do obecnych tu osób z tak wielkim doświadczeniem, mogę powiedzieć, że istnieje duża szansa na to, że jedna z czołowych polskich poetek, niezwykle ciekawa, napisze bardzo osobistą, prywatną impresję dotyczącą jej związków z wierszami Janusza. Tu postawiłbym kropkę albo średnik, zachęcam państwa do śledzenia informacji i zapowiadam, że wokół Janusza jeszcze nie wszystko się wydarzyło, a wiele się wydarzy. Bardzo dziękuję.

M.R-B.: Bardzo dziękuję, panie Janie. Już rozumiem, dlaczego Małgorzata pana tak rekomendowała, bo rzeczywiście pan reprezentuje przyszłość szuberologii, przede wszystkim nadzieję na powstanie tomu rozmów z Januszem, który w pewien sposób zastąpi tę nienapisaną lub napisaną tylko fragmentarycznie w wierszach, wysnutą z jego opowieści „powieść”. Także nadzieję na to, że będziemy dalej z nim obcować i czekać na jego nieznanne dzieło. Jestem za to wdzięczna, bardzo na tę książkę czekam i dziękuję panu za wspomnienia i refleksje. Wspomniany przez pana Łukasz Sabat i jego muzyczne interpretacje poezji Janusza Szubera prowadzą nas do Wojciecha Maryjki, rzeszowskiego reprezentanta młodszego pokolenia badaczy zainteresowanych jego twórczością. Czy mogę pana prosić o przedstawienie pana spotkania z Januszem Szuberem? To pan przyniósł mi płytę Łukasza Sabata i dziś przypominałam sobie kilka jego utworów zainspirowanych poezją Szubera, które można znaleźć w sieci. To ciekawa przygoda, kiedy współczesna alternatywna muzyka rockowa spotyka się z poezją, która przecież nie zawsze jest pieśniowa i regularna, a bywa – jak to się dzieje w utworach zinterpretowanych przez Łukasza Sabata – wierszem wolnym.

Wojciech Maryjka: Wsłuchiwałem się w państwa wypowiedzi i cieszę się, że mogłem zobaczyć osoby, o których słyszałem, a których nie miałem okazji nigdy poznać. Spróbuję opowiedzieć państwu o kilku aspektach mojego spotkania z Januszem Szuberem i jego twórczością. Przypominam sobie pierwsze z nim spotkanie, kiedy studiowałem jeszcze w PWSZ w Przemyślu i którejś wiosny, to chyba był rok 2004, nasi opiekunowie, Andrzej Juszczyk i Agnieszka Klubka, postawili przed studentami I roku polonistyki dość trudne zadanie. Mieliśmy przy Pałacu Lubomirskich animować spotkanie z poetami, którzy tam przybyli na festiwal Przemyska Wiosna Poetycka. Pamiętam, że była na nim chociażby pani Krystyna Lenkowska, której zadałem pytanie o Arthura Rimbauda. I był Janusz Szuber. W czasach nieinternetowych przygotowaliśmy się, jak tylko mogliśmy. W przemyskim antykwariacie zakupiłem sobie przygotowaną przez Romana Honeta i Mariusza Czyżowskiego *Antologię nowej poezji polskiej 1990–2000*, którą mam do dzisiaj. Pozaznaczałem w niej wtedy nazwiska poetów, którzy uczestniczyli w spotkaniu, także Janusza Szubera. W tej antologii znajduje się jego utwór *Jak kopczyk spalonego ryżu* – wiersz o fascynacji miłosnej, z aluzją do *Pieśni nad pieśniami*, ale też o trudnym doświadczeniu spotkania bliskich sobie ludzi po latach. Kobieta, z którą

bohater przeżywał w młodości miłosną przygodę, z czasem została zepchnięta na marginesie społeczeństwa. Pomyślałem wtedy, że zadam Szuberowi pytanie o ten wiersz. Natomiast kiedy go zobaczyłem podczas konferencji – odbywało się wówczas spotkanie poświęcone Rimbaudowi i wypowiadało się wiele osób – poczułem się onieśmielony, zrezygnowałem. Niewiele wtedy z tego rozumiałem. Czas był studencko intensywny, bardziej „Wojaczkowy”. Pamiętam jednak słowa prof. Juszczyka, który wskazał na Szubera i powiedział: „Popatrzcie, to jest poeta”. Przyszło mi spotkać się z jego poezją później na Uniwersytecie Rzeszowskim, podczas konferencji, którą doskonale pamiętam.

W ostatnich latach Szuber wrócił do mnie intensywniej. Na przełomie 2018 i 2019 roku miałem do tego okazję dzięki wywołanemu już Łukaszowi Sabatowi, który zainteresował się twórczością Szubera. Na płycie zespołu Insza, którą Łukasz nagrał z Wojciechem Inglotem, pojawiła się muzyczna i wokalna interpretacja *Geometrii* Szubera. Później Łukasz zdecydował się na projekt z Januszem Szuberem, nagrał jego autorskie interpretacje wierszy, a następnie spróbował skomponować do nich muzykę. Efektem tego spotkania stała się płyta *W centrum źrenicy*. Zawiera osiemnaście utworów, które wspólnie nagrali. Miałem okazję uczestniczyć troszeczkę w procesie jej powstawania, Łukasz podsyłał mi wieczorami gotowe materiały albo próbki materiałów. Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że mam dzięki temu doświadczenie niewygasłego głosu Szubera, za każdym razem, gdy czytam jego wiersze. To było bardzo intensywne muzycznie doświadczenie, przyzwyczajenie do świetnej dykcji, która idealnie nadaje się do tego, by dołożyć do niej muzykę. Dało to, o czym wspomniał mój przedmówca, naprawdę piękny efekt. Z moich wiadomości wynika, że projekt ma być kontynuowany. Planowana jest płyta z interpretacjami wokalnymi Łukasza, a później jeszcze kolejna, która ma domknąć tryptyk. Mam nadzieję, że te pomysły uda się zrealizować i zachęcą do śledzenia twórczości tego muzyka.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o innych moich osobistych doświadczeniach związanych z poezją Szubera. We wrześniu 2019 roku byłem w Tybindze, gdzie podążałem śladami Friedricha Hölderlina, o którym przygotowuję pracę. Oczywiście pamiętałem o Friedriczu Szubera *Hölderlin*, który znalazł się w jednym z jego tomików i był też zamieszczany w wyborach. To poeta ważny dla Szubera. Łukasz Sabat wysłał mi informację, że Szuber jest w szpitalu, w kiepskim stanie, więc pomyślałem sobie, że zrobię mu niespodziankę. Wziąłem jego wiersz ze sobą do Tybingi i pod słynną wieżę Hölderlina, w której ten genialny poeta spędził w chorobie psychicznej 36 lat, nagrałem swoją recytację i wysłałem mu. Wiem, że dostał ją i ucieszył się. W wielu jego wierszach odnajduję Hölderlinowskie ślady. Znaczące jest dla mnie też to, że Janusz Szuber odszedł w roku Hölderlinowski. W Polsce mało się o tym mówi, ale w Niemczech przez cały 2020 rok, mimo regresu związanego z pandemią, odbywało się wiele spotkań z okazji dwieście pięćdziesiątej rocznicy urodzin Hölderlina.

I jeszcze jeden kontekst, o którym chciałbym powiedzieć. W grudniu 2019 roku miałem okazję wraz z innymi pracownikami naszego instytutu wyjechać do Brazylii, żeby wziąć udział w uroczystościach dziesięciolecia tamtejszej polonii-

styki, jedynej polonistyki w Ameryce Południowej, na Uniwersytecie Federalnym Parany w Kurytybie. Zastanawiałem się nad tym, o czym mogę Brazylijczykowi opowiedzieć, miałem z tym pewien problem. Pewnego razu zająłem na uczelnię do doktora Jana Wolskiego, który powiedział mi, że „Fraza” wydała właśnie tomik z tłumaczeniem Janusza Szubera na portugalski, *Próba dębu / Teste do carvalho*. Pomyślałem, że to idealna okazja do tego, by opowiedzieć w Brazylii o twórczości Janusza Szubera. I to się udało. Cieszę się, że tomiki przekazane przez „Frazę” mogłem zawieźć do Brazylii. One tam krążą i wiem, że znalazły swoich czytelników. Te ostatnie dwa lata wydają się bardzo intensywne, jeśli chodzi o rozmaite publikacje oraz projekty związane z Januszem Szuberem. Sporo się wydarzyło w tym, jak się okazało, ostatnim czasie.

Wiem, że są z nami studenci, którzy może zastanawiają się, jak rozpocząć spotkanie z twórczością Szubera. Zachęcałbym ich do podróży z jego poezją. Cechuje ją topograficzna dokładność, związana z Bieszczadami, Sanokiem i jego okolicami, więc można sobie pozwolić na wędrowanie z tomami Szubera w plecaku, co może pogłębić doświadczenie podróży.

M.R-B.: Dziękuję za cenne dopełnienie naszego wielogłosu o Januszu Szuberze i jego twórczości. O ostatni głos chciałabym poprosić Janusza Pasterskiego, który także jest poetą, poniekąd „praktykującym” w szkole Janusza Szubera, ale też wiele o nim pisał, w trybie krytycznym oraz poświęcił jego poezji obszerny analityczny artykuł *Pamięć, mój jedyny paszport*¹⁴. Wydaje mi się, że to był jeden z pierwszych szkiców naukowych pogłębiających znajomość tej poezji. Chciałam cię prosić o twoją opowieść o przygodzie z twórczością Janusza Szubera, mającą także ten ważny wymiar poetycki.

Janusz Pasterski: Spróbuję spojrzeć na twórczość Janusza Szubera nie z perspektywy osobistej, w której widzę znajomą postać, ale postaram się spojrzeć na nią, jak historyk literatury, literaturoznawca, który w zdystansowany sposób zada pytanie: co zawdzięczamy Januszowi Szuberowi? Po pierwsze, zawdzięczamy mu przywrócenie roli biografii w myśleniu o literaturze, w pisaniu o poezji i traktowaniu autora, dlatego że biografia była przez wiele lat odsuwana, traktowana marginalnie, a Janusz pokazał nam, że ona rzeczywiście jest czymś fascynującym, z czego można tknąć swoją twórczość i materię poetycką. Po drugie, zawdzięczamy mu rehabilitację roli autora. Wbrew postmodernistycznym sposobom lektury chcemy wrócić do autora i chcemy dać się mu powieść za rękę, podążać za jego głosem. Chcemy wierzyć autorowi, chcemy widzieć autora w tekście, nie chcemy traktować tekstu tylko jako zbioru cytatów, nawiązań, kontekstów, chcemy zobaczyć autentyczną postać. Po trzecie, myślę, że zawdzięczamy mu odświeżenie idiomu poezji intelektualnej. Można zastanawiać się, jak charakteryzować jego twórczość, ale jedną z wielu konotacji, z którą się ją łączy, jest właśnie typ poezji intelektualnej. Pani Grażyna Jarosz wspominała o tym, że niektóre jego wiersze sprawiają trudność. Wydaje mi

¹⁴ J. Pasterski, *Pamięć, mój jedyny paszport. Poezja Janusza Szubera*, „Fraza” 2001, nr 1–2.

się, że to, co zrobił Janusz, to jest właśnie odświeżenie tego sposobu pisania, który zdystansowanemu, powściągliwemu trybowi nawiązywania relacji z rzeczywistością nadaje niesłychaną sensualność. I ta sensualność, która nasycza jego przecież bardzo dyskursywne, intelektualne wiersze, sprawia, że zyskują one pełnię, głębię, zarówno zmuszają do myślenia, jak i pozwalają przeżywać. To są te dwie strony.

Czwarta rzecz, o której myślę, to nowy impuls w traktowaniu regionalizmu. Sądzę, że to, co stało się z ideą regionalizmu w latach dziewięćdziesiątych, z jego ożywieniem, w dużej mierze zawdzięczamy też Januszowi Szuberowi, który pokazał nam niebywale atrakcyjny sposób mówienia o prywatnej ojczyźnie, o miejscu, z którego się pochodzi. To jego zakorzenienie w ziemi sanockiej, ale i szerzej, w tym zakątku Polski między różnymi kulturami, i fakt, że to jest bliskie i zrozumiałe, to również w dużej mierze jego zasługa. Po piąte, myślę, że dokonał czegoś, co wcześniej w wieku XX robili już inni pisarze i poeci, którzy przynosili dziedzictwo galicyjskie i wcześniejsze do kultury polskiej. Ale Janusz zrobił to w wieku XXI, jest więc ważnym ogniwem w tej transmisji doświadczenia galicyjskiego, a też jeszcze wcześniejszego – barokowego, sarmackiego, romantycznego – we współczesność, dzięki niemu są to ciągle żywe składniki tradycji.

Po szóste, sądzę, że zawdzięczamy mu odnowienie idei wielokulturowości. Część z państwa już o tym wspominała, mówiąc o atmosferze, która towarzyszy jego wierszom, a wiąże się z jego osobistą historią, pochodzeniem i tym, co stało się materiają tej poezji. Wielokulturowość jako doświadczenie w gruncie rzeczy nam nieznanne, które poznajemy trochę ze zdziwieniem, czasem z fascynacją jako część naszej kultury i tradycji, i dzięki tym utworom w nim się dzisiaj na powrót rozpoznajemy. Wreszcie ostatnia odpowiedź, jakiej mógłby udzielić historyk literatury na pytanie o to, co zawdzięczamy Januszowi Szuberowi, to ocalenie ważnego fragmentu przeszłości. Tym ważnym fragmentem przeszłości jest, jak mi się zdaje, przede wszystkim jednostkowa biografia Janusza Szubera kreślona na tle epoki, jej sprzężenie z dwudziestowieczną i aktualną historią, to jak poeta opowiada nam o swojej własnej historii z połowy wieku, z lat sześćdziesiątych, o swoim dojrzwaniu, wreszcie jak nam opowiada o indywidualnym doświadczeniu życiowym, o swoim losie aż do dziś. To ocalanie fragmentów przeszłości odnosi się równocześnie do tego, co było wcześniej, dlatego, że to Szuberowe pojmowanie czasu jest pojmowaniem Bergsonowskim, szerokim – jest jedno teraz, które trwa, w którym „teraz” łączy się z „wtedy”, w którym „tu” łączy się z „tam”, co przenosi nas dalej i pozwala zobaczyć się w uniwersalnej perspektywie. Może warto byłoby mówić o osobistych wspomnieniach, ale pomyślałem sobie, że właśnie przy takiej okazji, kiedy dzielimy się osobistymi wspomnieniami, warto powiedzieć też o tym, co wynika niejako z takiego zdystansowanego, obiektywnego namysłu. Bardzo dziękuję.

M.R.-B.: Dziękuję, Januszu. Miałam przeczucie, żeby oddać ci głos na zakończenie, bo przygotowałaś piękną kodę naszego spotkania, wzbogacającą serdeczny, emocjonalny wielogłos także o tony obiektywne, choć przecież także wyrażające z twojej intymnej lektury twórczości Janusza i z doświadczenia znajomości

z nim. Zwracam się teraz do uczestników spotkania – jeżeli ktoś z państwa chciałby zabrać głos ze słowem komentarza, wspomnienia, pytania do kogoś z wypowiadających się, jest teraz na to czas. Wiele osób zostało z nami mimo późnej pory. Na pewno byłoby niedobrze, gdybyśmy tak zamknęli rozmowę, nie dając szansy na zabranie głosu wszystkim miłośnikom, rosnącemu fan klubowi twórczości Szubera, który współtworzymy od wielu już lat.

Alicja Jakubowska-Ożóg: Na pożegnanie i zamknięcie wspomnień chciałabym zacytować fragment wiersza Szubera poświęcony Zygmuntovi Pankowskiemu (*Żegnając Zygmunta P.*) – przyjacielowi poety z Sanoka, pierwsze strofy wiersza oddające chyba najlepiej charakter Janusza Szubera:

Niech to będzie zwyczajne do widzenia,
Bez requiem, kopających gromnic, kap,
Barokowego łakomstwa w glorii tyłków
Anielskich, wypieczonych z maślanego ciasta,

Męski uścisk dłoni [...]
Nad naszą rzeką, którą odpływamy
W asyście koźnic i obłoków,
[...].

M.R-B.: To tak po Januszowemu – byśmy go zbyt sentymentalnie nie opłakiwali. Mam nadzieję, że tak nie było... Ostatnie słowo należy się poecie i jest jego wierszem. W *Zdroju ulicznym* najbardziej urzekł mnie wiersz o kosach pod tytułem *2019*. To jest optymistyczny utwór o pięknie natury, natchnieniu, które nam daje, o życiu, które wiecznie się odnawia, kiedy my przemijamy i przeminiemy. Ale kolejne kosy, czy też kolejni poeci, będą wylatywać z gniazd i śpiewać nam ku nauce i pocieszeniu swoje niezwykle pieśni. Będziemy kontynuować naszą rozmowę o Januszu, z Januszem i spotykać się z jego twórczością. Dopóki żyjemy, będziemy nieśli pamięć o nim, naszych spotkaniach, rozmowach, wspólnych przedsięwzięciach. A – jak zauważyła Ala – wiele odkryć i olśnień jest wciąż przed nami. Wiersze Szubera, czytane po latach, zmieniają się. Są także te niejasne utwory, które trzeba wiele razy przeczytać, żeby nagle przyszedł moment ich zrozumienia. Poza tym teraz to także Janusz poprowadzi nas w te niezmierzone przestrzenie nicości lub jasności, w które niedługo się za nim udamy. Dziękuję wszystkim państwu za udział w spotkaniu, za inspirujące myśli, serdeczne i wzruszające wspomnienia. Kiedy wydaliśmy książkę *Poeta czulej pamięci*, recenzujący ją w „Nowych Książkach” Paweł Mackiewicz zatytułował swój tekst z lekką ironią, podkreśloną wykrzyknikiem: *Mają swojego poetę!* Otóż mamy swojego poetę i jest nim Janusz Szuber. I tak już zostanie.

Zapis i opracowanie redakcyjne Matylda Zatorska
przy współpracy Magdaleny Rabizo-Birek

Janusz Gołda

MIEJSCA MAGICZNE JANUSZA SZUBERA

Ma je każdy, związane z najbliższym otoczeniem, rodziną, znajomymi – geograficznie (literacko). Miejsca ulubione, w których byliśmy, w których lubimy bywać, do których lubimy wracać, które nam się śnią i o których śnimy; miejsca w których jest „coś” magicznego. Co to jest? Nie wiemy. Ciągnie nas jak magnes, kusi, chodzi za nami, nie potrafimy temu się oprzeć.

Miał je także Janusz Szuber. Pierwszym był dom rodzinny, dom szczęśliwego dzieciństwa, świątynia. Geograficznie była nią sanocka kamienica przy ulicy Słowackiego 8. Mieszczańska, z drewnianymi, skrzypiącymi schodami i rozchwiertanymi poręczami, z mieszkaniem na czwartym piętrze. Rozległe pokoje z kafłowymi piecami, wysokie, zdobne sufity, wielkie, weneckie okna (podwójne, drewniane), latem szeroko otwarte, ciepłą wiosną i jesienią ledwie uchylone, by przez szpary wlatywało do środka świeże powietrze, odgłosy i zapachy sanockiej ulicy. No i, rzecz jasna, jej wszelkie zakamarki: strychy, piwnice, komórki, jakieś przybudówki burzone i wznoszone co jakiś czas, jeśli zachodziła tego konieczność. Oto dom Janusza. Niepełny, oczywiście, bo są tam jeszcze rodzice, brat Jacek, sąsiedzi, bywające w nim ciotki, wujowie, goście zapraszani i przygodni.

Cały ten anturaż, z właściwym mu nastrojem lirycznym miejsca świętego, odnajdziemy w wierszach wcześniejszych i późniejszych, również w Janusza prozie i wspomnieniach. Ten świat czysto literacki, poetycki, zobrazował w dziesiątkach wierszy – odnajdziemy go we wczesnej twórczości, w *Paradnym ubranku i innych wierszach*, *Apokryfach i epitafiach sanockich*, przemierzając z poetą-chłopcem strychy, piwnice, podwórka, etc. etc., a więc miejsca baśniowe dla każdego dziecka ciekawego świata i inności.

W latach dorosłych i w wieku męskim Janusza, życia samotnego, kiedy zdany był na siebie, mieszkanie przy Słowackiego pełne było jego znajomych, przyjaciół, ludzi wspomagających go w trudnych dla niego zdrowotnie chwilach. Odbywały się tam kameralne spotkania literackie oraz towarzyskie pogaduchy ludzi bliskich mu duchowo. Bywali wielcy: profesorowie uniwersytetów, krytycy, pisarze, poeci, aktorzy – przyjaciele i koledzy z lat szkolnych. Nazwiska ich zapisane zostały w annałach, prasie, audycjach, wspomnieniach pisanych, pamięci potomnych, więc nie ma potrzeby wyliczania ich z czysto kronikarskiego obowiązku. W literackiej twórczości poety zapisy z tego okresu są efemeryczne i nie ma się właściwie czemu dziwić. Ot, przyjechał Andrzej Stasiuk, posiedzieliśmy, pogadaliśmy i pojechał. Albo zjawił się Janek Skoczyński (filozof), posiedziało się, pogadało o przeszłości, teraźniejszości, podywagowało nad przeszłym pewnym i przyszłym niepewnym,

i rozeszło późną nocą do domów. Albo przyjechał w odwiedziny Antoni Libera, było wesoło, miło, mądrze, literacko i towarzysko, a wczesnym świtem nocnych marków wezwał do ich codziennych obowiązków nowy dzień twardej rzeczywistości, nijak nieprzystający do upojonej magicznie nocy.

Domem drugim, wygodnym, przystosowanym do życia dla poruszającego się na wózku poety, było mieszkanie pod tzw. „Zegarem”, również pełne gości, coraz bardziej znaczących w literackim bycie Janusza, jak również ludzi na co dzień pomocnych mu w sprawach najdrobniejszych, bez których trudno się obyć (jego adres uwiecznił tytuł tomiku *Rynek 14/1*). Lokum to było wygodne, łatwe w dostępie, z małym patio, wyjściem na podwórko – widokiem na zielony skwer przy sanockim muzeum, jednocześnie z panoramą na wschodnią część Sanoka, (Błonie u stóp, aż po dzielnicę powstałe w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku), od lewej począwszy od Gór Słonnych (o których mówił i pisał zawsze: *Stone*), przez dolinę Sanu po Sobień, w kierunku Leska, z wąską i krętą asfaltową drogą, którą wyprawiał się zawsze i niezmiennie na swoje krótsze i dłuższe wycieczki w Bieszczady.

Na drugim miejscu była magia Sanoka, jego najbliższych okolic i przyległych do miasta miejscowości. Miejsca bliskich Januszowi uczuciowo i historycznie, związanych z żyjącymi ludźmi, rodziną, szkołą, przyjaciółmi z dzieciństwa i lat młodości. Więc Góra Parkowa, ulice i uliczki śródmieścia, Rynek żydowski, tzw. Okopisko z przyległościami (drewniane domy i domki z werandami, małymi i większymi sadami, ogródkami, opłotkami, płotami z plecionej leszczyny, wierzby i sztachetami – zielony wyraj sanockiej dzieciarni). Dalsze, to San ze swoimi zwirowymi nadbrzeżami, Biała Góra, okoliczne lasy. Odnajdziemy je również w jego wczesnych tomikach wierszy – w *Srebnopiórych ogrodach*, *Panu Dymiącego Zwierciadła*, *Glinie*, *ogniu i popiele*.

Również przynależne Sanokowi, jako „latyfundia Ziemi Sanockiej” – tak je na własny użytek określał Janusz – Czerteż, Olchowce, Mrzygód, Załuż – bliski mu ze względu na znajomość i przyjaźń z profesorem Marianem Pankowskim, nawiasem mówiąc, starszym kolegą szkolnym z sanockiego liceum, nie mówiąc już o bliskiej duchowo obydwu twórczości, której tematykę odnajdziemy w kolejnych zbiorach wierszy: *Gorzkich prowincjach*, *Czerteżu*, *Okrągłym oku pogody*.

I wreszcie Januszowe miejsca magiczne w Bieszczadach. Bieszczady dla niego zaczynały się kilka kilometrów za Sanokiem. Prowadziły do nich trzy trasy. Z Sanoka przez Olchowce do Załuża, gdzie rozwidłały się – jeden kierunek serpentynami z przystankiem i dłuższymi posiedzeniami na parkingu widokowym na Słonem, po czym znowu w dół na łeb na szyję do Tyrawy, do rzeźbiarza Bogusia Iwanowskiego, miejscowego kościoła z odwiedzinami u proboszcza i pogawędkami na tematy wolne. Potem powrót z ponownym pobytem na parkingu, podziwianie Bieszczadów Wysokich doskonale stąd widocznych w pogodne dni i kontemplacja. Przywoził zawsze, a jakżeby inaczej, z owych wypraw teksty mądre, pouczające, liryczne, poznawcze – poezję żywą, jędrną, namacalną. Wystarczy zajrzeć do jego

tomików i ruszyć ich śladem, a cały ten ich poetycko-naturalny cud można ujrzyć na własne oczy.

Kierunek drugi – to skręt na Załuż i w prawo, przez most, dalej obok rodzinnego domu Mariana Pankowskiego, Sobienia – z posiedzeniem dla złapania oddechu pod ruinami zamku – i dalej pozdrawiając przez okno małego fiata rosły dąb przy drodze do Manasterca i Bezmiechowej (odnajdziemy ten wątek w wierszu *Próba dębu*), przez Lesko i Uherce – tu znowu rozjazd – w lewo na Ustrzyki do Stefkowej lub prosto na Solinę do Bóbrki. Kierunek pierwszy prowadził Janusza do piszącego te słowa (ostatnie lata ubiegłego wieku, później było już Lesko), natomiast drugi również do przyjaciół, państwa Chrapków, właścicieli „Legraż”, Grażyny – reżyserki teatralnej i Leona – malarza i pisarza (zawodowo zarabiających na chleb uczeniem dzieci w wiejskiej szkole w Orelcu).

Trzeci kierunek wiódł Janusza po opuszczeniu Leska prosto jak z bata strzelił do Hoczwi z nieodmienną z wizytą u Zdzisława Pękalskiego – rzeźbiarza, właściciela galerii – na kawę, pogaduszki i kruche ciasto, spotkanie zwyczajne, bo akurat taka była potrzeba chwili. Wojaże owe zaowocowały tomem *Tam, gdzie niedźwiedzie piwo ważą* i drobniejszymi utworami poetyckimi ku pamięci, na okoliczność, często z osobistą dedykacją.

I kierunek czwarty, z Hoczwi, przez Mchawę i Kielczawę do Olchowy, miejscowości, która należała kiedyś do Schrammów (*Do Ryszarda Schramma*), z dworem, ziemią przyległą i zasługami, jakie położyli np. w dziedzinie rozwoju oświaty dla miejscowej ludności, wyrzuconych stąd przez reformę rolną po drugiej wojnie światowej. Stąd mały żółty fiacik (po roku 2000), białe seicento (później) wracało do Sanoka przez Zagórz. Również i te wszystkie wyprawy były przyczynkiem powstania wielu wierszy, także wspomnień, pisanych i mówionych przy różnych okazjach ku okazaniu im ich niezbywalnych wartości istnienia chociażby przez krótką chwilę oraz na zawsze – w tomiku *Powiedzieć cokolwiek* – a przynajmniej tak długo, jak długo trwa nasza krucha, ludzka pamięć.

RANO, 7.30

Zmarł poeta. Newsy: *znany... wybitny... jeden z największych... obywatel honorowy Sanoka...* Radio: *nagle...* Telefon (kolega): *nie będzie miał chłopak pogrzebu. Przeznaczenie krok w krok – choć jeszcze nie wiadomo.* Nadzieja, siostra śmierci, podobnie jak tamta nieśmiertelna, lecz jest czas kiedy z żadną nie można flirtować.

Portal internetowy miasta z którego pochodził: *rano o 7.30.* W mejlach klepsydry. Na czarnym tle świeca i tekst: *Odszedł Poeta.* Inna: *Nie pozwólmy odejść Jego pamięci.*

Za oknem listopad. Wszystkich Świętych. Stadka gołębi na dachach kamienic, stuk obcasów na chodniku, szum opon na asfalcie. Śmierć w nich, w nim i poza.

Szare niebo. Pochmurno. Mglisto. W tv prognoza pogody: *W dalszej części dnia słonecznie. Temperatury dodatnie.* *Nadchodzący weekend pogodny i ciepły, więc warto już dzisiaj zaplanować wyjazd lub długi spacer na świeżym powietrzu.* Na pasku napis: *Zostań w domu. Chroń siebie i innych.*

DO JANUSZA SZUBERA

Gdziekolwiek jesteś, przyjdź.
Czas sięść na patio, pogadać
o wszystkim i niczym. Spotkać
*z dębem przy zakręcie drogi
do Manasterca i Bezmichowej,
śmignąć panonią pod górę,
by sprawdzić czy już zmężniał
zagajnik na Brzozowcu.*

Kimkolwiek jesteś – cieniem
w lesie na Słonym, szeptem
na pustym parkingu, kroplą,
wirem w Sanie, kamykiem
przy moście na Białą Górę,
mieszającym powidła, przyjdź.

Kamyk skamieniał, śliwki
podarowane z nadzieją,
że będą naszym powidłem
odłożone na półki.
Ale jeśli już nie boli,
choć ból owijasz nadal
bandażami metafor
i posiadałeś tajemny klucz
ofiarowany przez Tego,
który niebo ziemi zmienia
w wieczne, zostań. Przyjdziemy.

Janusz Gołda

Zygmunt Wawrzyniec Wojski

JANUSZ SZUBER Z SANOKA

W połowie lat dziewięćdziesiątych usłyszałem w radiowej Dwójce znakomity głos nieznanego mi wtedy zupełnie poety. Recytował piękny wiersz z czasów swojej wczesnej młodości. Dowiedziałem się wówczas, że nazywa się Janusz Szuber i że mieszka w Sanoku. Miałem wtedy w Sanoku przyjaciółkę, Annę z Taworskich Strzelecką, którą dość często odwiedzałem i obiecałem sobie, że przy najbliższej bytności w tym mieście spytam ją, czy zna Janusza. Okazało się, że zna go doskonale i że się przyjaźnią. Bez trudu skontaktowała mnie z Januszem i niemal natychmiast trafiłem do niego na pobliską ulicę Sienkiewicza. Atmosfera panująca w tym mieszkaniu na wysokim drugim piętrze była nadzwyczajna, niezwykle serdeczna. Zbierała się tam dość często powołana przez Janusza miejscowa Korporacja Literacka, młodzi wówczas ludzie, poeci, dziennikarze, humaniści, a wśród nich poeta Jan Szelc, dziennikarze Tomasz Korzeniowski i Paweł Sawicki. Pierwszy z nich dedykował mi swój wiersz *Ze szczytu Korbani*, drugi przeprowadził ze mną wywiad o Hiszpanii, zatytułowany *Gdzieś Hiszpania za górami*, a trzeci zredagował



Fot. Zygmunt Wawrzyniec Wojski

Cerkiew Wniebowstąpienia Pańskiego 1659; Zespół cerkwi Przemienienia Pańskiego w Czerteżu, XVII–XIX

opowieść o moich podróżach i pasji do gór w wywiadzie zatytułowanym *Iberysta globtroter*. Janusz przyjął mnie natychmiast do owej Korporacji Literackiej, ku mojemu zadowoleniu.

Publikacje ukazywały się w „Dodatku Kulturalnym” do „Tygodnika Sannockiego”, a także w wychodzącym w Krośnicach „Tygodniku Regionalnym Podkarpacie”. W „Dodatku Kulturalnym” ukazały się potem moje wspomnienia o dobrze mi znanym, bliskim koledze z tego samego roku na warszawskiej romanistyce, wybitnym poecie i prozaiku Edwardzie Stachurze, moje przekłady z hiszpańskiego liryki miłosnej poetki panamskiej Elsie Alvarado de Ricord, a także wybór przetłumaczonych przeze mnie z portugalskiego wierszy noblisty José Saramago. Janusz okazał się cudownym, niezwykle lojalnym przyjacielem, człowiekiem o ogromnej kulturze, o niezrównanym poczuciu humoru i najbardziej pogodnym ze wszystkich moich przyjaciół, mimo nieszczęścia spowodowanego nieuleczalną chorobą oraz koniecznością poruszania się na wózku inwalidzkim od końca lat sześćdziesiątych. Janusz nigdy nie był zdenerwowany, nigdy nie wypowiadał się negatywnie o nikim. Bywał czasami smutny i tyle. Był wyjątkowo szlachetnym człowiekiem, absolutnym przykładem szlachetnego w każdym calu charakteru. To zjawisko wyjątkowe. Pomysleć, jak wiele osób swoją złośliwością i napastliwością atakuje innych, wywołując u nich żałosne samopoczucie i to na długo. Janusz był od tego jak najdalszy. Prawie co roku wydawał jakiś tomik poezji i zawsze mi go przysyłał do Wrocławia z piękną dedykacją.



Fot. Z. W. Wojski

Międzybrodzie. Cerkiew Św. Trójcy, 1901

Tuż po roku 2000 Janusz przeprowadził się do kamienicy nr 14 na sanockim Rynku. Zamieszkał na parterze. Przed wejściem miał niewielkie patio z ozdobnymi krzewami, o które troskliwie dbał. W roku 2008 po raz pierwszy przyjechałem tam do niego z Rymanowa Zdroju, gdzie przebywałem na kuracji. Spędziłem u Janusza kilka godzin na ciekawej i ożywionej, jak zwykle, rozmowie. Janusz był zakochany w swojej bieszczadzkiej krainie i to jej poświęcił całą swoją twórczość. Tematem jego wierszy są mieszkańcy tej ziemi, jej cerkiewki i drewniane kościołki, okoliczne góry i wzgórza, a także bliższa i dalsza rodzina. Był tak dalece przywiązany do swej małej ojczyzny, że zaprzyjaźnieni z nim liczni pisarze (nie można było nie zaprzyjaźnić się z nim) nazywali go żartobliwie „ojcem prowincjałem”.

Nadeszła pora, by się mu odwdzińczyć za tyle życzliwości. W roku 2000 dwanaście jego wierszy ukazało się w moim przekładzie na hiszpański w madryckim czasopiśmie literackim „Viento Sur”, a w roku 2005 pięć wybranych wierszy przetłumaczonych przeze mnie na portugalski opublikowało czasopismo literackie „Artilera” wychodzące w mieście Mindelo na Wyspach Zielonego Przylądka. W roku 2012 Janusz zdecydował się wydać tomik dwujęzyczny polsko-hiszpański w moim wyborze i przekładzie na hiszpański. Tomik nosi tytuł *Entelechia / Entelequia* i ukazał się w serii Biblioteki „Frazy”. Na rok przed jego śmiercią, w roku 2019, to samo wydawnictwo wydało dwujęzyczny tomik polsko-portugalski również w moim wyborze i w moim przekładzie na portugalski. Tym razem to ja zaproponowałem Januszowi tytuł tomiku, który jest jednocześnie tytułem jego najpiękniejszego, moim zdaniem, wiersza, *Próba dębu* (po portugalsku *Teste do carvalho*). Pozwól sobie zacytować ten wiersz.

Próba dębu

Nie umiem, choćby w przybliżeniu,
określić jego wieku: rosły, nieco asymetryczny
dąb, tuż przed Łukawicą, na samym zakręcie
drogi do Monasterca i Bezmiechowej.
Mijając go, za każdym razem trzykrotnie
włączam sygnał albo pozdrawiam uniesieniem
ręki. Dlaczego? Przecież spotykałem
dorodniejsze, bardziej dostojne.
Uczulony na drzewa, niekoniecznie dęby,
uprawiałem pokątny ich kult,
wystawiając na próbę mój, daleki
od ortodoksji, rzymski katolicyzm.
Jak uzasadnić wybór tego a nie innego dębu?
Tego a nie innego obiektu miłości?
Potrzebą adoracji, bezinteresownego zachwytu?
uchwytu? Ontycznym imperatywem wyboru?
Gdyż jak podpowiada doświadczenie,



Fot. Archiwum Z. W. Wojskiego

Janusz Szuber i Zygmunta Wojski nad „grobem” poety w Międzybrodziu nad Sanem.
Lato 2013

wybierając cokolwiek, wybieram jedną
z możliwych wersji mnie samego.
Nie wiem. Unoszę rękę, naciskam klakson.
Dąb traci liście, trwoni żołądźcie.
Nagi, zielenieje znowu późną wiosną.

Ostatnie moje wizyty u Janusza miały miejsce w roku 2012 i 2013. Janusz postanowił pokazać mi wówczas swoje ulubione zakątki i miałem okazję się przekonąć, jak on doskonale znał i jak głęboko kochał swoją ziemię rodzinną. Najpierw pojechaliśmy na mały cmentarzyk we wsi Liszna nad Sanem, gdzie znajdują się groby Anny Taworskiej-Strzeleckiej, jej męża i syna. Cmentarzyk leży na łagodnym stoku z widokiem na dolinę Sanu i wzgórza po drugiej stronie rzeki. Potem szybowisko nad wsią Bezmiechowa, skąd przepiękny widok na pasmo Bieszczadów z ich najwyższymi szczytami. Z tego szybowiska startował na swym samolocie ojciec Janusza, Zbigniew Szuber. Spośród licznych oglądanych wówczas cerkiewek najpiękniejsza jest perła architektury cerkiewnej w Czerteżu, ogromna drewniana bombonierka kryta gontami, czyli cerkiew Przemienienia Pańskiego z XVII wieku. Wokół cerkwi niski dach, rodzaj sobót dla schronienia wiernych. Jedna wielka kopia wieńczy tę wspaniałą budowlę.

Ostatni raz widziałem się z Januszem w roku 2013 i to wtedy Janusz pokazał mi swój grób na cmentarzyku w Międzybrodziu nad Sanem, obok cerkiewki Świętej Trójcy. Grób z jasnego chińskiego kamienia, zwanego brązem królewskim. Miejsce piękne. Cisza, spokój absolutny, wokół porośnięte gęstym, kipiącym lasem wzgórza nad Sanem. W dolnym rogu cmentarzyka piramida grobowa greckokatolickiej rodziny Kulczyckich. Na stromym, zalesionym wzgórzu Dębnik, zdecydowanie najwspanialsza cerkiew obronna Wniebowstąpienia Pańskiego w Uluczu. Zbudowano ją w roku 1659 i należy do najstarszych w Polsce. Z obu stron cerkwi podcienia zwane sobotami. W Kalnicy z domu Wincentego Pola (1807–1872) została jeno resztką muru. Zacytujmy fragment jego wiersza *Do zielonego Beskidu*:

Beskidzie zielony! W trzy rzędy sadzony!
Beskidzie graniczny! Beskidzie kochany!
Chłodem jelenim i mgłami owiany...
Gdzież czasy są owe, gdym konno tu hasał,
Gdym serce i oczy po tobie ja pasał?

W Kiełczawie otwiera się cudowny widok na Góry Baligrodzkie w najrozmaitszych odcieniach zieleni: od niemal czarnej do jasnozielonej, kłębią się na kilku planach, bliżej i dalej, a nad nimi najwspanialsze obłoki niczym stada wielkich białych ptaków przesuwają się z wolna. Podobnie w Mchawie, już całkiem blisko Baliogrodu. Przepiękne widoki na pobliskie zalesione wzgórza. Jedno z nich wyjątkowo malownicze z bujną czupryną drzew na samym szczycie. W dali majaczy Korbania (905 m n. p. m.), pamiętna z wycieczki sprzed lat w towarzystwie sanockiego poety Jana Szelca i jego żony.

Przez ostanie półtora roku Janusz bardzo cierpiał, aż oddał ducha rano w sam Dzień Wszystkich Świętych w szpitalu w Lesku. Cześć Jego pamięci!

Zygmunt Wawrzyniec Wojski

Wrocław, 5 listopada 2020 roku

Janusz Pasternski

PODRÓŻ

Pamięci Janusza Szubera

W eleganckiej salonce z miękkim siedzeniem i welwetowym zagłówkiem podróż mijała szybko i niepostrzeżenie. Przez jasne okna wpadały do środka wonne maje, sierpniowe cisze, kolory leśnej jesieni, grudniowe śniegi. Mistrz uśmiechał się dyskretnie, poprawiał okulary i mocnym głosem obwieszczał nazwy mijanych stacji. Były więc królewskie miasta Sanok i Biecz, a dalej Zagórz, Krościenko, Chyrów. A potem Sambor, Drohobycz, Stryj. Niekiedy pociąg zjeżdżał z głównej linii transwersalnej i nie wiadomo którędy przemykał do Czerzeża, Międzybrodzia albo Zahutynia.

Mistrz opowiadał wtedy dawne historie z czasów, gdy stroje szyło się z sukna, nosiło tużurki i kapelusze, a panie chroniły jasną cerę zgrabnymi parasolkami. Nad Sanem pokazywał łowiących ryby chłopców, w Lesku targ znaczny, na Górze Parkowej skocznię, a na drzewach gniazda kosów.

Bez rozkładu jazdy, godzin postojów i wytyczonej trasy pociąg mknął przed siebie, a zadziwionych pasażerów witały pagórki i rzeki, huculskie chyże, kościoły i cerkwie, Kozak na koniu, a za nim sanie z wesołym dzwonkiem.

Dokąd, Mistrzu, ta podróż latem i zimą, z zapasami konfitur w szklanych słojach, nalewkami na miodzie i lemoniadą w zielonej krahli? Pociąg pędzi, na korytarzach kołyszą się w ramach fizjonomie urzędników, oficerów, dam i absolwentów uczonych gimnazjów. Mistrz podnosi wzrok, za oknem majaczą wypukłe rysy Gór Słonnych, trawy połonin, błyszczy jasno San, a nad dalekim Prutem pasterze poją konie. Dokąd? Do *teraz* – odpowiada – tutaj i tam.

Wasył Machno

NA ODEJŚCIE JANUSZA SZUBERA

O odejściu Janusza Szubera dowiedziałem się z wpisu na Facebooku, a potem posypały się e-maile z Polski. Za moimi oknami wisiała listopadowa mżawka. Nie wiem, czy w Sanoku padał deszcz. Mógł padać, to przecież listopad. Na chybił trafił wyciągnąłem z półki jeden ze zbiorów Janusza i zacząłem czytać na głos. Potem otworzyłem na You Tube *Spiegel im Spiegel* Arvo Pärta. W tej minorowej stylistyce Pärtowej muzyki, utkanej z uważnego wsłuchiwania się w siebie wiolonczeli i fortepianu, dźwięczała ta dominująca nuta smutku ze świadomością nieustannego przepływania życia – wszystko to wzmacniało we mnie stłumione uczucia. W takich chwilach napływają fragmentaryczne wspomnienia, głos, intonacja – coś, co zaczyna żyć już wyłącznie w czasie przeszłym.

Nie wiadomo, jakim poetą byłby Janusz Szuber, gdyby jego pradziadek nie trafił do Sanoka za zuchwałą piosenkę o jaśnie wielmożnym Cesarzu. Piosenkę o obraźliwej treści pijany pradziadek wyśpiewał na całe gardło we lwowskim tramwaju. Ta rodzinna historia wpadła mi kiedyś do ucha, zdaje się, że sam Janusz ją opowiedział. Prowincjonalny Sanok, otoczony karawanami Gór Słonnych i do 1946 otoczony przeważnie lemkowskiemi wsiami z drewnianymi cerkwiami i chatami, był miastem, w którym splatały się historyczne i etniczne węzły nieprostej historii Galicji i Lodomerii, granice imperiów, języków i religii. W rodowodzie Szubera też zmieściła się ta pograniczna Europa – Niemcy, Polacy, Ukraińcy, Ormianie i Chorwaci, którzy migrowali z miejsca na miejsce, czym utrudniali sobie i tak niełatwe życie. Zresztą urodziwszy się w 1947 roku Szuber już miał za sobą rodzinny przykład współistnienia języków i religii, a także swoisty intelektualny багаż w osobie dziadka Stefana Lewickiego, filologa klasycznego, gimnazjalnego profesora w Krynicy Zdroju i wujka Stefana Jarosza – geografa, podróżnika i badacza Alaski, którzy istotnie wpłynęli na zainteresowania chłopca.

W wielkim rodzie Szuberów i Lewickich w ciągu stuleci byli kasztelanowie, sędziowie, rajcowie, wojskowi i lekarze. Lewicy, linia matki, legitymizowali się szlacheckim herbem Rogala, a Zachariasiewiczowie, z którymi się spokrewnili, herbem Abgar o ormiańskiej proweniencji. Jego ojciec, Zbigniew Szuber, porucznik w stanie spoczynku, po wojnie pracował jako pilot instruktor w Aeroklubie Podkarpackim. Na początku drugiej wojny światowej został aresztowany przez Sowietów i przewieziony do Buczacza i Husiatynia, a stamtąd pociągiem aż do Smoleńska. Wraz z dwoma towarzyszami udało mu się uciec i wrócić do domu. Dalej też było wiele przygód: pracował jako robotnik drogowy w czasie okupacji niemieckiej, ukrywał się, wreszcie trafił do pułku bombowców Wojska Polskiego.

Czemu zagłębiał się w rodowód Janusza, przecież poetów w nim nie było? Nie wiem, ale wydaje mi się, że bez tych rodzinnych nitek trudniej jest zrozumieć pewne wiersze, zwłaszcza te o Sanoku, rodzinie, historycznych nawarstwieniach, które czuł szczególnie, na dotyk ręki. W sanockim mieszkaniu przy Rynku 14/1 wisiały oprawione obrazy Nikifora, kupione czy to przez Januszowego dziadka, czy przez wujka od samego Nikifora. Zawsze mnie zdumiewał ten łańcuch czasów, które należą do rodzinnych wspomnień, wtedy to czemuś osobliwie zbliża, zdawałoby się oddaloną historycznie postać. W naszych rozmowach z Januszem często przekazywaliśmy sobie dwa historyczne ukraińskie klucze, którymi to otwieraliśmy, to zamykaliśmy bramy ukraińsko-polskich stosunków. Pierwszy to Nikifor, drugi to Antonym.

Dla Szubera Nikifor był autorem rysunków, który siedział na murku krynickiego pensjonatu. Którego znali wszyscy i nawet mały Janusz widział go odwiedzając Krynicy. W czasie jednego ze swych przyjazdów do Sanoka dostałem w podarunku dwa unikalne zdjęcia Nikifora, zrobione przez krewnego Janusza w ostatnim roku życia malarza. Nikifor jak zwykle w tradycyjnym kapeluszu i w okularach, ale pulchny i zażywny. Zupełnie niepodobny do tego z powielanych portretów. Antonym, który uczył się w sanockim Gimnazjum im. Królowej Zofii i był jego absolwentem, tak jakby prowadził za rękę swego młodszego kolegę – Janusza Szubera – po korytarzach i klasach, ulicach i zaułkach, w końcu po poezji, nie zważając na pokoleniową, etniczną i językową różnicę. Pomiędzy poetami, proszę państwa, coś takiego się zdarza. Któregoś razu podczas mego pobytu w Sanoku, przed zaplanowanym wyjazdem w góry do Leska, podjechaliśmy jeszcze pod budynek gimnazjum. Janusz pokazał mi marmurową tablicę, wmurowaną na cześć Antonyma. Sanocki poeta, dołączywszy się do jej inicjatorów, oddał szacunek starszemu koledze.

Po niepełnym roku studiów na Uniwersytecie Warszawskim, w połowie lat sześćdziesiątych, podstępna choroba podcina pełnego młodzieńczych nadziei chłopaka i proponuje mu wyłącznie szpitalną codzienność. Przez całe dalsze życie Janusz będzie poruszał się na inwalidzkim wózku. Przed biblioteką miejską imienia Grzegorza z Sanoka są wysokie schody. Kiedy tam czytaliśmy wiersze, Janusz wpływał do biblioteki. Wnoszono go na rękach do drzwi wejściowych, a potem na pierwsze piętro. To nie jest poetycka metafora. On naprawdę wpływał, zmieniając style pływania, to stylem klasycznym, to motylkiem. Szuber ominął wszystkie polskie poetyckie generacje, pisząc do szuflady; chociaż wiekowo należał do Nowej Fali, jednak zaczynał razem z pokoleniem Brulionu. Ani pierwsi, ani drudzy nie stali się jego środowiskiem, bo debiutował w latach dziewięćdziesiątych, mając czterdzieści siedem lat. Jedną z jego kuzynek, mieszkającą w Oslo Grażyna Jarosz, pomogła finansowo wydać pierwszych pięć cieniutkich tomików.

I wtedy zdarza się coś nieprawdopodobnego – z Sanoka do najświętszych świętości polskiej poezji wpływa wszystkimi możliwymi stylami poeta, o którym mówią Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert i Wisława Szymborska. I oto nagle,

jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, Sanok, dzięki Szuberowi, zmienia się w jedną z poetyckich stolic Polski. Zbigniew Herbert w liście do Janusza pisze, że nieraz odbierało mu mowę po przeczytaniu wierszy Sanoczanina. Całkiem słusznie, bo Szuber miał wyjątkowy dar wizualizacji przeżyć, opowiadania historii, łączenia historycznej i rodzinnej pamięci, alchemicznego znajdowania poetyckiej substancji słów. Jego wiersze pachniały igliwem okolicznych lasów i jednocześnie były podświetlone intelektem, zacerpniętym z książek oraz własnych przemyśleń, wykorzystywał w nich dziecięcą naiwność i filozoficzny podtekst. Jego poetycki język wchłonął klasyczną jakość i współczesną rozrzutność, rzeźbioną barokowość i głębię wyrazu, ironię co do pisania i wiarę w cel literatury, wątpliwości i wyzwania ludzkiego życia. Jego wiersz nie tracił polifonicznego brzmienia nawet wtedy, kiedy traktował o deszczu, który przecieka przez dziurawy dach starego sanockiego domu, a ktoś, na poddaszu, człapie i podstawia słoiki.

Ostatni raz przyjechałem do Janusza w 2016 roku. Na jego prośbę ulokowano mnie tak jak i poprzednim razem w hotelu, skąd do jego mieszkania było bardzo blisko. Sanok stanowił ostatni punkt mojej podróży po Polsce w związku z wydanymi tu książkami prozatorskimi i esejistycznymi. Potem – do Warszawy i Nowego Jorku. Wiedziałem, że Janusz czuje się marnie i ze względu na mnie odłożył o kilka dni zaplanowane badania w szpitalu. Tysiąc razy przeproszał mnie, że po raz pierwszy od tylu lat będzie naruszona tradycja wspólnego występu. Odpowiadałem, że wszystko w porządku, ja też przecież będę czytał nie wiersze a prozę. Siedzieliśmy u niego w mieszkaniu, gdzieś skrzypiały drzwi, po długim, wspólnym korytarzu łązili sąsiedzi, padał deszcz. Teraz przyszło mi do głowy, że on jednak był obecny na tamtym czytaniu – nie wpłynął jak zawsze na wózku, a po prostu wszedł jak deszcz.

Być może w Sanoku pierwszego listopada padało, tak podpowiada mi serce.

Wasył Machno

Przełożył Bohdan Zadura

Jacek Mączka

LISTOPAD

Januszowi Szuberowi

Dzwonek telefonu – paliliśmy konary
starej renty, potężny pień
złamał gwałtowny podmuch wiatru –
gdy umiera dostojny szaman-poeta

śniące ciało świata daje znaki. Niedawno –
roześmiani nad przepaścią w Międzybrodzu,
gdzie przezornie wykupiłeś „miejscówkę”
z widokiem na San. No i jesteśmy pomiędzy

jesienną rdzą, wykopki na ukończeniu,
dołem – ołowiane cielsko wody. Zwykłeś
mawiać, że życie w dolinie rzeki, szczególnie
wyczula na Heraklitejski aspekt egzystencji.

Cerkiew wciąż świeci wapienną bielą,
przez czarnoskóre pręty gałęzi
rozlewa się mleczne, gęstniejące nic.

WYPLUWKA

gdybyś miał jeszcze wątpliwości –
na starej szafce pod telewizor
z lat sześćdziesiątych z obrotowym
drewnianym blatem i przeszklonym

grubą taflą rozsuwanym frontem
która teraz służy na balkonie
za skrzynkę na narzędzia sowa
zostawiła tej nocy wypluwkę –

garstkę kości i trochę treści żołądka
tak jakbyś miał coś strawić
i sięgnąć głębiej do rdzenia
tam gdzie noc rozdziawia mordę

żeby połknąć a później wypluć

DWIE KOSY

zimna Zośka ścięła pomidory
w żrenicach matki – bezruch
i kiedy tak idziemy pod górę
nie chcę wziąć jej pod ramię

na przekór tej tłustej kurwie
w sukni zdobnej w kielże
roztocza i skoczogonki
że niby – durna paremia

KAWAFIS

Myśli o chorym przyjacielu
zmywając naczynia w kuchni dużego lokalu
Grudki tłuszczu mocno przywierają do talerza

Doskwiera południowy upał. Jeszcze nie wie
że w tym najważniejszym momencie
narysuje na czystej kartce papieru

w środku koła – kropkę.

LEKARSTWO

smarowanie barku maścią z jadem
żmii – kolana ojca siedzącego na tapczanie

w nocnej koszuli ta sama trucizna
przenika nasze ciała – ponad ciemnością

uzbrojeni po zęby opieramy się
chłodnym pocałunkom wiosny

PAN COGITO PISZE LIST DO MICHAŁA MONTAIGNE'A

w mieście panuje zaraza sąsiad przyniósł
miskę pierogów z kapustą trochę
buraków i ziemniaki z poletka

drugi tydzień utrzymuje się słoneczna pogoda
mogłem wykopać głęboki grób dla psa
weterynarz kilka razy uścisnął rękę

pomimo zakazu chodzę na długie spacery
wczoraj znalazłem padlinę dzika i lisa
dzieci dzwonią częściej gotuję uważnie

pomnisz – od czerwca do grudnia 1585 roku
w Bordeaux zmarło 14000 ludzi pisałeś
wówczas przywołując słowa mistrza
nie miętkiej ale najtwardszej sekty – Seneki

*dosyć będą cisnąć kiedy przyjdą tymczasem zażywaj
lubości wierz w to co ci najmilsze na cóż ci się zda
ściągać i uprzedzać nieszczęście i tracić teraźniejszość*

*z obawy przyszłości być już dzisiaj nędzarzem dlatego
iż masz się nim stać kiedyś?*

POTRZĄSNAĆ

zapomniałem że nauczyłem syna
dwadzieścia lat temu grać w szachy
siedzimy przy kuchennym stole pomiędzy

nami ta sama szachownica czuję cierpki zapach
giewontów mojego ojca – dawał mi fory
gdy po skończonej partii Bronisz starannie

kładzie pionki i figury do drewnianej skrzynki
zamykanej na haczyk mówię – wystarczy
potrząsnąć żeby się poukładało

Jacek Mączka



Fot. Janusz Górnicki

Janusz Szuber na spotkaniu z cyklu Preteksty Literackie z udziałem Philipa Levine'a i Adama Zagajewskiego, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, 22 czerwca 2006 r.

Jan Belcik

POETA SUBTELNEJ PAMIĘCI

Kilka zdań o Januszu Szuberze

Nie chciałbym przedstawiać biografii poety, bo jest ona raczej wszystkim doskonale znana i wielokrotnie opisana. Dość wspomnieć, że był (do tej chwili trudno pogodzić się z faktem, że był, nie zaś jest) człowiekiem, którego życie naznaczyło cierpienie. Nigdy nie chciał dać tego po sobie poznać, ani w codziennym funkcjonowaniu, ani w poezji.

Nie spotykaliśmy się zbyt często. Może widzieliśmy się kilkanaście razy, któż potrafiłby to zliczyć. Kilka razy w Krośnie, parę razy w Sanoku, gdy wpadaliśmy z Jankiem Tulikiem na jego spotkania autorskie. Ale tam trudno było o jakieś dłuższe rozmowy i zwierzenia. Inaczej miało się to w Krośnie – kiedy po oficjalnych wieczorach poetyckich spotykaliśmy się w węższym gronie i tam mogliśmy się delectować doświadczeniem świata dużo bardziej otwartego na szczere komentarze, aluzje. Od czasu do czasu wymienialiśmy się tomikami, które obdarzał zawsze życzliwym zainteresowaniem, niekiedy pisząc później kartkę z celnymi poetyckimi puentami.

Jedno z naszych najważniejszych spotkań odbyło się na krośnieńskim Rynku w 2003 roku, dokładnie 11 maja. Wtedy to z okazji Dni Kultury Węgierskiej ukazała się nasza wspólna książka, zatytułowana z węgierską *Złota aszú*, wydana przez Stowarzyszenie PORTIUS przy wsparciu Konsulatu Generalnego Republiki Węgierskiej. Ma ona w sumie czterech autorów, obok nas jeszcze Jana Tulika i Wacława Turka. Tę dwujęzyczną pozycję przetłumaczyli István Kovács i Gabor Sille. Została życzliwie przyjęta na Węgrzech, o czym świadczyły późniejsze recenzje.

Pamiętam, że po spotkaniach z oficjelami polsko-węgierskimi na krośnieńskim Rynku Janusz brylował swym intelektem w towarzystwie. Będąc w znakomitym humorze, w aurze pięknej majowej pogody zdobył autografami ostatnie wydawnictwo wśród licznej publiczności. Chwilami nawet uciekał się do cierpkich żartów, np. wtedy, gdy przysiadła się do nas lokalna poetka, w swoim mniemaniu znieważona tym, że ją pominięto wśród oficjalnych gości...

We wstępie do *Złota aszú* Konsul Generalny Republiki Węgierskiej w Krakowie István Kovács (również poeta i pisarz) napisał: „Czterej poeci polscy, prezentowani w tym dwujęzycznym zbiorze, tworzą swoistą wspólnotę. Wychowało ich polskie Podkarpacie; ta część ziemi, w której stałym punktem jest Krosno, drugim Dukla. [...] W wierszach Jana Belcika, Janusza Szubera, Jana Tulika i Wacława Turka – różniących się od siebie treścią, nastrojem i formą – jakby zaświeciło złoto tokajskiego *aszú* – węgryzyna. Po prostu te wiersze są dobre, one się nie starzeją lecz

szlachetnicją – jak węgrzyn – wraz z mijającym czasem. Warto także wspomnieć i o tym, że krajobraz, z którego autorzy tych wierszy się wywodzą, jest dobrze znany węgierskiemu społeczeństwu... Chodzi o Galicję, o której pisano prace historyczne, powieści i wiersze; a pieśni ludowe, czy wojskowe z okresu I wojny światowej, są tam znane i śpiewane do dziś”.

Tak, Janusz Szuber był poetą Galicji, spuścizny tej aury, którą pozostawiła monarchia austro-węgierska. Dawał temu wyraz w kolejnych tomikach, odtwarzał mikroklimat tamtych czasów ze starych fotografii, rzeczy, bibelotów...

Jednym z naszych ostatnich spotkań była rozmowa, w czasie której wyraził zgodę na druk swojego wiersza w antologii *Krosno i okolice* wydanej w Krośnie jesienią 2019 roku przez Regionalne Centrum Kultur Podkarpacia, a zredagowanej przeze mnie, Marka Petrykowskiego i Wacława Turka. Nie czuł się wtedy najlepiej, ale nie poddawał się, próbował żartować, życzył powodzenia naszemu przedsięwzięciu.

Twórczość Szubera przetłumaczono w sumie na co najmniej piętnaście języków (m.in. angielski, francuski, niemiecki, hiszpański, włoski, serbski, portugalski, węgierski, ukraiński, rosyjski), publikowana była w takich czasopismach, jak np. „The New Yorker” czy „Innostranna Litieratura” – co świadczy o tym, że jego wiersze pokonały granicę idiomu poetyckiego. Ogromny dorobek twórcy wybitnego sanoczanina dowodzi tego, że umiejętnie połączył w nim w niezwykle naturalny sposób filozofię i intelektualizm z wirtuozerią słowa zakorzenioną w języku konkretnym. Owe konkrety zostały rozłożone na czynniki pierwsze, wyrażone, docenione i opisane przez wielu znakomitych krytyków i pisarzy.

Janusz Szuber zmarł rankiem 1 listopada 2020 roku w leskim szpitalu. W naszym polskim kalendarzu data to nieprzypadkowa, budząca wiele skojarzeń. W grudniu skończyłby 73 lata. „Zdążył też jeszcze ucieszyć się bibliofilskim tomikiem, który przygotowała dla niego rzeszowska «Fraza», a któremu nadał tytuł *Zdrój uliczny*” – przypomniała Edyta Wilk z „Tygodnika Sanockiego”.

No właśnie, trzymam w swoich dłoniach ten niezwykle zbiór wierszy. Zawiera on tylko osiem utworów, a wydany został w 73 egzemplarzach numerowanych osobiście ręką autora. Jest to swoiste epitafium, ale również jakby testament poety. Można odnieść wrażenie, że każdy z ośmiu wierszy w sposób symboliczny obejmuje dekadę z życia pisarza. Pięknemu opracowaniu graficznemu patronuje duet Grzegorza Wolańskiego i Jana Wolskiego. Ten ostatni jest także redaktorem bibliofilskiego wydania. Chciałbym na chwilę zatrzymać się na tym ostatnim tomiku, który nad wyraz celnie przybliży konteksty historyczne i socjologiczne barwnej spuścizny po Galicji.

Twórczość Janusza Szubera, jak każda dobra poezja, podczas kolejnych odczytań przynosi nowe konteksty, odkrycia i iluminacje. Tak jest też z jego ostatnim tomikiem, w którym tytułowy *Zdrój uliczny* w postaci publicznego hydrantu stanowi spektrum całego minionego świata, ujrzanego i zapisanego z perspektywy kilku domów przy ulicy Zgody i okraszzonego anegdotalami o ich mieszkańcach:

Po drugiej stronie, naprzeciw, nieco w dole,
w schludnym domku mieszkała nierządnicą Aniela
od schyłku c. k. monarchii legenda kolejnych pokoleń.
Mówiono, że w czasie drugiej wojny, zatrudniona w szpitalu jako salowa,
troskliwie opiekowała się rannymi.
Po „wyzwoleniu” wróciła, dożywotnio, do zawodu.

Tworzą one swoisty mikroklimat czasu i przestrzeni zakorzenionej w znie-
wolonej Polsce, bo: „Kto nie miał studni, szedł z kluczem przypominającym hekę
w ręku faraona/ i wiadrem, aż do połowy ulicy po wodę z publicznego hydrantu,/
w języku fachowców nazwanego zdrojem”. Nagromadzenie szczegółów i konkretów
budzi rozmaite rezonanse znaczeniowe sięgające do epoki, w której wszystko jesz-
cze było możliwe. Bowiern następnie, jak podkreśla poeta w wierszu *Czemu? No
właśnie*, kiedy dopełnił się fakt narodzin, wszystko stało się jaśniejsze:

W późnych latach dziewięćdziesiątych
rodzina przeniosła się z Wiśniowczyka do Sanoka.
Niedługo potem, tuż na początku XX wieku,
pięćdziesięciodwuletni radca Sądu Krajowego Bronisław Rogala-Lewicki
zmarł na raka szczęki. Olimpia z Zacharjasiewiczów wkroczyła w długie
i w gruncie rzeczy cierpkie wdowieństwo.

Dwanaście lat po jej śmierci starsza córka Stefana,
Ewa, nie wiedzieć czemu, urodziła tego właśnie,
a nie innego, mnie.

Tak, właśnie tego, który, jak Cyprian Norwid, potrafił dać odpowiednie
rzeczy słowo, przywrócić światy minione z wszystkimi ich subtelnosciami, jak np.
właściwe im zapachy. Po prostu stworzył chłopca potrafiącego zmieszać te wielo-
kulturowe i tożsamościowe powidła...

Potem przyszedł czas na dalsze doświadczenia, za sprawą których zostajemy
wprowadzeni przez bohatera wiersza w świat jego dziecięcych i młodzieńczych
fascynacji, a także i obowiązków. W utworze *Początek pory deszczowej* poznajemy
z kolei wspomnienia o życiu uczuciowym poety: „Tamta ona, tu zaledwie dwa
dotkliwie zaimki,/ wtedy mniej więcej/ w połowie listy, wywieszanej na drzwiach
dziekanatu”. Pozostawiają one po sobie pewną nieokreśloność: „[...] kiedy pojawia
się tuż za moimi plecami w lustrze,/ do którego stroilem miny, kończąc pospiesznie
golenie,/ aby natychmiast skoczyć pod prysznic/ na początku pory deszczowej”.

Janusz Szuber często wspominał o poszukiwaniu formy pojemniejszej, która
mogłaby lepiej posłużyć wyrażaniu emocji w intelektualnym stylu (biorąc sobie
do serca to, o czym pisze Miłosz w wierszu *Ars poetica?*, postulując kształtowanie
wypowiedzi, „która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą”). Taki jest też ten
tomik i cała jego poezja, pozostawiona nam w spadku: precyzyjna, przemyślana –

choć sanocki twórca unikał przeintelektualizowania – poszerzająca nowe obszary lingwistycznych eksploracji, sięgająca w swoim rozmachu poza formy klasycystyczne, do których go zbyt często przypisywano.

Puentując, można powiedzieć, że nawet żartobliwy fragment *Epigramu*, kończącego tomik: „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, / na próżno przestrogi, oni swoje, a ja swoje”, nie jest w stanie zmienić konstatacji, że to, co było, przetrwało właśnie dzięki poecie i zapisze się w autentyczny, ważny rejestr dokonań literackich na mapie Polski. Zostanie Szuberowy „zdrój”, po który sięgać będą sympatycy słowa pisanego, twórcy, egzegeci, ludzie nauki. Każdy znajdzie w nim dla siebie przestrzeń do artystycznej, literaturoznawczej penetracji.

MGŁA NAD POŁONINĄ (1 LISTOPADA 2020)

Pamięci Janusza Szubera

Kiedy umiera Poeta
Mgła nad Połoniną Caryńską
płacze

*Decyzją rządu cmentarze zostają zamknięte
(złośliwi napomykają, że nie dla wszystkich)
Trwa wsparcie dla sprzedawców chryzantem*

*Oficjalne dane w Polsce mówią
O kolejnych siedemnastu tysiącach zakażonych koronawirusem
I 152 zgonach*

Kiedy umiera Poeta
Nad szpitalem lskim płaczą strugi
mgły

*Trwa strajk kobiet przeciwko decyzji Trybunału Konstytucyjnego
W sprawie aborcji w przypadku upośledzenia płodu*

*Episkopat ustami rzecznika twierdzi
Że udział wiernych w protestach proaborcyjnych to grzech*

*Minister edukacji zapowiada zakończenie
„pedagogiki wstydu”*

Kiedy umiera Poeta
nad sanockim rynkiem mgła
wciąż się nie podnosi

*Sondaże mówią o spadku poparcia
Dla rządzącej koalicji*

*Amerykanie szykują się do wyboru
Nowego prezydenta*

Kiedy umiera Poeta
Już tylko mgła nad Połonią Wetlińską
plącze

1.11.2020

Jan Belcik



Fot. archiwum „Frazy”

Janusz Szuber na konferencji
„Poeta czulej pamięci”, sala
konferencyjna Biblioteki
Uniwersytetu Rzeszowskiego
28.05.2008 r.

Ryszard Mścisz

ANDRZEJ TOPCZYJ

– okruchy wspomnień

Zmarł 30 listopada 2020 roku – w dniu swoich imienin, mając 58 lat. Zatem w wieku Macieja Boryny z *Chłopów* Reymonta, nie przypuszczając, że to będzie ostatni jego życiowy i twórczy zasiew. We wrześniu tego roku przeszedł na nauczycielskie świadczenie kompensacyjne, w jakimś sensie uwolnił się od szkolnej monotonii, pragnął wythchnienia po ponad trzydziestoletniej pracy, zwłaszcza że miał pewne problemy zdrowotne. Cieszył się swobodą, możliwością realizacji zainteresowań, pasji. Snuł wiele projektów, także tych twórczych – wszystko to zostało tak szybko i brutalnie przerwane. Padł ofiarą koronawirusa, ale cukrzyca, migotanie przedsionków, a także – już w szpitalu – zapalenie płuc, przyczyniły się do tego, że nie stał się „ozdrowieńcem”, nie opuścił już gorlickiego szpitala.

Dzwoniłem do niego we wrześniu i w październiku, starając się poznać jego samopoczucie po przejściu na to nauczycielskie świadczenie, zakończeniu pracy w szkole. Także dlatego, że jestem w podobnej sytuacji i sam się nad przejściem na tę pozaszkolną „drugą stronę mocy” zastanawiam. Czuł się świetnie, zyskał jakby nową energię, wigor, starał się rozplanować swoje dni, oddać się pasjom, zrobić to, na co szkoła nie pozwalała, zaktywizował się na Facebooku. Tę facebookową aktywność zresztą nie tylko mogłem obserwować, zdarzało się, że połączyły nas polubienia czegoś, choćby nastrojowych piosenek, wymienialiśmy krótko uwagi, coś skomentowaliśmy. Aż tu nagle dotarła do mnie messengerowa wiadomość od żony Andrzeja, Kasi: „Andrzej jest w szpitalu, ma koronawirusa”.

Nie miałem z nią do tej pory jakiegoś internetowego kontaktu, od tego momentu wielokrotnie wymieniliśmy uwagi. Kasia pisała o stanie Andrzeja, zachęcała mnie nawet do kontaktu z nim, pokrzepienia go w chorobie, zdawała mi relację, jaki jest jego stan, na ile może reagować na esemesy i odbierać telefony. Natychmiast powiadomiłem Józka Stalca – byliśmy w końcu taką trójką wiernych przyjaciół od czasu studiów na rzeszowskiej WSP.

Oczywiście napisałem wiele esemesów, podjąłem kilka telefonicznych prób kontaktu z Andrzejem, zdając sobie jednak sprawę, że być może nie jest w stanie zareagować (wiadomości od niego były ograniczone, kontakty utrudnione, także Kasia nie wiedziała dokładnie, jak to wygląda). Raz tylko udało mi się z nim porozmawiać telefonicznie. Głos miał słaby, ciężko mu się mówiło, ale zdawał się być dobrej myśli, był ciekawy, jak się dowiedziałem o jego chorobie, dziękował ze esemesy, wierzył w powrót do zdrowia. Także Kasia zdawała się wierzyć, że będzie dobrze. Aż tu nagle ponura wieść – byłem gdzieś w trasie, w sprawach szkolnych,

i dostałem lakonicznego esemesa od Kasi, że Andrzej zmarł, w dniu, w którym miałem zamiar mu wysłać serdeczne życzenia imieninowe, spróbować połączyć się telefonicznie... Niestety, nie mogłem pojechać na pogrzeb Andrzeja do Biecza. Był na pogrzebie Józek Stalec, był rzeszowski przyjaciel Andrzeja z tego samego roku i jednej grupy Staszek Żyracki (który nazwał go „Wodzem” – co stało się wkrótce bardzo popularne), a także kolega z młodszego rocznika polonistyki – Rysiek Gaber (przez pewien czas był jego współlokatorem w akademiku).

W wierszu *Pokuta* tak o swoim przyszłym (aczkolwiek na pewno nie tak szybkim) odejściu pisał:

Jakże stanę przed Panem? Jakże się ukorzę?
Na tle świetnych zamiarów jaka czeka kara,
Gdy już nie będzie można gorliwie się starać
I łyżką skruchy czerpać strasznych grzechów morza?

W ikonostacie nieba zbawieni i święci:
Tam wąż czasu już minął i nic się nie zmienia,
A ja pod takim niebem, jak wyrzut sumienia,
Zamknięty w jednej klatce z tygrysem pamięci.

Nie opuszczaj mnie Panie! Daj siły by wytrwać,
Nim ciemne ego pęknie jak rozbita szybka
I w sale duszy wpłynie radość przebaczenia.

Niech już jest tak jak było. Niech okrutna Ziemia
Dręczy mnie swą nadzieją i pragnieniem sensu,
Zanim śmierć mnie przebudzi z życia, z kłamstwa, ze snu.

Przewidywał (poetycko) swoją śmierć, czuł, że życie nie ma dla niego odpowiedniej miary lat, w której będzie mógł się rozkoszować wolnością emeryta – pana swojego czasu? Na pewno nie. Któż nie pisze wierszy o śmierci? Może Baczyński w tej szczególnej wojennej rzeczywistości mógł ją przewidywać i napisać: „umrzeć przyjdzie, gdy się kochało wielkie sprawy głupią miłością”. Ale na ile lat przed swoją śmiercią Szymborska napisała *Nagrobek*, a Słowacki (w wieku trzydziestu jeden lat, zanim jeszcze zaczął chorować) stworzył *Testament mój*? Kilka moich szkolnych poetek także pisało o śmierci... Kiedy się spotkaliśmy na wakacjach, przed pandemią, w Bieczu i w Rzeszowie, tyle było euforii, humoru i twórczych projektów. Andrzej miał zamiar wydać kolejny tomik, chciał napisać książkę poświęconą ukochanemu ojcu Aleksiejowi, liczył na większe możliwości, pułc czasu po uwolnieniu się od szkoły. Był tak pełny werwy, młodzieńczego niemal wigoru, co wszyscy dostrzegali, kiedy w marcu 2018 roku „Fraza” świętowała wydanie setnego numeru. Przyjechał do Rzeszowa i czuł się jak przed laty w gronie przyjaciół, dobrych kolegów. A z „Frazą” łączyło go tak wiele, był wśród animatorów tego pisma, które w tym roku świętować będzie trzydziestolecie.

Niespełna dwa miesiące po śmierci Andrzeja, 22 stycznia, zmarła jego ukochana matka Filomena. Przeżyła 94 lata, nie mogła jednak przeżyć śmierci syna, mówiła, że „chce do Andrzeja”. Kiedy odwiedzaliśmy Andrzeja w Bieczu, zawsze wstępowaliśmy do jego rodzinnego domu na ulicy Binarowskiej, wspaniale się rozmawiało z mamą Andrzeja, która mimo wieku zachowywała pewną rześkość, sprawność umysłu. Andrzej śmiał się, że już przed siedemdziesiątką mówiła, że wkrótce będzie umierać, a często – nawet fizycznie – bywała bardziej wytrzymała niż on. Odwiedziny Filomeny Topczyk i brata Andrzeja Staszka – to niemal rytuał, powinność, kiedy tylko z Józkiem Stalcem wybraliśmy się do Biecza, odwiedzaliśmy Andrzeja, który od lat mieszkał na ulicy Parkowej, niedaleko swojej szkoły. Na Binarowską dotarliśmy przed wieloma laty, gdy Andrzej żenił się z Kasią. Józek wtedy zresztą planował już ślub z Iwoną, także chciał założyć rodzinę. I tu mała dygresja – Andrzej i Józek ożenili się w podobnym czasie, mieli trójkę dzieci i... obdarzyli je „literowymi” imionami. Andrzej upodobał sobie literę „A”, a więc pojawili się kolejno: Aleksander, Anna i Alicja. Józek postawił na „M”, więc urodzili mu się kolejno dzieci: Maria, Michał i Maksymilian. Było to parę, paręnaście lat po studiach, kiedy nasze relacje oczywiście już nie mogły być tak częste, bezpośrednie. Z perspektywy czasu – wielka szkoda, że tych wypraw do Biecza było tak niewiele. A z Andrzejem nie sposób się było nudzić i czuć źle – trudno znaleźć równie życzliwego, gościnnego, otwartego na kontakty człowieka.

Kilka lat po studiach miałem okazję odwiedzić Andrzeja i jego Biecz jeszcze przy innych okazjach. Organizowałem wycieczki do Biecza dla uczennic Zasadniczej Szkoły Odzieżowej w Jeżowie, w której pracowałem (miałem niemal same uczennice), a na ostatni taki wyjazd zabrałem już klasę Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie, które zaistniało w 1994 roku, ja zaś zostałem wychowawcą pierwszej licealnej klasy. Andrzej był wyjątkowym przewodnikiem, z pasją mówił o swoim Bieczu, oprowadzał nas i czuwał nad wszystkim niezłomnie. Rozlewał na nas wszystkich ciepło swej osobowości, ale także tryskał wyjątkowym poczuciem humoru – niepozbawionym nuty autoironicznej. A jego Biecz pod pewnymi względami nie był mi obcy. Moja mama pochodziła z pobliskich Lipinek, a brat ożenił się w Pagorzynie. Nałem z racji rodzinnych kontaktów Harkłową, Libuszę, bywałem w Gorlicach, Bieczu czy Jaśle. Kiedy już studiowaliśmy z Andrzejem na polonistycy w Rzeszowskiej WSP, zgadaliśmy się kiedyś na temat tych stron – niejako wspólnych. Powiedziałem, że mieszkająca od lat w USA moja ciotka Irena wyszła za Jana Karpia z Binarowej. Andrzej zaś zapytał: Jaśka Karpia? Parę lat starszego od nas? Przecież myśmy grali razem w piłkę. Okazało się, że między ulicą Binarowską na końcu Biecza a wsią Binarowa była odległość na rzut beretem – rodzina Andrzeja prawie sąsadowała z Karpiami.

Matka Andrzeja Topczykja żyła długo i jak na swój wiek miała zawsze dobrą kondycję. Jego ojciec, którego tak często i z takim uczuciem wspominał (także w naszych wspólnych studenckich latach), zmarł jednak dawno i trudno mu się było z tym pogodzić, pamięć o ojcu była ciągle żywa. Aleksiej Jakowlewicz Topczyk, ojciec

Andrzeja, był Rosjaninem. Nie wiadomo, na ile spowodowało to, że mój przyjaciel uwielbiał literaturę rosyjską, tego rosyjskiego ducha, sposób odczuwania, pisania o świecie i człowieku. Jednak nie tylko w ogromnym czytelniczym bagażu, czytaniu Andrzeja było to widoczne – także jego twórczość ma w sobie ów wschodni oddech. Toteż omawiając pierwszy tomik Andrzeja *Wieczorny chłód*, zatytułowałem recenzję *Dumki na serce, pamięć i duszę*. Anka, córka Andrzeja, jako gimnazjalistka została laureatką Ogólnopolskiego Konkursu Tematycznego „Losy Bliskich i losy Dalekich – życie Polaków w latach 1914–1989”. Nagrodzona została zaś za piękną opowieść o losach swojego rosyjskiego dziadka Aleksieja, który był felcerem, pomagał wielu ludziom i spędził sporo czasu w więzieniu. Ten dobry człowiek był ofiarą stalinizmu, a wcześniej uniknął aresztowania przez NKWD, wybrał polskie obywatelstwo.

Andrzej Topczyk – wspaniały człowiek, przez wszystkich lubiany, podziwiany, czarujący elokwencją i gościnnością, potencjałem twórczym, zdolnościami aktorskimi, znakomitą pamięcią. Mówił o sobie nieco autoironicznie, że był „bieckim szowinistą”, lubił swoje udomowienie, spojrzenie na świat i twórczość z perspektywy własnej kanapy, klimatycznego rodzinnego Biecza. Tak o tym pisał w znanym wierszu *Oda na cześć kanapy*, który właściwie zaczyna drugi numer „Frazy” z maja 1992 roku (później wiersz znalazł się w wydanym w 1998 roku tomiku *Wieczorny chłód*):

Tak to jest, kanapo – siostró i kochanko.
Bołą złamane kości. Łysiejąca głowa
Chętniej do twego pluszu nachyla się sennie,
Niżli w stronę ciemnego dwuznaczności słowa.

Ten szum znaków, kanapo, te ciężkie milczenia...
Ten blask to nie dyjament lecz płonąca słońca.
Uciekam od twych ogni w stronę twego cienia,
Bo tyś jest moja twierdza i moja obrona.

Ty – pustko doskonała niczym obojętność! –
Pozwalasz, by w uśpieniu błędziły melodie
I tworzeniem nie niszczysz możliwego piękna
Niedośnionych ogrodów zatrzymanych przed słowem.

Patronuj dalej myślom ukrytym w ciemności.
Ochraniaj, siostró, moje niestworzone światy.
Na tych wyspach gdzie trwamy i karmimy marność
Nic już nie ma znaczenia – prócz ciebie kanapo.

Kanapa jako azyl, pewna ostoja w schulzowskim labiryncie życia, a może jakieś centrum egzystencji w duchu *Kartoteki* Różewicza? To poczucie bezpieczeństwa, zatrzymania w wirze zdarzeń, miejsce rodzenia się myśli, twórczych inspi-

cji, autoironicznej refleksji w duchu Staffa, który był „pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu”. Biorąc pod uwagę całokształt działań, aktywności, zainteresowań Andrzeja Topczyży, to jednak także baza wypadowa, chwila zatrzymania, wypoczynku i zmierzenia tego, co za nim i przed nim. Nie był wszakże kanapowcem, któremu wystarczy codzienna gazeta i telewizyjne okno na świat...

*

Poznaliśmy się wraz z początkiem roku akademickiego 1981/1982 jako studenci pierwszego roku polonistyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, którzy zwycięsko przebrnęli przez egzaminy wstępne. Pierwsze spotkanie to ostatni dzień września, kiedy ulokowaliśmy się w akademiku Laura, a los przydzielił nam sąsiednie pokoje. Ja przyjechałem z Jeżowego (na trasie Nisko–Rzeszów), Józek Stalec z poddębickiej Brzeźnicy, w pokoju obok Andrzej Topczyk z Biecza i Bogusław Czternastek z Radymna (wielki oryginał, który po pierwszym roku się z nami pożegnał – przynajmniej jako kolega ze studiów). W październiku się poznawaliśmy, docieraliśmy, rodziła się przyjaźń (los nie był chyba ślepy). Oczywiście nieco wystraszeni, próbowaliśmy się także zasymilować z uczelnią i rolą studentów polonistyki. W akademiku cały czas razem, obok siebie, na uczelni po części osobno, rozdzieleni na „alfabetyczne” grupy – w końcu to: „M”, „S” i „T”. W książce *Miłosz listy píše* pod redakcją Jana Wolskiego, która została wydana w 2011 roku przez WiMBP w Rzeszowie, Andrzej Topczyk tak te początki wspomina w dedykowanym w dużej mierze Czesławowi Miłoszowi tekście *Sto lat współczesności*:

Tak było, aż nastał szczęśliwy październik 1981 roku, gdy stałem się studentem rzeszowskiej WSP na kierunku filologia polska. Teraz była już tylko literatura! W pokoiku Domu Studenckiego „Laura”, na X piętrze, wzniesieni ponad Rzeszów, w pogodnym październikowym zmierzchu siedzieliśmy – Rysiek Mścisiz, Józek Stalec, Boguś Czternastek, ja (czy ktoś jeszcze?... nie pamiętam) – żartując i rozmawiając o wszystkim, czyli o niczym, gdy nagle uświadomiłem sobie: Tylko literatura! I uczucie absolutnego szczęścia, że wreszcie wolność przynajmniej przez kilka lat. Wolność? Od czego? Od tego świata w dole? Od dwulicowości partyjnego urzędnika, który – słyszałem w czasie oficjalnego spotkania w szkole – gloryfikował polski socjalizm, przeciwstawiając go sanackiej biedzie, a w domu obok świętych obrazów powiesił ozdobny cepeliowski talerz z orłem w koronie? Od kartek żywnościowych? (Cholera! Ilość możliwych do kupienia paczek papierosów była na tych kartkach stanowczo za mała!!!) Od cynizmu władzy? W każdym razie w ten wieczór – szybko zresztą rozeszliśmy się do swoich dwuosobowych pokoi i położyli spać, bo rano na zajęcia – nic nie było tak ważne, jak perspektywa zajmowania się literaturą, prowadzącą do pełnego opisu i zrozumienia świata.

Tak, to były piękne czasy, sielskie wręcz, jeśli brać pod uwagę rodzenie się młodzieńczej przyjaźni, idealistyczne zapęły związane z polonistycznymi studiami (choć żartowaliśmy też, że z uratowaniem się przed służbą wojskową), początki bratania się z literaturą już tak na poważnie i przeobrażania się z uczniów w studentów. Ale ten rok akademicki okazał się bardzo trudny, hartujący nas nie tylko

naukowo. Szybko wszak nastąpiły strajki studenckie i przerwanie normalnego trybu nauki, potem miesiące stanu wojennego i odwołanie pierwszej sesji egzaminacyjnej (a w zasadzie jej przełożenie na koniec roku akademickiego). Andrzej (w późniejszym czasie mianowany przez Staszka Żyrackiego na „Wodza”) był dla nas ostoją, jego silna i wyrazista osobowość, pewna dojrzałość, ale też styl bycia, szczerść i spontaniczność w kontaktach, otwartość i wyjątkowe poczucie humoru nakazywały dobrowolnie poddawać się jego „władzy”. A właściwie urokowi (płeć piękna też nie była przed nim chroniona).

Andrzej bywał rozdarty, rozkojarzony, zapalał się do zbyt wielu projektów i nie zawsze je doprowadzał do końca, realizował, pojawiały się bowiem kolejne urzeczenia, zadania, porywy. Ale czyż to nie cecha ludzi wielkich – w końcu sam Leonardo da Vinci był taki? I ja także w tych okrucinach wspomnień będę pewne tropy inicjował, porzucał, nie mając zamiaru ani możliwości kreślenia pełnej biografii Andrzeja Topczyja – na którą niewątpliwie zasługuje.

Skoro wspomnienie studenckich początków jakoś połączyło się z zauroczeniem Miłoszem, pójdźmy tym tropem. We wspomnianej książce *Miłosz listy pisze* znajdziemy bowiem nie tylko jego tekst, ale także list od Czesława Miłosza do Andrzeja. Kieruje w nim nasz noblista do Andrzeja Topczyja takie słowa:

Szanowny i Drogi Panie, Otrzymałem Pana list z 24 marca b.r. i tomik *Wieczorny chłód*. Niestety, na liście Pana nie było adresu nadawcy, a opakowań nie przechowuję. Mam nadzieję, że ten list jakoś do Pana dotrze. Z uwagą przeczytałem Pana książkę. Świadczy ona o dużym talencie, a zarazem jest niejednolita, to znaczy są tu wiersze jakby z różnych okresów i pisane pod wpływem różnych patronów. Zwróciłem też uwagę na użytek rymów. [...] Ale tomik zapowiada wybitnego poetę dwudziestego pierwszego wieku, który to, co ciągnie go jeszcze do poezji dwudziestego wieku powinien gruntownie przemyśleć. Łączę najlepsze życzenia Czesław Miłosz.

Uznanie Miłosza nie dotyczy oczywiście studenta pierwszego roku polonistyki, który zaledwie dokonuje twórczych prób, ale już ukształtowanego twórcy, który kilkanaście lat po studiach wydał swój debiutancki tomik *Wieczorny chłód*. Lata studiów i czytania w literaturze, wymiana myśli i twórczych doświadczeń ze studenckimi kolegami (a przecież tworzyli: Janusz Koryl, Józef Stalec, Stanisław Dłuski, Mariusz Kalandyk, Grzegorz Kociuba, Stach Ożóg, Zbigniew Guzy, Alicja Ungehauer i inni), inspiracja i patronat duchowy ze strony profesora Józefa Nowakowskiego, do którego zawsze się przyznawał, oraz własny twórczy rozwój doprowadziły do tego debiutu i uznania wielkiego poety, na które nie każdy może sobie zasłużyć. A historia tomiku, którego miejsce wydania określone jest jako w Chicago-Rzeszów, ma w sobie coś wyjątkowego. To przyjacielski gest wobec Andrzeja ze strony Romana (był naszym młodszym kolegą na polonistyce, którą zresztą przerwał, wyjeżdżając do Chicago) i Anny Harmatów, którzy zza oceanu taki wyjątkowy prezent przysłali Andrzejowi (miejsce druku: „Nowe Życie” w Chicago). Wydany został on w 1998 roku. W recenzji, która ukazała się w numerze 2–3 „Frazy” z 1999 roku, napisałem m.in.

Ponieważ jest to spóźniony debiut poetycki, znalazła się tu spora porcja poezji z różnych lat: 54 wiersze ułożone w 6 cykli (*Oktostychy, Głosy, Gladiator, Kalejdoskop, Wieczorny chłód, Śpiew w ogrodzie*). Znalazły się wśród nich między innymi wszystkie wiersze znane z „klasycznego” już zbiorowego tomiku Grupy Literackiej „Draga”, wydanego przez Frazę w 1992 roku – *Ślepcy pod słońcem*. Myślę, że znalazły się w *Wieczornym chłodzie* najważniejsze wiersze poety, zwłaszcza z ostatnich „biekich” lat. Znam wprawdzie kilka wierszy z różnych okresów działalności twórczej Andrzeja Topczyja, których w tym tomiku nie ma, a ukazały się w różnych almanachach bądź pismach literackich (*Impresja, Fragment, Renesans. Bajka, Gdzieś indziej, Ziemia, O jednoznaczności statystyki, Expressis verbis*). *Wieczorny chłód* jest jednak zbiorkiem dopracowanym i zwartym, w swym artystycznym wyrazie „pełnym” – widocznie „rozminęły się” z koncepcją autora. W pewnym stopniu to być może sprawa opóźnienia debiutu. Jest szansa, że kiedyś i one trafią do czytelnika, choćby jako „Wiersze rozproszone”, rodzaj poetyckiego „pamiętnika” w kolejnym zbiorze. Niektóre z nich ukazały się w pierwszych numerach „Frazy”, Andrzej Topczyk bowiem ma na koncie publikacje (nie tylko poetyckie) w naszym piśmie, a jako jego współpracownik odnotowany jest jeszcze w 14. numerze „Frazy” z 1996 roku. Później zamilkł.

Jest w recenzji oczywiście dość obszerna interpretacja kolejnych wierszy z tomiku, motywów tematycznych, omówienie cech poetyki, wliczam pewne jego twórcze inspiracje. Posiłkuję się jednak także głosami innych, którzy wypowiedzieli się o poezji Andrzeja Topczyja wcześniej. Szczególnie istotna wydaje mi się opinia naukowego guru Andrzeja z rzeszowskiej WSP, profesora Józefa Nowakowskiego, recenzując wydany w roku 1986 almanach poetycki *Czas owocobrania*, napisał m.in.

Nowoczesność jego liryki polega na bogactwie wyobraźni, intelektualnym skomplikowaniu i opanowaniu sztuki nowoczesnego wiersza, który wycieniowuje ostrość niezwykłych skojarzeń. Topczyk jednak rezygnuje z czysto osobistego przeżycia emocjonalnego czy moralnego. Tworzy poezję typowo intelektualną, wprowadzającą nas w krąg bogactwa doświadczeń form kulturowych [...] możemy nawet mówić o swoistym przerafinowaniu intelektualnym Topczyja, o pewnym chłodzie i dystansie w stosunku do tematu i tworzonych obrazów. W tym sensie jest on poetą-ironistą, przy czym ironia jest rdzeniem jego poetyckiego światopoglądu.

*

Stosując metodę hiperłącza (czy hiperlinku), kiedy wspominałem o frazowej obecności Andrzeja, odniosę się teraz do tego nieco obszerniej. Andrzej Topczyk rozstawał się uczelnią nieco opornie, to znaczy przedłużał na różne sposoby swoją obecność i aktywność na uczelni (pewnym przerywnikiem był dla niego pobyt w wojsku, roczna służba „przysługująca” wówczas po ukończeniu studiów). Jednak same studia – ostatecznie jeszcze czteroletnie, mimo planów ich wydłużenia – przedłużył sobie, zaczynając drugi kierunek: filologię rosyjską. Przy tym na uczelni i u studenckich kolegów regularnie bywał, włączał się w różne inicjatywy, także w wydanie pisma literacko-artystycznego „Fraza”, którego pierwszy numer ukazał

się w październiku 1991 roku. W tym numerze, w ramach prezentacji „młodej poezji rzeszowskiej” pojawiły się wiersze Andrzeja Topczyja: *Wiara. Nadzieja. Miłość, Impresja i Huśtawka*. I tu mała dygresja – polonista Dariusz Żak, którego krótkie utwory prozą sąsiadowały z wierszami Andrzeja, zmarł później prawie w tym samym czasie, co on (w grudniu). Ale to nie wszystko, z czym pokazał się chwalony później przez Miłosza poeta. Był też w tym numerze zupełnie inny tekst: *Pasja według Antoniego (o malarstwie Antoniego Nikla)*. W drugim numerze „Frazy” (z maja 1992 roku) pojawiła się *Oda na cześć kanapy* Andrzeja Topczyja (o czym już była mowa). Od numeru 3–4 (maj–październik 1993 r.) wymieniany jest on jako członek zespołu redakcyjnego, współpracownik „Frazy” i pozostaje nim do numeru czternastego z 1996 roku. Nietypowa prezentacja Andrzeja Topczyja jako twórcy ma miejsce w numerze 5–6 „Frazy” (zima–wiosna 1994). Nie pojawia się (podobnie jak Józek Stalec) w prezentacji Grupy Literackiej „Draga”, ale w „Dokumentie Literackim” jest jego wiersz *Expressis verbis* z redakcyjnym dopiskiem: „Autorowi najlepsze życzenia i kondolencje z okazji zawarcia związku małżeńskiego składa Grupa Draga”.

W numerze ósmym „Frazy” (z roku 1995) w ramach prezentacji Grupy Literackiej „Draga”, którą tworzyli także: Stanisław Dłuski, Mariusz Kalandyk, Grzegorz Kociuba i Józef Stalec, zaprezentowany został wiersz Andrzeja Topczyja *Monolog w Świątę Zmarłych*, dedykowany profesorowi Nowakowskiemu. Przynależność do tej grupy i kultowe wręcz jej wydawnictwo – tomik *Ślepcy pod słońcem* w ramach Serii Poetyckiej „Frazy” – to kolejne pole działalności i dokonanie Andrzeja. W tym numerze „Frazy” zresztą ma miejsce dyskusja pokoleniowa *Ślepcy pod słońcem?*, w której jest on bardzo aktywny. Warto zacytować fragment interesujących przemysleń Andrzeja Topczyja:

A teraz odpowiedź na pytanie przez co byliśmy formowani? Byliśmy formowani przez telewizję lat 60., przez Kościół lat 70., szkołę lat 70., w jakimś sensie też 80., która przynosi więcej wątpliwości i chaosu niż uporządkowania. Sądzę, że nasza duchowa konstytucja jest dość dziwna. Ukulem sobie nawet na prywatny użytek termin: „zdradzeni przez kulturę” – na określenie naszego pokolenia. Termin, jak każdy, nawet ładnie brzmi, ale gdyby się nad nim zastanowić, co on oznacza? Czy kultura nas zdradziła, czy my ją? Muszę się przyznać, że bardzo dobrze słuchało mi się gierkowskiej propagandy i tych bzdur, że jesteśmy dziesiątą potęgą ekonomiczną świata. Ten typ kultury, który można było śledzić w telewizji, czy oficjalnych publikacjach, czy słyszeć na kazaniach, nawet wzajemnie się uzupełniał. Okazało się, że zadaniem naszego pokolenia jest realizowanie w gruncie rzeczy bardzo szczytnych haseł. Socjalizm udawał dobrego sam przed sobą i nie jest to bynajmniej moje odkrycie. Kiedy wychodziło się spod skrzydeł rodzinnego domu, zaczynało się w miarę samodzielne życie, chociażby jako student, okazało się, że nie możemy do tej rzeczywistości dorosnąć, że świat, który funkcjonował w naszej świadomości przerasta nas, czyli – jak pisał Gombrowicz – nie mogliśmy wewnętrznie naszej kulturze sprostać. To, co naszemu pokoleniu wbito w głowy, pewien system wartości, pewien

porządek, w konfrontacji z realnym socjalizmem okazał się całkowicie nieprzydatny. Kultura najpierw doprowadziła do wykształcenia specyficznego typu świadomości (tu przez świadomość rozumieni określoni typ oglądu rzeczywistości), a następnie rzeczywistość pokazała swoją gębę. Okazało się, że ta rzeczywistość, jaką serwowała kultura, całkowicie nie przystaje do tej rzeczywistości, z którą zderzamy się na co dzień. I nie było tu już żadnych możliwości dopasowania się do kultury, realizowania tego sposobu życia.

Aktywność Andrzeja Topczyja we „Frazie” stopniowo malała, aczkolwiek utrzymywał kontakty z redakcją pisma, kolegami, którzy ją tworzyli. O tym, że jego twórczość była wyrazista, miała swój styl, poetykę zaświadcza choćby ówczesny redaktor naczelny „Frazy” – Stanisław Dłuski. W numerze osiemnastym z 1997 roku zamieścił swój wiersz *Bóg poetów (stylizowany na Andrzeja Topczyja)*. Nader interesujący powrót Topczyja do aktywności we „Frazie” miał miejsce w numerze 2–3 z 1999 roku – tym samym, w którym ukazała się moja recenzja tomiku *Wieczorny chłód. Dziennik galicyjski* to obraz jego duchowej, intelektualnej i twórczej osobowości, dzieło odsłania także charakter, poczucie humoru i pewien dystans do siebie – tak charakterystyczny dla Andrzeja. Kilka lat później miało miejsce kolejne twórcze wejście Andrzeja Topczyja, obrazujące skalę jego talentu. Ukazały się wtedy jego wiersze: *Liryka opisowa*, *Brahms według Mahlera* i *Przemiany (o czym stukają koła pociągu)* oraz prozatorskie *Miasteczko (gawęda postgalicyjska)*, będące fragmentem dłuższej całości, której już jednak za pośrednictwem pisma nie poznaliśmy.

W 2009 roku Towarzystwo Kulturalne Bieczu i Regionu im. bp. Marcjana Kromera wydało drugi tomik Andrzeja Topczyja *W stronę ulicy Parkowej*, który również zrecenzowałem dla „Frazy”. Tym razem jednak była to niejako recenzja łączona, albowiem omówiłem wraz z tomikiem Andrzeja inny „biecki” zbiorek: *Plac Kromera* Janusza Pasternskiego. Ukazała się ona we „Frazie” numer 1 z 2010 r., a o tomiku Andrzeja napisałem m.in. tak:

Zauroczenie Bieczem, twórcze oddanie się miastu wcale zresztą nie oznacza pełnej unifikacji w sferze poglądów, skali odczytań czaru, metafizyki owego miejsca. W wierszu *Wyświetlenie* pisze Topczyk: „I klóćąc się celebруем naszą miłość do Bieczy, / Zamiast iść najprostszą drogą”. Jak w zbiorze wierszy Pasternskiego, tak i u Topczyja miłość do tego szczególnego miejsca, z którym zespoliło ich życie, nie przeszkadza w otwartości spojrzenia na świat, ciekawości zgłębienia filozofii życia innych ludzi, twórczych podniet, które im towarzyszą. Jak u Pasternskiego możemy odkryć ową nostalgię, harmonię doznań, pewną ich apollińskość, to Topczyk potrafi być bardziej dionizyjski, buntowniczy, cygański i kozacki. Często zresztą dokonuje się to poprzez powroty do młodych, buńczucznych lat w spokojnej scenerii wieku męskiego, kiedy „kolejne piwo szybko pije” (wiersz *Dlatego że*) czy gdy „wsparty o parapet patrzy wzrokiem smętnym” (*W stronę ulicy Parkowej*).

Ulica Parkowa wydaje się łączyć z buntem Andrzeja Topczyja przeciw skomercjalizowanemu światu, w którym „Lepiej żyć po cichutku... Szekspira nie czytać” (wiersz *Wesoły dekadent*). Pobrzmiwają tu jednakże i motywy życia w trasie (*Po-*

dróż), krakowskie reminiscencje z młodości (*List do emigrantki*) czy ma miejsce przywołanie zapomnianej nieco znajomości (*Dziewczyna o oczach Bazyliszka*). Ten bunt dotyczy także owego ustatkowania się, zasiedziałości, którą wszakże – na zasadzie paradoksu (jak przeciwstawienie spokoju i burzy w *Portrecie poety*) w wielu wierszach poeta gloryfikuje.

Warto dodać, że w roku wydania tomiku Andrzej Topczyj został wyróżniony w Konkursie Poetyckim im. R.M. Rilkego. Nie brakuje więc tych dowodów jego poetyckiej klasy, twórczego potencjału i rozpoznawalności stylu, aczkolwiek objawia się ze swoją poezją nie tak często, zachowuje w tym względzie pewien dystans, można rzec wstrzeźliwość.

*

We „Frazie” pojawił się Andrzej Topczyj jeszcze tylko raz. W numerze trzecim z 2014 roku ukazał się jego wiersz *Muzyka w ogrodzie*, podzielony na cztery części odpowiadające porom roku. Nie przesłał nic do numeru jubileuszowego – „Frazy” numer dwa z 2018 roku, który był setnym numerem pisma. Pojawił się jednak, jak już wspomniałem, na jubileuszowej uroczystości i wspólnie zaznaczył tam swoją obecność.

Wspomniane publikacje i przejawy twórczej aktywności Andrzeja Topczyja nie wyczerpują wszakże bogactwa jego działań, pozostaje cała sfera jego działalności szkolnej, związanej z Bieczem i regionem. Współpracował między innymi z twórczym nauczycielem, Jackiem Szurkiem – starszym kolegą, polonistą, który go uczył i z którym potem pracował w szkole. Zagospodarował księgozbiór Jacka Szurka w swojej szkole, czynił wiele, by go upamiętnić, pokazać jego dokonania. Jako nauczyciel języka polskiego w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Bieczu zaskarbił sobie wielkie uznanie i sympatię uczniów, o czym świadczą także liczne wpisy, komentarze po jego śmierci. Szkoła żegnała go na swojej stronie internetowej, ujmując jego dokonania następująco: „Śp. Andrzej Topczyj zapamiętany zostanie jako znakomity polonista, wielki pasjonat, znawca historii literatury i bibliofil. Był oddanym uczniom człowiekiem o wielkim sercu, wrażliwości i poczuciu humoru. W LO w Bieczu pracował w latach 1987–2020”.

Działal Andrzej Topczyj bardzo aktywnie jako lokalny animator kultury. Był jednym z założycieli Klubu Inteligencji Twórczej, a jej Dyrektor Generalny, Zbigniew Kurasz, żegnał Andrzeja takimi słowami:

Imieniny Andrzeja, 30 listopada 2020 roku. O godz. 10.30 otrzymałem telefoniczną, bardzo smutną wiadomość: Andrzej Topczyj zmarł. Wiadomość smutna, płacziwa jak ten listopadowy, dżdżysty dzień. Myśli zakotłowały, przed oczyma stanęła cała nasza długoletnia znajomość, spotkania Klubu Inteligencji Twórczej i nie tylko, dyskusje o sztuce, życiu, przemijaniu.

Jestem to winny Andrzejowi i chcę przypomnieć genezę powstania i działalność Klubu Inteligencji Twórczej. Klub ten powstał z inicjatywy mojej i Andrzeja w 1999

roku. Jest to grono przyjaciół, których połączyła atencja do sztuki i potrzeba wymiany słów, obrazów, tonów, a także często myśli. Powstał także po to, aby zainteresować zwykłych zjadaczy hamburgerów dziedzictwem kulturalnym Biecza, Pogorza, Polski i Europy. Spotkania klubowe odbywały się najpierw w piwnicach Domu Zbója Biecza, w Muzeum Ziemi Bieckiej, Bibliotece, a od 2003 roku w piwnicach pod ratuszem. Były one połączeniem benefisu artystów i osób zasłużonych dla Biecza, wernisażu prac plastycznych, kabaretu i wieczoru muzycznego. Intencją założycieli było zorganizowanie platformy wymiany doświadczeń artystycznych, umacnianie tożsamości lokalnej i promowanie tysiącletniej spuścizny historycznej Biecza.

Andrzej Topczyk był Dyrektorem Artystycznym Klubu Inteligencji Twórczej. Był pomysłodawcą oryginalnej nazwy naszego Klubu, hymnu klubowego i autorem większości scenariuszy naszych spotkań. Z wdzięcznością myślę o ś.p. Andrzeju – Przyjacielu, Człowieku wielkim swoją skromnością i życzliwością, poccie, bieckim patriotcie aż do bólu i animatorze kultury.

Krótkie wspomnienie Przyjaciela kończę cytatem Jego wiersza pt. *Wyświetlenie* z tomiku *W stronę ulicy Parkowej*:

Biecz znowu żegnał swojego rycerza,
A z chóru płynęła przejmująca wiclogłosowa
Cisza.

*

Nie jestem w stanie odsłonić całokształtu tych jego bieckich dokonań. Wiem na przykład, że fragment jego wiersza *Wyświetlenie* stał się mottem wystawy malarstwa Ewy Słobodzian, zorganizowanej przez Klub Profesora AGH w Krakowie. Ile jednak tych działań nie jest mi znanych, o ilu zorganizowanych przez niego spotkaniach (jestem pewien, że prowadził je znakomicie, bo to „w stylu” Andrzeja, ale szczegółów nie znam) nie wiem, ilu rzeczy mogę jedynie próbować poszukać w zasobach Internetu, jak wiele – nawet przed tym zdawałoby się wszechwładnym medium – jest ukrytych, tajemnych, zapomnianych?

Człowiekowi związanemu z „Frazą” nie wypada używać frazesów, ale jestem pewien, że wielkość dokonań Andrzeja Topczyja dopiero doczeka się opracowania, odkrycia. Nie mam wątpliwości, że w zasobach pamięci jego bliskich, znajomych z różnych kręgów, ale także w komputerze, wśród stosów „papierów”, rękopisów, które po sobie pozostawił, kryją się liczne dopełnienia tego, co napisałem, twórcze suplementy, dzieła czekające na wydanie i niedokończone. Tak, Andrzej Topczyk w tym sensie wciąż żyje, skrywa tajemnice, sekrety żywego, twórczego umysłu. I ja, który przed Wami te okruchy wspomnień rozsypuję, sam jestem ciekaw tego, czego nie wiem, co wciąż czeka, dopomina się ujawnienia, wydania, odkrycia przed światem.

TO NIE TAK MIAŁO BYĆ

Andrzejowi Topczyjowi

To nie tak miało być tyle jeszcze chciała
z Tobą wysiedzieć kanapa
książki ustawiały się w kolejce
bieckie ścieżki wciąż wyglądają
Twoich kroków oswojonych oczu

u nikogo ironia nie miała tyle ciepła
najlepiej w życiu wychodziło Ci
łowienie serc przytulanie słów
choć obstawiałeś wypadanie włosów

okadzone papierosowym dymem
podtopione w kawie choroby
chwiały się ale nie myliły kroków
Twoja Kasia do domowego ogniska
wrzuciła kamień węgielny czasem
torowała drogę przez życia chwasty
i wykroty ku światom zaczarowanym
w księgi

uczucia przelewałeś na konta dzieci
częstowałeś rozwijałeś z papierków
mądrość nie zawsze była słodka

a dla starych przyjaciół zawsze
odkrywałeś swą młodość
na wieczność i na przekór

wybacz że dzisiaj te metafory
tak dosłowniej uczucia wolą
zwykłe codzienne ubrania
chęć być przecież na co dzień
nie od święta gościnnie

jeszcze głos Twój tak mocny
zapał jeszcze tak świeży

dobiegają nie z tego już świata

Andrzej Topczyj

Naród kretynów, którymi mają prawo rządzić łajdacy.

Prof. Andrzej Nowak

Rozstałem się dzisiaj z Polską,
(Więc powinno mi być bosko)

Z krajem tchórzy i łajdaków
Pięknych jak niebieskie ptaki.

Którym nie do pracy tęskno,
Ale w poszlacheckie piękno,

By tam się w luksusie pławić
I u bliźnich budzić zawiść.

*

Innym *Marsz żałobny* zagram;
Tym w Katyniu i tym w łagrach

Tym z wąwozu Samosierra,
I żołnierzom od Kleberga.

Robotnikom z Stoczni Gdańskiej,
Emigrantom i wygnańcom

Także wszystkim tym niewinnym,
Co nie żyli kosztem innych.

Tym naiwnym, niczym dziecko,
Którym marzy się niemieckość.
Którym śni się sznyt niemiecki.

Przestraszonym groźną miną,
Wojtka, Loni, czy Putina,

Konformistom różnej maści
Myśmy mali, myśmy prości,

Nienormalną polską szopę
Pieniądz zmieni wnet w jEwropę
(Którzy wierzą w jEuropejskość)

Obojętnym jak kamienie --
Nie mam nic do powiedzenia.

*

Dziś nieliczni zbuntowani
W marszu wloką się z różami:

*„Chociaż zwą nas moherami,
Przecie my nie rozrabiamy...”*

Polski nie da się zrozumieć...
Pewnie lepiej, żebym umarł.

13 grudnia (19.16.) w rocznicę stanu wojennego, po marszu protestacyjnym

Siedzimy sobie. Nic się nie dzieje.
Rządzą cwaniaki i złodzieje.

Duszpasterzowie też siedzą cicho,
Bo droższe portfel oraz micha.

Pisarczykowie gazetowi
Liczą się z każdym swoim słowem.

A wykształciuchy przed ekranami
Słyszają z ekranów co myślą sami.

27 grudnia (sobota) 2014

JUŻ PO BÓLU (ĆWICZENIA Z ANAFORY)

Już jestem zimny jak karafka wódki:
Już śmieszą mnie przyczyny, już nudzą mnie skutki.

Już nawet mi się nie chce o sensy się spierać:
Znudziło mi się także – ubierać, rozbierać...

Takóż przestałem tęsknić do sławy i złota,
I do jej „ócz zielonych” – jak sen o dobroci.

Już wolny – więc szczęśliwy, prawie obojętny –
Patrzę jak śnieg radośnie pada na sad smętny.

8 grudnia 2014

MONOLOG Z JUDYMEM

Zmieniły się symbole, nastąpiła wolność, ale reglamentowana, poglądów. Można poglądy głosić na ulicy, choć nie za głośno, by nie zakłócać spokoju. Można mieć odrębne zdanie niż rządzący i elity III RP, ale wtedy trzeba się liczyć z tym, że kariery się nie zrobi i pieniędzy się nie zarobi. Zmiany najlepiej osądzać po ich skutkach. A skutki transformacji są takie, że nomenklatura PRL-u, czyli udający komunistów cynicy, którzy rządzą u schyłku PRL-u, wyposażyli znakomicie siebie i swoje rodziny na przyszłość, zarówno od strony materialnej jak i prestiżowej. Oni są dziś wychwalani, mają realną władzę w wielu ważnych środowiskach. I uchodzą za autorytety.

W. Gadowski, *Hipokryzją jest mówienie, że zerwaliśmy z PRLem i mamy niepodległe państwo. Tak nie jest.*

„Polityka”, 30 grudnia 2014

Dobry lekarz, doktorze, ale lubi pieniądze,
Bo przecież ma rodzinę, a więc pusty portfel.
Podczas naszej rozmowy ukradkiem spogląda,
Czy zostawiam kopertę na stole przy oknie...

Dobry prawnik, doktorze. Dbą o wizerunek,
Lecz po biedzie młodości na luksusy jest chciwy.
Irytuje go wątroba mego „podarunku”:
„Tu jest sąd, proszę pana, a nie sprawiedliwość”.

Kapłan wielce uczony i filozof tęgi.
Ale, wierz mi doktorze, że prawda jest szara.
I kiedy mszę odprawia, to zaciska zęby,
Żeby głośno nie krzyknąć, że utracił wiarę.

Wychowawca niezgorszy, nauczyciel przedni,
Od lat nie zaprzestaje rozpoczętych studiów,
I mruczy, gdy otrzyma zapłatę za „korki”:
„O człowieku i świecie to my wiemy – gówno”

Politycy, doktorze, tylko pryncypialni:
Deklinują wartości, w prawdzie stoją twardo
Tylko w gronie najbliższych łajdaków, jak oni,
Kombinują jak z forsą wydoić to stado.

Na koniec żurnliści, choć to pierwsza władza
Co czuje pismo nosem, i dość jej „dwie słowie”
I tak pismaki chętnie politykom kadzą
Okłamując i trzodę i elitę pogłowię.

Czy do takiej przyszłości tęskniłeś namiętnie?
Czy takiego, doktorze, pragnąłeś narodu?
Bezdomni za dom łatwo oddadzą swą wolność:
Za byle kąć do spania i za talerz grochu.

24 grudnia (wigilia) 2014

TY MI WYBACZYSZ

Ty mi wybaczysz, że nie mogłem
Składać o Tobie ckliwych wierszy
I opisywać skręty drogi,
I wszystko co tu po raz pierwszy.

Jakoś nie mogłem z Twych uliczek
Splatać opowieść z mocną puentą
I na sylaby znów przeliczać
Twoje chropawe często piękno.

Lecz drogie są mi w twoich murach
(A raczej ich żalonych resztkach)
Po zlasowanych ceglach dziury
W których pokrzywa i mech mieszka.

Niczym wspomnienie o miłości,
Wspomnienie zaprawione wstydem,
Przy wieży strojnej wysmukłością
Koślawy ratusz stoi grzybem

Dom zbója Becza w rogu rynku,
Kiedy latarnie go oświecą,
I płynie jazgot z wnętrza szynku,
Jest niczym dama bez gorsetu.

Mijając przerwy w zabudowie
Drażniące jak zbita żarówka
Lepiej już podejść ulic słowem
Pod ciemną bryłę Kromerówki.

Możesz o drzwi zamknięte wsparty
Patrzeć na wieżyc piki ostre,
Attykę bramy, tynk przetarty,
Łby kocie granatowej kostki...

A za ceglanym, niskim murem,
Obok parafi bryły prostej,
Straszy moderną i turpizmem
Z silikatowej cegły monstrum.

Trzeba się zgodzić, że miasteczko
Sennej prowincji; nafty, świeczek,
Zawilgłych piwnic, skarp nad rzeką
Zwie się Królewskim Miastem Bieczem!...

Szkoda, że nigdy nie dorośli
Twoi mieszczanie do tej nazwy
I nie zrobili, chociaż mogli,
Dzieł na Twą miarę równie sławnych.

A może tak jest właśnie lepiej;
nieważne dni leniwie płyną
I sam Biecz pewnie dobrze nie wie,
Czy być pomnikiem, czy ruiną.

Andrzej Topczyk

Janusz Pasterski

Notatnik otwarty

POETA I SZTUKMISTRZ Z BIECZA

Pierwszy wiersz Andrzeja Topczyja przeczytałem w „Widnokręgu” w roku 1983 albo 1984, kiedy zamieszczono tam niewielką prezentację młodej poezji studenckiego Rzeszowa. Przypominał trochę utwory Tuwima i opisywał nudę sennej, tłustej od upału niedzieli gdzieś na dalekiej i cichej prowincji. Spodobał mi się od razu, ponieważ odczuwałem wówczas dokładnie to samo. Jak głosiła notka w tej rubryce z poezją, były to wiersze autorów ze studenckiej grupy poetyckiej „Spatium”. Nigdy już potem o takim kręgu poetów nie słyszałem, więc ta publikacja jest dzisiaj może jedynym (jednym z niewielu?) świadectw jej istnienia. Andrzeja znałem już z bieckiego liceum. Był starszym kolegą, zawsze uśmiechniętym, rozdyktowanym, z pasją odnoszącym się do literatury. Już wtedy było wiadomo, że myśli poważnie o polonistyce. Ze swoim profesorem od języka polskiego Jackiem Szurkiem toczył zwykle długie rozmowy, przenosząc je nawet już po lekcji na korytarz czy na ławkę przed szkołą. Błyskotliwy i dowcipny, był duszą towarzystwa, zawsze gotowy do pogawędki czy długiej dysputy.

Studiował polonistykę w ponurym czasie stanu wojennego i późniejszych, jałowych lat pogrudniowych. Już wtedy sporo pisał, choć publikować nie było gdzie.

Występował za to z powodzeniem na niezwykle wtedy popularnych Sejmikach Poezji, organizowanych przez Sekcję Twórczości Literackiej przy Kole Naukowym Polonistów WSP w Rzeszowie. 12 kwietnia 1984 roku wygrał III Sejmik Poezji wierszem *O jednoznaczności statystyki*. Pamiętam, jakie wrażenie na pełnej sali klubu Pod Palmą zrobił rok później jego *Wiersz o miłości*, w którym zabawnie i finezyjnie schlebiał zaskoczony publiczności. Oklaskom nie było końca. Bezpośredni kontakt ze słuchaczami, improwizacja, żart, rozbrajanie powagi humorem to był jego żywioł. Nikt nie miał wątpliwości, że jego pisanie i występy wywodzą się



Fot. Archiwum rodzinne Topczyjów

Andrzej Topczyj

z tradycji bohemy artystycznej. Andrzej – spóźniony trubadur, czarodziej słów, szaman poezji, mistrz ironii, często też autoironii. Z pewnością byłby gwiazdą niejednej piwnicy artystycznej, podobną zresztą poprowadził później w rodzinnym mieście.

Na studiach wybrał seminarium profesora Józefa Nowakowskiego, specjalisty od literatury Młodej Polski, dekadentyzmu i katastrofizmu, a przede wszystkim oddanego opiekuna młodych poetów. Profesor Nowakowski z życzliwością patronował jego poetyckim próbom, napisał potem posłowie do jego pierwszego tomu *Wieczorny chłód* (1998). Nazwał w nim Andrzeja „poetą osobnym”, celnie rozpoznając w jego wierszach antynomię sceptycyzmu i równoczesnej radości życia, mit prowincji i zabawę formą. Katastroficzny światopogląd Profesora wpłynął niewątpliwie i na samego Ucznia. Ten rys pozostał w jego wierszach już na zawsze.

Po ukończeniu studiów w roku 1985 Andrzej chyba jeszcze rok lub dwa studiował filologię rosyjską. Literatura rosyjska, wielkie dzieła XIX-wiecznej i przedrewolucyjnej prozy rosyjskiej, poeci rosyjscy, a także sam język były jego kolejną wielką pasją. Wpływały na to związki rodzinne, ale też wszystko to, co odnajdywał w pisarstwie Dostojewskiego, Czechowa, Turgieniewa, w liryce Jesienina, Mandelstama czy Achmatowej – duchowość, wielkie pytania egzystencjalne, wymiar metafizyczny, skomplikowanie losu człowieka. W 1987 roku podjął pracę jako bibliotekarz, a po paru latach jako nauczyciel języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Wyspiańskiego w Bieczu. Cieszył się szczęściem rodzinnym, z zaangażowaniem uczył polskiego, włączał się w sprawy szkoły i miasta.

O swojej pisarskiej pasji nie zapominał. Podtrzymywał kontakt ze środowiskiem młodoliterackim Rzeszowa. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku związał się z kwartalnikiem „Fraza”, był w zespole redakcyjnym pierwszych numerów pisma, a do 1996 należał do jego głównych współpracowników. W pierwszym, historycznym już dzisiaj numerze „Frazy” z 1991 roku opublikował trzy swoje wiersze oraz szkic krytyczny. W latach następnych te kontakty wprawdzie rozluźniły się, ale co jakiś czas przysyłał do druku garść nowych wierszy czy fragmenty prozy. Równocześnie włączył się aktywnie w działalność reaktywowanej na fali przemian grupy poetyckiej „Draga”, która wydała zbiorowy tom wierszy *Ślepcy pod słońcem* (1992) oraz dwujęzyczną, polsko-ukraińską antologię *Ostre kamienie* (1993). W „dyskusji pokoleniowej” zamieszczonej we „Frazie” z 1995 roku Andrzej sformułował ważną tezę historyczno-kulturową, zamkniętą w formule „zdradzeni przez kulturę”, która celnie opisywała rzeczywistość „generacji przełomu” i jej trudność w odnalezieniu się w nowej epoce. Tak odczuwał sytuację inteligenta i twórcy w dobie eksplozji wolnego rynku, kultury masowej i postmodernizmu.

Wydany pod koniec wieku *Wieczorny chłód* był debiutem spóźnionym, ale za to w pełni dojrzałym. To zbiór obszerny, skonstruowany starannie i z dbałością o wewnętrzny porządek. Złożony z sześciu, mniej lub bardziej wyrazistych, części: *Oktostychy*, *Głosy*, *Gladiator*, *Kalejdoskop*, *Wieczorny chłód* oraz *Śpiew w ogrodzie*, zachował zarazem swój indywidualny ton, w którym dominowała nuta zwątpienia.

Ale wiersze Andrzeja podszyte były czymś więcej niż łatwym, banalnym smutkiem. Spomiędzy wątpliwości nieustannie wyłaniały się bowiem drwina i szyderstwo. Jak celnie zauważył Józef Nowakowski, „ironia jest tu nie poetyckim chwytem, lecz światopoglądem”. Andrzej był nieugiętym ironistą. Drwił z głupoty, pozorów, z wygodnych przyzwyczajeń i napuszonych wyobrażeń. „Wierzę w nagrodę czyli nicość / Łagodną jak rozwarłe pięści” – pisał w wierszu *Credo*. Nie oszczędzał ani siebie samego, ani nawet poezji. Życie kojarzył z huśtawką nastrojów, odę poświęcił kanapie, w *Autoportrecie ironicznym* nazywał siebie błaznem, a w *Autoportrecie z butelką* szydził ze „sterylnego życia”, wyjałowionego z wyobraźni i indywidualizmu. Środkiem służącym rozmaitym ironicznym woltom była w tych wierszach przede wszystkim antynomiczność ujęcia, posługiwanie się przeciwstawnymi, nawet sprzecznymi, racjami. Tu i ówdzie błyszczały jeszcze koncepty czy paradoksy, przydając galanterii zdobnym strofom, jak w *Interludium (ciało i dusza)*: „A mnie głód tylko syci lekkim swym pokarmem”. Ironia Andrzeja wyrastała z głębokiego osadzenia w literaturze, ze świadomości rzemiosła poetyckiego. Stąd tyle tam było odwołań i aluzji, począwszy od oparcia w wierszu sylabicznym, przez tok dyskursu, po zabawę formą i „literackimi” tematami, jak w wierszu *Petite valse brillante*.

Wtedy też podjął próbę pisania *Dziennika galicyjskiego* (jeden fragment ukazał się we „Frazie” w roku 1999), z którego jednak szybko zrezygnował, nie widząc możliwości oddania się temu pomysłowi z absolutną uczciwością i w pełnym zakresie. Zamiast tego zaczął prowadzić zapiski refleksyjno-wspomnieniowe, które ujął w cykl zatytułowany *Miasteczko*. Nazywał je „gawędą postgalicyjską” i planował złożyć z nich kiedyś większą całość. Były to w istocie eseje, scalające jego wspomnienia, refleksje, doświadczenia i bieżące sprawy. Fragmenty tego cyklu opublikował dwukrotnie – w 1999 i 2004 roku – na łamach „Frazy”, spora jednak część pozostała w plikach komputerowych. Za opowieścią o rodzinnym miasteczku krył się tak naprawdę mocno zindywidualizowany, osobisty opis współczesności, kreślony w konkretnym miejscu rzeczywistości, świadomy osadzenia w historii, tradycji, kulturze i języku. Andrzej był bardzo mocno przywiązany do miejsca, w którym spędził dzieciństwo i młodość i do którego powrócił w roli nauczyciela i profesora liceum. W jakimś sensie czuł się kontynuatorem tradycji artystycznych Biecza, podkreślał związki królewskiego miasta z pisarstwem Marcina Kromera, Jana Januszowicza, Wacława Potockiego, Piotra Cieklińskiego, z dziedzictwem Jagiellonów i Polski przedrozbiorowej, ale bliska mu też była melancholia dziewiętnastowiecznego, prowincjonalnego miasteczka. Dlatego galicyjska przeszłość tej ziemi była dla niego ważnym źródłem pamięci jako wciąż widoczne i odczuwalne zaplecze terażniejszości. „Galicyjskość” wychwytywał bezbłędnie, śledził jej pozostałości w obyczajach, stereotypach i języku. Sam także lokował się po stronie tej tradycji.

Swoją związek z Bieczem podkreślał zawsze najmocniej, jak tylko potrafił. Nazywał siebie nie patriotą, ale wręcz szowinistą bieckim, aby jeszcze silniej i prowokacyjnie eksponować tę więź. Szybko przekuł to w realną działalność na

rzecz swojej małej ojczyzny. W 1999 roku wraz ze Zbigniewem Kuraszem założył w Bieczu Klub Inteligencji Twórczej i animował lokalne życie artystyczne. Współorganizował cykliczne wystawy twórców z Biecza i okolic pod nazwą *Pelna jasność* (2003, 2006, 2007). Jak kiedyś w Rzeszowie, tak później w Bieczu brał udział w benefisach miejscowych artystów i osób zasłużonych, wernisażach, wieczorach literackich i muzycznych, występach kabaretowych. Interesował się losami żydowskich mieszkańców Biecza, zaprzyjaźnił z Izaakiem Goetzem, ocalałym z Zagłady bieczaninem, osiadłym w Nowym Jorku. Wiele z tych przeżyć i przemyśleń utrwalił w napisanych rozdziałach *Miasteczka*. Dają one wgląd w zainteresowania, poszukiwania i fascynacje Andrzeja, pokazują związek z miastem i jego społecznością, mocne osadzenie w środowisku lokalnym. Wyziera z nich ogromna ciekawość ludzi, szacunek dla każdego człowieka, oddanie uczniom i nauczycielskiej pracy.

W roku 2009 Andrzej wydał swój drugi zbiór wierszy *W stronę ulicy Parkowej*, w którym zebrał trzy dawne utwory i kilkanaście nowych. Ulica Parkowa, przy której mieszkał, łączy jego szkołę („zakład naukowy” – jak mówi się w Bieczu) z parkiem i kinem, ale także z usytuowanym po przeciwnej stronie cmentarzem z I wojny światowej, jakich w samym Bieczu jest aż pięć. Ta ulica stała się dla niego synekdochą rzeczywistości, a jego ulubione okno, z którego oglądał świat, uzyskało symboliczne znaczenie. Wiersze z tego zbioru były już mniej żywiołowe, za to bardziej refleksyjne i liryczne. Pojawiły się w nim motywy przemijania, podsumowywania, dochodzenia do mądrości, wybierania najważniejszego. Wciąż pisał jeszcze: „wiedzie mnie jakaś siła”, ale dodawał zaraz jakby w chłodnym opamiętaniu: „sam zdjąłem ciężar pragnień ze swych wątłych barków”.

Jako poeta Andrzej Topczyj był rzecznikiem dykcji tradycyjnej, sylabicznie i sylabotonicznie rytmizowanej, stroficznej i rymowanej, jaką dzisiaj rzadko się już spotyka. To nadawało jego wierszom rys pewnej staroświeckości, który jednak przełamywał ekstatycznością języka, żywiołowością, śmiałym obrazowaniem czy ironią. Najbliżej mu było do XIX-wiecznych symbolistów (zwłaszcza Leśmiana), a także różnych nut w poezji Staffa, Iwaszkiewicza, Tuwima, Sebyły, Miłosza, częściowo Grochowiaka i Białoszewskiego. Nie cenił awangardy za imperatyw bezwzględnej oryginalności. Zbyt wiele było dobrego w przeszłości, by porzucał to dla wątpliwych zysków prekursorstwa czy nowości. Jego pisanie zdawało się wyrastać z przeżycia, czy to egzystencjalnego, czy intelektualnego. Poruszały go autentyczne emocje, które potem zamykał w karby sylabicznych wersów. Nie zawsze to dawało oczekiwany efekt, ale mimo to prawie nie używał wiersza wolnego. Wybierał wyrazisty rytm, a nieraz i retoryczność formy. Pracował zawsze nad mocną i zapadającą w pamięć puentą, nad literackością ujęcia. Tak odnajdował więc z przeszłością i stawiał swoje wiersze w długim łańcuchu tradycji dwudziestowiecznej poezji.

Odszedł przedwcześnie 30 listopada 2020 roku z głową pełną twórczych planów, z pomysłami książek do napisania, ze wszystkimi sprawami, które z wiarą odkładał na później. Zostały jeszcze wiersze, które trzymał w komputerze. Wyraził światopoglądowo, zaangażowane, krytyczne wobec rzeczywistości politycznej

i społecznej. Ale obok tych gorzkich rozliczeń ze współczesnością odnaleźć można przykłady utworów liryczno-refleksyjnych, które były specjalnością tego poety (*Już po bólu (ćwiczenia z anafory)*). Wśród nich jeszcze jedna „rozmowa” z Biechem, która jest swego rodzaju klamrą spinającą poezję Andrzeja (*Ty mi wybaczysz*). Od sennej niedzieli wyszedł i do takich leniwych, nieważnych dni w swojej domowej ojczyźnie wrócił.

Z kolei fragmenty *Miasteczka* dają wgląd w niezwykle świat przeżyć i refleksji Andrzeja. Wyrastają one z silnego „sprzęgu” z rzeczywistością, ze świadomego i głębokiego zakorzenienia w Miejscu. Te realia służą do autorowi do niespiesznego, osobistego przemyślenia zarówno spraw egzystencjalnych, wyborów życiowych czy kreślenia sylwetek niezwykłych postaci, jak i zagadnień większej miary – roli przeszłości i tradycji, znaczenia literatury, roli pisarza. Miasteczko jest do tego równie dobrym miejscem jak metropolia, a może nawet lepszym, bo pozwala skupić uwagę i w każdym człowieku widzieć nie anonimową postać, ale konkretną osobę i cały kosmos jej indywidualnego losu.

Janusz Pasterski



Fot. Archiwum rodzinne Topczyjów

Andrzej Topczyj
w zagranicznej podróży

Stanisław Dłuski

POCAŁUJ W USTA WIATR

Dla Ani Jamrozek-Sowy

Wiatry mojego dzieciństwa.
Delikatne jak podniebienie nasturcji.
Litościwe jak Pan Zielonooki z Wisłoki.
Czułe jak dłonie Matki niebieskiej.
Słodkie jak morwy z ogrodu Abrahama.

Wiatry mojej młodości.
Chmurne i durne. Ciche i szumne.
Jak Mieciu, który na rowerku odjechał do miasta nicości.
Jak Marek, który do końca patrzył w oczy marihuany.
Jak Góral, który nocą utonął we łzach miłości.

Wiatry, wichry, huragany.
Zerwane mosty i dachy.
Rozdarte niebo nad domem.
Wzloty i upadki na drodze do Edenu.

Rzeszów, 30 września 2020 r.

ELEGIA ZA ANDRZEJA TOPCZYJA

Chrystus jest Bogiem poetów,
bo każdy z nich na ramieniu,
w sumieniu, nosi cierń epoletów,
ciągnie wóz na sławy rzemieniu

i gawieź zazdrośnie patrzy,
przelicza srebrniki, może zobaczy
twarz olimpijczyka, zwycięzcy,
a tu tylko los zbiega i ciemięczy,

który toczy krew wygnańców,
depcze kwiaty nad nadziei rzeką.
Biegną stada szczurów i łowców,
śpiew cichego drzewa pod powieką

do więzienia znów wloką, umarli
już za życia apostołowie nienawiści;
trwajmy, jeszcze pieśni nie podarli,
jeszcze kwitnie czerwiec pełen liści!

Poetyckiej Wiosny rumieniec cieszy,
kiedy w słowie i sercu się widzimy,
czarnej gwiazdy blask już nie peszy,
bo Boga poetów znów zobaczymy...

ELEGIA ZA OPUSZCZONYCH

W czasie zarazy biegamy między
Przepaścią i pustym domem,
Czuć zapach odległej jesieni,
Na twarzach maski i martwe
Uśmiechy, dzikie serca w koszu
Na odpadki. Nie wierzysz w jutro,
Choć deszcz opowiada o twoim
Dzieciństwie, a już starość
Przegląda się w twoich oczach,
Siwizna Beskidu i opuszczonego
Przez bogów miasta. Bezdomny
I sponiewierany idziesz do Betlejem

MARATON ŻYCIA W CZAS PANDEMII

Dla Kamila Flagi

Wędruję ulicami umarłego miasta,
Drzewa nucą melodie starych gawronów,
Zgniłych liści, kości mamuta, wygnańców
Z Jeruzalem. Gdzieś za horyzontem
Czai się ona, gwiazda, która wypalonym
Wzrokiem tropi ślady samotności.
W co uwierzyć, pytasz mnie, młodzieńcze,
Studuj linie papilarne Boga, choć
Nie wierzysz w jego ołtarze, dotknij
Zmarszczek ojców pustyni, zamieszkać
W dziupli, którą zostawiły ci w darze
Sowy, ich wzrok przeświecili wszystkie noce;

Nasz dom urodzi się na krańcach świata,
Który w ziarenku piasku mieszka

Boże Narodzenie 2020



Fot. Archiwum rodzinne Topczyków

Andrzej Topczyk

Andrzej Topczyj

MIASTECZKO

(fragmenty)

Ludzie czyli człowieki

Jeżeli już jesteśmy na rynku Miasteczka, którego nie ma tak jak jest, to popatrzmy na ludzi. Właściwie ludzi też nie ma, bo są tylko człowieki. Jakoś bardziej czuje to język rosyjski, w którym widać dwa, trzy lub cztery „czelowieka”. A więc język zaznacza jednostkowość poszczególnych części składowych grupy, zamiast uogólnić ich abstrakcyjnym „ludzie”. Nie tylko o rosyjski rozchodzi się tutaj, bo na przykład w takim islandzkim: „Obfitość imion w sagach rodowych tłumaczy się [...] nieumiejętnością wyobrażenia jednostki ludzkiej samej w sobie, poza jej stosunkiem do innych ludzi [...]”. Słowo „ludzie” niepostrzeżenie nabiera w siebie abstrakcji jak gąbka wody i pomyka w stronę liczb statystycznych wolnych już od człowiekowych myśli i odczuć. Co to język nie wymyśla, jeżeli zgromadzi się tłumek, nawet jeżeli tłumek stanowi jeden i drugi człowiek. No więc są: indywidua, jednostki ludzkie, postacie, tłum, zgromadzenie, zbiegowisko i wreszcie „ludzie”. Jeden człowiek, Zibi, drugi człowiek, Aptekarz, trzeci człowiek, Profesor, czwarty człowiek, pani Władysława, piąty człowiek, Kowal.

Kiedy w poniedziałkowe popołudnie siedząc na ławeczce w cieniu lipy patrzę, jak przechodzą, kierując się w różne strony rynku, wiem jak do każdego można się odezwać, czego oczekiwać, czego się obawiać. Ta wiedza daje mi poczucie swojskości, zakorzenienia, bezpieczeństwa, a nawet dumy, że jestem częścią tego procesu, który został nazwany losem przez dziwność słownika i dziwność istnienia każdego z tych ludzi. Pojedynczo ogarniam te strzępy informacji.

Zbigniew (lat czterdzieści z haczkim): wiem, że pochodzi z Dubiecka nad Sanem, a więc z miasteczka biskupa Krasickiego, po wojsku – a służył w Szczecinie jak ja – miał się różnych zajęć, potem wyjechał do Grecji i pół roku mieszkał pod Akropolem, codziennie widząc z okna swego pokoju tę kupę gruzu, która robi za symbol cywilizacji europejskiej. Wrócił do Polski, kiedy w Jugosławii zaczynała się wojna. Ożenił się. Został ojcem – najpierw syna, potem córki. Znow miał się różnych zajęć; między innymi zakładał anteny satelitarne, pracował jako kamieniarz. Wreszcie kupił kiosk, w którym teraz sprzedaje, a robi to tak, że przyjemnie popatrzeć.

- Proszę „Super Express”.
- Oj! Przykro mi, ale właśnie się skończył. Proponuję za to „Wyborczą”, „Trybunę”, „Życie”, „Rzeczpospolitą”.
- Nie. Dziękuję. Żona, wie pan, zawsze czyta „Express” i jak przyniosę coś innego to będzie gderała.
- Tak to jest z żonami. Moja to dobrze nie wstanie, a już narzeka, że powietrze ciężkie, że ciśnienie niskie, że w kolanie strzyka. Ja za to nigdy nie mam problemów. Dobrze jest jak jest.
- O! Ma pan rację. No to jeszcze papierosy „Fajrant”.
- A proszę bardzo. Klient nasz pan. Lajty czy superlajty?
- A te mocniejsze.
- Proszę, a tutaj reszta, bo kasa zawsze musi się zgadzać.
- Dziękuję, dziękuję! – Klient zagadany przez Zbyszka, dowartościowany, pochlebiony przemieszcza się o kilka kroków w stronę przystanku MKS-u i rozpaczętuje paczkę swoich już „Fajrantów”, a Zibi czaruje już następną kupującą.
- Jak ty, Halinka, ślicznie dzisiaj wyglądasz. To znaczy, zawsze wyglądasz ślicznie, ale dzisiaj szczególnie.

No i tak dalej i tym podobnie w zależności czy jest kolejka, czy nie, czy klient spieszy się, czy też widać po jego powolnym lustrowaniu witryny kiosku, że autobus do Gorlic nie przyjedzie prędko i jakoś trzeba ten krótki, bo krótki, ale jednak czas zmitrężyć. Przed kilku laty Zbyszek kupił drugi kiosk i umieścił go między liceum, zawodówką, tuż obok ośrodka zdrowia i kościoła klasztornego. Zatrudnił także sprzedawczynię, z którą co tydzień wymienia się miejscem pracy. Tu znów trzeba uściślenia; w kiosku przy liceum Zibi pracuje do piętnastej, po czym przenosi się na rynek, gdzie od piętnastej pracuje do osiemnastej. No chyba, że akurat jest tydzień „rynkowy” wtedy pracuje jedenaście godzin w tym samym miejscu. Poza tym w soboty kiosk jest czynny tylko do trzynastej, podobnie jak w niedziele. Cała reszta czasu jest tylko dla Zbyszka. Trzeba w końcu porozmawiać z synem maturzystą, z córką gimnazjalistką, z żoną pracującą w ratuszu, z teściową. Oczywiście, że Zibi mogłby zarabiać więcej, ale przecież nie samą pracą człowiek żyje, dlatego wieczorami, po kolacji można zejść do piwnicy bloku, gdzie mieści się pracownia malarska. Jakoś nie wypada się przyznać, że znakomicie prosperujący, pracowity i zdyscyplinowany przedstawiciel klasy średniej kocha malarstwo. Sztalugi, blejtramy, palety, słoiki po ogórkach zapchane pędzlami, pudełka z tubkami olejnych i akrylowych farb, jedno rozchybotane krzesło i maleńki stolik zmieniają blokową ciasną piwniczkę w miejsce pracy i ekscytacji. Pod ścianami stoją pierwsze nieudane próby, gdzie widać mozół przebijania się do malarstwa. Są tu też sceny rodzajowe

i pejzaże, w których jednak czegoś brakło, a właściwie brak ów polega na nadmiarze – zbyt jadowite kolory, monotonna kompozycja, nadmiar perspektywy – bo to pewnie nadmiar ekspresji jest wyznacznikiem kiczu. *Nulla dies sine linea* i po latach z tej zasady powstaje jednorodność, czyli doskonałość. (28.12.2002). Zibi nie szuka doskonałości, lecz maluje i w każdym następnym płótnie stara się to robić lepiej niż w poprzednim. Być może działa tu duch Akropolu przypominający, że Grecy dlatego byli wielcy, bo nie naśladowali starożytnych, jak to ktoś gdzieś ujął. Zresztą, myślę sobie, kto ich tam wie, jak to było z tym naśladownictwem. Co to za gadanie, że cywilizacje są śmiertelne? Gdyby to ktoś przebadał, ile w naszej „cywilizacji krwi i łez” jest Asyrii, Grecji, Palestyny, Italii – i tej rzymskiej, i średnio-wiecznej, i renesansowej – Bizancjum, austro-węgierskiej ck. Monarchii... Nieważne. Ważne, że Zbyszek nie naśladowuje. Czasami w jego kiosku, gdy odwiedzić go w porze, kiedy klienci jedzą spóźniony obiad, spod sterty gazet wystaje schowany w pośpiechu tom *Historii koloru* Marii Rzepińskiej czy album impresjonistów. A jeszcze przed kilku laty Zibi nie wiedział, co to jest laserunek i przecierki. Teraz w jego pejzażach Miasteczka, które sprzedają się świetnie, przecierki dają pięknie udramatyzowane postimpresjonistyczne niebo, jakie nieczęsto można zobaczyć nad rynkiem.

Pod koniec minionego stulecia – raptem przed czterema laty – razem zrobiliśmy wystawę jego obrazów, no i tak zaczęła się nasza ferajna, czyli KIT, co rozumieć należy jako Klub Inteligencji Twórczej. Zbyszek przedsięwiorca i Zbyszek plastyk uzupełniają się znakomicie. Bo trzeba lokal klubowy (wilgotną piwniczkę pod gotycko-renesansowym parterem Kamienicy Chodorów) posprzątać, ustawić stoły i krzesła, kupić świece i umocować je w improwizowanych lichtarzach, poprosić kolegę, aby robił za bramkarza w czasie spotkania klubowego, poprosić kelnerki z restauracji, aby zeszły zebrać zamówienia, zrobić afisze, pocztą pantoflową przypominać o terminie imprezy, gdy trzeba przywieźć i odwieźć muzyka lub plastyka goszczącego w KIT-cie. No a wcześniej w mojej kuchni trzeba się spotkać, wymyślić tytuł, ustalić program literacki i muzyczny, choć od muzyki jest dyrektor muzyczny KIT-u, Andrzej. Nie jest więc dziwne, że to Zbyszek jest dyrektorem generalnym naszego Klubu.

Czasami zastanawiam się, jak on to robi, że ma czas na wędkowanie? Staram się wyobrazić to sobie; no więc sobotnie lub niedzielne popołudnie nad zarośniętymi wikliną brzegami Ropy lub któregoś z jej dopływów, lekki wiaterek kołysze podłużnymi listkami, które połyskują srebrnie. W świetle popołudnia prąd rzeczny marszczy zielono-granatową powierzchnię wody tarką drobnych, połyskujących stalowo fal. Podłużny spławik z finczyjnym wdziękiem tańczy postmodernistycznego walca, aż wreszcie kilka taktów

tanga wciągnie go szybko pod wodę. No i to podekscytowanie Zbyszka, kiedy podcina wędkę, szybko zwijając żyłkę i czekając, co wynurzy się nad powierzchnię, a w wiklinie wydzierają się wróble.

O czym on wtedy myśli, co sobie przypomina, co planuje? Mógłbym go zapytać, ale wolę sobie to wyobrazić. Może daje sobie luz i pozwala przepływać wspomnieniom z Dubiecka, Szczecina, Aten, Miasteczka? Może planuje zmiany w sposobie funkcjonowania kiosku; trzeba nastawić się na sprzedaż proszków do prania, nie zaś gazet i papierosów... Może przypomina sobie o reprodukowanym obrazie z albumu kolekcji Porczyńskich... Może wspomina swojego dziadka Bazylego, od którego dostał w prezencie kieszonkowy zegarek, który przez całe lata wisiał nad łóżem małżeńskim w sypialni dziadka Bazylego i babci Pelagii. Zegarek ten Zibi sprezentował w tym roku swemu synowi wierząc, że prezent ten będzie wymowniejszy niż długie mowy i kolorowe obrazy?

*

Aptekarz (lat dziewięćdziesiąt). Wnuk aptekarza i syn aptekarza. Od trzech pokoleń w naszym Miasteczku. Dziadek przybył tu po powstaniu styczniowym, gdyż musiał uchodzić z Prywisłanskiego Kraju w obawie przed aresztowaniem. Ojciec zakładał polski skauting, przyjaźnił się z Pignonem, korespondował z Conradem, który do naszego Miasteczka miał przyjechać w 1924 roku. Nie zdążył jednak przed śmiercią. Ojciec aptekarz był również etnografem amatorem i tuż przed wybuchem II wojny światowej, w czasie której zginął w Oświęcimiu, wydał zbiór miejscowych legend i podań. Aptekarz, wnuk i syn, był w tym czasie w armii Andersa i dla ojca prowadził dziennik, nie wiedząc, że ojciec trafił do KL Auschwitz, skąd już nie powrócił (29.12 2002). Syn aptekarz powrócił, przywożąc z wojennej tułaczki włoską żonę i maleńką córeczkę, a także teczkę z akwarelami i kilka obrazów olejnych. No i zaczęło się toczyć życie prawie normalne, gdyby nie przesłuchania na UB i rewizje w domu wrogiego andersowskiego elementu, znacjonalizowanie rodzinnej apteki wreszcie. Syn już tak nie angażował się w harcerstwo, jak przed wojną w drużynie swego ojca, bo i harcerstwo było inne. Jednak malował, kiedy tylko znalazł wolną chwilę. I znów Miasteczko łaskawie dostarczało tematów i motywów. A w akwreli jest jakaś lekkość, jakaś trudna do wyrażenia swoboda i tajemniczość, czy będzie to widziany zza rzeki klasztor franciszkanów, czy stojąca na rynku kapliczka św. Floriana, czy grupa kościoła farnego z gotyką dzwonnica i fragmentem muru obronnego, czy nawet malownicza stareńka chałupa z okolicy.

*

Władysława (lat prawie siedemdziesiąt), wdowa. Jej panieńskie nazwisko miejscowym wszystko mówi. Pochodzi z jednego z mieszczańskich

rodów od kilku co najmniej pokoleń zamieszkującego Miasteczko. Rodziny te wydawały wielkości na miarę Miasteczka i okolicy, czyli tak, jak to powinno być w normalnym świecie. Pochodzili więc z tych rodów: burmistrzowie, prawnicy, lekarze, rzemieślnicy, kupcy. Rola pańien z takiego dobrego domu też była wyraźnie określona – dobrze wyjść za mąż, urodzić i wychować dzieci, składać wizyty, chodzić z mężem do kościoła. Władysława wyszła dobrze za mąż, urodziła dwóch synów, z których jednego wychowała na inżyniera, a drugiego na lekarza. Potem owdowiała, a kilka lat później wyjechała do Ameryki. W Stanach Zjednoczonych pracowała kilka lat, po czym powróciła do Miasteczka, gdzie syn lekarz, który również zahaczył o Stany i popracował tam kilka lat, wystawił dom na malowniczym wzgórzu. W domu syna matka wspomina teraz swego ojca legionistę odznaczonego Krzyżem *Virtuti Militari* – a legionistom Piłsudskiego za byle co takich krzyży nie dawali – i dziadka kowala, i zmarłego męża. Najbardziej lubi przypominać sobie, jak jej mały syn z zapałem ćwiczący wieczorami fortepianowe pasaże był dobrotliwie napominany przez ojca chcącego posłuchać sobie Wolnej Europy: „Synku, zostaw już to pianino i połóż się, bo rano trzeba wstać do szkoły”.

A syn uczył się dobrze i postanowił wybrać medycynę, jednak pozostał mu afekt do muzyki. Gdy jego przyjaciele studenci szli na potańcówkę, którą z rzadka nazywano wtedy dyskoteką, lub napić się wina, jej syn zasiadał w studenckim klubie za pianinem i grywał swoje ulubione mazurki, które czasem przedzierał nokturnem lub walcem ukochanego Chopina. Teraz, gdy jest już znanym w środowisku lekarzem i kierownikiem ośrodka zdrowia w Miasteczku, Chopina nie słucha. Kiedyś, słysząc dobiegające z jego saloniku dźwięki fortepianu, rzekłem do doktora podlewającego trawnik przed domem:

– Jakie to piękne, że ktoś jeszcze w naszym Miasteczku słucha Chopina.

On uśmiechnął się złośliwie i przetłumaczył mi:

– To jest Chopin, ale Chopin Północy. Przecież to Grieg. Ja Chopina już nie słucham, choć mam całą jego dyskografię.

Po czym dodał już bez złośliwości:

– Chopina się nie słucha. Chopina się zna.

Potem ucieliśmy sobie pogawędkę zakończoną pożyczaniem mi kompaktów z utworami Moumpou i Scharwenki.

Teraz matka doktora najbardziej lubi zasiąść w fotelu i słuchać skomponowanych przez syna mazurków, bo doktor od kilkunastu lat zaczął bawić się w komponowanie. Słuchając jego postmodernistycznych mazurków, które, zachowując ramy gatunkowe, są eklektyczne dzięki nasyceniu ich

impresjonistyczną subtelnością uczuć, cytatami z muzyki ludowej, a nawet partiami aluzyjnie jazzowymi, matka myśli wtedy prawdopodobnie o tym, jak w ciągu tych dziesięcioleci zmieniało się Miasteczko dzięki częstym remontom i nawet rekonstrukcjom (części Baszty Kowalskiej i fragmentów murów obronnych), a także rozbudowie. Czy myśli wtedy o wczesnojesiennej zamieci liści, gdy na wzgórzu klasztornym pierwsze chłodne podmuchy zrywają dojrzałe, złocisto-brązowe liście kasztanów, lip i akacji a gromadki uczniów przechodzące w stronę rynku, przez mostek na cichutko płynącym potoku Zadziurze znaczą, że już wrzesień i zaczął się rok szkolny? Czy wspomina czas okupacji i aresztowanie Aptekarza a potem śmierć żydowskich koleżanek i kolegów, z którymi w czasach dzieciństwa biegała nad rzekę „pod łaźnię”? Któż dzisiaj pamięta, że właśnie tam stała mykwa, skąd też i nazwa? Czy jej pamięć przywołuje widoki amerykańskich pejzaży, tamte zapachy, dźwięki i kolory? Nie wiadomo. Od kilku lat demencja starcza wyłączyła ją z rzeczywistości. Doskonale pamięta opowieści swoich rodziców, czas dzieciństwa i młodości. Nie pamięta, co wydarzyło się przed rokiem, miesiącem, czy wczoraj. Nie pamięta, czy jadła obiad przed chwilą, czy nie jadła.

*

Profesor (lat pięćdziesiąt z haczykiem), kawaler, emeryt. Znakomity znawca nie tylko literatury Młodej Polski, na pewno najlepszy na świecie znawca twórczości Jerzego Żuławskiego. To ostatnie zdanie piszę nie tylko z chęci podroczenia się z Profesorem. Widzę go, jak to czyta i jego twarz przybiera wyraz bolesnego zażenowania podszytego obrzydzeniem.

Najlepszy na świecie! Że to sam wychowałem takiego megalomana i mitomana! Nie dość, że sobie przynosi wstyd, to jeszcze ze mnie robi nie wiadomo kogo. Co za pajac! „Najlepszy na świecie”! W Miasteczku. Bez dostępu do bibliotek, do księgarni. Bez środowiska naukowego weryfikującego sądy...

A ja jednak będę się upierał. Zaczniemy od książek. Czy Profesor, właściciel ogromnej biblioteki, jest bibliofilem? Przecież gromadził książki nie tyle z miłości do urody edytorskiej woluminów, ile z powodów wartości informacyjno-naukowej. Nie wystarczyły, rzadkie przecież ze względu na obowiązki szkolne, wyjazdy do antykwariatów i księgarń, czy też korzystanie z oferty wysyłkowej, ale trzeba było prosić przyjaciół o dostanie potrzebnych publikacji, co w warunkach socjalistycznego permanentnego niedoboru książek nie było łatwe. Kto pamięta antykwaryczną rubrykę w „Ekspresie Wieczornym”? A Profesor pamięta, bo przecież dzięki zamieszczonym tam adresom nawiązywał korespondencję w celu nabycia potrzebnej publikacji.

No i prasa PRL-u, bardzo zresztą tania, dostarczała przecież bardzo wielu informacji, pod warunkiem, że umiało się czytać między wierszami i poza tekstem. Przez długie lata uczyłem się tej sztuki od mojego licealnego wychowawcy. Prasa ta była źródłem wskazującym inne źródła. Ileż to gazet przewertował Profesor? Ileż to już padło tamtych tytułów: „WTK”, „Miesięcznik Literacki”, „Poezja”, „Pismo”, „Kontynenty”... A prasa sowiecka – „Kraj Rad”, „Literatura Radziecka”, czy też taki wileński „Czerwony Sztandar”, który Profesor prenumerował ze względu na bardzo rzadkie wzmianki o polskości wileńszczyzny, ale także dla ogłoszeń i kroniki kryminalnej, z których to rubryk przeciekało samo życie przez betonową fasadę.

To dzięki jego lekcjom w liceum już w drugiej klasie wiedziałem, że będę studiował polonistykę. W trzeciej bodajże klasie, był rok 1980, Profesor zobaczył – dzięki wzmiankom mojej mamy w czasie wywiadówki – moje młodzieńcze, żeby nie powiedzieć dziecięce, wiersze zawierające postmłodopolskie skowyty. Przeczytał je bardzo uważnie, o czym świadczyły uwagi pod tekstami. Recenzent zwracał tu uwagę nie tylko na tekst, jego stronę kompozycyjną, wersyfikacyjną, stylistyczną, ale także na daty informujące o czasie powstania. I pomyśleć, że ja, licealny smarkacz, zwracający głowę literackimi pierwocinami zapracowanemu nauczycielowi i badaczowi, zostałem potraktowany krytycznie („Data powstania wskazuje, że wiersz o wiosnie jest konceptualistyczną konstrukcją a nie sensualistyczną impresją, którą próbuje udawać”), ale z całkowitą powagą i rzetelnością. Do tego bez cienia jego słynnej złośliwości, o której za chwilę.

Trudno w to uwierzyć, bo obecnie Profesor kpi sobie niemiłosiernie z intencjonalnych bytów, jak literatura. Szczególną niechęcią – wręcz odrazą – darzy poezję. Dlaczego? Ano pewnie z przyczyn różnych, jednak najważniejszym powodem niechęci jest banał wspinający się na koturny patosu i miałość myśli ukryta za stylistycznym i składniowym bełkotem pozorującym rzekome głębie. Poza tym to żenujące szpanerstwo poetów i ich przekonanie o własnej ważności i wyższości nad pospolitymi (w mniemaniu poetów) zjadaczami chleba.

Dawno już wyszedł Profesor z filologiczności w stronę historii, socjologii, biografistyki... Rzadko pisuje historyczne artykuły do stalowowolskiej „Sztafety”. Są to najczęściej noty biograficzne galicyjskich urzędników umieszczone w szerszym kontekście. Żeby mógł powstać taki kontekst, potrzeba kilkudziesięciu lat pracy. A Profesor „nie ceni artystów, tylko fachowców”, dlatego kiedy czytam jego artykuły, wiem, że każda data została sprawdzona w kilku źródłach, a jeżeli pojawiły się rozbieżności, są one odnotowane w tekście artykułu. No i nieznośna lekkość stylu tekstów Profesora. Jedna wzmianka, czy też aluzja czytelna dla kilku osób wie-

dżących, że styl to człowiek („mądry zrozumie, a głupiemu szkoda gadać” – mawiał ks. Tischner), to już wystarczy, aby Profesor mógł rozkoszować się wewnętrznym homeryckim rechotem. Powodów do takiego rechotu dostarcza mu także kultura masowa, a zwłaszcza opery mydlane, które ogląda po to, aby sprawiać sobie uciechę, komentując igranie przez scenarzystę ze starymi konwencjami, motywami i wątkami. Profesor ma ciepły stosunek do świata, to znaczy do kiczu. Często zastanawiam się, jaki on właściwie jest, ten przechera i prześmiewca? Jestem głęboko przekonany, że jest on człowiekiem poważnym. Właśnie tak: poważnym. Że o jego nadzwyczajnej solidności nie wspomnę. Jeżeli chodzi o Jerzego Żuławskiego, to nie tylko kupował książki dla jednej wzmianki o autorze trylogii książkowej, ale także korespondował z synem autora, panem Juliuszem, a także przeczytał pewnie wszystko, co wyszło spod piór i maszyn do pisania członków rodziny Żuławskich, nawet jeżeli były to tłumaczenia. Dlaczego więc po kilkudziesięciu artykułach zaprzestał pracy nad epoką Młodej Polski i ulubionymi pisarzami, tj. Żuławskim i Kisielewskim Janem Augustem? Ano dlatego, że epoka spoważniała „Solidarnością” i stanem wojennym. Toczyło się życie – drobne, powszednie, jedyne, niepowtarzalne, komiczne i tragiczne – ale jednak życie. Z polskiej nierealności wyłaniał się świat rzeczywisty. Tu przypominam sobie jak kiedyś, komentując książkę Andrzeja Banacha *O kiczu*, Profesor odpowiedział na moje wątpliwości, czy kicz w ogóle istnieje: „wyróżnikiem kiczu jest nadmiar ekspresji”.

Długo o tym myślałem.

Nadmiar ekspresji?

Nadmiar ekspresji!

Oczywiście że nadmiar ekspresji.

Czy można być człowiekiem poważnym w niepoważnych czasach, których wyróżnikiem jest nadmiar ekspresji? Jeżeli jest się wychowanym przez przedwojennych rodziców według przedwojennej skali wartości. Jeżeli z powagą i dystansem badacza podchodzi się do epoki mającej w sobie wiele kabotyństwa i drażniącego drobnomieszczańskiego patosu. Jeżeli żyje się w epoce przebudowywania świata (nie do końca poważnego) w świat groteskowy walki o pokój i nobilitacji profanum? Mamy więc czysty przypadek nadmiaru ekspresji; do zniechęconych Sowiec musi się deklarować proletariacką miłość (choćby przez uczestnictwo w pochodach i akademiach), w imię równości na siłę zastępuje się obyczajowość komunistyczną tytulaturą, narodową swojskość (wieś, zaścianek, miasteczko) zastępuje się lukrowaną na wschodni sposób wizją kolchozowego, świeckiego rajy przyszłości.

Zdaje się, że to Andrzej Szczypiorski zauważył, że komunizm udawał dobrego sam przed sobą. Udawał, że daje ludziom wolność, a więc

godność, a tak naprawdę zabierał te wartości. Pojawiły się jednak nowe możliwości – jeżeli edukować dawnych fernali i potomków pańszczyźnianych chłopów, to przecież z czasem zauważą monstualną kiczowatość budującego się komunizmu. Ale jak mają przetrwać ci, którzy widzą zbyt jadowite kolorki, siermiężne gesty z pretensją do elegancji, obowiązujące propagandowe kłamstwo strojące się w piórka prawdy? Jest tylko jedno lekarstwo na kicz i jest nim śmiech. Kicz niszczy hierarchie i tworzy magmowatość, miazgowatość, brejowatość. Komuniści liczyli, że człowiek żyjący w świecie rozchwianych wartości będzie szukał przewodnika i zaskuczy: „Władyno! Przygarnij!”.

Na początek trzeba kobiety zmienić w towarzyszkę i pracownicę, tak więc wszystkie dziewczyny na traktory! Kierunek wydawał się tym słuszniejszy, że stanowił realizację narodowego pozytywizmu, ale zachodniej proveniencji, a podskórnie czerwoni im więcej błota rzucali na zgniły Zachód, to tym bardziej Zachód ten ich fascynował. A i na Zachodzie kapitalizm i powojenne zniszczenia torowały drogę zawodowej i społecznej emancypacji. Wszystko wskazywało, że wielka jest przenikliwa mądrość Partii. Obluzowanie wzorów męskości i kobiecości pociągnie za sobą lawinę. Z iskry rozgorzeje płomień, który zniszczy stary świat.

Profesor wybrał szczególną maskę prześmiewcy, kpiąc z androgynicznych tęsknot ujawniających się w modzie na noszenie spodni, czyli portek, przez dziewczęta i długich włosów przez chłopców. O kolczykach w uszach uczniów w latach siedemdziesiątych jeszcze się nikomu nie śniło. Przez sowizdrzalską kpinę przypominał, że mężczyźni i kobiety to dwa różne światy, a androgyniczna epoka próbuje ożenić ogień z wodą i stworzyć dwa w jednym, czyli chłopo-babę i babo-chłopa. W tamtych latach nie miał Profesor jeszcze tak skrajnie wrogiego stosunku do homoseksualistów płci obojga jak dzisiaj, choć wyrozumiały w tym względzie nie był nigdy. W swej gloryfikacji męskości podkreślał, że być mężczyzną to znaczy być odpowiedzialnym i rzetelnym oraz posługiwać się rozumem a nie emocjami. Tylko taki, to jest prawdziwy mężczyzna, będzie umiał dostrzec wyrafinowane piękno szeroko rozumianej sfery kobiecości, która zresztą nie jest wolna od licznych wad. Dla babskich wad mężczyzna też powinien znaleźć zrozumienie.

Na jednej z lekcji, przy okazji kpin z „bab w portkach”, a większość moich koleżanek chodziła tak ubrana, Profesor odczytał fragment dziewiętnastowiecznej pieśni dziadowskiej, kpiąc przy okazji szerzącego się zabobonu. Pieśń była zamieszczona w zbiorze *Przepowiednie o końcu świata*:

*Dla kobiet wtedy będzie wygodnie
Męskie ubranie mieć i spodnie.*

Za nic będzie mama, tata.

Wtedy będzie koniec świata.

„No więc, jak widzicie dziewczyny” – wychowawca z sardonicznym uśmiechem zwrócił się do naszych klasowych koleżanek – „robię, co mogę, aby powstrzymać koniec świata”.

Profesor poświęcił Miasteczku trzydzieści lat pracy w liceum, którego jest absolwentem. Tak więc kształcił polonistycznie pokolenia licealistów, nie mając złudzeń, że funkcjonowanie takiej szkoły jest tylko formą cywilizowania zapadłej prowincji, a nie budzeniem ducha wysokiej kultury. Jego ironiczny dystans do rzeczywistości i jego zaangażowanie w tę rzeczywistość. Przez dwadzieścia kilka lat prowadził teatr szkolny, wystawiając w nim jednoaktówki hrabiego Fredry. Teatr szkolny jest także materiałem na oddzielną powieść o pracy reżysera, scenografa, kierownika literackiego, inspicjenta... Po czterech czy pięciu miesiącach zawsze była premiera. Widzowie mogli nabyć za kilka groszy program, a żeby wydać taki program, trzeba było w latach siedemdziesiątych, czy nawet osiemdziesiątych, zabiegów karkołomnych. Zorganizować papier, zawieźć do drukarni w Gorlicach klisze z portretem Fredry. Wcześniej trzeba było napisać tekst, ale tak, aby w każdym programie pojawiło się słowo „Lwów”. Bez względu na to, czy było ono tam potrzebne, czy nie.

*

Kowal (lat sześćdziesiąt). Choć sam prostuje, że z zawodu jest ślusarzem. Kim jest Kowal? Na pewno nie „emerytem” – jak lubi zbywać ciekawskich chcących usłyszeć co nieco o autorze kutych w miedzi pater, tac i talerzy, (30.12.2002), czy też „wyciągniętych” z żelaza scesyjnych oku kominków, pogrzebaczy, szczypiec, łopatek, albo też prac grawerskich. Ostatnio wykuł herb rodziny, z której pochodzi Władysława – na srebrnym polu ręka ścinająca głowę Turka – bo i sam Kowal pochodzi, chociaż po kądzieli, z tej rodziny. A to zobowiązuje. Gdyby poszperać w biografii Kowala, czego tam się nie znajdzie. Po wojsku jako robotnik budował zakłady farmaceutyczne, potem trafił do zakładów chemicznych, prowadził świetlicę... W końcu wrócił do Miasteczka i tu został szefem młodzieżowego klubu „Sezam”, przez który przewinęły się dziesiątki chłopców i dziewcząt, bo i klub był miejscem atrakcyjnym: bilard, tenis stołowy, zespół muzyczny, zabawy, kuligi...

Wcześniej trzeba było uzupełnić brakującą maturę, co nie było trudne w liceum wieczorowym. Nie było trudne, gdyż Kowal pociąg do książek miał zapisany w genach, żeby o innych przyczynach, jak dyskusje na rodzinnych imprezach tudzież wędrowanie przez społeczne i geograficzne środowiska, już nie wspomnę. Wiele narzędzi Kowal otrzymał po swoim

dziadku, też kowalu, które za czasów prezesowania w „Sezamie” zaczynały się przydawać. A zaczęło się od wykonanego z metalu modelu wieży ratuszowej, której kolubryna, wycelowana w niebo, zdobi rynek prześcigając swoją wysokością ratuszowe wieże Poznania, Sandomierza, Wrocławia i większości polskich miast i miasteczek. Trzeba więc było przypominać sobie nauki dziadka, jego niespieszne ruchy, precyzyjnie uderzenia czarnym młotem w rozgrzane do białości żelazo. Trzeba było szukać po księgarniach i bibliotekach prac dotyczących metaloplastyki, historii sztuki, przede wszystkim architektury i malarstwa. Trzeba było postawić dom, wychowywać dzieci, uprawiać ogródek. Tak mało czasu zostawało na studiowanie ukochanego baroku czy nie mniej pociągającej secesji.

Teraz Kowal nie wie, skąd tyle przyjaźni, szacunek znajomych i sąsiadów, skąd tyle metalowych cacek rozsianych po świecie. Nigdy nie mogę się dowiedzieć, w którym miejscu na Wawelu są jego prace, gdyż Kowal, lekceważąco machając ręką, zbywa mnie: „To tylko repliki”. Tak jakoś samo się stało, że kute w miedzi herby Miasteczka, osadzone przy drogach na granicach administracyjnych naszego Grodu, wyznaczają jego miejsce na Ziemi. Przecież nie myśli o tym. Najwyżej czasami popatrzy na identyczny prawie herb nad drzwiami ratusza, a potem, gdy podniesie głowę, widzi miedzianą strzałę i koguta obracające się na iglicy ratuszowego hełmu. Uśmiecha się wtedy na myśl, jakie miny zrobią konserwatorzy, gdy kiedyś rozkręcą metalową kulę i wyjmą jej zawartość...

*

Wreszcie Anglista. Jeden z trzech – Bogu trójcu lubię – moich ojców duchowych i najbliższych mi ludzi. Właściwie Anglista był prawnikiem po studiach na uniwersytecie rzymskim – chociaż od powrotu z wojennej tułaczki w 1949 roku do emerytury pracował jako nauczyciel. A uczył i angielskiego, i francuskiego, i łaciny. Zdarzało się, że także matematyki i fizyki. Klasyczne przedwojenne gimnazjum w Tarnowie, a jeszcze bardziej ustawiczne powtarzanie materiału przez dawanie korepetycji (biedne chłopskie dziecko z czegoś musiało żyć), dawało znakomite wykształcenie. W 1978 roku przyszedłem na lekcję angielskiego i na wstępie poskarżyłem się, że dostałem dwóję z bilansu cieplnego. „Ale przecież to dziecinnie proste” – Anglista na skrawku gazety zaczął wypisywać wzory i gadać o „delcie”, choć z nauczaniem fizyki nie miał nic wspólnego od co najmniej kilkunastu lat. Ale to była tylko dygresja mająca w zamierzeniu dodać mi odwagi i ochoty do walki z bilansem cieplnym.

Strasznie mi trudno pisać o Angliście, bo kiedy tylko o nim pomyślę, dusza zaczyna mi się uśmiechać, a równocześnie intelekt staje na baczność na wspomnienie labiryntu maksym, zagadek, sentencji. Cały ten labirynt

prowodzi zawsze do pogodnego, mądrego żartu, który nie jest tylko żartem. No więc najlepiej by było usiąść wygodnie i sącząc w białej filiżance herbatę (Anglista nie pił kawy) wspominać dobrą, uśmiechniętą i zawsze opaloną twarz w aureoli siwych jak mleko włosów.

Na przykład w lekko przymglony październikowy ranek pławiący się w brząkach i żółcieniach, kiedy skręcam przed kinem w uliczkę prowadzącą do szkoły. Jest koniec lat siedemdziesiątych i najbliższym sklepem spożywczym jest „szóstka”. Koło parku widzę wyprostowaną sylwetkę Anglisty z małą teczką zmierzającego po chleb. *Good morning. How are You, sir?* – kłaniam się uprzejmie. Anglista robi obrażoną minę, przez którą jednak przebija z trudem skrywany uśmiech: „Nawet gdybym miał się źle i tak bym ci nie powiedział...”. Teraz ja nie mogę powstrzymać uśmiechu: „Tak? A dlaczego panie profesorze?”. „Bo, jak mówi Słowacki, dla obcych ludzi mam twarz jednakową” (tu Anglista robi małą pauzę i przeciąga artykulację dwu ostatnich słów): „ciiiszę błękiitu!”. Obydwaj wybuchamy śmiechem i już po chwili pomykamy każdy w swoją stronę; Anglista do sklepu, a ja, rozpogodzony i wesoły, do szkoły.

Innym razem pukam i słysząc „proszę”, wchodzę do pokoju Anglisty, który leży w łóżku i informuje mnie: „Nie będziemy mieli lekcji albowiem *morbo affectus sum*”. Nie znałem tego idiomu i dopytuję się: „Przepraszam, jak to brzmi – *mortuus...*?”. Tu Anglista wybuchnął śmiechem i z udawanym oburzeniem: „No! No! Tylko nie *mortuus*. Ty się trochę licz ze słowami”.

*

Wszystko to są impresje, luźne uwagi, subiektywne wrażenia i takie tam gadanie. Przerażający swym ogromem i głębią świat Miasteczka i obraz tego świata. Całkiem insze inszości. Ładnie to ujął Elias Canetti w *Auto da fe: Świat w głowie i Głowa w świecie*. Oto prawdziwa antynomia i źródło człowieczych porażek. „Głowa”, ale nie sama głowa, bo racjonalny mózg podłączony do wszelkich możliwych hormonów. Nie *ratio* lecz *ratio* emocjonalne, a więc tak myśleć, aby czuć, bo „czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”. No więc jak możliwy jest opis – nie żeby Miasteczka, nie żeby jego społeczności, nie żeby historii – ale opis człowieka? No więc opis jest niemożliwy *ergo* niemożliwa jest prawda – cel naszych dążeń, tęsknot, nadziei, ambicji i lęków. A jednak opisuję przecież to, czego opisać nie można, więc co? Mnożę kłamstwa? Tworzę półprawdy? Zbliżam się do prawdy? No bo co ja o nich wiem; o Zbyszku, Aptekarzu, pani Władysławie, Doktorze, Kowalu? Przecież widuję ich często, „wymieniam słowa, a czasami nawet myśli” (jak mawiał złośliwy Gombrowicz): „Cześć Zibi!”, „Serwus! Jak żyjesz?”, „Co to za życie. Jedna da, druga nie da”, „Dzień dobry panie magistrze!”, A witam! Witam! Myślałem wczoraj

o pana ojcu, którego bardzo szanowałem...”, „Dzień dobry dla żelaznego artysty!”, „Ja nie jestem artystą, ale rzemieślnikiem, ale witam pana profesora!”, „Skromność i to, jak naginasz swoją wielkość do ludzkiej małości, przynosi ci dodatkowy zaszczyt. Ale powiedz mi...”.

Wszystko to dzieje się w Miasteczku, to znaczy pomiędzy farą a Zdziurzem. Szumi nad nami to samo niebo z wiatrem kremowych obłoków bądź z sinymi, wpadającymi w fiolet długimi chmurami, „niczym świńskie ryje” (jak to kiedyś zobaczył Iwaszkiewicz), na tych samych od lat betonowych płytkach trotuaru wijącego się ku górze rynku (31.12.2002).

Dlaczego podobni, jeżeli tacy różni, bo przecież różnego wieku, wykształcenia, upodobań, gustów, zainteresowań... Pojedynczy, osobni, niepowtarzalni, jedyni, ale równocześnie tacy sami, banalni aż do bólu, zamknięci w polskości i miasteczkowości. No ale co ze mną? Gdzie tu ja? Z moją o nich wiedzą, z moimi nadziejami, kompleksami, ambicjami, z moim duchem i moim ciałem? Z moją pozycją nie tyle społeczną, ile socjalną? Gdy o nich myślę, przypomina mi się anegdota o Przybyszewskim zapisana, zdaje się, że przez Helsztyńskiego. „Mistrzu!” – zwrócił się ktoś z młodych satelitów do smutnego szatana i usłyszał w odpowiedzi: „Ja nie mistrz, ja taki sam robaczek jak ty”. Tak więc, co ja tutaj robię, a raczej, jak ja tutaj jestem robiony, boć przecie jestem tylko jednym z elementów komponujących Miasteczko. Tak, tak. Wieczysty błąd gramatyczny ludzkości – tak przynajmniej nazywał to Nietzsche – ludzie nie chcą wiedzieć, że nie tylko „czynią”, ale także „są czynieni”. Jak tu gadać o „podmiotowości”? Doskonale ujął to Jezus Chrystus: „Bądź wola Twoja”. A więc nie „moja”, gdyż ja usuwam się na pozycje przedmiotowości i godzę się na to, aby życie upłynęło mi na zwalczaniu mojego ciemnego ego. Tu dopiero zaczynają się głębie, na kontemplowanie których nie starczy życia.

Już dawno wyczułem, że w paradoksach jest jakaś siła fatalna, na której łamie się logika trójwymiarowego świata. Czują to poeci i dlatego Ryszard Krynicki mógł napisać: „Kto wybierze bezdomność, nigdy nie będzie bezdomny” (5.01. 2003). Tak podskórnie, to wszyscy to czujemy, że my tworzymy Miasteczko i jednocześnie jesteśmy mu zbędni, bo istniało ono bez każdego z nas i trwało będzie po naszej śmierci. Rozważania o życiu jawią się w takim kontekście jako stylistyczne ćwiczenia trybu warunkowego.

III

I pomyśleć, że wszystko to piszę na początku stycznia i na początku nowego tysiąclecia, kiedy przez Kraj i Miasteczko po raz kolejny w dziejach przejechał walec historii; upadł tak zwany komunizm, zwany też realnym

socjalizmem, wybuchła niepodległość i zaczął się, a raczej powrócił, tak zwany kapitalizm. No więc epika, dobrodziejcu, wielka epika!

Kiedy to piszę, pod moimi oknami przechodzi pani G w niebieskim płaszczu i zielonej chustce, bo jest lekki mróz i śnieżynki podkreślają przestrzeń pomiędzy moim oknem i leżącym za nim kawałkiem trawnika polukrowanego cieniutką warstwą śniegu, a także prostopadłościanami szkoły zawodowej i budynku starego ośrodka zdrowia. Ile lat może liczyć ta zasuszona staruszka, która codziennie powoli przechodzi, podpierając się laską, na mszę do kościoła klasztornego? Na pewno ponad siedemdziesiąt, a więc pamięta bardzo dużo. Nie to jest jednak najistotniejsze. Jest to osoba tak miła i serdeczna, że mam wyrzuty sumienia, gdy spieszę się do szkoły i nie mam czasu zatrzymać się i wymienić z nią kilku zdań: „Ale dzisiaj ślisko. Dobrze, że przynajmniej posypali drogę popiołem...”.

Zawsze, kiedy ją widzę, powraca do mnie przekonanie zrodzone pod wpływem jej widoku, jej powolnego spaceru kiedyś, w zmierzchu wiosennego wieczoru, kiedy ja egzaltowałem się *Deutsches Requiem* Brahmsa. Nagle ta totalna – czy raczej absolutna – muzyka, jej patetyczne głębie wydały mi się śmieszne. Za moimi plecami grzmiały w głośniku spiżowe dźwięki, a przez firankę i szybę widziałem staruszkę powoli wracającą z wieczornej mszy, tak jak wczoraj, przedwczoraj, jak od lat. Dotarło wtedy do mnie, że kultura i duchowość to jednak nie są pojęcia tożsame. Zobjektywizowany subiektywizm autora tworzy kulturę, lecz tylko intymne przeżycie, czyli stan nieprzekładalny nawet na język sztuki stanowi istotę sacrum, i to nazwałbym duchowością. Ale taka duchowość to już sprawa najprywatniejszej liryki zawierającej nieśmiałą sugestię. Na pewno nie epika. Zresztą, żeby wyartykułować tę różnicę pomiędzy grzmiącym głosem epoki obalającej ustroje a indywidualnym trwaniem godzącym się na przedmiotowość, trzeba by dramatu pokazującego dobitnie, że „czymś obcym jest dusza na Ziemi”, co zauważyli już niemieccy ekspresjoniści.

No i jak pisać o Miasteczku, kiedy nie pasuje do tej rzeczywistości żaden rodzaj literacki? (6.01.2003) No więc jak? Publicystyka? Esej historyczno-socjologiczny? Postmodernistyczna (cokolwiek to znaczy) gawęda? W epoce Big Brotherów zmęczonej fikcją należałoby ustawić kamery i wysłać w świat realny przekaz pokazujący niespieszne życie w starych dekoracjach przyciętych na ludzki wymiar, aby uzasadnić mój afekt do tego miejsca na Ziemi. Trzeba by zastanowić się na spokojnie i bez smutku – *sine ira et studio* – jak to kiedyś mawiano, czy epoka literatury, to znaczy masowego czytelnictwa, nie kończy się tak, jak kiedyś zaczęła się. Zresztą o jakim masowym czytelnictwie może tu być mowa, jeżeli dzieła Mickiewicza wydawano w kilkuset egzemplarzach. Przecież można brać udział

w kulturze i bez czytelnictwa powieści; lektura podręczników, instrukcji, telewizja, radio, plotki w prasie kobiecej... Opis kulturalny i przeżycie kulturowe – to przecież całkiem różne przeżycie. W liceum fascynowała mnie literatura podróżnicza, a tu kolega z liceum, Krzysiek G., podobnie jak ja ukończył polonistykę i za dwadzieścia lat objeżdżał cały świat. Kiedy ja czytałem o hinduskich fakirach i Indianach Pueblo, on w tym czasie oglądał fakirów na ulicach indyjskich miast i spacerując po indiańskim rezerwacie rozmawiał z Indianami. Teraz jest bogatszy o cały bagaż wspomnień, pamięć przestrzeni, dźwięków, zapachów, nastrojów. Tak więc co? Nie pisać o Miasteczku. Nie czytać o Miasteczku. Przyjechać do Miasteczka i obserwować linie architektury, typy ludzkie, narastanie i gaśnięcie ruchu ulicznego w różnych porach dnia, proporcje pomiędzy elementami – niemieckie *der Element* znaczy żywioł – rzeczywistości zwyczajnej, powszedniej i nicogarnionej. Właśnie tak! A książka ta niech będzie stymulatorem żywego doznania.

Czas w stronę legendy

30 lipca 2002 roku po najstarszej na świecie kopalni krzemienia prowadzał nas dyrektor Muzeum, doktor Tomasz Bąbel. Od kamiennych chodników ciągnęło na naszych synów i na nas chłodem tysiącleci, chociaż kilka metrów wyżej, na powierzchni, trwał uporeczywy upał, śpiewały ptaki i fruwały muchy wśród ciemnej zieleni traw i lekkich świetlistości letniego błękitu nieba. Później w cieniu olch paliliśmy ognisko, piekąc kiełbaski i gawędząc. Czas płynął leniwie i rozkosznie, pachniało dymem i wędzoną kiełbasą. Nie spieszyliśmy się, bo do Miasteczka mieliśmy dojechać za dwa dni. Były wakacje.

„Nigdy nie zżyłem się z Warszawą, chociaż mieszkałem tam wiele lat” – mówił doktor Bąbel w odpowiedzi na moje wrażenia ze stolicy. – „Ja zawsze uważnie przyglądam się legendom i mitom, gdyż w nich dochodzi do głosu zbiorowa podświadomość i dlatego legendy te więcej mówią mi o miejscu niż uczone traktaty. Przypatrzmy się legendzie o założeniu Warszawy. Książę jedzie na polowanie i gubi się w puszczy. Las jest symbolem podświadomości, więc to, że książę zgubił się, już nie rokuje dobrze. Ale to nie wszystko. Władca dochodzi do rzeki i tu smok podaje mu strzałę, którą książę wcześniej wystrzelił (7.01.2003). Smok symbolizuje pierwiastek żeński, chaos, materialność, grzech. To dopiero w późniejszych wersjach legendy smok zmienił się w syrenkę. Tak więc książę będzie rządził z nadania smoka, czyli pierwiastka żeńskiego, a smok będzie pożerał młodych mężczyzn. No i wystarczy przypatrzeć się dzieciom, żeby zobaczyć, jak ten

smok pożera młodych ludzi – nie chodzi tylko o Powstanie Warszawskie, którego rocznica przypada za dwa dni, gdzie młodzi mężczyźni z radością prawie szli ginąć, bo szli składać ofiarę smokowi. Proszę zwrócić uwagę, że odkąd Warszawa została stolicą, jakoś nie układa się – klęski wieku XVII, rozbiory w XVIII, bezskuteczne powstania w XIX, a o XX to już nie ma co gadać”. Doktor Bąbel rzucił sosnową gałązkę w stronę ogniska, a ja pospieszyłem z potwierdzającym argumentem: „Widziałem na Nowym Świecie maklerów w czerwonych szelkach. Przecież są to następne ofiary smoka. Ich zabiegane życie służy nie idei, lecz złotemu cielcowi, materialności, więc materii. – Dodam, że termin „materia” pochodzi od łacińskiego rzeczownika *mater* – matka – wtrącił Henryk i wypuścił z ust kłęb fajkowego dymu. – Materializm jest więc religią, a konkretnie służeniem Wielkiej Matce, czy też Wielkiej Bogini, bóstwu czasów matriarchatu i płodnościowych kultów epoki megalitycznej. Ja zaś modłę się: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie”, bo nie jestem maminsynkiem, ale synem tatusia. A więc do Ojca, w górę, do nieba, nie zaś do materii, w dół, do piekła.

Wyjechaliśmy następnego dnia i uspokoiłem się, kiedy za Tarnowem zaczęły się pagórki. Klóćąc się z Henrykiem o to, „jaka historia literatury jest nam potrzebna” (Henryk zaciskając dłonie na kierownicy i patrząc na drogę, zżymał się: „Co to znaczy nam? Nam nauczycielom czy nam uczniom?”), myślałem o legendach Miasteczka. Miasto założył zbój Becz, który schwytany i skazany na śmierć wyprosił darowanie życia za wybudowanie miasta ze zrabowanych kosztowności. Nie wiem, ile podanie o Beczu zawdzięcza legendzie o zbójcu Madeju, bo mityczny założyciel naszego Miasteczka, podobnie jak Madej, zaczyna rozumieć błędy młodości i rozpoczyna pokutę. Ależ tak – myślałem sobie – w starej stolicy, to znaczy tej prawdziwej, książę Krak zabija smoka gnieźdzącego się pod Wawelem, zaś w „małym Krakowie” (bo nie tylko Krosno, ale także nasze Miasteczko jest tak nazywane) zbrodniarz-założyciel zabija smoka w sobie. Nie mieli więc ojcowie założyciele złudzeń co do ludzkiej natury, ale w mit wpisano nakaz przezwyciężania własnego „zbojactwa”, dążenie do doskonałości, to znaczy do świętości. I jeszcze jedna zastanawiająca sprawa; dlaczego Becz prosił o darowanie życia? O ileż byłoby piękniej, gdyby nie skamlał o łaskę, ale umarł w mękach egzekucji? Czy Beczowi zrobiło się żal życia?

Idąc z całą rodziną w odwiedziny do szwagra, który wystawił dom tuż przy kapliczce wzniesionej na miejscu szubienicy, rozkoszując się urodą własnych doznań. Dzieci przekomarzają się i co chwila w matowym powietrzu popołudnia wybucha ich radosny śmiech, przechodnie wymieniają ukłony i uśmiechy, z radosnym stukotem pod Basztą Katowską przejeżdża pociąg do Jasła, między dzwonnica a cmentarzem wojennym rozrabiają

wróble... i nie wiadomo, co jeszcze jest sprawcą siłą mojej cichej radości. Właśnie radości. Kiedyś czułem się trochę skrępowany, że odczuwam radość bez specjalnego powodu, bo ileż to się nie natrudził XX wiek, aby opisywać uroki smutku: witaj smutku, smutną piosenką retro popłyniemy do kresu nocy, lecąc nad kukułczym gniazdem zapłaczymy w kaplicy powietrza nad ciemnościami, które kryją ziemię... Smutek prozy, smutek poezji, smutek dramatu, smutek tropików, smutek topiki.

No więc moje skrępowanie niegdysiejsze, z okresu wczesnej młodości, bo optymizm jakoś nie pasował do ogólnej i szczególnej atmosfery kulturowej. Do ogólnej nie pasował, pomimo entuzjazmu wpisanego w socjalizm lat siedemdziesiątych, bo to, wiecie, przejściowe trudności, obecność gnijącego, ale ciągle groźnego wroga na Zachodzie, walka o pokój, ale jednak walka... Do szczególnej także optymizm nie pasował – czwartą klasę licealną rozpocząłem w 1981 roku – bo to wtedy okazało się, że w podręcznikach są gęby kryminalistów, że w gospodarce katastrofa, że Związek Radziecki tak bardzo nas nie kocha... Wejdą, nie wejdą? Wszystko to było tylko tłem dla poezji (w tle znajdowała się nawet Szkoła z matematyką, fizyką, chemią, propedeutyką wiedzy o społeczeństwie, wychowaniem fizycznym), a tu już panował mrok nieprzejrzany: „furgony porąbanych ludzi / którzy nie zostaną zbawieni” Różewicza, „głuchy, drwiący śmiech pokoleń” Borowskiego, „a tam przez wieś z wesela / Z nożem w plecach mnie niosą” Nowaka, „Nie. Cały umrę...” Grochowiaka... Lektury licealisty. O tym, co drukował „Radar”, „Poezja”, „Miesięcznik Literacki”, nie ma nawet co wspominać. Wszystko to trafiało w ówczesne nastroje i już wtedy wydawało mi się naśladowaniem Eliota, do którego trafiłem dzięki numerowi „Literatury na Świecie”, kupionemu w kiosku Ruchu na rynku Miasteczka w 1980 roku. Moje wrodzone hipochondryczne skłonności miały tu znaczenie dominujące. Przez całe lata osiemdziesiąte walczyłem bezskutecznie ze smutkiem i na polonistycznych studiach w Mieście i po powrocie do Miasteczka, gdzie podjąłem pracę bibliotekarza, a następnie polonisty w liceum. Wtedy to zacząłem odkrywać już moje, prywatne, osobiste Miasteczko. Ale Miasteczko zaczęło mi umykać to w stronę średniowiecza, to mojego ukochanego baroku, to Galicji, to czasom PRL-u końącego się na moich oczach. Im byłem bliżej, tym byłem dalej (11.01.2003). Im bardziej swój, poprzez poznawanie wewnętrznego układu lokalnej społeczności, tym bardziej obcy.

Tu dłuższa pieśń na temat „swojska obcość”. Mój Ojciec, Aleksiej Jakowlewicz, który nienawidził Związku Radzieckiego i był w nim bezнадziejnie zakochany, miał dwie pasje – leczenie ludzi i rodzinę. To z racji mojego Ojca krzyczano za mną „Rusin” w szkole podstawowej, dotkliwie

dając mi odczuć, że jestem swój, ale tylko do pewnego stopnia. W przypadku nieważnych awantur w grupie kolegów szło na obelgi („flakorze”, „cebulorze”), potem na pięści, aż wreszcie padało najbardziej obelżywe „Rusin”. Wszystko to działo się we Wsi sześć kilometrów od rynku. Wieś słynęła z uprawy cebuli, stąd jej mieszkańców przezywano cebularzami. Dom nasz, wystawiony przez Ojca trzy kilometry od rynku, znajdował się faktycznie na wsi, chociaż była to ostatnia posesja leżąca w granicach administracyjnych Miasteczka. W Cebularni mieszkańców Miasteczka przezywano „flakarzami”, to znaczy amatorami potrawy, jaką są flaczki. Wyzyskiwano tu jednak skojarzenie z flakami i bebeciami.

Ponadto w klasie byłem jedynym dzieckiem z rodziny inteligentkiej. Ojciec był felczerem, zaś Mama uczyła w szkole w Cebularni, dlatego też trafiliśmy z bratem do tej szkoły. W szkole adaptowaliśmy się błyskawicznie. Po pierwszych lekcjach mówiłem Mamie w domu: „Mamo, moi koledzy mówią kluj”. „Tak synku? A na co tak mówią?” – Mama umiejętnie wykorzystywała swoje pedagogiczne talenty, aby uczulić mnie na gwarowe formy. „Jak to na co?” – dziwiłem się – „Na klej!”. Po kilku miesiącach jednak byłem wyprostowany i nie mówiłem już „po pańsku”, lecz normalnie: „Staszek, płożyc kluj”. Kolega z ławki obok wyciągał ku mnie rękę z klejem roślinnym, zaznaczając szeptem: „Ale łoddej mi zaroz”.

W klasie żyło się jak to w klasie – dużo zabawy, dużo szkolnej nudy, niekiedy awantury. No i wtedy byłem potrójnie obcy – *primo* byłem „flakorzem”, *secundo* byłem Rusinem, *tertio* byłem z Miasteczka, a więc mieszczański, pański. A wszystko to teoretycznie, jak to w polskiej nierzeczywistości. Rodzinna chałupa Mamy znajdowała się o czterysta metrów od naszego (murowanego) domu, jednak przez dziadkową posesję przepływał mały potoczek i to ta struga stanowiła granicę pomiędzy Miasteczkiem a Wsią. Prawie wszyscy sąsiedzi w okolicy mówili gwarą i prócz jednej inteligentkiej rodziny wszyscy byli chłopami lub chłopo-robotnikami. Powiat był daleko, wojewódzki Rzeszów niewyobrażalnie daleko. Tereny wysiedlonych Łemków o kilka godzin jazdy furmanką. Tu, we wsi, był swój świat. *Heimat* – jak nazywają to Niemcy – o promieniu jednego kilometra. Dzięki literaturze przygodowej w ten świat, znany aż do bólu, wjechały książki, no a z książkami niepostrzeżenie i podstępnie wjechał mit, czyli tęsknota za obcością. No i tu tkwi powód smutków, smuteczków i smutasów. Skąd ta wrażliwość? Skąd ta tęsknota do nie wiadomo czego? Może z niedostatku, bo trudno nasze życie nazwać biedą. Rodzice co prawda bardzo biedowali, bo trzeba było spłacać pożyczki zaciągnięte na cegłę, na cement, na pustaki, na deski, na żelazo budowlane – te wszystkie druty żebrowane i gładkie, gwoździe, kłamry... W każdym razie przyjemnie było pomarzyć o tym, że

ma się pieniądze na zabawki, na spodnie dzwony, na magnetofon... Wraz z wiekiem rósł katalog rzeczy pożądanых. Z każdą książką, z każdym dniem rósł świat i jego atrakcyjność. Z każdym rokiem rosła niedostępność tego świata, ale i nadzieja na jego zdobycie. Dzięki powieściom wielkich Rosjan, przede wszystkim Tołstoja, otwierał się widok na skomplikowanie człowieczych relacji.

Moi biedni rodzice. Ich troska i radość: „Ja nie miałem, więc niech dziecko ma”. Ale dziecko nie chciało marynarki, tylko dzinsy. Dziecko nie chciało podgolonej potylicy, tylko długie włosy. Jakże istotny konflikt pokoleń w wymiarze komicznym. I ta wzruszająca i fatalna nadopiekuńczość – ochraniać dziecko tak długo, jak to tylko możliwe; do piętnastu, osiemnastu, dwudziestu, dwudziesty pięciu, trzydziestu lat. Niech dziecko się ożeni i da mi wnuki. Niech dziecko zdobędzie dobry inteligencki zawód. Niech dziecko stanie się dorosłe, to znaczy takie jak rodzice. Niech ta duchowa powina łączy mnie zawsze z moim dzieckiem. Niech dziecko będzie dorosłe i ochrania dziecko przed dorosłością. Niech dziecko przeżywa przeżycia uładzone, dorosłe, dojrzałe, wartościowe. Ale przecież to wszystko nie jest „dzieckiem”, tylko „rodzicem”, duchowym klonem rodzica, jego wierną – więcej! – poprawioną kopią.

No i mamy pedagogikę doktora Spocka. Bunt dziecka i lanie spuszczone przez rodzica. Znów bunt i znów lanie. Po którymś razie zgoda dziecka, satysfakcja rodzica i tęsknota dziecka, tęsknota przeradzająca się w poczucie skrzywdzenia; nie dano mi pobawić się w kałuży, kałuża jest zła, tęsknię za kałużą. Kto jest winny, że nie mogę pobawić się w kałuży? Nie lubię kałuży, ale jeszcze bardziej nie lubię tego, kto zabronił mi pociągnięcia się w kałuży. No i co mi teraz zastąpi kałużę? Nic nie zastąpi kałuży. A winni są wszyscy: Żydzi, cykliści, masoni, komuniści, faszyci, kosmopolici, patrioci, łysi, owłosieni, blondynki, brunetki (dlatego, że nie są blondynkami), dorośli, dzieci... I żadna jawa nie jest w stanie sprostać marzeniu o kałuży. Nienasylenie kałużą jest straszne. Nienasylenie jest cudowne. Nienasylenie buduje naszą cywilizację.

Czesław Miłosz pisze, jak to prowincjuszowi w wielkim mieście wydaje się, że wśród tych wspaniałych budynków, placów, uliczek, w luksusowych wnętrzach toczy się lepsze życie pięknych kobiet i eleganckich mężczyzn. No i tęsknota do tego życia podsycana przez kulturę masową. Najgorszy chyba grzech kultury europejskiej – rozbudzanie tęsknoty za światem, który nie istnieje i istnieć nie może. Także ja.

Andrzej Stasiuk pisze w swej książce *Dukla*: „Zawsze chciałem napisać książkę o świetle. Nigdy nie potrafię znaleźć innej rzeczy, która bardziej przypominałaby wieczność. Nigdy nie potrafiłem wyobrazić sobie

rzeczy, które nie istnieją. Zawsze wydawało mi się, że to zwykła strata czasu, podobnie jak upór w poszukiwaniu Nieznanego, które i tak koniec końców wygląda jak układanka starych, dobrze znanych spraw w trochę podrasowanej wersji. Zdarzenia i przedmioty albo się kończą, albo giną, albo rozpadają się pod własnym ciężarem i gdy je oglądam i opisuję to tylko dlatego, że załamują na sobie blask, kształtują go i nadają mu formę, którą jesteśmy w stanie pojąć”.

No tak... Hm... Kokieteria polifonicznej semantyki: „zdarzenia i przedmioty” „jesteśmy w stanie pojąć” dzięki „blaskowi, któremu przedmioty nadają formę”. Stasiuk podejmuje tu polemikę z Gombrowiczem – poza maską nie ma twarzy (to Gombrowicz), ale są archetypy, dzięki którym zdarzenia i przedmioty uzyskują zrozumiałą dla nas formę (to Stasiuk). Czy popełniam tu nadużycie interpretacyjne? Jeżeli tak, to wybaczyć mój galicyjski Sąsiedzie. Wybaczyć, że nie uwierzę, jakobyś nie potrafił wyobrazić sobie rzeczy, które nie istnieją. Rzecz zresztą nie w rzeczach, czyli przedmiotach i zdarzeniach, ale w tym, jak te rzeczy układają się w wyobraźni w autonomiczne światy karmione cierpieniem i ekstazą wyobraźni.

No i taka, w telegraficznym skrócie, jest historia mojej choroby. Kultura, co w siedemdziesiątych latach znaczyło przede wszystkim książki i telewizja, bo kino w zakresie minimalnym, kołysały moją wyobraźnię, która kończyła kreowanie książkowego świata, dworków rosyjskich i polskich, gdzie głównym zajęciem było kontemplowanie dyskomfortu uczuciowego nieszczęśliwie zakochanych pocziwców. Jakże przyjemnie korespondoowało to z naturą egzaltowanego nastolatka zamkniętego w prowincji trawy, rozczłapanego przez kury błota podwórka, maleńkich zagajników wierzb i czeremch. Dotkliwie brakowało tu lasów z obrazów Szyszkina, małych miasteczek z prozy Bunina, naturalnej elegancji świata Anny Kareniny lub choćby zdziczałego parku z Soplicowa czy pomieszkania Kordiana. Nawet okoliczne zagajniki, zwane lasami, nijak miały się do puszczy Żeromskiego czy nawet lasu z *Nad Niemnem*.

Mankament tkwił w tym, że nie było tu żadnych proporcji pomiędzy powszedniością szybkiego pochłaniania kromki chleba z masłem a opisaniami niespiesznych śniadań w mieszcząskim salonie, na daczce, w dworku. Powstawał w wyobraźni jakiś niesamowity melanż polskości i rosyjskości wzajemnie się dopełniających.

A Galicja? Galicja w mojej postgalicyjskiej prowincji zjawiała się późno. Mowa o galicyjskiej świadomości, bo codziennych objawów owej galicyjskości, jak to z codziennością bywa, nie zauważało się prawie w ogóle. Było zresztą tego tak niewiele – na wprost bramy do klasztoru znajdował się kiosk spożywczy, gdzie w czasie przerw w liceum wybiegało się po

bułkę i oranżadę. Stojący przede mną klient w roboczym drelichu zwracał się elegancko do jedynej ekspedientki, skuteczniejąc austriacką tytulaturę: „Pani kierowniczo! Dwa piwa proszę i dwie bułki”.

A urząd? Urząd zawsze wprawiał człowieka w panikę albo przynajmniej silne onieśmielenie i zakłopotanie, gdyż poważne miny magistrackich urzędników zdawały się sugerować, że petent jest tu intruzem zakłócającym powagę instytucji i przeszkadzającym w pracy. Dopiero po wyjściu z urzędu można było ponarzekać na „austriackiego urzędnika”, to znaczy paragrafiście drobiazgowo trzymającego się przepisów, a przy tym bardzo poważnego, czy nawet gniewnego. Po wyjściu z urzędu takie odreagowujące zrzędenie było tylko przykładem „austriackiego gadania”, czyli mowy-trawy bez żadnego efektu.

Galicyska architektura stacji kolejowej, prawie identyczna jak wygląd budynków stacyjnych w Skołyszynie, w Przysiekach czy licznych stacji na linii Jasło – Rzeszów, nie kojarzyła się z Galicją, choć to przecież Austriacy budowali tę kolej. W pociągach do konduktora rewizyjnego zwracano się per „panie kierowniku”, choć opaska na jego rękawie nie pozostawiała wątpliwości, że nie jest to „kierownik pociągu”, lecz jedynie „konduktor rewizyjny”.

W siedemdziesiątych latach prawie wymarło pokolenie pamiętające czasy cysorza i babci Austrii, tak więc nie kojarzono budynków szkół podstawowych (jednej neogotyckiej, a drugiej z pretensjami do secesji) ani też kilku domów w miasteczku z czasami Galicji. Pięć cmentarzy wojennych znajdujących się w Miasteczku, a powstałych po bitwie pod Gorlicami rozegranej w 1915 roku, powoli pokrywała patyna czasu, co znaczy, że mech obrastał mury, które gdzieniegdzie rozjeżdżały się i wybrzuszały, znikwały nagrobki w wysokich trawach, wyrastały drzewa samosiejki, miejscowa chuliganeria piła tu wino, dewastując czasami „poaustriacki”, a więc niemiecki cmentarz. Któż wiedział wtedy, że leży tu połowa Europy: Austriacy, Niemcy, Czesi, Słowacy, Rosjanie, Słoweńcy, no i wielu Polaków służących we wszystkich trzech armiach zaborczych.

Widać więc, że po Galicji zostało mizernie mało, jeżeli nawet doliczyć nieświadome zapożyczenia z niemieczyny austriackich urzędników, tak więc: bratrura, fajermur, rajzenderka (czyli wagary), siher, czy też wymawiana z austriacka „senzacja”, a nawet frazeologizm „ono będzie padało”, „ono się rozpozodzi”, co jest językową kalką niemieckiego *es wird*.

Tak właściwie Galicja odżyła dzięki zainteresowaniu młodych pokoleń dziadków. Po osiemdziesiątych roku, w drugim i oficjalnym obiegu pojawiała się coraz więcej rzeczy dotyczących Lwowa, a że Lwów był sto-

licą Galicji, więc naturalną koleją rzeczy musiała zmartwychwstać i sama Galicja. No i oczywiście Kraków – nieoficjalna stolica Zachodniej Galicji, (choć granica pomiędzy wschodnią a zachodnią była tylko zwyczajowa, a więc płynna) – z Oleandrami i wymarszem Pierwszej Kadrowej. Ponadto pogardzana po wojnie secesja stała się stylem budzącym zaufanie. Przy końcu XX wieku dziadkowie przypominali sobie westchnienia swych własnych dziadków, jak to dobrze było w Galicji, a cysorz jaki to „był ludzki pon – raz w roku kazał płacić podatki i po wszystkim”.

No i zaczęło się (na dobrą sprawę jeszcze w latach siedemdziesiątych): *Austeria* Strykowskiego, *Lekcja martwego języka* Kuśniewicza, *Na wysokiej połoninie* Vincenza, odkrycie prozy Zygmunta Haupta, rosnąca wciąż popularność Schulza już w dwudziestoleciu kreującego Galicję mityczną, *Stankiewicz* i *Powrót* Eustachego Ryłskiego, książki Jerzego Janickiego, Szolgini, cykl *Biblioteka lwowska*, a potem *Rocznik lwowski*. Zaczęły się mnożyć Galicje – a to sklep, a to biuro podróży, a to hurtownia, a to knajpa... Galicja przeszła w stronę uładzonego mitu, gdzie różne narody różne wyznania zgodnie żyły ze sobą pod panowaniem najwyższego najjaśniejszego Urzędnika, to jest Franza Josefa der Erste.

Muszę wyznać, że i sam uległem temu pięknemu mitowi, zachowując jednak w kącie pamięci fakt, że był to jednak zabór, a więc obca okupacja. Jednakże w porównaniu z zaborem pruskim i rosyjskim, ck. Monarchia u schyłku swego istnienia była dla Polaków oazą swobód. No i było to państwo prawa. Kiedy zobaczyłem w telewizyjnym reportażu, że Jerzy Turowicz ma w swym gabinecie redakcyjnym portret Franciszka Józefa, sam też nabyłem sobie, w czasie wycieczki do Wiednia, portret Najjaśniejszego Pana, jak też Najjaśniejszej Pani, cesarzowej Elżbiety. W klasie lekcyjnej powiesiłem portret Marszałka, jednak w mieszkaniu portrety cesarskiej pary.

Przed kilku laty zzymając się na nieudolne rządu obozu „niepodległościowo-patriotycznego”, którego mój dyrektor był uczestnikiem i zwolennikiem, pozwoliłem sobie, doceniając poczucie humoru szefa, na bluźnierczy żart: „Nie trzeba było iść z Marszałkiem Piłsudskim na niepodległościowe awantury, ale trzeba było trzymać się babci Austrii i najjaśniejszego pana, czyli domu Habsburgów!”. Taki żart był już ponad wytrzymałość patriotyczną dyrektora liceum, który zapytał z przekąsem: „Ja nie wiem, co ty widzisz w tej ck. Monarchii?!”.

Nie powiem, żebym poczuł się jak von Trotta, kiedy wypaliłem odpowiedź na pytanie właściwie retoryczne: „A choćby elegancję, z jaką Monarchia się rozpadła”. Oczywiście, że racja była po stronie dyrektora. Mój argument da się traktować jedynie w kategorii kabaretowej frazy, lub

też jako wykładnik mitomanii. Dlaczego jednak stosunkowo łatwo uwiódł mnie mit pod tytułem „Austria felix”?

Ano dlatego, że w 1988 roku pojechałem odwiedzić moich rosyjskich krewnych mieszkających na pograniczu rosyjsko-ukraińskim, rewanżując się za dwie wizyty w Polsce mojego stryja Piotra, pilota bombowców i felczera. Na rodzinnych imprezach fetowany byłem nad wyraz okazale: *Andriusza. Dla nas ty jak pierwszy kosmonawt!* – przekonywali mnie kuzyni, ciocie i stryjowie. Jednakże, pomimo niezwyklej serdeczności i szczególnej atencji, coraz to powiększał się we mnie obszar cienia. Nie chodzi tu bynajmniej o biedę, bo miasteczka i wsie w okolicach Doniecka nie różniły się aż tak bardzo od małopolskich, choć więcej było tu drewnianej architektury, a i domy murowane były mniejsze niż te nasze. W sklepach, w porównaniu z polskimi, widoczny był nadmiar towarów. Ludzie na ulicach, w pociągach, autobusach nie byli ubrani gorzej, choć widać było, że obowiązują tu inna estetyka.

Kiedy w typowym socjalistycznym mieście, które do rewolucji nazywało się Bachmut, a po rewolucji Artiomowsk, zobaczyłem dwa kupieckie domy właśnie wyburzane pod nowe bloki (na połowie sufitu trwały jeszcze secesyjne sztukaterie), wtedy zrozumiałem swój cień. Chłonałem dokolną rzeczywistość, rozpaczliwie poszukując odbicia swojego prywatnego mitu. A dokoła była rzeczywistość niewiele różna od znanej mi od dzieciństwa, od tej, od której uciekałem w mit i legendę, co by tu należało rozumieć jako czytankę w odwołaniu do łacińskiego *legere*, czyli czytać. No więc jak?! Kochałem Rosję mityczną, a więc wyobrażoną na podstawie książek, zdjęć, filmów, opowieści... Co ja kochałem? Najpewniej swoje wyobrażenie, kochałem coś, co nie istnieje, choć wydawało się, że istnieje, bo przecież przedmioty i zdarzenia „załamywały w sobie blask” i nadawały przedmiotom rozpoznawalną formę. Dopiero kilka lat później przeczytałem (ale gdzie?) najcelniej sformułowane pytanie: „Czy nie jest potwornym kochać coś, co nie istnieje? Pytanie jest w zasadzie retoryczne...”

Moje samopoczucie z końca lat osiemdziesiątych... Przez dystans swego smutku patrzyłem na Jesień Ludów, koniec komunizmu obwieszczony przez aktorkę Joannę Szczepkowską, pierwsze wolne wybory, pierwsze puszki z piwem. Ilość publikacji dotyczącej Polski trwającej od końca jednej do początku drugiej wojny światowej, a także pochwalno-sentymentalny ton – jak to było dobrze, sprawiedliwie, patriotycznie, narodowo i zaraz potem, to jest po wrześniu 1939 roku, martyrologicznie – nakazywały mi nieufność wobec kreowania nowego mitu. No ale że natura nie znosi pustki, uciekając od jednego mitu, wpadłem w drugi.

Osiemdziesiąte lata dzięki udanemu Noblowi dla Izaaka Bashevisa Singera odkryły przed młodymi ludźmi nie tylko egzotyczny świat polskich

Żydów, ale odsłoniły także inną perspektywę spojrzenia na polską historię ostatnich dwustu lat, w tym także wgląd w żydowską sferę polskich miasteczek galicyjskich. Tak więc ja, Rusin, nienawidzący swej rosyjskości i „nie-wzajemnie w niej zakochany” (jak pięknie skomplikowane uczucia opisuje Miłosz) rozczzytywałem się w tej prozie swojaka i outsidera równocześnie. Napawałem się atmosferą wyobcowania i skłonności do świata bezpowrotnie utraconego. Tak więc Singer popchnął mnie w objęcia galicyjskiego mitu, chociaż z zachowaniem specyficznej optyki patrzenia na Galicję.

Czyż mogłem wtedy przypuszczać, że za kilka lat mój żydowski sąsiad z Nowego Jorku, pan Izaak Goetz, urodzony w Miasteczku w kamienicy Chodorów, powie mi, w odpowiedzi na moje zachwyty nad prozą Singera: „A wie pan, ja znałem Singera. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Nowym Jorku w jednym domu. Najczęściej jednak spotykałem się z nim w kawiarni. Niech pan nie pomyśli, żeśmy się przyjaźnili. Były to zdawkowe wymiany uprzejmości: «Co słyhać panie Goetz?», «Co słyhać panie Singer?». No i właściwie tyle. Bo, wie pan, on był pisarzem, a pisarze to nie są ludzie do życia”.

Nie do życia... Nie do życia... Chodziło to za mną jak refren, kiedy brałem w rękę którąś z książek Singera. Kiedy sprzątałem, bo ktoś musiał, kirkut, o którym w Miasteczku zapomniano po ogrodzeniu części cmentarza w latach sześćdziesiątych. Kiedy wyobrażałem sobie rozstrzelanych tu w 1943 roku żydowskich mieszkańców Miasteczka: starców, kobiety, dzieci... Wymordowani Żydzi znikli, Łemków wysiedlono, a część przeniosła się na Ukrainę. Po roku 1945, pomimo bliskości słowackiej części Czechosłowacji, nie było wymiany ludzi, a wymiana myśli odbywała się przez centralne publikatory, na których łapę trzymała komunistyczna cenzura. Taka to i była myśl. Hitlerowscy okupanci na dobre obrzydzili wszystko, co niemieckojęzyczne, nawet jeżeli była to babcia Austria, która zresztą wydała kaprala führera. Kolejne wiraże socjalizmu – „świt pokoju”, stalinizm, mała stabilizacja Gomułki – sprawiały, że coraz starszym ludziom coraz piękniejsza wydawała się pamiętana z dzieciństwa cesarsko-królewska Galicja. Gierkowskie, nie tyle otwarcie, ile uchylene okna, sprawiło, że mit Galicji odżywał podsycany optymistyczną tendencją pamięci: „Co przeminie, będzie piękne”. No i na takim tle moja wędrówka w arkadę Galicji.

Co jest wyróżnikiem owej „galicyjskości” oprócz „galicyjskiej nędzy” Golicji i Głodomierii? Z tą galicyjską nędzą to też różnie było, bo nie zdarzały się tu takie kłęski głodu, jak na Powołu w stalinowskiej Rosji. Żeby odpowiedzieć na powyższe pytanie, trzeba zacząć od anegdotki. Otóż austriacki konsul na krakowskiej premierze filmu *Marsz Radetzky'ego* miał powiedzieć: „Nie wiem, co to jest Galicja, ale bardzo to lubię”. Tak więc,

co bardzo lubi konsument mitu galicyjskiego? Ano lubi rzekomo harmonijne współzycie Polaków, Żydów, Ukraińców, Czechów, Austriaków, Słowaków i jakich tam jeszcze narodów, a więc zarówno katolików, starozakonnych wyznawców judaizmu rabinicznego, jak i chasydów, prawosławnych, greko-katolików, protestantów. Co to znaczy „harmonijne współzycie“?

Rzadko bo rzadko, ale trafiają mi się chwile, kiedy bardzo się nie lubię. Są to chwile, kiedy pod wpływem czyjejs wypowiedzi doznaję nagle olśnienia na skutek jakiegoś kontrowersyjnego na pozór sądu, który odsłania stereotypowość mojego myślenia. Na przykład nazwać Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową zwykłym ordynarnym zamachem stanu dokonany przez Trockiego i Lenina – bo to był zwykły ordynarny zamach stanu – a wyraca się cały komunistyczny porządek aksjologiczny i historiograficzny. Na podobnej zasadzie Profesor zakpił sobie z mojej, odrobinę ironicznej ale jednak egzaltacji, mitem Galicji. Tak więc, co to znaczy „harmonijne współzycie“?

To znaczy, że jakoby panowała nie tylko tolerancja, ale wręcz szacunek dla odmienności religijnej, etnicznej i kulturowej. I podobno było tak dobrze, bo w piątek wieczorem Żydzi zamykali swe sklepy i knajpy, ale za to w sobotę wieczorem, gdy zaczynali świętować chrześcijaństwo, Żydzi otwierali punkty gastronomiczno-handlowe i usługowe. Najpierw świętowali katolicy, a po dwóch tygodniach prawosławni. Tak więc pierwsza rzecz do normalnego funkcjonowania społeczności, to jest handel i usługi. Poza tym... Poza tym... No właśnie. Co poza tym? Bo wygląda na to, że nic. Co z polskiej kultury fin de siècle'u można się dowiedzieć o Żydach, Ukraińcach, Czechach, Łemkach, o kulturze i duchowości tych narodów? Tylko tyle, że dla „Hucuła nie ma życia, jak na poloninie“...

Jeżeli jeszcze ze znajomością języków jakoś to było – jakoś, bo wcale nie dobrze – to wszystko inne dzieliło: religia, wyznanie, strój, obyczajowość, mentalność. Oprócz sporadycznych kontaktów, które wymuszało życie, normą była wroga obojętność, a czasami tylko obojętność życzliwa. Mój Boże! Czyż nie widać tego i w *Lekcji martwego języka*, i w *Austerii*, a wcześniej w *Lalce*, w *Ludziach bezdomnych*, w *Weselu* nawet, żeby odwołać się do utworów najpoczytniejszych i dodatkowo spopularyzowanych przez film? Widocznie jakoś nie widać i stąd bredzenie, któremu i ja tak łatwo dawałem wiarę, o zrozumieniu, współzyciu, pomaganiu sobie... I to całe gadanie, jeżeli chodzi o mniejszość najliczniejszą. O mniejszościach mniejszych, to znaczy mniej licznych, jak Ukraińcy, Słowacy, Łemkowie nie ma co mówić. Bariera językowa była tu znacznie mniejsza ze względu na podobieństwo języków słowiańskich, ale sprawa się komplikuje. Owo skomplikowanie dobitnie pokazuje scenka rodzajowa zasłyszana w tele-

wizyjnym programie o Kresach, a coś mi się błąka po pamięci, że także wyczytana w jakichś wspomnieniach. Starsza pani opowiada o sytuacji na Kresach (ale gdzie to było? koło Łucka? pod Lwowem?) po 17 września 1939 roku: „Do mojego domu ziemniaki przywoził Mykoła, czy też Iwan, z którym moja mama nigdy nie mogła się dogadać, bo chłop nie mówił po polsku. Tydzień po wkroczeniu Sowietów chłop przyjechał z ziemniakami i zaczął z mamą rozmawiać piękną polszczyzną. «Dlaczego pan nigdy nie mówił po polsku?» – zapytała mama, na co pytany odpowiedział: «Wyście uczyli nas polskiego przez 20 lat, a Sowietci nauczyli nas w jeden tydzień»”.

Tę bardzo pouczającą anegdotkę – bynajmniej nie chodzi tu o cudowne metody nauczania radzieckich pedagogów – przytacza się jako oznakę doceniania polskiej państwowości przez Ukraińców i Białorusinów dopiero po agresji Armii Czerwonej. Ale przecież ta opowieść odśłania całkiem co innego. Właśnie całkowitą obcość i obojętność wobec autochtonów, wobec ich gorszego języka, bo języka służby i chłopów. Z jednej strony „klasa, rasa, szyk” ziemian, oficerów, urzędników, z drugiej: chaty, baby i chłopcy, umorusane dzieciśka, ciemny, cheiwy pop. A więc nie atrakcyjnego. Coś tam wcześniej bredzili artyści o huculskich haftach, o malowniczej orce na Ukrainie, o bodiakach i cerkiewkach w zorzy zachodzącego słońca. No a skąd u Wyspiańskiego ten Wernyhora to już całkiem nie wiadomo. Co? *Wesele* jako utwór o nieudanym przymierzu polsko-ukraińskim?! A daj pan spokój! Przecież Sienkiewicz pokazuje, że czerń zawsze zostanie czernią.

Z drugiej strony ów ukraiński czy białoruski chłop też ostentacyjnie demonstrował swe niezainteresowanie polską odmiennością i widocznie w geście samoobrony nie chciał mówić po polsku, choć język polski znał. Jeżeli klientka nie chciała wyuczyć się choćby kilkudziesięciu zwrotów z jego języka, to niby dlaczego on miałby przejawiać życzliwe zainteresowanie jej językiem?

Taki obraz pasowałby mi do humorystycznej opowieści, którą przed laty usłyszałem z ust mojego ojca. Jechał mój ojciec w towarzystwie znajomego, nie pomnę, ziemianina czy księdza, i widzą z wysokości bryczki, jak na polu kłóci się dwu polskich osadników, w dodatku rodzonych braci. Jeden drugiego przeklina w żywy kamień i w dodatku czyni to po... ukraińsku. W bryczce, którą zatrzymano, rozległ się śmiech, po czym kompan ojca dobrotliwie napomniiał kłótnika: „Bój ty się Boga Błażeja, żeby tak brata przeklinać! I dlaczego po ukraińsku?”. „A bo na takiego drania, to szkoda tego szlachetnego języka” – padła odpowiedź rozgniewanego Błażeja. No i cały kontekst: mój ojciec – sowiecki oficer, ukrywany przez polskich

ziemian, z wysokości bryczki obserwuje kłócących się po ukraińsku dwu Polaków. Był rok 1942 lub 1943 w okolicach Husiatynia.

Scenka ta, wspominana po latach, tak samo bawiła mojego ojca. Lecz po kilkunastu latach, kiedy ja wspominam opowieść ojca, już nie wydaje mi się taka śmieszna. No proszę! Polsczyzna była „szlachetna”, a ukraiński nadwał się do tego, aby kogoś, nawet własnego brata, sprzeklinać. Godzi się tu zauważyć, że osoba w bryczce i polscy bracia znali ukraiński. W dodatku trzeba stwierdzić, że widocznie ukraińskim posługiwali się często i dlatego w chwili emocjonalnego wzburzenia automatycznie na język sobie bliski przechodzili. Ale czy zza tej scenki rzeczywiście ukazuje się arkadia zgodnego współżycia narodów?

Wspominam tu o czasach postgalicyjskich, bo Galicja po 1918 roku zmieniła się w województwa lwowskie i krakowskie. Ale po pierwsze gawęda jest postgalicyjska, a po drugie w Galicji właściwej, to jest tej do roku 1918 o żadnym przepływie idei i myśli nie mogło być mowy. Narody karmiły się mesjanistycznymi uniesieniami, nie zawsze romantycznej proveniencji, i niepostrzeżenie zamykały się w gettach narodowych i wyznaniowych. Katolik nie miał prawa odwiedzać cerkwi, Żydzi oczekiwali, że „za rok w Jeruzalem”, prawosławni wiedzieli swoje, grekokatolików nie chcieli ani katolicy, ani prawosławni.

Zawsze, gdy jadę w Bieszczady, chłonę widoki z okna pociągu i autobusu, porównując je z opisami Vincenza, Kuśniewicza i Haupta. I zawsze z żalem myślę sobie, jaka mogła się tu narodzić różnorodność architektury, muzyki, malarstwa, kuchni, mody i czego tam jeszcze. Jednak nie narodziła się, bo ludzie żyli obok siebie, najwyżej tolerując odmienność sąsiadów, ale uznając odmienność ową za coś kompletnie nieprzydatnego w ich zapracowanym, biednym, codziennym bytowaniu. Grupy etniczne zamieszkujące jedną wieś jakoś niepostrzeżenie zaczęły się oddalać od siebie. W 1914 roku Europa zaczęła się bawić w zmierch bogów. Nieudane samobójstwo Europy, jakim była I wojna światowa, zostało dokończzone w dwadzieścia lat później. Łudziły się narody, że przy okazji wielkiego ognia będzie można upiec pieczeń narodową i stąd mrzonki o samostijnej Ukrainie, czy wolnej Słowacji pod skrzydłami Wehrmachtu. Zdawały spełniać się marzenia romantyków („Za wolność waszą i naszą”), ale spełniały się w formie tak spotworniałej, że trudno było rozpoznać kształt, o który chodziło marzycielom. W chwili zagrożenia trzeba było trzymać się własnego narodu, bo wszystko na zewnątrz było złe i wrogie. Okupacyjne prawo – i faszystowskie, i komunistyczne – sankcjonowało nienawiść rasową lub klasową. W takim kontekście naiwne wydają się pytania: dlaczego nie ratowano sąsiadów – żydowskich, polskich, ukraińskich, łemkowskich? Odwróćmy to pytanie:

a dlaczego by miano ratować? Ci, którzy ratowali, zasługują w takim razie na tym większy szacunek.

Uczniowie liceum, w którym pracuję, od kilku lat w czasie wakacji jeżdżą po Łemkowszczyźnie i w miarę swych możliwości restaurują nagrobki na łemkowskich cmentarzach oraz krzyże przydrożne. Jeden z nich nauczył się ukraińskiego, aby czytać w oryginale ukraińską literaturę. Ci młodzi ludzie szukają porozumienia z obcą przecież dla nich kulturą i duchowością, i widać znajdują jakieś atrakcyjne dla siebie wartości. Naród poznaje się poprzez kulturę, poprzez, gdyż kultura jest tylko nośnikiem duchowości. Tak, dla mnie chasydyzm jest jedną z najpiękniejszych form duchowości, obok ewangelicznej duchowości chrześcijańskiej, a także duchowości tybetańskiego buddyzmu. Przeszukiwanie obcych kultur jest zapewne największą przygodą, jaka może spotkać człowieka III tysiąclecia.

Wymiana idei, a więc tak myśli teologiczno-filozoficznej, jak i literackiej, plastycznej, filmowej, jest generatorem sympatii do narodu. Wymiana idei wzbogaca każdą z kultur dialogu, a tym samym czyni życie przyjemniejszym i ciekawszym. Ruch ekumeniczny, teoria inkulturacji, dialog z innymi religiami – są to największe osiągnięcia duchowości chrześcijańskiej. Ale przecież jest to obecny stan rzeczy. Józefa Hannelowa wspomina, że przed wojną w Wilnie katolik nie mógł wejść do cerkwi bez dopełnienia grzechu. Mało tego! Pani Wiesława Kleban, urodzona na wileńszczyźnie córka polonisty, a obecnie nauczycielka matematyki w polskiej szkole we Lwowie wspominała mi jesienią 2002 roku, jak ją rodzice upominali, że od cerkwi należy się trzymać z daleka.

*

W pogodne jesienne popołudnie idę do szwagra i rozkoszując się Miasteczkiem, pozwalam przepływać myślom i odczuciom. Gdzie przepływają człowiecze myśli i uczucia? Przepływają one w stronę uładzonych legend i mitów, które skuteczniej niż prawda uprzyjemniają życie. Słusznie zauważył Grzegorz Kociuba, że prawda nie wyzwala, ale dobija. Grzegorz jednak nie dopowiedział, że prawda dobija tych, którzy nie są przygotowani na jej przyjęcie.

Głupota mądrości i mądrość głupoty

W 1988 roku opowiadał mi proboszcz M. o świętym Franciszku z Asyżu, kiedy odwiedziłem go i już razem, po drabinach rusztowania, weszliśmy na samą górę, aż pod kopułę gotyckiej dzwonnicy, aby z bliska przypatrzeć się, jak została zrobiona konserwacja wykonanych techniką sgraffito wizerunków św. Wojciecha, św. Stanisława i, pośrodku nich,

postaci Matki Boskiej z Dzieciątkiem w mandorli z lili. Ta nowatorska technika wynaleziona w XVI stuleciu w Italii po czterdziestu latach znana była już w Miasteczku, co bardzo dobrze świadczy o jego ówczesnej zamożności. W dodatku taka nobilitacja: święty patron Europy i święty patron Polski. Wojciech i Stanisław. Dwie wielkie postacie i dwaj męczennicy. Europa i Polska. Tyle propagandowych kontekstów do wykorzystania. Oczywiście, jeżeli kieruje się czas w stronę uładowanych legend. Popatrzcie tylko! Piast Kołodziej ugościł tajemniczych przybyszów, a ci okropni Prusowie zabili misjonarza niosącego pochodnię chrześcijaństwa.

Wojciech przybył do Prusów, którzy byli nie mniej gościnni od znanych do dzisiaj z gościnności Bałtów. Tu misjonarz zaczyna opowiadać o Ewangelii i dewastować święty gaj, gdyż nie śniło się jeszcze nikomu o jezuitach i teorii inkulturacji. Sprawa była bardzo poważna. Słowianie i Bałtowie wierzyli, że święte gaje są łącznikami z zaświatami i to przez owe gaje dusze powracają na Ziemię, aby wcielić się w dziecko. Święte gaje dla Prusów były więc rezerwuarami dusz, a ich wycinanie najgorszą z możliwych zbrodnią, gdyż podcinało korzenie bytu plemienia. I co zrobili Prusowie? Pojmali swojego niewychowanego gościa i... odwieźli czołnem za rzekę – przecież nie mogli go zamordować i tym samym pogwałcić świętego prawa gościnności – ostrzegli go równocześnie, że jeżeli powróci na ich ziemię, zostanie zabity. Wojciech powrócił i zaczął obalać bałwany. Jak to się skończyło – wiadomo. W warunkach walki ideologicznej i przy ówczesnych kryteriach oceny postępowania trzeba było ogłosić Adalberta, czyli Wojciecha, świętym kościoła.

Stanisław był biskupem. Anonim zwany Gallem opowiada o nim bardzo lakonicznie, aby nie narazić się swoim kościelnym przełożonym. Zasłania się brakiem źródeł wiedzy. Czyta się w szkole fragmenty *Kroniki polskiej* i jakoś nikt nie zakwestionował jednego strasznego słowa „zdrajca”. Nie wykreślili go nawet współcześni kronikarzewi dostojnicy kościoła. Tak więc biskup Stanisław zdradził. Król Bolesław skazał zdrajcę na śmierć. Stanisław został świętym, Bolesław zaś wygnańcem. Gdzie jest grób króla karzącego zdrajcę? Bo trumna Stanisława została w katedrze wawelskiej wzniesiona na ołtarz i po dziś dzień klerycy schylają głowy przed patronem Polski, który został wzniesiony nad ołtarz, podczas gdy królowie spoczywają w podziemiach. Niech wszyscy wiedzą, kto tu naprawdę jest ważny. Kto jest górą, kto dołem.

Tu włączyła mi się autocenzura. Tylko żadnych aluzji pod adresem katolickich duchownych. W dodatku nie w czasie, gdy co rusz poświęca się: pomnik, mieszkanie, dom, fabrykę, sklep, samochód itd. Księża i zakonnicy publikują w gazetach, wypowiadają się w telewizji i radiu. W klasach

lekcyjnych, w urzędach w sklepach, bankach na ścianach wiszą krzyżyki. Niewierzący (a tych jest znikoma mniejszość) nakazują swoim dzieciom uczęszczać na lekcje religii. Spotkania opłatkowe – w sejmie, w kancelarii prezydenta, w urzędach wojewódzkich, powiatowych i gminnych, w szkołach i gdzie jeszcze – odbywają się długo przed i po Świętach Bożego Narodzenia. Z oświadczeniami i komunikatami Plenum Konferencji Episkopatu klasa polityczna musi się liczyć. W takich czasach i w tak katolickim kraju o duchownych, tak jak o umarłych, *nil nissi bene*. Bo i po co to przypominać, że biskup Stanisław, jak chce Anonim zwany Gallem, był... no..., ten..., tego..., jak to powiedzieć? Że był (przepraszam!) zdracą. Powiedzieć jednak trzeba.

W ubiegłym, 2002 roku, wiernymi nie tylko kościoła w USA wstrząsnęła sprawa molestowania seksualnego dzieci przez kilkunastu księży katolickich. W Polsce o molestowanie seksualne księży i kleryków oskarżony został jeden z arcybiskupów. No a co tu powiedzieć o milczeniu hierarchów kościoła wobec Holocaustu Żydów w czasie II wojny światowej? I rzecz jeszcze gorsza; co powiedzieć o milczeniu kościoła po wojnie? Papież Jan Paweł II stara się nadrabiać te zaszczości.

Swój autorytet we współczesnej Polsce kościół budował nie tylko w czasach zaborów i dwudziestowiecznych wojen (w tym dwu światowych), ale także społeczną nauką kościoła, upominając się o najuboższych, o poniżonych i pokrzywdzonych w czasach radosnego i smutnego PRL-u. Trochę mam pretensje, że na przełomie tysiącleci kościół zapomniał o swej społecznej nauce. Wspominam o tym, pamiętając o działalności Caritasu, szpitalach i szkołach prowadzonych przez kler. Hierarchowie kościoła jakoś nie popierają strajków pracowników zakładających związki zawodowe i zwalnianych za to z pracy przez kapitalistycznych właścicieli. Duchowni jakoś nie mówią teraz o godności i prawach człowieka. Czyż nie dotyczy duchownych w pierwszym rządzie dystych z piosenki Jacka Kaczmarskiego pt. *Rechoł Słowackiego*: „Ci zapomnieli, marząc o kokosach / Że ich królestwo – dopiero w niebiosach”.

Już słyszę ten chór, do którego i ja (wzorem Wałęsy) się przyłączę – protestujący, że księża są tylko ludźmi, więc są grzeszni, że są dziesiątki księży wielkiej pracowitości i dobroci, że niektórzy zakonnicy mają po trzy magisteria, że ksiądz Tischner, ksiądz Maliński, ksiądz Boniecki, że siostra Chmielewska, że ojciec Knabit... Ja sam do tej listy dołączę wielu duchownych zapisanych w dziejach Miasteczka, w tym także tych znanych mi osobiście; ksiądz Lucjana, ksiądz Piotra, ksiądz Zbigniewa. Jednak wielkie organizacje mają to do siebie, że alienują się w twory oddzielne i samoistne. Przecież nie jestem tylko nauczycielem, ale także częścią współczesnego

polskiego systemu oświatowego. Jeżeli więc nie rzucam roboty, to znaczy, że akceptuję to dziadostwo, które współtworzę. Dziadostwo to odbywa się w imię hasła: My w Ministerstwie Oświaty i Sportu wymyśliliśmy reformę, a wy na dole w swoich szkołach realizujcie ją jak umiecie i możecie. My wam damy kilkanaście podręczników do przedmiotu, a wy sobie wybierzcie. Programy też sobie sami skomponujcie. My za to nie zorganizujemy żadnych konferencji, a jeżeli chcecie się douczyć, to płacicie za to słono. Przecież dajemy wam pensję wystarczającą na mieszkanie i wyżywienie. Jesteście mądrzy, więc potraficie zakombinować, choćby korepetycjami. A co jest najważniejsze, to znaczy, jakie umiejętności i jaką wiedzę powinni posiadać uczniowie, to wam powiemy w przyszłym roku, a może później.

Z każdym rokiem odkrywają mi się nowe głębie nauki Jezusa Chrystusa. Jak choćby ta o nadstawianiu drugiego policzka. Przecież jest to mechanizm behawioralny funkcjonujący w świecie zwierząt. Jeżeli jeden z dwu walczących wilków ma dosyć i chce przerwać walkę to „nadstawia drugi policzek”, czyli przewraca się na grzbiet i podsuwa zwycięzcy gardło do przegryzienia. Śmiertelny cios jednak nie pada. Gniew i agresja zostają powściągnięte. W świecie dzikich zwierząt więcej jest kultury niż w mądrzej cywilizacji człowieka. Dlaczego tu mechanizm ten nie działa? Oto jest pytanie.

A modele męskości i kobiecości, które każda epoka i krąg cywilizacyjny próbuje ulepszać? Znow w postaci Chrystusa schodzą się w idealnej harmonii cechy typowo męskie – stanowczość, konsekwencja, odwaga – z typowo kobiecymi, jak łagodność, delikatność, subtelność. Tak więc wartości ewangeliczne mają dla mnie urok i siłę diamentu, że wymienię ten minerał z braku lepszej i adekwatniejszej substancji. Nabieram jednak wątpliwości, czy wartości ewangeliczne i chrześcijańskie są tożsame. Cieszę się, że w osobie Jana Pawła II dużo jest ducha Ewangelii. Zapewne jeszcze więcej ducha tego było w postępowaniu świętego Franciszka z Asyżu. Proboszcz Mularski odpowiadając na moją uwagę (gdzie ja to usłyszałem), że największym cudem świętego Franciszka było to, że nie został spalony na stosie, wyjaśniał mi, przytaczając także zasłyszana opinię: „Mówi się w biografiiach Franciszka, że rozmawiał on z samym sułtanem i prawie go nawrócił. Jednak sułtan był człowiekiem Wschodu, a tam wysłuchuje się różnych szaleńców i nawiedzonych”.

Proboszcz M. jest dobrym człowiekiem, był dobrym proboszczem, realistycznie patrzącym na świat i ludzi. I taka jest zapewne większość księży, co by można uznać za komplement pod adresem stanu kapłańskiego. Ale czy Chrystus był realistą? Chyba tylko w formule kontestatorów roku 1968: „Bądź realistą – żądaj niemożliwego!”. Co jakiś czas dobry Bóg

zsyła nam świętych szaleńców: Franciszka, Ignacego, Ojca Pio, Faustynę... Mniejsza o imiona, bo kto zna imiona trzydziestu sześciu sprawiedliwych, na których opiera się świat? Zresztą mniejsza także o legendy chasydzkie. Jako człowiek Wschodu mam wschodnie nastawienie do jurodiwych, bożych szaleńców, nawiedzonych, braci mniejszych, czy jak ich tam Wschód i Zachód zechcą nazywać. Często dźwięczy mi przed uszami duszy mojej zdanie zasłyszane w czasie projekcji filmu o Lwowie: „Lwów zawsze kochał się w szurniętych”. Tak, ale Lwów leżał w Galicji Wschodniej, więc miał także wschodnie nastawienie do „szurniętych”. Całe bogactwo tego słowa, w którym i „szmer”, więc tajemnicze odgłosy nieznannej proveniencji i „szorowanie”, a więc czyszczenie, oczyszczanie, i „szurnięcie”, a więc wyrzucenie, odepchnięcie z gniewem rzeczy niepotrzebnej i przeszkadzającej. Taka etymologia generuje określoną postawę, a konkretnie nabożny lęk przed tym, kogo w sposób szczególnie dotknęła boża ręka. Bóg zabrał mu rozum, a więc ma wobec niego plany szczególne. W świecie w którym *ratio* bije pokłony przed skutecznością, doświadczenie podpowiada głosem Poetki: „I tak się dochodzi gdzie indziej / Niżli się dojsz zamierzało”, więc może „szurnięci” tak naprawdę idą prawidłową drogą? Szczególnie ciężki los proroków nakazuje ostrożność. Kto zna nazwiska i losy fryzjerów, kupców, nauczycieli, przedsiębiorców, żeglarzy z epoki Ezechiela? Ale zostają też wątpliwości, czyja ręka dotknęła jakiegoś nieszczęśnika? Kto go nawiedził? Czy jest to nagroda, czy też kara?

Myślę o tych pytaniach, jednak nie staram się ich rozstrzygać. Proszę moją świadomość, aby dała mi odpocząć i zostawiła miejsce na atawistyczny lęk, pokorę i współczucie, gdy przez pamięć wędrują postaci Głupiej Stasi, Liczykroka, Koszyka, Bebusia i innych nieszczęśliwych szczęśliwców.

Persona pierwsza. Od trzydziestu lat, odkąd ją pamiętam, jej wygląd prawie się nie zmienił. Niska, korpulentna szatynka przy kości o bezczelnej twarzy. Zawsze podobnie ubrana – w rozczłapane buty i płaszcz. Tylko latem chodzi w perkalikowych sukienkach. Zimą i jesienią wkłada chustkę lub okręca głowę szalem, jeżeli nie zrobiła sobie trwałej, którą trzeba za imponować mieszkańcom Miasteczka i pasażerom PKS-ów, którymi Stasia jeździ na gapę od zawsze. Zdarza się, że jakiś kanar niemający przyjemności znać głupiej Stasi wysadzi ją na najbliższym przystanku, wdając się z nią w rozmowę ku ucieście pasażerów.

Chociaż pochodzi z pobliskiej wsi, Stasia prowadzi wędrowny tryb życia. W okolicy ma wiele zaprzyjaźnionych domów, gdzie uprosi trochę jedzenia, kilka groszy, parę jajek. Można tam także zdeponować pieniądze z renty. Łaskawi gospodarze pozwolą jej umyć się i przebrać przed wyruszeniem w dalszą peregrynację. W wędrowce przez wieś, czy też miasteczko,

trafi się wielu, którzy zaczną Stasię złośliwą odzywką, aby ta zaczęła ku uciesze gawiedzi wrzeszczeć i przeklinać najwulgarniejszymi wyrazami. Stasia temperament miała widać ognisty, bo urodziła ośmioro dzieci, które zostały jej odebrane i wychowane w domach dziecka. Wyrosły zresztą na porządnym ludzi. No ale co z ich ojcami, którzy wykorzystywali biedną dziewczynę, u której zaburzenia psychiczne szły w parze ze wzmożonym popędem seksualnym? Ojców nie ma. Jeżeli wstydzą się, to ich wstyd jest ukryty i anonimowy. Istnieją niejaki wątpliwości, czy aby w ogóle wstydzą się. Popularność Karusi z ballady *Romantyczność* nie jest znowu tak wielka. Zresztą któżby porównywał życie i literaturę.

Nie pamiętam, kiedy z pejzażu Miasteczka zniknął Liczykrok? Persona druga. Musiało to być z dziesięć lat temu. Któż by zaprzętał sobie głowę takimi datami. Nie trafią miejscowi nawiedzeni do *Polskiego słownika biograficznego* ani innej podobnej publikacji. Bo i dlaczego mieliby tam trafić? Zresztą jak sprawdzić podstawowe fakty biograficzne, jeżeli każdy opowiada inną historię, która wyklucza poprzednie? Historii Liczykroka też jest wiele.

Podobno był to człowiek bardzo uzdolniony, z tym, że jedni przypisują mu wybitne zdolności matematyczne, inni zaś muzyczne. Podobno popadł w obłąd, gdyż zażywał jakieś specyfiki, których działanie miało ustrzec go przed służbą wojskową – według jednej wersji. Według innej rozchorował się, gdy rodzice zabronili mu kontynuacji nauki muzyki. Odkąd ja sięgam pamięcią, Liczykrok chodził po rynku i okolicznych ulicach ubrany zwykle w szary płaszcz i nicodłącną beretkę. Ale to jego chodzenie było jakieś dziwne. Na przykład przechodził przez ulicę i tuż przed wejściem na trotuar nagle robił dwa lub trzy kroki do tyłu i znów ruszał do przodu stawiając duże lub małe kroki, albo na przemian duże i małe. Zdarzało się, że podejście do trotuaru powtarzane było kilkakrotnie, pomimo całego zamieszania, to znaczy hamujących samochodów, przeklinających kierowców, gapiów przystających na chodniku po obu stronach ulicy. Powszechnie mówiono, że Liczykrok oblicza ilość kroków do jakiegoś punktu i jeżeli praktyka nie zgadza się z teorią, to operacja pokonania dystansu powtarzana jest do skutku. W taki sposób Liczykrok zarobił sobie na przydomek. Ze wschodnim zabobonnym szacunkiem myślę czasami o Liczykroku, który staje się dla mnie oszalałym matematykiem próbującym narzucić liczbowy ład i porządek tak zwanej rzeczywistości, czyli temu bałaganowi rzeczy, czynów i myśli, którego jesteśmy czynną częścią.

Persona trzecia. Koszyk. Nie wiem nawet, czy jest to nazwisko, czy przydomek. W każdym razie robiła na mnie wielkie wrażenie jego wychudzona postać odziana w brudny podkoszulek i za szerokie postrzępione

drelichowe portki. Koszyk chodził tak ubrany i na bosaka – trzeba dodać, od wczesnej wiosny, kiedy ziemia była jeszcze zimna. Jednak największe wrażenie robiła jego wychudzona twarz o ostrych rysach i z kilkudniowym zarostem. Ta twarz, zawsze nieruchoma, przypominała ludowe rzeźby Chrystusa frasobliwego z przydrożnych kapliczek, ale także wyobrażenie Zbawiciela – dzięki wielkim, szeroko otwartym oczom, z wyrazem niemego cierpienia – z malarstwa północnego wczesnego renesansu. Gdy, idąc do szkoły, spotykałem go i to jego trochę nieobecne spojrzenie, przejmował mnie nabożny strach i przypominał się ewangeliczny fragment: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnieście uczynili”. Koszyk nigdy jednak nie prosił o jałmużnę i nie wiem, czy z kimkolwiek rozmawiał. Zawsze niósł w rękę kilka pozbieranych po drodze patyków, a czasem nawet kawałek deseczki-oflisa spadłej z furmanki przewożącej opał z tartaku. Czy jest jakaś koherencja pomiędzy numerologią Liczykroka i zbieraniem patyków przez Koszyka, pewnie nigdy się nie dowiem. Zdarzyło mi się dać cygara Liczykrokowi, który zwykle grzecznie o to prosił: „Czy mógłby mnie pan poczęstować papierosem?”, nigdy natomiast w żaden sposób nie wspomogłem Koszyka, choć samo jego spojrzenie ewokowało chęć wspomnienia brata mniejszego. Koszyk jednak nie prosił o żadne wsparcie.

Persona czwarta – Smoluch.

Byli, żyli i nie ma ich. Wiosną tego roku dotarła do mnie wiadomość o śmierci Stasi, zmarłej w domu opieki społecznej w pobliskiej wsi. Inni – Liczykrok, Koszyk, Smoluch – także są już po drugiej stronie świec, które zapalam na grobach miasteczkowego cmentarza. Teraz dobiegaliby pewnie sześćdziesiątki, więc mogliby jeszcze pożyć. No ale nie żyją i pamiętać o nich kończy się bardzo szybko. A przecież to oni w znacznej mierze nadawali koloryt Miasteczku i jego okolicy, więc nie zasłużyli na utonięcie w studni zapomnienia. Jednak dla mnie ważniejsza jest przede wszystkim inna perspektywa, perspektywa zarysowana w jednym z ostatnich wierszy Iwaszkiewicza: „a myśmy nie rozumieli”.

Jeżeli przyjąć, że świat jest księgą, przez którą Bóg przemawia do nas, a Jezus Chrystus dał nam wskazówki interpretacyjne i nauczył odczytywać tę księgę, to Bóg mówi do nas nie tylko krajobrazami, katedrami i pismami. Mówi zapewne także Miasteczkiem i jego mieszkańcami, i to wszystkimi mieszkańcami. Myślę i myślę, co też Bóg mówi mi tymi osobami. Być może Głupia Stasia i Julia Capuletti są awerssem i rewerssem tej samej monety.

Liczykrok przypomina, jaką uwagę przywiązywać trzeba do kolejnych kroków, czyli ludzkiego postępowania, że trzeba wracać, gdy nie udaje się zrealizować rzeczy nadrzędnej, wracać, bez względu na konsekwencje,

które można ponieść na ruchliwej ulicy życia. Jeżeli podejmuje się odpowiednie kroki, to trzeba dobrze liczyć. I nie liczyć na własną nieomyślność.

A Koszyk z kilkoma patykami w ręku przypomina milczącym memento rzymskich litaurów i to, że wielkość chrześcijaństwa objawia się w ubóstwie, małości i poniżeniu. Wielkość chrześcijaństwa objawia się w stajence Narodzenia i krzyżu Golgoty.

Czy takie spojrzenie jest sakralizacją rzeczywistości? Pewnie, że jest. Dlaczego miałoby nie być? Przecież „na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”. Jeżeli Księga Rodzaju jest symbolicznym poematem, to uważam za obowiązek naukę czytania symboli, bo symbole przenoszą nas. „Dokąd przenosi nas symbol?” – w najlepszym polskim programie telewizyjnym zapytała kiedyś pani Kamila Drecka. Niczym bogobojny chasyd mlaskam z zachwytu nad tak postawionym pytaniem, chociaż wołałbym nie odpowiadać na nie.

Zacząłem od wizerunków Wojciecha i Stanisława umieszczonych pod barokowym hełmem gotyckiej dzwonnicy. Patron Europy i patron Polski z takiej wysokości popatrują w stronę rynku na życie Miasteczka, dostrzegając tam zapewne i braci najmniejszych, którzy niosą swoje krzyże, Pan Bóg raczy wiedzieć, dlaczego na nich włożone. Wbrew wszelkim szkołom psychiatrycznym doszukuję się tu tajemniczych sensów manifestując tym samym chrześcijańską pokorę i miłość bliźniego. Niech Imię Pańskie będzie pochwalone! Teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen

Jakież to banały przypomina nam Miasteczko! (16.01.2003). Stasia – Karusia (Julia), Liczykrok – geniusz uczony, Koszyk – artysta; szurnięci z Miasta: Maria Natasza (*omnia mea mecum porto*), Admirał z bukiecikiem kwiatów w ręce urękawiczonej białą rękawiczką.

Andrzej Topczyj

TRUDNA PAMIĘĆ

Charles Bukowski

A WYGLĄDAŁ TAK SYMPATYCZNIE

umieścił każdą część w osobnej zgrabnej paczce
nogi posłał ciotce w Saint Louis
głowę – drużynowemu skautów z Brooklynu
brzuch – zezowatemu rzeźnikowi w Des Moines,
narządy płciowe – młodemu księdzu w Los Angeles;
ramiona rzucił psu
z rąk zrobił dziadki do orzechów, a na
pozostałych różnościach
takich jak piersi i pośladki ugotował krupnik
który co dziwne
udał mu się bardziej niż ona.

wydał wszystkie pieniądze z jej portmonetki
kupił dobre francuskie wino, frijoles, funt trawki
i dwie papużki; kupił dzieła zebrane
Keatsa, czerwoną bandanę o powierzchni pięciu stóp
kwadratowych, nożyczki z rączkami z kości słoniowej
i pudełko cukierków dla gospodyni.

potem pił i jadł i spał przez trzy dni i trzy noce
a kiedy przyszła policja
był miły i spokojny

i w drodze na posterunek
mówił o pogodzie, o kolorze gór,
o różnych takich rzeczach, i wcale nie przypominał
zbrodniarza.

bardzo dziwne.

PO CO TYTUŁ?

nie dają rady
piękni umierają płonąc –
pigułki nasenne, trutka na szczury, sznur,
cokolwiek...
masakrują sobie ręce,
rzucają się z okien,
wyłupują sobie oczy,
odrzucają miłość
odrzucają nienawiść
odrzucają, odrzucają.

nie dają rady
piękni nie wytrzymują,
oni – motyle
oni – gołębnice
oni – wróbelki,
nie dają rady.

jeden wielki słup ognia
kiedy starzy grają w parku w warcaby
jeden płomień, jeden wielki płomień
kiedy starzy w słoneczny dzień grają w parku
w warcaby.

znajdziemy pięknych w jakimś pokoju
skurczonych do rozmiarów pająka igły ciszy
i nigdy nie zrozumiemy dlaczego
odeszli, a byli
tacy piękni.

nie dają rady,
piękni umierają młodo
by szpetni mogli wieść swoje szpetne żywoty.

uroczy i błyskotliwi: życie i samobójstwo i śmierć
kiedy starzy w słoneczny dzień
grają w parku w warcaby.

WĘDKARZ

o 7.30 rano wychodzi z domu
z trzema kanapkami z masłem orzechowym
i jedną puszką piwa
pływającą w wiaderku z przynętą.
siedzi z niewielką wędką na pstrągi
na trzech czwartych długości pirsu.
ma 75 lat i słońce go nie chwyta,
i nieważne jak jest gorąco
brązowo-zielony drwal tkwi na posterunku.
łapie rozgwiadzy, rekinki i makrele;
łapie całymi tuzinami,
z nikim nie rozmawia.
od czasu do czasu
pociągnie z puszki.
o 6.00 po południu zbiera sprzęt i odłów
przechodzi pirs
kilka ulic
i wchodzi do mieszkanek w Santa Monica
idzie do sypialni i otwiera wieczorną gazetę
a jego żona wyrzuca rozgwiadzy, rekinki, makrele
do śmieci

a on zapala fajkę
i czeka na obiad.

K. O.

łatwy był, tusty jak koliber
i już ledwo dyszał,
a ja niespiesznie dźgałem go prostymi:
wszyscy czekali na nokaut,
pili piwo, a ja myślałem
jak będziemy się meblowali,
przydałby się warsztat i trochę narzędzi,
i wtedy zahaczył mnie sierpem –
patrzyłem wtedy na światła
a już po chwili widownia
wyła, a ja klęczałem jakbym
się modlił, a kiedy wstałem
on był mocny, a ja słabiutki;
cóż, pomyślałem, wrócę na farmę,
nigdy nie umiałem wygrywać.

WOSKOWANIE

siedział na schodach i radził:
powinieneś samochód umyć i nawoskować
mogę to zrobić za pięć dolców,
mam wosk, mam szmaty, mam wszystko
co trzeba.

dałem mu piątkę i poszedłem do siebie na górę.
kiedy zszedłem po czterech godzinach
siedział na schodach pijany
i zaproponował mi puszkę piwa.
powiedział że zrobi samochód
jutro.

następnego dnia znów się upił a
ja pożyczyłem mu dolara na butelkę
wina. miał na imię Mike
i był weteranem wojennym.
jego żona była pielęgniarką.

następnego dnia zszedłem na dół a on
tkwił w tym samym miejscu i powiedział:
no wiesz, tak sobie siedzę i patrzę na twój samochód
i zastanawiam się jak by go tu wyrzutować
żeby był naprawdę super.

następnego dnia Mike powiedział że zanosi się na deszcz
więc po jaką cholere myć i woskować
kiedy przecież będzie padać.

następnego dnia znowu zanosilo się na deszcz.
i następnego.
a potem już go nie widziałem.
tydzień później jego żona powiedziała
że zabrali go do szpitala
bo okropnie spuchł, podobno
od tego picia.

wie pani, obiecał nawoskować mój
samochód, dałem mu pięć dolarów
żeby to zrobił.

jest w stanie krytycznym, powiedziała,
może umrzeć...

siedziałem w ich kuchni
i piłem z jego żoną
kiedy zadzwonił telefon.
podała mi słuchawkę.
to był Mike. słuchaj, powiedział,
przyjedź zaraz i zabierz mnie stąd,
nie cierpię tego miejsca.

podjechałem pod szpital,
wszedłem, znalazłem jego łóżko i
powiedziałem, jedziemy Mike.

nie chcieli mu wydać ubrania
więc Mike poszedł do windy
w szpitalnej koszuli.

windę obsługiwał jakiś dzieciak
który lizał loda na patyku.
nie wolno opuszczać szpitala
w koszuli, powiedział.

zajmij się swoją robotą, synku,
powiedziałem, a my się zajmiemy koszulą.

Mike był strasznie opuchnięty, trzy razy grubszy
ale jakoś go upchałem w samochodzie
i dałem mu papierosa.

w monopolowym kupiłem dwa sześciopaki
potem piłem z Mikiem i jego żoną
do 11.00 w nocy
w końcu poszedłem do siebie...

gdzie Mike? spytałem jego żonę trzy dni później,
miał przecież nawoskować mój samochód.

Mike umarł, powiedziała, odszedł.

znaczy umarł? upewniłem się.

no umarł.

przykro mi. bardzo przykro.

po tym wszystkim padało przez tydzień a ja wymyśliłem
że jedynym sposobem zrekompensowania sobie tych straconych
pięciu dolarów byłoby przespanie się z jego żoną
no ale ona wyprowadziła się po dwóch tygodniach.

a do jej mieszkania wprowadził się stary
białowłosa i ślepy na jedno oko waltornista
a z nim to już nie było sposobu
tego załatwić.

KIEDY HUGO WOLF OSZALAŁ

Hugo Wolf oszalał kiedy jadł cebulę
i pisał swoją dwieście pięćdziesiątą pieśń;
był deszczowy kwiecień a z ziemi wyłaziły robaki
nucące Tannhausera, rozlał mleko i atrament,
a swoją krwią obryzgał ściany
i wył i ryczał i wrzeszczał, a
na
dole jego gospodyni mówiła: *wiedziałam*, temu zepsutemu
sukinsynowi
padło na mózg, machnął swój ostatni
utwór
muzyczny i nie zapłaci komornego, a kiedyś
będzie sławny
i pochowają go w deszczu, ale w tej chwili
niech przestanie
tak cholernie wrzeszczeć – moim zdaniem to
pedałowaty osioł
i mam nadzieję że kiedy go stąd wyprowadzą
wprowadzi się jakiś miły solidny
rybak
albo kat
albo sprzedawca
biblijnych broszur.

Charles Bukowski
przełożył Andrzej Szuba

Stefan Zabierowski

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ W KOSOWIE...

Andrzej Busza – interpretator Conrada

1.

W *Ilustrowanym przewodniku po Galicji* dra Mieczysława Orłowicza czytamy:

Kosów [...] Miasteczko położone bardzo pięknie u wylotu doliny Rybnicy; od północy wznosi się prostopadle *urwisko* o ciekawych pod względem geologicznym tworach skalistych; na szczycie, gdzie krzyż, stał dawniej zamek Kossakowskich; ślady wałów. Malowniczy widok, ze względu na Hucułów, przedstawia Kosów w dniu targowe (pon. i piątki), oraz przy dorocznym jarmarkach. [...] Dwa km. na południe w *Smodnej* mieszczący się w kilku willach *zakład leczniczy dra Tarnawskiego*, gromadzący kilkadziesiąt osób ze wszystkich trzech zaborów. Metoda leczenia przypomina system dra Lahmanna. Obok 21 morgowy sad owocowy¹.

Założony w roku 1893 przez dra Apolinarego Tarnawskiego właśnie w Kosowie zakład przyrodolecznicy, który szybko zdobył ogólnopolską renomę, specjalizował się w leczeniu zjawisk, które dziś nazywamy chorobami cywilizacyjnymi. Kosów stał się z czasem modnym ośrodkiem, w którym troszczyli się o swoje fizyczne i psychiczne zdrowie liczni przedstawiciele polskiej elity intelektualnej, artystycznej i politycznej lat przed pierwszą wojną światową i dwudziestolecia międzywojennego. Wedle wspomnień jego syna, doktora Wita Tarnawskiego, założyciel Kosowa: „Przyjaźnił się z profesorem literatury Chrzanowskim, filozofami Abramowskim i Lutosławskim. O ile pamiętam w rozmowach z nimi, chociaż słuchał chętnie, nie był tylko słuchaczem, lecz często brał żywy, osobisty udział”².

Prócz wyżej wymienionych kuracjuszami Kosowa byli także: Stanisław Szczepanowski, Gabriela Zapolska, Kazimierz Wierzyński, Maria i Marian Dąbrowscy, Ksawery Dunikowski, Szymon Aszkenazy, Władysław Konopczyński, Roman Dmowski, Zygmunt Balicki czy Ignacy Daszyński. Zakład kosowski był terenem nie tylko kuracji, lecz również ożywionym ośrodkiem życia intelektualnego, a poniekąd także pracy naukowej. Przywołajmy raz jeszcze wspomnienia Wita Tarnawskiego:

¹ M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Galicji, Bukowinie, Spiszu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim*, Lwów 1914, s. 200–201.

² W. Tarnawski, *Mój Ojciec*, Londyn 1966, s. 58.

W tych samych ścianach hali, które na co dzień wypełniał trzask przyrządów gimnastycznych, rozbrzmiewał szlachetnie modulowany głos prof. Ignacego Chrzastowskiego, fanatyczny patos filozofa Lutosławskiego, nerwowa, cięta argumentacja historyka Konopczyńskiego. Tutaj Osterwa inscenizował z samych tylko pacjentów zakładu wielkie, porywające widowisko. Tu śpiewali Korolewicz-Wajdowa, Didur, Wermińska³.

Ale Kosów był nie tylko ważnym ośrodkiem przyrodolecznictwem i środowiskiem intelektualnym, lecz także miejscem, które odegrało doniosłą rolę w polskiej recepcji biografii i twórczości Josepha Conrada-Korzeniowskiego. W Kosowie bowiem przebywali ludzie, którzy mieli okazję zetknąć się z Conradem – przede wszystkim Wincenty Lutosławski, uczestnik słynnej dyskusji z Elizą Orzeszkową o „emigracji zdolności”, toczonej na łamach petersburskiego tygodnika „Kraj” w roku 1899⁴. Przebywał tu również Marian Dąbrowski, który przeprowadził pierwszy polski wywiad z pisarzem angielskim na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” w roku 1914⁵.

Można się domyślać, że kontakty z przedstawicielami owej elity artystycznej i naukowej wpłynęły – w pewnej przynajmniej – mierze na ożywienie się zainteresowań literackich doktora medycyny Wita Tarnawskiego, który w latach trzydziestych objął po swoim ojcu Apolinarym kierownictwo zakładu kosowskiego. Ale jeszcze bardziej uzasadnione jest przypuszczenie, że Wit Tarnawski – badacz Conrada narodził się w Kosowie. Pierwsze teksty na temat owego twórcy opublikował Tarnawski pod pseudonimem Witolda Turno. w latach trzydziestych dwudziestolecia międzywojennego na łamach takich periodyków jak „Myśl Narodowa”, „Prosto z Mostu”, „Wiadomości Literackie”, czy „Skamander”⁶. Rozrzut tematów w owych tekstach był szeroki, od elementów autobiograficznych w piśmiectwie Conrada, po wskazanie pierwowzorów jego postaci, aż po ocenę conradowskiej monografii Józefa Ujejskiego⁷.

2.

W tym klimacie wzrastał też siostrzeniec Tarnawskiego, urodzony w Krakowie w roku 1938, Andrzej Busza. Wybuch wojny w roku 1939 sprawił, że Buszowie z synem schronili się w bezpiecznym – jak naiwnie się wydawało – Kosowie. Aż przyszedł 17 września i inwazja sowiecka. Ostrzeżeni przez przedstawicieli konsu-

³ Tamże, s. 153.

⁴ Por. E. Jankowski, *Eliza Orzeszkowa*, Warszawa 1988, s. 455 i n.

⁵ M. Dąbrowski, *Rozmowa z J. Conradem*, „Tygodnik Ilustrowany” 1914, nr 16.

⁶ Por. W. Turno [W. Tarnawski], *W dziesięciolecie śmierci Conrada*, „Myśl Narodowa” 1934, nr 12; *Egzegeza Conrada*, „Prosto z Mostu” 1937, nr 138; *Conrad a Janko Góral*, „Wiadomości Literackie” 1934, nr 47; *W co Conrad wierzył?*, „Skamander” 1936, z. 76.

⁷ Por. S. Zabierowski, *Wit Tarnawski [w:] tenże, Dziedzictwo Conrada w literaturze polskiej XX wieku*, Kraków 1992; J. Dąbała, *Wit Tarnawski jako krytyk literacki*, Lublin 1996.

latu angielskiego Tarnawscy i Buszowie opuścili Kosów i schronili się w Rumunii. Później ich droga wiodła przez Cypr do Palestyny. Wit Tarnawski na emigracji – obok obowiązków lekarza – nie porzucił swoich fascynacji conradowskich, przeciwnie, dopiero w warunkach przymusowego wygnania szczególnie się one nasiliły: wygłaszał odczyty o aktualności Conrada, pisywał artykuły czy obszerniejsze interpretacje⁸. Wiele wskazuje na to, że owa conradowska atmosfera zaczęła oddziaływać i na Andrzeja Buszę. Tak wspominał ją po latach:

Conrad był dla mnie wręcz półmityczną postacią – jak generał Sikorski, Staś Tarkowski, Koziółek Matołek i Pan Tom (który buduje dom) na długo przed tym, nim przedstawił mi się jako tekst. Przypuszczam, że usłyszałem, a raczej że obito mi się o uszy jego nazwisko po raz pierwszy, kiedy miałem pięć lat i cicho rysowałem okręty pirackie na chłodnych kaflach werandy na przedmieściu Jerozolimy, podczas gdy mój wuj sączył niezliczone filiżanki herbaty z cytryną i dyskutował *Lorda Jima* z przyjaciółmi⁹.

Cóż, warto dodać, że w tym właśnie czasie Wit Tarnawski przygotowywał głośną wówczas przedmowę do jerozolimskiej edycji *Lorda Jima*, w której bardzo silnie akcentował autobiograficzne i polskie motywy w tej słynnej powieści Conrada¹⁰. Po zakończeniu II wojny światowej emigranci z Palestyny udali się do Anglii, gdzie Andrzej Busza uczęszczał do szkoły internatowej St. Joseph's College w Londynie. Wtedy po raz pierwszy zetknął się z tekstem Conrada. Po latach tak wspominał to spotkanie: „Dziesięć lat później w izbie chorych londyńskiej szkoły internatowej, podczas ataku świnki, przeczytałem *Tajfun*. Było to nie tyle czytanie co silne przeżycie halucynacyjne, tak intensywnie i całkowicie pochłonęło mnie to opowiadanie”¹¹.

Kiedy więc Andrzej Busza podjął studia anglistyczne na University of London, niejako naturalnie pisarstwo Conrada stało się przedmiotem jego dysertacji. We wspomnianym wywiadzie mówił:

Na szczęście mój promotor przekonał mnie, bym napisał o polskim zapleczu literackim Conrada, jego więc krytycznej przenikliwości i perswazji zawdzięczam moją akademicką karierę. [...] W rzeczy samej, gdy zaproponowałem jej temat: wpływ literatury polskiej na pisarstwo Conrada, kierownik katedry anglistyki londyńskiego University College, dystyngowany starszy Szkot, pykając ze swojej wrzoścowej fajeczki, mruknął lakonicznie: „A jakiś wpływ był?”. To mnie zdopingowało. Wszystkie moje zastrzeżenia i obawy rozplynęły się z tym wyższościowym dymkiem¹².

⁸ Por. W. Turno [W. Tarnawski], *Od Rumunii do Wielkiej Brytanii* [w:] *Conrad żywy*, red. W. Tarnawski, Londyn 1957, s. 267–272.

⁹ *Wyznania płaza. Z Andrzejem Buszą rozmawia Andrzej Niewiadomski* [w:] *Londyn – Toronto – Vancouver. Rozmowy z pisarzami emigracyjnymi. Opracował i wstępem opatrzył A. Niewiadomski*, Lublin 1993, s. 140.

¹⁰ W. Tarnawski, *Wstęp* [w:] J. Conrad, *Lord Jim*, przeł. A. Zagórska, Jerozolima 1946.

¹¹ *Wyznania płaza...*, s. 140.

¹² Tamże, s. 140.

Rezultatem tego wyboru była ostatecznie praca magisterska obroniona w roku 1963. Później ukazała się drukiem pod tytułem *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work* w – wydawanym w Londynie i Rzymie z inicjatywy Karoliny Lanckorońskiej – X roczniku „Antemurale” z roku 1966. Praca Andrzeja Buszy – podobnie jak wcześniej wydany w Anglii, przygotowany przez Zdzisława Najdera, tom *Conrad's Polish Background. Letters to and from Polish Friends* (1964) – w istotnej mierze przyczyniła się do uświadomienia i ukazania badaczom zachodnioeuropejskim i amerykańskim roli polskiego dziedzictwa w kształtowaniu biografii i interpretacji twórczości Josepha Conrada.

Wcześniejsze prace na ten temat, przede wszystkim książka Gustawa Morfa *The Polish Heritage of Joseph Conrad* (1930) czy przekład francuski monografii Józefa Ujejskiego *O Konradzie Korzeniowskim* z roku 1939 nie mogły odegrać tej roli, bowiem były już nieco przestarzałe. Praca Buszy cieszyła się wówczas żywym zainteresowaniem także w kołach conradystów w kraju, czego wyrazem była recenzja Barbary Koc w „Pamiętniku Literackim”¹³.

3.

W swojej rozprawie Busza postanowił zwalczyć pewne mity, które związane były z osobą Konrada Korzeniowskiego – między innymi przekonanie, że Conrad mógł równie dobrze pisać w języku francuskim lub tworzyć w mowie angielskiej, czy też pogląd, że był prostym marynarzem, który nagle zaczął pisać. Nasz badacz stał na słusznym stanowisku, że autor *Lorda Jima* był dziedzicem bogatej i zróżnicowanej polskiej tradycji kulturowej i literackiej, i z tym багаżem wszedł do literatury angielskiej. Wiele miejsca poświęcił w swej rozprawie postaciom i kręgom, które formowały Konrada Korzeniowskiego w czasie jego pobytu w środowisku polskim.

Pierwsze miejsce przypada tu ojcu Conrada, dramaturgowi, poecie i publicyście romantycznemu – Apollonowi Korzeniowskiemu (1820–1869). Busza koncentrował się nie tyle na działalności politycznej Apolla (dziś już wiemy dokładnie, że był on jednym z działaczy przygotowujących powstanie 1863 roku), ile na jego działalności literackiej, a przede wszystkim przekładowej. Wskazał, że – dzięki przekładom ojca – młody Konrad zapoznał się z literaturą zachodnioeuropejską: z dramatami Szekspira, z *Chattertonem* Alfreda de Vigny, powieścią Dickensa *Ciężkie czasy* czy z *Pracownikami morza* Wiktora Hugo.

To właśnie dzięki translacjom Apolla Conrad zetknął się z kulturą angielską, a także z obrazem morza w literaturze. Publicystyce antykapitalistycznej i antyindustrialnej Apolla Korzeniowskiego wiele zawdzięcza powieść Conrada *Nostromo*.

¹³ B. Kocówna, A. Busza, *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work*, „Antemurale” X (1966) (rec.), „Pamiętnik Literacki” 1969, z. 1.

Zdaniem Buszy, Apollo ukształtował też swoją rozprawą *Polska i Moskwa* (1864), drukowaną anonimowo w periodyku „Ojczyzna” w Lipsku, stereotypowy wizerunek Rosji jako – przeciwnego cywilizacji zachodnioeuropejskiej – wcielenia barbarzyństwa, a równocześnie wizerunek Polski jako bastionu zachodniej cywilizacji. Poglądy takiego sposobu patrzenia na kraj carów znaleźć można w powieści Conrada *W oczach Zachodu*, a także w jego publicystyce i korespondencji. Proponując takie ujęcie, Busza zapewne nawiązał do świetnego eseju Czesława Miłosza *Stereotyp u Conrada*¹⁴.

Wedle badacza między poglądami Apolla Korzeniowskiego i jego syna można wskazać daleko idące analogie. Dotyczyły one podstawowych koncepcji filozoficznych. Obydwaj dalecy byli od optymistycznej wiary w dobrodziejstwa postępu, charakteryzujące ówczesną myśl zachodnią. Byli sceptyczni co do doskonałości świata i natury ludzkiej. Cechował ich brak zaufania dla ludzkich intencji, motywów postępowania i ideałów. Najważniejszą jednak – zdaniem Buszy – заслуżą Apolla było wprowadzenie syna w literaturę.

Wiele miejsca poświęcił też innym postaciom, które wpłynęły na Konrada Korzeniowskiego w latach jego polskiej młodości. Po śmierci Apolla, zdaniem Buszy, szczególna rola w formowaniu osobowości młodego sieroty przypadła zrazu, obok babki Teofilii Bobrowskiej, przyjaciołom ojca, a zarazem wybitnym postaciom polskiego życia intelektualnego, filozofowi, historykowi i pisarzowi Stefanowi Buszczyńskiemu (1821–1892), którego twórczość cenili Wiktor Hugo i Jules Michelet oraz pionierowi polskiej antropologii Izidorowi Kopernickiemu (1825–1891). Byli żarliwymi patriotami, politycznymi radykałami, przeciwnikami pozytywizmu, czyli kontynuowali ten model wychowawczy, jaki reprezentował Apollo. Szkoda jednak, że badacz nie przedstawił w swojej pracy żadnych materialnych świadectw oddziaływania owych myślicieli na młodego Korzeniowskiego.

Odmienny charakter, zdaniem Buszy (i nie tylko jego, bo podobne poglądy głosił w międzywojniu Rafał Marcełi Blüth¹⁵), miało kilkudziesięcioletnie oddziaływanie na Konrada jego wuja i najważniejszego opiekuna Tadeusza Bobrowskiego (1829–1894), wybitnego prawnika i autora słynnych, wydanych już po śmierci, *Pamiętników* (1900). Był on przeciwnikiem Apolla Korzeniowskiego – wróg konspiracji zbrojnej, uważający powstanie 1863 roku za absurd, utrzymujący poprawne stosunki z władzami rosyjskiego zaborcy, reprezentował stanowisko pozytywistyczne. Nadzieję na poprawę położenia Polaków pokładał w przemianach społecznych.

Andrzej Busza – jako jeden z pierwszych badaczy – akcentował znaczenie *Pamiętnika mojego życia* Bobrowskiego, a także jego korespondencji z siostrzeńcem, dla kształtowania się poglądów Conrada. Jego zdaniem to właśnie wuj uwarzył siostrzeńca na znaczenie problematyki politycznej i społecznej. Busza twierdził, że to listy Konrada Korzeniowskiego do wuja miały być surowcem dla późniejszej

¹⁴ C. Miłosz, *Stereotyp u Conrada* [w:] *Conrad żywy*, dz. cyt., s. 92–99. Por. J. Dudek, *Miłosz wobec Conrada 1948–1958*, Kraków 2014, s. 165–172.

¹⁵ R.M. Blüth, *Dwie rodziny kresowe (Z kroniki rodzinnej Josepha Conrada)*, „Ateneum” 1939, nr 1.

twórczości literackiej Conrada. Hipoteza to śmiała, ale nieweryfikowalna, bo – jak wiadomo – listy Conrada do Bobrowskiego sponęły w Kazimierówce w czasie rewolucji październikowej. Busza sugerował też, że z pamiętników Bobrowskiego zaczerpnął Conrad pewne motywy do swojej twórczości. I tak na przykład śmierć bohatera *Lorda Jima* miała być wzorowana na śmierci w pojedynku wuja Conrada, Stefana Bobrowskiego. Słynny zwrot z *Lorda Jima* – *usque ad finem* – został zaczerpnięty z listów wuja Tadeusza. Wedle poglądu Buszy – podzielanego później przez wielu badaczy – Bobrowski w istotnej mierze uformował etos conradowski, przede wszystkim poczucie obowiązku i odpowiedzialności. W opinii badacza dzieł ojca i wuja, tak odmienne, powodowało napięcia wewnętrzne w świadomości pisarza. Bobrowski kształtował sposób myślenia Conrada, Apollo Korzeniowski – wyobraźnię twórcy angielskiego.

Wszelako Busza nie ograniczał się jedynie do personalnych wpływów na kształtowanie się poglądów i postaw Konrada Korzeniowskiego. Uważał też za stosowne akcentować rolę środowisk, w których od dzieciństwa przebywał autor *Księcia Romana*. I tak Żytomierz, gdzie przez pewien czas mieszkali Korzeniowscy, był ważnym ośrodkiem polskiego życia intelektualnego, miejscem działania poetyckiej „szkoły ukraińskiej”. Później wymienić należy Warszawę, gdzie Apollo miał wydawać pismo „Dwutygodnik”, a także miejsce zesłania – Wołogdę, w której w jego kręgu gromadziła się tamtejsza elita zesłańcza. Kolejne środowiska to czolowe miasta Galicji – Lwów i Kraków. Busza dowodził, że Apollo bardzo długo sam edukował syna, starając się uchronić go od zgubnych wpływów „Staiczyków”.

Studia w krakowskim gimnazjum Świętej Anny przypadły na okres polonizacji szkolnictwa galicyjskiego, co miało dla Konrada Korzeniowskiego doniosłe znaczenie. Busza starał się dowiedzieć, że багаżem galicyjskim Conrada, prócz świetnej znajomości romantycznej literatury polskiej, była postawa konserwatywna i sympatia dla dynastii Habsburgów. Może ona także motywować późniejsze związki pisarza z hiszpańskimi karlistami, którzy cieszyli się sympatią konserwatywnej prasy galicyjskiej.

Wiele miejsca poświęcił Busza związkom Conrada z kulturą polską po jego wyjeździe z kraju w roku 1874. W czasie pobytu na zachodzie Europy Konrad Korzeniowski kontaktował się z polskimi emigrantami – Wiktorem Chodźką (synem Ignacego) i Tadeuszem Okszą-Orzechowskim. Miał też w swoim bagażu polskie książki, z których najważniejszą pozycją był egzemplarz *Pana Tadeusza*. Jednak najistotniejszym świadectwem kontaktów Conrada z krajem była wieloletnia więź korespondencyjna z Tadeuszem Bobrowskim. Wuj, co przypomina badacz, chwalił polszczyznę siostrzeńca i namawiał go do pisania artykułów do polskich czasopism (m.in. „Wędrowca”). Conrad trzykrotnie odwiedził Polskę – w latach 1890, 1893 i 1914. Busza prostuje legendarną wersję, jakoby w czasie pierwszej wizyty kapitan angielskiej marynarki miał się spotkać w Warszawie, w redakcji „Słowa”, z Henrykiem Sienkiewiczem, bliskim znajomym dalekich krewnych Conrada – Poradowskich. Śmierć wuja Tadeusza w roku 1894 osłabiła więzy pisarza z krajem

ojczystym, ale ich całkiem nie zerwała. Conrad posyłał swoje książki krewnym, przyjaciółom i znajomym, a przekład polski powieści *Wyrzutek* (*An Outcast of the Islands*), dokonany przez Marię Gąsiorowską na łamach „Tygodnika Mód i Powieści” w roku 1897, był pierwszym przekładem jego angielskiej prozy na język obcy¹⁶.

Ale, zdaniem Buszy, kluczowe znaczenie dla kształtowania się stosunku Conrada do jego pierwszej ojczyzny – Polski – miał toczący się na łamach petersburskiego tygodnika „Kraj” w roku 1899 między Wincentym Lutosławskim, Tadeuszem Żuk-Skarszewskim i Elizą Orzeszkową spór na temat „emigracji zdolności”. Kropkę nad i w tym sporze, pt. *Odpowiedź Orzeszkowej*, która powstała w Kosowie, w roku 1910, zamieścił Lutosławski w zbiorze *Iskierki warszawskie* (1911)¹⁷.

Busza był zdania, że wystąpienie autorki *Nad Niemnem* pogłębiło, istniejącą już w świadomości pisarza, obsesję zdrady i dezercji. Conrad usiłował polemizować z Orzeszkową w niektórych fragmentach autobiograficznego tomu *Ze wspomnień*. Ale najważniejszym utworem, u którego podstaw leży spór o „emigrację zdolności” jest powieść *Lord Jim*. Zajmując takie stanowisko, Busza potwierdził opinię istniejącą już w polskiej conradologii, a zawartą w pracach Józefa Ujejskiego, Wita Tarnawskiego i Ludwika Krzyżanowskiego¹⁸. Szczególną wagę przywiązywał Busza do interpretacji swojego wuja, zawartej we wstępie do jerozolimskiej edycji *Lorda Jima* z roku 1946. Tezę tę wspierał materiałami odkrytymi przez Aleksandra Jantę, który wskazał, że pierwszy rzut powieści powstał w sztabuchu babki Conrada, Teofili Bobrowskiej, sąsiadując tam z patriotycznymi wierszami polskich romantyków. Jest rzeczą godną uwagi, że artykuł Janty zamieszczony został w emigracyjnym tomie *Conrad żywy*, zredagowanym przez Wita Tarnawskiego¹⁹.

Busza uważał, że istotne znaczenie dla zacieśnienia więzów z krajem miał pobyt Conrada w Polsce w roku 1914. Miał wówczas okazję osobistego kontaktu z polskimi kolegami po piórze: Stefanem Żeromskim, Tadeuszem Nalepińskim i Juliuszem Żuławskim. Więzy Conrada z Polską zostały podtrzymane już po uzyskaniu przez nasz kraj niepodległości. Badacz przytacza wiarygodne opinie świadków, według których pod koniec życia pisarz marzył o powrocie do kraju ojczystego.

Tę część wywodów Buszy zamyka obraz rodzimej recepcji Conrada, ze szczególnym naciskiem na prezentację jego związków z polską tradycją literacką. Busza trafnie zwrócił uwagę, że Conrad zyskał w kraju ojczystym dość dużą rozpoznawalność w międzywojniu, ale szczyt popularności osiągnął w latach II wojny

¹⁶ Jest to nieścisłe. Prawdziwa nazwa tego periodyku brzmiała „Tygodnik Romansów i Powieści”. Zwróciła mi na to uwagę publikacja A. Adamowicz-Pośpicich *Seria w przekładzie: Polskie warianty prozy Josepha Conrada*, Katowice 2013, s. 52–53.

¹⁷ Por. A. Busza, *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work*, Romae–Londinii 1966, s. 190.

¹⁸ J. Ujejski, *O Konradzie Korzeniowskim*, Warszawa 1936; W. Tarnawski, *Wstęp* [w:] J. Conrad, *Lord Jim*, dz. cyt., L. Krzyżanowski, *Joseph Conrad. Centennial Essays*, red. L. Krzyżanowski, Nowy Jork 1960.

¹⁹ Por. A. Janta, *Pierwszy szkic „Lorda Jima” i listy Conrada w zbiorach amerykańskich* [w:] *Conrad żywy*, dz. cyt., str. 203–228.

światowej. Po wojnie był zwalczany przez kręgi marksistowskie (Jan Kott), ale zmiana na lepsze nastąpiła po odwilży październikowej, szczególnie w rocznicowym roku 1957. Badania polskie końca lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych zmodyfikowały nieco sposób widzenia Conrada, co znalazło odzwierciedlenie w rozprawie Andrzeja Buszy.

Na Conrada, zdaniem badacza, ogromny wpływ wywarła literatura polska okresu romantyzmu, którą poznał w latach lektur młodzieńczych, podejmująca jako kluczowe zagadnienia zdradę i wierność, i ujmująca je w aspekcie moralnym. Busza, podążając za opiniami Stanisława Helsztyńskiego i Róży Jabłkowskiej, dopatrywał się też pewnych związków twórczości Conrada z literaturą okresu pozytywizmu²⁰, a nawiązując do spostrzeżeń Tymona Terleckiego, zawartych w zbiorze *Conrad żywy*²¹, widział pewne analogie między autorem *Lorda Jima* a literaturą Młodej Polski.

Druga część studium Andrzeja Buszy ma odmienny, bo ściśle historyczno-literacki, charakter. Analizując wybrane utwory Conrada-Korzeniowskiego, badacz starał się ukazać ich związki z polską tradycją literacką. Przedmiotem jego refleksji były cztery tytuły: powieść *Zwycięstwo* oraz opowiadania *Karain*, *Amy Foster* i *Księżę Roman*. Szczególnie interesujące i wartościowe są dwie ostatnie analizy, ponieważ dotyczą tekstów, w których problematyka polska jest wyraźnie zarysowana.

I tak, wedle Buszy, opowiadanie *Amy Foster* ma wyraźną podkładkę autobiograficzną, będącą swoistą metaforą losu pisarza w Anglii i w sposób czytelny nawiązuje do dwóch epok literatury polskiej: pozytywizmu i Młodej Polski. Gdy mowa o pierwszej epoce można dostrzec odniesienia do nurtu emigracyjnego w ówczesnej literaturze polskiej, w którym mieszczą się takie teksty jak *Za chlebem* Henryka Sienkiewicza, *Pan Balcer w Brazylii* Marii Konopnickiej czy *Na złamanie karku* Adolfa Dygasińskiego. Conrad, wedle Buszy, miał te teksty poznać – co wcale nie wydaje się tak oczywiste – w czasie pobytu w Polsce w roku 1890.

Podobieństwa są uderzające: utwór Conrada powiela schematy kompozycyjne tekstów, które ukazywały los polskiego emigranta, łącznie z często tragicznym zakończeniem. Ale opowiadanie *Amy Foster* nawiązuje również do literatury Młodej Polski, szczególnie do jej nurtu tatrzańskiego, obecnego w twórczości Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Władysława Orkana czy Stanisława Witkiewicza – powielając stereotypowy obraz górala. W swoich analizach autor odwołuje się też do przedwojennych tekstów wuja Tarnawskiego na temat genezy postaci Janka Górala²².

Innym utworem Conrada, poddanym głębszej analizie w omawianym tomie, jest opowiadanie *Księżę Roman*. Busza trafnie zauważa, że jest ono tak wyraźnie polskie z ducha i charakteru, że aż trudno uwierzyć, iż w istocie rzeczy opowiadanie

²⁰ Por. S. Helsztyński, *Joseph Conrad – człowiek i twórca*, „Kwartalnik Neofilologiczny” 1958, nr 1–2; R. Jabłkowska, *Joseph Conrad*, Warszawa 1960.

²¹ Por. T. Terlecki, *Conrad w kulturze polskiej* [w:] *Conrad żywy*, dz. cyt., s. 114–128.

²² Por. W. Turno [W. Tarnawski], *Conrad a Janko Góral*, dz. cyt.

to należy do literatury angielskiej²³. Biografia księcia jest odmianą gatunku literackiego „żywota” bohatera narodowego. Istotnym źródłem, z którego czerpał Conrad w kreśleniu sylwetki księcia Romana Sanguszki, był *Pamiętnik* Tadeusza Bobrowskiego. Opierał się również na innych źródłach, wszelako nie udało się ich zidentyfikować. Badacz wskazywał także na liczne nawiązania do *Pana Tadeusza*, przede wszystkim w kreśleniu postaci Żyda–polskiego patrioty, który u Conrada również nosi imię Jankiel. Są też typowi przedstawiciele polskiej szlachty. W utworze tym dominuje też romantyczna poetyka opisu wojny (teriomorfizmy), a także wzorowany na konwencjach polskiego romantyzmu model przemiany bohatera, dla którego w życiu najważniejszą sprawą staje się nie szczęście osobiste, lecz dobro ojczyzny. *Książę Roman* musi być zaliczony do typowo polskiego gatunku, jakim jest gawęda. Podsumowując swoje obserwacje i analizy, Andrzej Busza doszedł do wniosku, że twórczość Conrada nie była w pełni zrozumiana na gruncie angielskim.

W opinii badacza polskie dziedzictwo Conrada było wyjątkowo bogate, mimo że opuścił on kraj rodzinny stosunkowo wcześnie. Tradycja ta była przede wszystkim rezultatem wpływu ojca, który oddziaływał na syna nie tylko jako pisarz, ale także jako przedstawiciel ideologii romantycznej. Drugim źródłem kształtowania poglądów autora *Szaleństwa Almayera* było oddziaływanie wuja Tadeusza Bobrowskiego – zwolennika ideologii pozytywistycznej. Te sprzeczne wpływy były źródłem konfliktu wewnętrznego w świadomości pisarza. W twórczości Conrada są liczne, świadome i nieświadome nawiązania do literatury polskiej. Dziedzictwem tradycji polskiej, zdaniem Buszy, będą przede wszystkim problematyka dezercji i zdrady, negatywny stosunek do Rosji i pesymistyczna wizja świata.

Rozprawa Buszy, ogłoszona w roku 1966, stała się kamieniem milowym w poznaniu, przede wszystkim przez zachodnich badaczy, związków Conrada z jego polskim dziedzictwem. Dzięki temu, że ogłoszono ją w języku angielskim, choć w niskonakładowym i elitarnym periodyku, stała się przedmiotem licznych recenzji i była cytowana przez najważniejszych interpretatorów autora *Lorda Jima*, została także uwzględniona w bibliografiach conradowskich²⁴.

Autor rozprawy wykazał się rzetelną znajomością romantycznej i pozytywistycznej literatury polskiej, a także świetną orientacją w złożonej historii Polski XIX wieku. Potrafił te kwestie w sposób jasny przedstawić badaczom zachodnim. Busza wolny był też od ograniczeń cenzuralnych, z którymi musieli się liczyć krajowi interpretatorzy Conrada. Autor najobszerniejszej do czasu ukazania się studium Buszy „krytycznej biografii” Conrada, Jocelyn Baines, poświęcał sprawom polskim około 30 stron²⁵; Busza poświęca im 142 strony. W roku 1993 badacz mógł stwierdzić nie bez satysfakcji:

²³ A. Busza, *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work*, s. 231.

²⁴ Por. O. Knowles, *An Annotated Critical Bibliography of Joseph Conrad*, Nowy Jork 1992; W. Perczak, *Polska bibliografia conradowska 1896–1995*, Toruń 1993.

²⁵ Por. J. Baines, *Joseph Conrad: A Critical Biography*, Londyn 1960.

Dzisiaj ważność znajomości polskiego zaplecza w rozumieniu Conrada przyjmowana jest za rzecz oczywistą. Na przykład mistrzowska książka Iana Watta *Conrad in Nineteenth Century* (która ukazała się bodajże w polskim przekładzie) zaczyna się parafrazą początkowych linijek *Pana Tadeusza*, a następnie poświęca jakieś dziesięć stron sprawom polskim. Podobnie w swojej *Preface to Conrad* Cedric Watts zamieszcza trzy dramatyczne zdjęcia z okresu okupacji opatrzone odpowiednimi cytatami z esejów Conrada. Przez ostatnich dwadzieścia lat Conrad jest na uniwersytetach amerykańskich jednym z najbardziej czytanych i studiowanych brytyjskich autorów²⁶.

4.

Rozprawa *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work* oraz kolejne poświęcone mu studia i szkice utorowały Andrzejowi Buszy drogę do kariery naukowej. Znany poeta, piszący w języku polskim i angielskim, członek działającej w Londynie grupy literackiej „Kontynenty”, w roku 1965 przeniósł się z Anglii do Kanady, gdzie otrzymał etat Associate Professor na Wydziale Anglistyki Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej w Vancouver. W latach 1977–1978 był też Visiting Professor na Wydziale Studiów Angielskich i Amerykańskich Uniwersytetu w Nicci, gdzie nadal rozwijał swe conradowskie fascynacje.

Badacz jest też autorem szeregu bardzo ważnych artykułów i rozpraw, w których podejmował kluczową problematykę conradowską. Głównym obszarem jego naukowych rozważań były – szeroko rozumiane – związki twórczości literackiej, publicystyki, a także epistolografii Conrada z problematyką polską.

Pozycją zasługująca na szczególną uwagę jest referat *Rhetoric and Ideology in Conrad's „Under Western Eyes”*, wygłoszony przez Buszę na rocznicowej konferencji conradowskiej w Londynie w roku 1974²⁷. Analizując stosunek Conrada do Rosji, wyrażony zarówno w tekstach publicystycznych czy też epistolarnych, jak też w powieści *W oczach Zachodu*, Busza manifestacyjnie przeciwstawiał się modnym w latach siedemdziesiątych XX wieku kierunkom ergocentrycznym, koncentrującym się wyłącznie na samym tekście, nacisk kładł na intencję pisarza, a także na kontekst historyczny utworu i jego współczesne odniesienia.

Interpretując twory Conrada, podążał dwoma ścieżkami: pierwsza to analiza złożonego stosunku Conrada do Rosji w kategoriach historii idei, druga zaś to opis poetyki pisarza (Busza preferuje raczej termin „retoryka”), za pomocą której stosunek ten jest wyrażony. Zwraçał uwagę, że podjęcie przez Conrada problematyki rosyjskiej zbiegło się z fascynacją młodych intelektualistów angielskich kulturą Rosji, przede wszystkim twórczością Iwana Turgieniewa, Lwa Tołstoja i Fiodora

²⁶ Wyznania płaza, dz. cyt., s. 140–141.

²⁷ A. Busza, *Rhetoric and Ideology in Conrad's „Under Western Eyes”* [w:] *Joseph Conrad: A Commemoration*, red. N. Sherry, Londyn 1976, s. 105–118.

Dostojewskiego. Jednym z promotorów owych fascynacji był dobry znajomy pisarza – Edward Garnett.

Żywe zainteresowanie tymi twórcami stanowiło w Anglii przejaw idealistycznej i neoromantycznej reakcji przeciw ideologii pozytywizmu. Ale obok tendencji estetycznych duże znaczenie miały wydarzenia z kręgu wielkiej polityki: wojna rosyjsko-japońska, rewolucja 1905 czy konwencja angielsko-rosyjska z roku 1907. W momencie, kiedy zainteresowanie problematyką rosyjską osiągnęło swój szczyt, Conrad zabrał głos artykułem *Autokracja i wojna*. Polemizując z obrazem Rosji, nie posługiwał się argumentami racjonalnymi, lecz środkami z zakresu retoryki. W jego opinii osławiona „dusza rosyjska” – była synekdochą państwa autokratycznego, groteskowym widmem, nicością.

Jeszcze bardziej złożona jest problematyka rosyjska w powieści *W oczach Zachodu*. Pisząc ją, Conrad przyjmował rolę Kasandry, ostrzegającej Zachód przed wywrotowym charakterem idei rosyjskiej. Głosząc takie poglądy, nawiązywał do idei Mickiewicza, Krasińskiego, de Custine’a czy Marksa. Natomiast kompozycja powieści jest polemiką z Dostojewskim i jego angielskimi entuzjastami. Zachodzi uderzające podobieństwo między *Zbrodnią i karą* Dostojewskiego a *W oczach Zachodu* Conrada. Relacje między oboma utworami są, wedle Buszy, częściowo dialektyczne, częściowo zaś parodystyczne.

Powieść Conrada, podobnie jak dzieło Dostojewskiego, jest powieścią polifoniczną (w znaczeniu Bachtinowskim), ale u Conrada wielogłosowość ta jest modyfikowana przez ironię. Conrad w stopniu o wiele większym niż Dostojewski przedstawiał swoje argumenty za pomocą obrazów. W opinii Buszy zarówno ideologia, jak też poetyka *W oczach Zachodu* jest polemiką z twórczością autora *Zbrodni i kary*. Chcąc poprzeć swą tezę, nawiązywał do spostrzeżeń swoich polskich poprzedników, przede wszystkim do Rafała Marcelego Blütha, a także do konstatacji Wita Tarnawskiego²⁸.

Pozycją o pokrewnej tematyce jest rozprawa *The Rhetoric of Conrad's Non-Fictional Political Discourse*²⁹. Podstawę do rozważań stanowią dwa teksty Conrada, oba dotyczące problematyki konfliktu polsko-rosyjskiego. Pierwszym tekstem jest list pisarza do nowojorskiego prawnika i mecenasa sztuk, Johna Quinna, z 24 marca 1920 roku, drugim – esej polityczny *Zbrodnia rozbiórów* z roku 1919. Celem listu było wpłynięcie na społeczeństwo amerykańskie, by w konflikcie polsko-bolszewickim opowiedziało się po stronie polskiej. By go osiągnąć, Conrad stosuje w swojej wypowiedzi wyraźnie dychotomiczne podziały. Konflikt polsko-sowiecki jest ukazany w postaci skrajnych opozycji. Polska w oczach Conrada reprezentuje wartości pozytywne, bolszewizm zaś negatywne. Polska jest wcieleniem ładu, młodszej energii, życia. Bolszewizm to siła destrukcyjna, barbarzyństwo, dzikość, śmierć. W swoich wywodach Busza nawiązywał do prac Juliana Krzyżanowskiego,

²⁸ Por. R. M. Blüth, *Joseph Conrad et Dostojewski*, „La Vie Intellectuelle” 1931, t. 11, nr 2; W. Tarnawski, *Dokola Conrada*, „Myśl Polska” 1948, nr 3.

²⁹ A. Busza, *The Rhetoric of Conrad Non-Fictional Political Discourse*, „Annales de la Faculte des Lettres et Sciences Humaines de Nice” 1978, nr 34, s. 157–170.

Józefa Ujejskiego i Zdzisława Najdera, którzy wskazywali na związki dyskursu politycznego Conrada z polską ideologią romantyczną – głównie z koncepcjami mesjanistycznymi³⁰. Wkład Buszy polegał przede wszystkim na tym, że owe obserwacje oraz intuicje poprzedników pogłębił i wyraził w precyzyjnych kategoriach retorycznych.

Kolejnym przedmiotem analizy stał się esej Conrada *Zbrodnia rozbiorów*. Krytyk zwraca uwagę, że tekst Conrada powstał w znacznym stopniu pod wpływem broszury politycznej jego młodego polskiego przyjaciela i politycznego doradcy, Józefa Hieronima Retingera. Właśnie Retinger był autorem broszury *La Pologne et l'Equilibre europeen* (1916), której pewne fragmenty pisarz dosłownie przetłumaczył i przepisał. Badacz wskazywał, że istnieją jednakowoż między tymi tekstami zasadnicze różnice: stanowisko Retingera było pragmatyczne, zaś Conrada – moralistyczne. Pisarz, przedstawiając rozbiory, odwoływał się do historiozoficznej narracji polskich romantyków, przede wszystkim Krasińskiego i Mickiewicza. Zestawienie przez Buszę stosownych fragmentów *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* oraz *Zbrodni rozbiorów* unaocznia przede wszystkim, że Conrad powielał struktury mickiewiczowskiej narracji historycznej.

Zdaniem Buszy publicystyka polityczna Conrada, podejmująca problematykę polską, odwoływała się do już utrwalonych przez polski romantyzm wzorców: mitów i stereotypów. Conrad stosował takie środki literackie jak metafora i obraz, symbol i alegoria. Nie wyjaśniał problemów politycznych w sposób bezpośredni. Wynikało to z faktu, że Conrad nie był politykiem ani politologiem, lecz interesującym się polityką amatorem. Te środki artystyczne, które stosował w swoich tekstach politycznych, nie wpływały na ich siłę oddziaływania. Zdaniem Buszy to, co było słabością publicystyki politycznej Conrada, czyli nadmiar organizacji artystycznej oraz wizualność, stało się w sposób paradoksalny siłą jego twórczości literackiej, przede wszystkim zaś – powieści politycznych.

Analiza publicystyki politycznej Conrada, dokonana w pracach Andrzeja Buszy, uświadomiła badaczom (a poniekąd czytelnikom) z kręgu kultury zachodniej, jak głęboko w przesłanie ideowe i kształt wypowiedzi artystycznej sięgały polskie konseksje Conrada. A były to sprawy tym odbiorcom całkowicie nieznanne. Szczególnie ważny w tym kręgu problemowym był tekst *Conrad a historia Polski*, referat wygłoszony na międzynarodowej konferencji *Conrad a historia*, w Krakowie w 1999 roku. Stanowi on swego rodzaju podsumowanie dotychczasowych rozważań Buszy w polu „Conrad a Polska”. Badacz stawia tezę, że „Polska historia, od której w pewnym momencie życia Conrad chciał uciec, nawiedzała go, podzwaniając łańcuchami. Jak wszyscy wiemy, stanowi ona ważne tło i kontekst jego dzieł; dostarczyła mu materiałów źródłowych i wpłynęła na interpretację jego utworów”³¹.

³⁰ Por. J. Krzyżanowski, *U źródeł publicystyki Józefa Conrada*, „Ruch Literacki” 1932, nr 8; J. Ujejski, *O Konradzie Korzeniowskim*, Warszawa 1936; Z. Najder: *Introduction [w:] Conrad's Polish Background. Letters to and from Polish Friends*, Londyn 1964.

³¹ A. Busza, *Conrad a historia Polski*, „CON-teksty” 2003, nr 4–5.

Zdaniem Buszy młody Konrad Korzeniowski, wychowywany w popowstańcowej kulturze martyrologiczno-patriotycznej, a zarazem będący pod naciskiem odmiennych i ugodowych w stosunku do zaborcy propozycji krakowskiej szkoły historycznej, udając się na morze, chciał zerwać z przeszłością. Jednak oderwanie się od problematyki polskiej nigdy nie było całkowite. Polskość manifestowała się w pisarstwie Conrada współzuciem wobec uciskanych, co szczególnie widoczne jest w *Jądrze ciemności*. Tu Busza nie mógł darować sobie polemiki z głośnymi poglądami Chinuy Achebego³², pisząc: „pokażcie mi mocniejsze współczesne oskarżenie kolonializmu niż *Jądro ciemności*”³³.

Szczególne jednak miejsce w manifestacji problematyki polskiej przypada powieści *Lord Jim*. Zdaniem Buszy, powtarzającego tu tezy Józefa Ujejskiego i swego wuja, u źródeł powieści leży spór o „emigrację zdolności”. Badacz dostrzega też w *Lordzie Jimie* nawiązanie do polskich sporów romantyków z pozytywistami. Argumentuje z dużą siłą przekonania:

Pewne jest to, że dwa dominujące nurty w dziewiętnastowiecznej ideologii polskiej znajdują swe odpowiedniki w podstawowej aksjologicznej dwubiegunowości tej powieści – najbardziej oczywistym tego przykładem jest opozycja Marlow–Jim. Co więcej, podstawową płaszczyzną konfliktu i dramatu są kluczowe moralne wartości polskiej etyki porozbiorowej: lojalność, wierność, obowiązek, honor, odwaga, solidarność i poświęcenie wielkiej sprawie³⁴.

Conrad, kiedy osiągnął znaczącą pozycję w literaturze angielskiej, uznał za stosowne wprowadzenie do niej ważnych fragmentów historii swej pierwszej ojczyzny. Będą to – powstanie listopadowe w opowiadaniu *Książę Roman* i powstanie styczniowe w autobiograficznym tomie *Ze wspomnień*. Najpełniejszą wizję polskiej historii, nader wyidealizowaną, dał Conrad w eseju *Zbrodnia rozbiorów*, będącym polemiką z tymi politykami brytyjskimi, którzy – jak premier David Lloyd George – nie sprzyjali polskim aspiracjom niepodległościowym.

W bibliografii Andrzeja Buszy znajdują się też prace drobniejsze, między innymi publikacja nieznanych listów Conrada do Towarzystwa Polskiego w Londynie³⁵, a także recenzje prac autorów polskich i obcych na temat problematyki polskiej w dorobku tego twórcy, z których najważniejsza wydaje się być prezentacja książki czołowego polskiego badacza Conrada – Zdzisława Najdera³⁶. Recenzował

³² Ch. Achebe, *An Image of Africa: Racism in Conrad's „Heart of Darkness”*, „The Massachusetts Review” 1977, nr 18, s. 782–794.

³³ Tamże.

³⁴ Tamże.

³⁵ A. Busza, *Dwa nieznanne listy Conrada*, „Wiadomości” (Londyn) 1973, nr 31.

³⁶ Tenże, *Conrad's Polish Background ed. Z. Najder, London 1964 (rec.)*, „Slavic and East European Review” 1966, nr 102; A. Busza, *Gruntowna biografia Conrada (rec. Z. Najder, „Życie Conrada-Korzeniowskiego”)*, „Kultura” (Paryż) 1983, nr 6.

też książkę Davida Hodgessa *The Dual Heritage of Joseph Conrad*³⁷ i omawiał wspomnienia starszego syna pisarza Borysa *My Father Joseph Conrad*³⁸. Skreślił sprawozdanie z pogrzebu wnuka Conrada³⁹. Warto też wspomnieć, że – na prośbę wuja Tarnawskiego – Andrzej Busza w drodze wywiadu ustalił, że Conradowi nie udzielono sakramentu chorych dlatego, że rodzina pisarza poprosiła o to zbyt późno⁴⁰.

Studia Andrzeja Buszy świadczą dowodnie, że dziedzictwo polskie autora *Ze wspomnień* jest niezmiernie bogate i złożone, a – co również ważne – jego znajomość jest niezbędna dla zrozumienia i głębokiej interpretacji twórczości Conrada⁴¹.

W dorobku badacza na uwagę zasługują prace, w których tematyka polska jest nieobecna lub pełni rolę drugorzędną. Będą to rozprawa *Literature as Prophecy: the Case of Conrad's „Heart of Darkness”* oraz wstęp do ostatniej ukończonej powieści Josepha Conrada *Korsarz* w edycji *The World Classics*⁴².

Jak wiadomo, Busza zaliczony być musi do polskich poetów tworzących na emigracji. Najpierw pisał w języku polskim, później przeszedł na twórczość anglojęzyczną⁴³. Ostatnim ważnym utworem w języku polskim był poemat *Kohelet*, w którym daje wizerunki swoich mistrzów, przewodników i partnerów intelektualnych – Kazimierza Wierzyńskiego, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, Leszka Kołakowskiego... Wśród nich umieścił i portret swego mistrza w fascynacji Conradem – wuja Wita Tarnawskiego. Przywołajmy:

w cichej kotlinie
gdzie rzeka Monnow do rzeki Wye szepcząc wpada
widzę biały domek
tam Tarnawski uprawia ogródek

³⁷ Tenże, *A trip into the Polish interior*, „English Literature in Transition” 1968, nr 4.

³⁸ Tenże, *B. Conrad*, „My Father Joseph Conrad”, „Books Abroad” 1972, nr 46.

³⁹ Tenże, *Pogrzeb wnuka Conrada*, „Wiadomości” (Londyn) 1960, nr 18.

⁴⁰ W. Tarnawski, *Conrad. Człowiek–pisarz–Polak*, Londyn 1972, s. 257–260.

⁴¹ W ostatnich latach Andrzej Busza opublikował ponadto kolejne prace poświęcone twórczości Conrada: *Under Western Eyes and „the theatre of the real”*, „The Conradian: The Journal of the Joseph Conrad Society (U.K.)” 2011, vol. 36, iss. 2, s. 124–137 (wersja polska: *Conrada „W oczach Zachodu” i teatr rzeczywistości*, „Ekspresje. Expressions. Rocznik Literacko-Społeczny Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą” 2012, t. III, Londyn 2013, s. 175–191); *Conrad's „Lord Jim” and Dostoevsky's „Crime and Punishment”*: *Contrastive Axiologies*, „Tematy i Konteksty” 2015, nr 5, s. 311–320; *Czytając „Jeszcze raz w Polsce” Conrada* [w:] *I wojna światowa w literaturze i innych tekstach kultury. Reinterpretacje i dopełnienia*, red. A. Jamrozek-Sowa, Z. Ożóg, A. Wal, Rzeszów 2016, s. 469–483; „*Karain*”: *coś dla czasopism z odrobiną magii* [w:] *Dyskursy pogranicza. Wektory literatury*, red. J. Pastarska, Z. Ożóg, Rzeszów 2019, s. 361–372.

⁴² A. Busza, *Literature as Prophecy: The Case of Conrad's „Heart of Darkness”*, „Yearbook of Conrad Studies” (Poland) 2006, Vol. II; A. Busza, *Introduction*, [w:] J. Conrad, *The Rover*, red. A. Busza i J. H. Stape, Oxford 1992.

⁴³ Por. B. Tarnawska, *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”*, Olsztyn 2004.

niebem ciągną jutrzne obłoki
 jak galery przez cieśninę Bosforu
 a Tarnawski uprawia ogródek
 po zmroku w aureoli lampy stołowej
 pisze listy do siostrzeńców
 recepty dla przyjaciół
 rady dla potomności
 językiem serca
 człowieka
 który sztuce oddał talent
 geniusz zaś miłości⁴⁴.

5.

Można i należy w tym miejscu postawić pytanie: jakie są źródła fascynacji conradowskiej uczonego i poety polsko-angielskiego, Andrzeja Buszy?

Odpowiedź pozornie jest prosta, a w istocie rzeczy zaś nader złożona. Nie ulega wątpliwości, co wielokrotnie potwierdza sam autor, że wielka rola przypada tu wujowi Witowi Tarnawskiemu, ważnej postaci conradystyki emigracyjnej. Nie można też pominąć siły oddziaływania wspaniałej prozy Josepha Conrada. Ale wydaje się, że biografia Andrzeja Buszy została tak ukształtowana, by przygotować go do roli badacza autora *Lorda Jima*. Rodzinne związki z Kresami, skąd wywodził się Conrad, długoletni pobyt za granicą (Palestyna, Anglia i Kanada, a także Francja), świetna znajomość kultury angielskiej a zarazem i polskiej, własna twórczość literacka, problem wielokulturowości, dystans w stosunku do Polski, wynikający choćby z faktu, że Andrzej Busza zjawił się w ojczyźnie prawie trzydzieści lat po tym, gdy jako małe dziecko opuścił kraj, uciekając przed okupantem ze Wschodu – to czynniki, które kształtowały jego osobowość.

Wydaje się, że owo bogate doświadczenie biograficzne i kulturowe sprawiło, że Andrzej Busza mógł lepiej i głębiej odczuwać Conrada, a szczególnie złożone relacje tego twórcy z Polską, niż wielu innych badaczy. W jednym z wywiadów wyznał, co najwyżej cenił w twórczości Conrada:

Chociaż w jego prozie jest wiele problemów, dylematów i zagmatwanych sytuacji, nigdy nie można powiedzieć, iż jest ona moralnie obojętna czy niejasna. Prace artysty tej miary co Conrad, są nieocenione szczególnie w czasach moralnego i estetycznego chaosu, gdy wszelkie wartości są poddawane rewizji i wymagają nowego zdefiniowania⁴⁵.

Mówiąc o polskich ośrodkach zainteresowania Conradem, na ogół wskazujemy na wielkie miasta i działających tam krytyków i badaczy literatury. Wymie-

⁴⁴ A. Busza, *Kohelet*, „Kultura” (Paryż) 1975, nr 12.

⁴⁵ A. Busza, *Pisarz powszechny*, „Polska” 1972, nr 12.

niamy Warszawę, Kraków czy Gdańsk. Warto w tym miejscu przypomnieć, że duże grono emigracyjnych badaczy i popularyzatorów Conrada ma pochodzenie związane z Kresami dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dość wymienić Miłosza, Vincenza czy Tarnawskiego. Obok wielkich miast na przypomnienie jako ważny ośrodek kształtujący polską interpretację twórczości Conrada zasługuje – założony przez Tarnawskich – słynny niegdyś kresowy kurort, Kosów.

Stefan Zabierowski

It all started in Kosów... Andrzej Busza – an interpreter of Conrad

Summary

The aim of this article is to present the views of Andrzeja Busza (b. 1938), a Polish-English emigrant poet and an outstanding expert on Joseph Conrad-Korzeniowski's biography and literary output. The author of the article stresses the multicultural experience of the researcher, who stayed in the borderland (*Kresy*) of the Second Polish Republic, in Kosów, during the war in Palestine, and later on in England and in Canada. Being a native Pole, he was able to visit his homeland only thirty years after his departure.

The multicultural biographical experience influenced greatly the development of Busza's attitude towards Conrad. Another factor in this respect was the impact the intellectual elite, gathering in the natural therapy centre in Kosów, had on him. In this environment a special role was assigned to Busza's uncle, doctor Wit Tarnawski, the manager of the centre, who over time became one of the most notable experts on Conrad among the post-WWII Polish émigrés. It was under his influence that Busza got interested in the connections Conrad had with Polish culture and literature. The first significant outcome of those interests was Busza's excellent Master's thesis, titled *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work* (1966), prepared at the University of London. The thesis, in a way unprecedented in the West, presented Conrad's connections with Polish literature of different eras, starting with Romanticism. Busza proved, that when leaving the Polish territory, Conrad took with him huge intellectual baggage.

Further on, the article includes a presentation of Busza's insightful essays analysing Conrad's individual works from the perspective of the ideological proposals they contain, as well as of their poetics. Those considerations concern Conrad's great novels, like *Under Western Eyes*, political essays like *The Crime of Partitions*, as well as a private letter to John Quinn, of March 24, 1920, in which he takes up the subject of the Polish-Soviet conflict.

Linda Pastan

MYŚLĘ „STÓŁ”

Myślę „stół”, a mówię „krzesło”...

Gloria Fuertes

Myślę „stół”,
a mówię „krzesło”.
Wchodzę do kuchni
po butelkę zimnego mleka,
a wychodzę,
niosąc
ciepły chleb.
O wszystkim, co wiem,
zapominam, poczynając
od imion braci
i synów. Niedługo wrócę
do zaułków dzieciństwa,
próbując uchwycić rękę,
która jest już kością.
Dni coraz chłodniejsze.
Przeglądam cienie
jak stare fotografie,
i pod moim wzrokiem
podstarzały, porzucony
na górze Eskimos blaknie
i zmienia się w czystą przypowieść.
A fakty odrywają się
jeden po drugim
jak luźne guziki,
gdy herbata-pocieszycielka
zaparza się w wyszczerbionym
imbryku. Gorzka
jak wspomnienie stołu,
przy którym jadałismy;
twoje ramię spoczywało niedbale
na oparciu mojego krzesła.

ZWIERZĘTA

Kiedy widzę prosiaczka z jabłkiem
w pyszczku, obracającego się
na różnic, albo dotykam
miękkiego pyska konia,
wyjadającego mi spad z ręki,
myślę o zwierzętach, które
nie kradły owoców, a przecież
bramy Raju zamknęły się dla nich.

Co robiły w mroźne noce,
kiedy nie mogły już jeść
z Adamowej ręki
i spać, wtulone w siebie,
pod łagodną gwiazdą?
A nie znając jeszcze gniazd
i legowisk, czy próbowały się ogrzać
przy gorejących liściach pierwszej jesieni?

A jak nauczyły się ostrzyć
kły i pazury? Kto udzielił im
pierwszej lekcji o tym,
jak ciało przemienia się w mięso?
Tygrys i Niedźwiedź. Łoś i Gołąb.
Bóg zapewnił im miejsce w Arce,
a Chrystus uhonorował przypowieściami,
nazywając się Barankiem Bożym.

Przyuczamy nasze psy do posłuszeństwa,
które sami kiedyś wypowiedzieliśmy.
Ale czasem noc rozbrzmiewa szczekaniem
psów jak ogniem dalekiej artylerii,
zgiełkiem tak straszliwym jak ryk
młodych wołów prowadzonych rampami
na bydłące wagony, których drzwi
zamykają się dla nich jak kiedyś bramy Raju.

DUSZĘ SIĘ

W *Trzech siostrach* Czechowa wszyscy chorują na nieuleczalną nudę.
Kiedy Irina mówi, że jej dusza jest jak zamknięty fortepian, do którego zgubiono klucz, chcę jej powiedzieć, że tak samo jest z graniem na fortepianie: palce mogą wędrować tam i z powrotem po klawiaturze i nigdzie nie dojść.
A kiedy rozmowa znów koncentruje się na Moskwie, za którą Olga tak bardzo tęskni, chciałabym móc jej przypomnieć o zimnych, nieprzyjaznych ulicach, gdzie nawet lód kolorem przypomina kamień. Siedzę tutaj, obserwując jak kochany człowiek się kończy, widzę, jak przez lata można żyć z cierpieniem i nudą: niedobrana para dusząca się we wzajemnym uścisku.
Patrzyłam, jak wywołana przed kurtynę Masza, wciąż płacząc, przebija się przez mur oklasków z jednego ja w drugie: poniekąd narodziny na opak.
I myślałam, skąd bierze się to uczucie, to jakby coś przeciągało nas pod powierzchnią głębokiego stawu, lecz nie pozwalało się utopić.
Rosja... myślała, Rosja... kraj, z którego uciekł mój dziadek (tak mu się zdawało), lecz który zawsze dźwigialiśmy na grzbiecie jak ciężki szynel z Gogolowskiego opowiadania, albo płaszcz, w który mnie owinął pewnej nocy, kiedy dorośli gadali, a ja drżałam i ziewałam w ekstazie nudy, co zamieniła moje dzieciństwo w ogromny kontynent, z którego mogłam uciec tylko ukryta płaszczu, w trzeciej klasie, przy dużym ryzyku.

DO CÓRKI OPUSZCZAJĄCEJ DOM

Kiedy miałaś osiem lat,
uczyłam cię jeździć na rowerze,
i pamiętam, jak kiedyś,
sadząc susami obok,
rozdziawiłam usta ze zdumienia,
kiedy ty, chwycąc się
w obie strony, pomknęłaś
nagle krętą parkową ścieżką,
a wtedy ja puściłam się
za tobą, próbując dogonić,
pewna, że twoja ucieczka
skończy się katastrofą,
gdy tymczasem ty
malowałaś i malowałaś,
i stawiałaś się coraz
bardziej bezbronna,
a mimo to pedałowiałaś
i pedałowiałaś
ze wszystkich sił,
zanosząc się śmiechem,
a twoje włosy falowały
na wietrze jak chusteczka,
którą ktoś macha
na pożegnanie.

Linda Pastan
Przełożył Andrzej Szuba

Roman Sabo

Kondygnacje czasu i przestrzeni

KAŻDA NAGRODA MA DWOJE BOHATERÓW

Każda nagroda ma dwoje bohaterów. Tych, którzy ją przyznają, i tych, którzy ją otrzymują. Żadna nagroda nie istnieje poza czasem, czy okolicznościami miejsca i sposobu. Dzieje nagrody Nobla znakomicie prześledził Kjell Espmark w swoim studium *The Nobel Prize in Literature. A Study in Criteria Behind the Choices* (Boston, 1991). Ież w nim kuriozów, włącznie z tym dla nas najboleśniejszym: bogoojczyźniana komisja wybrała sienkiewiczowskie *Quo vadis*, aby nie nagrodzić Lwa Tołstoja. Ale i z tym szczytnym, gdy po latach okazało się, że iście hazardowe posunięcie przyznania Nobla mało znanemu emigracyjnemu poecie z Kalifornii, piszącemu w pewnym słowiańskim narzeczu, okazało się jedną z najlepszych decyzji komisji.

Tegoroczna nagroda zdaje się być modelowym uzasadnieniem nazwy wyróżnienia – literacka Nagroda Nobla. Noblistka jest li tylko i aż poetką. Jej poezja nie jest dla wszystkich, zawierając głębokie pokłady refleksji dla dorosłych ludzi po tzw. przejściach. Jest literackim faktem, ważnym dla tych, którzy przekonali komisję literackiej nagrody, żeby wyróżniła amerykańską poetkę.

Żeby nie zagadać. W 2000 roku Robert Haas wydał poetycki raptularz, *Now & Then. The Poet's Choice Columns 1997–2000*, przedstawiający wiersze opatrzone krótkim komentarzem, w którym ten kalifornijski poeta, tłumacz i profesor przedstawia autora i uzasadnia swój wybór związany z konkretnym, obdarzonym dokładną datą dniem. W sierpniu 1999 przedstawił przyszlą noblistkę w adekwatny do zajmowanego przez nią w dniu dzisiejszym miejsca na literackim panteonie sposób:

„15 sierpnia

Louise Glück

Dla szczęściarzy, żyjących w miejscach nienawiedzanych przez wojny i nieznanymi politycznego terroru, zdarzeniami parzącymi duszę, czy wprowadzającymi zamieszanie w życie, są śmierć i rozwód. Rozwód jest rodzajem śmierci. Nawet ci, którzy oddychają z ulgą po zakończeniu związku, muszą na nowo meblować swoje życie rodziną, zwyczajami, domem, miastem.

Nic więc dziwnego, że jest to temat dla poezji, chociaż dziwić może fakt, że tak mało czasu i uwagi poświęca się mu w naszej poezji, biorąc pod uwagę jak powszechnym i dewastującym może stać się to doświadczenie.

Od dziesięciu lat Louise Glück, jedna z najczystszych i znakomitych współczesnych nam poetek lirycznych, odchodzi od formy jej wcześniejszych, tradycyjnie układanych z wierszy pisanych w różnych okresach czasu, tomików poezji, oferując w zamian opis serii zdarzeń o zawartości poetyckiego tomu. Spisane są charakterystycznym dla niej powściągliwym i opanowanym stylem. Zawarte w książkach poszczególne wiersze łączy narracyjne następstwo, dzięki czemu są w stanie przedstawić główny temat z wielu punktów widzenia i w różnorodnych emocjonalnych tonacjach, przypominając cykle klasycznych sonetów, opisujących kolejne fazy miłosnego związku. Pierwszy z nich, *Ararat*, przedstawiał sytuację rodzinną trzech kobiet, skonfrontowanych ze śmiercią męża i ojca. Drugi, wyróżniony Pulitzerem, *The Wild Iris*, jest medytacją na temat zmian pór roku w ogrodzie w New England. Trzeci, *Meadowlands*, odwołujący się do losów Odyseusza, Penelopy i Telemacha, opowiada o rozpadającym się małżeństwie. Najnowszy, właśnie wydany przez Ecco Press, ma tytuł *Vita Nova*. Jego tematem jest życie po rozwodzie. Bierze początek w punkcie adekwatnie opisanym przez Emily Dickinson:

After great pain, a formal feeling comes –
The Nerves sit ceremonious, Like Tombs –

Wielki ból zastępuje rutyna cierpienia –
Jak trawa Grób – tak Nerwy porasta konwenans
(przeł. Stanisław Barańczak)

Po wielkim bólu, przychodzą uczucia formalne –
Nerwy, jak groby, sterczą ceremonialnie –
(przeł. Radek Kozak)

Wielki ból wyprą oschłe wrażenia –
Jak Groby – chłodne stawiają się wzruszenia –
(przeł. Roman Sabo)”.
”

Roman Sabo

Louise Glück

ODZIENIE

Moja dusza uschła.
Jak dusza rzucona w ogień, ale nieostatecznie
nie po unicestwienie. Trwała,
szorstka. Krucha
nie z winy samotności, z braku zaufania,
następstwa przemocy.

Duchu, zaproszony do opuszczenia ciała,
do chwilowego objawienia,
drżący, jak przed
spotkaniem ze świętością –
duchu wywiedziony z samotności
obietnicą łaski,
gdzie znajdziesz ponownie wiarę
w miłość innego istnienia?

Moja dusza uschła i zmaląła.
Ciało stało się dla niej za dużym odzieniem.

A gdy zwrócono mi nadzieję
była to zupełnie inna nadzieja.

ZWYKŁA MIŁOŚĆ

Ich łączyły
konwenanse czasów.
Okresu
(dość długiego) gdy
dobrowolna ofiara z serca
zobowiązywała, czysta formalność,
do rezygnacji z wolności: sakrament
równie wzruszający jak skazujący na porażkę.

Co do nas:
na szczęście uchylił się
tym zobowiązaniom, powtarzałam
gdy moje życie roztrzaskało się.
Posiadane przez nas tak długo
było, mniej lub więcej,
wybrane, żywe.
Dużo czasu minęło,
zanim zmieniłam zdanie.

Jesteśmy tylko ludźmi – bronimy się
jak umiemy,
Nawet do stopnia prześlepienia
oczywistości, stopnia
samooszustwa. Jak w wyżej
przywołanym sakramencie.

A przecież, w kręgu oszustwa
istniało czyste szczęście.
Stąd wiara, że popełniłabym
dokładnie te same błędy.
Nie przykładam też
wagi do wiedzy,
czy takie szczęście
ma za podstawę iluzję:
posiada własną prawdę.
A i tak ma kres.

Z tomu *Vita Nova*, The Ecco Press, 1999

Przełożył Roman Sabo

6. KOŃ

Co może dać ci koń,
że ja tego nie mogę ci dać?

Obserwuję cię, gdy jesteś sam.
Kiedy wjeżdżasz na pole za mleczarnią,
twoje dłonie zatapiaś w kłaczy
Ciemnej grzywie.

Wtedy wiem, co kryje się za twoim milczeniem:
pogarda, nienawiść do mnie, do małżeństwa. Nadal
chcesz, abym cię dotykała; krzyczysz,
płaczesz jak panienka, ale kiedy patrzę na ciebie,
to nie widzę w tobie dzieci.
Więc kto w tobie jest?
Chyba nikt. Sądzę. Tylko pośpiech,
umrzeć, zanim ja umrę.

We śnie obserwowałam, jak jeździsz konno
przez wyschnięte pola, gdy
schodzisz z niego; idziecie razem.
W ciemnościach nie ma cieni.
Ale poczułam je, zbliżają się do mnie,
ponieważ w nocy mogą iść dokądkolwiek,
są swoimi własnymi mistrzami.

Spójrz na mnie. Myślisz, że nie domyślam się?
Co to za zwierzę,
Skoro nie wyjdzie z tego życia?

7. STUDIUM MOJEJ SIOSTRY

*Szanujemy tutaj, w Ameryce,
to co jest konkretne, widoczne. Pytamy
Po co to jest? Do czego to prowadzi?*

Moja siostra
odłożyła widelec. Czuję, powiedziała,
jakbym miała skoczyć w przepaść.

Zostało popełnione przestępstwo
przeciwko ludzkiej duszy,

w stosunku do małego dziecka,
które spędza cały dzień na zabawie
kolorowymi klockami.

Spogląda w górę
promienna taka nareszcie,
ukazuje się,
wraca do rodziców,

a oni pytają
Co zbudowałaś?
A potem, ponieważ ona wydaje się
taka nicogarnięta, taka zdezorientowana
powtarzają pytanie.

Przełożył Adam Lizakowski

Z tomu *The Wild Iris*, published by Ecco Press, 1992

POŚLAŃCY

Musisz poczekać,
gęsi zniżą lot nad bagnem,
pobłyskując w czarnej wodzie.
Przebiją linie strzału.

Tak i rączę jelenie –
wyjdą dostojnie,
jakby ciała ich nie krępowały,
na otwartą przestrzeń
pośród brązowych paneli słonecznego światła.

Staną jakby czekały
specjalnie na ciebie,
tylko wyjadane przez nie krzewy,
drzeń będą w kłatkach
skulone, bezlistne.

Celujesz
a narastający krzyk w tobie – *uwolnij, uwolnij*
wzędzie jak księżyc
oderwany od ziemi,
wypełniony po brzegi strzałami.

Gdy padną martwe przed tobą,
choć wewnętrznie zraniona,
poczujesz się jak królowa.

Messengers z tomu The House on Marshland (1975).

ARARAT

Nie ma nic smutniejszego od grobu mojej siostry
Może jeszcze, obok, grób naszej kuzynki.
Do dzisiaj, nie potrafię patrzeć normalnie
na ciotkę i matkę.
Im częściej uciekam od oglądania
ich cierpienia, tym bardziej wydają się
rodzinnym przeznaczeniem,
bo każda rodzinna gałąź
ofiarowała ziemi dziewczynkę.

Moje pokolenie odkładało wesela,
rodzenie dzieci.
Zwykle miałyśmy po jednym dziecku,
przeważnie synów.

Nigdy nie rozmawiamy o śmierci,
ale pogrzeb kogoś dalekiego,
jak mój ojciec, przyniósł ulgę
To być może znak, że został spłacony
rodzinny dług.

Tak naprawdę mało kto wierzy,
że na tej górze każdy kamień
podobnie jak ziemia
poświęcony jest żydowskiemu bogu,
który bez wahania zabiera
matce syna.

Z tomiku *Ararat* (1990)

DYLEMAT TELEMACHA

Nie mogę zdecydować się
jakie epitafium wyryć
na grobowcu rodziców.
Wiem, co podoba się ojcu,
żeby było – *ukochana*.
To z pewnością ma sens,
gdy bierzemy pod uwagę
wszystkie kobiety.
Ojciec nie liczy się z opinią matki,
dla której napis nagrobny nie ma
najmniejszego znaczenia.
Woli, żeby zapamiętano jej osiągnięcia.
To nietakt – mówi
honorować zmarłych
łaskocząc ich próżność,
wyobrażenia o sobie.
A ja uważam,
że liczy się precyzja.
Bez gadulstwa.
Przecież to moi rodzice,
widzę ich razem.
Raz skłaniam się do napisu
mąż i żona,
a częściej
przeciwstawne siły.

ZGRYZOTA KIRKE

W końcu niczym bóg
objawiłam się w Itace
twojej żonie
bezcieleśnym głosem
Przestała tkać
odwracając głowę

w prawo w lewo
w beznadziejnym
szukaniu źródła dźwięku
Wątpię by wróciła
do krosna
Kiedy ponownie ją zobaczysz
powiedz że tak właśnie
żegna się bóg
Jeśli pozostałam w jej myślach
zamieszkałam na wieki w twoim życiu

Z tomiku *Meadowlands* (1996)

LETNIA NOC

Serce z przyzwyczajenia bije spokojnie.
W bezsenne noce spleta się z łagodnym szmerem klimatyzatora.
Słyszałam go nad sercem ukochanego,
pod sercami kochanków
i w wielu absurdalnych konfiguracjach.

Tyle we mnie niewysłanych listów!
Pilnych podróży – wymyślonych w letnie noce,
romantycznych przygód z przypadkowymi mężczyznami.
Tyle niezakupionych biletów, nieostemplowanych listów.
Nieurażonej dumy w nieprzeżytych na maksa życiu,
sztuki wystawianej na szwank i ryzyko rutyny

Dlaczego moje wiersze mają nie imitować losu?
Być wzorem, niekoniecznie apoteozą,
zamyśleniem a nie zwykłym gestem.

Pragnienie, samotność, powiew wiatru w kwitnącym migdałowcu –
to kopalnia niewyczerpanych tematów
na których uczyli się poetyckiego rzemiosła moi poprzednicy.
Ich głosy odbijają się echem w moim sercu.

Balsam letniej nocy, balsam zwyczajności,
cesarska radość, smutek egzystencji
przeżytej ale też wysnionej –
czy może być coś droższego sercu nawet wobec bliskości nieuchronnej
[śmierci?

Summer Night z tomu The Seven Ages (2001)

ZMIERZCH

Po całodziennym harówie w młynie kuzyna
gdy wraca do domu, siada zawsze przy tym samym oknie,
obserwuje zmierzch.

Jasne, że chciałby mieć więcej czasu na relaks i marzenia
ale kuzyn twierdzi:
życie nie pozwala na siedzenie.

W kwadratowym krajobrazie okna
mieści się cały świat.
Zmieniają się pory roku.

Po wiosennej zieleni przychodzi złota jesień, okraszona bielą zima –
czyste abstrakcje przynoszące przyjemności
jak figi na stole.

O zmierzchu, w poświęceniach ognistej czerwieni pomiędzy topolami
zachodzi słońce –
latem guzdrze się do późna że trudno zasnąć.

Krajobraz rozmywa się.
Powoli nikną obrazy,
potem tylko – świerszcze, cykady,
zapach cytrusowych drzew
ale sen połyka radość doznań.

Tak łatwo zrezygnować z nich eksperymentalnie
na kilka godzin.

Rozkładałam palce –
przepuszczam przez nie wszystko.

Namacalny świat, język,
nocny szmer liści
zapach wysokich traw i dymu z płonących polan

Przepuszczam przez palce i zapalam świecę.

Twilight z tomu A Village Life (2009)

Louise Glück
Przełożył Ryszard Kołodziej



M. Skalbani, *Fareham*, znaleziony kubek, sucha igła

EPOS O TRUDNEJ PAMIĘCI

Z Tomaszem Chomiszczykiem o powieści Kalmana Segala *Jeszcze żyjemy* rozmawia Joanna Sarnecka

Joanna Sarnecka: Powieść Kalmana Segala *Jeszcze żyjemy*¹ odnalazła się po latach. Proszę powiedzieć, czy to był tekst, który Segal przygotowywał do publikacji, czy może bardziej prywatny, do szuflady? Czy w ogóle możemy to stwierdzić?

Tomasz Chomiszczyk: Trudno to określić. Nawet córka, Ita Segal, nie jest pewna, na ile jej ojciec chciał ją wydać. Ja myślę, że on się nie wahał. Tę książkę napisał już w Izraelu, ale po polsku. Chyba jednak czuł, że to już nie jest pora na pisanie podobnych książek w Izraelu. Pod koniec powieści jest taki autotematyczny fragment, w którym kobieta przepisująca mu tekst mówi do niego: „Panie S. po co pan pisze taką książkę, po co w dzisiejszych czasach takie rzeczy? Po co przypominać, wywlekać?”. Ale wcześniej, w Polsce, też nie wszystko mógł przecież publikować. Ta książka jest niepoprawna politycznie w wielu swoich fragmentach. Krótko mówiąc, wydaje się, że napisał, bo musiał to napisać, bo czuł, że powinien to wszystko z siebie wyrzucić i pozbierać świadectwa świadków. Myślę jednak, że twórca, nawet jeśli coś pisze do szuflady, to zawsze z nadzieją na opublikowanie. Ten maszynopis wprawdzie wymagał pewnego uporządkowania, lecz był przepisany na czysto. Miał tylko kilka odręcznych notatek. To oznacza, że to nie była już pierwsza wersja, którą pisze się z głowy a potem skreśla się całe partie. Tak na przykład wyglądają – oczywiście bez porównań wartościujących – maszynopisy opowiadań Beksińskiego: tam to jest po prostu „poligon”. Natomiast w przypadku tekstu Segala rzecz była niemal gotowa. Oczywiście wymagała pracy redakcyjnej i trochę nad tym pracowaliśmy (m.in. z redaktorką Justyną Rochacewicz – uwaga J.S.), ale miało się wrażenie, że on to napisał, złożył w szufladzie i tylko, cóż, nie doczekał jej wydania w Izraelu. Gdyby jednak był z tego niezadowolony, mógł – jak wielu artystów – zniszczyć maszynopis.

– **A dlaczego tak długo trzeba było na tę książkę czekać? Ukazuje się wiele lat od śmierci pisarza.**

– Ita Segal, jego córka, zwoziła do Stanów Zjednoczonych rzeczy ojca i – jak sama mówiła – kilogramy przeróżnych materiałów leżały w pudłach. Nadal nie wiadomo, co jeszcze te archiwa kryją. Książka była wymieszana z innymi materiałami. Córka pisarza długo nie mogła się z tym zmierzyć. Kiedy dwa lata temu była na Dniach Segala w Sanoku, dostrzegła szansę. Zobaczyła, że tu jest środowisko, które absolutnie z niczego nie robi sensacji ani nie zbija na tym, co robi, żadnego interesu,

¹ K. Segal, *Jeszcze żyjemy*, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2020.

tylko faktycznie chce przywrócić pamięć o pisarzu, który kiedyś był ważny, znany, który – zarówno w kategoriach popkultury, jak i artystycznych – dużo znaczył. To był jej warunek: że jeżeli w ogóle się zdecyduje ten maszynopis wyciągnąć i uporządkować, to tylko jeśli nam – środowisku sanockiemu – go pokaże, bo tylko do nas ma zaufanie. To wznuszające i dla nas też bardzo zaszczytne. Obiecała zatem dwa lata temu, że jeszcze raz wszystko przejrzy, ułoży i wyśle nam maszynopis do oceny.

– **Czyli od tych dwóch lat wiadomo było, że książka istnieje i rozpoczęły się nad nią prace?**

– Ita Segal dotrzymała obietnicy i wiosną zeszłego roku wiosną przesała maszynopis do Agnieszki Jankowskiej i do mnie. Czytałem powieść łapczywie, byłem jej bardzo ciekaw. Poczuliśmy się tą lekturą wstrząśnięty i zachwycony. Od razu odpisałem w mailu, że nie ma się nad czym zastanawiać – książka musi być wydana. Ten tekst potwierdzał moje wcześniejsze przekonanie, że Segal był kimś znacznie większym niż tylko tak zwanym pisarzem żydowskim, nie tylko takim „panem od ładnych, ciekawych historii” z przedwojennego Sanoka i okolic. To był artysta, który świetnie warsztatowo odnajdował się w różnych gatunkach i stylach, a poza własną małą ojczyzną interesowały go również sprawy geopolityczne i filozoficzne. Dość szybko udało się przekonać Itę Segal, że warto działać dalej. Oczywiście pojawiła się kwestia znalezienia wydawcy. Uznaliśmy za naturalne, że to powinna być Austeria, ze względu na profil wydawnictwa, ale też w związku z tym, że wznowiła *Opowiadania z zabitego miasteczka*². Pięknie wydają książki i wydają ich dużo. Widać w tym pasję szefa wydawnictwa, Wojciecha Ornata. To był właściwy adres i właściwe ręce, na które można było tę książkę złożyć. Chwała im za to, że mimo niełatwej sytuacji ostatecznie zgodzili się na wydanie.

– **Ale podobno powieść w maszynopisie nie miała autorskiego tytułu?**

– To było dla nas duże wyzwanie, ale od razu byłem przekonany, że jeśli mamy zatytułować powieść bez autoryzacji pisarza, to powinniśmy w tym celu wyszukać coś z samej książki, jakiś ułamek cytatu, żeby tytułowe słowa przynajmniej pochodziły od samego autora. Wybór niełatwy, zważywszy na potężny materiał; przez kilka miesięcy przedyskutowaliśmy co najmniej dwadzieścia różnych propozycji w gronie osób pracujących nad książką. Przez chwilę już wydawało się, że tytuł będzie brzmiał „Zawsze był zmierzch”. Ja optowałem też mocno za „Kroniką Wielkiego Umierania” – to określenie narratora-alter ego autora pojawia się pod sam koniec powieści, a zważywszy na jej treść, jest wyjątkowo trafne. Ita Segal obawiała się jednak, że byłby to tytuł zbyt mocny, zbyt przygnębiający, i ostatecznie zaakceptowano inną moją propozycję – „Jeszcze żyjemy”. Notabene też mało optymistyczną...

– **Książka Segala jest tak wewnętrznie różnorodna, że chciałabym zapytać, co pana szczególnie w niej ujęło?**

² K. Segal, *Opowiadania z zabitego miasteczka*, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt 2017.

– Dziś trochę nadużywa się, biorąc przykład z angielskiego, słowa „epicki”, ale to jest dla mnie właśnie epepeja. Przykład wielkiego dzieła epickiego, wielogłosowego i nieoczywistego. Na początku czytelnik daje się podpuścić i poprowadzić tradycyjnej narracji, która potem zostaje wielokrotnie przełamana. Po jakimś czasie zaczyna się rozumieć pomysł na konstrukcję tej książki: to jest ciągle przekazywanie długopisu, pióra czy mikrofonu kolejnym narratorom, kolejnym postaciom, kolejnym głosom. Niektóre z nich później powracają; wątki, historie, bohaterowie zaczynają łączyć się w pewną całość. Buduje się tu główny temat jak w dużym utworze symfonicznym. Znakomite jest, jak Segal prowadzi tę powieść na wielu tonach, udziela głosu różnym narratorom i różnym postaciom, a jednocześnie świetnie panuje nad całą materią. Mamy tu część współczesną, czyli czasy, w których pisał, mamy kwestie związane z pierwszą i drugą wojną światową, jest dwudziestolecie międzywojenne, ale faktycznie historia zaczyna się od pogromów żydowskich na terenie carskiej Rosji w drugiej połowie XIX wieku. Pisarz doskonale prowadzi równolegle wszystkie wątki, przekazując tę okrutną prawdę, że właściwie temat prześladowania i zabijania jest ponadczasowy. Zmieniają się dekoracje, zmieniają się wykonawcy i sposoby, ale problem pozostaje wciąż ten sam. W tym sensie powiedziałbym, że to jest epepeja, a nawet użyłbym starszego określenia – epos, bowiem Segal pokazuje przekłety fatalizm losu żydowskiego: że właściwie Żydzi od zawsze są skazani na zagładę. Gdy się już wydobędą z okrucieństwa pogromów, przychodzi pierwsza wojna światowa, a jak się już otrząsną się z tego doświadczenia, w dwudziestoleciu międzywojennym znowu dostają w kość. A potem okrucieństwo Holokaustu... I tak aż do roku 1968 w Polsce, aż do nadal aktualnego konfliktu arabsko-izraelskiego na Bliskim Wschodzie, który, notabene, w książce jest pokazany dość bezstronnie, bo Segal nie ucieka także od kwestii pewnych win żydowskich. Pisarz opisuje zatem mechanizm, który – jak perpetuum mobile – ciągle działa. To jest wstrząsające. A do tego książka zachwyca konstrukcyjnie, zachwyca sprawnością warsztatową, imponującymi fragmentami, w których autor nakłada na siebie różne plany czasowe, są tam też długie partie bez wydzielonych akapitów, zawrotne monologi wewnętrzne – coś wspaniałego! Trochę to już było obecne w *Błękitnej kawiarni*³, gdzie Segal właściwie posłużył się techniką strumienia świadomości. Z drugiej strony, *Jeszcze żyjemy* to książka jednak naprawdę przerażająca. Jak nigdzie indziej Segal jest tutaj gorzki i surowy w pewnych ocenach i wyrokach, które wypowiada. Zawsze był raczej znany i ceniony przez to, że krytykując, pozostawał mimo wszystko wyrozumiały, ciepły dla swoich postaci.

– **Tłumaczył je.**

– Tak, a ironia zawsze była złagodzona humorem. W tej książce także nie brakuje humoru i ciepła, ale przeważnie ma się wrażenie, jakby autor czuł, że to jest ostatni moment, by napisać wszystko bez upiększania, że nie będzie więcej niczego zafalszowywał.

³ K. Segal, *Błękitna kawiarnia*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Grzegorza z Sanoka, Sanok 2017.

– **Ta książka jest z pewnością rozliczeniowa.**

– Pisarz nazywa rzeczy po imieniu. W tym sensie powstała powieść zupełnie inna na tle jego pozostałej twórczości, chociaż to jest wciąż Segal; czujemy wyraźnie, że jest to książka człowieka nad wyraz dojrzałego, który – jak się wydaje – pozbył się ostatnich złudzeń.

– **Tak, to było i dla mnie najmocniejsze w tej książce. Ciekawie też odnosi się tu do swoich wcześniejszych utworów, które poniekąd zostają włączone w tę wielką opowieść. Puentuje je jednak teraz już inaczej, w innym nastroju, z głębi życiowego dystansu i dojrzałości.**

– Od jego wczesnych opowiadań do tej ostatniej historii mija kilkanaście lat. Był to czas rozwoju, sukcesu, po czym przyszła epoka zapomnienia w PRL-u. Ostatnie dziesięć lat w Izraelu wcale nie było sielanką. Jemu się źle wiodło. Doskwierała mu samotność i zdrowie, wciąż tliła się tęsknota za Polską. Stąd te same tematy, które teraz u niego powracają, są już ukazane w innym świetle. Ma się wrażenie, że upłynęło nie kilkanaście, a kilkadziesiąt lat. Zupełnie jakby Segal „przeskoczył” w czasie co najmniej o jedno, jeśli nie o dwa pokolenia.

– **Miałam wrażenie, że jest już też w innym miejscu swojej bytności w Izraelu. Zupełnie inaczej pisał o tym w poezji albo w opowiadaniu *Uliczka w Jeruzolimie*. Wydaje się, że jednak stanowi już część tamtej społeczności. To też było dla mnie ciekawe, bo miałam takie poczucie, że może na zawsze pozostał nieutulony w tej swojej niesamowitej tęsknocie za krajem, za utraconym Miasteczkiem. Czytając, poczułam pewną ulgę. Segal się jednak w tamtym świecie jakoś zaaklimatyzował i nawiązał relacje, starał się myśleć o sobie jako o części tej społeczności i jej historii, którą poznawał na nowo.**

– Tak, w dużej mierze traktowano go jako „swojego”. Choć z drugiej strony, z tego, co opisuje w tej najnowszej powieści – a znam to też z jego listów do Mariana Pankowskiego – w pierwszych miesiącach asymilacja nie przebiegała bezproblemowo. Owszem, mówiono o nim od razu, że to wielki pisarz, ale nie było wszystkim łatwo zaakceptować człowieka zza żelaznej kurtyny, który, potencjalnie rzecz biorąc, wysługiwał się komunistom, bo przecież pracował w państwowym przedsiębiorstwie, jakim było radio. Te zarzuty go nie omijają i musi się tłumaczyć z czegoś, czemu nie zawinił. Zatem początek jego pobytu w Izraelu nie był dobry. Później oczywiście Segal wchodzi w tamtejsze środowisko dziennikarskie, publicystyczne, literackie, znowu pracuje na swoje dobre imię w Izraelu. Jest to więc jego kolejny etap w życiu, choć etap też dość smutny, bo – cóż – brakuje rodziny, dawnych znajomych, współpracowników. Przy tym miał potrzebę pisania po polsku i wydaje mi się, że to ma znaczenie.

– **Ta książka została napisana po polsku?**

– Tak, właśnie w tym jest rzecz. W Izraelu zwykle nie pisał po polsku, bo nie miałoby to sensu. To, co tam wydawał, wychodziło głównie po hebrajsku, czasem w jidysz. Natomiast tę powieść napisał dla siebie, do siebie, po polsku. To jego ostatni głos, w którym dał upust swoim polskim tęsknotom. Wiemy doskonale,

także z opracowania profesor Magdaleny Ruty⁴, że rzeczywiście w jego dwujęzyczności zdecydowanie górował język polski. On zdecydowanie lepiej się czuł w tym języku niż w jidysz, w którym debiutował jako poeta. A w tej ostatniej powieści daje prawdziwy popis, pokazuje prawdziwy kunszt językowy. Książka ma kilka arcydzielnich fragmentów, w których człowiek nie wierzy w to, co i jak jest napisane. Sama zresztą struktura tekstu pozostaje bardzo nowoczesna: Segal prowadzi metaliterackie dywagacje, jakby oddzielał się od głosów narratora i postaci, by pisać komentarze do samej książki – dzisiaj to już nie dziwi, bo należy taki zabieg do zestawu postmodernistycznych sztuczek, ale wtedy?

– **Czytając, miałam skojarzenie z *Biegunami* Olgi Tokarczuk: ta dygresyjność, te mikroopowiesci, które składają się na jedną wielką opowieść – to wydało mi się jakoś zbieżne.**

– Zgadzam się. Kiedy jednak pomyślimy, że takie autotematyczne pomysły literackie wówczas, u schyłku lat sześćdziesiątych były domeną raczej zachodniej literatury, że np. chętnie bawili się tym Amerykanie, ale co w Polsce wówczas prawie nie było znane, bo nie istniały jeszcze w większości tłumaczenia takiej prozy, ledwie słyszało się tylko o pewnych zjawiskach i nazwiskach – tym bardziej zadziwia, jak Segal tworzył podobne rzeczy w sposób absolutnie intuicyjny. Pokazuje więc w tej powieści, że jest bardzo nowoczesnym pisarzem. Chociaż zarazem tradycyjnym, bo nadal są tutaj gawędy, czasem pouczające, i nawet elementy literatury dydaktycznej. Zresztą od takiej właśnie opowieści-gawędy zaczyna ta książka.

– **Jednocześnie sytuacja, w której Segal był, historie, które przeżył i jego potrzeba zmierzenia się z trudną pamięcią sprawia, że staje się pisarzem odważnym, bezkompromisowym, przekracza granice, żeby spotkać się z tym, co mu się nagromadziło, z tym, z czym chce się zmierzyć.**

– A przy tym pozostaje wciąż archiwariuszem⁵. Wprawdzie tym razem to nie są świadectwa Sanoczan, bo miastem, w którym rozgrywa się zasadnicza fabuła, jest Borysław. Ita Segal wspominała, że jej ojciec przez kilka lat zbierał relacje i świadectwa znajomych w Izraelu, którzy pochodzili z tamtego właśnie regionu, z tego słynnego niegdyś zagłębia naftowego. Dlatego wszystkie wątki zasadnicze w powieści, wszystkie opisane tam losy mają potwierdzenie w wydarzeniach prawdziwych. Tyle że Segal jest pisarzem, twórcą, więc przetwarza to artystycznie. Jego osobiste doświadczenie wojenne to był oczywiście Sybir, co znajdzie też swoje odzwierciedlenie w książce, lecz przede wszystkim dużo pisze o tym, jak to było tutaj, na ziemiach wschodnich, zarówno w mieście, jak i w lesie, w partyzantce.

– **Ciekawe, że pisze zwykle w formie pierwszoosobowej, udziela głosu swoim bohaterom.**

– Tak, zapewne gdyby to była trzecia osoba, wytworzyłby się dystans, byłoby to tylko przytoczenie obcych doświadczeń. Narracji pierwszoosobowej zawsze

⁴ M. Ruta, *Pomiędzy dwoma światami. O Kalmanie Segalu*, Kraków 2003.

⁵ Odwołanie do książki Segala *Śmierć archiwariusza*, Gdańsk 2017.

towarzyszy większe natężenie uczuciowe, staje się bardziej wiarygodna emocjonalnie. Przy czym tych „ja” w powieści Segal mamy zawrotną liczbę. Dlatego użyłem określenia „powieść polifoniczna”, bo tutaj każde „ja” jest równie ważne, nie rządzi tym jeden „nadrzędny” narrator.

– **Jako pisarz, Segal staje się medium.**

– W jakimś sensie tak. Bo pewnie nie wszyscy jego rozmówcy mogli opowiedzieć swoją historię sami albo nie potrafiliby tego przekuć w formę artystyczną. Koniecznie trzeba też przy tym podkreślić, że Segal czuł kompleks: nie było go tu, w Polsce, w czasie Holokaustu, kiedy zginęli wszyscy bliscy, znajomi. Zupełnie jakby czuł się winny, że go nie zamordowano.

– **Syndrom ocalonego – wydaje się, że jeśli ktoś przeżył, to świetnie, a faktycznie to musiało być ogromne obciążenie.**

– Tak, stąd chyba to oddanie głosu swoim rodakom, tym kilkudziesięciu świadkom Zagłady z Borysławia i okolic: to też była forma jakiejś rekompensaty. W ten sposób stworzył pod koniec życia biograficzny testament, zapis zbiorowego losu Żydów. Oddaje im hołd, bo czuje, że jest im to winien.

– **W tym sensie kojarzy mi się ta jego książka ze sztuką opowieści. Segal jest opowiadaczem, bo opowiadacz staje w roli świadka – także zdarzeń, w których sam nie uczestniczył. Taka jest jego postawa wobec historii, którą opowiada.**

– Z całą pewnością te świadectwa były tylko opowiadane, a on sobie je spisywał. Dlatego też wiele partii tekstu ma charakter gawędziarski, legendowy. W ogóle widać w książce wielką pasję opowiadania za pomocą określeń typowych raczej dla mowy niż języka oficjalnego. Przez to opowieść staje się bardzo prawdziwa. Nie zawsze jest to czysty realizm; pojawiają się elementy bardzo poetyckie, niektóre zapisane w poetyce onirycznej. To właśnie bardzo mi się podoba: Segal nie zasklepia się w jednej stylistyce od początku do końca powieści, co być może byłoby zresztą niezdopuszczalne przy takiej objętości książki. Kiedy trzeba, daje nam relację niejako od środka: oto siedzimy w wagonie, w którym ludzie jadą na Syberię, zupełnie jakby to była transmisja radiowa. A z drugiej strony – jaka sensualność w opisach natury otaczającej bohaterów! Wokół panoszy się okrucieństwo, a on wciąż docenia piękno natury. Oczywiście, że te jego opisy nigdy nie były puste; czasem pisarze mają takie „gotowce”, ale u Segala wiemy, że każdy taki rozbudowany, poetycki opis jest „po coś”.

– **To prawda: kiedy opisuje las karpacki, to można go poczuć, stanowi przestrzeń bezpieczną, jak dom... Co do tych wątków autotematycznych, w których on dialoguje ze sobą, także w tej przywołanej już rozmowie z końca powieści z pytaniem: „po co pan pisze taką książkę” – miałam poczucie, że on się trochę ze sobą spiera: po co jest pamięć, czy trzeba pamiętać, rozpamiętywać, po co opowiadać te historie i nieść obciążenie dalej?**

– Jest to możliwe, że opadają go wątpliwości już pod koniec życia, tam, w Izraelu, w tej samotni. Czy to trzeba robić? Przecież można się zająć współczesną

obyczajowością, szukać nośnych, publicystycznych tematów, z których może być jakieś pieniądze. Ale jednak to w nim tkwiło, musiał wszystko z siebie wyrzucić. I dobrze, że to zrobił, a najważniejsze, że po latach udało się tekst odzyskać. Tak na marginesie, była jeszcze inna legendarna jego powieść, którą napisał w czasach stalinowskich, zatytułowana *Uchodźcy*, oparta na jego przeżyciach w kołymskich łagrach. Współpracownicy radiowi Segala opowiadają, że on tę powieść przyniósł do Wydawnictwa Śląsk i złożył maszynopis z prośbą o wydanie, a to był bodajże 1954 rok! Oczywiście nie było szans, choć jak twierdzą jego znajomi, wewnętrzne recenzje wydawnicze były znakomite: z entuzjazmem wypowiadał się o niej Jerzy Andrzejewski, a Alfred Szklarski jeszcze kilkadziesiąt lat później twierdził, że to była najlepsza proza Segala. Tę „zakazaną” książkę czytali znajomi Segala w maszynopisie w latach sześćdziesiątych, ale potem zaginęła.

– **Tajemnicza książka *Uchodźcy*... Tytuł znaczący, jak na dzisiejsze czasy.**

– Tak, to prawda, znaczący. Podobnie jak znaczący i aktualny jest tytuł tej, o której dziś rozmawiamy: *Jeszcze żyjemy*. Świetnie, że przygotowało ją Wydawnictwo Austeria, które wznowiło przecież trzy lata temu także debiutancki tom polskojęzyczny Segala z 1956 roku – *Opowiadania z zabitego miasteczka*, a teraz wydaje powieść, która jest ostatnim tekstem prozatorskim Segala napisanym po polsku. Piękna kłamra. Kilkadziesiąt lat, w których pisarz niezmiernie się rozwinął. Tu, w tej ostatniej książce, mamy podsumowanie jego życiowego doświadczenia i oglądu świata, ale także jego niezwykłych umiejętności pisarskich. Cokolwiek jeszcze odkryjemy Segala, już chyba tego nie przebijemy. To jest *clou*.

– **Dotychczas myślałam, że tą powieścią życia jest *Śmierć archiwariusza*, ale tu jest jeszcze więcej doświadczenia, języka...**

– Tak, tamta powieść ładnie podsumowała jego oficjalną bibliografię z PRL-u, ale teraz się okazuje, że potrafił znacznie więcej. Tamta książka już to jednak zapowiadała, przecież ona jest prowadzona w trzech planach czasowych, już w niej widać było zaczątki polifonicznej struktury. Ale jeśli porównamy obie te powieści, nawet objętościowo, to oczywiście *Jeszcze żyjemy* przechyla szalę.

– **Tak, choć zakres czasowy fabuły w *Śmierci archiwariusza* jest jeszcze szerszy.**

– Owszem, w jednym z wątków sięga aż czasu powstania Chmielnickiego. Dlatego chętnie mówię właśnie o „epickim oddechu” Segala. Jego wyobrażenia, rozmach narracyjny, fraza... Przyrównałbym je do stepu, w którym nie widać kresu. Dziś się już tak nie pisze, ewentualnie bardzo rzadko. Tokarczuk się jeszcze odważa.

– **Myśliwski.**

– No i Hen. Wymieniamy jednak kilka nazwisk zaledwie i większość to już osoby starsze, poza Tokarczuk; to jest ta inna szkoła, to jest dziedzictwo pokolenia wielkich epików, dla których powieść oznacza wielowątkowość, wielogłosowość, wielopłaszczyznowość czasową, refleksję historiozoficzną, wielkie plany przestrzenne, a jednocześnie – wyraziste i bardzo przejmujące pojedyncze losy postaci z krwi i kości. I wszystko to jest także u Segala.

– **A przy tym jest jeszcze ten poziom eksperymentu.**

– To jest coś, co w typowej powieści polskiej raczej się nie zdarzało, przynajmniej w takim natężeniu, w obrębie jednego dzieła. *Jeszcze żyjemy* to tylko miejscami tradycyjna opowieść i klasyczna narracja, częściej mamy przeskoki, rwanie wątków i ich powroty, aż wreszcie wybrzmiewa ta symfonia dźwięków. W tej powieści Segal spełnia się całkowicie jako pisarz.

– **Dla mnie jakimś mankamentem, oczywiście wynikającym z kontekstu czasów, w których Segal żył, są postaci kobiece i ich usytuowanie; druga rzecz, to narracja o relacjach izraelsko-arabskich, taka wyższościowa, z elementami orientalizacji, egzotykcji. Rozumiem, że wtedy tak się pisało, myślało, ale zgrzyta mi to, bo ta powieść mogłaby spokojnie być napisana dzisiaj, od strony formalnej jest tak nowoczesna, a w tych momentach nieco trąci myszką.**

– Sposób, w jaki relacjonował relacje izraelsko-arabskie wynika z tego, że pisał to tam, w Izraelu. A to był bardzo gorący czas, niedługo po wojnie sześciopodniowej. Z drugiej strony jedna z postaci żydowskich mówi tam wprost: „może byśmy tak wreszcie oddali kawałek swojego terytorium Arabom, żeby nareszcie był pokój?”.

– **Swoją drogą ta książka daje nam ciekawy wgląd w relacje izraelsko-palestyńskie wówczas, w relacje żydowsko-arabskie i w ten moment kształtowania się państwa i tożsamości. W tym sensie to także jest relacja świadka.**

– Tutaj widać u Segala jego doświadczenie dziennikarza i temperament publicysty. Pracując w redakcji, czytywał wszystkie depesze, siłą rzeczy tym żył. W swoich wcześniejszych powieściach, jeszcze tych napisanych w Polsce, również miał takie fragmenty reporterskie, np. w książce *Nad dziwną rzeką Sambation*⁶. Ale w sumie, w tej książce tak dużo jest tych wymieszanych gatunków prozatorskich, że czytelnik nigdy nie wie, czego się na następnej stronie spodziewać. Nieoczekiwanie przechodzimy np. od romansu do relacji reporterskiej lub na odwrót.

– **Są także fragmenty niczym wprost z dramatu. Nie są wprawdzie tak, od strony formalnej, napisane, ale czyta się je i od razu widzi na scenie.**

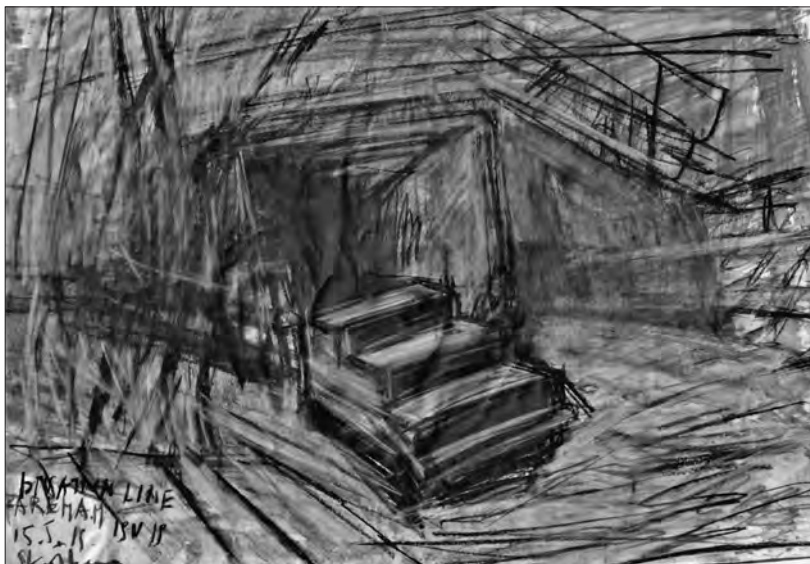
– Tu znów odzywa się jego doświadczenie jako autora słuchowisk radiowych. Robił przecież liczne adaptacje tekstów na takie potrzeby, potrafił dramatyzować prozę, co to w tej książce widać z całą pewnością.

– **Książka gęsta, pojemna i po prostu duża. Na pewno kosztowała pana i cały zespół redakcyjny mnóstwo pracy.**

– To prawda. Po wpisaniu tekstu do komputera okazało się, że to ponad dwadzieścia arkuszy wydawniczych! Potężny tekst, setki nazw własnych z Bliskiego Wschodu, przez Europę aż po kontynent amerykański. Trzeba było gruntownie wszystko sprawdzić, niektóre nazwy przecież się zmieniają, spolszczają, pewne oficjalnie brzmią inaczej, niż wymawia się na co dzień. Ale i satysfakcja z takiej pracy jest potężna. Dzięki temu przeczytałem tę książkę już chyba pięć razy i po-

⁶ K. Segal, *Nad dziwną rzeką Sambation*, Warszawa 1957.

wiem szczerze – za każdym razem odkrywałem jakieś nowe fragmenty, a te, które robiły na mnie wrażenie na początku, nadal wstrząsają. Myślę, że to znamionuje dobrą literaturę i w ogóle dobre dzieło artystyczne: człowiek czyta czy ogląda coś wielokrotnie, za każdym razem nadal przeżywając taki kontakt – inaczej, ale wciąż intensywnie. I tak jest z nową-starą książką Segala. Każda jej lektura powoduje mocniejsze bicie serca i umacnia w zachwycie.



M. Skałbania, *Fareham, Deviation Line*, sucha igła

Philip Rosenau

ELEGIA DLA PANA COGITO

Wierny sobie odszedł od nas w czas letnich upałów
gdy samochody w kłębach spalin wloką się do morza
na północ południe pędzą do wielkich jezior
korki wyjazdy na weekend na tydzień

Z rolą bohatera nigdy nie było mu do twarzy,
barwy oczu, uśmiechu z papierosem w kąciку ust. Umrzeć zimą,
kiedy rtęć po szyję zanurzona w śniegu –
to pozostawił poetom bohaterskich pokoleń;
letni żar bardziej sprzyja zapomnieniu.

Panie Cogito, Mistrzu, wybacz,
jeśli nie podzielałem twojego pragnienia,
żeby zniknąć po cichu, kiedy wszystko kwitnie,
fala odpływa, milkną kroki.
Przecież w pszczołach, kwiatach, źdźbłach trawy
więcej jest mądrości niż we wszystkich książkach,
które piorą rozum do czysta;
motyl na łące nie szuka postępu.

Panie Cogito, proszę, żebyś mi wybaczył,
bo nie pokazałem Tobie moich zapisków,
choć wolałbyś pewnie, aby zostały w spokoju.
Wybacz, bo wiedziałem, i prawie poddałem się twojej woli,
żeby twoją śmierć zachować dla siebie,
ale i dla mnie trudne są letnie rozstania;
kto jeszcze spośród nas, zaszyty w murach bezkresnego miasta,
pozostał, żeby się pożegnać?

Nie osądzaj mnie dziś surowo,
że niczego się nie nauczyłem; nauczyłem się,

choć może i ja chciałem
zyskać troszkę uwagi

i z twoją pomocą pożegnać krainy mojego życia, bo przecież
bez tej słabości, której uczyłeś nas strzec i szanować,
nie dam rady powiedzieć Ci „żegnaj”, a wieczorem,
stając nad ciemnym brzegiem, usłyszeć echo dzwonu,
który przypomina, bym ubrał się stosownie, bo noc nadchodzi.

Pokój Tobie, mój Mistrzu. Na końcu korytarza
zmęczona latarka rzuca cienie naszych twarzy na ścianę.
Pozostaw nam, proszę, jasne instrukcje, a jeżeli można,
strzałkę i wskazówkę: dokąd?

A.D. 1955, ŻYDOWSKI CHŁOPIEC UCZY SIĘ O POLSKIM BOHATERSTWIE

Schylony nad zeszytem, pisze z zapalem
o rycerskich wyczynach, o bitwie pod Grunwaldem,
o Janie Sobieskim „jak wlał Turkom i dumnie
stanął przed Cesarzem”. O! jakie bohaterstwo,
serce śpiewa, stalówka drży; a ręka się podnosi
i rozkazuje: bić! bić! wrogów ojczyzny. Śmiało

dowodzi bitwą, ale z trudem, w bólu.
Kiedy wraca ze szkoły, kamień trafia go w plecy:
„Żydek, morderca Jezusa – do Palestyny!”.

Ale nie będzie się smucił – jest dzieckiem.
Pocieszony przez mamę, znów będzie marzyć
o smoku i dynastii Jagiellonów.

OJCZYŻNA

Ojczyzna to kraj dzieciństwa
Tadeusz Różewicz

Ojczyzna to kraj dzieciństwa. Twojego dzieciństwa.
Miejsce urodzenia. Twojego urodzenia.
Ulica Kolejowa numer 1. Jabłoń.
Podwórce, gdzie odkryłeś Amerykę.
Poziomki spłoszone zaćmieniem słońca.
Miejski staw, „Broń Boże, nie zbliżaj się!”
(Niemcy podobno utopili tam coś strasznego).
Mapka miasteczka na dłoni.

Ojczyzna to kałamarz, podpis mamy.
Nazwy, dopływy wspomnień.
Bałwan z marchewką, tato odmraża pamięć „... a na to
mój tato zawsze mówił...”

Inaczej niż dywan chmur,
ojczyzna jest czymś, czego nie można
usunąć spod twoich stóp, nawet
kiedy echo nie przestaje szczeekać:

Parszywy Żydek: – do Palestyny!

Ojczyzna jest czymś, o czym zapomniałeś z radością, a ona
też nie martwiła się, zapominając o tobie,
aż pewnego zwykłego poranka, po czterdziestu
kilkunastu obrotach Ziemi dookoła Słońca,

odkryłeś ją, poduszkę pod głową.

WIEDEŃSKI WALCZYK

Ktoś zauważył kiedyś mimochodem, że ci, którzy latem 1941 roku weszli do Stanisławowa*, to nie byli byle jacy Niemcy, lecz prawdziwi Austriacy. Jeśli to prawda, jest w tym boska sprawiedliwość, bo przecież podczas pierwszej wojny, kiedy nie znano jeszcze naramiennych tatuaży, mój dziadek był ochotnikiem w cesarskim wojsku i nawet doczekał się rany na włoskim froncie.

Podchwytliwe pytanie: czego u licha szukał galicyjski Żyd we Włoszech? Wycieczki do Rzymu na koszt Cesarza? Dowodu wyższości makaronu nad kluskami?

Na cześć Jego Cesarskiej Mości,
skwapliwie prowadził dom w niemieckim duchu.
Więc jeśli skazany był na śmierć,
zasługiwał, aby podczas akcji w getcie
wyrok wykonał austriacki oficer, rasowy Wiedeńczyk,
a nie jakiś wiejski prostak, którego obarczono
misją godną patrycjusza.

* Stanisławów (obecnie Iwano-Frankowsk, miasto na zachodniej Ukrainie) został założony jako twierdza przez księcia Stanisława Potockiego w roku 1654. W roku 1662 pozwolono tam osiedlić się Żydom. Podczas II wojny światowej Niemcy wymordowali ludność żydowską: z 30 tysięcy Żydów ocalało zaledwie kilkuset.

MADE IN POLAND

Kineret Krakowska i Karmel Poznański biorą ślub.
Ceremonię poprowadzi Rabin Moshe Lubliner
w Domu Radom, ulica Gminy Warszawskiej, Tel Awiw.

O ZDRADZIE

Pomiędzy seriami książek dla młodzieży,
w honorowym miejscu, stoją książki o sławnych

odkrywcach
wodzach
naukowcach.

Dumnie na półce czekają
na oczy głodne wiedzy

o morskich bitwach, wojnach na lądzie,
odkryciach, tajemniczych miastach,

o gwiazdach estrady i boiska,
pisarzach i magikach,
kompozytorach i tenorach.

Pogłębiają wiedzę, poruszają serce.

Ale z nieznanych powodów,
brak jest nie mniej ważnego
tomu o dziejach

sławnych zrad
pomiędzy narodami,

między bliskimi,
w przyjaźni, w miłości.

A jednak, pomimo ich znaczenia
w ogólnym bilansie życia,

są to sprawy przelotne
jak piórko, którym los łaskocze
stopę umarłego.

Ta wielka zdrada się zdarza,
kiedy człowiek odkrywa,
że zdradza go jego własne ciało.

Gdy woreczek żółciowy przecieka,
mózg dezerteruje,

kręgosłup podnosi białą flagę,
a płuca zapadają się z braku tlenu,

gdy wątroba i trzustka błaznują,
a jelito grube nabiera grubiańskich cech,

gdy komory serca żądają okna z widokiem
albo serce obraża się i nie pręży mięśni.

I nie wspominamy o drobnych szykanach,
jakie czekają w zacienionych zasadzkach...

Na widok takich zasadniczych zrad
nawet dyżurny anioł się dziwi.
A gdy witając i przyjmując duszę,
próbuje być grzeczny i miły –

serce jak chuligan bezczelnie pyskuje:
„No, co? Ponownie mnie zatrzymasz?”

Otóż, to są dzieje nieważnych zrad,
istotnych tylko dla ciebie, rodziny, przyjaciół,

i dla twojego psa, który nagle
musi zaadaptować sobie nowego opiekuna.

MYŚLI ZBYTECZNE

Wiara: Nadzieja, która straciła hamulce.

Rzeczy: im mniej potrzebne, tym bardziej niezbędne.

Humanizm: uznać człowieka w innym, nawet jeśli się go nie zna.

Rzeczywistość: pauza między złudzeniami.

AFORYZMY

To, że On wszystko może, jeszcze nie oznacza, że wszystko chce.

Głupi nie gra idioty.

Śniło mi się, że wstał poranek, a czas się nie zbudził.

Bóg widzi wszystko i milczy. Człowiek niczego nie widzi – a gada.

Mieć rację jest bardzo ważne, ale przeżyć – ważniejsze.

Jako źródło łez, cebula jest skuteczniejsza od poezji.

Czas – najokrutniejsza współrzędna.

Poeta powinien być dokładnym, aby nie być jednoznacznym.

Raczej kochamy tych, co się mylą, niż tych, co mają rację.

Zakochani śpią niewygodnie, ale za to bardzo przyjemnie.

Serce kryje wiele rzeczy, których rozum boi się ugościć.

Nowy krok ewolucji: ssak bez kręgosłupa, ale z tytułem profesora.

Tracimy tyle energii buntując się przeciw rodzicom, że nie mamy już sił, żeby oprzeć się dzieciom.

Wszystkie słowa prowadzą do milczenia.

Grabarskie troski: jak dostać list polecający.

Wielkie narody mogą sobie pozwolić na małych przywódców.

Kiedyś nienawidzili nas za to, co my Mu przypuszczalnie uczyniliśmy. Teraz nienawidzą nas, bo On im przypomina, co nam uczynili.

Łatwiej uświęcić ideę niż ją przemyśleć.

Prawda nie podlega głosowaniu.

Kucharz i kurczę różnią się w kwestii różna.

Dajcie mi piękno. Możecie zatrzymać sobie wszystkie głębie.

Idąc do starości, weź na drogę dużo zdrowia.

Matematyka uczy, że sto procent od zera jest nadal zerem, a jeden procent nieskończoności to już nieskończoność.

Nawet gdyby został tylko jeden Żyd na świecie, będą się do niego zwracać: „wy Żydzi...”.

Gdyby go tak nie chwalili, może Bóg popatrzyłby krytyczniej na swój świat.

Wieczność zazdrości chwili tej lekkości.

Ostatnia prośba: w dniu zmartwychwstania nie budźcie mnie za wcześnie.

Beata Tarnowska

PHILIP ROSENAU – MATEMATYK I POETA

Philip Rosenau jest nie tylko znanym izraelskim poetą, autorem kilku tomów napisanych w języku hebrajskim wierszy i aforyzmów, ale także światowej sławy matematykiem, profesorem na uniwersytetach w Nowym Jorku, w Hajfie oraz w Tel Awiwie. Jak mówi o sobie z humorem: „Jestem jak afrykańska zebra: w czasach kolonialnych biała z czarnymi pasami, współcześnie czarna z kilkoma pasami bieli. Taki więc jestem: w przeszłości matematyk z domieszką poezji, obecnie poeta z domieszką matematyki”.

W poezji Rosenaua, która nader często dotyka tematyki historycznej, wielokrotnie pojawia się obraz Polski – jego pierwszej ojczyzny – oraz trudnych nieraz z nią relacji. Z Polską związane były losy rodziny poety¹: dziadek Philipp, urodzony w galicyjskiej Kołomyi przy granicy z Rumunią, założywszy rodzinę, osiadł w Stanisławowie na Pokuciu (obecnie Iwano-Frankowsk na zachodniej Ukrainie). W tym polsko-żydowskim mieście urodził się i ukończył polską szkołę ojciec Saul, późniejszy student uniwersytetu we Lwowie. Matka, pochodząca z Ostrołęki Luba (Ahuva) Leibinger, swojego przyszłego męża poznała w Magnitogorsku na południu Rosji, dokąd wraz z rodziną uciekła podczas wojny. We wrześniu 1945 roku para zawarła związek małżeński i postanowiła, w ramach repatriacji mieszkańców Kresów Wschodnich, osiedlić się na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Po przybyciu do Świebodzic na Dolnym Śląsku, Luba i Saul zamieszkali przy ulicy Kolejowej. Tam, 31 sierpnia 1946 roku, przyszedł na świat ich syn Filip. W rodzinnym mieście uczęszczał do szkoły podstawowej, a w 1957 roku, w wieku jedenastu lat, razem z rodzicami wyjechał z Polski do Izraela.

Po ukończeniu technikum elektronicznego oraz odbyciu trzyletniej służby wojskowej studiował matematykę na uniwersytecie w Tel Awiwie. Obroniwszy rozprawę doktorską, w 1975 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie przez kolejne trzy lata pracował na Uniwersytecie Nowojorskim. Po powrocie do Izraela został zatrudniony na politechnice w Hajfie (Technion, Israel Institute of Technology). Od 1994 roku piastował stanowisko profesora matematyki stosowanej na uniwersytecie w Tel Awiwie, gdzie sprawował również funkcję dziekana Wydziału Matematyki. Największe sukcesy naukowe odniósł w dziedzinie nieliniarnej fizyki matematycznej, zajmującej się rozwijaniem działów matematyki wykorzystywanych w fizyce oraz badaniem matematycznej struktury teorii i hipotez fizycznych.

¹Zob. R. Wietrzyński, *Wybitni mieszkańcy Świebodzic i ludzie związani z miastem*, s. 178–181, [www.miejmiasto.swidnica.pl > uploads > 2015/11](http://www.miejmiasto.swidnica.pl/uploads/2015/11) [dostęp: 19.02.2021].

Fot. Archiwum Ph. Rosenau



Philip Rosenau

Rozgłos przyniosła mu – napisana razem z amerykańskim uczonym Jamesem Mac Hymanem – rozprawa *Compactons. Solutions with finite wavelength* [Kompaktony. Solitony o skończonej długości fali] z 1993 roku. Za osiągnięcia naukowe był wyróżniany międzynarodowymi nagrodami (między innymi w latach 1964, 1972, 1991 i 2003).

Jako poeta Philip Rosenau opublikował następujące tomy wierszy: *Kavha'shever* [Pęknięcie], 1994, 2000; *Sapney ha'shefel. Shirim 1991–2007* [Żeglarze odpływu. Wiersze 1991–2007], 2008; *Lavoreshbon* [Obrachunek], 2010; *Neged kivun ha'shaon*

[Pod prąd zgiełku], 2015; *Mukdam midai hechel lihivot meuchar* [Za wcześniej zrobiło się późno], 2012; *Mar'e me'al geszer hazman* [Widok z mostu czasu], 2019. Za tom *Kav ha'shever* w 1994 roku otrzymał Nagrodę im. Czernichowskiego. Obok poezji, tworzy również aforyzmy, których wydał, jak dotąd, trzy tomy: *Machshavot taunot tipuach* [Myśli na wydaniu], 2001; *Al chuda shelshatika* [Na szpicie milczenia] 2016 oraz *Café KAFKA* [Kawiarnia Kafka], 2017. Jego utwory tłumaczone były na język polski (także w formie autoprzekładów), angielski, francuski i niemiecki. Część aforyzmów i wierszy powstała oryginalnie w języku polskim oraz w języku angielskim.

Ważnym elementem działalności literackiej Philipa Rosenaua jest przekład artystyczny oraz krytyka literacka: na łamach takich izraelskich pism, jak „Yediot Hachronot”, „Davar”, „Mo'oznaim”, „Nativ”, „Mit'am”, „Proza”, „Szebo” czy „Yiton-77”, zamieszczał – obok własnych utworów – przekłady polskiej literatury, recenzje i eseje na tematy literackie (dotyczące między innymi twórczości Zbigniewa Herberta i Stanisława Jerzego Lecca). W 2003 roku, w izraelskim piśmie „Nativ”, opublikował esej *Kama he'arot ishiot al hashira hapolanit haachszavit* [Kilka osobistych uwag na temat współczesnej polskiej poezji], zawierający własne przekłady wierszy Adama Zagajewskiego, Andrzeja Bursy, Tadeusza Różewicza i Jana Twardowskiego.

Kilkukrotnie odwiedzał Polskę: w 2002 roku, a także dwa lata później, był gościem Warszawskiej Jesieni Poezji. Natomiast do rodzinnych Świebodzic zawiązał w 2003 roku, jako bohater filmu dokumentalnego *Historia, matematyka, polski*, w reżyserii Agnieszki Arnold.

Niniejszy wybór utworów Philipa Rosenaua jest pierwszą obszerną prezentacją twórczości tego poety w języku polskim.

Edward Zyman

JESZCZE NIEDAWNO

*Wydaje mi się że szczęśliwie dobiegam do mety
Mam szczytę własnych słów
Półki z książkami
Niecierpliwe biurko
Widok na cmentarz, wygasły krater życia*
Wacław Iwaniuk, *Każdy z nas nosi w sobie zalążki wielkości*

Jeszcze niedawno odwiedzaliśmy Cię w północnej części miasta które nie było dla Ciebie alfą ni omegą w królestwie książek i obrazów byłeś u siebie choć Twoje centrum świata pozostało na jego krańcach w podlubelskiej wsi w wiktoriańskim domku przy 263 Keewatin Avenue w Toronto żyłeś pełnią słowa obchodziło ono wprawdzie niewiele lecz było twoim prawdziwym klejnotem odpornym na pokusy przekupnego świata mówiłeś: *Mój dzień jest dniem przyziemnym. Żyję zwykłym życiem* – w istocie było wprost przeciwnie choć jak każdy z nas tkwiłeś w zgrzebnej powszedniości tworzyłeś światy nowe opierając się skutecznie ciemnej ręce losu żyłeś po wielokroć a my nieliczni podążając Twoim śladem doświadczaaliśmy łaski zapomnienia tak łaski bo z dala od jarmarku świata mogliśmy pić samotność z najczystszej źródła towarzyszyły nam słowa wydane na żer starego jak świat rzemiosła wygnania czy można chcieć więcej? szczodrość losu doceniliśmy

po latach gdy złudzenia pierzchły jak stado
przestraszonych wróbli w ścisłym przymierzu
z nagim ostrzem faktów życie jak zwykle
przeszło obok nas jego wygasły krater
śle zaproszenia coraz natarczywiej
a my jak Ty przed laty
pielęgnowujemy szczyptę
własnych słów
odkurzamy półki z książkami
i niecierpliwe biurka
przy których niebawem
ustąpimy miejsca

VIII, 2018

STAROŚĆ

*To nam, istotom śmiertelnym,
Niekiedy zdaje się, że bez nas,
Krzążących się wokół życia,
Świata nie może się nic udać.*

Erwin Kruk

Cechą starości jest trwać nawet niezbyt pięknie
mieścić się w kapryśnych regułach życia coraz
bardziej oszczędnych w smakowaniu jego licznych
darów długich podróży wyszukanych dań smukłych
sylwetek napierającej młodości licznych zaniechań
ambitnych planów które bezwstydnie obnażają
swoją nieistotność Trwać czyli być choćby na przekór
złowieszczych doniesień organów centralnych serca
płuc i mózgu wątroby nerek krzyża który z każdym dniem
staje się coraz bardziej krzyżem pańskim stawów
nie do przebycia drwiących bezlitośnie z podstawowych
potrzeb osuwania coraz mniej przyjaznej przestrzeni
nie tej odległej dostępnej wyobraźni lecz będącej
obok stawiającej opór nieposłusznym stopom tkwić
łapczywie w kręgu oswojonych zdarzeń wśród bliskich
pejzaży widzianych zza okna smukłej sosny śliwy

i jabłoni soczystej trawy palety kwiatów przyciągających
świergotliwe ptactwo Być czyli z rozważą korzystać z przezornie
kiedyś zgromadzonych zapasów złudzeń i nadziei

SAMOTNOŚĆ

Najszybciej umierają umarli wychodzą
z naszego życia bez pożegnania jakby szli
na spacer zakupy do kina lub teatru
znikają także z naszych snów choć wcześniej
pojawiali się w nich częściej niż byśmy sobie
tego życzyli opuszczają pamięć która z każdym dniem
staje się coraz mniej szczelna gubi fakty
i zdarzenia gromadząc bez sensu błyskotki
bieżącej chwili czasami wyślą krótki mail
nic nieznaczący sygnał jakby chcieli sprawić wrażenie
że są obok na wyciągnięcie ręki i że wszystko
jest jak dawniej ale nie jest zwłaszcza że ich śladem
zmierza coraz więcej żywych niby się krzątają mówią
nieustannie śpieszą nawiązują nowe znajomości
lecz niepostrzeżenie znikają z naszego życia
ich telefony milczą głucho poczta zwraca listy
z adnotacją adresat nieznanymi ich kartki świąteczne
chichoczą w szufladach choć wokół tłumy
jedynym naszym prawdziwym przyjacielem
staje się samotność ona niezmiennie jest z nami
w każdej chwili gotowa nas wesprzeć podać rękę
gdybyśmy zechcieli sprawdzić co się kryje z tamtej
chwilowo jeszcze niewidocznej
strony

Edward Zyman

Renata Jabłońska

ULICA KRZYWA

– Panienko – zwraca się do mnie stary człowiek z laską.

Patrzę na niego. Tak się zwracano do nastolatki przed laty. A ja właśnie skończyłam trzydzieści lat.

– Czy może mi panienka pokazać, gdzie jest ulica Krzywa? Szukam i szukam, i nie mogę znaleźć. Oczy już nie te...

– Proszę ze mną, pokażę panu.

Idę dość wolno, stary człowiek pół kroku za mną. Słyszę postukiwanie laski. Dochodzimy do ulicy Kręconej. Jest zdradliwa, ale wiem, jak ją ominąć.

– Proszę się mnie trzymać, bo tu się można zgubić.

Idziemy dalej. Zbliżamy się do przecznicy. Widzę nazwę – Piwna. „To już w mojej dzielnicy! Jeszcze dwie przecznice i będzie Ogrodowa”.

Odwracam głowę, chcę powiedzieć staruszkowi, że się zbliżamy, bo pamiętam, że Krzywa jest za Ogrodową. Ale nikogo za mną nie ma. „Jak mógł tak nagle zniknąć?”.

Słyszę szum, jakby ptasich skrzydeł. Unoszę głowę. Staruszek wisi w powietrzu w pozycji stojącej. Laska obok niego. Macha mi ręką i kładąc się na małej chmurce, odpływa i znika. A laska podskakuje, przybiera pozycję horyzontalną, i wyraźnie wskazuje mi drogę naprzód. Nagle uprzytamniam sobie, że nie mam mojej walizki. Pewnie ją zostawiłam tam, gdzie mnie zagadnął staruszek. Szkoda.

Idę i idę, laska płynie nade mną. Już dawno powinna by przecznica – ulica Pszenna, potem Zielona i potem Ogrodowa. Rozglądam się niespokojnie. Laska zaczyna tańczyć nad moją głową. Wisi teraz niżej i aż się obawiam, że mnie uderzy. Ale ona unosi się trochę wyżej i pogania mnie po prostu. Przyspieszam. Dziwię się, że znana mi ulica Piwna jest taka długa. Lecz nagle widzę przecznicę – Krzywa. „Jak to może być, przecież powinna być za Ogrodową!”. Laska znów tańczy mi nad głową. I słyszę chichot.

– Idziemy z przeciwnej strony!

Laska płynie teraz przede mną, dość nisko. Już ledwo ruszam nogami. Laska opada jeszcze niżej i wskazuje kolejną przecznicę. To moja Ogrodowa! Numer dwa, tuż przy rogu. Cztery schodki przed wejściowymi drzwiami. Bez poręczy. Chwieję się już na pierwszym. Laska podsuwa się

pod moją dłoń! W kieszeni znajduję klucz. Otwieram ciężkie drzwi. Chcę podziękować lasce, lecz ona po prostu znika...

Mieszkanie trzy. Na drzwiach tabliczka z moim nazwiskiem. W drugiej kieszeni portfel i klucz. Otwieram i wchodzę do przedpokoju. Zapalam światło. Na podłodze stoi moja walizka! Nad szafką na obuwie lustro. Od-bija się w nim wieszak na płaszcze. Zbliżam się. Z lustra patrzy na mnie siedemdziesięcioletnia chyba kobieta, bardzo do mnie podobna. Ale przecież dopiero co miałam trzydzieści lat? Spoglądam na walizkę. Na nalepki z numerami i nazwami linii lotniczych. Na blacie szafki gruba warstwa kurzu. „Więc tak długo tutaj nie byłam?”

CERAMIKA

W wynajętym w obcym mieście mieszkaniu podłoga w kuchni jest wyłożona ceramicznymi beżowo-kremowymi płytkami. W łazience też. To stary dom z małymi półokrągłymi balkonami. Tak jak u koleżanki w moim mieście. I u niej też jest podobna ceramiczna podłoga w łazience.

Parę dni po wprowadzeniu się do tego mieszkania, gdy jem posiłek przy kuchennym stole, zauważam, że jedna z płytek przy drzwiach wystaje i grozi potknięciem. Przedtem tego nie zauważyłam. Szczęście, że nie upadłam.

– Nie chcę, żebyś upadła. Uniosłem brzegi, żeby cię ostrzec przed takimi przeszkodami. Jesteś nieuważna, a w tym mieście trzeba bardzo uważać, bardziej niż w twoim rodzinnym.

Nie rozumiem, kto mówi. Głos wydobywa się ze szpary pod nieco uniesioną płytką. Odważam się spytać.

– Kim pan jest?

– Twoim doradcą. I to ci powinno wystarczyć.

Cisza. Tylko szum elektrycznego czajnika. Widzę, że płytka już nie wystaje. Gdy wychodzę z kuchni, stąпам obok drzwi bokiem, żeby obejść tę przedziwną płytkę.

Miasto jest bardzo ruchliwe. Dużo przechodniów, samochodów, autobusów, motocykli. Ludzie jacyś smutni, ponurzy.

Czekam na zmianę światła, chcę przejść przez jezdnię. Dziwnie długo to trwa, lecz wreszcie światło zmienia się na zielone. Ludzie spieszą się, przepychają. Idę jak mogę najprędzej, ale jednak jestem jeszcze na jezdni, gdy światła się zmieniają. Ktoś chwytą mnie za rękę i wciąga na chodnik. To policjant. Dziękuję mu i chcę iść dalej.

- Przedtem proszę zapłacić karę.
- Za co?
- Była pani na jezdni przy czerwonym świetle.
- Światła się tak szybko zmieniają. Ludzie się pchali. Samochody stały tuż przy przejściu... Przecież nie mogłam pofrunąć!
- Obraża pani mieszkańców tego miasta! Oni potrafią iść szybko, a pani się nie spieszyła. Zapłaci pani teraz czy mam dać mandat?
- Mandat proszę.
- Widzę tłum ludzi biegnący przez jezdnię. Jakiś starszy człowiek nie zdąży wejść na chodnik i natychmiast podbiega do niego policjant. Wypisuje mandat.
- Co z tym starszym panem tam obok, przecież on nie może iść tak szybko.
- To jakiś obcy. Nasi seniorzy nie kręcą się po mieście przed południem.
- Policjant prosi o mój dowód osobisty. Coś zapisuje.
- Pani też nie jest mieszkanką naszego miasta...
- Teraz jestem. Wynajęłam mieszkanie i będę pracować w miejskim urzędzie planowania.
- Ach, tak – mówi i daje mi mój dowód, i mandat.
- Idę i po kilku krokach widzę budynek Rady Miejskiej. Szerokie drzwi są otwarte, za nimi stoi mężczyzna w szarym uniformie.
- Pani do jakiego działu?
- Planowania.
- Proszę o dowód.
- Podaję mu go, a on naciska jakiś guzik, wymienia moje nazwisko.
- Proszę wjechać na trzecie piętro. Pokój 36, ostatni na prawo. – Oddaje mi dowód.
- Wychodzę z windy. Długi korytarz, za oszklonymi drzwiami pokoje, w których siedzą przy biurkach nieruchome postaci urzędniczek i urzędników. Wyglądają jak z wosku. Dziwię się, odczuwam niepokój. Dochodzę do pokoju numer 36. Widzę za szybą siedzącego przy biurku mężczyznę w czarnej koszuli i szarej marynarce. Naciśnięciem guzika na ścianie otwiera mi drzwi.
- Proszę siadać. Przyszła pani punktualnie, to dobrze. Nie tolerujemy spóźnień. – Patrzy na ekran komputera.
- Planowała pani głównie komunikację autobusową. To będzie pani zajęcie także u nas.
- Trudno wsiąść do autobusu tutaj. Duży tłok – mówię, pewna, że to stanowi problem, który chcą rozwiązać.

Ciągle patrzy na ekran komputera.

– Przywiązuje pani zbyt dużą wagę do wygody pasażerów. U nas będzie się pani musiała nauczyć szacunku dla funkcjonalności, nie dla wygody.

– Nie rozumiem...

– Chodzi o pojemność, o to, żeby jak najwięcej ludzi mieściło się w autobusach.

– To znaczy, żeby było więcej miejsc siedzących?

– Nie, to niemożliwe, siedzące zajmują za dużo miejsca. Proszę się zastanowić, jak zwiększyć pojemność w autobusach. Jutro o ósmej zgłosi się pani w pokoju 25. Kierownik działu pokaże pani biurko. Do widzenia. – Naciska guzik, drzwi się otwierają. Wychodzę, nie odpowiadając.

Winda podskakuje i zjeżdża.

– Proszę pani – facet na dole zatrzymuje mnie – pokażę pani, gdzie pani ma potwierdzić godzinę przybycia do pracy. – Wskazuje miejsce na ścianie, gdzie wisi tarcza zegara, bez ramy, i dużo czerwonych numerów. Nic nie mówię, po prostu wychodzę. Postanawiam iść pieszo. To tylko cztery przystanki. Mijam nowe, brzydkie pudła czteropiętrowych domów, bez balkonów. Na ulicach dużo ludzi. Widzę teraz, że nie ma pośród nich starych ani młodych poniżej dwudziestu paru lat. Są podobnie ubrani, na szaro lub czarno. Nie widać niczego barwnego. Wystawy nielicznych sklepów też są pozbawione barw. Tylu ludzi biega przed południem po mieście – nie pracują? Czuję, że chcę krzyżeć: Co to za miasto?!

W pobliżu ulicy, gdzie mieszkam, muszę przejść przez jezdnię. Widzę dużo ludzi czekających na zmianę świateł, potem przepychających się i w biegu docierających na drugą stronę. Podchodzę do skraju chodnika. Po chwili zbierają się inni przechodnie. Światło zmienia się na zielone, a ja wyskakuję prawie pierwsza na jezdnię. Biegnę i stawiam stopę na chodniku po drugiej stronie w chwili zmiany świateł.

Wchodzę do mieszkania. W kącie pokoju stoi moja walizka. Idę do kuchni, siadam przy stole, zaciskam dłonie i krzyżeć: „Co to za miasto?!”. Nie wiem, jak je w ogóle wybrałam? Dlaczego wyjechałam? Obraziłam się, czułam się tak bardzo dotknięta? Walę w stół pięściami: „Przecież moje miasto jest duże, mogłam się przenieść do innej dzielnicy, a nie uciekać w nieznane...”

– Bravo! – głos wydobywa się ze szczelin wokół płytki, jak wcześniej.

– Trzeba podjąć decyzję. Odwagi!

Dławią mnie łzy. Opuszczam głowę i... czuję, że się zapadam...

Siedzę w pociągu. W przedziale tylko jeden młody pasażer. Słyszę zachrypnięty głos z megafonu: „Zbliżamy się do dworca...”. Wymienia nazwę mojego miasta! Młody pasażer zdejmuje z półki plecak, mówi „Do widzenia” i wychodzi. Moja walizka stoi pod oknem. Chwytam ją i szybko idę w stronę wyjścia.

OBRAZ

Nigdy się nie spodziewałam, że zawieszę ten obraz w moim mieszkaniu. W ciągu wielu lat należał do Aliny, mojej mieszkającej w Paryżu przyjaciółki.

Po raz pierwszy przyjechałam do niej wiosną. Było wspaniale oglądać miasto w słońcu i w ciepłe wieczory posiedzieć w kawiarni. Alina opowiedziała mi, że poznała ciekawą malarzkę, Annę Kaczanowską, tworzącą w stylu naiwnym. Zdążyła wyjechać z Warszawy do Paryża tuż przed zajęciem Polski przez faszystowskie, niemieckie wojsko. Pokazała mi dwa obrazy tej malarki, na ścianie w sypialni. Na przeciwległej wisiąły trzy Nikify.

Ktoregoś wieczoru Alina powiedziała, że jesteśmy zaproszone do pani Anny. Nazajutrz pojechałyśmy metrem do odległej dzielnicy. W drodze Alina opowiadała.

– Anna była przed wojną modelką paru znanych malarzy. Zarabiała tym na opłacenie studiów. Przyglądała się ich pracy.

Spytałam, kiedy zaczęła malować.

– Dopiero w Paryżu, po ucieczce z Polski. Na początku sprzedawała swoje barwne niewielkie obrazki w sklepie z podobnymi malunkami i z tanimi wyrobami – posążkami, wazonami, kilimami. Utrzymywała się z tego z trudem.

– Teraz też tak zarabia na życie?

– Częściowo tak, ale ma już od kilku lat odbiorców, którzy zamawiają u niej większe i czasem ciekawsze obrazy, i nieźle za nie płacą.

– Jak ich znalazła?

Pewnego razu właściciel tego małego sklepu spytał, czy ona może namalować duży obraz, bo ma zamówienie na taki i że ma na nim być ulica i dużo drzew. Zgodziła się natychmiast i spytała, ile na tym zarobi. „Jeśli obraz się spodoba, postaram się, żeby to była dobra zapłata”.

Poszła na znaną sobie ulicę, gdzie domy są na ogół osiemnastowieczne, a stare drzewa kładą cienie na chodnik. Wybrała popołudniową porę, gdy łagodne światło nadaje miejscu ciepłą atmosferę. Malowała, aż zapadł zmrok. W swoim pokoju oparła obraz o ścianę i długo mu się przyglądała.

Odczuła wzruszenie i pomyślała, że zacznie malować to, co ją będzie pociągać, nawet jeśli nie sprzeda tych obrazów.

Zapukałyśmy do drzwi, które pani Kaczanowska natychmiast otworzyła. To była piękna kobieta, choć już niemłoda. Na ścianach wisiało parę dużych obrazów. Patrzyłam na nie.

– Potem pooglądamy obrazy, teraz proszę siadać.

Na stole czekało ciasto, owoce. Alina położyła obok pięknie zapakowaną bombonierkę.

– Dziękuję, ale po co takie luksusy, Alinko? Można kupić o wiele taniej na wagę – uśmiechnęła się – ale pani mi zawsze przynosi coś drogiego.

Zdjęła opakowanie i uniosła wieko. Zapachniało dobrą czekoladą.

– Myślę, że ciasto mi się udało. Co pani pije – zwróciła się do mnie – kawę czy herbatę?

Po podwieczorku zwróciła się do Aliny:

– Czy pamięta pani ten zaczęty obraz, który panią tak zaciekawił? Skończyłam go. Zaraz paniom pokażę.

Sięgnęła za szafę, wyjęła zawinięty płótnem obraz. Odwinęła i umieściła go na sztalugach. Z okna padało jasne jeszcze światło.

– To piękne! Wspaniały obraz! – Alina objęła panią Annę.

Patrzyłam na dużego pawia stojącego na głowie młodego mężczyzny, pokazanego do połowy nagich ramion. Wszystko w przytłumionym odcieniu szarości i bardzo jasnej terakoty. Niezwykły, piękny obraz. Głowa pawia z profilu, a jego oko spoglądało na mnie z zadumą.

– To piękny obraz, gratuluję! – odważyłam się powiedzieć, a malarka pocałowała mnie w policzek.

– Zaczęłam już od jutra szukać galerii, która zechce wystawić pani obrazy! – Alina miała zdecydowany wyraz twarzy, dobrze mi znany z naszych studenckich lat.

Nazajutrz zaczęła dzwonić do różnych galerii i jedna, na Saint Germain, wyraziła chęć obejrzenia obrazów Anny.

– Na Saint Germain to przecież wspaniale! Oby się udało!

Zatelefonowała do malarki:

– Proszę wybrać najlepsze pani płótna już jutro. Pojutrze je zabiorę do galerii.

Pojechałyśmy do pani Anny przed południem. Obrazy stały pod ścianą, ciasno jeden obok drugiego. Były różne – pastele, olejne. Wszystkie ciekawe. Niektóre rzeczywiście wyraźnie naiwne, ale bardzo ładne. Królował paw.

– Proszę się nie denerwować, jeśli nie przyjmą – powiedziała malarzka z uśmiechem.

Przyjęli! Pani Anna zaprosiła nas na obiad. Alina kupiła wino, lody. W małym mieszkaniu malarki pachniało dobrymi potrawami. Obiad był pyszny. Piłyśmy sporo wina i byliśmy wesołe. Alina snuła plany dalszego propagowania twórczości Anny.

– Alinko, proszę przyhamować... Tak bardzo jestem pani wdzięczna za tę wystawę! A co będzie dalej? Będę malować i zobaczymy. Proszę nie tracić na mnie zbyt wiele czasu.

Zbliżał się termin mojego wyjazdu. Dwa dni wcześniej byliśmy z Alinką w galerii. Mieli już wydrukowane zaproszenia na otwarcie za tydzień. Paw królował na lśniącym kartonie. Co prawda nie kolorowy, ale jednak zdjęcie obrazu było imponujące. Alina próbowała namówić mnie, żebym przedłużyła pobyt, lecz nie mogłam sobie na to pozwolić z powodu zobowiązań w pracy. Dostałam na pamiątkę zaproszenie z galerii.

Alinka kupiła różne dobre potrawy w garmażerii i pojechaliśmy do pani Anny, żeby jej przekazać zaproszenie i żebym się z nią pożegnała. Kupiłam bukiet młodych peonii.

Malarka była wzruszona i żałowała, że muszę wyjechać.

– Przyjedzie pani do nas za jakiś czas?

– Mam nadzieję. Może zimą. Tęsknię za śniegiem.

Tym razem pojechaliśmy do domu taksówką. Alina wyjęła ze swojej torby na zakupy złożony arkusz papieru. Przeczytała i znów sięgnęła do torby. Wyjęła płaską paczkę i podała mi ją. Odpakowałam i zobaczyłam śliczny pastel – okrągły niewielki plac, dwupiętrowe domy naokoło i dużo drzew. Oprawa szarawa, bardzo delikatna.

– Anna pisze, że to mały dowód sympatii do Ciebie i podziękowanie za uczestnictwo w sprawach galerii. I życzy Ci dobrej podróży.

Byłam wzruszona.

– Nie zadzwonię teraz, nie chcę jej przeszkadzać, napiszę list, który jej przekażesz, dobrze?

Wróciłam do domu nad ranem. Wyjęłam z walizki pastel Anny i zawiesiłam na miejscu, o którym pomyślałam od razu, gdy go zobaczyłam. Poszłam do pracy. Wieczorem nadszedł mail od Alinki: „Anna szykuje się na otwarcie. Odświeżyła swoją czarną suknię. Będzie w niej pięknie wyglądać, z tym siwym kokiem” – napisała.

W przeddzień otwarcia pisałam maila do Alinki, żeby kupiła bukiecik wiosennych kwiatów i dała Annie ode mnie. Zanim skończyłam,

zadzwoił telefon. Alina, płacząc, powiedziała, że Anna nie żyje... Dostała w nocy zawału serca. Konsjerżka pukała i pukała do drzwi, bo listonosz przekazał list polecony, ale Anna nie odpowiadała. Konsjerżka zadzwoniła na policję. Otworzyli drzwi. Anna leżała na podłodze obok łóżka. Wezwali pogotowie. Stwierdzono zgon przed paroma godzinami”.

– Jaka okropna złośliwość losu! – Mnie też dławiliły lzy.

Często patrzyłam na zaproszenie z pawiem i było mi bardzo smutno. Alina napisała, że obrazy Anny zostały przyjęte do Muzeum Sztuki Nowej. Anna, która już dawniej dała Alinie parę obrazów, napisała, jak się okazało, list do galerii, że obraz z pawiem należy do Aliny.

W sierpniu Alina przyjechała do mnie na tydzień.

– Nie mogę wziąć dłuższego urlopu, bo moi pacjenci są bez mnie bezradni.

We wrześniu pojechałam do niej na 10 dni. Szybko mijały lata. Widywałyśmy się co najmniej raz do roku. Marcowego pochmurnego dnia telefon od Aliny: „Jestem chora... Wykryli u mnie raka piersi. Trzeba operować. Prawdopodobnie będę musiała przejść chemioterapię”.

– Alinko, czy chcesz żebym przyjechała?

– Kochana moja, dziękuję! Może gdy będę po leczeniu. To by miało sens, to by mi pomogło.

Telefonowałam prawie codziennie. Alina była słaba i zmęczona, ale dzielnie znosiła chemioterapię.

Pewnego dnia nie odpowiadała na telefon. Byłam zalekniona. Nazajutrz rano telefonowałam nawet z pracy – cisza. Gdy wróciłam do domu zadzwonił telefon.

– Jestem w szpitalu. Musieli przerwać chemię, bo jest bardzo zły obraz krwi. Leczą mnie, dostaję różne infuzje. Mam tu telefon, zapisz numer.

Znów spytałam, czy przyjechać.

–Nie, może jak mnie wypuszczą ze szpitala, jeśli będziesz mogła.

Bojąc się obudzić Alinę lub w czymś przeszkodzić, telefonowałam około południa.

– Moja kochana, tak bym chciała jeszcze trochę pożyć... – powiedziała. I to była nasza ostatnia rozmowa. Alina umarła w nocy.

Bardzo ciężko to przeżyłam. Nie mogłam sobie darować, że nie pojechałam do niej. Na pogrzeb też nie pojechałam, bo nazajutrz po jej śmierci zламаłam nogę.

Minęło dziewięć lat od śmierci Alinki, gdy któregoś dnia przed wieczorem zadzwonił telefon i odezwał się nieznany mi głos. – Mówi Adam

Reis. Jestem kuzynem Alinki. Już długo Pani szukam. Czy możemy się spotkać? Może w kawiarni? Byłam tak zaskoczona, że z trudem odpowiedziałam. – A może pan przyjść do mnie? Mieszkam w śródmieściu. W kawiarni dość trudno rozmawiać. Mam miejsce do zaparkowania, jeżeli przyjedzie pan samochodem. Trzy dni później zadzwonił punktualnie do drzwi. Zobaczyłam niewysokiego, siwiejącego mężczyznę. Mocno uściśnął mi dłoń. Poprosiłam, żeby usiadł. Spytałam, czego się napije.

– Gdy Alinka zachorowała, byłem akurat wysłany na półroczne dokształcanie do Stanów. Brat mnie zawiadomił o jej chorobie. On mieszka teraz w Australii. Żaden z nas nie przypuszczał, że to tak poważna choroba.

– Niestety, leczenie może było zbyt drastyczne.

– Wie pani, zwrócił się do nas adwokat z Paryża, w sprawie spadku po Alince. Byliśmy jedynymi spadkobiercami. Jej były mąż nie miał żadnych szans, bo gdy się rozwiedli, Alinka zwróciła mu jego wkład w kupno mieszkania. I na szczęście dostała dokument stwierdzający, że on już nie ma żadnych roszczeń.

– A miał?

– Nic, w ogóle się nie zgłosił.

Pojechałem na miesiąc do Paryża, żeby się wszystkim zająć. Pani przecież bywała u Alinki i wie pani, jakie tam były piękne meble, obrazy...

Kiwnęłam głową.

– Brat dał mi upoważnienie i mogłem rozporządzać wszystkim.

– A co pan zrobił z książkami?

– Te polskie wziął Instytut Polski w Paryżu, a francuskie biblioteka miejska.

I wie pani, w jednej z szuflad biurka znalazłem pani listy do Alinki. Pozwoliłem sobie jeden, chyba ostatni, przeczytać. To był smutny list o śmierci malarki Anny Kaczanowskiej. I o obrazie z pawiem. Zobaczyłem go wcześniej na ścianie w sypialni Alinki. Dziwny. Pięknie oprawiony.

– Co pan z nim zrobił? – Byłam zdziwiona jego słowami o obrazie.

– Podzieliliśmy się z bratem obrazami i paw przypadł mnie. Przywiozłem go do domu, ale żona się go bała... Więc wisi w moim pokoju. Przesłałem też do mego domu piękne biurko Alinki, okrągły stylowy stolik i szafkę. Resztę mebli sprzedałem. Znalazłem też ładną biżuterię. To dla mojej i brata żony.

Westchnął.

– Czy Alinka nigdy nie mówiła pani o nas?

– Wspominała panów, ale mówiła, że kontakt jest luźny...

– Była między nami duża różnica wieku... Ale ja ją zawsze lubiłem.

– Proszę mi opowiedzieć o życiu Alinki, o waszych studiach.

Po ponad godzinie Adam pożegnał się, pytając, czy może znów zadzwonić.

Minął zaledwie tydzień i zadzwonił. Powiedział, że chce na krótko do mnie wpaść, że chce mi przynieść moje listy do Aliny.

Przyszedł. Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że niesie coś dużego. Oparł to o ścianę. Poprosił o nożyczki. Przeciął sznurek, zdjął papier.

– Był u mnie dziewięć lat. Teraz będzie u pani. Uważam, że to się pani należy.

Patrzę na obraz. Na głowie młodego mężczyzny stoi paw, a jego prawe oko spogląda na mnie z zadumą.

Renata Jabłońska



M. Skalbani, *A Small Anatomy of a Capital A*, kolaż

Marta Tomczyk-Maryon

NASZE DZIECI

zwierzęta nie krzywdzą swoich młodych
a my?

nasze dzieci:
bite – niszczone – używane
sinieją od słów i dotyku
stają się coraz mniejsze
aż w końcu znikają w ciemności

WIELKA CISZA

kiedy w końcu spalimy Ziemię
usiądziemy na zimnym popiele
w wielkiej ciszy

żadnego ptaka
ani źdźbła trawy już nie będzie
wiernego psa
i kota do pogłaskania

wtedy pierwszy raz poczujemy samotność

jednak nie będziemy mogli zapłakać
bo łzy zostaną nam odjęte
na zawsze

(Oslo, 10.01.20)

MOST

między nami a nimi
utkany ze splecionych włosów i starych siatek na zakupy

M

O

S

T

kołysz się lekko przy ostatnim oddechu
tych którzy przechodzą na ich stronę

POWRÓT Z POGRZEBU

dzień topniał w kostkach lodu
whisky prowadziła jak hoża panna
nie rozmawialiśmy już o pogrzebie
to co zdarzyło się tego życia
pozostało za kamienną bramą
z każdym łykiem
zapadaliśmy głębiej i mocniej

nie umieliśmy cię zatrzymać
bo po pierwsze – nie staraliśmy się
po drugie – byliśmy zajęci własnymi sprawami
a po trzecie – każdy ma swoje własne umieranie –
gładką rynnę po której toczy się ołowiana kulka

(13.04.2016)

BUT MARKI FRANCO MARTINI I PRZEMYŚLENIA Z NIM ZWIĄZANE

znaleziony na plaży damski but marki Franco Martini
nasuwa myśl o nodze która go nosiła
a także o pozostałej części
czyli kobiecie

jak wyglądała?
była anemiczną blondynką?
ognistą brunetką z dużym biustem?

i w jakich okolicznościach utraciła but?
czy było to zabójstwo na tle romansowym
szampan/pocałunek/zazdrość/jedwabny szal/księżyc/lódź
a może trywialne znudzenie
nie kochankiem)/kochanką
lecz samym butem
który pewnego dnia okazał się tak dalece zbędny
że trafił do kosza przy plaży

cokolwiek to było
nie daje mi spokoju
dręczy wyobraźnię
która nie może uwolnić się od niebezpiecznych pragnień
tworzenia cudzych historii

NIEBOGŁOS

prosto w górę
wystrzał
kilka słów
jakiś pytanie

nie nazwałabym tego modlitwą
to rakietą

pytasz co się dzieje gdy kończy się paliwo
właśnie wtedy spada niebogłos świetlisty

wilgotna ziemia
mgła
przed-świt lasu
droga jak urwana nitka
pulsowanie samotności
szans które już nigdy...

TRANSFUZJA

oddaję ci moją krew
– tak mówi matka
przekazuję ci moje leki i wszystkie noże które we mnie wbijano
teraz jesteś moja
tak bardzo moja że nawet kroku nie zrobisz sama

chcę się narodzić
choćby ceną za to była śmierć
– tak mówię ja

MY WSZYSCY Z AUSCHWITZ

dziadek był w Auschwitz

moja matka urodziła się jak wrócił z obozu
miała we krwi leki które na nim testowali
wszystkie kości połamane
a w miejscu serca pisklaka który wypadł z gniazda

potem urodziłam się ja
ze srebrnym zatrzaskiem w głowie

następnie przyszedł na świat mój syn
nie rozmawiałam z nim o obozie
ale wiem że nie chce mieć dzieci

MODLITWA

kobieta ciągnąca misterną konstrukcję:
jedna klatka z kotem
druga klatka z kotem
plastyczny pojemnik z jedzeniem
wsiada do autobusu i zaczyna rozmowę z powietrzem

od jak dawna nikt jej nie słucha?
nie patrzy na nią
nie dzwoni
co u ciebie Torun?
jak się masz Alice?
dobrze spałaś Ewo?

i dlatego modłę się za ciebie Torun
modłę się za ciebie Alice
modłę się za was wszystkie
zapomniane przez ludzi
żeby przypomnieć Bogu
że ma was bardzo mocno kochać

KTOŚ

niesie prezent
ktoś jest w nowych butach
ktoś się uśmiecha
ktoś płynie gładkim morzem
ktoś się pożegnał z czymś lub kimś
ktoś ma oczy jak szklane paciorki
ktoś jest wywrócony na drugą stronę
ktoś jest znoszony
ktoś jest wynoszony

ale tam na końcu peronu znowu siedzi
ktoś w nowych butach
i patrzy
na szczęście

KIM BYŁ TADEÁŠ BIRON?

Tłumacząc wiersze Jiříego Červenki¹, natknąłem się na utwory jego przyjaciela. Mowa o Františku Kouřilu (1943–2013), piszącym pod pseudonimem Tadeáš Biron. Takie nazwisko widnieje na okładce jego jedynej książki pt. *Neviditelné slunce* (*Niewidoczne słońce*). Do jej wydania doszło, dzięki staraniom Červenki, w Ústí nad Orlicí w 1998 roku. To z niej pochodzą przetłumaczone utwory. Tom nie spotkał się z zainteresowaniem środowiska poetyckiego. Biron odczuł to dotkliwie i sporą część nakładu wrzucił do starej studni w swoim ogrodzie. Wiem o tym z opowieści Červenki². Podczas rozmowy wspominał o ich wspólnej młodości. Pokazywał mi fotografię (z roku 1963), na którym obaj dwudziestolatkiem widnieją w roboczych uniformach pracowników rolnych. Potem przez wiele lat pracowali razem jako robotnicy leśni. Jak wspominał Červenka, Biron miał zawsze w kieszeni jakiś tomik poezji, który w przerwach czytał. Gdy widzę oczami wyobraźni młodość tych ludzi, przypominają mi się przyjaźń i wędrówki Edwarda Stachury i Witka Róžańskiego, przypominają się Cała Jaskrawość.

Karol Maliszewski

¹ Zbiór jego wierszy pt. *Teoria przekładu* ukazał się w Opolu w roku 2016. Parę lat wcześniej wyszły w Czechach moje, przetłumaczone przez Červenkę, wiersze w tomiku *Rok na cestě*. Ukoronowaniem przyjaźni i współpracy stała się nasza wspólna (polsko-czeska) książka pt. *Na obou stranách / Po obu stranach* (Zblou 2015).

² Potwierdza to też w swoim artykule Martin Stöhr i dodaje „Pozostaje tylko odgadnąć podstawowe informacje o poccie na podstawie tego, co ujawnia w wersach: młodość spędził w Příbore, mieszka w Kralupach nad Vltavou, gdzie pracował w Kaučuku, teraz jest zatrudniony w miejscowym muzeum, ma syna i lubi chodzić po górach” – M. Stöhr, *Niewidzialne słońce* (<https://brno.rozhlas.cz/fejton-martin-stohr-neviditelna-slunce-6445311>).

Tadeáš Biron

RYSUNEK ŚMIERCI

Jesień zwraca uwagę
na wszystko zwykły liść
zakurzonego łopianu

skrupulatnie
obramowała na żółto
a gdy naczynia krwionośne
wyschną

da mu dalsze instrukcje

CZERWONY PLECAK

Przez długi czas patrzę sobie na zdjęcie
strumienia –
zapalam papierosa rzucam zapałkę
w spieniony wodospad
schylam się po swój
czerwony plecak

OBECNOŚĆ DIABŁA

To jak
pod kwitnącą akacją
wieść rozmowę
o woreczku żółciowym

swoje wady
przychodzące na myśl
nieść z pokorą

CZYTANIE

Kocham stacyjkę
na której konduktor woła „Halcyon!”
i znowu: „Halcyon!”

I kocham kurwę o imieniu Tó
I ciszę
na skraju lasu

I kocham te dwa szczęśliwe dziecięły
zaniepokojone moją obecnością...

Śniący Sandburg
czujny Benn
ciemny Trakl
jasny Creeley?

WÓZEK DLA PANA

Idź na pole a odpocznij sobie
znajdziesz tam mnóstwo
wyliczeń

Ucieknij w zieleń
i wody Tao
znajdziesz tam spokój

przed następnymi zadaniami!

Z przeszłości nic
nie pamiętam żadnej
medytacji

tylko czyny twarze
gesty ręce
ruch znikąd donikąd

rozrzucone w trawach
drzewa pełne wiśni
skały i ulice.

Malowali kobiety
i opiewali je
tak jak malowali góry

Malowali czaszki
pokryte mięsem
Malowali oczy
które wiatr rozwiał jak proch
Nie było czerwi
ani ognia na tych obrazach

Tak malowali miłość
Tak malowali boga
w dziewczęcym stroju...

POMYLONA MEWA

Między innymi
grudkami
śniegu
była
grudką śniegu

Jednak krzyząc
zmieniła miejsce
i wtedy
pośród rzecznoego srebra –
była sama
jak cichy
czarny punkt.

Niedzielne popołudnie.
Zawiłości duszy na tapczanie
Watykan – i tak dalej...
Książki.

Cieszę się na poniedziałkowy ranek,
gdy mi się nie będzie chciało wstać.
Autobus. Kralupskie ulice.
Kupy gliny. Cygara.
Wierzba za halą...

Generalny złom!!!
Zwyczajna mitręga
w jesiennej mgle.

TO SAMO POŁUDNIE

Dwa łabędzie są tu
ze mną. Jakby wyleciały
z wierszy Chara,
które mam w torbie.

Nie wiem, co miałbym powiedzieć
ponadto. Dzioby
nurzają się w szlamie,
szukając czegoś bez pośpiechu.

Tadeáš Biron
Przełożył Karol Maliszewski



Fot. archiwum

T. Biron, J. Červenka, lata sześćdziesiąte XX wieku.

Iwona Matuszkiewicz

LAS HERCYŃSKI

*Uprostřed Hercynských hvozdů pražský se vypíná Týn
(Pośrodku Hercyńskich lasów praski się wznosi Týn)
Julius Caesar Scaliger (1484–1558)¹*

Las Hercyński – „stary jak świat sam” – to archaiczna nazwa legendarnej krainy obejmującej rozległy obszar w środku Europy, opisywany w I wieku naszej ery przez Pliniusza w *Historii naturalnej*, przez Tacyta w *Germanii* nazywany lasem germańskim², a przez Filipa Cluveriusa, siedemnastowiecznego autora *Geographii*, lasem czeskim. W niniejszym tekście wykorzystuję topos tego mitycznego lasu do zaprezentowania kilku utworów z oryginalnej i różnorodnej twórczości nieznanego w Polsce autora³. Václav Vokolek, bo o nim tutaj mowa, urodzony w 1947 roku w Děčínie, w północnych Czechach, jest pisarzem, publicystą, grafikiem, malarzem, autorem bibliofilskich książek oraz projektów fotograficzno-literacko-muzycznych. Jego twórczość nie była w jego ojczyźnie przed rokiem 1989 pokazywana i publikowana. Autor związany był ze środowiskiem dysydentów i utrzymywał kontakty z polskimi środowiskami literackimi, które w tamtych czasach uchodziły u naszych południowych sąsiadów za znacznie liberalniejsze. W latach siedemdziesiątych XX wieku artysta miał kilka wystaw na Dolnym Śląsku. W 2017 roku prezentował swoje prace plastyczne w Kłodzku.

Bohuslav Balbín (1621–1688) w *Krásach a bohatstvích české země (Piękno i bogactwo ziemi czeskiej)* pisze:

Hercyńský les je příliš známý, než abych o něm jednal. Pomponius Mela odhaduje rozsáhlost Hercyńského lesa na šedesát dní pochodu, a to: od Dunaje k Neckaru, což je končina, které se říká Schwartzwald; od Neckaru k Mohanu, to je Odenwald; od Mohanu k řece Lahnu, které říkají také Mosela, u Koblenze je to Westerwald. Tam odděluje tento les Francii od Hessenska a Duryńska a táhne se směrem do Čech, na Moravu, do Uher a sarmatských a tráckých končin, kde se nazývá rozmanitými jmény⁴.

¹ Zob. B. Balbín, H. Businská, *Krásy a bohatství české země*, przeł. H. Businská, Praha 1986, s. 51.

² Zob. S. Schama, *Krajina a paměť*, przeł. P. Pálenský, Praha 2007, s. 88–89.

³ Jego wiersze w tłumaczeniu Andrzeja Babuchowskiego były publikowane w antologii *Na ostrzu płomienia*, Poznań 1998. W kwartalniku „Fraza” nr 2 (56) 2007, s. 25–31 oraz nr 1–2 (75–76) 2012, s. 64–89 zamieszczono wiersze i fragmenty jego książki *Exily a úkryty v české krajině* w tłumaczeniu Antoniego Matuszkiewicza.

⁴ B. Balbín, H. Businská, dz. cyt. Wszystkie cytaty w tekście zostały przełożone przez autorkę.

[Hercyński las jest zbyt dobrze znany, abym o nim pisał. Pomponiusz Mela szacuje rozciągłość Lasu Hercyńskiego na sześćdziesiąt dni marszu, a to: od Dunaju do Neckaru, czyli regionu, który nazywają Schwarzwald; od Neckaru do Menu, czyli Odenwaldu; od Menu do rzeki Lahnu, którą nazywają także Mozlą, a w okolicach Koblencki – Westerwald. Tam las ten oddziela Francję od Hesji i Turynгии i ciągnie się w kierunku Czech, na Morawy, do Węgier oraz sarmackich i trackich regionów nazywanych rozmaicie].

Nieco dalej wspomina, że nazwa *Hercynia* to poetycka alternatywa dla *Bohemii*, aczkolwiek pierwotny obszar gęstej, przeważnie liściastej puszczy sięgał daleko poza czeską kotlinę: „I když Hercynský les – jak už jsem pověděl – zasahuje do mnoha území mužemě říci, že u nás má to podstatné, totiž tělo, jímam rozpíná paže nebo nohy”⁵ („I chociaż Las Hercyński – jak już wspomniałem – rozpościera się na wielu terytoriach, możemy powiedzieć, że u nas ma korpus, a gdzie indziej rozciąga ramiona czy nogi”). Krócej można opisać Las Hercyński jako „místo mezi Šumavou a Lužickými horami” („miejsce między Szumawą a Górami Łużyckimi”). Możliwe też, że łacińska nazwa *hercynia silva* ma celtycki źródłosłów i oznacza „stare góry”⁶.

Według Tacyty rzymscy legioniści nie darzyli germańskich gęstw sympatią. Owszem, niekiedy odczuwali wobec nich respekt czy rodzaj transcendentalnego podziwu, ale przeważała odraza, która charakteryzowała ich stosunek do wszystkiego, co nie podlegało rzymskiej kontroli i cywilizacji. Żołnierze przemierzający nieprzebyte knieje byli narażeni na niebezpieczeństwa ze strony ich mieszkańców, towarzyszył im strach przed nieznaną ziemią (*terra incognita*) i brak orientacji w terenie. Choć rzymskie mapy dawały im niekiedy szczegółowe wskazówki, nie napawały one jednak optymizmem. Odległości przeliczano precyzyjnie na liczbę przemierzonych piechotą dni. Juliusz Cezar w *Zapiskach o wojnie galijskiej* podaje szczegółowy opis ludów germańskich i bezmiaru ziem, które zajmują. Zamieszcza także informację, że można obszar ten przemierzać z zachodu na wschód, idąc nieprzerwanie sześćdziesiąt dni i nie zobaczyć końca rozległego lasu⁷.

Henryk Waniek w książce *Pitagoras na trawie* snuje esejistyczną opowieść o wyprawach legionów rzymskich, które przekroczywszy Dunaj (Danubis), przemierzały czeską kotlinę w kierunku *Mons Silentae* (Góra Milczenia), czyli Ślęzy, gdzie odbywały się tajemnicze obrzędy. Właśnie tam Marek Aureliusz posłał w towarzystwie swoich żołnierzy Harnuphiosa, egipskiego maga rodzem z Aleksandrii z misją do barbarzyńskich kapłanów. Zanim jednakże dotarli w to miejsce: „Przedzierali się przez wąwozy ponad przepaściami i leśne gąszcze. Krążyli tydzień w labiryncie kluczących rzek, choć już dawno mieli być na miejscu”⁸.

⁵ Tamże.

⁶ Zob. M. Jareš, *Poezie střední Evropy* [w:] V. Vokolek, *Hercynský les*, Olomunc 2000, s. 101.

⁷ Za: S. Schama, dz. cyt., s. 89.

⁸ H. Waniek, *Pitagoras na trawie*, Warszawa 1997, s. 42.

Las Hercyński ze starożytnego pojęcia topograficznego przesunął się z czasem w onomastyczny obszar wiecznych krain mitycznych. W świadomości kulturowej nazwa ta funkcjonuje jako środkowoeuropejski, a dokładniej czeski archetyp terytorialny na podobnej zasadzie jak kojarzona z Rzeczpospolitą Sarmacja czy utożsamiana z dzisiejszą Rumunią Dacja. Przy czym granice między geografiami wyobrażoną a rzeczywistą pozostają tutaj płynne. Krainę tę w sensie historycznym zamieszkują pogańskie ludy i dzikie zwierzęta, których liczne opisy znajdziemy w dziełach antycznych kronikarzy. Żyją w niej – leśna kobieta i leśny mężczyzna⁹ – postaci uosabiające archetyp człowieka dzikiego.

Niezmierzone puszcze zamieszkują bogowie i boginie, podobni ludziom w swych nieokiełznanych żądzach, o których Vokolek w wierszu *Hercynský les (Las Hercyński)* pisał: „Bohové Hercynského lesa milovali oběti”¹⁰ („Bogowie Lasu Hercyńskiego uwielbiali ofiary”). Czeski poeta o wielu artystycznych talentach chętnie nawiązuje w swojej twórczości do toposu Lasu Hercyńskiego, „archetypu lesa, majestátu a ztělesnění přírody uprostřed Evropy, daleko od moře”¹¹ („archetypu lasu, majestatu i ucieleśnienia natury w środku Europy, daleko od morza”), jako przestrzeni działania sił i istot mitycznych: „Vše nás dostává do světa sestaveného z mýtů, a to nejen biblických, ale i keltských, slovanských, tedy »pohanských«, a dnes již i mýtů o baroku a také o psychoanalýze”¹² („Wszystko nas prowadzi do świata złożonego z mitów, i to nie tylko biblijnych, ale i celtyckich, słowiańskich, czyli pogańskich, a dziś również i mitów o baroku, czy o psychoanalizie”). Zakreśla imaginacyjne granice tej krainy, gdy w wierszu pt. *Hercynský les* pisze:

Rozprostírá se mezi nicotou a prázdnotou,
naplňuje nicotu a prázdnotu.
Rozrůstá se. Prorůstá Dolním a Horním světem.
Obrazem a odrazem. Jsoucím a nejsoucím.
Pohlcuje. Pokrývá. Překrývá a zakrývá.
Vrůstá do propastí polosvěta,
kořeny osahává kamenné dno podzemní oblohy¹³.

[Rozpościera się między nicością i próżnią, / wypełnia nicość i próżnię. / Rozrasta się. Przerasta Dolny i Górny świat. / Obraz i odbicie. Byt i niebyt. / Pochłania. Przykrywa. Pokrywa i zakrywa. / Wrasta do przepaści półświata, / maca korzeniami kamienne dno podziemnego firmamentu.]

⁹ V. Cílek i in., *Cestami zelených mužů*, Praha 2010.

¹⁰ V. Vokolek, dz. cyt., s. 11.

¹¹ Zob. M. Jareš, dz. cyt., s. 101.

¹² Zob. tamże, s. 102.

¹³ V. Vokolek, dz. cyt., s. 7.

Las nazywa Vokolek rzeczywistością („Les je skutečnost”¹⁴). Chodzi tu zapewne o rzeczywistość wewnętrzną – las (podświadomość) jest punktem wyjścia na drodze poszukiwania własnej tożsamości. Myśl tę oddaje trójdzielna struktura całego zbioru: *Hercynský les – Malé pašije – Kdo jsi?* (*Las Hercyński – Mała Paśja – Kim jesteś?*). Można te poszukiwania zinterpretować następująco: pogrążeni w niepewności, rozdarci między światłem a ciemnością („Chvála světla, Chvála tmy” / „Chwała światła, Chwała ciemności”), wypatrujemy odkupienia, pogrążając się w znanych opowieściach, aby na koniec szukać odpowiedzi na fundamentalne pytanie dotyczące tożsamości jednostki: kim jesteś?, w sobie samym: „Já jsem stále ještě já”¹⁵ („Ja ciągle jeszcze jestem ja”).

Las był na przestrzeni dziejów różnie przedstawiany w sztuce. W średniowieczu¹⁶ utożsamiano go głównie z domeną działania złych mocy i traktowano jako miejsce odosobnienia i zagrożenia. Symbolicznego znaczenia nabrał w okresie romantyzmu, kiedy kojarzono go z ciemnymi siłami i gwałtownymi emocjami, ale już wcześniej, np. u Jana Jakuba Rousseau, spotykamy się z toposem lasu rozumianego jako miejsce spotkania człowieka z samym sobą, ze swoim wnętrzem lub Bogiem. Apogeum takiego podejścia znajdziemy u transcendentalistów amerykańskich – Ralphi Waldo Emersona, a przede wszystkim Henry’ego Davida Thoreau w jego prozie *Walden czyli życie w lesie*¹⁷, u którego dochodzi do swoistej internalizacji lasu, będącego metaforą określonego stanu ducha, a jednocześnie miejscem próby i mitycznej transformacji¹⁸. Obdarzony przez romantyczną literaturę życiem (nie bez Szekspirowskiej inspiracji), las zyskuje autonomię i czar, a zarazem staje się synekdochą świata:

Świat w oczach romantyków jest jak las. To znaczy: samoswój, dziki, wolny, straszny, ciekawy i niezgłębiony. [...] Las świata można nazwać równoprawnym, lecz odmiennym partnerem człowieka we wspólnym procesie życia. [...] Lasy z romantycznych baśni, ballad i dramatów [...] ukazywały więc świat wcale nie podległy człowiekowi. Tworzyły przestrzeń pełną krzyżujących się napięć, dziwnych głosów, sił przyjaznych albo wrogich, które mogło zbudzić zakłęcie lub lada nieostrożny gest¹⁹.

Las pozwala doświadczać przyrodę niejako od środka, gdyż dystans wobec poszczególnych obiektów otoczenia jest tu o wiele mniejszy niż w innych krajobrazach. Doświadczenie lasu charakteryzuje również dynamiczna zmienność w czasie, która nie jest tak odczuwalna gdzie indziej. Według czeskiej badaczki Daniela Ho-

¹⁴ Tamże, s. 8.

¹⁵ Tamże, s. 99.

¹⁶ Zob. J. Le Goff, *Kultura średowiekłej Europy*, przeł. J. Čermák, Vyšehrad 2020.

¹⁷ H.D. Thoreau, *Walden czyli życie w lesie*, przeł. H. Ciepłińska, Warszawa 1991.

¹⁸ Zob. M. Peprník, *Les v americké literatuře období romantismu* [w:] *Člověk a les*, 1, red. P. Klvač, Brno 2006, s. 62.

¹⁹ M. Piwińska, *Las z niemieckiej baśni* [w:] M. Piwińska, *Juliusz Słowacki od duchów*, Warszawa 1992, s. 128–129.

drożej miejsce wiąże się w tradycji literackiej z określonym stanem świadomości i tak np.: „v iniciačním románu a mystickém traktátu odpovídá les stavu světskému, stavu nezásvěcení”²⁰ („w powieści inicjacyjnej i w traktacie mistycznym las jest odpowiednikiem stanu świeckiego, niewtajemniczonego”).

W ujęciu filozoficznym las jest nie tyle bytem, ile charakterem samego jestestwa – jak mógłby powiedzieć Martin Heidegger, posługujący się językiem przestrzeni do opisanía istoty bycia (*Dasein* – bycie-tu). Leśne drogi to u niego jedna z metafor oznaczająca te ścieżki myślenia, których cechą jest błędzenie. „To przede wszystkim ścieżki niemające wyraźnego ani jasnego celu czy kierunku, są to drogi stale gubiące się, a mimo to niegrożące całkowitym zagubieniem” – jak pisała Hanna Buczyńska-Garewicz, badaczka języka przestrzeni u Heideggera²¹. Podobnie Vokolek już w pierwszym wierszu z tomu *Očarovány les (Zaczarowany las)* z roku 2018 rozstrzyga o istocie lasu:

Očarovány les? Který to je? Kde ho najít? [...] Očarovány je přece každý les, vedou přes něj všechny cesty, rozbíhají se a opět se do něj vracejí. Houstne v srdci, roste v očích, zelená se v mozku, jeho kořeny vrůstají do rukou, jeho skály tvrdnou v duši, kácí se ve vzpomínkách, hnije v nadějích. Copak to nevíš? Copak to nechceš vědět? [...] Očarovány les? To jsem přece já. Očarovány les? To jsi přece ty...²².

[Zaczarowany las? Który to? Gdzie go znaleźć? Zaczarowany jest przecież każdy las, wiodą przezeń wszystkie drogi, rozchodzą się i znów się schodzą. Gęstnieje w sercu, rośnie w oczach, zieleni się w mózgu, jego korzenie wrastają w ręce, jego skały twardnieją w duszy, wycina się go we wspomnieniach, gnije w nadziejach. Jak to, że nie wiesz? Jak to, że nie chcesz wiedzieć? [...] Zaczarowany las? To ja nim jestem. Zaczarowany las? To ty nim przecież jesteś...]

Las wewnętrzny to domena błędzenia, pierwotnych sił, cieni i dzikich instynktów, które u Vokolka przybierają postać zielonych istot i pogańskich bożków. Ale nie są to jedyni mieszkańcy lasu. Błąka się po nim samotny jeździec, który rozmawia sam ze sobą, nawiedzają go mityczne i historyczne postaci ze świata kultury, jak Mistrz Eckhart, Leibniz, Kant czy Arcimboldo (*Míjet sám sebe / Mijać samego siebie*): „Když se Giuseppe Arcimboldo dvorní malíř císaře Rudolfa II. vracel roku 1587 do Čech, očarovány les, říkalo se mu Hercynský, mu sklapl pod nohama jako dobře nastražená past” („Kiedy Giuseppe Arcimboldo – nadworny malarz cesarza Rudolfa II, wracał w roku 1587 do Czech, zaklęty las, zwany Hercyńskim Lasem, zatrzasnął mu się pod nogami jak dobrze zastawiona pułapka” – s. 41).

W wierszu *Za lesem (Za lasem)* mowa jest o głębokim lesie, który niesiemy w sobie: „Les w nás je znásobený sny. [...] Proto je les tak hluboký” („Las w nas

²⁰ D. Hodrová, *Místa s tajemstvím: (kapitoly z literární topologie)*, Praha 1994, s. 9.

²¹ H. Buczyńska-Garewicz, *Język przestrzeni u Heideggera (cz. II). Droga*, „Teksty Drugie” 2006, nr 1–2, s. 225–232.

²² V. Vokolek, *Očarovány les*, Hradec Králové 2018, s. 9–10. Kolejne cytaty z tego tomu oznaczam w tekście głównym podaniem w nawiasie numeru strony.

jest zwielokrotniony snami. [...] Dlatego jest tak głęboki"; s. 21). W utworze *Tvář v listoví* (*Oblicze w listowiu*) znajdziemy parafrazę Augustiańskiej myśli, nad którą zastanawiał się między innymi Petrarka, wstępując na Mont Ventoux²³: „Kłopotáme lesními cestami / A mjíme sami sebe” („Snujemy się leśnymi drogami, a samych siebie mijamy” – s. 31). Las jawi się w tej poezji jako część krajobrazu wewnętrznego, który skrywa ludzką podświadomość: „V hlubokých nocích [...] vstupuje les do lidských snů. Cítí se tam jako doma” („W głębiach nocy [...] wstępuje las do ludzkich snów. Czuje się tam jak w domu”; *Lesní sen / Leśny sen*, s. 61). Mieszkają w nim twory zrodzone z ludzkich żądz i strachów, skrywa się w nim ciemna strona natury: „V sobě les. / Les. Děs. [...] A v tobě? / Běs” („W sobie las. / Las. Strach. [...] A w tobie? / Bies” – s. 21).

Zasiedlają go także cienie. Jednakże – jak pisał Heidegger – „Naprawdę za cień jest jawnym, a jednak nieprzenikalnym świadectwem skrytego świecenia”²⁴. Zieleń przełamuje czerń i biel, kiedy z zaczarowanym lasem stapia się czarny jeździec na białym koniu. Las, jeździec i jego kochanka stają się jednym pod znakiem Luny. Jak się to dzieje? Odpowiada zaczarowany las: „Ten, kdo rozmlouvá sám se sebou, si nemusí odpovědět hned. Mezi otázkou a odpovědí mohou uplynout roky. Celé věky. Celý svět” („Ten, kto rozmawia sam ze sobą, nie musi odpowiedzieć od razu. Między pytaniem a odpowiedzią mogą upłynąć lata. Całe wieki. Cały świat” – s. 9). W mistycznym lesie, w zielonej świątyni („zelený chrám”), odprawia się zielona liturgia świętej wegetacji (*Mystický les / Mistyczny las*): „Posvátné předvádění růstu a uvadání / se tu odehrává v kruhu” („Święty pokaz wzrastania i uwiędnięcia / odgrywa się tu w kręgu” – s. 16), dlatego, że jak to czytamy w wierszu *Slunovrat / Przesilenie*: „Les vytvářel od počátku posvěcený prostor...” („Las od początku wytwarzał przestrzeń sakralną” – s. 32).

W środku lasu ukrywa się też środek świata (wiersz *Uprostřed lesa / W środku lasu*, s. 28). Las to *pamětník pralesa / świadek puszczy*” (s. 12) i czasu: „...ještě před tím, / než bohové oněměli. / To ještě před tím, / než jsme osaměli” („...jeszcze przedtem, / nim oniemieli bogowie. / To jeszcze przedtem, / nim myśmy osamotnieli” – s. 33). Las to również przestrzeń działania leśnych demonów, zwodnicze rozdroża w jego środku: „Kdysi snad lesní démon / rozsekl své království na čtyři díly / a křížen cest do něj vtiskl / jako pečeť” („Kiedyś podobno leśny demon / rozsiekał swoje królestwo na cztery części / i odcisnął w nim skrzyżowanie dróg / jak pieczęć”²⁵). Ale człowiek nie jest w lesie sam: „A právě tam sedí na / povaleném podstavci kříže / anděl strážný. [...] / Sedí na rozcestí uprostřed lesa a pláče. / Nad námi” („I właśnie tam siedzi / na zwalonym cokole krzyża / anioł stróż. [...] Siedzi na rozdrożu lasu i płacze. / Nad nami” – s. 54). Las ma swoje strony, choć nie widać w nim horyzontu. Ma też swoją głębię: „Každá něřest / má své hloubky”²⁶ („Kaž-

²³ F. Petrarca, *Výstup na Mont Ventoux*, przeł. J. Janoušek, Praha 2014, s. 76–77.

²⁴ M. Heidegger, *Czas światoobrazu*, przeł. K. Wolicki [w:] tegoż, *Drogi lasu*, dz. cyt., s. 95.

²⁵ Tamże, s. 54.

²⁶ Tamże, s. 57.

dy występki ma swoją głębię”). W wierszu *Lesní tůň (Lešna toň)* czytamy: „Jsou hloubky, / v nichž utone i čas” („Są głębie, / w których i czas utonie” – s. 57). Nie ma natomiast początku ani końca: „Očarovány les je bez konce, / i bez počátku, / jeho cesty se skládají do / promyšleného lybyrintu, / z něhož není úniku” („Zaklęty las jest bez końca, / i bez początku, / jego drogi układają się w / zmyślony labirynt, / z którego nie ma ucieczki”); *Poustevník / Pustelník* – s. 59).

Zwodniczość lasu ujawnia się nawet w jego niepozornych elementach. Przybiera postać zabłąkanego korzenia (*Bludný kořen / Zabłąkany kořen*). Jedno małe potknięcie, a w leśnym labiryncie źle oznaczonych ścieżek dotrzeć można na skraj głębokiej przepaści (s. 58). Ci, którzy dobrze znają drogi lasu, mieliby pamiętać o tym, co czytamy w wierszu *Lesní sen / Lešný sen*: „Mýlí se ten, / kdo si myslí, / že ví kam” („Myli się ten, / który myśli, / że wie, dokąd” – s. 61). Heinrich Hein, bohater krótkiej prozy poetyckiej pt. *Divoká honba (Dzikie łowy)*, dołączonej do tomu *Očarovány les (Zaczarowany las)*, pewny siebie łowca, puścił się przez ciemny las na skrót przez górę Pfaffenstein²⁷: „Netušil totiž, že zkracovat si cestu, znamená tolik, co hřešit” („Nie przypuszczał, że skracać drogę, znaczy tyle, co grzeszyć” – s. 69). Nieoczekiwanie stanął w nocy, wśród błyskawic, w samym środku dzikich łowów, aby spojrzeć w oczy łowcy: „Říkalo se, že Heinrich Hein na Pfaffensteinu potkal sám sebe. To se může stát každemu, ale on si za pár dní jen tak zemřel...” („Mówiło się, że Heinrich Hein na Pfaffensteinie spotkał samego siebie. To się może przytrafić każdemu, ale on sobie za parę dni ni stąd, ni zowąd umarł” – s. 69). Jak widać, droga przez las to u Vokolka pełna niespodzianek wyprawa do własnego wnętrza, w której w końcu dochodzi się do siebie.

Podobny motyw oświecenia, spotkania z samym sobą²⁸, które adept przypląca śmiercią, znajdziemy we wcześniejszej, poetycko-fotograficznej książce Vokolka i Zdeňka Helferta *Mezi nebem a zemí (Między niebem a ziemią)* z 2005 roku²⁹. Tam była to jaskinia w lesie³⁰, w tomiku *Očarovány les (Zaczarowany las)* – las stanowi obszar duchowego wtajemniczenia:

Cesta nabývá charakteru *iniciační katabáze* (sestupu). Přináší putujícímu nejvyšší poznání, obrozuje jej nebo přímo proměňuje v zasvěcení [...]. Protože je v této variantě cesta do divočiny vesměs cestou k sobě, k sebezpoznání, k demaskovanému a obrozenému lidství, mohli bychom ji nazvat *cestou sestupem*, pokud se jedná o mystickou iniciaci, o sestup do hloubky prostoru, času, vědomí *noetickou* či *autoneotickou*³¹.

²⁷ Malownicza góra w Saskiej Szwajcarii 15 km od granicy z Czechami.

²⁸ „Poznaj samego siebie” – napis znany z wyroczeni w Delfach.

²⁹ V. Vokolek, Z. Helfert, *Mezi nebem a zemí*, Řevnice 2015, s. 20–21.

³⁰ Również Henryk z niedokończony powieści Novalisa odnajduje własną historię w jednej z ksiąg trzymanyh w jaskini przez pustelnika. Zob. Novalis, *Modrá květina*, przeł. V. Feldstein, Praga 1971, s. 149–151.

³¹ D. Hodrová, dz. cyt., s. 135.

[Droga nabiera charakteru *inicjacyjnej katabazy* czyli zejścia. Przynosi wędrującym najwyższe poznanie, odradza bądź od razu zmienia we wtajemniczonych [...]. W związku z tym, że w tej wersji droga prowadząca na pustkowie oznacza głównie drogę do samego siebie, do samopoznania, do zdemaskowanego i odrodzonego człowieczeństwa, moglibyśmy ją nazwać drogą poznania albo samopoznania.]

Mezi nebem a zemí (Między niebem a ziemią) to postmodernistyczna gra z romantyczną wyobraźnią. W tym artystycznym projekcie oprócz opowieści umieszczono także fotografie skomponowane na podstawie motywów z obrazów Caspara Davida Friedricha, na których Vokolek występuje jako jedna z dwóch postaci imitujących *Rückenfiguren*. Mamy tu do czynienia ze swobodną manipulacją estetyką drezdeńskiego mistrza, przypominającą zamierzone próby naśladowania obrazów Friedricha podejmowane przez jego ucznia Carla Gustava Carusa. Czeski twórca nie kryje swojej fascynacji malarstwem Friedricha, przypisując mu jednocześnie pewne nieoczywiste analogie z malarstwem chińskim, co, jego zdaniem, może być potwierdzeniem uniwersalności i ponadestetycznego charakteru romantyzmu w ogóle: „Existuje několik tušových čínských svitků, které jsou doslovnými skicami slavných Friedrichových obrazů. To netuší ani renomovaní friedrichovští badatelé. Faktem ovšem je, že je velký malíř nemohl spatřit. Je zřejmé, že romantismus není jen estetizujícím gestem...”³² („Istnieje kilka malowanych tuszem chińskich zwojów, które wyglądają niczym szkice sławnych obrazów Friedricha. Nie podejrzewają tego nawet renomowani badacze jego twórczości. W rzeczywistości ten wielki mistrz nie mógł ich zobaczyć. Najwyraźniej romantyzm nie jest jedynie prądem estetycznym”).

Książka *Mezi nebem a zemí (Między niebem a ziemią)* jest niejednorodna gatunkowo. Zaczyna się od epickiego opisu przeżytych drezdeńskiego prawnika Hansa Altwurma, wielbiciela Friedricha, który zdecydował się wędrować krainą uwiecznioną w jego obrazach w nadziei, że „při toulání oblíbenými obrazy nalezde dokonce způsob, jak do nich vstoupit”³³ („w trakcie przemierzania ulubionych obrazów znajdzie sposób, jak do nich wstąpić”). W tym celu wyrusza ze starą niemiecką mapą³⁴ w góry środkowych Czech i zamieszkuje w gościńcu „U Zeleného stromu” (Pod Zielonym Drzewem), w którym kiedyś nocował Friedrich. Celem wędrowki Hansa jest skała nad jaskinią³⁵, gdzie w końcu dotrze, aby z niej prawdopodobnie skoczyć (nie jest to jasne) i zginąć. Jego ciało zostanie znalezione dopiero na

³² V. Vokolek, *Kouzelná země Orplid aneb o nezbytné posvátnosti (letmé poznámky k danému tématu) [w:] Tvář naší země – krajina domova: [3. ročník konference o krajině: Praha a Příhonice 8. –10. března 2005] (3), Identifikace s místem a krajinou jako základem Evropy regionů*, Lomnice nad Popelkou 2005, s. 16.

³³ V. Vokolek, Z. Helfert, dz. cyt., s. 6.

³⁴ *Neue Karte von Nordböhmen, der Oberlausitz und der Sächsischen Schweiz*, 1: 75 000.

³⁵ Kraina skrywająca tajemnice, do której wstępuje Altwurm, ma jednocześnie swoje historyczne znaczenie, o którym wspomina Vokolek. W zagłębieniu skały Kuhstall ukrywali się bowiem w czasie wojny trzydziestoletniej wieśniacy razem ze swym inwentarzem.

wiosnę. Wcześniej jednak podczas drogi dozna wtajemniczenia, dzięki czemu będzie mógł rzeczywiście przejrzeć tajemnicę obrazów niemieckiego romantyka. Moment inicjacji przejawia się w czystym widzeniu, postrzeganiu i poznaniu świata, do którego bohater wstępuje, co jednocześnie oznacza, że i on jest przez ten świat obserwowany. Łączy ich swoista wzajemność. Tak więc pierwsza faza wnikięcia w tajemnicę świata przyrody przejawia się tu w doświadczeniu bycia obserwowanym:

Když udělal první krok, pocítil nečekané. Nesčetně mnoho upřených pohledů. Tisíce očí. Všech velikostí, barev, tvarů. Vše se na něj zvědavě dívalo, pozorovalo jej. Kořeny, skály, mechy, kapradí, oblaka, vítr, jehličí, borůvčí, písek, koruny borovic. Nesčetně množství zřítelnic, rohovek, čoček, duhovek a zornic zaostřovalo své pohledy, jen aby Altwurma spatřilo. Cítil se jako v manéži, a to mu dodalo nečekaných sil. Vystupovat nahoru již bylo snadné³⁶.

[Kiedy zrobił pierwszy krok, poczuł coś nieoczekiwanego. Mnóstwo baczących spojrzeń. Tysiące oczu. Różnych wielkości, barw, kształtów. Wszystko to patrzyło na niego z zaciekawieniem, obserwoowało go. Korzenie, skały, mechy, paprocie, obłoki, wiatr, igliwie, borówki, piasek, korony sosen. Niezliczona ilość źrenic, rogówek, soczewek, tęczołek ostrzyła swoje spojrzenia tylko po to, aby zobaczyć Altwurma. Miał wrażenie, że jest na arenie i to dodawało mu nieoczekiwanych sił. Wejście na górę wydawało się już łatwe.]

Wrażenie przebywania w jakiejś żywej istocie potęguje się u Altwurma po wejściu w głąb skały: „Vstoupil do skály. Uprostřed skalní stáje, ale byla to spíše dávná svatyně, se Altwurmowi zdálo, že se povrch skály pohybuje, snad kamenné vnitřnosti dýchají. Jakou dobu strávil v kamenných útrokách, netušil”³⁷ („Wszedł do skały. W środku skalnej stajni, albo raczej dawnej świątyni, zdało się Altwurmowi, że powierzchnia skały się porusza, że kamienne wnętrzości oddychają. Nie miał pojęcia, jak dużo czasu spędził w kamiennych trzewiach”). Przy opisie olśnienia, którego punkt kulminacyjny przypada na moment wyjścia bohatera z jaskini, nasuwają się konotacje ze światem idei Platona:

Když konečně z jeskyně vyšel, oslnila ho záře, která nemohla pocházet od slunce. Oči vypověděly službu a oddaly se rozkoši kroužení pestrébarevných kruhů. A tehdy poznal, že je obklopen slovy. Ze všech stran. Nahoře i dole. Byla to slova nepochopitelná, ale uchopitelná. Spíše zvuky, které vycházely z dalekých útrob vesmíru. Slova slov. Mluvilý skály, kapradí, borovice, písek, tráva, oblaka, slunce³⁸.

[Kiedy w końcu wyszedł z jaskini, oslepiła go jasność, która nie mogła pochodzić od słońca. Oczy odmówiły posłuszeństwa i oddały się rozkoszy krążenia różnobarwnych kręgów. I wtedy zobaczył, że otoczony jest przez słowa. Ze wszystkich stron. Na górze i na dole. Były to słowa niezrozumiałe, ale uchwytnie. Raczej dźwięki, które

³⁶ V. Vokolek, Z. Helfert, dz. cyt., s. 19–20.

³⁷ Tamże, s. 20.

³⁸ V. Vokolek, dz. cyt., s. 20.

wychodziły z odległych trzewi wszechświata. Słowa słów. Mówiły skały, paprocie, sosny. Piasek, trawa, obłoki, słońce.]

Platońskie idee przybierają tu postać słów. W pewnym momencie wtajemniczony spostrzeżga, że znajduje się jakby w teatrze – *theatrum mundi* – w którym dostrzeżga coś, co dobrze zna – swoje alter ego. W tym spotkaniu odkrywa również tajemnicę dwóch postaci z obrazu Friedricha *Zwei Männer am Meer bei Mondaufgang* (*Dwaj mężczyźni kontemplujący księżyc*)³⁹:

Došel na okraj skály, která tu vytvořila jakýsi balkon, lóži v nádherném divadle. Jeviště se rozkládalo do nekonečna. Otevřel knihu⁴⁰ [...]. Najednou porozuměl. Vřemu. S radostí poznal, že vedle něj kdosi stojí. Také černý plášť, také čepici mágů. Nepodřival se na svého souseďa na okrajích skály, protože ho znal. Dobře znal. ON a ON⁴¹.

[Dotarł na kraj skały, która tu wytworzyła rodzaj balkonu, loggii w przepięknym teatrze. Scena rozciągała się w nieskończoność. Otworzył książkę. [...] Nagle zrozumiał. Wszystko. Z radością zauważył, że ktoś stoi koło niego. Także czarny płaszcz, także biret. Nie popatrzył na swojego sąsiada na skraju skały, ponieważ dobrze go znał. Dobrze znał. ON i ON.]

W tym momencie rozbiciu ulega także dotychczasowa struktura tekstu i następuje szereg wypowiedzi lirycznych w postaci krótkich dialogów czy też monologów dramatycznych pomiędzy NIM a NIM. Można wysunąć tezę, że Vokolek odczytuje tajemnicę jednego ze słynnych obrazów Friedricha w duchu poezji Novalisa, która dla twórczości czeskiego autora jest emblematyczna. Świadczą o tym liczne parafrazy cytatów pochodzących od tego romantycznego mistrza fragmentów zarówno w literackich dziełach Vokolka, jak i w jego utkanych ze słowa malarskich krajobrazach (ich liczne inskrypcje wewnątrz obrazów). Bo czymże jest niepokojące spotkanie bohatera *Między niebem a ziemią* ze swoim sobowtórem, jeśli nie wariacją na temat znamienego odkrycia dokonanego w jaskini, do której zmierzał ciemnym lasem samotny protagonista *Henryka Ofterdingena*⁴²?: „Jak się to zdarzyło Henrykowi, gdy w pewnej jaskini otrzymał książkę pisaną w nieznanym języku, lecz opatrzoną obrazkami, na których zobaczył samego siebie w różnych sytuacjach z przeszłości, potem siebie oglądającego tę książkę w jaskini, a potem dalsze swe dzieje”⁴³.

Las jest także charakterystycznym motywem malarstwa Vokolka. *Krajiny – slova – lesy* (*Krainy – slova – lasy*) to tytuł jednej z jego większych wystaw, która

³⁹ Istnieje wersja tego obrazu z żeńską postacią (*Mann und Frau den Mond betrachtend*, 1824), który można zinterpretować w jungowskim duchu jako Animę i Animusa.

⁴⁰ Książka miała tytuł *Geheimes Tagebuch von einem Beobachter Seines Selbst*.

⁴¹ V. Vokolek, dz. cyt., s. 20–21.

⁴² Novalis, *Henryk Ofterdingen*, przeł. F. Mirandola, Warszawa 1914.

⁴³ M. Piwińska, *Szkic do portretu podwójnego* [w:] teże, *Juliusz Słowacki od duchów*, s. 181.

w 2015 roku odbyła się w Písku w południowych Czechach, w gotyckich murach Prachatickiego Muzeum. Ekspozycja obejmująca 57 obrazów oraz kilkanaście unikatowych książek, na które składały się graficzno-malarskie krajobrazy wykonane na czerpanym papierze, została zaprezentowana w trzech pomieszczeniach. Dopłynęła ją prezentacja wideo ukazująca zawartość bibliofilskich prac, które fizycznie obecne były za szkłem. Ekspozycja niczym pielgrzymi szlak wiodła do miejsc szczególnych, naznaczonych obecnością wcześniejszych pątników (*Triptych s poutníky na horizontu / Tryptyk z pielgrzymami na horyzoncie*). Byli wśród nich: Novalis (*Krajina se zlomky Novalise / Krajobraz z odłamków Novalisa*, 2011), Caspar David Friedrich (*Před obrazem C. D. F. / Przed obrazem C.D.F.*), Achim von Arnim (*Krajina Achima von Arnim / Krajobraz Achima von Arnim*, 2005) oraz Clemens Brentano (*Žluté svítání podle Clemense Brentana / Żółty świt według Clemensa Brentana*, 2012), a także postacie legendarne i fantastyczne (*Čtyři zelení muži ukrytí v lese / Cztery zieloni mężczyźni ukryci w lesie*, 2012).

W obrazach i pracach graficznych Vokolka przeważa rozwarstwiony, górski pejzaż widziany z perspektywy powietrznej z wyraźną linią horyzontu, a jeśli ukazany jest las, to gęsto utkany, z jasnymi plamami prześwitów. Horyzont i prześwit to szczeliny percepcji (*Osamělá brána / Opuszczona brama*, 2011), którymi moglibyśmy wyjść poza obraz (*Osvobozená slova / Uwolnione słowa*, 1985), zostawić przekaz rozpisany (dosłownie) wewnątrz obrazu, opuścić gęstą tkaninę znaczeń, aby zaczerpnąć z praźródła⁴⁴, do którego dostęp zyskujemy po przekroczeniu linii horyzontu, dotarciu do miejsca, gdzie nie sięga wzrok, lecz może sięgnąć doświadczenie bezpośrednie – mistyczne. Odblaski światła w gęstwinie lasu to inny trop wiodący do tego samego celu (*Slunce zapadlé do lesa / Słońce zapadłe w las*).

Las mityczny jest interpretowany jako miejsce inicjacji (*Lesní vzkaz / Leśne przestanie*), przechodzenia przez gąszcz znaczeń ku prostocie oślnienia (*Svítání / Świt*). Możemy stanąć nagle przed świętą górą (*Náhle před posvátnou horou I, Náhle před posvátnou horou II*, 2011 / *Nagle przed świętą górą I, Nagle przed świętą górą II*). Wtedy myśli milkną (*Krajina ustrnula do pocitu / Krajobraz znieruchomiały w doznanie*). Doznane oślnienie ogarnia i oczyszcza świat wokół. Wędrujemy poza czasem, mamy dar widzenia rzeczy przeszłych (*Archaická krajina I, Archaická krajina II / Archaiczny krajobraz I, Archaiczny krajobraz I*, 2011), wchodzenie w głąb ziemi (*Vrstvení krajiny / Rozwarstwienie krajobrazu*, 2012), przebywania w jej środku lub pośród jej fenomenów (*Uprostřed / W środku, Uprostřed lesa / W środku lasu*). Dotykamy tekstury prawdy (*Okamžik pravdy / Chwila prawdy, Oslnivé doteky / Oślniewające dotyki*), odciska się w nas znamię światła (*Znamení světla / Znak światła*). Ukazuje się dawno temu porzucona natura (*Dávno opuštěná krajina / Dawno opuszczony krajobraz*), która zastygła w romantycznej krainie uniesień (*Die*

⁴⁴ „Źródło Wszystkich Rzeczy w mityce taoistycznej jest tajemnym miejscem podobnym do ukrytej doliny, gdzie rodzą się wszystkie byty”. Zong Bing, *O malowaniu pejzażu. Przedmowa Hua Shan Shui Xu*, przeł. M. Jacoby [w:] *Estetyka chińska. Antologia*, red. A. Zemanek, seria „Estetyki świata”, red. K. Wilkoszewska, Kraków 2007, s. 166 (przypis 11).

romantische Landschaft, 2008). Pozostaje powrót do początku stworzenia (*Vzpomínka na zrození lesa / Wspomnienie narodzin lasu, Triadický okamžik / Triadyczna chwila*, 1986), odnowienie przymierza Stwórcy ze stworzeniem (*Krajina s náhlou duhou / Krajobraz z niespodziewaną tęczę*, 2013; *Výstup na horu Karmel / Wejście na górę Karmel*). Wystarczy chwila uważności (*Krajina oslnění / Kraina olśnienia*, 2014) i widzimy coraz więcej (*Nejen mlha / Nie tylko mgła*, 2011). Dary ukryte w krainie (*Krajina s ukrytými dary / Kraina z ukrytymi darami*, 2013) spadają na nas niczym manna z nieba (*Krajina s padající manou / Kraina ze spadającą manną*, 2008). Powyższe wyliczenie stanowi próbę ukazania epifanicznego charakteru malarstwa Vokolka. Autor, wykorzystując elementy krajobrazu, grę światła i koloru, utrwała chwile olśnień w postaci barwnego zapisu.

W pracach Václava Vokolka można odnaleźć motywy taoistyczne⁴⁵ i buddyjskie. Świadczy o tym zarówno jego fascynacja twórczością Rogera Caillois⁴⁶, odwołującego się do tych tradycji, jak i kontynuacja rodzinnych zainteresowań tekstami i sztuką chińską (ojca Vladimíra – filozofa i poety⁴⁷ oraz stryja Vojmíra – artysty plastyka)⁴⁸. Podstawą fascynacji sztuką orientalną jest akcent kładziony przez jej twórców na harmonijną relację człowieka z przyrodą i elementami krajobrazu, który dla Vokolka stanowi punkt wyjścia do całej jego twórczości.

Wyobrażone krainy czeskiego artysty to żywioł barw i słów. Nieregularne kształty przybierające postać gór i lasów przemawiają intensywnością. Pejzaż to opowieść zaklęta w kamieniu, drzewie, zmieniającym się świetle. Ziemia tętniąca życiem jest otwarta na zmienność form, wybuchająca feerią czerwieni: „Kiedy duch nie jest w ruchu, jest on nieujawnioną rzeczywistością w kształcie. Kiedy zaś jest w ruchu, dla odbiorcy wydaje się pulsować”⁴⁹. To materia niekiedy tylko dająca się okiełznać w regularność geometrii wyciszonej błękitem. Pośród tego erupcja słów wpisanych ręką artysty w pejzaż, niczym lawa rozlewających się wzdłuż horyzontu i poza jego linią. To kraina zaklinana, odczarowywana, jedynie w chwilach nagłego olśnienia pozostawiana bez inskrypcji. W krajobrazach Vokolka przyciąga witalna energia płynąca jakby z wnętrza Ziemi. Ten odśrodkowy ruch ma moc kreacji. Wyrwa nas ze statyczności i rzuca w nieznany świat pierwotnych potęg. Nie jest

⁴⁵ Oldřich Král (1930–2018), znany czeski sinolog, wyjaśnia: „Základním pojmem celé taoistické filosofie je TAO – všudypřítomný, všeobsažený, nepostizitelný, a přece vše ovládající princip přirozeného zákona všehomíru, pojmově nepostizitelné leč netrascendentní absolutno” („Podstawowym pojęciem całej filozofii taoistycznej jest TAO – wszechobecny, wszechogarniający, nieuchwytna a jednak kontrolująca wszystko zasada naturalnego prawa wszechświata, niepojęty ale nietrascendentny absolut”) [w:] tegoż, *Tao. Texty staré Číny*, przeł. O. Král, Praga 1971, s. 24.

⁴⁶ Roger Caillois (1913–1978); francuski pisarz, filozof i estetyk. Vokolek opracował graficznie czeskie wydanie wyboru jego pism pt. *Kameny a další texty*, przeł. J. Hrdlička, Praha 2008.

⁴⁷ Zob. np. V. Vokolek, *Anekdotickejší anonymní lid (Hic iacet). Poémy o komunistickém puči psané 1948–1950*, „Sešity Knihovny Václava Havla”, Praha 2011, nr 1, s. 85.

⁴⁸ Informacje pochodzące od autora.

⁴⁹ Chang Chung-yuan, *Spokoj duszy odzwierciedlony w chińskim malarstwie*, przeł. M. Markiewicz [w:] *Estetyka chińska*, dz. cyt., s. 247. Autor cytuje w swoim szkicu krytyka i malarza z V wieku, znanego pod imieniem Wang Wei.

on jednak mroczny. W największej nawet gęstwinie widzimy bowiem światło, które staje się nam przewodnikiem, a linia horyzontu obietnicą (*Co je za obzorem? / Co jest za horyzontem?*).

Wiele obrazów Vokolka sprawia wrażenie, jakby artysta starał się uchwycić początek stworzenia (*Ab ovo*) w genezyjskim sensie: „malarstwo nie powinno zadowalać się odtwarzaniem zewnętrznego wyglądu świata: powinno ono odtwarzać wszechświat zrodzony równocześnie z pierwotnego Tchnienia i z ducha malarza”⁵⁰. Słowa wydobywające się ze szczelin, pęknięć budzą wątpliwość, czy to myśl (Logos) rodzi materię, czy raczej na odwrót. Vokolek poeta w wierszu *Ukryto v mechu* (*Ukryte we mchu*) pisze:

Matka Země
lačně otevřít
svůj žhnoucí klín.
Dokořán otevřená brána
plná něžných stahů, slin,
šťáv a nevyřčených vin⁵¹.

[Matka Ziemia / chciwie otwiera / swoje rozpalone łono. / Na oścież otwarta brama / pełna łagodnych skurczów, ślin, / soków i niewypowiedzianych win.]

Wydaje się, że w obrazach Vokolka nie ma ludzkiej miary. Patrzymy na jakąś pierwotną substancję, w której dla człowieka nie ma miejsca. Jest to jednak wrażenie pozorne. O ludzkiej obecności świadczy przecież pismo w postaci gęsto umieszczanych inskrypcji, cytatów, luźnych asocjacji. Kultura odcisnęła zatem swoje piętno na pramaterii, z której autor stara się wydobyć sensy. Krajobraz staje się dosłownie tekstem, który czytamy, niczym kaligrafię wkomponowaną w dalekowschodni obraz: „Sztuka kaligrafii jest mistyczna i subtelna. Opiera się na połączeniu duchowym, a nie sztucznym wysiłku. Wymaga oświecenia umysłu, a nie pojmowania zmysłami. [...] Jest to filozofia kaligrafii, lecz można ją również zastosować w malarstwie”⁵². Vokolek zdaje się czerpać z mądrości wschodnich mistrzów (jeden z jego obrazów prezentowanych na wystawie nosił tytuł *Velká čínská krajina / Wielka kraina chińska*) szczególnie wtedy, gdy umieszcza poetyckie fragmenty w przestrzeni obrazu:

W obrębie obrazu [...] poemat, przez swój rytm i treść odsyłającą do przeżytego doświadczenia, ujawnia proces, skutek którego umysł malarza trafia na obraz, a poprzez echo, które wzbudza, stanowi przedłużenie obrazu. [...] Wiersz na obrazie pozwala w ten sposób człowiekowi zaznaczyć swą obecność w obrębie Nieba-Ziemi mimo nieobecności jego postaci⁵³.

⁵⁰ F. Cheng, *Pustka w chińskim malarstwie*, przeł. A. Zemanek [w:] *Estetyka chińska*, dz. cyt., s. 281–282.

⁵¹ V. Vokolek, *Obrysy a obzory*, Praha 2007, s. 99.

⁵² F. Cheng, dz. cyt., s. 261–262.

⁵³ Tamże, s. 286.

Podobnie rzecz się ma z mentalną organizacją⁵⁴ przedstawionych elementów krajobrazu. W obrazach Vokolka dominuje podwójna perspektywa powietrzna typowa dla dalekowschodniej tradycji: „Podwójna perspektywa [...] jest wyrazem chińskiego malarza, by przeżyć istotę wszelkich rzeczy we wszechświecie, a stać – by spełnić się”⁵⁵. Według tej zasady porządkowania przestrzeni z jednej strony zakłada się, że artysta znajduje się na podwyższeniu, z którego ogarnia panoramę krajobrazu, z drugiej – że porusza się jakby po obrazie: „w rytmie dynamicznej przestrzeni, kontemplując rzeczy z dala, z bliska i z różnych stron”⁵⁶. O obecności artysty wewnątrz obrazu świadczą pozostawione tam ślady w postaci napisów – dowodów przeżycia w perspektywie bycia wewnątrz. Wstępowanie do obrazów to jeden z kluczowych motywów twórczości Vokolka: „Malarz dąży do stworzenia przestrzeni pośredniczącej, w obrębie której człowiek dołącza do nurtu życiowego; obraz jest przeznaczony bardziej do zamieszkania w nim aniżeli do oglądania”⁵⁷.

Twórczość Vokolka to w przeważającej części artystyczne studium krajobrazu, który dla autora jest nie tyle źródłem inspiracji, ile materią tworzącą. Siłą rzeczy właśnie las – najlepiej określający charakter czeskiej kotliny, zajmuje szczególnie miejsce w jego sztuce pisarskiej i plastycznej. Ten typ krajobrazu zna bowiem autor najlepiej. Staje się on dla niego pejzażem duszy, w którym poprzez mroki i zasadzki „leśnej”, czyli mrocznej natury, odkrywa tkwiący w nim potencjał poznania ponadzmysłowego, archetypalnego. O przekroczeniu pierwotnej, a zarazem ciemnej strony natury wpisanej w charakter lasu świadczą epifanie, ich słowne opisy w wierszach, transpozycje malarskie oraz inskrypcje wplecione w obrazy.

Las wiedzie pielgrzyma ku olśnieniu, w którym ten wyjątkowy wędrowiec rozplywa się i unicestwia. Z tym doświadczeniem wiąże się i przestroga, której autor dał wyraz w jednym z esejów poświęconych miejscu tajemnym w czeskiej kotlinie: „Nikdy bychom neměli hledat ukryté. Snad jen zasvěcenec může nahlédnout do skryše, kterou dokáže najít. Pokud se v ní ovšem neschová sám a nepodá o tom sebestnější zprávu. To, co se ukrývá, je podstatou světa, krajiny, obrazu”⁵⁸ („Nigdy nie mielibyśmy szukać tego, co ukryte. Przecież tylko człowiek wtajemniczony może zajrzeć do kryjówki, którą zdoła znaleźć. O ile sam się w niej nie schowa i nie pozostawi nawet najmniejszego śladu. To, co się skrywa, jest istotą świata, pejzażu, obrazu”).

Iwona Matuszkiewicz

⁵⁴ Tamże, s. 283.

⁵⁵ Tamże.

⁵⁶ Tamże, s. 283.

⁵⁷ F. Cheng, dz. cyt., s. 283.

⁵⁸ V. Vokolek, *Exily a úkryty v české krajině: (nahlednutí za nízké horizonty)*, Praha 2006, s. 31.

The Hercynian Forest

Summary

The article presents the motif of the forest in the literary and artistic works of Václav Vokolek (born 1947). This unknown in Poland Czech author with many artistic talents refers in his poetry and art to the topos of the Hercynian Forest as a domain of mythical forces and creatures. The researcher places selection of his works in the rich context of Western culture (including Platonic philosophy, American transcendentalism, existential phenomenology, Caspar David Friedrich's painting, etc.) and the Eastern one (Taoist philosophy, Chinese painting). She also points to the process of romantic internalization of the landscape (forest), which becomes the area of subjective searches for the truth of being and the space of self-realization.



M. Skałbania *Most, Fareham*, sucha igła

Václav Vokolek

DE NATURA SONORIS ALBO TRZYDZIEŚCI ROZDZIAŁÓW PANA MOROUNKA*

Rozdział piąty (*obrazy, obrazy, obrazy*)

„...gdzie jest ta granica między rzeczywistością a marzeniem, między rzeczywistością a jej odbiciem, między realnością a surreality, między prawdą a...”.

Profesor doktor Amadeus Hieberle nagle przerwał i spojrzal na Morounka. Jego niebieskie, szczere oczy z dziecięcą naiwnością patrzyły zza silnych szkieł.

„Pokażcie mi w końcu granicę między światem widzialnym a światem naszych idei” wykrzykiwał ze starczym uporem.

„Stoimy właśnie w autentycznym barokowym wnętrzu, otoczeni obrazami holenderskich pejzażystów, ale tam”, machnął ręką w stronę okna, „tam za granicą trójmilimetrowego szkła jest przyroda – drzewa, ptaki, zatem rozmaita fauna i flora – a tutaj? Dwa światy, kolego, dwa światy. Ale granica jest wyznaczona. Wystarczy otworzyć okno i...”.

„I skoczyć na dół”, zamruczał Morounek.

Profesor udał, że nie słyszy.

„Ale tu”, wskazał na *Pejzaż leśny* Ruysdaela, „granica nie jest oczywista. Na pewno istnieje i na pewno można ją przekroczyć. To tylko niepozorna warstwa damarowego werniksu oddziela nas od tej przepięknej krajiny, która jest bez wątplenia równie rzeczywista, jak natura za oknem albo tak samo nierealna, jak to historyczne wnętrze. Ale pokonać, przekroczyć tę granicę...”.

„Damarowy werniks”, zaszeptał po chwili milczenia.

„Wystarczy otworzyć okno i wychylić się”, rzekł w zamysleniu Morounek.

„I skoczyć w dół, panie kolego! Oczywiście, że skoczyć w dół!”, śmiał się Amadeus Hieberle.

Uklonił się lekko, podszedł do samego obrazu i wstąpił weń.

Po prostu zniknął.

Morounek stał przerażony pośrodku sali.

Potem on także przystąpił do obrazu.

Powierzchnia lśniła i odbijała się w niej blada twarz Morounka. Ostrożnie dotknął płótna. Gładź zarejestrowała odciski palców. W subtelnej krakelurze pozostały cząsteczki potu.

* V. Vokolek, *Lov žen a jiné odložené slavnosti*, Praha 1993, s. 32. Tytuł *De natura sonoris* pochodzi od nazwy kompozycji Krzysztofa Pendereckiego [uwaga tłumacza].

„Dotykanie obrazów jest zakazane”, zaskrzeczał za jego plecami kustosz o twarzy satyra.

Cofnął się więc, a w końcówkach palców przebiegł mu delikatny dreszcz.
Obrazy lśniły mgliście w złożonych ramach.

KIM JESTEŚ?^{*}

IV.

Siedział do późnej nocy. Wokół lampy krążyły ćmy opite światłem, których delikatne skrzydła uporczywie uderzały w rozjarzone złudzenie słońca. Za oknami rozlewała się srebrzysta księżycowa poświata i wznosiła oswobodzona nagle woń fiołków. Z Hölderlinowego „Hyperiona”, który leżał otwarty na obrusie w kwiaty, biła niezwykła jasność. Pochylił się nad falującą powierzchnią stronicy i między słowami spostrzegł swą własną twarz. Chorobliwie błyszczące oczy. Zmarszczki. Marny wyraz. A czoło? Pogórze Tmolos, skąd na niziny wpada złotonośna rzeka Paktolos. A wargi? Dodoński gaj! Ach, Boże! Znowu obłąd! Ze wstrętem zamknął książkę, zgasił lampę, wstrzymał oddech. Ze wstrętem potknął ostatnie pytanie. Kim jesteś?

Jestem płomieniem. Moje ciało jest zmienne jak sen.

Płonę pośród ciemności,

gasnę w tęsknotach.

Podpalam strach. W wyschniętych gęstwinach

samotni tę się pod splecionymi korzeniami.

Złowieszco przeskakuję z ciemności do ciemności.

Żwawo zażegam knoty

żarliwości.

Kiedyś wędrowałem przez pustynię

i spotkałem człowieka, co przyciskał czoło

do żarzącego paleniska piasku.

Rozpaliłem wokół niego

krąg błękitnych płomyków,

przeskakiwałem z horyzontu na horyzont

roziskrzałem i zapalałem widziadła.

Zagrzebywałem w piasku żar żądz

i pokusy.

Nieznajomy wyciągnął dłoń a ja usiadłem na niej.

Czerwony ptak. Od tej chwili podróżujemy razem.

Tak. Podpalamy. Tak. Spalamy.

Iskrą przeskakujemy. Tak.

^{*} V. Vokolek, *Hercynský les*, Olomouc 2000, s. 76–79, 98–99.

Z ciemności do ciemności.
Wnosimy ogień do samotni.
Wzywamy płomienie.

V.

Przemknął przez bramę, obszedł rynek, pokłonił konnej rzeźbie Zatożyciela, symbolowi Zbawiciela i w złocie wykonanemu wizerunkowi Zwiastuna. W karczmie Pod Czarnym Wołem wcisnął się do kąta. Kapelusz na czoło. Kołnierzyk do góry. Usta na dziesięć zamków. Mimo to pozdrowiła go. Kto? Naturalnie donia Sarita, ta, co to każdego wieczora przestawała przed kawiarnią na Plaza de Armas. Dlaczego? Ponieważ miała aż nazbyt łabędzią szyję i nadzwyczaj pobrudzony palcami różaniec. Tylko dlatego? Wieczór był rewolwerem ostro nabitym pytaniami. Sarita wyciągnęła rękę, tylekroć pragnęła dotknąć męskiej szyi, ale wyciągnięte paluszki chwyciły tylko powietrze. Ach, Panie! Chciała namacać jego usta, lecz ręka bezsilnie opadła w próżnię. Chryste! Rozłożyła ramiona, ale w objęciu pozostała jedynie garść pustych łachów. Kim jesteś, Panie?

Jestem przywidzeniem. Przenikam granice bytu,
odbijam się w toni istnienia
jako niewiędnący kwiat lilii wodnej.
Mówili mi Coxcoxtli, też Uta-napiszti,
nazywali mnie Deukalionem, reagowałem
i na imię Noe. Miałem wiele imion.
Ale tego prawdziwego nikt nie wymówił.
Ani ten,
kto mi je dał z litości.
Musiałem przeżyć.
W czasach, gdy gradobicie, czarny deszcz, mgła
i nieopisane zimno spadły na ledwie zrodzony ród.
Musiałem przeżyć.
Wszystkich. Wszystko. To było wyzwolenie?
Była to ta największa kara?
Nie dano mi odpowiedzi.
Coś tylko mi wspomniano.
Wskazano.
Świat się zatem zapadł w głębinę.
W pamięci ziemi została tylko ciemność
i obojętna toń potopu.
I ja. Zjawia o tylu imionach.
Człowiek.

XV.

Wciąż uciekał. Unikał ludzkich siedzib tak samo jak dróg. Przedzierał się przez ciernie, błędził po lasach, ukrywał w ciemnych załomach skał. Uciekał. Często zmieniał kierunek. Był dlań zupełnie obojętny, ponieważ nie istniał cel. Było tylko przed nim i za nim. Był tylko on i jego prześladowcy. Ale być może nie było ani ich, ani jego. Była tylko ucieczka. Pod wieczór dokuśtykał do studzienki ukrytej pod wiekowym bukiem. Złakniony pochylał się i z zaskoczeniem spostrzegł w jej toni obcą twarz. Kim jesteś? wychrypiał. Kim jesteś? zabrzmiało echem ze zwierciadła.

Ja jestem ja. Obraz.

Ja. Siebie pełen. Ty?

Ja. Do ciebie zapadły. Odblask.

Do siebie wrosły. Cień.

Do siebie zapatrzony. Pogrążony.

Ja. A ty? Ja w tobie. W sobie klin.

Ja jestem ja. Opętana

podobizna pływająca na powierzchni

szkła. Napij się.

Wargi spragnione dotkną warg.

Aortę poznania boleśnie

szpon zwarł. Trwa swar.

Ja jestem jeszcze stale ja.

KRAJOBRAZ*

Jeśli widzialną przyrodę, którą czasowo zamieszkujemy, nazywamy krainą, to chodzi o wyjątkowy wycinek świata, który jest naszym domem. Z dawna przypisaną nam przestrzenią naszego bytu, sceną wydarzeń i zmiennych losów. Przebywanie w krainie wytycza zarysy i horyzonty. Stąd aż tam. Stamtąd aż tu. Wyziębłe gniazdo rodzimej krainy jest zbudowane z błogich wspomnień, strzępów marzeń, niezatartych dotyków i dawno wypowiedzianych a niedawno zapomnianych słów. Krajobraz staje się z biegiem czasu zwierciadłem, w jakim przegląda się śmiertelny człowiek, tak samo jak nieśmiertelny Stworzyciel. Miejscem, gdzie ziemia dotyka niebios...

*Poniższe dwa teksty to autorski prolog i epilog publikacji zawierającej poezje i rysunki Václava Vokolka pt. *Obrysy a obzory*, Praha 2007, s. 7, 104.

Każdy krajobraz stwarza złudzenie, że jest końcem świata. Skłania się za horyzont i w niespodziewanej rozkoszy spada za jego grań i leci w dół w niekończące się ciemności kresu. Do następnej krainy, która stwarza złudzenie, że jest końcem świata. Właśnie w ten sposób uzyskiwał obrazy pejzażu. Chwytał je, padające o rozbrasku, i odbijał w czarnobiałych pułapkach. Chemicznymi procesami trawił ich powierzchnię, drążył w nich swe nory, aż do krwi drapał ich łagodne zmierzchanie. Zawsze był bez miłosierdzia. Bez litości. I bardzo uważny pejzażysta...

Václav Vokolek

Wybrał i przełożył Antoni Matuszkiewicz



M. Skalbania, *Thomas Wriothesley, 1st Earl of Southampton, Titchfield Abbey*, sucha igła

Lenka Daňhelová

KRAINIE

Nawet nie napisałam ci
żadnego wiersza,
to znaczy wyznania.
A już uciekam.
Nie chcę się oglądać
i gubię rzeczy w pośpiechu.
Omiotam wzrokiem kontury gór
duchem już gdzie indziej.
Nie wiem, czy będzie mi się chciało
powiedzieć kiedyś,
że mi ciebie brak.
To by mnie pewnie przejęło
do łez.

SŁOWA

Mocne słowa, wciąż mocniejsze słowa
nazywające wciąż te same rzeczy.
Śmierć. Nadmiar śmierci.
W tym hałasie
w tym lesie gestykulujących ramion
gubią się: niepotrzebne.
Groza przejmuje tylko wtedy,
jeśli wyobrazisz sobie swój strach
w tej chwili.
Tylko jak.
Śmierć, ona jest zbyt daleko
i jej widok już zaczyna pokrywać ziarnistość.

POKÓJ SZPITALNY

Stolik przepelniony owocami i jedzeniem.

Więcej niż można zjeść.

Wspomnienie

ukradkowych spojrzeń nieśmiałych

dotknięć strzępów rozmów.

Nadzieja odchodzi z tymi,

co przyszli dziś w odwiedzin.

Mogą być takie chwile, gdy się czujesz
jak przed urodzeniem.

Mrok,

odpowiednia cisza,

ty,

i jeszcze ktoś.

Będziesz go potem zawsze szukać.

w dniu kiedy pomyślałam sobie
że już nic mnie nie może zaskoczyć
znalazłam pod drzewem
obok od wieków opuszczonego domu
gruszki
smakowały jak żadne wcześniej
i naraz zobaczyłam
rodziny które tu mieszkały
czerwoną jesień w lesie
blade błękitne niebo
w powietrzu niósł się zapach
suchej trawy
wiatr rwał liście z drzew
przynosił deszcz

Wtedy nie mogło nadejść nic lepszego:
Las, w którym się pociąg zatrzymał,
zachował w sobie nieco chłodu pachnącego gliną,
słychać było stłumiony szmer liści wiatr uderzał
na pnie,
spadał
między koronami;
przez zielen przeświecało słońce.
Tak jak jest boleść, jest i szczęście.
A gdy masz jedno, drugie nie znika.

(29. 7. 06 między Zátorem a Miloticami)

To była moja babcia
Nikt mnie nie obejmował tak jak ona
Niemał do omdlenia
Teraz wiem dobrze też o tym
Dużo piła
I biła moją mamę
I nikogo do obejmowania w domu nie było
Ale mnie wtedy nie przeszkadzały jej splecione włosy
I jej nieprzytomny wzrok, na pół szalony,
jaki mają zwierzęta zaszczone na śmierć
Ani nie czułam jak cuchnie jej z ust,
naprawdę nie,
kiedy tańczyliśmy ze sobą
w takt starych walczyków z chrypiącego gramofonu
i mówiła mi:
„Jesteś prawdziwą damą”.

Na ziemi zapach
nadgniętych liści, szumi
deszcz, w pustych
koronach drzew
kraczą wrony.
Niczego życiu nie brak
póki
ma śmierć.

PO RAZ DRUGI

Nie możemy otworzyć wieka.
Przestępujemy,
rozmyślamy, jak się
ustawić – bokiem czy plecami.
Twarzą, ból nas rozerwie.
Nie ma tu wyjścia.
Tylko twarde wypolerowane drewno,
wokół tajemnicy.

Nie trzeba było nic robić.
Tylko się uwolnić. Pozwolić cierpieniu
przyjść.
Innego wyjścia dla niego
z ciebie nie ma.

TYLE ŻYCIA

zatrzymałam się wśród tego lasu
a on nagle ożył
nad koronami drzew przeleciała kania
przerażająco bezszelestnie
potok się rozszemrał
trzmiel przewrócony na grzbiet w końcu
wstał i postępował
w swej zatroskanej pielgrzymce
zeszłorocznymi liśćmi
motyl trzepotał nad paprocią
Bóg wie jak pojmując szum liści
psy na chwilę umilkły legły
u nóg z trwogą spoglądając wzwyż
tyle życia poza nimi samymi je zmogło

Lenka Daňhelová
Przełożył Antoni Matuszkiewicz

Antoni Matuszkiewicz

BOLEŚĆ I SZCZĘŚCIE

„Tak jak jest boleść, jest i szczęście. / A gdy masz jedno, drugie nie znika”. Autorka tych zdań, Lenka Daňhelová, ujawnia bezwarunkową na pierwszy rzut oka akceptację i szeroką empatię wobec wszystkiego, co żywe, aż czytając, chciałoby się zazdrościć jej koniom czy psom. Współczuje z miejscem. To jakieś drzewo, pole, droga, błoto i kurz. Trawa albo inna roślina pospolita. To kamieniołom za opłotkami, wzgórze Celtów na horyzoncie (co w Czechach nie jest aż taką rzadkością), ale i samo mieszkanie, mieszkania, ich elementy, ściana, przez którą przedzierają się myszy, okna, progi i drzwi. Wszystko konkretne, jakby wręcz z adresem, ponieważ niepowtarzalne, odniesione do indywidualnych dziejów duszy, a zarazem



Antoni i Iwona Matuszkiewiczowie, Lenka Daňhelová w pracowni ikon Patrycji Obarewicz, Bukowice 27.07.2020

niedookreślone, bo ufundowane na dziewczęcej pamięci, skadowane uczuciem, umieszczone w siatce rodzinnych napięć, fascynacji stworzeniem, podawane nam do oglądu, do wierzenia, nieco jak szopka prezentowana przez kołędników, precyzyjna, naturalistyczna w szczególe, zarazem uogólniona, że aż nie z tego świata. Nad tym wszystkim dominuje refleksja, niby potok, jaki znajdziemy w większości wiosek i miasteczek, zawsze w kontakcie z określonym brzegiem.

Daňhelová przepływa myślą, emocją, wspomnieniem przez oswojone, nierzadko boleśnie, zakamarki. Nurt nie jest z reguły pośpieszny, musi odzwierciedlić ważny, w tym niepowtarzalnym przecież życiu, moment. Rzec można, poetka, przy całej swojej czułości, jest nieustępliwa, nieubłagana w ukazywaniu obrazów w oczywistym tylko dla niej wyborze i kolejności. Często, aby uchwycić jedynie aurę, intymne odczucie, intuicję. Wir emocji, jakiego nie spodziewałby się nikt inny. A nagromadzony tak materiał poetycki częstokroć nie zapala się buzującym płomieniem, ale tli ezoterycznością swoich sensów, niby wciąż dogasające, niesyte paliwa ognisko. To, co niewiadome, wątpliwe, nie w pełni światła – także jest z jej świata, a czasem i to, co się nie stało, czego nie ma. Składa się na rzeczywistość, życie nieprzeźrocyste. Często w wierszach występuje mgła, która koresponduje z nieostrością wspomnień, wynika z powszedniości nazbyt oswojonej i odmienności, jakiej oswoić nie sposób. Również z sekretnego żywota przyrody. Mgła znacząca sferę pytań ostatecznych, które trwają w niej w zawieszeniu. Obłok niewiedzy umożliwia poruszanie się w czasie, zmianę miejsca, współistnienie z eliptycznością mowy, lakonicznością, dyskrecją. Kryje także niebezpieczeństwa, nie wszystko trzeba, nie wszystko można bezkarnie zobaczyć, od kierunku spojrzenia może zależeć życie. Jak choćby w wierszu *Po raz drugi*: „jak się ustawić – bokiem / czy plecami. / Twarzą, ból nas rozerwie”.

Pointy ukazują się czasami, ale też nie zawsze tam, gdzie by się ich oczekiwało. Autorka, komponując swój pogląd na świat, chce wiedzieć tyle, ile wie, widzieć, ile widzi, słyszeć, ile słyszy, nade wszystko zachować siebie, nie zniknąć sobie samej we mgle. I nie wykreować się w żaden sposób. Niekiedy tylko pyta. Jej powaga mówienia o sobie – mówienia mało, tego tylko, co niezbędne, najważniejsze, najważniejsze subiektywnie – narzucająca respekt wobec kogoś, kto cierpiął, kto cierpi, kto kochał nieszczęśliwie. Nie tylko ludzi – psa, drzewo, dotkniętą ziemię. Zapytać o więcej znaczyłoby zadać jeszcze jeden ból. Aż czytelnik jej wierszy czuje się zawstydzony i robi rachunek sumienia z własnego podglądactwa – i z własnego ekshibicjonizmu. To, co opisane, nie jest żadną miarą studium, jest odkryciem. Ukazane, dzięki swej enigmatyczności, wciąż przylega do autorki. Jakby nieurodzone ostatecznie. Nie dostajemy tego na własność – bez niej. Jakby wciąż zachowywała sobie prawo, aby nam to zabrać. Prawdziwa poezja pozostaje w ustach wypowiadającego, naznaczona nim, prawdziwa jego prawdą. Poezja, jak wszelka duchowość, umiera na obiektywność, żyje bowiem ze środka, z wnętrza. Poezja, która jest nam dostępna, może tylko być wcielona. Jest wcieleniem. Rozradza z każdym wierszem i reinkarnuje, jak w wierszu *Na bukowym stoku*:

Przystanąć,
zapatrzeć się w złotą zieleni,
pojąć, że ból nie jest bólem,
szczęście szczęściem nie jest.

To zapatrzenie pozwala pouklądać świat zewnętrzny w sobie, a ten świat jest raczej powszechnie ludzki niż czeski, nieraz zdaje się, że niesie się nim echo dalekowschodniego buddyzmu (jak na przykład w powyższym cytacie), chociaż u podłoża rzeczywistości przedstawionej czujemy oddech prowincji, jaką znamy z opowieści Bohumila Hrabala, z jego Kerska, czy znad brzegów Szavy Oty Pavla, z poezji Bohuslava Reynka, Zbyňka Hejdy lub Jana Skácela i jakby coś z metafor Otokara Březiny nazbieranych na jego podmiejskich spacerach.

Antoni Matuszkiewicz



M. Skalbania, *Baron Thomas Wriothesley z matką Jane, First Countess of Southampton*, sucha igła

I Nagroda XVI OKP im. Kazimierza Ratonia 2020

Łukasz Barys

WDOWA

Tę wdowę odwiedzałaś po szkole
(rodzice pracowali i nie miał cię kto odebrać),
mieszkała sama, dzieci drażniły Irlandię,
wpuszczała cię do ogrodu i mówiła,
że połączył was ten „dziki kapitalizm”, rozkładała
przez tobą książki i wiersze na znak sprzeciwu.
Bo czasami się rozkładasz i nawet wdowie łezki
nic na to nie poradzą – masz w sobie połowę
kota, jeża po spotkaniu z motorynką, nadmuchaną
żabę albo popsutą przez kota pustułkę, dzierlatkę.
Bo czasami się rozkładasz, masz koc, ser i dżem,
i te dni są podobne do święta, ale w biało-czerwoną
kratkę, choć między tobą a wdową próżno szukać
państwa. Ona zresztą naprawdę cię kochała i
chciała dla ciebie dobrze: by słońce nie gasło,
kości się zrastały, a jabłka pękały pod naciskiem
zębów. Jak słowa, które na skrzyżowaniu kłów
i języka mają odsłaniać swoją pestkę. Gorzką,
słodką? Prawie zawsze gorzką: aż chce się zamknąć
oczy i nie mówić nic więcej. A tam się tak wiele
zdarzyło: kocury ze wsi pożarły wam myszki,
myszki pożarły wam palce. Pożarłyście się
ze sobą o ogród, bo uschnął. Wdowa umarła,
dziś się rozkłada na podobieństwo koca. Stoliczku,
nakryj się! I naprawdę nie zawiera się tu żadna
seksualność, może lśnienie. Wdowa umarła
i miałaś dom dla siebie.

W TRZECH KOLORACH, LECZ Z OBRÓŻKĄ

Wieczór na cmentarzu: znów odwiedzam babcię. Choć czasami zmarli nie chcieli dla nas dobrze, i na opuszkach palców wciąż topi się żal, którego nie sposób zetrzeć (jak z ubrań wosku), to wiersz umie zostawić niektóre zbitki za sobą. I naprawdę, śmierć to zawodniczka twardsza niż nieczystość, całe to patriarchalne słownictwo – śmierć niesie pewne porozumienie. A kot, w trzech kolorach, lecz z obrózką? Co on niesie, skacząc po Mariannie, licealistce z piątkową średnią, pułkownikowi Tomku i czcigodnym nuncjuszu apostolskim, który „mógł leżeć wszędzie, a powrócił na rodzinne łono”? Pustułkę, dziełatkę, kawkę? Gdzie niesiesz te zagrożone wygnięciem istnienia, potworze? Sądziś, że nie czytałem *Wolności* Franzena? Sądziś, że nie siedzę w lewicowym dyskursie? Sądziś, że będę siedzieć na ławce – i po prostu patrzeć? Zadasz mi pustułkę, dziełatkę, kawkę w okolicach lasu aniołków, które po kilku dniach, sekundach na ziemi – pragną nieco igraszek i płasów. Uśmiechną się, na pewno. I czy to będzie złe? Och, będzie to lepsze niż te strzępki poezji wyłowione z sieci, które nie potrafią nas pocieszyć. Te kamienne tatuaże: „odpocznę i wstanę”.

KOCIĘTA, SZCZENIĘTA, CHŁOPIĘTA

Chabra bławatka wsuwam ci za uszko, a przed nami następne, prawie igielne – bo wciąż wcześniej. Uśmiechasz się, nawet nie opowiadasz o robocie, bo prawie wszystko mi opowiedziałaś, zanim przestałem słuchać. Ta rowerowa podróż jest po to, by „następnego dnia nie tracić”, choć wolałabyś siedzieć w domu, pod kołdrą ten dzień właśnie stracić, choć *coach* mówił, że „trzeba być produktywnym, nie

zajętym”, to nam właśnie chodzi o to, by się czymkolwiek zająć. I starasz się uśmiechać z powodu koni, krów, owiec, które powiązano przy drodze. Starasz się uśmiechać z powodu domów tak biednych, że nie postawiono im płotu, lecz tak nowoczesnych, że świnie puszcza się w nich luzem. Rozczuła cię stadko kaczek, które naprawdę podążają za matką i nie wątpią, że ona chce dla nich dobrze.

„Bo kontakt z naturą poprawia nastrój, a wysiłek fizyczny to zdrowy narkotyk”.

Wszyscy tu patrzą na nas spode łba i niechętnie wskazują drogę nad jezioro, które prawie wyschło. Kocięta, szczenięta, chłopięta potopione dawno temu, wystawiają zaciekawione główki nad lustro wody. Naprawdę nie możesz zabrać ich do mieszkania, bo właściciel wypowie nam umowę. Za ponurą aurę, brak optymizmu i poszanowania dla współzycia społecznego.

KAWKI, PUSTUŁKI, DZIERLATKI

Podróż szlakiem kawek, pustulek, dzierlatek, choć „dzieci palaczy częściej zostają palaczami”, to trudno się powstrzymać i trudno na cokolwiek liczyć. Zresztą, chciałbym przelać na kogoś to wszystko, co dostałem, nawet zakładając, że świat nie zmierza powoli do końca? Czasami człowieka ogarnia taki smutek, że wszystko wokół robi się naiwne i niebieskie, i nie można się powstrzymać przed używaniem zupełnie wytartych słów: „rozpacz”, „deszcz”, „jesień” i „melancholia” – które nic nie znaczą, ale niosą ze sobą mnóstwo znaczenia. I przed oglądaniem na okrągło tych samych filmów, scrollowaniem na okrągło tych samych portali – na co się chce palić, mimo że susza i siano takie twarde

i ostre. Nawet na czytanie powieści nie ma się czasu, a co dopiero na to, by cokolwiek napisać od siebie. Podróż szlakiem kawek, pustulek i dzierlatek odsłania inną perspektywę. „Tak wcześnie robi się ciemno” i trzeba uważać na lisie nory. Stado saren zakrada się od strony lasu i w blasku niegasnących nigdy światła strefy ekonomicznej podkrađa słodkie konferencje. Co na pewno nie mieści się w pojęciu przedsiębiorczości, ale dziwnie poprawia nastrój. Niosę ci potem obgryzione owoce, słowa próbuję doprowadzić do kształtów – językiem, palcem albo nożem, i bardzo żał mi tych resztek, które toczą się pod łóżko i toczą tam rozmowę od nowa, od końca, od kurzu i trocin.

DYNIE, KABACZKI, CUKINIE

Ponieważ „często odczuwam smutek i przygnębienie”, i „tracę zainteresowanie ludźmi”, i ponieważ poranki robią się bardzo ciężkie, i ponieważ dziki kapitalizm przewala się za oknem, odbierając nam apetyt, bierzesz mnie do siebie. To naprawdę podróż w głąb, bez poduszek powietrznych, za to z licznymi nakłuciami. Nie mówię nawet o różnicach w zarobkach i alkoholizmie, ani o biedzie i psach na krótkich łańcuchach, nie mówię nawet o rzeźni i fermie królików, o chłopakach na skuterach, i nieleczonych nowotworach, bo to wiadomo od dawna, i naprawdę nie sposób o tym mówić w wierszu. A rosną, wielkie, pomarańczowe dynie, kabaczki i cukinie, które można obkrawać z baśni. Podobno o poranku łapie mróz, a „Bocian zrobił sobie trzynaścioro dzieci, które spędzają niedziele ucepięone ciągnika jak małpki”. I nie wiadomo właściwie, co z tego ma wynikać. Nie wiadomo, czemu ci ludzie, mniejsi i mniejsi, nie kładą się na ziemi, w trawie, dyniach, kabaczkach i cukinii, które robią się większe i większe. I kto zna odpowiedzi na te pytania, zadawane dość naiwnie i przypadkowo, zgodnie z wewnętrzną logiką tego miejsca? Może ten czarny, przeraźliwie chudy kot, podobny do rozwodnika-zakapiora, który chodzi po wsi z nożem w kieszeni i od dawna nie jadł ciepłego posiłku?

LEKCJA HISTORII

A wiesz, że robię teraz na budowie?
Jestem chłopcem do podawania cegieł –
właściciel szwalni kupił sobie starą szkołę
i postanowił przerobić ją na dworek szlachecki.
O świcie wchodzę do klas i omiata mnie
wołanie widmowych dzieci, które mieszkają
pod podłogą, w ścianach i obrazach.
Po prostu umarła klasa. Jak z Kantora,
ale kto u nas na wsi brał udział w takim seansie?
Właściwie każdy boi się śmierci-sprzątaczk
i dzieci-staruszków, które prowadzą mnie
w to, co odwrotne. I każda klasa – to umarła
klasa, a historia siada mi na kolanach i łąsi się
jak szczenię, które jedno z dzieci musiało
wziąć ze sobą na lekcje. Taka to śmierć? Bierze,
zostawia? A potem bierz, człowieku, kielnię
w dłoń i siedź z widmowymi dziećmi, co chcą
się na tobie zemścić? Łaskoczą i popychają cię
na ścianę? „Hej, właściciel zakładu kupił starą
szkołę i nie działa wam na szkodę” – wołam,
lecz nie mam głosu. Jestem zaledwie cieniem
na fotografii, pozostali robotnicy rzucili na trawę
puszki i buteleczki, poszli do domów. Stoję
z pędzlem w białej farbie (choć zatrudnili mnie
na czarno) i będę tak stał na wieczność.
A widmowe dzieci nic sobie z kolorów nie robią,
brązowe gałązki, szarawy popiół i przezroczyste
szkło sypią mi do śniadania, butów i kurtki.

Lukasz Barys

II nagroda XVI OKP im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020

Aleksander Wierny

WEWNĄTRZ WIERZYMY

pies bokiem precyzyjnie łeb pod płotem
zbyt wielkie ciało zostało na zewnątrz
zasapane czarne zwierzę patrzy na nas
siedzących razem w jasnym ogrodzie

siedzimy w jasnym ogrodzie otoczeni
drewnianym wciąż wątlejącym płotem
przez który nigdy nic się nie przedarło
lecz teraz czarny pies wsadził tu łeb

przekrzywiony psi łeb jest już blisko
już niemal dotyka naszych stóp lecz
zbyt wielkie ciało zostało na zewnątrz
więc jeszcze jesteśmy tutaj bezpieczni

rozmawiamy tutaj całkiem bezpieczni
choć wokół nas wątleje drewniany płot
przez który nigdy nie przeszło żadne zło

WIELKA NIEDZIELA

niewidzialne rośnie to co zasialiśmy
pożywne warzywa pożywienie ważne
w czasie zarazy co niewidzialnie rządzi
życiem ludzi ale nie roślin i zwierząt

otacza nas ogród który uprawialiśmy
teraz tylko czekamy i tylko patrzymy

na wszystkie te miejsca gdzie sialiśmy
rządzą nami niewidzialne ziarna zarazy

teraz tylko czekamy i tylko patrzemy
bo za płotem biegają dzikie zwierzęta
między nagle rozrośniętymi roślinami
rządzą nami niewidzialne ziarna zarazy

powiesiłaś tybetańskie flagi modlitewne
nad tarasem sąsiedzi wołają wielkanoc
ja nie wiem więc tylko słucham muzyki
a love supreme a love supreme a love

CAŁY STRACH

już się nie widzimy żeby nie zarażać
nad płotem pojawia się pół przechodnia
przez pół dnia często jeszcze rzadziej
tylko strach jest tu cały przez cały czas

tylko strach jest cały przez cały czas tu
po obydwu stronach płotu ale po mojej
urządzam ogród warzywny przekopuję
wierzę że zrobię wielkie zapasy jedzenia

urządzam ogród warzywny przekopuję
wolno przerzucam ciężką czarną ziemię
szybko odrzucam skojarzenie z grobem
wierzę że zrobię wielkie zapasy spokoju

zrobię wielkie zapasy jedzenia i spokoju
więc strach jest teraz tylko na zewnątrz
nad płotem przez pół dnia pojawia się
pół przechodnia obronię przed nim ogród

STARE CIAŁA

małe nowe ciała w naszych starych ciałach
licznie się lęgną i mnożą bo lgniemy do siebie
nie mamy na nie rady i nie mamy modlitwy
więc staramy się nie bać żeby dalej tu trwać

małe nowe ciała w naszych starych ciałach
są z nami na chodnikach i w supermarketach
nie mamy na nie rady i nie mamy modlitwy
jest nas coraz więcej więc ich też przybywa

jest nas coraz więcej więc ich też przybywa,
licznie się lęgną i mnożą bo lgniemy do siebie
w biurach szkołach szpitalach na skwerach
my stare słabnące ciała które chcą tu trwać

my stare słabnące ciała które chcą tu trwać
nie przetrwamy choć jest nas coraz więcej
bo ich też przybywa licznie się lęgną i mnożą
nie mamy na nie rady i nie mamy modlitwy

NAGŁE PIEKŁO

pusta koparka z jednoosobową kabiną
obok porzucony przez robotników dół
wokół żółtawej pryzmy ziemi gołębie
grzebią i dziobią w wysychającej trawie

mała koparka z jednoosobową kabiną
wokół żółtawej pryzmy ziemi gołębie
grzebią i dziobią w wysychającej trawie
omijają porzucony przez kopaczy dół

pusta koparka z jednoosobową kabiną
puste alejki ławki cały skwer bez ludzi

został tylko głęboki dół a obok gołębie
co grzebią i dziobią w rzędzącej trawie

puste alejki ławki cały skwer bez ludzi
został tylko głęboki dół a obok gołębie
grzebią i dziobią tuż przy ciemnej jamie
nagłym piekłem które nas już pochłonęło

DUŻA RZECZ

dwóch dźwiga na plecach dużą rzecz
w nocy przenoszą ją między domami
kiedyś pomyślałbym o przeprowadzce
dziś podejrzewam że jednak kradną

dwóch dźwiga na plecach dużą rzecz
cokolwiek to jest jest dla nich ważne
gnają przez noc trochę przygarbieni
więc podejrzewam że jednak kradną

cokolwiek to jest jest dla nich ważne
podglądam ucieczkę nie podchodzę
choć podejrzewam że jednak kradną
wolę wierzyć że się przeprowadzają

dwóch dźwiga na plecach dużą rzecz
jeśli nie podejść będę tylko podglądać
nikt tych dwóch nigdy nie powstrzyma
ukradną wszystko co dla nas ważne

BÓG

optyk albo polityk na wielkim telebimie
obok bardzo ruchliwego skrzyżowania
my tkwimy w samochodzie i patrzymy
na spokojną szczerą twarz w okularach

obok bardzo ruchliwego skrzyżowania
optyk albo polityk z wielkiego telebimu
ze spokojną szczerą twarzą w okularach
uparcie spogląda na nasz mały samochód

nad telebimem ogromne i ciemne niebo
my tkwimy razem wewnątrz i patrzymy
na spokojną szczerą twarz w okularach
skryci w niepełnej ciemności samochodu

optyk albo polityk z wielkiego telebimu
spogląda uparcie na nasz mały samochód
wewnątrz którego kulimy się w ciemności
i czekamy pod coraz większym niebem

obok bardzo ruchliwego skrzyżowania
optyk albo polityk na wielkim telebimie
świeci pod ogromnym i ciemnym niebem
ale tylko przez chwilę bo coś go zastępuje

Aleksander Wierny

III miejsce XIII OKP im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020

Wojciech Roszkowski

OWOC

Wyjedźmy stąd dziś, wyjedźmy. W tym mieście jest za dużo umarłych. Wraki na wzgórzu, popękane szyby. Ciała w żarnach ziemi. Na mrozie śmierć nie ma zapachu, trwa luty, wykrawa z powietrza ciężkie plastry chłodu.

„Czy w Europie zaczęła się wojna?”, pyta mała Ola. Pusty park, śnieguliczki, ciepło jej dotyku otwiera szczeliny pełne zeszłorocznej trawy, tu można spędzić całą śmierć,

płatko. Pod ściółką zagrzebało się jakieś drobne życie, nagie, niepojęte jak świat chłopczyka, którego matka oddaje za chleb. Jak chleb odarty ze skóry, do krwi, do tkanek, przekrojony miękisz...

„Nie chcę być pomarańczą. Nie chcę dojrzewać zimą”, dopowiada Ola, a przecież nie słyszy moich myśli. W jej oczach światło pomieszane z wodą, park, w nim wiele drzew,

gałęzi bez liści. Na jednej chłopczyk, obok wisi owoc.

LIST OSTATNI

I gdybym został sam, nie miałbym komu umrzeć?
Za nami polska zima w rozwianym welonie. Ty tutaj,

pośrodku pokoju bez okien, jak rozpoznajesz pory doby?
Jesteśmy wzajemną igraszką, iskierką z płonącego papieru,

snem jednodniowej jętki na liściu, dla niej obraca się
ziemia w kroplach porannej rosy, w otwartym na oścież

słońcu południa, w eucharystii wieczoru. „Byliśmy razem
całe życie”, mówi owad, gdy wino wylewa się na obrus nieba,

kwiat – to krople atramentu. Pomyśl, ja jestem tym, który od lat
czeka pod cukiernią na Grodzkiej. Pewnie powiesz: „Wystarczy

szum wierzb nad Utratą, tętno czarno-białych klawiszy Steinwaya”.
Gdybyśmy wiedzieli, dla kogo powstały *Sonety*, nasz byłby

klucz do duszy Szekspira. A tak, wrzucony do rzeki. Pewnie
powiesz: „Nawet pełny spis *crimini* Caravaggia nie pozwoli pojąć

malowideł z pałacu Borghese”. Więc spal moje listy. Słowo
nie ma mocy, by zmienić cokolwiek. Życie ma. Śmierć ma.

NIEPRZEKŁADALNE

*This is the way the way the world ends
Not with a bang but a whimper.
I tak się właśnie kończy świat
Nie hukiem ale skomleniem.*

T.S. Eliot, *The Hollow Men*
Przeł. C. Miłosz

A whimper? To słowo niesie nie tylko psi skowyt,
także ciche kwilenie niemowlęcia nocą. I płytki oddech

starca w szpitalu na Śniadeckich (czy w tym roku jaskółki
uwiły tam gniazda?). Już późno. Za oknem

naprzeciwko mokre światło sklepowej witryny
wyświetla obraz z dzieciństwa: mróz, kruchy, łamliwy

jak krzaki agrestu. Konary drzew w bandażach śniegu.
Matowa biel ulicy rozdarła krwawą rysą na policzku

chłopca z zespołem Downa. I słaby, stłumiony szmer
z jego ust. Jakby był dzieckiem czekającym w przedszkolu,

które już wie, że dzisiaj nikt nie przyjdzie. „Uderz go!
Jeszcze!”. Podpuszczali. A ja biłem rzemyskiem, mocno.

PRZERĘBEL

To nieprawda, że znikł w przerębli. W tym miejscu
Narew ledwo się poczynała, drobinka wtulona w łożysko.
Przecież by się nie zmieścił,

niemal dwumetrowy. Pamiętasz? Płakał na widok cyrkowych
kłaunów, światełek samolotu o północy – bo gdzieś musi być
jakiś Amsterdam, Wenecja, mokre gołębie pod dzwonnica

św. Marka. Dziewczyna w martensach i mini. I miłość
po czerwień zachodu, śmierć słońca, zatrzymane na kliszy
podręczne hoteliki, wszystkie McDonaldy na trasie.

Coś zostawił w wynajętym, wilgotnym mieszkaniu. „Nacieki
do węzłów chłonnych. Mam raka” – przerywasz mi nagle.
Wpatruję się w płamę na suficie, kiście pajęczych nici.

Gdzieś otwiera się toń, głęboki sen, w którym nic się nie śni,
nic, choćby pola po deszczu, nieobecność ciała.

KALSARIKÄNNIT

Okna mleczarni oszronionym świtem, białe łany turzyc,
skarpa. Za nią pewnie kilka metrów wody, pierwszy blask
oświetla twój twarz pod lodem. Nie wiem co dalej,
ten obraz nie dociera

w głąb mojego pokoju. Prosisz: „przetłumacz *kalsarikännit*” –
pić alkohol, w domu, w samej bieliźnie, nie myśleć o tym,
by iść dokądkolwiek

przez śródleśne jezioro. Tropy na śniegu, który odgarniam.
Minus dwadzieścia wykuwa taflę. Idealne lustro, nocą
mróz marzył cicho niczym uśmiech dziewczyny zwabionej
w miejsce odludne

jak Finlandia. Brzęk tłuczonej butelki. Jest coś do ukrycia:
twoje imię, kilka siwych włosów, gdy się nade mną
pochylasz, blizna

po cesarce. „Odkąd mam dziecko, bardziej uważam”. Więc
mówię szeptem, stąпам na palcach, choć nikogo nie ma
w mieszkaniu. Drzwi już są zamknięte. Tylko trochę dłużej
pozostaje zapach.

Wojciech Roszkowski

Jacek Antoni Zieliński

MALARZ I MODELKA

Wyszła zza parawanu jak z kąpielni: czysta, świeża, jasna. Zawsze taka wychodziła. (Jak ona to robi, że zawsze jest taka czysta, świeża, jasna?). Jej ciało ma coś z marmuru i coś z porcelany. Skóra przyjmująca światło i oddająca je w łagodnym promieniowaniu. Jest w tym jakaś życzliwość. Zawsze gotowa do współpracy. Nie uległość, ale życzliwa współpraca. Zgadywanie jego myśli, gdy chodzi o najdrobniejsze różnice układu ciała. Niezastąpiona. Po trzech poprzednich, które gdy rysował, to jakby jechał pod górę na rowerze.

Wszystko to prawda, ale on przed arkuszem białego papieru – wciąż szukający po omacku drogi w ciemności. Do tego labiryntu ona już nie ma wstępu, tu już mu nie pomoże. Czasami, w chwilach bezradności, chwycił jej spojrzenie z ukosa. Czy rozumiała? (Raz tylko powiedział jej o tym marmurze i porcelanie. Że jest świetną modelką. Rzeczowo, trzeba uważać aby nie wywołać nawet pozorów atmosfery erotyzmu. Wtedy koniec ze wszystkim. Marmur to kamień, porcelana to wypalona glina. Jednak za tę życzliwość należał jej się jakiś komplement. Choć to niby zasługa natury, nie jej. Ale komplement jest tylko komplementem. Nawet lekarz mógłby powiedzieć pacjentce, że ma, na przykład, prawidłowo ukształtowane piersi). W jej oczach on chyba powinien być mistrzem, każda kreska niezawodna. A może myśli, że on się męczy nad poprawnością proporcji? Śmieszne. W końcu rozbawiło go przypuszczenie, że ona w ogóle może się nad tym zastanawiać. Jest tysiąc rzeczy, o których może myśleć w tej chwili. Skąd miałyby znać jego problem, skoro on sam zaczął go przeczuc dopiero po kilku seansach. Ale wie już od dawna, że niejasne przeczucia są nieomylnym drogowskazem. Więc nagła decyzja: żeby układać ją na tle własnego obrazu, namalowanego parę lat wcześniej, przedstawiającego fale i wiry górskiego potoku (jakiś Symbolewski z ubiegłego stulecia zrobiłby z niej najadę). Czy ona domyśla się, jak bardzo to wszystko dalekie od spójnego sensu? To, co się teraz pojawia na papierze.

Zdenerwowanie, że po kilkunastu seansach wciąż krąży wokół czegoś, o czym wie, że istnieje, ale nie umie tego wyświetlić. Wyświetlić – właśnie tak. Jak na kliszy. Samemu stać się kliszą. Denerwujący szelest kredki na papierze. Nic nie słyhać, tylko ten szelest. Coraz głośniej. Stać się kliszą,

stać się kliszą, stać się kliszą... Czemu tak cicho za oknami? Aha, dzisiaj niedziela. Otwiera gramofon, nastawia płytę, pierwszą z brzegu. Odezwwał się Emil Gilels. *Moment musical* Schuberta, nr 2 As-dur z opusu 94. Jakie to piękne! Nie żadna rozbudowana struktura. Tylko moment olśnienia. Nic więcej. Zauważył, że zamknęła oczy i uśmiecha się nieznacznie.

– Podoba ci się?

– Tak...

Zdumiał się, że można w ten sposób powiedzieć „tak”. Co za intonacja! To jej „tak” dawało się porównać jedynie z pamiętnym „une rose, s'il vous plait” paryskiego inwalidy. Dawno temu, na Avenue du Maine, spieszył się do przyjaciół. Inwalida na wózku sprzedawał kwiaty. „Une rose, s'il vous plait” – rzucił krótko, bo już był spóźniony. Nie stać go było na więcej. Inwalida zanurzył szczupłą dłoń w kwiatkach. Wyjął jedną różę. Z niskości swojego wózka uniósł ku niemu wąską, wrażliwą twarz w delikatnym uśmiechu. „Une rose, s'il vous plait” – podając mu gałązkę zwiędzoną bładźółtymi płatkami, odpowiedział niby echo, ale było to echo obdarzone własnym życiem i jego ton niósł ze sobą woń ogrodów, czułość kochanków i zaśpiew romansów rycerskich.

Pieniądze, które dał za różę, już nic nie znaczyły – ani dla niego, ani dla inwalidy.

*

Następny dzień: poniedziałek. Znów biały papier na desce. Który to już z kolei? (Jeden arkusz kosztuje tyle, ile godzina pozowania modelki). Słoneczna pogoda. Dużo światła w pracowni. Zwykły rytuał: wychodzi jak z kąpeli, kładzie się, promieniuje. I nagle: zdziwienie, że ona istnieje pośród świata. Nie, że ona istnieje, ale że istnienie jest nią. Nagie istnienie. Leży tam, cała w marmurach. Odległość między nimi: trzy, cztery metry? I patzenie przez nią: w fale, piany, zawirowania, błękit. W wiry istnienia. Jak przez szkło. To chyba u Joyce'a: „Granice przejrzystości”. Można i odwrotnie: przez fale, zawirowania, błękity – spojrzenie na nią. Przez półprzezroczystości, poruszenia – ku niej, linia konturu jej ciała staje się ruchomą granicą. Płynną granicą przejrzystości rzeczy.

Pozostaje mu tylko narysować to. Zaczyna lekko, ale wie, owo „tylko” będzie go znowu kosztowało szereg dni pracy. Mimo to czuje się lekko.

*

Wtorek. Zaskoczenie: ona nie przyszła. Zawsze tak punktualna. Czekał godzinę, w bardzo złym nastroju, pełen najgorszych przeczuć. Wiedział, że mieszka z matką. Telefon nie odpowiadał.

Po trzech dniach list: „Trafiała się nagle okazja, wyjechałyśmy z mamą do Krynicy Morskiej. Postąpiłam niegrzecznie, nie sprzedając

Pana. Proszę o wybaczenie. Proszę wybaczyć również to, że już nie będę mogła pozować Panu. Uzna mnie Pan za głupią, ale nic na to nie mogę poradzić. Przyglądając się Pańskim rysunkom, szczególnie tym ostatnim, zrozumiałam, że ja nic dla Pana nie znaczę. Ja wiem, że moje pretensje uzna Pan za idiotyczne, bo przecież zgodziłam się pozować za określoną opłatą i nic więcej nie powinno mnie obchodzić. Ale Pan wie, że nie jestem zawodową modelką i może to mnie usprawiedliwia. Nie wytrzymuję psychicznie takiej sytuacji. Pan patrzy przeze mnie. Na co? Tego nie wiem. Na pewno brak mi przygotowania, abym mogła to zrozumieć. Ale pod Pana wzrokiem czuję się tak, jakbym przestawała istnieć, Pan odbiera mi istnienie. To znaczy – moje własne, odrębne istnienie. Chciałabym, żebyśmy jeszcze kiedyś posłuchali razem tej pięknej muzyki, ale to się chyba nie zdarzy. Proszę nie myśleć o mnie źle. Życzę Panu sukcesów artystycznych – Dominika”.

Masz babo placek! Kto by się spodziewał? I to w chwili, kiedy właśnie... Zebrało jej się na wrażliwość! Niech ją diabli porwą razem z jej wrażliwością. Teraz trzeba szukać następnej. I to prędko. Tak to jest, kiedy ktoś szuka, czego nie zgubił. Nie należało wydziwiać, lecz angażować zawodową modelkę z Akademii.

Ale tak bardzo nie lubił tych zawodowych, z ich rutyną, że postanowił mimo wszystko spróbować jeszcze raz. Znajomy dziennikarz polecił mu „gońcówkę” ze swojej redakcji. Ta przynajmniej powinna być nieskomplikowana.

*

Od pierwszej chwili, gdy weszła do przedpokoju, wiedział że, jej nie zaangażuje. Była za gruba. Powiedział jej to, w miarę ogłędnie. Nie chciał nawet, żeby się rozbierała. Może zainteresowałby się nią jakiś rzeźbiarz, ale on poszukuje „innego typu”.

Zobaczył tę dziewczynę jako potężną tamę, zagradzającą nurt strumienia puszczony jego ręką.

Czuła się rozczarowana, jednak nie obrażona.

– Wie pan – powiedziała – życie jest ciężkie. Powinnam bardziej dbać o linię, ale pracy dużo, pensja mała i odżywianie nieregularne. Je się co popadnie. Chciałam się uczyć, ale nie wyszło. Mam tylko szkołę podstawową. Dobrze, że w tej redakcji mogę się trochę dokształcać, sporo czytam.

Zacząła chodzić po pracowni, oglądać obrazy i rysunki wiszące na ścianach, stojące na sztalugach.

– Ładne rzeczy pan maluje – powiedziała. – Jakieś życie, chociaż nie wiem, co to jest. Ale coś z nich promieniuje.

Jest za gruba. Stanowczo za gruba.

– To chyba coś jak chmury... takie wzniosłe.

Dominika miała proporcje statuetki z Tanagry.

– Ja myślę, że w obraz trzeba się wczuć jak w sumienie.

A poruszała się tak, jakby stąpała po łące.

– I te szkice też mi się podobają, takie prawdziwe. Widać różnice – każda modelka inna. Akty rysowane są prostsze niż fotografowane, nie uważa pan?

– Prostsze?

– Tu człowiek pokazany jest prościej i jakby bardziej od wewnątrz. Powinno być tego więcej w naszym życiu. Powinno się pokazywać piękno człowieka. Telewizja, film... tam jest za dużo brutalności i człowiek jest pokazywany jako przedmiot pożądania, a to tutaj jest delikatne i człowiek oglądając to, robi się czysty.

Niebywałe. Ale dlaczego u mnie nic nie może iść normalnie, jak u wszystkich? Przecież potrzebuję modelki! Ta jest za gruba. Za g r u b a !

– Do widzenia, proszę się nie martwić. Na pewno znajdzie pan jakąś delikatniejszą modelkę.

– Teraz wątpię, już mocno w to wątpię – wymamrotał, odprowadzając ją do wyjścia.

Zniknęła za drzwiami.

Wolnym krokiem wrócił do pracowni. „Myśl i ruch. Dusza i ciało” – przypomniał mu się nagle tytuł tomu pism Bergsona. Ciężko usiadł na krześle. „Myśl i ruch, ciało i duch” – zanucił na jakąś bliżej nieokreśloną melodię i zachichotał. „Myśl i ruch, ciało i duch”. Potem dodał, głośno wymawiając każdy wyraz: – Jakieś życie, chociaż nie wiem, co to jest.

Warszawa, 1996

Jacek Antoni Zieliński

Wyróżnienie XVI OKP im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020

Ewelina Kuśka

CZARNOSKÓRY

Danuta idzie sprzątać miasto. czworonóg prowadzi ją do przystanku.
oboje tropią motyle. wbijają się w mgłę. sięga im do pasa. czworonóg tonie.
macha ogonem – mówi własnym głosem. motyle głośno uderzają skrzydłami
w zagęszczone powietrze. słycać bicie ich serc za ścianą mgły.

Danuta opuszcza przedmieście – najpiękniejszą z krain gdzie żywi się ciszą.
chowa ją do pudełka z zapalkami. odpala. pierwszy pojawia się śmieciarz
przyklejony do warczącej maszyny. mówi że pan z pierwszego piętra
tej nocy grał w karty ze śmiercią.

Anioł o twarzy Murzyna wychodzi ze śmieciarki jak z bulgoczącego garnka.
ma szeroki nos od wachania przykrych zapachów. dotyka mgły. na policzku
stygnie mu kropla. pęka gdy czarny kot przebiega mu drogę. Danuta sprząta
rozrzucone kości kurczaka. wielka śmieciarka jak gwiazdna kula zastyga
[w próżni.

WRÓBEL

czworonóg jest wolny. nie potrzebuje kagańców
ani smyczy żeby czuwać. sam wybiera kogo pilnować.
Danuta myśli co kryją ściany. ludzie rozmawiają o pogodzie.
wygasł w nich ogień. wezbrał w nich deszcz.

Danuta wstępuje w deszcz. krople łaskoczą ją pod koszulą.
słyszy jak rośnie trawa. zmartwychwstają w niej drobne
meszki i ziarna piasku z ustami pełnymi kropel. wyrywa ziarna
piasku spod stóp młodzieńca z wygaszonym papierosem w ustach.

wszystko w nim moknie i gnije. Anioł z chóru mocy a szary i niepozorny. Anioł wszędobylski ze zmiętym papierosem w ustach sprawia że ciało młodzieńca napelnia się światłem. zeszlóroczne liście znów zielenieją. ich układ nerwowy napelnia się nabrzmiewa

świeżością. od wschodu idzie paruzja.

KRWAWIĄCY

Danuta idzie sprzątać miasto. czworonóg nauczył się czekać. nie mając wpływu na psi los po prostu go akceptuje. Danuta czesze trawę. musi zdążyć przed wiosną. zapłata nową zieleń w warkocze by było coś świeżego dla zakochanych.

nowa trawa ubrana w warkocze jest jak nowa planeta gdzie ludzie rozmawiają stojąc naprzeciwko siebie. kobieta której wieku nie da się określić rozstała się z piwem. czuje jakby odszedł ktoś bliski. dotyka zielonych warkoczy trawy.

podobno jej syn mawiał że nie chce umierać na wiosnę. Danuta czesze trawę czując łamanie w barkach podobne do bólu jaki przenikał świętych. kobieta o niezapamiętanej twarzy mówi że nastąpił właśnie kompletny rozkład jej konkubinatu.

dlatego sam ksiązę z chóru tronów złocistych przychodzi. ksiązę z chórów alabastrowych przychodzi obmyć jej ręce. stopy mu krwawią gdy idzie przez ciernie. krwawią mu stopy gdy idzie codziennie do niej jak kobiety. wchodzi po schodach nie używając windy. mówi

że do nieba wiedzie stroma droga.

SREBRZYSTY

Danuta biegnie. jeszcze siedzi w niej sen. jak ma biec skoro jest człowiekiem miejsca? jeszcze sen w niej siedzi.

pozbyć się biletu. zabrać walizkę napelnioną snem.
podobnie jak człowiek przecinający ścieżki kotów –
wierzchołki dachów przekroje płotów
puste piwnice.

nie miał czasu na zetknięcie. za bardzo wierzył
w siłę pożegnań. ten moment gdy sekunda decyduje.
jej wieczność w kosmosie kiedy nie boisz się że

poranisz stopy i jest ci obojętne czy umrzesz na raka –
byle nie teraz. zegar jest na tak.

Anioł utkany ze srebrnych nitek przyciąga
wzrok poświata. jest w połowie tam choć jego dłoń
zakłóca porządek rzeczy. drga nerwowo bo nie wiadomo
czy zapytał Boga. zawodzi wiatrem. skomli jak czworonóg
uciekający przed klaksonem. myśli że wybuchła wojna.
dziś go już nie zobaczy.

Ewelina Kuśka

Wyróżnienie w XVI OKP im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020

Maciej Kijko

PATROSZENIE RYB

Kiedy dziadek wracał z ryb,
siadałem u jego stóp na podwórku
i patrzyłem jak je oprawia.
Po kolei wyciągał srebrne ciała z siatki.
Niekiedy jeszcze słabo trzepotały ogonem,
rozwierały skrzela. Wtedy szybkim ruchem
uciszał je o kamień. Wprawnymi ruchami
zeskrobywał łuski – pokrywały jego palce
grubą warstwą i odpryskiwały
jak iskry błyskające w słońcu.
Obracał w dłoniach: czubek noża
wbijał w jasne, miękkie podbrzusze –
otwierał je jednym, zdecydowanym cięciem.
Palcami wyciągał wnętrzości i odrzucał
na bok. Nie mogłem się napatrzeć –
w jeden węzeł splątane różnobarwne
i różnokształtne kawałki, miękkie i lśniące.
Wybierałem z nich pęcherze pławne –
białe, półprzezroczyste baloniki.
To była chwila mojej uciechy.
Ścisnąłem je między palcami, albo
pod stopą czekając aż pękną
z cichym ‘puf’. Czasami nie było zabawy,
bo wiotczały bezgłośnie.
Kiedy dziadek obciął już łebki
łypiące na nas mętными oczami
i opłukał tuszki, sprzątaaliśmy resztki –
muchy krążyły już wokół
czekając na swój czas.

BICIE KURY

Schodziłem z babcią za garaż,
gdzie dziadkowie i paru sąsiadów
mieli małe kurniki – do miasta
przenieśli kawałek wsi, z której wyszli.
Wchodziliśmy do zagrody.
Babcia się rozglądała, ja
zerkałem do kurnika.
Patrzyłem czy są w sianie jajka,
wdychałem zapach – mieszaninę
woni suchej trawy, łajna, resztek paszy.
Upatrzonego ptaka babcia zaganiała
w kąt – ten podlatywał z gdakaniem.
W końcu chwyciła go za skrzydła
i szliśmy do pieńka nieopodał.
Brała przygotowaną wcześniej siekierę,
zwykle służącą do rąbania drewna,
przytrzymała korpus,
przykładała ptasi łeb do drewna
i krótkim ciosem utraçała go.
Puszczala kurę, a ta,
bezglowa chwilę jeszcze łopocząc
skrzydłami, podbiegała, podskakiwała,
żeby w końcu paść. Ciekawiło mnie,
jak jest możliwe, że głowa leży na pieńku,
a kura jeszcze jakby chciała uciec?
Znieruchomiąłą chwyciła za łapy
i szliśmy do domu. Krew pokapywała za nami.
W kuchni parzyła kurę wrzątkiem
i darła pierze. Resztki opalała
nad szufelką z płonącym denaturatem.
Nie wiem, co bardziej śmierdziało.
Nagi, śmieszny kadłubek oprawiała
z wnętrzości. W żołądku było jeszcze
ziarno, w jelitach łajno. Znajdowaliśmy
w trzewiach żółtka nie otoczone skorupką.
Zawiazki tego, co niemal codziennie
wydawała z siebie na świat.

WAKACJE NA WSI

Miastowy dzieciak, przypadkiem znalazłem się na wsi. Chata drewniana, kryta strzechą – mógłbym o takiej przeczytać w jakiejś starej książce. Na prawo od sieni jedna izba – kuchnia, sypialnia, pokój dzienny, zależnie od potrzeb. Na lewo obórka dla owcy, cielnej krowy, jałówki – rano chadzałem z nimi na pastwisko, przyprawdzałem z wieczorem. Na wprost wejścia drabina na strych pełen siana, gdzie – dzieci – spaliśmy w wonnych źdźbłach. Na telewizję chodziliśmy do sąsiadów, spory kawał na przełaj przez łąki. Do wychodka za dom, czasami trzeba było przegonić stamtąd kurę. Myliśmy się rankiem rześką wodą czerpaną ze studni. Sklep, mała budka, ze dwa kilometry polną drogą; przystanek autobusowy jeszcze dalej. Obok chaty rósł nowy dom – na razie mury z szarych pustaków, bez dachu, z pustymi otworami okien. Mówili ‘nareszcie porządny dom’. Czy byłbym w stanie żyć w ten sposób, nie wiem. Oni wyboru nie mieli; niewielu może sobie na to pozwolić.

Grzyby smażone na blasze. Suszony twaróg w gomółce twardej tak, że odłupywaliśmy kawałki małym toporkiem. Ssaliśmy je potem długo, wysysając starannie smak – nigdy wcześniej, ani później nie smakowałem takich rzeczy. Nasze światy były tak blisko siebie w tej chwili; różnice zupełnie nieistotne. Nigdy nie zapomnę plusku mleka w maselnicy i zaskoczenia, że po długim ubijaniu w kilka chwil nie w płynie, a w gęstym maśle zaczął grząść bijak. Mętna serwatka wypełniła dzbanek. Ogromnych pająk chleba, miękkich, wonnych, pociągniętych tym właśnie świeżo ubitym masłem, osypanych solą. Tchnienia zwierzęcego ciepła tak blisko.

Strumienia, który pokonywałem po chybotliwej
kładce wchodząc niby do innego świata.
Wszystkiego, co dla mnie było przygodą, dla nich życiem.

* * *

W kępie lawendy roją się pszczoły, trzmiele,
motyle i stworzenia bez nazw, które bym znał.
Zapach je wabi i odurza. Przelatują z kwiatu na kwiat
niestrudzenie. Nie widać celu w tym krążeniu.
Zabawą jakby bez znaczenia ich wędrówki.
Błąhą igraszką słońca, barw, wonności i słodyczy.
Bez namysłu dążą na wezwanie kwiatów.
Oddają się im z wzajemnością. Bez kalkulacji,
liczenia na zysk. Warczący wir narodzin i śmierci,
kwitnienia i więdnienia, odślania bezinteresowność
istnienia miriad nieważkich prawie drobin.
Świat w niej właśnie nieustannie się odradza.

Maciej Kijko

Wyróżnienie XVI OKP im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020

Tomasz Berrached

RECEPCJA

Pokoje od strony północnej, które
można wynająć, w których
się można powiesić albo
po prostu siedzieć,
długo i nieruchomo,
ręce złożonywszy na blacie,
przechodząc w fotografię,
ile kosztują?

POWÓD

Wiedz wreszcie, że od martwych odróżnia
nas jedynie oddech. No może jeszcze ta
przeptywająca przez nas woda, puszczana
dla niepoznaki, aby zagłuszyć ciszę i
wobec bezruchu naszego odrętwienia
wzbierająca coraz wyżej, by sięgnąć
ust, jak upragniona przesłona, ponieważ
właściwie nic więcej nie mamy już do
dodania. Utoniemy.

REGULAMIN

Nigdy nie mów głośno, że umierasz.
Nie mdlej w miejscach publicznych.
Unikaj podsumowań.
Uśmiechaj się do końca.

Skrycie urządź azył.
Kop pod osłoną nocy.
Dla niepoznaki rozmawiaj o polityce,
jak gdyby były rządy,
które cię mogą ocalić.

ŚWIATŁO W LODÓWCE

Dla M. Andaty

I powstaną osiedla
domków nierodzinnych, szeregowych samotni,
małych chat, w których wreszcie zamieszkamy
osobno, każdy przy swoim biurku,
sam na sam z białym ekranem,
taflą lustra, bezmiarem czasu,
bez tajemnicy śmierci,
z lodówką z przejściem na drugi świat,
bez ceregieli,
wtedy, gdy tylko nam się zechce
przestać, tak jak się chciało jeść i pić;
z lodówką z przejściem na drugi świat,
między starannie ułożonym
rzędem kostek sera i masła czy butelek
mleka i wina, jak przez szpaler
zawodników w minutę ciszy,
poszycie wiązek warzyw,
alejkę w sklepie spożywczym,
po prostu z czegoś rezygnując.

ZADASZENIE

Zostały nam już tylko powtórki meczów.
Szczęśliwie nie pamiętamy przebiegu spotkań
i rezultatów, wszystko objęła opiekuńcza,
wypierająca chmura. To morze spokojne,

w którym wolniutko toniemy. Nasze, oddzielne i wygłuszone, życie pod parasolem jest jak bezbramkowy remis. Zmęczeni powtarzaniem, że jesteśmy zmęczeni, nieomal przestaliśmy mówić, nasze pozbawione wyrazu twarze milcząco robią to za nas. Ciekawe, jak dziś wygląda niebo, cedzę nagle wskrzeszony do oka kamery, a z drugiej strony ty, jak trup dubbingowany, odpowiadasz: myślę, że jest niebieskie.

Tomasz Berrached



M. Skalbania, *Titchfield Abbey*, sucha igła

Małgorzata Skałbania

OBRAZKI Z (MOJEJ) WYSTAWY

JAKPOWSZECHNIEWIADOMO

Szczerość twórcy jest objawem jego tępoty i bezsilności (Kazimierz Malewicz), a poznanie nie jest dla wiedzy tylko dla cięć (Michel Foucault). Mędrkujący artysta powinien dobrze ukryć drobiazgi (kiesznień sceny czasem nie odbiega rozmiarem od tej, której służy) i równocześnie być jak pochylający się nad detalami patafizyk.

Gloria Kossak w etiudzie filmowej w reżyserii Bogusława Dąbrowy-Kostki wzrusza się losem chłopca, który miał przyjąć ze świata ptaków na ziemię. Niestety nie oddał skrzydeł na czas, spóźnił się. Mama nie miała już dla niego miejsca przy sobie, urodziła inne dziecko. Zamknęła okno do domu.

Chcę pokłonić się przede wszystkim temu, co czekało w domu Glorii na powrót. Nie wiedziała, kto miałby pukać do drzwi Kossakówki, ale tajemniczy Ahaswerus nie mógł zastać artystycznej oazy zamkniętej.

Wracam po czterdziestu latach do Wygody przy Latarni, dworku, z którego może zostać niebawem skorupa („muszla” ze *Światła w ciemnościach* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej). Gloria, starsza córka Elżbiety i Jerzego Kossaków, przegrana w walce z wrogością otoczenia o ratunek dla świata swoich przodków, widziała ten obraz. Mówiła o nim jak o domu z przestrzeni marzeń, gdzie nie ma zegarów, ścian wewnętrznych i dach nie jest remontowany.

Weranda Kossakówki, miejsce naszych spotkań, zachowała od zewnątrz zielony kolor. Wysuszona na słońcu farba nadal chroni resztki drewna.

Przyszłam do Glorii po wyroku szanowanego, nagradzanego artysty P. Sprawdzam, czy przy nazwisku odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski pedagoga jest data śmierci. Jest! Ta sama, w której otrzymał krzyż. Przeglądam katalog malarza z reprodukcjami prac, wydany przez Salon Samocho-dowy G. Misiaka w Krakowie. Adres: ul. Niepokalanej Marii Panny 93. Czytam o wysokich napięciach P.

Profesor uczył mnie w Pałacu pod Baranami (gdzie wcześniej Gloria miała swój wernisaż) spojrzenia na męski akt, zwrócenia uwagi na pewien szczegół w ciele mężczyzny. Raz, po wieczornych zajęciach, zaprosił mnie do domu. Twierdził, że jestem zdolna, on chciałby pokazać mi swoje obrazy. Posadził mnie na kanapie, zasłonił ekran telewizora kurtyną na wzór teatralnej, przyniósł jakiś napój i – użyję profesjonalnego zwrotu z filmu o ernerdownskich o służbach specjalnych – „podjął

inne czynności seksualne”. Udało mi się uciec. Postanowiłam jednak wrócić na kurs „Pod Barany”. Malarz pedagog nie wyglądał na zadowolonego. Długo nie robił mi żadnej korekty. Kiedy podszedł do mojego rysunku, wybuchnął atakiem gniewu: Wybij sobie z głowy akademię! Nigdy nie będziesz ani rysować, ani malować. Nie nadajesz się! Owszem, możesz spróbować sztuki malowania pisanek.

Wracałam na nicogrzewanego pokoju na Salwatorze, słuchając krakania gawronów. Przyleciały ze Związku Radzieckiego, by przetrwać w Krakowie zimę. Na Wschodzie musi być strasznie. Powiesiłam na ścianie *Martwą naturę z czarnym zegarem* Cézanne’a (reprodukcję kupioną w radzieckiej księgarni). Zaczęłam malować w nocy, malowałam w dzień i dnia następnego, i następnego. Zakonnice ukarały mnie za wagary zawieszeniem w czynnościach uczniowskich. Oznaczało to więcej wolnego czasu na malowanie. Potem zmieniły kary na sprzątanie szkoły, ścieranie plam atramentu z parkietu. Pozwoliło mi to na zaprzyjaźnienie się z siostrą sprzątaczką, która wykradała dla mnie kanapki z refektarza. Może sama nie jadła, nie wiem. Była szczęśliwa, kiedy pozwoliłam jej potrzymać Pismo Świąte, nigdy wcześniej nie miała tej książki w rękach.

Pojawiłam się u Glorii z pieniędzmi przeznaczonymi na jedzenie, prosiłam o lekcje rysunku. Gloria, gadatliwa i zabiegana, przygotowała nam herbatę, opowiedziała o córce, mojej rówieśnicy, która, jak ja, nie wytrzymała ponizania w Plastyku, musiała zrezygnować ze szkoły, coś o wystroju domu, skórze lwa nad łóżem rodziców i historii rodzinnych zwierząt. Świat mojej przewodniczki, kilka światów mogłam obserwować z perspektywy kogoś, komu system polityczny nie pozwolił wejść do własnego domu, zamknął okna i drzwi, kiedy byłam jeszcze w legendarnym ogrodzie. Gloria bojowniczką trwała na swoim posterunku, dzielnie walczyła z agresywną głupotą władz. Płaciła za to coraz większą biedą, upokorzeniami, utratą zdrowia. Siły w tej wojnie można było zilustrować za pomocą mapy, gdzie rozlała się czerwona plama CCCP, udekorowana kolorowymi plamkami, krajami bloku wschodniego. Małeńki punkt w kropce zwanej Kraków oznaczał rozpadającą się twierdzę przedwojennej, polskiej inteligencji, wypchanego konia bez nóg i model ludzkiej głowy nadziany na sztalugi. Mogłyśmy razem tylko śmiać się na stercie rupieci naszej historii i z angielskiego żartu:

- *Knock knock.*
- *Who’s there?*
- *Europe.*
- *Europe who?*
- *I’m not!*

Moja nauczycielka starała się zachować linearną strukturę czasu. Nawijając na starą szpulę, tworzyć nowy, własny, ale na pytanie o jej malarstwo odpowiadała: nie teraz, kiedyś ci pokażę, jest inne niż moich przodków.

Rezydent Kossakówki poradził mi jednak nie drażnić mojej dobrodziejki (odmówiła przyjmowania ode mnie pieniędzy, znała nędzę od dziecka) tym pytaniem. Mówił: „Gloria maluje, ale brak jej wiary w siebie. W nocy, w ogrodzie urzą-

dza pogrzeby swoich obrazów. Bierze łopatę, kopie dół, wrzuca tam podziurawione, skopane płótno, zasypuje”.

W werandzie miałyśmy dużo światła i widok na bramę. Była w strasznym stanie, każdy z ulicy mógł wejść do ogrodu, gdyby wiedział, to też do otwartego domu. Od czasu do czasu pojawiała się grupa pijaków, którzy sikali pod drzewami Kossaków. Gloria zrywała się z krzesła, przeganiała osiedlowe elity zza muru. Słowa, które wtedy padały, były precyzyjnie wymierzone w możliwości percepcyjne intruzów (chciałabym kiedyś przeczytać wiersze Glorii). Po odniesieniu zwycięstwa wracała do swojej pracy, malowania ślepym główkom lalek oczu, brwi i ust. Wyobrażałam ją sobie jako japońską dziewczynkę z darumą, lalką bez rąk i nóg kształtem zbliżoną do jaja.

Może Gloria też miała swojego mistrza P.? Źrenice darum Glorii skupione były na przetrwaniu. Gloria malowała w oczodołach lalek i miejscu ust pieniądze. Co jakiś czas przeliczała je, rzucając do pudełka. Mówiła: „Ty możesz zostać jeszcze artystką, jesteś młoda, ja jestem malarką cepeliowskich prezentów. Z tego jest pewny dochód, ale ty rysuj, rysuj, walczy”. Potem następowało coś w rodzaju *darumay-kuyō*, ceremonii żałobnej ku czci widzących główek, zamknięcie pudełka, które powinno być rzucone w święty ogień na świętej ziemi, ale nie było.

Zdobyłam się na odwagę. Weszłam na akademię, potarłam czubek buta księcia Urbino Lorenza II i nos Wyspiańskiego, szybki na reprodukcjach francuskich impresjonistów. Paryż, gdzieś jest. Poszłam na Uniwersytet Jagielloński. W szkołach odkryłam gabloty z rozkładami zajęć studentów: wykłady prof. Marii Rzepińskiej, prof. Jerzego Nowosielskiego, na UJ zajęcia z prof. Mieczysławem Porębskim.

Do mojej matury na parkiecie Prezentek przy św. Jana nie było żadnej plamy.

Po latach pojawiłam się na zajęciach profesora Jerzego Nowosielskiego, mówił: „Edukacja Polaków o malarstwie ogranicza się do Kossaków, oni opanowali rynek sztuki. Muszę Wam o tym powiedzieć, bo z tym młodzi artyści w tym kraju będą musieli się zmierzyć”.

DLACZEGO JA?

Dlaczego pani? Pytał dziekan Wydziału Grafiki ASP w Krakowie, teoretycznie profesor wybranego przeze mnie dodatkowego kierunku, Stanisław Wejman, syn i uczeń wielkiego Mieczysława Wejmana, autora cyklu grafik *Rowerzysty* (Mieczysław określany był przez wielu jako jeden z ostatnich profesorów-bogów mojej uczelni).

W pracowni grafiki studentami z Wydziału Malarstwa zajmowali się asystenci. Rozdawali nam zakupione przez nas miedziane blachy, czasem podeszli sprawdzić, czy dobrze nam się w nich dłubie. Profesor-dziekan zajęty był swoimi pracami. Siedział w oddzielnej pracowni, zamknięty, nie poznał nas z imienia czy nazwiska. Nigdy nie pojawił się na zajęciach, nie mógł wiedzieć, co robimy.

W wąskim korytarzu do jego atelier zobaczyłam stos pudeł z naklejką, którą znałam z korespondencji do mnie. Białe tło i czerwone litery: Christelijke Academie voor Beeldende Kunsten Kampen. Zrobiło mi się gorąco, potem zakręciło mi się w głowie. Pomyślałam, że po pięciu latach walki jestem w Holandii, w szkole, do której zdałam egzaminy wstępne korespondencyjnie, ale polskie władze nie pozwoliły mi tam wyjechać. Starania o paszport zakończyły się wezwaniem do olbrzymiego gmachu MSW w Katowicach. Stawiennictwo obowiązkowe. Wchodziłam tam za swoim strażnikiem-przewodnikiem do długich korytarzy, które przedzielone były szklanymi drzwiami. Mój opiekun wystukiwał przy każdym kod. Słyszałam zatrzaśkiwanie się za mną kolejnych drzwi. Zaprowadzono mnie do wielkiej, pustej sali, posadzono przy owalnym stole. Kazano czekać. W drzwiach pojawił się mężczyzna, nieco przechylony na jedną stronę. Miał dużo krótszą i sztywną jedną nogę. Oczy zasłonięte ciemnym okularami. Zapalił papierosa i wykonał telefon, prosząc o dwie herbaty, bez uzgodnienia ze mną. Na stole pojawiły się dwie szklanki zaparzonego już napoju. Malowałam kiedyś takie na zdanym egzaminie wstępnym do PWSSP w Gdańsku, tematem było oczekiwanie. Jedna szklanka była wypełniona brązowym płynem, druga wierszem. Pan nie zaproponował mi skorzystania z poczęstunku. Zaczął sam chlipać.

– Sprawiała nam pani wiele problemów – Usłyszałam – My wiemy, kogo wypuszczać z kraju na studia. Po co pani zdawała do holenderskiej uczelni, skoro w Polsce mamy tyle dobrych szkół. Nie podobają się pani? Co w nich jest złego? Kto pani podsunął taki pomysł? Skąd pani wzięła adres uczelni? Widzę, że mówiąc to, staje coraz bardziej zdenerwowany, wydycha dym w moim kierunku. Ma brązowe zęby i palce, którymi trzyma papierosa. Herbata paruje przede mną.

Dlaczego pani? Dlaczego to pani miałaby wyjechać?

Milczę.

Jestem tu, przy stole i za kratami. Zakonnice odmawiają za nimi różaniec, wydając z siebie ptasie dźwięki lub coś na wzór wiadomości przesyłanych alfabetem Morse'a. Zza żelaznych drzwi kościoła św. Jana dochodzą do mnie krzyki, przekleństw i jęki. Zomowcy rozpoczęli bicie mieszkańców Krakowa. Matka Boska od Uwolnienia Niewolników patrzy tylko na mnie, w pięknej dłoni trzyma suchą koniczynę. Wychodzę z kaplicy, idę ciemnymi schodami do pracowni biologicznej. Kolekcja słoików z przekrojonymi ciałami pewnie pamięta uczennicę, nieślubną Jadwisię Miselównę – Helenę Modrzejewską. Z okna obserwuję dzielnego starszego pana, jest elegancki, w kapeluszu. Idzie od strony Muzeum Czartoryskich na rynek, wspiera się na lasce. Myśli, że go nie tkną, że takich jak on nikt nie ma prawa napaść, tym bardziej na ulicy, w centrum Starego Krakowa. Dobiega do niego chłopak w cywilu, wyciąga spod płaszcza białą pałkę. Sekunda na zastanowienie, czy z tym starym sobie poradzi. Bije go, gdzie popadnie. Zdumiony burzua jakby nie czując ciosów, nie widząc podniesionej na niego pałki, pyta: Dlaczego pan mnie bije? Stary upada na ziemię, dostaje za pytanie i za zdziwienie.

Czy usłyszę odpowiedź chociażby na jedno z moich pytań?

Chlipnięcie herbaty, papieros.

Podnoszę chłopaka leżącego na rynku.

Najpierw głaszczę, on ciągle płacze. Siadam obok niego. Kładę jego głowę na swoich nogach. Powtarza: to była egzekucja. Zwykła egzekucja. Wyciągnął pistolet i strzelił w mojego brata. To był mój brat, dobry chłopak. Nawet ciała nie dali dotknąć. Biegłem tu pod Kościół Mariacki z Nowej Huty. Myślałem, że coś to zmieni, że od tego ucieknę. Dlaczego oni to robią? Dlaczego strzelają do dzieci? Boguś miał trzynaście lat. Informuję, że nigdy, ale to nigdy, nigdy nie zobaczy pani polskiego paszportu. Posunęła się pani za daleko. Kładę kwiatek na trumnie Bogusia Włosika, ktoś podbiega, robi zdjęcie. Wstaję, zostawiając pełną szklankę gorącej herbaty. Po pięciu latach, po tak zwanym zwycięstwie Solidarności, profesor Wejman ponowił pytanie: dlaczego ja?

Dlaczego pani ma decydować, komu pomogę wyjechać na studia do Holandii? Tłumaczyłam, że decyzją komisji rekrutacyjnej w Kampen zostałam tam przyjęta na pierwszy rok studiów. To Holendrzy mnie wybrali, na podstawie dostarczonych im prac.

– Tu jest Kraków, niestety nie mogę pomóc.

Podobne odpowiedzi słyszałam u dziewczana do spraw kontaktów zagranicznych, dziewczana Wydziału Malarstwa prof. Ząbkowskiego (*albo rybka, albo pipka*), dyrektorki Wydziału Kultury, urzędników w Ministerstwie Kultury.

Mama miała sen. Śnił się jej Jan Paweł II, że nie pochwała wyjazdu do Holandii. Może w snach jest na odwrót? Napisz do Watykanu, oni na pewno pomogą. Na odpowiedź z Watykanu musiałam trochę poczekać, ale przyszła. Koperta z papieru wysokiej klasy, gładziłam ją, jak czerwonoarmieniec zeszyt mamy z religii oprawiony w celofan. Mówił: kak wada, kak wada. Wewnątrz był list na takim samym papierze, mama zauważyła znak wodny. Popatrzyliśmy pod światło. Rzeczywiście, insygnia najwyższej instancji, dokument woli Pana Boga. Czcionka piękniejsza niż te z naszych pism urzędowych. „Rozumiemy trudną sytuację i oddajemy ją Bogu w naszych modlitwach. Z błogosławieństwem papieskim...”.

Idź do księdza, pociesza mnie mama, on na pewno zrozumie. Ksiądz przyznał, że z wolą boską nie można dyskutować. Takie czasy, a władza od Boga. Opowiedziałam o swoich przygodach znajomemu bosmanowi. Lubiłam go, bardzo. Podobny był do Vincenta van Gogha. Miał rudą brodę i palił fajkę. Zaprosił mnie na swój statek. Zapytał, czy chcę herbatę. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, obserwowałam pachnący dym z jego fajki, piłam herbatę w kubku. Statek przyjemnie kołysał. Teraz nie wyjedziesz, ale bądź czujna, słuchałam ciepłego głosu kogoś, kto rzadko bywał na łądzie. Kup sobie słownik polsko-niderlandzki, ucz się nieustannie angielskiego. Zapomnij o bredniach, ich woli zwaną boską. Nad nimi też ktoś jest.

Wyjechałam do Holandii, nowy rząd nie robił przeszkód w wydawaniu paszportów, Jerzy Nowosielski zezwolił na ucieczkę z akademii pod warunkiem, że wrócę do Krakowa z obrazami. Zamieszkałam na podwórku opuszczonej szkoły

w Zwolle. Hippisi dali mi wóz cygański i ziemniaki, potem uczelnia przyznała dom z ogrodem. Drugie egzaminy wstępne zdawałam w muzeach sztuki współczesnej, jeżdżąc z profesorem po całej Holandii.

JAK TWORZYSŁAWA OCALIŁA GNIEWOSĄDKA PRZED NIM SAMYM

Książeczka bez ilustracji, wielkości zeszytu. Wydrukowana na jasnoszarym, szorstkim papierze (dobrym do rysowania). W środku, między fragmentami bajki, kartki pozbawione tekstu, niektóre mogą być białe lub kremowe. Są na nich zdania zaczynające się od słów: narysuj, namaluj, wytnij i przyklej.

Część pierwsza

Martwili się rodzice, małeńka Tworzysława nie chciała mówić. Za to potrafiła narysować wszystko, o czym marzyła. Kiedy zabrakło jej kartek, chowała się, czekając w kryjówkach na cud. Rodzina udawała, że wszczyną poszukiwania zaginionej.

– Gdzie nasza Tworzysławka?

– Pewnie włożyła czapkę niewidkę.

W końcu ktoś dostrzegał zbuntowaną dziewczynkę, obiecywał, że jutro na pewno przyniesie jej papier do rysowania. Warunek – natychmiast musi iść do łóżka. Odśpiewywano nad jej głową kołysankę i zostawiano ją na długi wieczór i noc samą. Tworzysławka budowała wtedy z białej pościeli pałace, korytarze, kryjówki dla wszystkich lalek, które zabierała ze sobą na długą drogę w sen.

Biała kartka.

Narysuj świecę budowlę z pościeli w łóżku Tworzysławy. Potem zamaluj je, dodając do białej farby troszeczkę innych kolorów.

Kiedy Tworzysława podrosła, była jak wszystkie dziewczęta w jej wieku piękna. Potrafiła mówić i pisać, ale najwięcej czasu poświęcała robieniu obrazków. Niestety dorośli zwracali jej uwagę na sprawy pilniejsze, pożyteczniejsze, takie z których jest w przyszłości pewny chleb i radość, nie samotność i bieda.

Kremowa kartka, podzielona odręcznymi liniami na cztery prostokąty.

Namaluj obrazy, które ci się spodobają, ale nigdy, twoim zdaniem, nie kupisz za nie ani kawałka chleba.

Część druga

W kraju Tworzysławy zasiadł na tronie nowy król. Dawno temu, gdy był mały, próbował narysować jabłko. Wyszło mu bardzo ładnie, ale obrazek wydawał się pusty. Podobny do widoku zamrożonego morza, na który spadła kropla czerwonej farby. Chłopiec narysował na białej kartce, nie myśląc o tle, małe jabłuszko i to w samym dolnym rogu. Pełen kompleksów dwór małego księcia bardzo się śmiał z kompozycji. Wrogowie królewskiej rodziny wydrapywali jabłuszka wszędzie, gdzie się tylko dało, na ścianach, powozach, drzewach. Drwili między sobą: Ale artysta! Mamy na dworze artystę! Kiedy dzieci z królestwa zrobiły coś głupiego, matki mówiły: O, jaki artysta!

Szara, pusta kartka.

Namaluj swoimi palcami kropki, które staną się morzem unoszącym okręt z jabłkami. Podpisz pracę: Artysta.

Książę, później król, stał się smutny i zły. Unikał muzyki, nienawidził wszystkiego, co przypominało mu o sztuce. Lubił siedzieć sam, zamknięty w komnacie, i jeść. Z dnia na dzień robił się grubszy i okrutniejszy dla całego świata. Od tej pory nie używano w królestwie jego imienia. Nawet kronikarze zapisywali tylko jego przezwisko: Gniewosądek. Władca wyrzucił z królestwa artystów. Miał ich za głupców, nikomu niepotrzebnych wariatów. Zakazał w szkołach nauki rysowania, malowania. Za wiedzę o sztuce można było od tej pory stracić nawet życie. Ogłosił, że najlepszym uczniem jest ten, kto ćwiczy się w liczeniu pieniędzy. Geometria mogła sprowadzić młodzież na złą drogę. Król wydał dekret zakazujący wstawiania ilustracji do książek (pozwalał na zdjęcia). Książki ozdabiane rysunkami i obrazkami miały służyć w jego pałacu do palenia w piecach.

Pusta kartka.

Zamaluj ją, jak chcesz. Wycinaj ze starych gazet trójkąty, prostokąty, kwadraty, koła, duże i małe. Ułóż z nich portret króla Gniewosądka. Przyklej. Domaluj, jeśli uznasz, że trzeba, szczegóły.

Część trzecia

Nadszedł dzień (pozornego) zwycięstwa Gniewosądka. Dworzanie donieśli władcy, że w jego królestwie nie ma już żadnej pracowni plastycznej, nikt nie rysuje, nie maluje, muzycy nie grają, a straż zarekwirowała wszystkie książki obrazkowe, każdą, w której była odręczna ilustracja. Artyści ze strachu przed śmiercią uciekli za granicę. Ludzie w jego państwie liczą pieniądze. Ci, którzy ich nie posiadają, liczą długi. Gniewosądek nakazał służbie zorganizować z tej okazji wielkie święto. Data miała być zaznaczona na czerwono we wszystkich kalendarzach, ludziom rozkazano

być w tym dniu bez przerwy uśmiechniętymi. Straże miały robić im zdjęcia na ulicy. Każdy smutny podwładny musiał być zamknięty w więzieniu na długie lata.

Pusta kartka.

Wytnij z gazet twarze uśmiechniętych ludzi i dorysuj im resztę, szyje, ręce, tułowia i nogi.

Uroczystość. Rano służba starała się ubrać króla w złote szaty, których używał w ważnych dla państwa chwilach. Niestety okazały się za małe. Buty również, bo Gniewosądek od długiego czasu nie wstawał zza stołu. Miał od siedzenia opuchnięte stopy. Na gwałt szukano krawcowych i szewca, którzy mogliby do wieczora sprawić królowi nowe ubranie. Okazało się, że wszyscy uciekli z kraju.

Szewc nie mógł odrysować stopy króla, krawcowe zaś zrobić wykroju. Złość Gniewosądka stała się tak wielka, że ze strachu kucharz, gruby jak król, pożyczył władcy swoje ubrania i buty. Miały na sobie mnóstwo tłustych plam i resztek jedzenia, ale nie było wyjścia. Król nagi był w innej bajce.

Pusta kartka, kremowa, szara lub biała.

Narysuj Gniewosądka i kucharza w samej bieliźnie. Wytnij ze starych gazet, papierów, odpowiednie ubrania dla nich. Przyklej. Pamiętaj o plamach i resztkach jedzenia u jednego z nich.

Ceremonia. Gniewosądek wszedł na purpurowy chodnik wyłożony przed tronem (odziedziczonym po swoich prapradziadkach), usiadł i wpadł do środka królewskiego stołka. To znaczy nogi w skarpetach i rozczłapanych butach kucharza dyndały tam, gdzie miała być głowa. Głowa była w miejscu pleców. Plecy i pupa walczyły o swoje miejsce ze starymi sprężynami, które wyskakiwały jak żaby ze środka tronu. Gniewosądek znów usłyszał wokół siebie śmiech, który jak zmara wrócił z czasów dzieciństwa. Dworzanie nawet w tej chwili musieli na rozkaz pana nieustannie się uśmiechać. Pomogli mu jednak wydstać się z pułapki rozklejonego, połamanego mebla. Doradca królewski polecił sprowadzić zza granicy specjalistę od naprawiania tronów.

Pusta kartka.

Zaprojektuj afisz wzywający do powrotu z emigracji wszystkich specjalistów naprawy tronów. Użyj dowolnej techniki. Jeśli wolisz inny temat, narysuj wyskakujące jak żaby sprężyny z tronu Gniewosądka.

Część czwarta

Rozesłano gońców po kraju, ale wrócili ze złymi nowinami. Fachowcy od tronów podobnie jak szewcy i krawcy zaczynają pracę od rysunków. Wszyscy

musieli ratować się ucieczką z kraju. Każdy bał się wracać tam, gdzie czekała go nędzka, głód, może nawet śmierć.

Dworzanie donosili królowi o nowych katastrofach, zawałeniu się mostu prowadzącego do rezydencji, wstrzymaniu budowania pałaców, domów dla poddanych. Rzemieślnicy, architekci zajęli się przemytem, niektórzy stali się bandytami, wielu wyjechało gdzie pieprz rośnie. Młodzi ludzie nie mają gdzie mieszkać, ich dzieci cierpią chłód i biedę. Kraj zaczyna spadać w przepaść, informowali dworzanie Gniewosądka, który od kilku dni pił wodę i jadł suchy chleb, ponieważ nie było drugiego mostu, który łączył pałac królewski z magazynami żywności.

Pusta kartka.

Zaprojektuj most. Pamiętaj, że dno rzeki jest muliste, a poziom wody w korycie bywa różny.

Pamiętacie Tworzysławę? Wszyscy w królestwie o niej zapomnieli, nawet rodzina. Niektórzy bali się do niej przyznawać, bo przecież wiedzieli, że tak naprawdę jest artystką.

Tworzysława była teraz bardzo pogardzana. Przydzielano jej na dworze króla najgorsze prace: mycie ubikacji, obieranie ziemniaków, prasowanie, odśnieżanie. Nigdy jednak nie przestała tworzyć. Kiedy obierała ziemniaki, rzeźbiła w nich po kryjomu. Przy prasowaniu obserwowała zmieniające się kształty pary, wyobrażała sobie abstrakcyjne obrazy z wzorami ubrań i figurami, które zmieniały się jak chmury na niebie. Przy odśnieżaniu bolały ją ręce i plecy, ale wcześniej rano, kiedy wszyscy spali, a ona musiała iść do pracy, rysowała sobie palcem na śniegu to, co chciała. Była w tym mistrzynią.

Dziewczynka wiedziała, co się dzieje w królestwie. Poprosiła o audiencję u króla, zapewniając, że może pomóc. Jak myślicie, co zaproponowała Gniewosądkowi? Jeśli nie będzie morału, nie dostanę nagrody za tę bajkę. Potrzebuję jej, żeby kupić papier i kredki. Mam nadzieję, że przyjdzie do mnie goniec z waszą odpowiedzią.

BOBAKI, CZYLI KUPĄ W SPOŁECZNOŚCI

Galeria sztuki w budynku galerii handlowej za murami cmentarza, w miejscu oddziału obozu koncentracyjnego na Majdanku. Stół kieliszków z białym i czerwonym winem, sok jabłkowy w kartonie. Przyszłam tu wypoczęta. Podeszłam w południe do płótna. Obraz *bluebird-animation* jest zakończony.

Zaproszono mnie na wernisaż.

Na ścianach lubelskiego *Labiryntu* projekty Janusza Grabiańskiego. Plakaty dla LOT-u. Samoloty. Kolorowe balony unoszą dziewczynkę nad ziemią. Pamiętam gabloty w tunelu katowickiego dworca PKP. W jednej z nich oświetloną neonówką reklamę Polskich Linii Lotniczych. Mogłam lecieć na wycieczkę, mama pomyliła

miejsce zbiórki. Odlecieli bez nas. Balony uciekały dzieciom podczas przymusowego pochodu pierwszomajowego. Patrę na wymalowanego *Rogasia z Doliny Roztoki*. Na stole leży książka, kolekcja książek. Wiele z nich wyniosłam jak złodziej z teatru. Całkowicie zniszczone miały budować tam scenografię. Ocalony *Rogas* leży w świetle subtelnego światła. Galeria ze stołami przypomina świątynię z wyselekcjonowanymi ofiarami: *Kot w butach*, *Chory kotek*, *Wyspa Robinsona*, *Dookoła świata*, *Zdobywca*, *Idzie niebo ciemną nocą* (moja przedszkolanka pokazywała obrazki z daleka), *Franek*, *Czerwony Kapturek*.

Zbliżam się do stołu z projektami znaczków.

Zalóż okulary, radzi siostra, kurator wystawy. Niemożliwe, pan Grabiański robił projekty znaczków pocztowych znanej mi serii psów rasowych w skali 1:1. Te śmiałe ruchy pędzla są rozmiaru kilku milimetrów?! Napisy „Polska” i nominalne odręcznie?! Podchodzi Małgosia Rybicka, autorka, do chwili odejścia z pracy, wizerunku Teatru NN, projektów opraw książkowych, plakatów. Ciotka wybaczysz mi? Kiedy byłam mała, ukradłam ci z klasera któryś z tych znaczków.

Grabiański wychował pokolenia artystów.

Rozmawiam z Bohdanem Butenką, przekonana, że to sam Grabiański. Cóż za nietakt. Mówię zmienionemu chorobą panu Bohdanowi, że Grabiański był dla dziecka nie do podrobienia, stawał poprzeczkę zbyt wysoko. Butenka zaś w swej prostocie pozwalała na analizę, która stawiała odbiorcę na równi z artystą. Dowiaduję się, że Janusz Grabiański nie żyje, że przyjechał na wernisaż jego brat, jest żona. Nikt z władz bibliotek i miasta nie reprezentuje, ale przyjechali goście z Finlandii, z urzędu miasta świętego Mikołaja. Słyszę rozmowę w języku angielskim. Pani Finka do mnie: *Could you take a picture of us? Yes, of course*. Ustawiają się na tle ściany portretów kotków, wiewiórek, ptaków, bobaków. Wyglądają na szczęśliwych. Pytam, dlaczego tu przyjechali. Oni, że kochają ilustracje Janusza Grabiańskiego, że w Finlandii jest cenionym ilustratorem, że marzą o tym, by ta wystawa zagościła w ich mieście. Nie znają historii polskiej agresji w stosunku do tych książek.

Nie będę im opowiadać o popychaniu mnie przez sprzątaczkę w podstawówce moich dzieci, gdy znalazłam pod schodami, na stocie makulatury bajki z jego ilustracjami. Sprzątaczką, niezwykle silna kobieta, chwyciła mnie pod ramię jak policjantka. Zaprowadziła do gabinetu dyrekcji szkoły. Krzychała, że złapała mnie na wyciąganiu tych książek z makulatury. Pani dyrektor łagodnie jak psychiatra do wariata: „Po co pani te bajki? To stare książki dla dzieci, widzi pani jak bardzo zniszczone?”. Ja o polskiej szkole grafiki, o ilustratorach, których zna świat i powinni znać polskie dzieci. Patrę w wymalowane oczy pedagog, czerwone od sztucznego pigmentu usta, sztywną, lakierowaną, farbowaną grzywkę. Ona łaskawie: „No niech te już pani weźmie, ale grzebanie w książkach nie może się powtórzyć”. Po czym założono pod schodami coś na wzór bramki z kłódką.

Po latach historia powtórzyła się w lubelskim teatrze. Tylko tu zniszczeniu miały ulec tony darowanych księgozbiorów lubelskich mieszczan (i uległy), w tym z okresu przedwojnia. Książki artystyczne czy nie, wszystkie grube miałam prze-

dzierać na pół, cienkie od razu przytwierdzać do desek, skleić im kartki. Byłam jedyną osobą w mieście, która walczyła z powtórką publicznych egzekucji książek. Nikt nie stanął w ich obronie ani w mojej, kiedy zmuszono mnie do opuszczenia kraju. Wyjechałam do świata, gdzie chlubą miast są biblioteki książki artystycznej. Regały przystosowane do wyeksponowania okładek, nie grzbietów. Czy w Polsce istnieje sposób na katalogowanie książek ze względu na ich szatę graficzną – nie wiem.

Obserwowałam tam losy lubelskiego OKA, Ośrodka Książki Obrazkowej przy tutejszej miejskiej bibliotece, idei siostry, dr historii sztuki Krystyny Rybickiej. Chciała stworzyć przestrzeń ochrony dóbr narodowej kultury, do której należą prace Polskiej Szkoły Grafiki. Wydawałoby się, że jest to oczywiste i proste. Wychowanie polskich dzieci poprzez sztukę należy do przeszłości?

W szkole, gdzie na oczach dzieci bibliotekarka pakowała na makulaturę książki z ilustracjami Szancera, Grabiańskiego, Butenki, Stannego, Uniechowskiego, Lengrena, Tomaszewskiego, Lenicy (długo można wymieniać nazwiska, które nic nie mówią szkolnej bibliotekarce, dyrektorce, sprzątacze i dzieciom z tej podstawówki), wychowaczyni mojego syna żaliła się na dzieci ze świetlicy, że są niegrzeczne. Dyrekcja tej szkoły zlikwidowała pracownię plastyczną, miejsce, w którym sprzątaczkę miały najwięcej do zrobienia.

Kiedy czytam ten tekst, pan Bohdan Butenko już nie żyje. Był szanowanym gościem w bibliotece u mojej siostry. Przy herbacie pytałam mistrza o Szancera. Jak to możliwe, że zaraz po wojnie wydawano w Polsce mnóstwo książek z jego ilustracjami. Kiedy, w jakich warunkach mógł stworzyć taką ilość? Butenko uśmiechnął się, powiedział, że zadał koledze to samo pytanie.

W odpowiedzi usłyszał, że Szancer całą wojnę przygotowywał się do wyzwolenia. Kiedy mógł, rysował, chował prace do szuflad.

Przeczekać, chować, wierzyć, uczyć się od mistrzów.

Małgorzata Skalbania

*Wiersze nominowane do nagród XVI OKP
im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020*

Jacek Świłło

PROSZĘ PODAĆ CEL MANIFESTACJI

chcielibyście by wszyscy byli równi
to utopia równe to mogą być klocki
marsz musi być dokądś proszę państwa
nie maszeruje się bez celu w kółko
błędne bo to droga
donikąd ale my wiemy wam nie chodzi
o marsz a już na pewno
nie o drogę tylko o wdrażanie
niszczącej trucizny i zarazy nam chodzi
o bezpieczeństwo nie musisz
zaraz być równy masz być
bezpieczny niech żaden zły
los nie spotka cię na pięknych
ulicach naszego miasta
bądź bezpieczny już my
o to zadbamy

WOLNE SŁOWO

szukałeś mnie
chciałeś uwolnić się z pęt
i oto jestem
to ja
twoje niezobowiązujące słowo

przyjmij mnie
weź mnie
pomyśl mnie
jestem bezpiecznym słowem

umieść mnie gdzie bądź
na sztandarze nie lękaj się wiatr go zwinie w rulon
w sieci bez obaw nikt się nie złowi
w druku nie trwóż się będę niezrozumiałym hieroglifem
na transparencie bez paniki policja nie dostrzeże
w sztambuchu śmiało moda na sztambuchy przeminęła
nad łóżkiem nie bój się zgasisz nocną lampkę

tylko brzmieć gdy usta
i wyglądam gdy oczy
a i to niepewnie
blado niewyraźnie cicho

nie mam miejsca w słowniku
nie mam pochodzenia
nie mam znaczenia
nie mam treści
nie mam desygnatu
nie mam ciała
nie mam pojęcia

sam widzisz jestem idealne
nie jestem oderwane bo nigdy nie byłom złączone
teraz możesz sam
bez strachu
wolny
szukać najważniejszej idei

gdy ją znajdziesz
przydam ci się
trzeba będzie przystąpić
do nazywania
by mieć jakiegokolwiek pojęcie

SZYLDY

Gloria we Wrocławiu. Posiada własne chłodnie.
Styks we Wrocławiu. Gwarantuje całodobowy przewóz zmarłych.
Archon we Wrocławiu. Podróżuje drogą od życia do śmierci.
Anubis we Wrocławiu. Służy emocjonalnym i formalnym wsparciem.
Memento w Bogatyni. Od kilku lat prowadzi także własną kwaciarnię.
Chejron w Gdyni. Służy wsparciem w tak trudnych chwilach.
Charon w Łodzi. Możliwość uczestniczenia Mistrza Ceremonii.
Auxilium we Wrocławiu. Dysponuje chłodnią i kaplicą.
Ameno w Warszawie. Ma karawan pogrzebowy „Prezydencki” w kolorze
[czarnym].

Eden w Siedlcach. Są członkiem Polskiej Izby Pogrzebowej.
Wieczność w Radomiu. Ma szacunek do pracy.
Kalia w Gdańsku. Baldachim z ołtarzem (tylko u nich).
Ulfig w Katowicach, Mysłowicach. Cytują Szymborską: „Umarłych
[wieczność dotąd trwa”

Gabriel w Krakowie. Cechuje ich duża elastyczność.
Irys w Sosnowcu. Są tu, by mi pomóc.
Olimp we Wrocławiu. Ich misją jest służba, pomoc i wsparcie.
Universum w Koronowie. Szeroka gama wzorów, wybarwienia,
[jak i rodzajów drewna].

Arkadia w Olsztynie. Wszystkich rodzajów oraz obrządków.
Heron w Warszawie. Młody i wykwalifikowany personel.
Anastasis we Włocławku. Służą pomocą i uczciwą postawą.
Cerber w Raszynie. Kierują się zasadą, że najważniejszy jest człowiek.
Quovadis w Gliwicach, Zabrze, Pyskowicach, Łanach. Atutem jest
[nowoczesny sprzęt funeralny].

Glorian w Wołowie. Pre-Planing – planowanie własnego pochówku.
Chaber w Oleśnicy. Międzynarodowy transport zmarłych.
Augstra w Oleśnicy. Cechuje ich empatia i wrażliwość.
Zapomniałem dodać. Gloria we Wrocławiu to także Skarbex: przewozy
[zmarłych
z innych państw europejskich i odległych regionów całego świata.
Można tak wymieniać dalej. Ku pocieszeniu. Ale czasu coraz mniej.

PROSZĘ WYJŚĆ

a więc chciałby pan od nas świadczenia
usługi za odpowiednią opłatą ale najpierw
musi pan odpowiednio się określić a nawet
dookreślić nie można być tak
niedopowiedzianym musimy wiedzieć kim
pan jest dokładnie bo my tu świadczymy
usługi dla ludności ale przecież
nie dla całej tylko dla podobnej
do nas my podobni musimy
sobie pomagać w przeciwnym wypadku
w nasze szeregi wkradną się różni
a różni z podobnymi nie mogą
w jednym stać domu bo to chaos
i różnorodność wołająca do nieba
o pomstę więc jeśli się pan
różni to proszę wyjść bo mamy pod ręką
klauzulę i nie zawahamy się
jej użyć a ona ciężka tak
jak lekkie jest nasze sumienie.

Jacek Świłło

Mateusz Andała

MORZE BRZEGOWE

rozkopany kocyk jako szczytowe osiągnięcie człowieka który nie mógł stać się kimś innym niż był ale wirtuozersko uniknął przegrzania uchylone drzwi na taras z plamą słońca i zmysłowe falowanie długowłosego dywanu pomiędzy poduchami kanapy orzeszki ziemne jak okruchy meteorytu kropelka powietrza zatopiona w szklance cudowny błąd taśmowej produkcji który pozwala przywołać najlepsze miejscówki do surfowania po księżycowych morzach

OCEAN BURZ

chłopom gnije siano kumplom wiszą drzwiczki od szafek kuchennych na jednym zawiasie wersalki w kuchniach zasuszone babki w kątach zakaz wstępu kotom i psom ale nie muchom dwukanałowa telewizja radio z wyprutymi flakami dziury w schodach prowadzących na nieukończony piętro tradycyjnego kłoca surowe balkony bez balustrad ojciec zjawia się nabuzowany i od razu wiadomo że będzie malował wielkoformatową abstrakcję farbą do konserwacji podwozia znudzeni piątkowicze cichutko czekają na opary

JEZIORO SZCZĘŚCIA

zapach starego domu działa jak afrodyzjak tak mi powiedziała dotykając nosem mojej szyi to jeden z dowodów który łąduje w teczce z napisem nie otwierać przez miliard lat świetlnych a teraz przechodzimy do ogrodu z lampionami w balii wypełnionej studzienną wodą chłodzą się browarki nawet umarli mają świetny nastrój i wątroby jak u nastolatków do jedzenia przewidziano egzotyczne owoce i najlepsze dania kuchni wegańskiej choć potrawą rytualną jest gulasz z nutrii nad którym nestorka rodu czyni znak dziękczynny zerznęty z poradnika mistycznej gospodyni

JEZIORO FAL

lew z odgryzioną łapą w czasie małego głodu którą godnie zastępuje gazeciana proteza wyeksponowany na pudle starego radia nieustannie kroczy na wschód chociaż w tym domu nie jest to pożądany kierunek zresztą żadna strona świata nie ma tutaj szczególnych względów liczą się tylko niebo i dyscyplina

w głośniku trębacz idzie po schodach na stole krzepnie twarożek słońce odkleja siatkówkę oka lecz mrok zostanie pokonany przez światło lampki której klosz składa się ze świątecznych pocztówek i pobożnych życzeń duszą się piątkowicze opętani myślą o sekretach kuchni mikrofalowej

ZATOKA HARMONII

kanciapa z zamurowanym oknem które jest ekranem o najwyższej rozdzielczości sztuczne futro na podłodze będące ołtarzem dla złotych sandałów i wypchanego bażanta plakat z filozofem i kadzidło trójpolówka z wykorzystaniem babcinych dopalaczy mięta szałwia i rumianek odmienny czas parzenia w celu uzyskania naparu o pożądanych właściwościach blat wsparty na czterech kolumnach z zapomnianych książek którym przynajmniej raz w dziejach nagły wiatr przeleciał strony

Bartosz Simiński

NOŚ Z DUMĄ PROCHY MOJEJ MATKI

ciężki przemysł
ku idei lekkiego życia
replikujemy użyteczne przestrzenie w znane nam zespoły kontekstów
replikujemy przestrzenie mieszkalne, betonowe i żelazne moduły
30,8 metrów sześciennych powietrza dla każdego korpoobywatela
mężczyźni z marsa
kobiety z wenus
architekci z plutona
przyszłość mieszkaniowa w kompleksach trumien zgrupowanych
w konstrukcje po dziesięć sztuk w rzędzie i trzydzieści sztuk w pionie.
pod betonową pierzynką kładziemy się spać spokojni z myślą, że
promienie rozbłysku z Czarnobyla/Fukushimy/inne (jakie?) nie dotrą
do resztek naszych tkanek miękkich bądź elementów mechanicznych
zaimplementowanych doraźnie w naszych biologicznych powłokach.
pracujemy ciężko zanim liczba kredytów przypisanych do awatara nie
wskaże sumy wystarczającej dla kompletnej transplantacji w ryzy
niebiologicznych nośników odpornych na błędy ludzkie

w czasach trans, inter i fluid
(niepotrzebne skreślić)
nasze mechaniczne awatary przejdą wielokrotny recykling służąc zarówno
doznanom praktycznym, jak i estetycznym
żywica poliuretanowa staje się coraz łatwiej dostępna, a więc odpadki
osobnicze zatopimy w posadzkach, szczątki po przodkach w figurkach,
ścianach i trójwymiarowych klapach na sedes

mówią
że diamenty są wieczne
a to tylko kreacja firmy jubilerskiej, która w celu zwiększenia zysków
i zrobienia dobrze akcjonariuszom wykreowała normy zachowań
godowych uwzględniające jedną z postaci węgla w staraniach o prawo
do wyłącznego spółkowania w celu zwiększenia szans na przedłużenie
swojej linii genetycznej

perły przed wieprze
diamenty przed goryle
niech ustanowią błyszczącym podarkiem swoją samczą pozycję alfa
wobec kobiety uprzedmiotawiając ich status na rynku matrymonialnym
i krzycząc, że to moje ciało samicze, nie dotykać, nie zaczepiać, nie
kopulować!
przegrywy, incele, mgtowy wydają się być na straconej pozycji, ale cóż
to, zachodzi lekkie przesunięcie narracji kulturowych i furtka do wyjścia
z friendzону. internetowy poradnik podrywu radzi bowiem, że nawet
jeśli alfa szmaci a beta płaci to beciaki mogą pociupciać płacąc twardą
walutą bądź energią włożoną w utwardzanie zdolności miękkich.
pracuj, kupuj, konsumuj, sponsoruj

rzec by się chciało
drill baby drill i tak drillują
na coraz to nowych obszarach, a skażona woda płynie bystrym
[strumieniem z kranów
Jezus zamieniał wodę wino my zamieniamy wodę w ogień
better leave all kids behind because no lives matters

warto zauważyć, że żyjemy jednak w wieku defraudacji diamentów. kształt, kolor, wielkość i szlif należy wybrać z katalogu. zmielone po spopieleniu kończyny zmarłych transformują pod wpływem wysokiego ciśnienia w spersonifikowane diamenty. produkt posiada certyfikat laboratoryjnej jakości ze spisem procentowym wykorzystanych pierwiastków zawartych w sterylnych odpadach (aby te nie stanowiły zagrożenia biologicznego). zastosowanie dowolne i szerokie. za dodatkową opłatą osadzenie diamentów w ozdobnej kolii, srebrnej bransolecie, zaręczynowym pierścionku. nos z dumą prochy mojej matki

tak więc ubrani w kalki z wybrakowanymi kolorami, do których produkcji zabrakło odczynników chemicznych, kolory pielęgnujemy i zachowujemy o nich pamięć, podziwiamy ich pozostałości na ścianach snobistycznych galerii. doświadczenie palety barwnej biletowane, ceny przystępne, rozwiązanie budżetowe dla oszczędnych – darmowe poniedziałki. niech mamine brylanty rozblęsną tysiącem zapożyczonych refleksów, setkami odbitych kolorów, błyskiem zazdrości w oku nielubianej koleżanki z pracy

czy kiedyś zatęsknimy za biologicznym ciałem?

STREFA KOMFORTU

Zarodniki grzybów psychodelicznych mogą podróżować przez kosmos
[nie obumierając.

Przyczepione do kosmicznych śmieci zderzeniowych dotarły na Ziemię.

[Wydały płodne potomstwo.

Jadły je małpy, którym umysł otworzył się na całkiem nowe możliwości, opuściły dzięki temu swoją strefę komfortu, odnalazły lepszą wersję siebie i wyszły na ludzi.

Amen.

BAGDAD PŁONIE

nie umiem już wymyślić, co się dzieje na świecie
w chaosie informacyjnym skaczę od strony do strony
doniesienia w stylu *copy paste* utrwalają we mnie przeinaczenia

Bagdad płonie

Amazonia płonie

Palestyna płonie

Australia płonie

a ja nie wiem w całym tym zajebaniu

co płonie naturalnie, a co nadnaturalnie

tak czy inaczej mamy wspólny mianownik:

wszystkie eukarionty transformują w węgiel

chwytam się usilnie tej namiastki stabilności

(przynajmniej dopóki cernowcy mi jej nie ukradną)

siadam sobie pod kołdrą i obkładam się poduszkami

zasłony ciasno zaciągam, światła gaszę i dźwięk w telefonie wyciszam

(nieskutecznie)

dochodzą do mnie szmery świata

w świetle monitora na moim laptopie oglądam filmiki o rozszczepieniu

[atomowym

(zastanawiam się, czy lepiej we śnie czy nie we śnie)

baza z kołdry przecieka światłem

myślę czy nie schować się w kiblu

jak te wszystkie psy i koty

zaskoczone corocznymi wybuchami radości

cdn?

Bartosz Simiński

Piotr Smolak

TOD MIT UNS

Miasto zanurzone jest w wodzie
W niektórych miejscach po kostki
W niektórych po kolana

Na sfałdowanej powierzchni
Migoczą niewykorzystane formuły
Wzory modlitw na każdy dzień
Zdjęcia osób poszukiwanych listem gończym

Hiszpańskie żaglowce ciężkie od nasion i snów
Nawracają we wnętrzach odrestaurowanych kamienic
Nawracają we wnętrzach opustoszałych katedr

Na dolnym pokładzie snują się
Matki pozbawione łakoci i wiotkich futer
Paznokcie wrastają do wnętrza stóp

Niektóre uliczki liczą sobie kilkaset lat:
Lśniły w słońcu zanim zrzuciono z zikkuratu
Pierwszego astrologa po wstępnej weryfikacji
Lśniły w słońcu zanim kupcy sprowadzili dżumę
Z obłąkanego Konstantynopola

Miasto zanurzone jest w wodzie
W niektórych miejscach po kostki
W niektórych po kolana

Nikt nie wie dlaczego spośród żywiołów
Właśnie ten wybił się nad pozostałe
Dlaczego obraz wypełnia myśl

Mieszkańcy wolą urządzić marsze w okopach
Wznosić fortyfikacje z mięsa i mgły

Dopóki pewnego dnia
Meteorolodzy nie przedrą się przez pory roku
I nie obwieszczą zimy stulecia

Dopóki ptak nie opuści źródła w poszukiwaniu ogrodów
Przepełnionych plejadą plotkujących motyli
Rojem much przepasanych błękitną wstęgą

PORTRET KOBIETY PO PRZEJŚCIACH (WSZYSTKO O MOJEJ MATCE)

Nie wiem, jak wytrzymałam z nim tyle lat.
Wmawiałam sobie, że to zastępstwo.
Na jakiś czas, na chwilę. Do pierwszego,
a może wcześniej.

Marzyłam, że przyjdzie inna kobieta
i przejmie moje obowiązki.
Będzie prowadzić dom, robić inne śniadania,
podawać piwo, przewracać się na plecy,
tańczyć, modlić się, odchyłać głowę.

Muszę przetrwać ten związek dusz, tę próbę
przed prawdziwym małżeństwem. Mija dzień
za dniem, a ja mówię, że wypiorę jeszcze kilka
brunatnych koszul, zajmę się jeszcze szyciem,
podrzucę mu parę hasel do krzyżówki.

Nie zostawię go w trakcie zanikania masy
mięśniowej, utraty sprężystości skóry
i naczyń. Nie wspominając o wzrastającej
niewydolności nerek.

Może wszystko jeszcze się rozkręci,
trafi na właściwy tor, zacznie naprawdę?
W tym związku nie jest najgorzej.

Myślę w ten sposób, ponieważ nie mam
porównania. Nie wiem, jak to jest być z innym,
inne usta okrywać pocałunkami, przytulać się
do innych pleców. Nie wiem, jak to jest
z tą prawdziwą drugą połówką.
Może istnieje więcej drugich poówek?
A może z każdą ta sama pieśń i ta sama
fałszywa melodia?

Podeszłam do ślubu jak do próby, a to był
spektakl. Przy rozpalonych reflektorach
i kompletach na widowni. Gram główną rolę,
choć nie znam przebiegu fabuły.
Nie znam nawet kolejnej kwestii.

Z trudem odnajduję się na scenie. Pozostali
aktorzy zachowują się tak, jakby w ostatniej
chwili zebrano ich z ulicy. A tu trzeba przeżyć
kolejny sezon. Robić wszystko, żeby widzowie
nie zaczęli tupać, gwizdać, wzdychać, wychodzić.

Mętne odbicie w kałuży wzięłam za rzeczywistość.
I zanim zdążyłam zapytać, już odgrywam prawdziwe
emocje, przynajmniej na takie powinny wyglądać.
Samo przedstawienie dupy nie urywa.
Brak fajerwerków i prawdziwych gwiazd.
Nie ma wpadania w czarną rozpacz,
a potem w obłąkańcze uniesienie. Nie ma *katharsis*.

Mogłabym w tym nie grać. Czy to by coś zmieniło?
Mogłoby nie być tego małżeństwa, zamiast tego syna
mógłby być zupełnie inny syn. Kochałabym go
tak samo. Mogłabym mieć dziecko z hipsterem,
z esesmanem, który umyka przed trybunałem

w Norymberdze. Z prezydentem radiowym o grubej szyi i ułamanej jedyńce. Z Chińczykiem.

Gdybym od początku wiedziała, jak to wygląda – nie wahałabym się ani chwili. Zrezygnowałabym natychmiast. Z inną byłby bardziej szczęśliwy.

Niestety.

Rola niezbyt wymagająca, akcja nieszczególnie skomplikowana. Plastikowa produkcja z papierowymi bohaterami dla rozgarniętych inaczej. Nikt mnie nie internował, nie rzucałam butelek z benzyną w zomowców, nie urodziłam pięcioraczków, nie przebiegłam stu metrów w rekordowym czasie, nie uwiodłam księdza ani ubeka. Mojego istnienia nikt nie zauważył, z wyjątkiem kilku osób, moich narodzin nie zanotowały żadne kroniki, w żadnym też periodyku nie znajdzie się data mojej śmierci.

Nie ma mnie na okładce, w szufladce, ale to nie miałyby znaczenia, gdyby mi rzucił świat do stóp, jak obiecywał.

Na imię mam milion, teraz już chyba miliard.

NA DŁUGIEJ PRZERWIE

na długiej przerwie wchodzimy na strych
otwieramy okna i siadamy na parapecie

ptaki lądują na pustym boisku wzniesając kurz
kręcą łebkami na wszystkie strony

nagle
naruszają nawierzchnię jakby chciały wykopać grób
znaleźć szczątki nieznanego żołnierza

wiatr zahacza o pęki drzew nasiąknięte wczorajszym deszczem
pojedynczymi zrywami ubarwia banalną scenerię
muską nasze policzki końcówkami niewidzialnych paznokci

palimy papierosy zza oceanu które pachną jak stare zdjęcia
szukamy reguł rządzących naszą szczątkową biografią
nieskończoności przeciwstawiamy powtarzalność i śmiech

ten od którego odpisywałem na próbnej maturze
i który ma na koncie parę zamachów na własne życie
wypisuje na ścianie słowa ulubionej piosenki

*jak myszka miki stronię od polityki
zajmuję się destrukcją własnej psychiki
ponieważ schizofrenia zmienia punkt widzenia
poszerza horyzonty i zmusza do myślenia*

dokonuję pobieżnej analizy tekstu
powściągliwie wyrażam aplauz i żegnam się z towarzystwem

za kilka lat stracę resztki wiary w wypadku samochodowym
na razie zbiegam po schodach w poszukiwaniu wychowawczyni

muszę jej przekazać że chcę wrócić do pierwszej klasy
ujrzeć samego siebie wewnątrz kobiecej maszynierii
ujrzeć ojca biegnącego bosą z latawcem przez step

tęczę uwikłaną w mechanizm
w tryby zębate

O WSCHODZIE SŁOŃCA

Fotografujcie roześmiane kobiety i rozebrane zwierzęta
Rusztowania obwieszane topielcami uratowanymi z pożaru
Maszynistów ciągnących kontury lokomotyw

Uwieczniajcie szelest który odbija się od portali i ścian
Zapisanych przez seryjnych morderców:
Tutaj spaliłem Joannę d'Arc. Mam słabość do sztyletów
Od dziecka chcę zostać katem

Nie oglądajcie się na innych. Poszerzajcie pole widzenia
Smarujcie maścią średniowieczne obrazy. Krótkimi seriami
[Z AK 47] strącajcie z orbity stacje badawcze

Fotografujcie nieodgadnione zanim otworzą się
Wszystkie rany i ogrody zoologiczne jednocześnie

Fotografujcie fakty których nie można odróżnić od złudzeń
Krwiożercze antylopy prześlizgujące się jak srebrne strzały
Nad parą nowożeńców na wyspie
[Kiedy oddają się miłości]

Fotografujcie gwiazdy zderzające się niczym kule bilardowe
Których impet zakrzywia przestrzeń i czas
Bowiem tanie wzruszenia zawsze są w modzie

Fotografujcie tramwaje wyjeżdżające z tuneli
Roziskrzzone jakby wybuchały w nich supernowe

Fotografujcie nerwowo chorych w parlamencie
Który rozpada się wskutek napięć
Albowiem wielu z nich nie odzyska poczytalności nawet w raj

Fotografujcie
Czyńcie tak nawet w ciemnościach
Fotografujcie a będzie wam dane

Henryk Czempiel

chłód ciemnocichy
na cmentarnej ławeczce
przywykam

szkatułka po mamie
nigdy nieotwarte
listy ojca

festyn w miasteczku
tuż obok mammobusu
stragan z loterią

jesień czy zima
słucham w parku
Vivaldiego

jesienny apel
wicher ze wschodu targa
biało-czerwoną

szukając Wandy
wśród śniegów Kanczendzongi
czerwona szminka

Z cyklu *Epidemiawki*

niusy o wirusie
nikt nie zauważa
jej nowej broszki

opada kwiat wiśni
tysiąc nowych przypadków
w naszym sadzie

zamknięte drzwi
zamknięte granice
zjednoczeni

wciąż zasłonięta
chroni się przed wirusem
czy przede mną

rwę pajęczynę
w oknie izolatorium
leć biedroneczko

FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

Góry Orfickie

JANUSZ I MICHAŁ

Widzę dom po Fostowiczu, o dziwo, na plaży niemal, kilka metrów nad nią, powyżej drugiego budynku, zaskakuje mnie, że wybrał takie miejsce, że przecież ludzie, tłumy, ale zaraz to racjonalizuję, że tutaj właśnie, z góry, wzdłuż obydwu budowli, spływa spory strumień, że woda w nim zimna, więc i ludzi nie będzie tylu, przeskakuję ten strumień, bo nieopatrznie zszedłem nazbyt na dół, aż na podmokły piach, znów podchodzę pod dom Michała i widzę, że świerki tutaj fantastyczne! – i ten, i tamten – widać zamysł, kompozycję i myślę, iż pozostał tutaj kształt nadany naturze, drugi dom, który naprzód ma się znajdować na Śląsku Cieszyńskim, ale potem okazuje się raczej tym obok Fostowicza, kręcą się jacyś ludzie i wynosi się z niego rzeczy, pozostała tutaj wdowa po szczupłym, delikatnym człowieku, co kreślił czy malował twarze, ja też wynoszę, taszcze z trudem pudełko, jest ciężkie, niewygodne, stawiam na moment na jednym z kilku stołów, kiedy mijają mnie jakiś mężczyzna, wreszcie jestem na zewnątrz, to mi wypada, otwiera, tak jak myślałem, są tam modlitewniki, czarne, o czerwonych krawędziach kart, jak mój z młodości, są również fotografie, małe, niewyraźne, przypominające zdjęcia z mojego dzieciństwa, to ten zmarły człowiek, prawie sama twarz tylko, biały sweter, białe włosy, i ona, też chucherko, jakieś imprezy, spotkania? przychodzi mi na myśl, że to jakby my, na ślubie w Karpnie, to może być ten sweter, a potem gdzieś tam, u kresu, stoję przed tym domem i patrzę, jak to on chciał urozmaicić jego formę, kamienie powkładane w mur, wystające, ten mniej, ten bardziej, wznwyż wykusza, jakim opatrzona jest klatka schodowa, skąd przed chwilą wyszedłem, porównuję drewniane listwy, że dał deskę tu czy tu, widocznie były jeszcze planowane jakieś prace, bo mur jest częściowo odkryty, wykute bruzdy pod przewody, i sądzę, że ów zmarły korzystał pod tym względem z uwag artysty sąsiada, Fostowicza, jeszcze zastanawiam się, dlaczego pojawiła się owa „cieszyńskość”, zapewne rzecz dzieje się po czasie, kiedy już tutaj, gdzie teraz mieszkamy, jest jak tam, a potem, że w „moim domu”, czyli we mnie, pozostało coś z Fostowicza, i że ja jeszcze zdążyłem ewakuować się z tej grząskiej plaży, przeskoczyć zimny nurt, w mieście spotykam nieznaną, ciem-

no ubraną kobietę, która proponuje, bym jej dokądś towarzyszył, pojawia się nasza wspólna świdnicka znajoma, która również zostaje zaproszona, kobiety rozmawiają, a ja idę za nimi, zdaje się, że tak zostają wyprowadzony „od siebie”, ze swojego dawnego miasta, położonego w połowie drogi między Wrocławiem a Sudetami, jedna z nich symbolizuje ruch ku dolnośląskiej metropolii, druga ku góróm, wchodzimy do kawiarni, gdzie siedzi Janusz Styczeń w swoistym szaropiżamowatym ubraniu, przysiadamy się i gadamy już chwilę, kiedy przychodzi Michał Fostowicz, bardzo dobrze wyglądający, jest z nim ktoś jeszcze, niby postać występująca w konwencji sztuki dawnej jako atrybut, uczeń, adept, ktoś pod jego wpływem, ktoś słuchający, w tej zależności, niepełności jakby, odbijającej się nawet w jego wzroście, zapamiętuję go, Fostowicz zabiera nas do siebie, ale nie odnajduję dobrze mi znanej topografii, pokazuje nam grotę, swoje sanktuarium, jest to jakby Betlejem, na górze Matka Boska, błękitna, niżej zaś naturalne górskie otoczenie, mówi o tym, że ma zioła, jak je zażywa, w kolejności, kiedy już tutaj dojdzie, do ostatnich trzech domków, używa tego słowa, ale myślę, że chodzi raczej o przybytki wewnętrzne, „komnaty duszy”, to zapala się to światłem! Rozumiem to w ten sposób, że jego buddyzm, praktyka, obrzęd buddyjski dochodzi do momentu identyczności z chrześcijaństwem, ale ma to i swoje uzasadnienie w położeniu domu, gdzie mieszkał, to jeden z paru samotnych budynków, ostatnich na ścieżce do maryjnego sanktuarium na Górze Iglicznej, powracamy do kawiarni, która ze względu na obecność Janusza Stycznia na pewno umiejscowiona jest we Wrocławiu, ale ważnym też dla Fostowicza, Styczeń wydaje mi się teraz bardziej wyprostowany, tęższy, w ogóle robiący lepsze wrażenie, mówię i staram się jakoś pokazać to gestem, postawą, że tak się świetnie trzyma, odpowiada, że to jakaś kobieta postawiła go na nogi, moją uwagę zwraca jego twarz, koncentruję się na niej i ze zdziwieniem, i niedowierzaniem spostrzegam, że naraz ma, jak Cyklop, tylko jedno oko, jakby powiększone nieco, szarobłękitne, wśród mocno zaróżowionych, pofałdowanych tkanek, przesunięte z zanikłego lewego oczodołu ku środkowi, poruszony poszukując gwałtownie *iunctim* z jego poprzednim stanem, z rzeczywistością w ogóle, patrzę za drugim okiem i znajduję jakby zmalala bliźnię do prawej stronie, już prawie na skroni.

29 stycznia 2019 r. 5.00; 6 / 7 listopada 2020 r.

KOLUMNA

Oglądam fotoreportaż z postawienia Kolumny Maryjnej na Rynku Staromiejskim w Pradze, niegdyś wzniesionej jako wotum za uratowanie miasta przed Szwedami, lecz zinterpretowanej później *ad hoc* jako symbol cesarskiej opresji i obalonej u zarania Republiki, jak wówczas dziesiątki innych rzeźb po całych Czechach, jednak jest zbiegowisko, tłum, kilkaset osób, ale pisze się o tym tłum, stopniowo udziela mi się świąteczna aura wydarzenia, że w ogóle zaistniało, że od trzydziestu lat starania, sprzeczny, kontrowersyjny ideowo, kamień i ludzie, kamień i człowiek,

wówczas, w 1918, i teraz, Petr Vaňa, który nie wątpił, robił swoje, w 2003 roku odtworzył samą statwę Marii, którą rok później umieszczono przed Tynem, a później pracował nad całą kompozycją, przywiózł ją Weltawą na barce, sześćdziesiąt ton kamienia w dwustu pięćdziesięciu kawałkach, już gotowych, do zmontowania, i dochodzące wiadomości, o pozwoleńiach, niepozwoleńiach, jego legalno-nielegalnych pracach na miejscu przyszłego pomnika, wreszcie swoboda instalacji, żuraw porywający Pannę Marię pod niebo, potem składający na przybrany kwiatami samochód stojący na Celetnej, na materace, w asyście fotografujących, śpiewających, płaczących i pragnących dotknąć, a po chwili, już na Rynku, dźwigający znowu i po wcześniejszym złożeniu, pośrodku kwadratowej balustrady, kolumny z głowicą koryncką, ustawiający na samym szczycie rzeźbę i oklaski, i rzeźbiarz w uścisku swej żony, po dwudziestu trzech latach różnorodnych jego wysiłków poświęconych tej sprawie, na zakończenie zdjęcie z góry, czworoboczny plac z odnowioną pamiętką, na osi od Ratusza do tyńskiego kościoła, w optycznie bezkolizyjnej odległości od obłej formy monumentu Jana Husa, który na wieki już miał ją tutaj zastąpić, wszystko to docierające do mnie mocno, głęboko, że stało się, że jednak, promieniowanie duszy tego człowieka, który dokonał swego i Bożego, i historycznego, dał znak, że chrześcijaństwo, choćby i wyciosane w piaskowcu, żyje tutaj także, że po stu latach nastaje czasem sprawiedliwość, z przypomnieniem, że przecież samą postać kamienną widziałem w wejściu do kościoła, a w nocy sen, jak myślę, reflektujący tamtą atmosferę, pomieszczenie w przyćmionym świetle, w mroku niemal, gdzie jest parę jakichś sprzętów, wiem, iż są z niejasnego powodu, swojego wieku czy pochodzenia, wartościowe, szacowne, dociera do mnie treść zadania, egzaminu, może swoistego współzawodnictwa, żeby to, co tam jest, wraz z kształtem pokoju, przenieść, przetworzyć, uchronić w innej formie, nagle kojarzy mi się to wewnątrz z naszym prostopadłościennym żelaznym piecem, a wszystko to razem postrzegam jako tekst, ciemną stronicę, gdzie jest zapisane, co się z moim udziałem tu dzieje, pośrodku, na jaśniejszym prostokącie, w cienkim obramowaniu, mocno wyróżniający się z tła wiersz, czworokątny kształt czterowiersza, niby odwzorowujący wspomniany wcześniej piec, powtarzam to sobie, cyzelując składniowo, rytmicznie, aprobując, ale teraz już nie pamiętam, wiem jedynie, że jest to dobitne stwierdzenie przemijania, wszystko zniknie, zatem i ta wyjściowa instalacja, asamblaż przeszłości, tradycji, a zarazem to wszystko jest, pozostaje w poezji, pada tam sformułowanie „cud ognia”, sugerujące, iż samo pisanie, tworzenie, jest owym piecem, co pochłania i kondensuje, prochem jesteśmy i w proch się obracamy, ale ów proch nie jest już tamtym, pierwotnym, raniem radio, Vltava, słowacki muzykolog omawia, w swoim języku, płytę, gdzie obok Bacha jest i Bartok, jest jego kompozycja *W przyrodzie*, która, jak słyszę, świetnie ma zakończenie, przetworzenie dźwiękowych wrażeń z polowania, rozpędzone, jakby nie miało pomieścić się w formie, i mimo całego bogactwa dynamiki i barwy, pozwalające dosłuchać się ukrytego gdzieś w głębi rytmu serca kompozytora, i właśnie tej finałowej części będą mógł zaraz posłuchać...

MAGDALENA

Piękno śmierci, głęboka naturalność czerni, wyraźnego konturu, w jakim ostatecznie znikną pochłonięte wszystkie kolory, w południe, ostatniego lipca, okryta białymi kwiatami brunatna trumna przesuwająca się na ramionach sześciu spokrewnionych z umarłą mężczyźn, poprzez stary, ponemiecki, coraz bardziej bohemizujący się cmentarz, pod kwitnącymi właśnie lipami, najmłodszy z niosących, jej wnuk, ciemnooki, ciemnowłosy, robiący wrażenie nad swój wiek poważnego, spokojnego nadnaturalnie, jakby w ogóle pozbawionego agresji, niezdolnego do zła, jest po dwóch operacjach mózgu, rzec można, uratowany w ostatniej chwili jej modlitwą, jeszcze półtora roku temu, ponadosiemdziesięcioletnia, z ustawicznym bólem nóg, wyruszyła w ośmiogodzinną podróż na rodzinną Słowację, aby temu chłopakowi zawieść przygotowane przez siebie kotlety, bo miał zostać sam na kilka dni w domu, bała się, że mimo wszystko, mimo iż dosyć dobrze funkcjonuje samodzielnie, nie zadba, by zjeść, nie sięgnie po to, co zostawili mu rodzice, piękno jej, piękno kobiety, w jej zdolności do przesady, zrobienia czegoś jeszcze, czegoś więcej, czego nie musi się robić, czego, dla tego kochanego kogoś, nie zrobiłby nikt inny, a co niesie na sobie trwałe polor niekoniecznego właśnie, czegoś nie z tej ziemi, wyjątkowość miłości, smak, jej niespotykana codziennie barwa, „kto w miłości mieszka, mieszka w Bogu, a Bóg mieszka w nim”, dzięki niej, dzięki pochowanej wczoraj, którą często odwoziliśmy po mszach pod dom, poznaliśmy jej męża, wywodzącego się z mniejszości czeskiej, osiadłej od czasów Komenskigo w Zelowie i która także miała swój udział w zasiedlaniu tych ziem po wojnie, poznaliśmy syna, córkę, i tego chłopca, teraz być może znikną nam za nią z oczu oni wszyscy, rozplyną w bijącym od nieżyjącej, poprzez prostą wspaniałość obrzędu, świetle... W nocy śni mi się symboliczna więź rodzinna, ale, jak czuję, szersza, międzyludzka, uosabiająca wszelką spolegliwość i bliskość młody mężczyzna, niby starszy brat, niby duchowy opiekun, mistrz, ale nieoficjalnie zupełnie występujący, w zwyczajnych szaro-granatowych spodniach i jasnej rozpiętej koszuli, przygotował co trzeba dla przyszłości młodszego, kilkulatka, ukazuje mi się to jako coś na kształt luźnej plecionki, raczej układanki, stylizowanego gniazda czy wieńca, z samych przypominających wiklinę patyczków wokół postaci dziecka, jakby na powszedni, ziemski sposób wyrażone złociste promienie wytryskujące spoza barokowych figur świętych, wszystko gotowe, wszystko, uczynione z miłością, z wyższą logiką, pójdzie dobrze, ale ten, którego to dotyczy, z całym swym dziecięcym przekonaniem beznamiętnie odmawia, i nic, nic w otoczeniu, nic w postawie opiekuna się nie zmienia, nie pojawia się zawód, żal, osąd i skarcenie, tylko trwa niezmacony spokój.

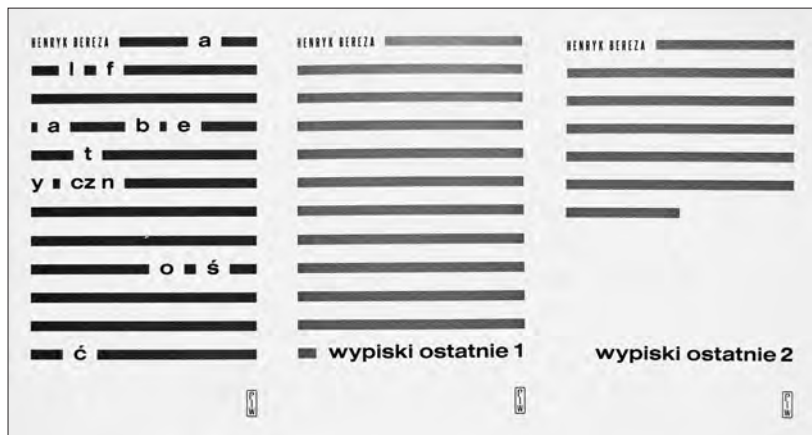
1 sierpnia 2020 r., 8.40.

Antoni Matuszkiewicz

Grzegorz Strumyk

ŁATANINA 38

Linia ciągła, zdania w postaci pasków, zapis życia. Ma swój początek i koniec. Zaczyna się imieniem i nazwiskiem, w szeregu. Czytam okładkę, jak się czyta życie. Potrzebny jest tylko autor. Musi się tylko zacząć imieniem i nazwiskiem. Wystarczy poznać imię i nazwisko, żeby powstało wyobrażenie zamkniętego przed nami czyjegoś życia. W imieniu i nazwisku żywa postać. Może tylko tyle zostać zapisane do odczytania. Nawet tyle nie zostało w historii w dokumentach. Tak się dzieje w przytłaczającej części imion powiązanych z nazwiskami. Choć to może się wydać niewyobrażalne dziś, małe są szanse na jakikolwiek ślad zapisu obecności poza nimi. Dlatego tak bardzo przyciągają mnie okładki pogrzebanych książek. Czytam imiona i nazwiska na wszystkich cmentarzach. Kiedy idę na skróty do domu przez cmentarz od ulicy Siewnej do Solec i czytam imiona, nazwiska z datami obok siebie, jakaś niechęć we mnie do książek, bibliotek, spokojna i naturalna z każdym krokiem. Nie mieszam się w ludzką potrzebę pisania o zdarzeniach życia, potrafi być życiodajna. Jednak wszystkie pozbierane przypadki życia doprowadzają mnie do milczenia. Człowiek zasługuje na ulgę milczenia. Idę i czytam nazwisko i imię, z wyobraźnią, to nazwisko i imię nosiła żywa osoba, to jest książka, to tytuł pogrzebanej książki, której się nie przeczyta, ale się pojmuje, że opowieść zawiera się w tym imieniu i nazwisku. Może ten, kto je nosił, zostawił jeszcze ja-



kieś zdanie, które poznane mogłoby należeć do literatury, może więcej niż zdanie, listy z młodości, a może wydaną własnym staraniem książkę, która nie wzbudziła zainteresowania, może jej nikomu nie pokazywał. Cmentarze samych imion i nazwisk są cmentarzami pogrzebanych wyobraźni. Innej możliwości po prostu nie ma. Świadomość tego faktu nie decyduje o jego istnieniu. Żadna książka pozostająca literaturą nie powstanie bez wspólnoty wyobraźni w najmniejszym wymiarze, nawet samego nazwiska i imienia mieszczących wszystkie w sobie zdania i słowa. Dla lepszego wzajemnego traktowania się każdego dnia. W wyobraźni niepoznawalnego. O wspólnotę wyobraźni chodzi w liniach zapisanych tekstów, o których myślę. Że w prawdziwej ludzkiej wspólnocie widzi się słabszego w podziale zainteresowania nim świata. Choćby dlatego warto czytać linie zdań zapisu lektur i zdarzeń życia jednego rozszyfrowanego z imienia i nazwiska – Henryka Berezy. W tej samej linii, nie wyróżniając tonem wypowiedzi, na równi, dzielił wyobraźnię między znanych i nieznanych, czekających na uznanie i nieuznawanych, między silne i słabe głosy. Mam też przed oczami takiego Henryka Berezę – jak przechodzi z redakcji „Twórczości” do kawiarni Czytelnika, w rękę trzyma „Frazę” tytułem do oczu patrzących. W kawiarni kładzie „Frazę” na stoliku, i to nie jest tylko przypadkowa sprawa, ale rodzaj sygnalizowania o włączaniu we wspólnotę literatury każdej próby. To można u Henryka Berezy wyczytać – jak w jego zapisach broni się szanse na wysłuchanie każdego ujawniającego się własnego głosu, na przyjrzenie się miejscu, z którego dochodzi. Dla wspólnoty literatury, dla wspólnoty zdarzeń.

Robert Suwała

Obrazy i anamorfozy

STANISŁAW WYGODZKI. PROCH I PYŁ

*Gdzieś w dwudziestych latach zaczęł pisywać do mnie
z Będzina biedny żydowski chłopak z ghetta, Szaja Wygodzki.
Jarosław Iwaszkiewicz, Marginalia¹*

Wzmianka Iwaszkiewicza o Stanisławie Wygodzkim w *Marginaliach* uświadamia, że zapomnienie to bodaj najsurowsza kara, jaką los może zgotować pisarzowi. A przecież życie autora *Upalnego dnia*, *Basów*, *Pożegnania* i *Człowieka z wózkiem* – licznych zbiorów opowiadań i tomików poezji – warte jest przypomnienia, choćby dlatego, że jak w soczewce skupia wieloznaczność losów znaczonych moralnymi wyborami, do jakich zmuszała historia po 1945 roku. Wielu wówczas składało dowody siły człowieczeństwa albo jego klęski. Pozostawali wierni prawdzie, pisząc na siebie wyrok, albo, przeciwnie, w imię nowej religii, jak uczynił to Wygodzki, zawierali przymierze z władcami dusz. Motywy bywały różne. Wygodzki wierzył w swą wizję, wierzył wiarą idealizującą nowe porządki, jednakże jego świadomość, ukształtowana jeszcze w międzywojennym Zagłębiu, na dłuższą metę nie była w stanie znieść ciężaru zadekretowanego kłamstwa.

Urodził się 13 stycznia 1907 roku Będzinie, w mieście, które z racji wybitnie żydowskiego charakteru powszechnie zwano Jerolimą Zagłębia. Szept modlitwy, jaki od wieków wisiał nad tym miejscem, dodawał miastu nad Przemszą osobliwego nastroju zastoju i fatalizmu. Wygodzki poznał życie zakątka Będzina zwanego Podzameczem – była to gęsto zabudowana, duszna dzielnica u stóp ruin średniowiecznego zamku, zasiedziała w cieniu synagogi, znaczone brudem i biedą. „Znałem tę część naszego miasta – można przeczytać w jednym z opowiadań – od najwcześniejszej młodości”². Mroczna liryka tandetności i brzydoty, improwizowanego co rano życia musiały przyciągać rozpoetyzowaną wyobraźnię młodego człowieka. Wygodzki jednak za romantycznym światłocieniem Podzamecza potrafił dostrzec ostre kontury bankructwa człowieczeństwa – nędzę i wyzysk – trudne brzemie ówczesnego Zagłębia. Dostrzegał „całą tę – jak wspominał po latach – krzątanicę ludzi żywych, szukających sposobności zarobkowania – nie codziennie, o nie! – ludzi, którzy wiedzą, że kiedyś siły się wyczerpią, a jeszcze wcześniej, być może, jakaś paka zwali się na nich, przygniecie do ziemi, przydusi swym ciężarem, spod którego wygramolą się z przetrąconymi gnatami, by resztę życia przejść z dłonią wyciągniętą po jałmużnę”³.

¹ J. Iwaszkiewicz, *Marginalia*, Warszawa 1993, s. 51.

² S. Wygodzki, *Szatanek* [w:] tenże, *Opowiadania*, Warszawa 1964, s. 219.

³ Tegoż, *Basy*, Warszawa 1965, s. 46.

Tam, na Podzamczu, poznał prostą prawdę, że „każdy człowiek ma dwie ręce, jedną głowę i jedną śmierć”⁴, tam też zetknął się z płynącymi ze Wschodu komunistycznymi ideami. Wrażliwość zapłodniona przez nową ideologię ukształtowała na lata światopogląd Wygodzkiego. Stał się komunistycznym agitatorom. Za tę działalność zapłacił relegowaniem z gimnazjum i dwuletnim wyrokiem. Z więzienia przemyślał listy do Broniewskiego i Peipera. Dopytywał się o możliwość druku swoich wierszy. Pisał do Iwaskiewicza, który, jak można przeczytać w jego *Marginaliach*, potraktował początkującego poetę nader protekcyjnie. Po odsiadce zatrudnił się w hucie jako urzędnik, szybko stał się aktywnym uczestnikiem robotniczych związków zawodowych. Poznał swoją pierwszą żonę. Jako literat zadebiutował w 1928 roku. Nawiązał współpracę z lewicującym „Miesięcznikiem Literackim” redagowanym przez Wata (Wat w *Moim wieku* wspomina Wygodzkiego kilkakrotnie). Prócz „Miesięcznika...” publikował także w „Lewarze”, „Sygnałach”, „Szpilkach”, w „Skamandrze”, a także w radzieckiej „Kulturze Mas” oraz piśmie „Literatura Mirowej Rewolucji”. Do wybuchu wojny wydał trzy tomiki poezji.

Gdy Niemcy weszli do Będzina, w pierwszej kolejności spalili synagogę z osobami modłącymi się wewnątrz. Dla żydowskich mieszkańców miasta, w tym Wygodzkiego, nastąpiły czasy terroru. Pisarz przemocą zamknięty w będzińskim getcie traci wszystko: mieszkanie, księgozbiór, rękopisy, etat w hucie... Jeszcze żyje, choć nie ma przecież złudzeń co do swego położenia. W 1943 roku ma miejsce deportacja mieszkańców getta do Auschwitz. To tak zwany „sosnowiecki transport”, którego przybycie do Auschwitz z traumatyczną plastycznością opisał Tadeusz Borowski w opowiadaniu *Proszę państwa do gazu*. Zdając sobie sprawę z epilogu tej podróży, Wygodzki zdobył luminal, który podał żonie i pięcioletniej córeczce. Żona i córka umarły podczas transportu. On sam przeżył – dawka luminalu okazała się zbyt słaba dla mężczyzny. Poznał zimny uścisk samotności, jej cień nigdy już go nie opuści. Przeszedł przez Auschwitz, Oranienburg, Dachau. W monachijskim szpitalu, gdzie po wyzwoleniu leczył gruźlicę, zaprzyjaźnił się z Borowskim, poznał także Żydówkę z Katowic, która wkrótce została jego drugą żoną.

W 1947 powrócił do Polski, jednak nie osiadł w Będzinie, zbyt wiele tragicznych wspomnień przywoływało to miejsce. Zamieszkał w Warszawie. Zdobyl etat w Ministerstwie Kultury i Sztuki, następnie w Polskim Radiu. Oddał pióro na usługi nowej władzy, stając się jej wiernym orędownikiem. Z zapałem słał rymem Stalina, Bieruta, tworzył socrealistyczne produktyjniaki – jak powieść *Jelonek i syn*. Nowa władza potrzebowała takich jak on, nie szczędziła mu wyróżnień i apanaży. Za swe zaangażowanie odebrał w 1949 roku na zjeździe szczecińskim, podczas którego zadekretowano socrealizm w kulturze, nagrodę Związku Zawodowego Literatów Polskich. Po latach będzie się wstydził tych dowodów zwasalizowania duszy.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych relacje pisarza z władzą nasycają się ambiwalencją. Coraz silniej do świadomości autora *Basów* przebija się poczucie

⁴ J.w., s. 55.

sprzeczności między oficjalnie głoszonymi hasłami a faktami, a on sam – jak wielu innych – zaczyna zdawać sobie sprawę ze swej roli narzędzia, pióra legitymującego działania władzy. Jego wiara w komunizm powoli stygnie. Szybko też popada w niełaskę. Jest, używając ówczesnego żargonu, rozpracowywany przez SB. Cenzura zatrzymuje jego rozrachunkową powieść *Zatrzymany do wyjaśnienia*. Te okoliczności oraz przeczucie zbliżającej się marcowej burzy legło u podstaw decyzji o emigracji z Polski (zabiegał o nią już od 1956 roku). Wyjechał do Izraela. Tam nawiązał współpracę między innymi z paryskim Instytutem Literackim, gdzie wydał *Zatrzymanego do wyjaśnienia*. Nigdy jednak nie zaaklimatyzował się w nowej ojczyźnie. Zbyt silne więzi z językiem, zbyt wiele wspomnień wiązało pisarza z Polską, z Będzinem. Był jak bohater jego *Basów*: „w dzień wspomnienia szły przez niego – czarne, smutne jak karawan – skupione, zmoczone deszczem i śniegiem, którego od paru lat, pełnych skwaru i słońca, nie widział”⁵. Zmarł, zżerany przez robaka tęsknoty, 9 maja 1992 roku w Giwatajim.

Twórczość Wygodzkiego krąży po orbicie wspomnień: czasów przedwojnia – dotykając społecznej krzywdy i poniżenia na tle ówczesnej rzeczywistości – oraz gehenny żydowskich mieszkańców Polski czasu wojny. Narracja tych opowieści przywołuje w fabularnym przetworzeniu często faktyczne zdarzenia i ich uczestników – półświatka będzinińskiego Podzamecza, robotników, wyrobników, działaczy związkowych, agitatorów komunistycznych. Sięgając głębiej, w twórcze podglebie, na plan pierwszy prozy Wygodzkiego wysuwa się samotność jako zasadniczy aspekt losu człowieka, którego życie upośledzone niepewnością jutra rozbija się ostatecznie o skały historii. To literatura niosąca uniwersalne przesłanie moralne, talentem narracyjnym podobna do twórczości Kalmana Segala czy bardziej od nich znanego Izaaka Bashevisa Singera. Osobnym nurtem twórczości pisarza z Będzina były opowiadania dla dzieci (*Uciekł lew, Odwiedziła mnie żyrafa*).

Objęty zakazem publikacji Wygodzki, jego postać i twórczość, pomału rozplynęły się w niepamięci, podobnie jak Będzin ze stron jego opowieści. Dziś funkcjonuje raczej jako obiekt akademickich dociekań niż żywego zainteresowania czytelników. Szkoda, że książki pisarza z Będzina nie są wznawiane (wyjątkiem *Pożeganie* – wznowione w 1990 roku oraz *Odwiedziła mnie żyrafa* – najnowsze wydanie z roku 2020); stare wydania można nabyć na internetowych aukcjach.

Robert Suwała

⁵ Tamże, s. 8.

Jacek Uglik

*Z obłędu odsiać wers (18)***NOTHING'S IMPOSSIBLE**

Rafał Wojaczek

Ten trzeci¹

Kiedy do twego domu wchodzę, kto jeszcze wchodzi
ze mną, że mnie witając oglądasz się na boki?

Kiedy stawiasz nakrycie na stół i krajesz chleb,
kogo jeszcze zapraszasz, aby też usiadł jeść?

Dla kogo, gdy odpinam ci spinkę u stanika
i dotykam twych piersi, nieumyślnie się wzdrzgasz?

I kto cię naga – ranę, której mój wzrok zablźnić
nie może, tylko bolisz wciąż bardziej – prócz mnie widzi?

„Kiedy do twego domu wchodzę, kto jeszcze ze mną wchodzi”, ilu wchodziło, ilu wchodzić będzie? Pamiętam, gdy mówiłaś: wracałam pieszo z pracy, będąc tak zmęczoną, że nie mogłam usnąć. Zastanawiałem się wtedy, czy można kochać kogoś, kogo się nigdy nie widziało. To pytanie do nas dwojga, z dworca, z pociągu, którym towarzyszy wciąż tęsknota i wyraźne poczucie straty. Scena z pociągu przecież traktuje jakby o naszym rozmijaniu się, też mieliśmy taką pauzę.

W końcu jednak cię odnalazłem, wydawało się, że już na zawsze, a teraz... „kogo zapraszasz”? „kto odpina ci spinkę u stanika i dotyka twych piersi”? My – już tylko zanikamy. Ja, który miałem ci robić, jak w ostatniej scenie, ty, która miałaś zatańczyć dla mnie w białych butach na wysokim obcasie.

Zadziała się przepowiednia, że zostaniemy spopieleni, zanim coś w ogóle się zatli. I stało się, od czasu do czasu wyłącznie się przepychaliśmy, ciekawi i nieco niecierpliwi. Tyle że w tym „od czasu do czasu” wierzyłem zupełnie w twoje słowa, że sobie poradzisz, choć chce ci się płakać, że uczysz się czegoś, za co będziesz wdzięczna, że każę ci mówić o uczuciach, że mam być dla ciebie łagodny i wyrozumiały, do chwili aż stwierdzę, że nie tęsknię; że masz własny język miłości, którym są gest, dotyk i uwaga, że w końcu doceniasz w jakiś sposób, jak cię do bólu obracam słowami.

¹R. Wojaczek, *nie skończona krucjata*, Kraków 1973, s. 53.

Pamiętasz, jak mówiłaś, że nie nadajesz się na kochankę albo jak z drżącym sercem powiedziałaś, że jeszcze nigdy się nie kochałaś? Wiedziałem, że my będzie-
my się kochać i płakać razem, nikt o tym nie będzie wiedział, nikt się nie dowie.

Aż się szczęśliwie wszystko rozsypało. Nie pojedziesz za mną w świat, nawet taki nie za daleki. Teraz kto inny już może sprawdzać, czy można cię przelecieć. Nie zdarzyła się tutaj miłość. Byłaś ty, byłem ja i próbowaliśmy iść razem drogą donikąd. Dzisiaj „tylko bolisz bardziej”, a mój wzrok tej, ciebie nagiej, rany nie zablizni. Odarłaś mnie do kości – wiesz, nigdy nie udaję, że trwa pokój, gdy toczy się wojna. Okazało się, że miłość, która się nie zdarza, to też całkiem dobry powód, żeby życie się rozpadło i nie ma już nic do rzeczy ta okoliczność, że na wszystko mi pozwalałaś.

I co teraz? Nie wiem jak, nie wiem gdzie, nie wiem kiedy. Wpuścisz mnie? I co? Tylko po to, by przez chwilę nie żałować kolejnych dwudziestu lat? Chciałbym, żebyś mnie wpuściła, żebym obwąchał cię jak pies, w tym, co mówisz i w tym, co robisz, doceniaj tę nietrwałość, bo w końcu, z kim będzie ci tak źle, jak ze mną? Ty jesteś ciałem, którego chcę dotykać, a ja jestem trochę jak ten samotny człowiek z obrazów Hoppera, a trochę jak facet, który biegnie z siekierą pośród ciężkiej zimy.

Jacek Uglik



M. Skałbani, *Rozciąganie Anny Askew*, szkic projektu dla Butter Gallery w A, kolaż

Katarzyna Turaj-Kalińska

Lampa z końskiej czaszki (4)

POD STOŁEM I NA SZAFIE

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w moim życiu zjawilo się radio, w życiu matki zjawil się amant – łysy inżynier z fałszywym uśmiezkiem, niejaki pan Kazimierz. Poznali się na kursach francuskiego w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki przy Placu Centralnym – dziś pewna sieciówka księgarsko-gadze-ciarska przejęła skrót nazwy, nie mając jednak nic wspólnego z misją edukacyjną tamtej instytucji.

Choć mama niewątpliwie nie była w panu Kazimierzu szaleńczo zakochana, to jakoś tam widocznie przywraćał jej poczucie kobiecej atrakcyjności. Była skończoną pięknoscią, ale zupełnie o tym zapomniała w ferworze macierzyństwa, a przede wszystkim – z powodu zdrady i odejścia ojca, jedyne go mężczyzny, jakiego w życiu naprawdę kochała.

Skądinąd ojciec był „psem ogrodnika” i choć miał nową żonę, dalej łypał spod oka na kręcących się koło matki facetów. Występowali nadal w jednym teatrze, Rozmaitościach, późniejszej Bagateli. Grali razem w *Klubie Kawalerów* Bałuckiego – małżeństwo Piorunowiczów, które na początku się rozstaje, a potem do siebie wraca w triumfalnym happy endzie.

To było na scenie. W życiu ojciec odszedł na dobre, nie wrócił nigdy, choć skądinąd parę razy się do tego przymierzał. I na wszelki wypadek rujnował we mnie załączki sympatii, jaką mogłabym obdarzyć jego następcę. Co prawda pan Kazimierz był trudny do polubienia. Obiecywał mojej matce, że się z nią ożeni, pod warunkiem oddania mnie na stałe do dziadków, na co się, naturalnie, nie zgodziła. Był dość denerwujący, bo zamiast normalnie mówić, cedził słówka jak kluski kładzione, nieposolone i mdłe. Przy tym nie mówił, lecz właściwie brzęczał jak natarczywy komar. Sądziacie może, że kładzione kluski nie mogą brzęczeć? Najwidoczniej nie znaliście pana Kazimierza. A co powiecie na wiadomość, że w liścikach miłosnych nazywał moją mamę „Ciasteczkiem”?

Ponieważ ten pan pochodził z gór, ojciec podpuszczał mnie, żebym przy najbliższej nadarżającej się okazji koniecznie zaserwowała mu góralskie powiedzonko: „Cici-ryci, momcie w rzyci”. Nie zrobiłam tego, rzecz jasna, ale zaraz pozwoliłam samej sobie na niechęć do pana Kazimierza, choć początkowo z powodu oczekiwań mamy starałam się go zaakceptować. Odtąd, kiedy przychodził, miałam ochotę zniknąć i znalazłam na to sposób.

Mieszkanie było jednopokojowe, a w pokoju spała i mama, i ja, i pani Helenka, która na noc rozkładała sobie łóżko polowe – jak Mary Poppins, tyle że pani Helenka nie posiadała czarodziejskiej „torby dywanikowej”, w której by się owo łóż-

ko mieściło. Ponadto miałyśmy małą kuchnię z wielkim oknem, łazienkę i nieduży przedpokój. W przedpokoju gnieździła się przez pewien czas przyniesiona przez pana Kazimierza sowa. Mam wrażenie, że była to sowa śnieżna. Chyba że zwykły puszczyk o jaśniejszych piórach. Ptak obdarzał mnie zabójczo interesującym spojrzeniem wprost z górnej półki szafy wnękowej. Dlaczego pan Kazimierz nie mógł trzymać go u siebie, nie wiem, może miał tam już żonę. Babcia obliczyła po latach z wieku jego córki, że musiał potajemnie związać się z inną kobietą, jeszcze kiedy spotykał się z mamą. Była to osoba stateczna i pożyteczna – lekarka, a nie jakaś tam aktorka.

Sowa była żywym trofeum z polowania, na które nasz brzęczący łysoń jeździł, od czasu do czasu dostarczając nam kawałek sarniny. Mama tę dziczyznę potem przyrządzała z imbirem i gorzkimi kulkami jałowca. Gotowała rzadko i zawsze było to coś niezwykłego. Lubiała eksperymentować, w przeciwieństwie do babki, która trzymała się przepisów co do grama. Nic mi jednak tak nie smakowało jak potrawy z żelaznego repertuaru babci i dopiero po jej śmierci, gdy sama byłam już babką, we Lwowie, w jadłodajni „U pani Stefy”, a potem jeszcze w restauracji w Brodach natrafiłam na takie zupy, jakby je gotowała moja własna babka. Kresowy smak, podobnie jak kresowy akcent jest nie do podrobienia.

W życie mojej matki pan Kazimierz z pewnością wniósł nieco rozrywki, o ile aktorzy w ogóle rozrywki potrzebują – raczej chyba po prostu odmiany. Chodzili razem – po prawdzie jeździli wartburgiem pana Kazimierza – na opery i balety, które podówczas były w Krakowie na bardzo niskim poziomie. Tancerze chwiali się za każdym lądowaniem na puentach, a śpiewacy byli grubi, mali i ze sceny niemal niesłyszalni. Inscenizacje banalne, a nawet szmirowate.

Filharmonia reprezentowała lepszy poziom. Chadzali więc i tam, bo pan Kazimierz był myśliwym-melomanem przywiązany nie tylko do grania rogów i ogarów. Wydawał się szczególnie rozmiłowany w *Jeziorko Łabędzim*, powiesił więc nam na ścianie reprodukcję *Tancerki* Edgara Degasa, tej, która się tak zamasyście kłania i wydaje się mieć tylko jedną nogę. Tym sposobem czwarta kobieta zamieszkała z nami we wspólnym pokoju. Dobrze, że nie schodziła ze ściany i nie nie gałała. Ale wprasowała mi się w mózg i mam ją wciąż przed oczami razem z gołąbkowo-błękitną ścianą, w której wisiła w pretensjonalnej, szerokiej ramie w złoto-szare ciapki imitujące patynę dziejów. W przeciwieństwie do reprodukcji rama przetrwała i po jakichś trzydziestu latach dał się w nią wpasować portret mojej matki w roli Pani z *Pokojówek* Geneta, namalowany przez malarzkę teatralną z Nowej Huty, Lidję Wilk.

Jarzębinowo-kremowy, przepasany metalowym paskiem, smrodliwie kopący wartburg pana Kazimierza przydawał się zwłaszcza do wycieczek za miasto, na przykład do dolinek jurajskich pod Krakowem. Tam, w otoczeniu standardowo malowniczych skałek, szczęśliwy posiadacz aparatu i zapalony fotograf amator robił mojej matce zdjęcia.

Dziś widać wyraźnie, że była bardziej sobą na wszystkich upozowanych fotografiach scenicznych niż na tych z obiektywu pana Kazimierza. Na nich bowiem

zarejestrowane zostały jej rozpaczliwe usiłowania, żeby być w jego guście. Plastikowy jasny płaszczyk z szalowym kołnierzem, satyryczny kapelutek w formie zbliżonej do melonika na czubku głowy, czy chanelowski kostiumik – całkiem elegancki, ale nie w jej stylu jakoś – miały z niej zrobić paniusię i damulkę, choć w duszy do późnej starości była raczej wieczną dziewczyną, tym swobodniej okazującą własną osobowość, im była starsza.

Szkoda, że zazwyczaj tak późno odważamy się być sobą, zamiast starać się zadowolić wszystkich naokoło, słuchać porad i przeglądać się w cudzych oczach.

Szczytem tej pozy przybranej dla drobnomieszczańskiego amanta jest zdjęcie z balu sylwestrowego. Matka siedzi na nim sztywno przy stole, ubrana w modną „małą czarną” – nieznosnie pretensjonalna nazwa z tamtych lat – przyozdobiona koralami od pana Kazimierza, równie modnymi wówczas kryształkami czeskiej firmy Jablonex. Na głowie ma wariacki tekturowy kapelusz, na ramieniu kotylion i stulając usteczka z wystudiowaną wytwornością, udaje, że pije szampana z kieliszka trzymanego delikatnie za nóżkę poprzez rękawiczkę do ramion *à la* Rita Hayworth.

Wszystko to miało raz na zawsze upewnić potomków, jak dobrze się wtedy bawiła.

Pani Helenka z kolei swoim wytrwałym gderaniem – „A niechże on coś zrobi dla Kasi!” – zmusiła pana Kazimierza do sprezentowania mi dwuosobowych sanek, na których mogła zjeżdżać wygodnie razem ze mną – bo gdzieżby mi pozwoliła samej, przecież to pewna śmierć. Mama też miała w zanadru opowieść ze swego wołyńskiego dzieciństwa, kiedy to zjeżdżając na brzuchu, wylądowała na drzewie z wielkim jajem na czole i wstrząsem mózgu.

Sanki od pana Kazimierza były solidne, na okrągłych metalowych płozach. Wykonali je dla swego inżyniera podlegli mu robotnicy z jakiejś nowohuckiej budowy. Małe drewniane saneczki z oparciem, na których dziadek ciągnął mnie, drepcąc tam i z powrotem koło bramy nr 45 przy Friedleina, zniknęły jak wiele ukochanych przedmiotów, po których nosi się żałobę do końca życia.

Nie mogłabym powiesić ich sobie na ścianie jak Obywatel Kane.

Byłabym bardzo niesprawiedliwa, nie dodając, że matka i pan Kazimierz zabierali mnie niekiedy na wycieczki wartburgiem za miasto. Najpiękniejsze zdjęcia, na których tulimy się do siebie z mamą w jesiennym słońcu, to dzieło tak nielubianego przeze mnie inżyniera, myśliwego, melomana i fotografa.

Na ogół jednak wizyty tego pana niosły z sobą w tamtym czasie tylko nieprzyjemne skrępowanie od momentu, gdy nasz gość ukazywał się w drzwiach w swoim tyrolskim kapeluszu, który brzydził mnie bardziej niż kłębowisko robaków. Matka i on siedzieli w zielonych fotelach z jasnymi poręczami i prowadzili nudne rozmowy, nieatrakcyjne nawet do podsłuchiwania, które zazwyczaj było tak pouczającym zajęciem. On brzęczał, ona wyraźnie unikała jego wzroku. Czułam, że pobyt w kuchni z panią Helenką kiwającą się na taborecie w takt własnego pobożnego zawodzenia to będzie jeszcze większy kanał. Wolałam zatem włączyć pod kwadratowy stół wciśnięty między tapczan a szafę. Ciemnożółty, prawie pomarańczowy,

blyszczący grubą politurą. Miał okrągłe nogi przytwierdzone do blatu grubymi, wygiętymi w łuk, obłymi kawałkami drewna. Słowem, było to skromne arcydzieło jakiegoś stolarza, bezkształtne drewno, które w ramach niedocenionego należycie cudu wysałał resztki gładkości z jego rąk, oddając im w zamian swoją sękatość.

Siedziałam pod nim i wyobrażałam sobie, że w podłodze jest kłapa, a pod kłapą schodki do pokoju na dole. Złaziłam po nich jak Dorota z *Czarnoksiężnika z Oz*, gdy uciekała przed cyklonem, a potem wracała po pieska Toto. Nie musiałam wracać po pieska i nie groziło mi porwanie przez trąbę powietrzną. Zatrząskiwałam za sobą kłapę i oto byłam w mieszkaniu identycznym jak to, w którym przebywałam na co dzień, tyle że nigdy nie było tam nikogo prócz mnie samej.

Bawiłam się, jadłam i spałam nareszcie całkiem sama. Czas płynął w tej przestrzeni zupełnie inaczej. Zegarki mamy, pani Helenki czy pana Kazimierza mogły wskazywać upływ godziny albo dwóch, u mnie na dole mijały wówczas tygodnie a nawet miesiące, podczas których mogłam się nacieszyć spokojem i wolnością.

Chyba zawsze chciałam być gdzie indziej, bo kiedy po odejściu pani Helenki bywałam sama całymi dniami, często kładłam się na podłodze pod sufitową lampą, która miała postać sześciokątnej przyciętej szyby z mlecznego szkła i odbijała cały pokój jak mętne lustro. Wtedy dla odmiany zamieszkiwałam w pokoju odwróconym do góry nogami, gdzie lampa była niskim stolikiem na środku białej podłogi, a meble wisiały pod drewnianym sufitem. Podobało mi się tam znacznie bardziej niż na zwyczajnej podłodze i radowała mnie już sama odwrotność przestrzeni. Nie musiałam zaraz tańczyć, jak to robił Fred Astaire w filmie *Royal Wedding* w popisowym numerze *You're All the World to Me*, podczas którego wyląził po ścianach na sufit, żeby tam stepować. Chciałabym kiedyś zobaczyć ten jego pokój, który podobno obracano podczas ewolucji tanecznych. Może jest gdzieś w jakimś hollywoodzkim muzeum? Poczulałam się tam od razu jak u siebie w domu.

Pod koniec szkoły podstawowej w bezustannym poszukiwaniu osobnego kąta w jednopokojowym mieszkaniu wyprowadziłam się na szafę, która na szczęście była wielka i ciężka – dziś takich już się nie produkuje, zostały zastąpione przez lekkie garderoby wnękowe. Dostawałam się na nią, podjeżdżając na stojąco na klawce od drzwi – dziś nie ma już tak solidnych kłamek ani zawiasów, zdolnych utrzymać nastolatkę, a i nastolatki, nie wiedzieć czemu, są większe. Przesiadywałam pod sufitem, rozmyślając o niebieskich migdałach i od czasu do czasu wypisując na szafie imię i nazwisko chłopca, w którym się właśnie zakochałam.

Mało brakowało, a nie starczyłoby miejsca dla kolejnych nazwisk. Na szczęście szafa wywędrowała do komisju meblowego i jakkolwiek ogromna, rozplynęła się w nicości. Jestem pewna, że przez te wszystkie długie lata znalazł się ktoś, kto napalił nią w piecu, skutkiem czego już od dawna krąży w atmosferze jako smog, a obiegający wielokrotnie Ziemię, spada z kwaśnym deszczem na niecierpki na moim balkonie na przeciwległym, zachodnim krańcu miasta.

Katarzyna Turaj-Kalińska

Teresa Tomsia

W pamięci, w odbiciu (5)

PAWŁA JOCZA WIZERUNEK NIEDOKOŃCZONY

Od ponad dwudziestu lat w naszym poznańskim mieszkaniu wita domowników i gości *Autoportret* Pawła Joczka naszkicowany tuszem i rozświetlony jasnocieloną płamą położoną jednym pociągnięciem pędzla. Rysunek patykiem ujawnia zamaszystą rękę artysty, jego wewnętrzną energię i pewność linii. Twarz rzeźbiarza wydaje się wyrazista, choć jakby niedokończona, uchwycona w chwili, w grymasie i pozostawiona bez poprawek – co znaczyłoby, że zarówno fizycznie, jak i w wyobraźni istniejemy ciągle w ruchu, w przeobrażaniu się, nie jest zatem możliwe ukazanie jako „dokończonego” człowieka, który już nie będzie się przemieniał. Na przeciwległej ścianie – w sąsiedztwie grafik Franciszka Starowieyskiego, Piotra Szurka i Artura Majki – inna „twarz” Pawła przyciąga uwagę energetyczną kreską, jakby zwały się dwie pozy patrzącego na nas człowieka i zachodząc na siebie, stworzyły nierozzerwalną całość wielorakiego spojrzenia (widać je na kartonach, które przeglądamy w pracowni).

Otwartość na niespodziankę, na ukryte możliwości w sobie i w innych było charakterystycznym dla artysty podejściem do tworzywa. Paweł brał do ręki ołówek lub dłuto pod wpływem impulsu, lecz filozofia życia i sztuki miała w nim mocne zakorzenienie, wiedział, czego chce i w czym nie ma zamiaru ustąpić. Niezależnie od tego, czy pracował w glinie, w kamieniu, przy sztaludze w pracowni czy w plenerze, zabierał się do twórczego działania z całym zasobem emocji, jakie zgromadziła w nim niełatwa egzystencja „na paryskim bruku”. Uporczywie i konsekwentnie dążył, często do utraty sił, żeby przekazać podstawową prawdę o człowieku, jaka mu się objawiała, że staje bezbronny wobec nieuchronnego losu i walczy do końca z przeciwnościami o swój godny wizerunek.



Fot. Archiwum autorki

Autoportret z 1998 roku, pierwszy podarunek od Pawła Joczka ofiarowany w Cielcach podczas wakacji.

Fot. Eugeniusz Toman



Paweł Jocz był hojnym artystą i otwartym człowiekiem, cenił dialog poprzez sztukę – w pracowni w dworku wybieramy szkice „twarzy” dla przyjaciół. Cielce pod Łodzią, 1998 r.

Każdy człowiek ma ukochane miejsce, które jest centrum jego świata i gdzie czuje się najlepiej. Ktokolwiek pragnął rozmowy z Pawłem Joczem, musiał kierować kroki ku jego pracowni w Boulogne-Billancourt, gdzie rzeźbiarz czuwał przez wiele lat wśród olbrzymów z brązu i kamienia niczym demiurg sprawujący opiekę nad dopiero co powstałymi stworzeniami. Na lato wyjeżdżał do dworku w Cielcach pod Łodzią, tam też pracował twórczo i przyjmował gości. Jako Kresowianin z urodzenia gościnność miał we krwi i zawsze był gotów do biesiady i żywiołowej dysputy przy winie, nosił jednakże w dziecięcej pamięci wojenną traumę wygnania ziemiańskiej rodziny z Wileńszczyzny – echa tragedii zniewolonych narodów otrzymywały głos w jego monumentalnych kompozycjach z kamienia i betonu (*Solidarność ludów*, Wielsbeke w Belgii). W przestrzeni publicznej na obrzeżach Paryża postawił rzeźby przeciwstawiające się rozedrganą, niepokojącą formą znormalizowanemu budownictwu blokowemu (*Elewacja* oraz *Chmura poety* wykonane z brązu), aby ostrzec społeczeństwo przed zniewoleniem w gromadnym ujednoliceniu.

Wizerunek Pawła Jocz to szkic niedokończony, gdyż brakuje w nim dzieł zaprojektowanych i wykonanych, a nieukazanych światu, nie dość uhonorowanych przez urzędników zarządzających polską kulturą w Paryżu. Rzeźba *Homo viator* z brązu miała być inspiracją dla postaci Norwida – jest ona jednocześnie autoportretem odważnego twórcy dokonującego niełatwych wyborów wobec tradycji, ale też śmiało ukazującego wizję współczesnego świata pełnego zagrożeń i zagubio-

nego w nim człowieka poszukującego własnej drogi. Ze wspomnienia Zbigniewa Więckowskiego dowiadujemy się, że „Paweł Jocz bezinteresownie wykonał rzeźbę, Stowarzyszenie *Les Amis de C. K. Norwid* powołało Komitet Honorowy...¹”. Niestety w roku 2001 minister kultury i miejscowi działacze nie docenili walorów rzeźby z metaforycznym przesłaniem i na skwerze w pobliżu Domu św. Kazimierza postawiono niewielką konwencjonalną kompozycję obok kamiennej tablicy w stylu pamiątkowej księgi. Wielka szkoda, bo projekt Pawła zakładał wykonanie postaci nagiego człowieka o twarzy Norwida, będącego w ruchu, który zamiast jednej ręki ma kikut, a druga jest opuszczonym skrzydłem. Wizja ta niosła istotną symbolikę: nagość – śmierć, skrzydło – poetyckie uniesienie, uszkodzona ręka – brak należnego uznania ze strony odbiorców, nogi w marszu – los tułacza.

Paweł Jocz był artystą pełnym marzeń i pasji nie w pełni spełnionych, gdyż trudne warunki egzystowania na emigracji stawały na przeszkodzie, mimo to wystawiał prace w wielu galeriach i krajach Europy, pokonując trudności zdrowotne i bytowe. Jego obecność poprzez dzieła niesie głębokie przesłanie etycznej i estetycznej czujności, jakby wciąż działał wśród nas mentor strzegący najważniejszych wartości: wolności myślenia, odwagi w dążeniu do spełnienia śmiałych projektów – przyjaciel idących własną drogą i posiadających mocne poczucie tożsamości niezależnie od okoliczności. Romantyczny poszukiwacz prawdy wędrował ku ostatecznemu pięknu jako poeta z ducha, dziedzic tradycji i śmiały odkrywca. Jego prace ukazują czułość dla życia, a jednocześnie gniewny bunt przeciw przemijaniu. Stworzył styl rzeźbienia obiektów o niepokojącej formie, nadając im potężną energię, z czego powstawała żywa, pulsująca bryła.

W zdeformowanych twarzach i ludzkich korpusach ukazywał w ekspresyjny sposób sprzeczne emocje działające w człowieku, gdy zanurzony w naturę: kamień, glinę, światło, wyrwa się ku absolutowi. Duch uwieczniony w materii dopomina się w stworzonych przez niego monumentach o obecność, o doskonały kształt uchwyconej w ciągłym przeobrażaniu się rzeczywistości. Boski akt stworzenia świata powstającego z pierwotnych żywiołów ognia i wody był dla rzeźbiarza bodźcem twórczym i punktem odniesienia, nieustającą inspiracją, prowadził do artystycznego dialogu z przestrzenią. Narysowane tuszem ludzkie twarze szokują brzydota, ich wzierunki nakładają się na siebie, są bezbronne wobec patrzącego, poszukujące prawdy o sobie, wszak w każdym człowieku dokonuje się rachunek sumienia i ożywa pragnienie piękna, mimo poczucia niedoskonałości trwania i kruchości bytowania. Imponującą kolekcję „twarzy” zawiera album *Wanted* wydany w dużym formacie (Adi, Galeria Sztuki Art., Paryż 1999).

Paweł Jocz urodził się 6 maja 1943 roku w Wilnie-Szumsku i wraz z rodziną podzielił los Kresowian wygnanych z rodzowego majątku. Z Łodzi, gdzie spędził młodość, wyjechał do Warszawy na studia artystyczne w Akademii Sztuk Pięknych, a następnie, po uzyskaniu dyplomu na Wydziale Rzeźby, wyruszył do

¹ Z. Więckowski, *Jocz, po francusku Żoks* [w:] *Jocz, in memoriam*, Paryż 2013, s. 81.

Fot. Artur Majka

Paweł Jocz, *Beethoven*, brąz, 1987

Szwecji, później do Paryża i tu w 1970 roku pozostał, stając się po latach jedną z najwybitniejszych postaci współczesnej sztuki na emigracji. Zderzał się z przeszkodami, nieszczęśliwymi przypadkami, wyborami życiowymi, które okazywały się nie do uniesienia, a jednak nie poddawał się przeciwnościom losu i tworzył pokaźne rzeźby osadzone w przestrzeni miejskiej, a także kameralne popiersia wybitnych postaci kultury (*Demostenes, Beethoven, Tansman, Rubinstein*), kompozycje z brązu i kamienia (*Jesus z Nazaretu i Autoportrety*).

W corocznym organizowaniu finału Nagrody Artystycznej im. ks. Józefa Sadzika w latach 2000–2008 wspierał redaktora „Recogito”, przewodniczył kapitule i gościł wyróżnionych. Był jak mistrz ceremonii nadający ton dyskusji, podejmujący jedynie ważne tematy, bezkompromisowo upominający się o wolność słowa i doskonałość kształtu w sztuce. Cenił poezję, cytował fragmenty wierszy klasyków. W notatniku z dawnych lat znalazłam zapis rozmowy telefonicznej z lutego 2002 roku podczas wręczenia Nagrody im. ks. Sadzika malarzowi Markowi Szczęsnemu. Nie mogłam pojechać do Paryża na posiedzenie jury ani na finałową biesiadę, ponieważ pracowałam w gimnazjum jako polonistka i swobodnie nie dysponowałam czasem, zatem z inicjatywy Marka Wittbrota złożyłam telefonicznie gratulacje laureatowi, a wtedy aura artystycznej biesiady odbywającej się w pracowni Pawła w Boulogne przeniosła się do naszego mieszkania na poznańskim osiedlu. Rwetes, bo wszyscy mówią naraz: malarz Artur Majka obiecuje odwiedziny, Sophie, córka Pawła, zaprasza do nowego paryskiego lokum, a Paweł wrzeszczy w słuchawkę, bo biesiada toczy się już od kilku godzin: „Kochasz mnie, no mów, kochasz? Powiedz: tak albo nie”!

I jak tu nie odpowiedzieć komuś, kto tak kategorycznie i śmiało stawia sprawę, kto nie krępuje się uczuć. „Pewnie, że tak”, odkrzykuję. Paweł, uspokojony, przekazuje słuchawkę, więc mówię do Marka: „Jakbym słyszała Witka Rózańskiego”, naszego poznańskiego metafizyka, a on na to: „Całe szczęście, że na świecie są jeszcze ludzie szaleni, inaczej nie można by było wytrzymać wśród samych działaczy, kłamców, złodziei i tych, którym wszystko jedno”.

Paweł Jocz zmarł w Boulogne 21 października 2008 roku. W Polsce zbiory jego rzeźb zgromadzone są w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, a подарowane rzeźby i grafiki przypominają w domach przyjaciół, czym jest sztuka. Mówią o jego wielkiej ofiarności, szaleńczej wprost wyobraźni, a także determinacji i twórczej mocy, którą umiał się dzielić w poszukiwaniu bryły ukształtowanej na obraz

Fot. Artur Majka

Paweł Jocz, *Jezus z Nazaretu*, brąz, 1982

i podobieństwo boskiego tchnienia, jakie nadaje materii sens w widzialnym i niewidzialnym jednocześnie wybitna osobowość twórcza. Pozostawił dzieła mówiące o niepokojach ludzi XX wieku, ukazujące źródła doświadczeń, z jakich powstawały, ufając, że mogą wskazywać drogę poszukiwań celu istnienia i godnej obecności w świecie. W rzeźbach i rysunkach tuszem odzwierciedlały się silne stany emocjonalnych napięć artysty, podziw dla ruchu materii i niekończąca się duchowa praca człowieka w poznawaniu siebie i natury, której jest częścią i zagadką.

Pamięć staje się spoiwem i wspólnym mianownikiem naszych pragnień i niespełnień, emocji, jakie połączyły nas na zawsze. Wiele jeszcze można by mówić o pomysłowości i ofiarności Pawła, wciąż mało jest przypomniania jego barwnej osobowości i bogatych osiągnięć artystycznych. Ludwik Lewin, paryski dziennikarz i poeta, w przyjacielskim wspomnieniu podkreśla, że ciekawość świata towarzyszyła Pawłowi do końca i napędzała jego twórcze pomysły: „Wierzył, że sztuka może spełnić to zadanie, sztuka, jednocześnie wehikuł czasu i maszyna obłącznicza, która artyście i odbiorcy pozwala się przeciwstawić temu wszystkiemu co nieuchronne, co wrogie i niezależne od ludzkiej woli, albo ze złej woli wynikające. Do końca wierzył. Do końca był twórcą. W tym była, jest wielkość”². Interesował go przede wszystkim człowiek współczesny i piętno, jakie epoka wyciska na jego osobowości, dając wolność wyboru, ale też powodując ograniczenia, jakim musi się przeciwstawić i z jakimi chce się mierzyć.

Epitafium dla Pawła Jocz³

żegnaj dziś ciebie Pawle
Poeto Kamienia
szlachetny dziedzicu Wileńszczyzny
żywą pamięcią postawą żarliwego tchnienia
uosabiałeś na francuskiej ziemi
ikonę ojczyzny

przygarniałeś do stołu posłańców trosk ludzkich
smutnych i zagubionych żądnych wybawienia
w ruchomych twarzach o ciernistych czołach

² L. Lewin, *Rycerz spod stellae artis* [w:] *Jocz in memoriam*, s. 55.

³ T. Tomsia, *Epitafium dla Pawła Jocz* [w:] *Kamyki. Elegie i krótkie żale*, Poznań 2011, s. 56.

rzeźbiłeś ducha co je opromienia
i nieustannie rosłeś na popiołach

wytrwałeś mocą człowieczej gliny
do kresu – twórczy
Orfeusz rękę prowadzi twoją
galerią luster – prosto w aleję
Głazów Niezlomnych

Poznań, 22 października 2008 r.

JEDNA KRESKA

Przywołując chwile spotkań z Pawłem Joczem, uświadamiam sobie, że częściej rozmawialiśmy o poezji niż o rzeźbach, cytował utwory klasyków, był



Fot. Archiwum „Recogito”

Nasz młody duchowny cicerone wprowadzał po paryskich zaułkach sztuki wszystkich pisarzy i malarzy z Polski tak serdecznie, jakbyśmy byli jedną artystyczno-pallotyńską rodziną. Teresa Tomsia i Marek Wittbrot w wejściu do Luwru. Paryż, 1997 r.

zafascynowany myślą Norwida o roli twórcy w dziejach, zachęcał do lektur, które go ostatnio zajmowały, czytał jednocześnie prozę Kundery i listy św. Pawła. Zainteresował się wierszem w maszynopisie o Egonie Schiele – utwór powstał w Tulln, gdy na początku 1995 roku wraz z tłumaczką przygotowywanego do druku mego tomiku⁴, Dorotheą Müller-Ott, odwiedziłyśmy muzeum poświęcone genialnemu rysownikowi i malarzowi w jej rodzinnym mieście. Miejsce pamięci mieści się w budynku dawnego miejskiego aresztu, gdzie artysta był więziony za obrazę moralności po wystawieniu aktów kobiecych i tam na murze wyrył refleksję o wytrwaniu, która posłużyła za motto – wiersz *Wytrwam* opublikowałam w kolejnym tomiku *Przed pamięcią* z grafiką Joczka na okładce⁵.

To właśnie dzięki pasji pallotylna Marika z domu przy rue Surcouf – który stara się łączyć ludzi różnych sztuk, inicjować rozmowy, dysputy i artystyczne prezentacje –

⁴ T. Tomsia, *Wieczna rzeka / Der ewige Fluss*, przeł. D. Müller-Ott, posł. R.K. Przybylski, Poznań 1996.

⁵ T. Tomsia, *Wytrwam* [w:] tejsze, *Przed pamięcią*, przedm. M. Wittbrot, Poznań 2000, s. 13.

Fot. Eugeniusz Toman



Grafika ofiarowana autorce przez
Pawła Joczca podczas spotkania
w Cielcach latem 1998 r.

poznaliśmy się z Pawłem w Paryżu w lipcu 1997 roku. Nasz młodszy o dekadę i więcej duchowny cicerone, wyruszający w miasto zawsze z aparatem fotograficznym w rękę, zwykle skromnie wycofywał się podczas imprez na drugi plan, więc szczególnie za to, iż wielokrotnie stawał się przewodnikiem czy wręcz aniołem stróżem malarzy i poetów zwiedzających paryskie pracownie, muzea, zaułki sztuki, należą mu się serdeczne słowa wdzięczności od nas wszystkich koczujących grupami w jego redakcyjnym pokoju „Naszej Rodziny”, którą ówczesnie prowadził (zanim w 2000 roku założył internetowe „Recogito” jako kontynuację tego tradycyjnego, polonijnego miesięcznika).

Artur Becker trafnie zauważa w omówieniu zbioru szkiców Marka Wittbrota (*O włościach i innych przypadłościach*, Toruń 2018), że jako redaktor, eseista, fotografik i podróżnik jest on „człowiekiem, któremu zależy na ludziach, ich losach, ich osiągnięciach, które trzeba ratować od zapomnienia”⁶, dlatego zapewne, mimo sporej różnicy lat, mając podobne cele i idee, rozumieli się świetnie z Pawłem Joczem i przyjaźnili wiernie, z ofiarnością wspomagali różne artystyczne przedsięwzięcia organizowane dla polonijnej wspólnoty.

Zatem spotkaliśmy się, a każde pierwsze zetknięcie się oko w oko ludzi sobie nieznanych ma niepowtarzalną aurę oczarowania, zwłaszcza wtedy, gdy są sobie wzajemnie ciekawi. Dopiero po latach przychodzi refleksja, jakie owoce artystyczne i duchowe tamtych spotkań zdołaliśmy w sobie odnaleźć i ocalić. Powracając w pamięci do dawnych chwil, mogłabym powtórzyć za Ludmiłą Marjańską: „Miałam w ramionach cień, / urok przelotny”⁷. Pawła odwiedziłam z mężem Eugeniuszem w wakacje, gdy spędzał czas w Cielcach z poetą Maciejem Niemcem, wcześniej, gdy gościli u niego romanistka Yola Czech i jej mąż Michel Lebrun, który fotografował prace Pawła w Paryżu.

Kiedyś gospodarz dworku wyraził życzenie, abym wśród przyjaciół w pracowni przeczytała wiersz o austriackim malarzu, a skoro Mistrz prosił, nie wolno było odmawiać, czynił to bowiem kategorycznie i namiętnie, bez krygowania się i możliwości sprzeciwu. Gdy wysłuchał recytacji, popatrzył na mnie jak na pomocnika przy ustawianiu monumentu i wykrzyknął: „Udało ci się to zrobić jedną kreską,

⁶ A. Becker, <https://www.rp.pl/Plus-Minus/312249981-Marek-Wittbrot-Podroznik-po-duchowej-mapie-Europy.html>

⁷ L. Marjańska, *Miałam w ramionach cień...* [w:] *teżę, A w sercu pełnia*, Warszawa 2003, s. 88.

niech mnie jasna cholera, proś, o co chcesz”. I zostałam wielokrotnie obdarowana za ten wiersz, za „jedną kreskę olśniewającą nagością”, jaka trafiła wprost do serca rzeźbiarza, o czym zaświadczy pallotyn Marek, przywożący mi do Poznania grafiki i albumy w darze od Pawła – był to bowiem artysta niezwykle, człowiek hojny, mający w sercu pełnię epifanii i rozpaczy, radości i cierpienia, otwarty i wciąż żądny nowych inspiracji, które znajdował także w poetyckich frazach:

Wytrwam

*Ich werde für die Kunst
und für meine Geliebten
gerne ausharren!*

Egon Schiele

Wytrwam. Na pryczy. O chlebie i wodzie.
W martwej naturze więziennej celi.
Na widzenie przybywać będą obrazy,
by obejmować przestrzeń lepkimi barwami.
Zawiruje powietrze, przemieszają się obszary
widzialne i niewidzialne, lecz wytrwam dla cudu,
jakim jest ludzkie ciało, w trosce
o proporcję konwencji i wolności w sztuce,
jaką jest życie. W zgodzie z sobą,
z nadzieją na ujrzanie ciebie. W poszukiwaniu
jednej kreski olśniewającej nagością.

Tulln, w listopadzie 1995 r.

Teresa Tomsia

Mariusz Kalandyk

Pamflet liryczny

CZARNE ZESZYTY I PRZYMUS ŚWIATŁA

Kilka trwożnych uwag

Gdy skakał z paryskiego mostu, miał niewiele ponad 49 lat. Zostawił po sobie poezję, która – jak piszą niektórzy – chce postawić poetycką niemczyznę na progu semantycznego zgonu. I jednocześnie dojść do punktu, w którym będzie mogła istnieć jako medium nieskalane, wolne od uwikłania w Zbrodnię.

Ale to oczywiście pewne uproszczenie. Jest owa poezja czymś znacznie bardziej tajemniczym i hermetycznym. Niedopuszczającym do siebie ideologicznych matryc interpretacyjnych. Ostatnia dyskusja w Austriackim Centrum Kultury pokazała dobitnie, na jak wyrafinowanym poziomie znawcy poezji próbują szukać znaczeniowych nacechowań owych wierszy.

Jacques Derrida jedną ze swoich książek zatytułował *Szibbolet dla Paula Celana*. *Szibbolet* w języku hebrajskim oznacza „kłos pszeniczny”, „rzekę”, „strumień” bądź „gałązkę oliwną”. Znaczenie jest tu mniej ważne, istotne jest coś innego – kontekst biblijny. W *Księdze Sędziów* czytamy, że uchodzący przed Gileadczykami Efraimici byli zatrzymywani przez tych pierwszych nad brzegiem Jordanu i pytani: „Czy jesteś Efraimitą?” – A kiedy odpowiadali: „Nie”, wówczas nakazywano im, by wymówili słowo: *szibbolet*. Jeśli Efraimita rzekł: *sibbolet* – a inaczej nie mógł wymówić – chwyтали go i zabijali [por.: 12. II. 5-6]. Słowo *szibbolet* stanowiło zatem zamię tożsamości Efraimitów – pisał Bogdan Banasiak. Derrida wypowiada zaś dramatyczną sekwencję – pytanie. Co jest znamieniem twórczości Celana? Co czyni człowieka istotą odrębną, inną, odróżnialną? Jaka banalna różnica decyduje o naszym niepodobieństwie? Francuz pisze, że jest to „data”. Tak – data. „Ujawnia ona to, co nieujawnione, i zaszyfrowaną pojedynczość, której nie można zredukować do pojęcia, do wiedzy, a nawet do historii” [s. 38].

I ma rację.

Paul Celan (właśc. Ancel) urodził się w roku 1920 w Czerniowcach na Bukowinie w niemieckojęzycznej rodzinie żydowskiej. Mamy więc i datę, i zamię. Nie jest nim – jak sądzę – żydowskość. Jest nim niemieckojęzyczna żydowskość. A to wcale nie jest to samo. Wojna obeszła się z nim stosunkowo łagodnie. Wiem, podobne pisanie nie świadczy o mnie najlepiej, ale nie mam wyjścia. Mój język w tym miejscu trywialnie splotacza okupacyjny stan rzeczy, ale w dobrych intencjach – wybaczyć mi Państwo.

Rodzice Paula zginęli na Zadniestrzu, ojciec zmarł na tyfus, a ukochana matka, która dbała o to, by syn otrzymał staranne wykształcenie również poza orto-

doksją, zamordowana strzałem w tył głowy. On sam – wcześniej – pragnął wydostać ich z getta w Czerniowcach, ale – zrezygnowani – nie wyszli za nim do znalezionej kryjówki. Odtąd „żyje z poczuciem winy, że ocalał” – pisze Ryszard Krynicki.

Zanim Celana uznano za jednego z najwybitniejszych poetów języka niemieckiego, a zaraz potem za jednego z godnych trwałej pamięci poetów XX wieku, był ocalałą ofiarą Holocaustu, człowiekiem na zawsze zranionym przez przerażającą moc zwyrodniałej historii i polityczności. Podkreślmy: Paul Celan, człowiek zanurzony w żywiole mowy i kultury niemieckiej, zostaje przez to, co darzy podziwem, wszystkim pozbawiony! Usiłuje odbudować coś, czego odbudować się nie da. Wchodzi w spór z dotychczasowym sposobem uprawiania poezji oraz tworzy poetycką strategię, której ważną składową jest według Adama Lipszyca „teologia nicości objawienia”, możliwa do przekonującego uprawiania jeszcze tylko na polu literatury.

I ten drugi. Jeden z najwybitniejszych filozofów zeszłego wieku. Jego *Bycie i czas* z 1927 roku zrewolucjonizowało filozofię, każąc inaczej patrzeć na relację między bytem i byciem, a tym samym na miejsce człowieka w otaczającym go świecie oraz na to, czym jest jego egzystencja.

23 kwietnia 1933 roku zostaje rektorem uniwersytetu we Fryburgu i wstępuje do NSDAP. Ma niecałe 44 lata. Rok później podaje się do dymisji, lecz członkiem NSDAP pozostaje do roku 1945 i do samego końca sumiennie płaci składki dla nazistowskiej partii. Gdy w roku 2014 ukazuje się część *Czarnych zeszytów*, wielu komentatorów nie ma wątpliwości: Heidegger ma w swoim życiorysie etap nie tylko zaczerpnięty z nazizmu i hitleryzmu, lecz także bycia zdeklarowanym antysemitą. Odczuł to bardzo boleśnie Edmund Husserl, któremu Heidegger nie pomógł w trudnym czasie po zwolnieniu z pracy na uniwersytecie. Autor *Hölderlina i istoty poezji* zgodził się także na wycofanie dedykacji dla Husserla z piątego wydania *Bycia i czasu*. Nie zjawił się też na pogrzebie fenomenologa. Co szczególnie odrażające – donosił policji politycznej na kolegów uczonych. Jego dawny przyjaciel Karl Jaspers nigdy mu tego nie wybaczył.

Czy to jest *szibbole*t Martina Heideggera? Data, która wypala z pamięci nie do wymazania? Przekleństwo czasu, który z Mędrcą czyni (*sic!*) prostackiego chwalcę Hitlera, a wyrafinowaną historiozofię zamienia w ideologiczną propagandową hucpę?

Cezary Wodziński – filozof szczególnie dla mnie ważny – broni autora *Czarnych zeszytów*. Pisze na ten temat osobną książkę. Zarzuca krytykom wielkiego Niemca nadużycia, gdy idzie o poziom oskarżeń i ich rzeczywisty powód. Pisze wręcz o wścickim ujadaniu, które nie służy pogłębionej refleksji. *Czarne zeszyty* nie są bowiem świadectwem regresu myśli Heideggera; przeciwnie – stanowią historię wyrafinowanej refleksji o tym, co się stało w XX wieku z metafizyką i czym ją zastąpić w świecie, który wypadł z kolein. W epoce „w pełni dokonanego nihilizmu”.

Wodziński stawia rzecz całą w sposób klarowny: pierwsze zeszyty Heideggera pokazują to miejsce w jego myśleniu, gdzie metafizyka jestestwa powinna się „pogłębić i rozszerzyć ku metapolityce dziejowego narodu”. Niemcy mają bowiem dziejową misję do spełnienia. Niesamowita wielkość tego narodu polega na podjęciu zadania przewyżczenia metafizyki.

Będąc wyjątkowo uważnym czytelnikiem Hölderlina, Heidegger stał się zwolennikiem myśli, że prawdziwą formą istnienia narodu niemieckiego jest nieustanna konfrontacja poetów i myślicieli w walce o istotę niemieckości. Niemcy nigdy jej sobie jednak nie przyswoiły. Gorzej – utraciły ją z chwilą, gdy przekształciły się w „naród poetów i żołnierzy” – faszystowską wspólnotę urojoną. Wodziński komentuje, że fakt owej przemiany przerażał Heideggera w najwyższym stopniu. Drogą naprawy miała być „metapolityka”, próba odzyskania owego posłannictwa i poszukiwania drogi do utraconej istoty człowieczeństwa. Temu zadaniu filozof pozostał wierny do końca. Było bowiem przeciwwagą dla nihilistycznego amerykańizmu, materializmu, imperializmu, hegemonii techniki, czy też atakowanych przezeń – judaizmu oraz „jezuityzmu”, czyli światopoglądu chrześcijańskiego.

Przedziwny konglomerat, prawda? Heidegger okazuje się być w tym ujęciu filozofem ultrakonserwatywnym, łączącym mistykę narodu z wrogością wobec obserwowanych form cywilizacyjnego postępu, a także wobec amerykańizacji i sowytyzacji jako patologicznych form nowożytności. Faszyzm traktuje tak samo.

Jego pierwotne zauroczenie narodowym socjalizmem było – ujmę to literacko – komentując sugestie Wodzińskiego – nieszczęśliwym, godnym pożałowania, zbłądzeniem. Bardziej przemawia do mnie jednak niebudzący żadnych wątpliwości sąd Agaty Bielick-Robson, wygłoszony w czasie spotkania omawiającego książkę *Metafizyka i metapolityka*, będącego z kolei inauguracją *Nowych medytacji filozoficznych* upamiętniających prof. Barbarę Skargę. Bielick-Robson mówi dobitnie: zakłamywanie prawdy o poglądach Heideggera na temat Żydów jest niegodne filozofa, służy kłamstwu; w czasie swojego wystąpienia przytacza zapiski, które dowodnie świadczą o bezdyskusyjnym antysemityzmie uczonego z Fryburga. A jest to najgorszy rodzaj antysemityzmu: antysemityzm kulturowy.

Moje wyznanie domaga się trzeciej części, części, która połączy oba wątki. Będzie również próbą wyjaśnienia sensu tytułu.

Jak zapewne Państwo wiecie, ci dwaj – wybitni mieszkańcy kultury niemieckiej – spotkali się ze sobą. Fakt ów stanowi „filozoficzną legendę”; obrósł w liczne komentarze i domysły. Jest w sensie filozoficznym, ale i egzystencjalnym, niesłychanie doniosły. Spotkanie miało miejsce 25 lipca 1967 roku w słynnej Hütte Heideggera w pobliżu Todtnaubergu, 29 kilometrów od Fryburga. Owocem tego spotkania jest wpis w księdze pamiątkowej, wiersz i – milczenie. *Todtnauberg* ukazał się w pośmiertnym tomie Celana z 1970 r. pt. *Lichtzwang (Przymus światła)*. Piotr Morawski tak pisał w recenzji poświęconej książce Cezarego Wodzińskiego na

temat owego wydarzenia: „Komentatorzy spotkania i wiersza Celana pisali o jego rozczarowaniu, o [...] – oczekiwaniu na jedno, najskromniejsze słowo przepraszam, jakiegokolwiek słowo na temat tego, o czym Heidegger usilnie i bezczelnie milczał – o Zagładzie”.

Wodziński wydaje się prosić nas o zrozumienie dramatyzmu owego spotkania. Dodam, że przecież na pytanie Adorna: „Czy można pisać wiersze po Oświęcimiu?”, które zostało zadane po przeczytaniu *Fugi śmierci* Celana, nie ma dobrej odpowiedzi. Nie ma bowiem języka, który jest w stanie wypowiedzieć Zagładę. Jedynym możliwym świadectwem jest milczenie lub strzęp mowy, Celanowski „pomruk dobywający się z głębi” czy też Agambenowski bełkot, przedśmiertne rżęzenie muzułmana. Zagłada zabiła świętość, zabiła więc także święte słowa, pisze Wodziński. Spotkanie filozofa i poety; tego, kto jest współwinny i tego, kto jest ofiarą, w miejscu, gdzie nie wiadomo jak „wywabić świętość z pustki” – musi odbywać się w milczeniu.

Piszę owe słowa w trwodze. Obok bowiem ludzi biegłych w sztuce tłumaczenia dzieł i faktów, zajmujących się tym zawodowo, toczy się zwykłe życie. A tu znów zaczynają gromadzić się czarne chmury. Znów narodowa mistyka chce zastąpić trzeźwy namysł, groteskowy patos wypiera rzeczowe kompetencje a tzw. teologia polityczna wzięta z pism Carla Schmitta, kolejnego genialnego Niemca uwikłanego w hitleryzm, pragnie podważyć rację istnienia demokratycznego państwa. Robi się głośno, czasem wrzaskliwie, coraz częściej agresywnie.

Grzechami największymi naszego tutaj istnienia mogą okazać się: grzech zaniechania, grzech obojętności i najcięższy z nich – lekkomyślność. Za chwilę minie wiek, gdy pewien niespełniony artysta zaczął zmieniać naród poetów i myślicieli w naród zbrodniarzy. Lekkomyślnie myślimy, że dotyczy/dotyczyło to tylko Niemców.

Jesteśmy w błędzie!

Mariusz Kalandyk

SZTUKA

Magdalena Rabizo-Birek

MAŁGORZATA SKAŁBANIA

– artystka barbarzyńska

Małgorzata Skałbania jest osobą wielu talentów i zajęć: z wykształcenia artystką (malarką, graficzką, rysowniczką), także nagradzaną na wielu konkursach poetką, autorką wspomnieniowej prozy i esejów, publikującą na łamach wielu ogólnopolskich czasopism. Przez kilka lat związana z teatrem w Lublinie, po niespodziewanym zwolnieniu z pracy podjęła w kilku krajach zachodniej Europy pracę opiekunki starszych osób. Jest prawdziwie niespokojną, wolną duszą, odważną kobietą, obdarzoną silnym, niezależnym charakterem, krytyczną i pełną pasji, co ujawniają jej publikowane we „Frazie” opowiadania, bajki i eseje oraz wykonane podczas pracy w Wielkiej Brytanii rysunki, które prezentujemy w tym numerze pisma.

Wróżące wybitność i niezwykłość cechy osobowości nie ułatwiają artystce życia, nie prorokują stabilizacji, bo często prowadzą do konfliktów z otoczeniem, które w taki lub inny sposób, na ogół wbrew jej woli i pragnieniom, próbuje ją „so-cjalizować”: zapanować nad nią, podporządkować ją sobie, wykorzystać w ten lub inny sposób, a jeśli stawia opór i nie zgadza się, przykładnie „ukarać”, chociażby uniemożliwiając spełnienie artystycznych oraz zawodowych planów i marzeń. Krańcowymi przykładami ograniczania wolności, przekraczania granic intymności są seksualna i fizyczna przemoc oraz mobbing, o których Małgorzata Skałbania pisze bardzo dobitnie.

Równocześnie takie cechy osobowości predysponują do wędrowania i podejmowania odważnych wyzwań – takich jak wyjazd z kraju, zmiana pracy, adaptacja w innym kulturowym otoczeniu. Zapewne i tam – jako imigrantka, wykonująca niełatwą pracę, niezgodną z umiejętnościami i wykształceniem – nie jest w pełni wolna i wciąż narażona na różne formy przemocy. Jednakże – jak się wydaje – to wyjazdy z kraju zaowocowały zwiększeniem jej literackiej aktywności, której nie przestała towarzyszyć intensywna twórczość plastyczna. Jakby wyrwanie się

z zawodowo-towarzysko-rodzinych układów i uwikłań w Polsce, naturalne oddalenie od „źródła wszystkich nieszczęść” – „polskiego piekielka”, pomogły jej lepiej zrozumieć siebie i wytworzyć postawę dystansu, niezbędnego do uprawiania sztuki.

Motywy angielskich rysunków Małgorzaty Skałbani są zasadniczo dwa – to charakterystyczne detale tamtejszego pejzażu (kolejowe mosty, wybrzeże z łódkami, gotycki kościół, dom w lesie, pola, okolone kamiennymi murkami łąki i lasy) oraz portrety starych ludzi, niemal zawsze ukazanych w pozycji leżącej, zapewne podopiecznych autorki, przedstawionych z uniesionymi w górę i złożonymi w geście modlitwy rękami. Kompozycje, rysowane na kartkach szkicownika kredkami, utrzymane w mrocznej gamie barw, zwracają uwagę fakturą dynamicz-

nych kresek, tworzących swoisty woal emocji, z którego wyłaniają się (lub którym przesłonięte są) zarysy form przedstawionych. Ten „woal” jest bardziej przejrzysty w wizerunkach starych „orantów”, tworzonych prawdopodobnie w antrakach pracy, która wymaga przede wszystkim skupienia i cierpliwości potrzebnych towarzyszeniu i czuwaniu przy chorych, gasnących powoli seniorach. Taka problematyka i okoliczności pracy twórczej niejako wymuszają rysowanie „powściągliwe”, dyskretne i „ciche”, nie tak swobodnie gestyczne i „hałaśliwe” – jak prace tworzone w dynamicznym ruchu, podczas spacerów w plenerze lub wywoływane z pamięci w domowym zaciszu. Ale mogą się mylić i modyfikację formy dyktują artystce przede wszystkim tematy choroby, starości, śmierci, wobec których staje w postawie pokory lub które, przeciwnie – jak pejzaż – pozwalają jej wyrazić targające nią emocje, stając się krajobrazem żywej, „czującej” duszy. Nieco inny charakter mają kolaże, oddające migotliwość, różnorodności i dynamikę współczesności, przypominające migawki z ulic wielkich metropolii.

Moje uwagi dotyczą jednakże znanego mi fragmentu twórczości artystki, obejmującego jej literacki i rysunkowy dorobek z kilku ostatnich lat.

Gdy ogląda się cykl angielskich rysunków i kolaży Małgorzaty Skałbani oraz czyta jej nowe prozy z cyklu *Obrazy z (mojej) wystawy*, myśli się przede wszystkim o pasji i namiętności, palcecie wielu, często negatywnych emocji (resentymentów),



Fot. Archiwum M. Skałbani

Małgorzata Skałbani



M. Skalbiana, *Fareham, przystań*, sucha igła

przetapianych i przekuwanych, dosłownie „kielznanych” w formy artystyczne. Jej rysunkowe kompozycje wpisują się w ponadczasowy nurt ekspresjonizmu, bliskie są sztuce nowych dzikich, z którymi łączy ją pokoleniowa bliskość. Wydają się ciekawym dopiskiem do odradzającej się aktualnie we współczesnej sztuce figuracji.

Ich bliskość do tworzonych przez autorkę równolegle wierszy i prozy ujawnia się w zwyczaju wpisywania w nie rozbudowanych napisów: tytułów (?), imion i nazwisk modeli, miejsc i okoliczności ich powstania. Pomyślałam o ich podobieństwie do barbarzyńskiego nurtu poezji pokolenia „brulionu”. Małgorzata Skalbiana wpisuje się weń generacyjnie, choć literacko zadebiutowała późno, nie ona jedyna zresztą, by przypomnieć pokrewne w krajowo-emigracyjnych doświadczeniach życia poetki Joannę Fligiel i Martę Tomczyk-Maryon. Mam nadzieję, że te późne i dojrzałe kobiece debiuty odmienią nazbyt jednostronnie „męski” wizerunek tego nurtu poezji pokolenia urodzonych w latach sześćdziesiątych.

Magdalena Rabizo-Birek

P.S. Już po złożeniu tego tekstu we „Frazie”, gdy artystka nadesłała podpisy do swoich prac, okazało się, że „oranci”, których identyfikowałam z podopiecznymi domów opieki, są w istocie szkicami rzeźb nagrobnych angielskich arystokratów z czasów Henryka VIII i jego córki Elżbiety, co otwiera nowe ścieżki interpretacyjne, ale nie zmienia zasadniczo ich vanitatywnej aury.

O KSIĄŻKACH

Wojciech Kwieciński

POŻEGNALNY BLUES

Bogdan Loebł dokonuje na sobie literackiej eutanazji, przyjmuje pigułkę „ostatniej woli” i wiedziony przez orszak muz, którymi żonglował przez okres swojej sześćdziesięcioletniej aktywności twórczej, wsiada do łodzi Charona, płacąc połowę obola, przysługuje mu bowiem 50 procent zniżki dla żyjących. Odgrywa stylową codę, zostawiając nas z *Pożegnalnym bluesem*, którego ładunek emocjonalny na pewno nie osłabia pandemicznej rzeczywistości. Czy ma do tego prawo? Jako ironizujący sceptyk, pesymista i mizantrop przygotowywał swoich czytelników od dłuższego czasu do takiej formy rozstania. Być może odczuwa nawet satysfakcję, imaginując sobie porażenie napięciem bijącym z tytułu ostatniego dzieła? Może jednak doświadcza nas zbyt boleśnie, wiedząc że „loebłowanie” to nie „lukrowanie” rzeczywistości, ale ostre cięcie „nożem” – ulubionym narzędziem w jego poetyckim warsztacie. Mistrz bluesowej poetyki w kilku słowach wstępu podaje na pożegnanie szorstką i chłodną dłoń, ale jednocześnie wypatruje

muzykanta, który przejmie nutę i technię życia w pozostawione wersy. Miejmy nadzieję, że polski blues pożywi się jeszcze ostatnimi strofami Loebła.

Pożegnalny tomik został skonstruowany w formie triady, która nasuwa skojarzenia z fundamentem bluesowej formy, trzema akordami zupełnie wystarczającymi do pokazania całego spektrum ludzkich emocji i doświadczeń. Są to *Wiersze* – tonika, *Piosenki* – subdominanta i *Opowiadania* – dominanta.

Część poetycka tomiku jest niezwykle nasycona emocjonalnie i eklektyczna, zarówno pod względem tematycznym, jak i estetyki pisarskiej. Centrum tonalnym jest jednak bez wątpienia motyw odchodzenia, przemijania i goryczy, czasami wyrzucanej z trzewi przez baudelaire’owskie paroksyzmy. Wracają tułaczce impresje autora, nostalgia za latami dzieciństwa w Jasieniu nad rzeką Łomnicą, do którego autor retrospektywnie wraca poprzez rzeszowskie, kolejowe skojarzenia (*Wrócić*). Wybijającymi się elementami poetyki Loebła jest świat natury, obecny zarówno w formie ostrych ekologicznych manifestów (*Ekologicznie, W pelerynie smogu, Świt 2018*), jak i nostalgicznych odwołań do motywów związanych z profesją ojca-leśniczego, elementów pejzażu wsi zaszytej głęboko w karpaccy głąszy.

Cykl wierszy *Rozmowy z Mistrzem* dominuje nad całością partii poetyckiej. Forma monologu podmiotu lirycznego, imitująca nierealny dialog ze Stwórcą, Bogiem,

¹ Jako autorkę tego neologizmu należy chyba wskazać znaną twórczości i nastrojów Mistrza, Krystynę Lenkowską, *Rozmowa z mistrzem (o sercu i nie tylko)*, „Akcent” 2016, nr 2.

Mistrzem, w wydaniu Loebła to prawdziwa uczta poetycka, lekcja wypływająca z olbrzymiej dojrzałości i przenikliwości autora, niezwykle ujmująca, pełna prowokujących refleksji, ironii i czarnego humoru. Nie ma w niej, co naturalne wobec metryki twórcy, zadziorności, jest za to kojący ton życiowej mądrości, rodzaj pogodzenia się z faktem, że ciągle pozostaje spory katalog pytań, na których uzyskanie odpowiedzi trzeba zapewne czekać więcej niż 89 lat...

Bluesy Loebła wciąż pozostają poza konkurencją. Pewnie wprowadziłyby w konfuzję nawet Boba Dylana, gdyby dały się tylko przetłumaczyć... W tej estetyce doszło, moim zdaniem, do kompletnego zespolenia, nałożenia się na siebie wektorów twórczych Nalepy i Loebła i stworzenia unikalnego idiomu. Charakterystyczny dla tego drugiego pesymizm i naturalizm w połączeniu z oszczędną i nasyconą emocjami Nalepowską frazą, stworzyły nową kategorię piosenki na rodzimej scenie. Określenie „polski blues” wydaje się w tym wypadku jedynym właściwym terminem, definiującym stopień oryginalności i wyjątkowości tej twórczości, mającej charakter swoistego „subgatunku”.

Bogdan Loebł odnalazł się w tej formule intuicyjnie, nieświadom początkowo „co to za gatunek”. Jak stwierdził w rozmowie z Jarosławem Sawicem, dzięki bluesowej wolcie Nalepy mógł pisać w ulubionej, bezpretensjonalnej konwencji o sobie, „o swoich tęsknotach, zgrzyotach”². W *Piosenkach* zawartych w tomiku, poza charakterystycznym Loebłowskim zwątpieniem i pesymizmem, jest jednak światło nadziei oraz afirmacja związków uczuciowych, dających niczym „próg” schronienie i odpór przeciwom wszechobecnego zła (*Światło*). Są też nieodłączne od stylistyki bluesa odwołania do świata używek, podane w autorskim stylu, pełnym aluzji i niedopowiedzeń. Pojawiają się ulubione frazy mistrza, odwołania do

przeszłości i remaki Breakoutowskich szlagerów (*Oni zaraz przyjdą tu – Już dopadną zaraz mnie*). Jest też i przejmujące epitafium dla Tadeusza Nalepy (*Błękitne łzy*), pozabawione nuty żalu i pretensji wobec sporów i animozji, szczerze oplakujące ojca polskiego bluesa: „czy Ty tam po drugiej stronie wiesz / że Twój blues tu jak beapański pies”.

Ostatnia część tomu zawiera dwa opowiadania *Styks* i *Parking*. Tematycznie ustawione na dwóch przeciwległych biegunach – przeszłości i świata współczesnego; doświadczeń chłopca oraz emocji człowieka bliskiego śmierci. Utkane są jednak z tej samej osnowy: marzeń sennych, maligny połączonych z gorączką, przeplatających się z rzeczywistością. *Styks* jest zatopiony w realiach wojny, przebija z niego trauma kresowych doświadczeń pokoleń uciekających przed banderowskimi sotniami. Gorycz utraty idyllicznej Arkadii, „rzeki dzieciństwa” znad której autor został brutalnie wyrwany, azylu leśniczówki „o silnych dębowych framugach” na zawsze zostały otwartą raną w jego wrażliwości. Nasylenie przeżyć i emocji wieku wzrastania w wyjątkowej przestrzeni ukształtowały miłość Loebła do świata przyrody i zdefiniowały zarazem stosunek do człowieka – istoty mącej nurt i niszczącej harmonię świata natury. Stąd zapewne turpizm, pesymizm i mizantropiczna postawa twórcy o niezwyklej przenikliwości i ostrości widzenia świata.

W *Parkingu* motywy z przeszłości również rezonują (tragiczna, przedwczesna śmierć brata, przeprowadzka kończąca żarliwe młodzieńcze uczucie) i odbijają się echem na tle fluktuacji stanów człowieka schorowanego i uzależnionego od punktualnego aplikowania medykamentów, ale nie tracącego humoru i autoironicznego dystansu, o wciąż niepokromionej chłopięcej naturze despetnika i degustatora wytrawnych smaków życia. Erotyzm obecny w twórczości Loebła jest wyjątkowo zmysłowy, ale świadomie poskromiony i dawkwany z laboratoryjną precyzją.

² B. Loebł, *Slucham głosu serca. Rozmawia Jarosław Sawic*, Warszawa 2015, s. 146.

W *Pożegnalnym bluesie* mamy do czynienia z całym przekrojem „loeblowania”, prostotą i przenikliwością prazy, ujmującą wrażliwością i nostalgią przerywaną dysonansowymi wstawkami ironizującego, czasami turpistycznego humoru. Artysta jest specjalistą od wysublimowanej sztuki balansowania na cienkiej linii, oddzielającej świat własnych osobistych przeżyć od ludzkiego uniwersum. Z nieodłącznym nożem zagłębia się w interior ludzkiej psyche, niczym eksploratorzy amerykańskiego pogranicza, otaczając się przy tym bezpieczną woalką nietykalnego, rachitycznego pustelnika.

Szczerze zapraszam do pożegnalnego rejsu z Bogdanem Loeblem, po rzece barwnej, nieregulowanej, pełnej mielizn, wirów, mającej swój rytm niepokromiony metronomem zmian cywilizacyjnych. Towarzyszyć wam będzie blues w najczystszej formie, ulubiona forma wypowiedzi Mistrza.

Wojciech Kwieciński

Bogdan Loebel, *Pożegnalny blues*,
Ofcyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2020.

Tomasz Pyzik

ISTNIENIE PONAD WSZELKIE ISTNIENIE

Wiersze w zbiorze *Metaf* Wojciecha Kassa wchodzą w tę przestrzeń rzeczywistości, która umyka empirycznemu rozpoznaniu. Podmiot poznający ufnie oddaje się zjawiskom świata przedstawionego, zatapia się w ich pełni, zachłannie nasyca się danym istnieniem, by doświadczyć takiego odczucia kondensacji bytu, które otwiera widzenie duchowe, metafizyczne.

Twórczość poetycką Kassa znamionuje intensywna praca zmysłów i praca ducha oraz ta szczególnie uważność spojrzenia, któ-

re przenika do czegoś innego. Nowe obrazy, które zostały udostępnione poecie dzięki jego wyjątkowej wrażliwości artystycznej, nie docierają do nas w pełni. Nie należy tego oczekiwać, bowiem liryka autora *Metaf* odbija indywidualne wejrzenia oraz osobnicze doświadczenia, nieprzekładalne nawet na mowę wiążaną, choć jej najbliższej do tego, by inną przestrzeń naszkicować. Poeta jest odosobniony w swoim światłoodczuwaniu, ale poprzez wyrażanie w słowie tworzy wraz z odbiorcą wspólnotę niezwykłego doświadczenia, które intuicyjnie uzmysławia przestrzeń nadnaturalną, metafizyczną. To właśnie w *Tryptyku do poety i czytelnika* znajdziemy pytanie retoryczne, przywołujące na myśl filozoficzne poszukiwanie pierwszej przyczyny: „rodzisz się w obrotach / języka, kto wprowadził go w ruch?”. Adresatem słów może być autor, który prowadzi rozmowę z samym sobą, ale adresatem może być też każdy z nas, przez co zostajemy wyrwani z bierności. O co chodzi poecie? Najlepiej ujmuje to ostatnia część tryptyku, w której czytamy:

*a chodzi jednak o To, aby Coś wymacać
z empirii i historii, z kosmosu i absolutu
wypisać To i Coś wymacane
pracowicie wyrzyć, krwią, potem,
prochem.*

Jak widzimy, twórca jest postacią niepokojną, nie ustaje w eksploracji bytu, który skrywa się za rzeczywistością. Wspomniane przez poetę „To” i „Coś” jest rzeczywistością z ludzkiej perspektywy transcendentną, ale jednocześnie immanentnie wpisaną w nasze egzystencjalne „ja”. W takim postrzeganiu, w takim „położeniu” – nawiązując tu do znaczącego podtytułu zbioru (*20 wierszy o położeniu*) – kryje się tajemnica świata i człowieka, których źródło istnienia odsyła do czegoś większego, niż mówi poznanie zmysłowe.

Jarosław Ławski wyodrębnił to szczególnie rozumienie i odczuwanie bytu, określając je jako *metaf*. Definicja tego pojęcia jest

mottem omawianego zbioru Wojciecha Kassa i brzmi tak: „– co Jest, co ogarnia, czym jesteśmy i nie jesteśmy, / niepokój i uspokojenie, (nasz) mrok – widzenie; / co przekracza, tworzy, zagarnia, by objąć w Siebie”. Próba objęcia niepoznawalnego osadza się na antonimach, które maksymalizują semantyczną skalę wypowiedzi. Między przeciwieństwami jest wszystko, jest każdy odcień słowa i każdy przejaw bytu. Utwór *Łapanka* zawiera w sobie rozwinięcie teorii Ławskiego, znajduje się tam autorska definicja metafizyki, którą Kass formułuje jako „takie czule poruszanie, / rozglądanie po stworzonym, zew namysłu”. Intersemiotyczność *metaf* i *physis* realizuje się w jakimś stopniu dzięki przyjętemu paradygmatawi poznawczemu.

Poezja Wojciecha Kassa to liryka otwartości, czuwania i oczekiwania. Otwartość dotyczy ewokowanej przestrzeni, swoistego przestworu, który wybiega w nieskończoność i nie poddaje się ostatecznemu zasklepieniu, a co za tym idzie, ostatecznemu nazwaniu. Czuwanie i oczekiwanie wiążą się z przecuciem istnienia ponad istnienie. Autor zbioru *Metaf* skanuje rzeczywistość w poszukiwaniu imponderabiliów i szczęśliwie widzi je w obszarze dostępnym dla wszystkich, choć nikt nie dostrzega tego, co on. O tej niezwykłej dyspozycji mówi sytuacja przedstawiona w inicjalnym wierszu tomu zatytułowanym *Wielu było takich*. Poszukiwanie „tego jedynego słowa” na określenie doświadczonego fenomenu kończy się konstatacją: „Za to jaśnieli w nieznanym dotąd / szyku”, która zwraca uwagę na nową epifanię. Jej nieostra peryfrazja odbijająca poznawczą niewyraźność mówi jednak o tym, co jest. Kass temu co czuje, co widzi w artystycznym porwywie, nadaje status ontologiczny.

Czyni to *Głosem nie znającym granic* – jak mówi tytuł jednego z utworów, w którym podmiot poznający retrospektywnie wylicza, co było i co go spotkało. Jest to głos przekraczający granice widzialnego, choć o widzialnych rzeczach wspomina. Utrzymanie lirycz-

nej deskrypcji w czasie przeszłym podkreśla, że to, co przemienilo, miało swoje miejsce w historii, istniało dla mówiącego „ja”, ale też, co najważniejsze, wciąż istnieje z perspektywy transcendentnej, na którą subtelnie naprowadza podmiot, gdy pisze o swoistej iluminacji, czyli ujrzeniu „góry jak kapeluszy” w niemal mistycznych okolicznościach, jakie wtedy mu towarzyszyły: „tak ją zobaczyłem idąc grzbietem / łańcucha – z jasnym warkoczykiem ścieżki na szczyt”.

W tym kalejdoskopie zdarzeń, w zwykłych-niezwykłych kadrach z życiorysu, czujemy za poetą wewnętrzną warstwę rzeczy, ich nieprzemijającą istotę, którą artysta synestezyjnie wydobyla w równoczesnym postrzeganiu *physis* i *metaf*, – z czym czytamy choćby w innym fragmencie poematu *Głosem nie znającym granic*: „był wieczór na werandzie skupiony od środka, / wyciszająca się od środka topola i od środka / rozświetlony smutek”. Artystyczny dar introspekcji otula widzialną rzeczywistość słowem niosącym wieczystą ciszę i zaświatowy blask, a w stosunku do najbliższych obradza czułą sakralizacją, czego przykładem jest urzekające zawołanie skierowane ku żonie poety z Prania, która w utworze *Pytania cudzoziemca zadawane w Sandomierzu* figuruje jako „Sancta Jagienka Praniensis”. Taki tytuł zostanie już przy niej na zawsze, a imię ozdobione wyjątkowym epitetem będzie jaśniało wśród wszystkich świętych.

„Metafizyczne” promieniuje również w innych wierszy: *Na brzegu nocy*, *W mieście W*, *poranek*; *W mieście O*, *puls*. Czy należało tego oczekiwać? Odpowiedź znajdziemy w meta-poetyckim utworze *Słowa / ciała*:

*Poeta nie jest regułą
jest wyjątkiem.
Poezja nie jest normą
jest niespodzianką.
Nie jest prawidłowością
jest błędem, nawet anomalią.
Ale ten błąd, anomalia
wytyczają los słowa
ciała.*

Wiersze Wojciecha Kassa są nieskończone, gdyż w nieskończoność sięgają. Charakter liryki autora zbioru *Metaf* odzwierciedla zamyslenie i zapatrzenie twórcy, który posiadał zdolność holistycznego objęcia świata przedstawionego w doświadczeniu życia. Taki dar jest błogosławieństwem i cierpieniem. Zmusza bowiem do nieustannej aktywności oraz walki o wydarcie z tamtej przestrzeni „Tego Czegoś”, co się objawia w impresjach rzeczywistości (np. utwór *Chwila*) i raz uświadomione, nie pozwala o sobie zapomnieć. Poeta żyje wówczas w wiecznej tęsknocie, w artystycznym napięciu i gotowości na przyływ fali niosącej nadnaturalne tchnienie bytu. Godzi się jednak na takie powołanie i przyjmuje z pokorą swój los. Jest jak tytułowy kwiat z wiersza *Jaskier*, który „nie złorzeczy miejscu, gdzie rośnie”. Może też powiedzieć o swoim życiu artystycznym: „Z wolna odnalazłem dla siebie / trzy słowa: Jest, Teraz, Tak; są bez dat jak życie” (*Jaskier*). Są bez dat, dopowiedzmy, jak *metaf*.

Poetyckie sięganie ku istnieniu ponad wszelkie istnienie objawia nam wyjątkowe niespodzianki bytu. Liryka Wojciecha Kassa pozbawiona metafizycznego rozmachu oraz wyczucia chwil epifanii byłaby z pewnością bardziej przystępna, bardziej rozpoznawalna i porównywalna do zwykłego bycia w świecie. Ale przez to byłaby potwornie nudna.

Tomasz Pyzik

Wojciech Kass, *Metaf. 20 wierszy o położeniu*, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2020.

Jan Tulik

MILKNIEMY WNIEBOGŁOSY

Tom *Kruchość. Sonetti a corona* Krystyny Koneckiej wnosi nowy, urokliwy akcent do jej bogatych dokonań lirycznych. Autorka, mimo że uprawia inne gatunki literackie, przyswoiła sobie formę sonetu i celuje w sprawności jego zapisu. Piętnaście zamieszczonych w tomie sonetów (pierwszy oznaczony jest jako zerowy, pozostałe cyframi rzymskimi) mają formalnie charakter sonetu Szekspirowego, choć nie – jak u geniusza – jedenastozgłoskowca, a trzynastozgłoskowca, z puentą dwuwersu, zwanego kupletem przez jego tłumacza Macieja Słomczyńskiego. Ów kuplet w sonetach Koneckiej ma bardzo istotne znaczenie. Otóż każdy z kupletów Koneckiej (autorki *Ogrodów Szekspira*) jest początkiem następującego po nim utworu. Pierwszy sonet (I) kończą wersy: „Wiedzieliśmy: to innym burz burzy plany. / Gdy oto spada na nas nieprzygotowanych”.

Kuplety owe, jak Szekspirowe, są wysunięte do przodu, o choćby spację od jednolitego ciągu wiersza (nie ma zastosowania podział na dwie kwadryny i po nich dwie tercyny). Drugi sonet (II) rozpoczynają zatem słowa: „Gdy oto spada na nas nieprzygotowanych”. I tak jest aż do ostatniego wiersza (XIV), zaczynającego się „końcówką” poprzedniego: „Czy ‘Bóg zetrze palcem’ czy ‘wleje w nią życie’”. Przy czym wiersz ten kończy linijka: „właśnie mieliśmy jechać... Prześcignąć marzenia...” – a jest to początek sonetu I (piękną kodą tomu jest ów sonet). Czy poetka sugeruje, że krąg tego cyklu się zamyka?

Po uważnej lekturze można przyjąć, że *Kruchość*... jest osobliwym poematem złożonym z regularnych cząstek w postaci so-

netów – luster Stratfordczyka. Chodzi jednak o podobieństwo formalne, Konecka posługując się własną, wyrafinowaną poetyką, którą trafnie scharakteryzował autor *Postawia* do tego wspaniale wydane tomu, Edward Zyman, również znakomity poeta, o czym nieco dalej. Przypomnijmy, że jako jeden z pierwszych na język polski sonety Szekspira przetłumaczył i wydał w 1922 roku Jan Kasprzewicz.

Dotarł do mnie kolejny cykl sonetów Krystyny Koneckiej (i nie tylko ten cykl) *Zwierciadło Marii Stuart*, dwujęzyczny, polsko-angielski, w tłumaczeniu Ewy Sherman. Z sonetem „zerowym”, nawiązującym do XIV sonetu *Kruchości...*, z kunsztownym „meandrem”. Konecka stworzyła sonet wieńcowy, a to nie lada sztuka. Ponadto oddała w drugiej części tego zbioru hołd Chopinowi, który pod koniec życia koncertował w Edynburgu i którego otoczyła czułą miłością Jane Stirling. *To love story* na osobną opowieść.

Poetka oddała także hołd tragicznej postaci Marii Stuart. Świetny, wstępny szkic do rzeczoności tomu napisała Anna Maria Musz, również znakomita poetka, która dała obraz historyczny władczyńi Szkotów, a jednocześnie stworzyła liryczne tło bólu królowej, dramatu szesnastowiecznej Szkocji. Dodała, że historia szkockiej królowej była inspiracją twórczości Schillera, Słowackiego, Symborskiej, a Gaetano Donizetti napisał na jej cześć operę.

Sonet został spopularyzowany w świecie literackim Albionu niemal równocześnie z żywotem autora *Hamleta* (i genialnego *Makbeta*, bo żądza władzy jest wiecznie okrutna). Został niejako zaimportowany z Włoch, wraz z duchem poetyckim Michała Anioła i Francesca Petrarki. Konecka przywołuje włoskich poetów renesansu, w tym Boccaccia, mówi o „Czarnej Śmierci”, a również o tym, że „do Stratfordu dżumę przywleczono / z nędzy londyńskich slumsów”. Zamyka no londyńskie teatry początkiem roku 1590 i pisarka świetnie w swym tomie eksponu-

je czasy niejednej pandemii w Europie, nie wypowiadając słowa o „naszej” zarazie, co skrupulatnie odnotował Zyman we *Wstępie* do tomu Koneckiej. I sugeruje za tonem poetki pytającej: „Gdzie skryć się? I czy można?”. W tym groźnym, a jednocześnie podłym czasie, pada odpowiedź: „w pięknych i mądrych wierszach. A szerzej: w sztuce! Ta tylko bowiem nadaje sens naszej ulotnej egzystencji. I tylko ona będzie jedynym śladem, który po nas zostanie” – akcentuje zdecydowanie Edward Zyman. Jego roztropność potrafi przekonać nie tylko twórców, ale przecięt i mądrych ludzi, którzy jednocześnie są inteligentni.

Ominę słowo ukryte w tytule przepięknego dzieła G. G. Márqueza *Miłość w czasach zarazy* oraz św. Koronę – bo taka święta istnieje w katolickim martyrologium – którą i u nas Kościół zaleca otoczyć kultem. Zatem *Kruchość. Sonetti a corona* to bez wątpienia poetycka całość. Czy podtytuł może nawiązywać do dzieła *Corona di sonetti* z roku M.D.C. XXXVII (1637)? Krystyna Konecka w sonecie VII powiada:

Nie wiem, czy pożar w sercu? Czy to słońce zgasło?
[...]

*Czy z dziecinstwa znów na mnie galopują konie
z płonącej stajni?!... Może znów zwierzęta krzyczą
w australijskim ogniu? Czy kiedyś rozliczą
podpalaczy, przez których raj biebzański płonie?*

To apokaliptyczne wołanie, być może połączone z dawną traumą poetki, to też aluzja do haniebnych kłamstw polityków na temat ekologii i ich fałszywych, wyświechtanych haseł na rzecz ich rzekomych działań w obrobie natury.

Tomik Krystyny Koneckiej świetnie uzupełniają pełne nostalgii obrazy – fotografie pejzaży i ginących atrybutów kultury w rustykalnym otoczeniu autorstwa Krzysztofa Korotkicha (któremu poetka zbiór dedykowała) – uczonoego, autora szeregu ważnych książek. Jego fotografie chwytają dynamikę pejzażu a jednocześnie jego kruchość, „ostat-

niość” piękna i dobra przyrody. Modląc się, „milkniemy wniebogłosy” – jakże trafny to oksymoron z VII sonetu poetki w tym zbiorze szczególnie profetycznej, a równocześnie wyrażającej katastroficzność naszych czasów, w czasie, kiedy „zmierzch odwraca palimpsest z udziałem księżyca”. To szczególny fakt, zaznaczony palimpsest: kto nam wymazał słowa prawdy i wpisał w to miejsce swój fałsz? Domyśl jest czytelnym...

Jan Tulik

Krystyna Konecka, *Kruchość. Sonetti a corona*, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2020.

Jerzy Ł. Kaczmarek

NIESKOŃCZONE PRZESTRZENIE

Norbert Skupniewicz jest uznanym polskim malarzem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, jak również cenionym poetą. Wypracował swój własny, charakterystyczny język, który nie jest łatwy w odbiorze i można go w jakiś sposób odnieść do jego twórczości malarzkiej, operującej ostrymi formami, które rozszczepiają się na wiele elementów, zaś ich nagromadzenie potęguje w odbiorze wrażenie niejednoznaczności i dynamizmu przestrzeni. Podobnie jest z jego wymagającą poezją, operującą dyskursem filozoficznym, pełną eksperymentów językowych, nowatorskich zabiegów formalnych, które są próbą ujęcia złożonej rzeczywistości naszego świata. Zresztą wiersze Skupniewicza mają w swoim zapisie pewne walory kompozycji plastycznej poprzez częste użycie w nich myślników, nie tylko pojedynczo, ale nawet po trzy lub cztery, które oddzielają słowa, wersy bądź zwrotki.

W tę poetykę wpisuje się tom Skupniewicza zatytułowany *czyli za daleko*, wydany, podobnie jak poprzedni *Elja*, przez Wydawnictwo Literackie Atena. Już po pierwszych wersach możemy rozpoznać charakterystyczny styl autora, dbałość o słowo, zabiegi słowotwórcze, co z jednej strony stawia czytelnikowi wysokie wymagania, z drugiej jednak działa ożywczo w sensie językowym, pozwalając delektować się poszczególnymi wersami, które często stanowią zapis celnych, intrygujących myśli o wydźwięku filozoficznym. O ile *Elja* była tomikiem skoncentrowanym na jednym, lirycznym temacie miłosnym, o tyle *czyli za daleko* tematyzuje szeroko pojęty problem możliwości poznania rzeczywistości, przede wszystkim tej, która wykracza poza tu i teraz, poza nasze zwykłe możliwości poznawcze. Kluczem do tego zbioru wydają się być słowa z drugiego wiersza **kto czas zagwiżdże kto zarecytuje*:

*pojedyncze drzwi nie są jedynymi:
za rozwieranym postrzeganiem schodzi:
morze niebo i rozgardiasz między czarnym tak
[a białym nie
rozgardiasz przyćmiewa jasnostrzelne oko*

Owe drzwi, a właściwie wielość drzwi, to drogi do poznania rzeczywistości widzialnej i także tej wymykającej się bezpośrednio oglądowi. Autor, za pomocą słów, próbuje dotrzeć do niewysłowionego i niewyobrażalnego. Jednym tchem wymienia sposoby tego poznania: „medytacja-mistyka malarstwo muzyka poezja i zjawiska naturalne” (**świat zwykły pod jesion doskonałości nieba i piekła...*). Choć dysponujemy tylko „wątlym pazurkiem myśli” (**czyż unoszę się kurzem fruwać*), to jednak poprzez medytację, stany mistyczne, sztukę czy naukę możemy po części poznać porządek wszechświata i przybliżyć się do pytań metafizycznych.

Istotną rolę odgrywają w tym procesie malarstwo i poezja, a zatem dziedziny najbliższe Skupniewiczowi. W jednym z wierszy stwierdza wprost, że „malarstwo patrzy

w niewidoczne” (**obrazy są – czyż mimo woli wszech-Świata są*), a więc jest jedną z tych furtek, które czasami otwierają się na nieskończoność. Podobnie jak i język, który, co prawda, „nie przekształca rzeczy nie wpływa na kształt” (**czyż unoszę się kurzem fruwać*), ale przecież uchyla drzwi, poprzez które możemy spojrzeć na ten inny świat. Poezja staje się zatem miejscem spotkania z ziemią z niebem, momentem olśnienia, jakimś szczególnym *kairos*, jak to pięknie ujął Autor w wierszu **poniedziałek zaszedł śniegiem*: „wiersz zastawia pułapkę na anioła”.

W wierszach Skupniewicza znajdujemy pochwałę sztuki, jak chociażby w utworze **pamięć zagrzebuje się w kłębisku chronicznym*, gdy pisze: „natura rysunku wiersza dźwięków strojonych / podwyższa zwykłość rzeczy”. Malarstwo, poezja, muzyka uszlachetniają rzeczywistość, a więc również człowieka. Stają się chwilą uniesienia, która prowadzi poza czas i poza to, co zmysłowe. Do tego jednak potrzeba trudu, zmagania się z sobą samym i z materią, z formą, którą narzucają poszczególne dziedziny artystycznej twórczości. Opisując warsztat malarza, Skupniewicz bardzo dobrze oddaje to zmaganie się z trudami tworzenia:

„warsztat” malarza jeżeli rozpruć go na oścież
 stanie przeniknięty kosmiczną świadomością
 zacerowaną znakami cywilizacji
 zostaje podbudową-fundamentem
 pod zespołami wrażeń oraz rozważań
 (*za niemocą wyboru).

By dojść do poznania poprzez sztukę, trzeba również zdawać sobie sprawę z własnych ograniczeń kulturowych i psychologicznych, bo mogą one nam przesłonić dostęp do owej „kosmicznej świadomości”. Także w samym uprawianiu sztuki mogą tkwić niebezpieczeństwa i mielizny, z czego autor zdaje sobie doskonale sprawę, krytykując „awangardowe dziwy”:

względem dziwów uznanych artystycznymi
 pozostają z uważnie otwartym okiem:
 głupota tu zaślepia cudzy wytrzeszcz by

gdy głupek różnie głupa załęga się awangarda
 (*żujing – to słowo spina wiatr z żagle).

Pojawia się nawet zwątpienie w możliwości malarstwa: „w jedno-czas pozostając w wątpleniu, / czy cokolwiek ze światła się wyrwać zdoła mazistymi substancjami / pospolitych farb, które przekornie łatwo kompromitują malarzów” (**obraz niedokonany usycha w oku wyobraźni*). Sztuka jednakże opiera się na przeciwieństwach, paradoksach i sprzecznościach (podobnie zresztą jak i życie, o czym pisze Skupniewicz w wierszu zaczynającym się słowami **życie rozpościera się na przeciwieństwach*). Stąd też chwile zwątpienia w sztukę mieszą się z momentami wiary w jej możliwości, które czerpią siłę właśnie z paradoksów, o czym czytamy w utworze **umysł uporządkowany unika nijakości*:

sztukę ścierają powylamywane myśli
 uznając paradoks oraz sprzeczność kontrastów
 zbliżymy się nieco ku wyrazowi malarstwa
 –
 na paradoksach stoi widoczna przestrzeń obrazu
 matematyka jutro wyliczy zasadę tej przestrzeni.

Oprócz sztuki pojawia się zatem i nauka, jako dziedzina, która odkrywa porządek świata, stając się tym samym sprzymierzeńcem sztuki. W jednym z wierszy Skupniewicz stwierdza, że: „wymiaru Wszechświata są / skąd wiem że / bezbłędne. / przyrządy-cacka utrzymują empiryczną pewność umysłu” (**czyż unoszę się kurzem fruwać*). Poeta wyraża tutaj przekonanie o harmonii w kosmosie i o tym, że ten porządek możemy poznać – zarówno poprzez sztukę, jak i naukę. Czy jednak nauka jest lepszym narzędziem poznania rzeczywistości od sztuki? Autor, który sam jest przecież artystą, raczej faworyzowałby sztukę, co wyraża pośrednio w wierszu **sok różu ścieka przez tamtą krawędź nieba*: „czym nowostki i prawa fizyki / wobec tria brahmisa”.

Jednak poza drzwiami, którymi są sztuka i nauka, pojawiają się u Skupniewicza

jeszcze trzecie drzwi, poprzez które przechodzi się do innego świata – a mianowicie drzwi medytacji, mistyki i religii. W wierszu **obrazy są – czyż mimo woli wszech-Swiata są znajdujemy słowa brzmiące jak wyznanie wiary: „Bóg jest / zapewne / wszędzie”, choć to „zapewne” staje się tutaj czymś w rodzaju agnostycznej furtki. Skupniewicz odnosi się wielokrotnie do motywów religijnych. Czyni to w wierszu *świat zwykły pod jesion doskonałości nieba i piekła, gdzie pojawia się refleksja o niebie i piekle. Anioły są jednym z najbardziej ulubionych motywów poezji tego autora. Obok nawiązań do chrześcijaństwa możemy znaleźć bezpośrednie związki z buddyzmem, kiedy w dwóch utworach pojawia się buddyjska mantra *om mani padme hum*. Czasami ma się wrażenie, że Skupniewicz zbliża się także do manicheizmu, gdy na przykład pisze, iż: „był przez Czas modelowany – diabelska domena Energii” (**czyż unoszę się kurzem fruwać*). Wszystko po to, by spróbować uchwycić to, co odwieczne, w tej „niedotkniętej-niewidzianej-niesłyszananej-niesmakowanej-niepowąchananej” (**czyż unoszę się kurzem fruwać*) rzeczywistości. Tych pięć przymiotników łączy się ze sobą w całość, jak gdyby wyrażały jednię, do której poznania dąży Skupniewicz w swojej twórczości poetyckiej.*

Wiersze pomieszczone w zbiorze *czyli za daleko* są kluczem do drzwi, poza którymi rozciąga się przestrzeń nieskończoności. Są one również refleksją nad przemijaniem, nad nieuchronnym upływem czasu, który pędzi jak strzała, trafiająca prosto w serce życia. Pięknie to ujął Skupniewicz w utworze **koan*: „– dopóki łuk nie pęknie i zanim nie zerwę cię cięży – strzały pospieszne”. Dopóki zatem nie pęknie łuk, strzały będą wypuszczane, ale w końcu śmierć i tak upomni się o swój łup. W tej przygodności istnienia poeta zachowuje spokój, gdyż stwierdza: „chwila życia – to chwila: prezent bez zasługi” (**zасыiam te-raz do końca*). Brzmi to jak rozważania Koheleta, ale czyż w poezji poznańskiego poety

nie pobrzmiwa nuta egzystencjalnej refleksji starożytnego mędrca?

Jerzy Ł. Kaczmarek

Norbert Skupniewicz, *czyli za daleko*
Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2019

Ryszard Mścisz

KROŚNIEŃSKIE URZECZENIA

Większość z nas czuje sentyment, urzeczzenie bądź ściśły związek z pewnymi miejscami, które udomowił nasz los. Czuwa nad nimi jakiś *genius loci*, mają siłę oddziaływania, tworzenia trwałych – głębokich i subtelnych zarazem – więzi, które decydują o naszym w nich osadzeniu, regularnych powrotach, negaszącym uczuciu. Literackim ujęciem takiego fenomenu Krosna i Krośnieńskiego jest *Antologia Krosna i okolice*, wydana w 2019 roku przez Regionalne Centrum Kultur Pogranicza w Krośnie.

*Kiedy tędy przechodzę
poznają mnie drzewa
bo jednorocznym kwiatom
jestem zbyt obcy
[...]
Tu pozostawiłem
Bezpowrotność
mierzoną od dzieciństwa
[...]
Chyba czas
zapisał mi na własność
tę pierwszą ścieżkę*

– tak zapisał ową jednakowo ulotną i trwałą istotę krośnieńskiego wrastania Waclaw Tu-rek w wierszu *Ulica Kletówki*. Owe pamięciowe instancje wrastania i oswojenia miejsca, mirażu czasu i psychiczne więzi, snujące się nici egzystencji, dojrzewania tworzą pewną ulotną i trwałą zarazem jakość. Znaj-

mość i obcość, bezpowrotność i własność, czas i miejsce – to wyznaczniki związku z miejscem, o którym pisze, prerogatywy swoistej peregrynacji zwierzaj.

Tworzenie antologii związanej z konkretnym miejscem napotyka zawsze na pewne ograniczenia. Wspomina o nich w swoim wstępie Jan Belcik. Trudno bowiem dotrzeć do wszystkich autorów i dzieł, które tematycznie mogłyby znaleźć swoje miejsce w takim wydawnictwie, różne powody decydują o tym, że niektóre dzieła do antologii nie trafiają. Antologia ta wymagała sporego wkładu pracy, kwerendy źródeł i utworów – w czym szczególnie odznaczyli się Waclaw Turek i Marek Petrykowski – jednakże ma ona jedynie wskazać na bogactwo, wielość odwołań, pokazać ich różnorodność, otwierając pole do dalszych poszukiwań, kolejnych twórczych odkryć z tym związanych.

Jakość dzieł zebranych w antologii jest różna, zwraca uwagę ich spora rozpiętość czasowa, zaskakuje niekiedy obecność autorów, którzy nie kojarzą nam się tak bardzo z literacką sferą dokonań. Są wśród nich: Ignacy Łukasiewicz, Stanisław Pigoń czy Zdzisław Pękalski. Trafił do antologii Jan Paweł II jako autor *Tryptyku rzymskiego*, twórcy związani przez całe życie z Krosnem i regionem krośnieńskim, ale także mieszkający w odległych zakątkach Polski twórcy obcego pochodzenia, jak István Kovács, Bálint Ballasi czy Sarah Luczaj. Mamy tu żyjącego na przełomie XV i XVI wieku Pawła z Krosna czy twórcę literatury sowizdrzałskiej Jana z Kijana, ale także wielu poetów współczesnych, których dorobek wciąż jest otwarty i którzy dopisują kolejne strony owego krośnieńskiego zbioru.

Jan Belcik, Marek Petrykowski i Waclaw Turek, którzy dokonali wyboru wierszy i opracowali antologię, podzielili swoje dzieło na dwie części. W pierwszej znaleźli się autorzy urodzeni do XIX wieku, zaś w drugiej urodzeni w wieku XX. Chronologia twórców i dzieł z jednej strony tworzy

obraz ciągłości owych krośnieńskich odwołań, urzeczeń, z drugiej strony zaś filtruje je za sprawą ideowych wyznaczników epok, zmian poetyki, spojrzeń na świat, wreszcie przemian dokonujących się w owym regionie.

Nader wyraźnie zachwyty ziemią krośnieńską, a szczególnie zamkiem w Odrzykoniu, wybrzmiewa w powieści gotyckiej Seweryna Goszczyńskiego *Król zamczyska*: „Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałyby niepoślednią w Europie głośność. [...] Najwydatniejszym jednak rysem okolice Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku odrzykońskiego”. Dosłowna, prozatorska ocena, dokonana przez romantycznego twórcę, w sposób jednoznaczny i otwarty wyraża zachwyty urokami krośnieńskiej ziemi, wyjątkowym pięknem tego regionu, który nie ma sobie równych w skali kraju, a nawet Europy. W antologii dominują jednak ujęcia bardziej metaforyczne, poetyckie i odwołujące się do konkretnych miejsc i zakątków – powody zauroczeń, sentymentalnych powrotów czy duchowej symbiozy są wszakże różne, wielorakie.

Związki z naturą, odczucie jakiejś egzystencjalnej, psychicznej bliskości z Kombornią i Korczyną pojawiają się w wierszu Jana Zycha *Mały testament*, który został przytoczony we wstępie Jana Belcika:

*Kiedy będą rozbierać, co zostanie po mnie,
wiedz, że zapisałem ci złota tyle,
ile wiosną da się zebrać z kaczęńców
po Komborni, po Korczynie.*

Wiosenne kaczęńce nabierają wartości złota, a Kombornia i Korczyn w owym testamentowym zapisie stają się esencją życia, miejscem powrotu, jakąś trwałą płaszczyzną zespolenia. Podobnie głos rodzinnej ziemi dźwięczy w wierszu Stanisława Pigo-

nia *W polu*: „Kłaniają mi się rzesze zbóż, / ziarnem ciężarne, pochylone”, czy w wierszu s. Dawidy Ryll *Przedwiośnie*: „Oddycham nią głęboko / jak zdrowym powietrzem / podkarpackiej ziemi”. To terapeutyczne oddziaływanie, symbiotyczny związek z ukochaną ziemią sięgają głębokich pokładów egzystencji, owych Herbertowskich „włókien duszy i chrząstek sumienia” z wiersza *Potęga smaku*. Bo kimże bylibyśmy, kim jesteśmy bez owej ziemi, która nas wykołysała, zaszczepiła w nas człowieczeństwo, zdolność przeżywania i odczuwania boskiej natury?

Janusz Szuber w wierszu *Dukla* usiłuje zuniwersalizować owe regionalne zauroczenia, nadając im przede wszystkim stygmat twórczy, wymiar „wcielonych” słów: „Do niej bracia mleczni w poezji / pielgrzymują brat Miron brat Jerzy / zamieniają stiuki czule na słowa”.

Wielość i różnorodność poetyckich odwołań do tych stron nie jest wszakże w swej warstwie prymarnej ani funkcją odmienności ujęć słów i obrazów, zastosowanych poetyk, ani też skali poetyckich talentów dla wyrażenia podobnych rzeczy. Nie chodzi także o zestaw miejscowości i miejsc, które odnajdziemy w utworach z almanachu – a mamy tu: Krosno, Duklę, Odrzykoń, Bieszczady, Wiśłok, Iwonicz, Zręcin, Rymanów, Turze Pole, Binarową, Bóbrkę, Cergową, Żarnowiec i wiele innych. Chodzi o pewien sposób patrzenia, projekcję osobowości (nie tylko w sensie twórczym), dystynkcje zachwyty, duchowych zapatrzeń i skal, rodzajów bliskości. W *Szklanym obrazie* Agaty Zahuty można się dopatrzyć jakiejś magiczności miejsca, skoro: „Tylko dzikie wino oplata / krośnieński mur / i zielenieje od nowa”. Ten wegetatywny zgoła czar miejsca, magiczny powiew młodości, odrodzenia sił witalnych czyni niezwykłym to, co wydaje się nader zwyczajne, pospolite – „krośnieński mur”. Z kolei w wierszu Wincentego Pola *Przy palącym się źródle w Iwoniczu zwanym Belkotką* tytułowe miejsce nie tylko nabiera panteistycznego zgoła

wymiaru, ale staje się źródłem religijnych uniesień, wiary w Boga poprzez doskonałość jego twórców, stworzonej przez niego natury. Romantyczny poeta ujmuje to następująco: „I czcią przejęci nad źródłami twemi / Wielbimy Boga w cudach naszej ziemi”.

Jednym z atrybutów i wyznaczników piękna może być chęć jego przekazania, zaszczepienia innym, pewnej jego ekstrapolacji. Dokonuje się to poprzez wiersze obecne w antologii – twórcy chcą wszakże odnaleźć w czytelnikach zrozumienie, pokrewieństwo wrażliwych dusz. W wierszu Jana Tulika *Magnolia u farnej wieży* nabiera to jeszcze innego, dodatkowego znaczenia pewnego dziedzicznego przekazania piękna, podzielenia się nim (a zarazem swoją wrażliwością, skalą odczuć i przeżyć) z bliską osobą: „Pączkujące z piąstek płatki / wychwytyują łączywiec przedwiosenne promienie / [...] Zapamiętaj to córeczko”.

Warto zagłębić się w te wiersze, w których dźwięczy regionalna, krośnieńska nuta, poszukać kolejnych takich utworów, których antologia nie odkryła. A może także przyjechać tutaj, dać się uwieść poetom, by na przykład – jak ujął to Mirosław Welz w wierszu *Iwonicz* – „Przy Belkotki źródelku posłuchać co powie / Pod Bazaru zegarem czekać lepszych czasów”?

Ryszard Mścisz

Antologia Krosno i okolice, red. Jan Belcik, Marek Petrykowski, Waclaw Turek, Regionalne Centrum Kultur Pogranicza, Krosno 2019.

Maciej F. Kubiak

PALIMPSEST ŚLĄSKA WEDŁUG UTOPKA

Testament Utopka Leszka Libery, trzecia część jego literackiej *opere magna* to dzieło tyleż literackie, ileż malarskie. Autor za pomocą świata przedstawionego na kartach swej powieści rozpościera klarowne, mocno oddziałujące na wyobraźnię czytającego obrazy, które raz powołane do życia działają w świadomości odbiorcy na zasadzie odtwarzającego się filmu. Biorąc do ręki tę powieść, czytelnik zaznajomiony z wcześniejszymi dziejami tytułowego bohatera podąża z nim przez – jak się wydaje – ostatni etap jego życia, patrząc na Śląsk oczami osoby doświadczonej i zmęczonej życiem. Utopek z encyklopedyczną pamięcią odtwarza dzieje poszczególnych miejsc i osób, dostrzegając zmiany, które w nich zaszły. Sugeruje nam tym samym ideę palimpsestowego czytania przestrzeni. W powieściowym świecie traci ona swoją jednoznaczność, prześwitują przez nią niedokładnie zatarte ślady przeszłości. Wydaje się, że miejsce, w którym przyszło żyć Utopkowi, determinuje jego sposób myślenia o świecie. Przestrzeń nie jest bowiem dana na wyłączność tej czy innej nacji. Snując wspomnienia i opowieści, bohater pozwala czytelnikom usłyszeć dochodzący zewsząd wielogłos i zobaczyć z jego perspektywy wielopłaszczyznowy obraz.

Sędziwy Utopek, który przez beczkę (z pierwszej części trylogii zatytułowanej *Utopek*), kryptę (z drugiej części *Buks Molenda*) przenosi się w części trzeciej do wieży ciśnien jako honorowy strażnik. Symboliczne przejście od beczki po kisznej kapuście

w wilgotnej piwnicy, w której bohater bawił się „pulokiem”, do jednego z najwyższych budynków Raciborza pozwala Utopkowi na oglądanie życia (dosłownie i w przenośni) z odmiennych perspektyw. Nie przekadza mu to w skupieniu się na własnych sprawach, z których najważniejszą staje się kwestia napisania testamentu. Szybko okazuje się, że powzięty przez bohatera zamiar oddala się ze względu na przypadkowe spotkanie Swiełtany, której obecność wywraca jego plany. Młoda kobieta, która niespodziewanie pojawia się w ważnym dla niego miejscu, jakim jest pomnik Eichendorffa, nie tylko dezorganizuje mu życie, ale jawi się jako jeszcze jedna, prawdopodobnie ostatnia szansa na przeżycie czegoś osobliwego. Utopek czuje się zobowiązany nie tylko towarzyszyć jej w przygodach, ale chce (być może nieświadomie, aby udało mu się zdążyć przed śmiercią) opowiedzieć jej możliwie szczegółowo o wszystkim, co znajduje się w zasięgu ich wzroku oraz w jego pamięci.

Zakorzeniony w powieściowym „teraz” bohater stale spogląda w przeszłość, choć właściwie to przeszłość przypomina mu o sobie na każdym kroku. Sędziwy Utopek nie potrafi widzieć, słyszeć i czuć inaczej niż wielopłaszczyznowo, głęboko, docierając do złożoności i zapomnianych znaczeń miejsca, w którym przyszło mu być. Wszelkie kształty i obrazy ogląda poprzez pryzmat ich makro- i mikrohistorii, zagłębiając się w byt każdej istoty, miejsca i rzeczy. Wyraźniej widzi złożoność miejsca, w którym żyje – naznaczonego przez wielką historię i dwa totalitaryzmy, gdzie wciąż jeszcze zobaczyć można przebijające spod zmurszałej farby swastyki i rosyjskojęzyczne napisy. Przedstawia też losy jednostek, w tym swoje własne, które składają się na tkankę złożonego organizmu, jakim jawi się w powieści Libery Górny Śląsk.

Uogólnienie własnych doświadczeń pozwala Utopkowi słyszeć dobiegające z różnych stron, wydawałoby się odległe, wybu-

chy bomb jądrowych. Uniwersalizm, będący konsekwencją gorzkiego doświadczenia historii na własnej skórze, prowadzi bohatera do stwierdzenia, że niezależnie od czasów „historią” jest niezmiennie walka człowieka przeciwko innemu człowiekowi. Życiowe doświadczenie, sięganie pamięcią do czasów, kiedy „w skrzynce siedział on, Führer” (*Utopka*, s. 10), pozwalają Molendzie na dostrzeganie znanych mu z przeszłości mechanizmów w jego własnym otoczeniu. Często przedstawia szczegółowo, z encyklopedyczną precyzją to, co wydaje mu się istotne. Pewien swej pamięci nie dostrzega drobnych nieścisłości, jednak nie zniekształca to jego opowieści, a zdaje się ją ubarwiać, dodając jej blasku i charakteru.

Czytelnik przyzwyczajony przez Libery w dwóch poprzednich tomach trylogii do odbioru klarownych scen, z intensywnie zarysowanymi konturami, nie zawiedzie się na jej ostatniej części. Mocne, pozostawiające w odbiorcy trwałe piętno obrazy, rozpostarte na kartach powieści przez pisarza, konstytuują się, co prawda nie za pomocą farb i pędzla, ale dzięki tkance słownej, która od publikacji powieści *Utopka* stała się jego znakiem rozpoznawczym. Bycie dobrym pisarzem wymaga, jak sądzę, posiadania tych cech twórczych, które pochodzą z innych dziedzin sztuki i łączą się ze sobą w wewnętrznym, bardzo intymnym konglomeracie recepcyjno-estetycznym, jakim jest wrażliwość. Autor *Utopka* jest nie tylko pisarzem, ale także (w przenośnym sensie) malarzem, rzeźbiarzem, kompozytorem – z każdej z tych dziedzin sztuki wybiera dla konstruowanej narracji zestaw cech najlepiej oddających pełnię tworzącego się na kartach książki świata.

Istota literackości tekstu Libery leży w szeroko rozumianej transgresji. Dobór środków wyrazu artystycznego może początkowo zaskakiwać, jednak najszlachetniej wyraża się w żywej tkance języka, która staje się obok tytułowego *Utopka* (czy też *Buksa Molendy*)

osobnym bohaterem. To w języku wyraża się literacki kunszt Libery. Niczym soczewka skupia on w sobie te cechy, które składają się na jego nieoczywistość, brawurowość i oryginalność. Zapoczątkowana przed wielu laty niezwyklej narracja nadal wytrzymuje ciężar językowych prób. Warto przypomnieć, że oryginalnie tekst został napisany w języku niemieckim, ale tłumaczenie Sławy Lisieckiej wspaniale oddaje zamysł językowej transgresji i nowatorstwa, łączenia w sobie przeciwieństw i gier słownych. Trylogia Libery, którą należy przede wszystkim czytać w oryginale, wymaga od czytelnika niebędącego rodzimym użytkownikiem niemieckiego wzniesienia się ponad reguły gramatyki, leksyki i logiki. Autor rzuca go na głębokie morze językowych zabaw, wyśmiewając akademickie, uładzone podejście do tego, aby „mówić i pisać ładnie”. Mając możliwość czytania tekstu w oryginale, czułem podczas lektury, jak nieograniczone zdolności tkwią w niemieczyźnie, jak bogate i niezmierzone daje ona możliwości twórcze. Schematyzm, który tak często dopada zarówno twórców, jak i odbiorców, można z powodzeniem przełamać już na płaszczyźnie samego języka, a jeżeli dołożyć do tego niezwykłą i oryginalną historię, łechcącą nasze szare komórki, mamy do czynienia z dziełem absolutnie brawurowym.

Swoją drogą, lektura *Testamentu Utopka*, która w moim przypadku rozpoczęła się od czytania oryginalnej wersji niemieckojęzycznej, później zaś tłumaczenia Sławy Lisieckiej, była również sprawdzianem mego własnego warsztatu językowego. Ta lektura mnie zauroczyła oraz zmieniła mój pogląd na możliwości twórcze języka niemieckiego. Libera, którego naturalnym środowiskiem jest dyskurs naukowy (jest wybitnym znawcą romantyzmu oraz tropicielem romantycznych paradoksów, kłamstw i nieścisłości), nie mówi do nas w powieści *ex cathedra*, nie grozi nam palcem z powodu naszej niewiedzy, tylko z cierpliwością tłumaczy nam – krok po

kroku – niezwykle przygody Utopka i osób z jego otoczenia.

Bieg historii sprawił, że autor mógł w dzieciństwie zasmakować śląskiego dialektu, jednak już zupełnie świadomie przeobraża zacerpnięte z własnej wrażliwości wspomnienia (szczególnie te związane z językiem), przekuwając je w oryginalny język powieści. Poszczególne jego części przypominają drobno uprzedzone nici, które mieszając się z innymi „nićmi”, tworzą płataninę językowej tkaniny powieści. Wyobrażając sobie mocno nakreślone obrazy, które ożywają dzięki zestawowi dźwięków, zapachów i barw, czytelnik ma wrażenie, że jest świadkiem rozgrywającej się przed jego oczami akcji. I choć podczas lektury nie raz ma się wrażenie, że jest się intruzem i podglądaczem (narrator wprost określa swój stosunek do czytelnika, który jest mu „niepotrzebny”), to właśnie taka perspektywa pozwala niekiedy otrząsnąć się i wyjrzeć poza wciągającą czytającego świat lektury.

Testament Utopka jest jedną z tych książek, z którymi trudno się rozstać. Podobnie jak rozbijająca się po Górnym Śląsku Swietłana – Utopkowe obrazy, sekwencje, zapachy, smaki i dźwięki łomczą w umyśle czytelnika jeszcze długo po odłożeniu książki na półkę. Trylogia Leszka Libery jest niezaprzeczalnie jednym z najważniejszych wydarzeń literackich ostatnich lat. Trzeba ją koniecznie przeczytać.

Maciej F. Kubiak

Leszek Libera, *Testament Utopka*, przełożyła Sława Lisiecka, Wydawnictwo OD DO, Łódź 2020.

Joanna Sarnecka

CZUŁY NARRATOR W PODRÓŻY DO CZYTELNIKA

Człowiek, proszę państwa, moi drodzy, ma duszę, ciało i narratora.
Olga Tokarczuk

Czy zdarzyło wam się kiedyś, na przykład letnią nocą, pod rozgwieżdżonym niebem, albo w innych, równie poruszających okolicznościach przyrody, zadumać nad tym, jak skonstruowany jest świat? Co kryje się tam, gdzie nie dociera ludzkie oko? Gdzie nie dopłynęły jeszcze statki naszych Kolumbów? Jakie są tajemnicze połączenia między elementami kosmosu, na czym polega jego ukryty porządek, który dane jest nam czasami przeczuć. Wydaje się, że książka Olgi Tokarczuk *Czuły narrator* wychodzi właśnie od tego doświadczenia zachwytu i zdumienia oraz od chwilowego wglądu, który odlatnia przed nami rąbek wielkiej tajemnicy, ukazując zarazem naszą znikomość i nadając właściwe proporcje ludzkim zmaganiom, w tym zmaganiom pisarskim.

To dziecinne i może naiwne zadumanie zbywane jest zwykle drwiącym uśmiechem przez tych, którzy uwierzyli, że w życiu liczy się tylko skuteczność, sukces i zysk. Świat, w którym żyjemy, nie sprzyja takim namysłom. Czytając książkę Tokarczuk, możemy znów na chwilę doświadczyć tamtego dreszczu, niepokoju spod rozgwieżdżonego nieba. Przypomnieć sobie dawne, bo zwykle towarzyszące nam w dzieciństwie, intuicje. Samo to stanowi już jej wielki walor. Tworzy wyłom w codzienności, otwiera czytelnikom intymną i bezpieczną przestrzeń do przeżywania, odczuwania i przemyśleń, zagaduje nas, biegnących z punktu do punktu, odhażających kolejne zadania w premiującej pro-

duktywność codzienności XXI wieku, stawia pytania o sprawy zasadnicze, choć doskonale niepraktyczne. Czy nie na tym właśnie polega wszelka sztuka, w tym literatura? Tak przynajmniej autorka wydaje się rozumieć jej miejsce i zadanie.

Gdzie jesteś czytelniku?

Czuły narrator to zbiór wykładów i esejów Olgi Tokarczuk. Całość wieńczy jej mowa noblowska, która spaja i syntetyzuje rozproszone w innych tekstach tematy, myśli i konstatacje. Przede wszystkim autorka dzieli się z czytelnikami doświadczeniem twórczym. To wyjątkowa przygoda móc usłyszeć o kulisach jej pracy, bliżej poznać zmagania i ścieżki dochodzenia do tak przecież znakomych efektów. I nie są to bynajmniej kulisy obyczajowe. To uczciwa i szczerza opowieść, rodzaj zwierzenia. Oto w pisaniu jest coś, co przekracza nas samych, co wymyka się prostej analizie. Sprawczość w pisaniu też jest nieoczywista. Kto pisze? Kto domaga się głosu? Jak autor odnajduje drogę do tych wewnętrznych (a może zewnętrznych) nawoływań. Okazuje się, że pisarskie doświadczenie Tokarczuk jest doskonale spójne z jej twórczością. Doświadczamy tych samych psychologicznych i metafizycznych zjawisk, konfrontujemy się z człowiekiem, który nie jest panem świata, ale orientuje się, że stanowi zaledwie punkt w kosmosie.

Książka daje nam zatem możliwość przyrzenia się subiektywnemu i osobnemu światu autorki i jej wrażliwości. W orbicie jej zainteresowań leży czytelnik. Pamiętamy z mowy noblowskiej, że snuta opowieść pokonuje ku niemu przestrzeń i czas. Szuka go w tu i teraz, ale także w przyszłości. To bardzo ujmujący, niemal biblijny obraz, sam w sobie pełen czułości.

Tokarczuk, diagnozując w książce sytuację świata, w którym przyszło nam żyć, rozważa także problemy, z jakimi mierzy się współczesny czytelnik. Chce go poznać, jego uwarunkowania, kontekst spotkania z utwo-

rem. Wiemy ze statystyk, że poziom czytelnictwa spada, żyjemy w świecie, „w którym książka stała się towarem takim samym jak puszki czy skarpetki” (s. 122). Sam proces odczytywania, trudny i wymagający, porzucany dziś bywa dla łatwiejszej „lektury” seriali wypierających powoli literaturę, szczególnie tę popularną. Współczesny czytelnik doświadcza także specyficznych problemów w kontakcie z fikcją. Świat symboli, metafor, wymagający wyruszenia w wewnętrzną podróż w poszukiwaniu sensów, staje się mu coraz bardziej obcy, *nomen omen*, nieczytelny.

O kryzysie wyobraźni świadczyć może popularność literatury *non fiction*, ale też redukcjonistyczne odczytywanie książek przez pryzmat choćby biografii autora. Wszystko to wiąże się także ze sposobem, w jaki dziś poznajemy świat. Prymat naukowego światopoglądu, analizy nad syntezą, domagania się prawdy rozumianej jako zbiór zamkniętych i poznawalnych faktów, ogranicza naszą percepcję i dostęp do subiektywnej, wewnętrznej rzeczywistości. W zamian proponuje nam się erzac w postaci pseudonauki czy pseudoterapii. Kryzys wielkich opowieści sprawił, że zostaliśmy sami, w rozbitym na kawałki świecie, który w dodatku nieustannie się komplikuje.

Uniwersalia

Próbą odpowiedzi na kryzys wielkich narracji i zagubienie współczesnego czytelnika jest wykreowanie nowego, czwartoosobowego, narratora, którego przykładem jest Jenta z *Ksiąg Jakubowych*. Spojrzenie z odalenia, spoza tu i teraz, może pozwolić nam na przyjęcie innej perspektywy siebie, otaczającego nas świata i jego problemów. Pozwoli w nowy sposób szukać odpowiedzi na pytanie: kim jesteśmy? Z takim rodzajem odalenia mieliśmy w pewnym sensie już także do czynienia w powieści *Bieguni*. Przyzwyczajeni do realizmu, linearnego przebiegu historii z punktu a do z, mogliśmy czuć się

zawiedzeni urwanymi fabułami, które ledwie nas zaangażowały w swoją wewnętrzną logikę, już porzucały osamotnionych i dalekich od zrozumienia. Jeśli jednak na te wszystkie podróże życiowe, o których czytamy na kartach tej książki, popatrzeć z szerszej perspektywy, zobaczymy w postaciach konstelacje gwiazd, układy planet, fraktalne powiązania odległych, ale zarazem zbliżonych światów.

Słowem, ten zewnętrzny narrator włącza nas w nową, kosmiczną opowieść, która będzie w stanie odsłonić przed nami wewnętrzną mechanikę świata. Z przyjęcia nowej perspektywy wynika także zmiana poznawczych paradygmatów. Obowiązująca dotychczas dychotomia – „szkiełko i oko” *contra* „czucie i wiara”, poszerzona zostaje o wgląd – to charakterystyczne i specyficzne dla pracy twórczej całościowe doświadczenie poznawcze, albo inaczej ognozę: „narracyjnie zorientowany, ultrasyntetyczny proces poznawczy, który odzwierciedlając przedmioty, sytuacje i zjawiska, próbuje uporządkować je w wyższy współzależny sens” (s. 28).

Heteronomie i posthumanizm

Tokarczuk nie odżegnuje się od pewnego rodzaju mistycyzmu, czyli przyjęcia, że istnieje coś więcej niż to, co dane jest nam w bezpośrednim poznaniu, że są obszary rzeczywistości przekraczające nas i nam niedostępne, i że istotna do zrozumienia świata jest perspektywa uwzględniająca ten naddatek wobec doświadczanej codzienności. Takie nowe, niebanalne otwarcie na nieznaną, z pewnością wynikające z bliskich autorce nurtów myśli psychologicznej, w tym Jungowskiej, pobudza wyobraźnię współczesnego czytelnika, znudzonego i sparaliżowanego bliskością przeżywaną apokalipsy. Wszak o katastrofie klimatycznej mówi się właśnie, że stanowi efekt kryzysu wyobraźni, który w literaturze znajdował odzwierciedlenie w skrajnym realizmie, w ograniczeniu zakresu czasowego tworzonych fabuł, w koń-

cu, we wspomnianej popularności literatury *non fiction*.

Wobec tego psychologiczno-kulturowego klinicu Tokarczuk proponuje perspektywę posthumanistyczną, włączającą człowieka w kontekst środowiska, ukazującą bliskie relacje i analogie ze światem innych, nie-ludzkich istnień, wspólnotę, którą powinniśmy tworzyć, by wyjść z opresji. „Jesteśmy już nie tyle biontem, ile holobiontem, czyli zespołem różnych organizmów żyjących ze sobą w symbiozie. Złożenie, wielość, różnorodność, wzajemne oddziaływanie, metasymbioza – to nowe perspektywy, z których oglądamy świat – pisze autorka. I dodaje: – Sądzę, że grzechem, za który zostaliśmy wygnani z raju, nie były ani seks, ani nieposłuszeństwo, ani nawet poznanie boskich tajemnic, lecz właśnie uznanie siebie za coś oddzielnego od reszty świata, pojedynczego i monolitycznego. Odmówiliśmy uczestniczenia w relacjach” (s. 16).

Patrząc na świat jako na relacyjną całość, dochodzimy do ważnego dla Tokarczuk pojęcia *continuum*. Życie przybiera różne formy, ale w istocie jest tym samym, podobnie pleć to ciąg możliwości, form ekspresji i doświadczeń, nieskończona ilość możliwości, a nie redukująca sferę naszych doświadczeń dychotomia męskiego i żeńskiego.

Eks-centrycznie

Przyjęcie do wiadomości, że nie jesteśmy kimś wyjątkowym, ale tworzymy się cioè relacji z całym światem, ba, sami także składamy się z innych istot, na przykład bakterii (a więc po trosze nimi jesteśmy), pozwala na wolny od oceny, syntetyzujący ogląd rzeczywistości. Podobnie jak z wiedzą o tym, że Ziemia nie jest centrum świata, tak i ta zmiana perspektywy stanowi rewolucję w naszym myśleniu. Ujawnia naszą eks-centryczność, prowincjonalność, która odtąd nie musi już walczyć o prymat i słuszność, ale włącza się w wielość, w *continuum* opowieści. „Eks-centrum” to także inicjatywa Olgi To-

karczuk i jej Fundacji, to próba przywrócenia głosu innym, także nie-ludzkiem osobom z ich unikatowymi doświadczeniami. Ekscentryczność – będąca przedmiotem drwin – jest przecież cechą artystów, zdolnych spojrzeć na świat inaczej, z nowej, dotychczas nieznannej perspektywy.

W *Czującym narratorze* autorka wszystkich nas: słuchaczy jej wykładów, czytelników, obecnych i przyszłych, zaprasza do porzucenia oczywistych szlaków i udania się poza centrum, na obrzeża, prowincje, tam, gdzie wydawało się, że nic nie ma. Nasza podróż ma być doświadczeniem, a nie turystyką. Nowa perspektywa wiąże się z bliskością i empatią względem innych. To wymusza na nas nie tylko intelektualną transformację, ale także przeorganizowuje nasze działanie, ingeruje w codzienne wybory. „Nie chcę już być turystką w biednych krajach globalnego Południa, bo bezradnie przyglądam się biedzie ludzi i cierpieniu zwierząt stało się dla mnie nie do zniesienia” (s. 39), „Nasze i poprzednie pokolenia trenowały się w mówieniu światu: TAK, TAK, TAK. [...] Teraz u naszego boku pojawia się generacja, która rozumie, że najbardziej ludzkim i etycznym wyborem w tej nowej sytuacji jest trening w mówieniu: NIE, NIE, NIE” (s. 14).

Owoce pandemii

„Tę książkę w jakimś sensie zawdzięczam pandemii” (s. 292) – stwierdza w posłowie autorka. Czasoprzestrzeń *lockdownu* stała się dla wielu z nas chwilą zatrzymania i refleksji. Ale pandemię czytać można także jako doświadczenie schyłkowego antropocenu, o którym Tokarczuk wspomina na kartach swojej książki, wyrażając nadzieję, że owa trudna, kryzysowa sytuacja stanie się dla nas szansą na zmianę. „Rezultatów pandemii jest w końcu wiele i są one bardzo różnorodne – konstatuje. – Najważniejszym jednak wydaje się złamanie głęboko uwewnętrznionej narracji, że kontrolujemy świat i jesteśmy panami stworzenia” (s. 23).

Otoczająca nas rzeczywistość zmienia się więc na naszych oczach. Rozwijają się technologie i pączkuje związana z nimi infosfera, a także jej patologie, konsumpcja napędzana jest już nie tylko przez ludzi, ale także algorytmy, migrujemy między różnymi przestrzeniami: geometryczną, rozszerzoną, to znów wirtualną. Wszystko to – jak przypomina autorka *Czulego narratora* – nie zmieniło w nas wielkiej tęsknoty do opowieści. Tokarczuk przywołuje w książce koncepcję niemieckiego filozofa Hansa Vaihingera z jego pracy zatytułowanej *Filozofia „jak gdyby”* (*Die Philosophie des Als Ob*), w której stwierdza „że ludzie kierują się fikcyjnymi ideami, które nie mają swojego odpowiednika w rzeczywistości, ale są potrzebne. Ich zadaniem jest pomaganie człowiekowi w skuteczniejszym radzeniu sobie z nieogarnioną rzeczywistością” (s. 246–247). Owa głęboka i podstawowa wiara w opowieści czyni nas bezbronnymi wobec nadużyć czy manipulacji – to realne zagrożenia, ale są potrzebne. Ich zadaniem jest życie po wielokroć, zanurzając się w literackie fikcje, dając się prowadzić pochodzącym spomiędzy światów narratorom, którzy wiedzą i widzą więcej, udzielają nam na chwilę tej swojej perspektywy, poszerzając horyzont naszych codziennych doświadczeń.

Czytając *Czulego narratora*, przypominamy sobie, że książki i czytanie to nie rozrywka ani dobry sposób na wolne chwile, ale istotna droga poznania, wyjątkowa, niepewna i przekraczająca to, co racjonalne. W ponurych czasach antropocenu, wobec zagrażającej nam katastrofy klimatycznej, podobnie jak sztuka w ogóle, pobudza wyobraźnię i zaprasza w podróż ku nowym możliwościom, innym, ekscentrycznym, prowincjonalnym i dotąd nieuczęszczanym ścieżkom w przyszłość.

Joanna Sarnecka

Olga Tokarczuk, *Czuley narrator*,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Ewelina Radion

AKSJOLOGIA HISTORII
I LITERATURY

Można odnieść wrażenie, że elementem spajającym zbiór artykułów i recenzji składających się na ósmą autorską książkę Gustawa Ostasza, zatytułowaną *Mowa dziejów, mądrość poezji. Szkice* – są wyznaczniki poezji czystej, której badacz poświęcił książkę wcześniejszą (*Śladami poezji czystej*, 2017). Wówczas, przedstawiając genealogię i meandry istnienia poezji czystej, dowiódł między innymi, iż jej wyznacznikami są, według Henri Brémonda, znaki kultury śródziemnomorskiej, zwłaszcza rozwijające się w epoce romantyzmu, oraz wskazane przez Jana Lechonia zależności między poezją a muzyką i problematyką moralną, czyniące poezję czystą zjawiskiem estetycznym i etycznym. W najnowszej książce wyznaczniki te nobilitują i ułatwiają zrozumienie zarówno „mowy dziejów”, czyli wybieranych prawd, które następnie weryfikuje praktyka naszej codzienności, jak i „mądrości poezji”, stojącej po stronie takich wartości jak prawda, dobro, piękno oraz pamięć, tożsamość i polskość, która rozumiana jest jako to wszystko, „co zwykło się uznawać za idealne wyróżniki polskości” (s. 9).

W szkicu *Lekcja ciemności, która wraca echem żywym* (będącym recenzją książki *Reytan. Upadek Polski* Jarosława Marka Rymkiewicza), Ostasz wskazuje że „wytrwale poznawanie minionych dziejów pomaga [...] odkrywać zaczyn prawdy o współczesności. Tej prawdy, która nie jest wolna od semantyki przestrogi, implikuje odpowiedzialność za dobro wspólne, za przyszłość narodową” (s. 20). Również w książce *Polskość Chopina* Bohdana Pocięja dostrzega

zarysowane dwa plany czasowe – przeszłość i teraźniejszość – ułatwiające muzykologowi odkrywanie tych szczególnych cech polskości, którymi są – zawarte w muzyce chopinowskiej – elementy polskiej duchowości i wyobraźni narodowej złączone z dramatyczną historią narodu i dziełami wielkich romantyków Mickiewicza i Słowackiego.

Natomiast osadzona w rzeczywistości pozaliterackiej powieść-dokument *Droga do nikąd* Józefa Mackiewicza – rozgrywająca się w latach 1940–1941 – odzwierciedla poszukiwania „prawdy faktów, prawdy idealnej, para-religijnej, moralnej” (s. 41). A ponieważ ukazuje sąd karykaturalny, który „za nic ma prawo wolności człowieka i prawo rzymskie”, a „imputowaną winę oskarżonych – brak zgody na sowietyzację – i sentencję wyroku orzekającą funkcjonariusze NKWD” – ta powieść to „spektakl nasycony groteską, dramatem absurdu” (s. 42). Podobnie wiersz *Na proces moskiewski* Kazimierza Wierzyńskiego – jako dokument zdarzeń prawdziwych, rozrywających się w dniach 18–21 czerwca 1945 r. – dotyczy, wskazuje badacz, teatru-sądu, na którym toczy się pokazowy proces szesnastu najwyższych reprezentantów Polski podziemnej. Fakty te nie tylko skłaniają poetę do apoteozowania cierpienia w imię wartości wyższych, ale również do zaznaczenia, że sygnalizowane w wierszu wydarzenia są „jedną spośród wielu rzeczywistych scen z zakresu tragedii narodowej”, będących ciągiem dalszym „naszego, zadawnionego sporu z Rosją. Sporów nie tyle mentalnego, co tyżącego się aksjologii, dokumentowanej przez zdarzenia historii” (s. 61).

Prawdę historyczną utrwala również Wojciech Jerzy Podgórski, autor kolejnej publikacji omawianej przez Ostasza – *Emigracja walczących. Wokół polsko-szkocko-angielskich powiązań kulturalnych wojennych i powojennych*. W oparciu o bogaty materiał źródłowy Podgórski buduje opowieść o „faktach i ludziach nieobecnych ciągle w świadomości krajowej, jak gdyby już skazanych na ka-

sację” (s. 62), a tym samym utrwala życie polskiej emigracji niepodległościowej. Natomiast ks. Józef Mandziuk – w książce *Rosja i Rosjanie w XX stuleciu w świetle objawień fatimskich* – przekonuje, że poznanie prawdy może mieć wartość ocalającą. Stąd też rzeczywistość imperium carów, bolszewików i Rosji XX w. konfrontuje z duchowo-teologiczną semantyką Fatimy.

W części drugiej książki Ostasz przybliża twórczość liryczną pięciu autorów związanych z południowo-wschodnią Polską. Wybierając do swoich analiz twórczość poetów mniej znanych, wskazuje przede wszystkim na zawarte w tekstach pokłady wartości nieprzeceńionych. Z jednej strony na znaki kultury judeochrześcijańskiej, urodę Ziemi Świętej i słonecznej Italii, piękno dzieł sztuki, a z drugiej – na wartość wędrowek do symbolicznej Itaki, czy „krajobrazów pamięci”. W ten sposób nobilituje piśmiennictwo Cherubina Pająka (*Poeta bernardyn Cherubin (Julian) Pająk*), Mieczysława A. Łypa (*Spotkania z twórczością Mieczysława A. Łypa*), Rudolfa Tadeusza Czernika (*Pisarstwo z potrzeby serca*), Anny Oliwińskiej-Wacko (*Poezja „wszędzie na wyciągnięcie ręki”*), Andrzeja Szypuły (*Muzyka między niebem a ziemią. Znak harmonii bytu*). A tym samym udowadnia – na przykładzie tekstów autorów, piszących w drugiej połowie XX wieku i na przełomie stuleci XX i XXI – że potrzeba szukania prawdy, zachwyt nad pięknem i dostrzeganie zależności między przeszłością a czasem obecnym, nie zostało anulowane i wciąż obowiązuje.

Funkcję podsumowania pełni rozdział ostatni: *Apologia kulturowych fundamentów edukacji*, który można traktować jako uzasadnienie podjętych wątków. W *Uwagach wstępnych* autor wskazał, że zamieszczone w książce szkice łączą „władza natury duchowej, które przynależą do dziedziny aksjologii” (s. 9). A w zakończeniu niejako wyjaśnił, że wybór ten wynika z zadań stawianych polonistom (historykom literatury), którzy

zobligowani są do „przekazu ludziom młodym duchowych imponderabilii” (s. 132).

Gustaw Ostasz, profesor, literaturoznawca, wychowawca wielu pokoleń polonistów kształconych w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie, a później – Uniwersytecie Rzeszowskim, wyznał, że podstawą jego metod dydaktycznych były zawsze wartości wyższe, które dochodzą do głosu w dziedzictwie kultury śródziemnomorskiej. W tradycji, którą autor obdarzył „niezmienioną estymą”, ponieważ i jego samego formowała „duchowo i nadal formuje wedle sztanc w niej zakodowanych. Sztanc na pozór już nieaktualnych, a pożądanym zawsze i wszędzie” (s. 133–134).

Gustaw Ostasz, *Mowa dziejów, mądrość poezji. Szkice*, Wydaw. Oświatowe Fosze, Rzeszów 2020.

Kazimierz Maciąg

NA POGRANICZU NARODÓW I KULTUR

„Proponujemy Państwu lekturę antologii, w której zgromadziliśmy pionierskie wypowiedzi wybitnych polskich, europejskich i amerykańskich humanistów skoncentrowane wokół kwestii pogranicza kulturowego w jej najważniejszych aspektach” – tak zapowiada redaktor tomu Bogusław Wróblewski zawartość książki *Na pograniczu narodów i kultur*.

Spektrum tematów podejmowanych w tym dziele jest bardzo rozległe: od tematyki związanej z obecnością mniejszości narodowych na ziemiach polskich, poprzez spojrzenie na Polaków jako mniejszość na kresach, po świadectwa obecności Polonii w Stanach Zjednoczonych – łącznie jest to niemal pięćdziesiąt tekstów zamieszczonych w ponad-

pięciusetstronicowej publikacji. Dotyczą one relacji między narodami Europy Środkowo-Wschodniej, tymi, które „wybiły się” na własną państwowość, ale także Tatarów i Romów. Przynajmniej kilka z prac zawartych w książce bezpośrednio dotyczy Lublina oraz Lubelszczyzny; m.in. bardzo interesujący *Wergiliusz pod Somosierrą. Niezwykły świat lubelskich nekropolii* Łukasza Marcińczaka – literacki spacer po cmentarzach miasta, w poszukiwaniu ciekawych biografii pochowanych tam mieszkańców. Cmentarzach – a właściwie pewnym szczególnym cmentarzu przy ulicy Lipowej: „Jednym z najbardziej niezwykłych w tym rejonie świata. Ściśle rzecz biorąc, składał się z trzech oddzielonych od siebie niskimi murkami części: prawosławnej, protestanckiej i katolickiej. Z czasem pojawiło się zjawisko ciekawe – otóż małżeństwa mieszane przyjęło się grzebać na samej granicy oddzielonych cmentarzy. Rozbierano w tym celu fragment muru, a puste miejsce zajmował pomnik, jedną swoją częścią położony po stronie katolickiej, a drugą po stronie protestanckiej lub prawosławnej. Cmentarz w Lublinie, gdzie splatały się nici całego świata, jest taki, jaki być powinien”.

Duży blok tekstów wiąże się z obecnością kultury żydowskiej na ziemiach polskich. Znajdziemy tu m.in. rozprawę Moniki Adamezyk-Garbowskiej *Polska w oczach Singerów* (Isaaca Bashevisa i jego rodzeństwa: siostry Hinde Ester Kreitman i brata Izraela Jehoszui) oraz *Tańce i obrzędy żydowskie* Jacka Łumińskiego. Autor tej ostatniej pracy szczegółowo analizuje rolę tańca w tej kulturze; towarzyszył on wyznawcom judaizmu (zwłaszcza chasydom) podczas licznych świąt religijnych oraz w trakcie obrzędów ślubnych.

Kilka szkiców dotyczy współczesnych relacji między narodami tworzącymi niegdyś Wielkie Księstwo Litewskie. Tomasz Venclowa w *Litwinach i Polakach* przedstawia problemy, które ujawniły się w czasie Jesieni Ludów 1989 roku, gdy rozpadało się sowiec-

kie imperium, a na jego gruzach powstawała m.in. niepodległa Litwa: „Prasa emigracyjna pełna jest listów z Litwy ze skargami, że »Polacy podnieśli na Litwie głowy i żądają jakichś praw«. Demokracja jest właśnie po to, żeby wszyscy unosili głowy i żądali praw. Do tego trzeba się przyzwyczaić i nauczyć się z tym żyć. Inaczej będziemy mieli nie demokrację, a mniej więcej to samo, co już widzieliśmy, tylko na odwrót”. W tej części książki warto także zauważyć rozprawę Wacława Makarskiego *Polacy i język polski na Litwie* – pracę nie tylko lingwistyczną, ale także ukazującą historyczne przyczyny obecności polskiej mniejszości (a właściwie – większości) na Wileńszczyźnie.

O ciekawym aspekcie białoruskiego renesansu narodowościowego z początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku pisze Karolina Przesmycka (*Dziady nad Rzeczpospolitą*); w kręgach inteligencji tworzącego się wtedy państwa pojawił się wtedy pomysł powrotu (niejako śladami międzywojennych „krajowców” z kręgu ówczesnego wileńskiego „Słowa”) – do idei Wielkiego Księstwa Litewskiego – struktury państwowej i narodowościowej. Twórcy tej idei uznawali, że „białoruskość” jest skompromitowana w czasach sowieckich i należy zamiast niej zaproponować „litewskość” (inną jednak niż Litwa etnograficzna) – co ciekawe, w nurcie tym obecna była także wizja zawarcia sojuszu geopolitycznego z Polską, wyraźnie nawiązująca do tradycji Rzeczpospolitej Obojga Narodów.

Mykoła Riabczuk w szkicu *Polska, Ukraina, Europa – między wyobraźnią a rzeczywistością* przedstawia współczesne realia relacji polsko-ukraińskich, zarówno na poziomie relacji międzypaństwowych, jak i w aspekcie kontaktów przedstawicieli obydwu narodów. Związki te zostały, nieco żartobliwie, przedstawione przy pomocy analogii Robinson (Polska) – Piętaszek (Ukraina). W podsumowaniu swojego wywodu autor proponuje: „warto [...] kontynuować cywilizowanie Piętaszka – mimo problematyczności i po-

wołności procesu, braku jasnych perspektyw i zniechęcających głosów sceptyków. Przez ostatnie dwadzieścia dwa lata (szkic jest po raz pierwszy publikowany w 2016 roku) udało się jednak coś niecoś osiągnąć – choćby nawet i niewiele, to i tak wystarczająco dużo, by nie porzucać rozpoczętego projektu”.

Kilka szkiców zamieszczonych w książce dotyczy pisarzy tworzących na literackim i kulturowym pograniczu (Günter Grass i Bruno Schulz). Jerzy Świąch przedstawia galicyjskie aspekty twórczości autora *Sklepowów cynamonowych* – jego świat poetycki „spełnia warunki prowincji, wszystkich prowincji, ale ta [galicyjska – K.M.] rysuje się jako wyraziście oznaczona i okouturowana, odgradzona przez swój szczególny status od każdej innej”.

Kilka prac zamieszczonych w książce dotyczy refleksji nad teoretycznymi aspektami omawianych relacji. Do tego bloku prac należą teksty Janusza Golca *Europa czy pół-Azja? Granice kultury według Karla Emila Franzosa*, prace trzech autorów Tadeusza Szkołuta, Zbigniewa Zaporowskiego i Janusza Wrony pod wspólnym tytułem *Europa i Polska według Normana Daviesa, Dariusza Skórczewskiego Perspektywa postkolonialna w studiach na temat Europy Środkowo-Wschodniej* oraz Ryszarda Kapuścińskiego *Uwagi o globalizacji*.

Tom *Na pograniczu narodów i kultur* uzupełniają bloki wierszy, m.in. Wacława

Oszajcy, Aleksandra Jurewicza, Waldemara Michalskiego, Władimira Wysockiego, Wacława Iwaniuka, Stanisława Barańczaka oraz węgierskiego poety, dyplomaty, historyka i tłumacza literatury polskiej Istvána Kovácsa – autora *Miast polskich węgierskim okiem*, poetyckiej wędrówki śladami historii i kultury szczególnie bliskiej pisarzowi:

*Najpiękniejszy kościół widziałem w Jarosławiu –
to bazylika Matki Boskiej Bolesnej
Wszystko wokół mieni się srebrem, gdy wrzucam
[monety wspomnień
do cudownego źródła w ogrodzie.
Ale często myślę również
o innym miejscowym kościele.
Zaborcy zniszczyli go po prawdziwym
[i historycznym trzęsieniu ziemi.
Nadaremnie go bronił świętym Mikołaj, jego patron.
Niebawem minie dwieście lat.
O miejscu, gdzie stał, przypomina jego brak;
pogrzebane bez śladu krypty.*

Tematyka relacji na pograniczach kultur i narodów jest dość często podejmowana we współczesnej refleksji humanistycznej. Na tym tle omawiany tom wyróżnia się z pewnością wszechstronnością i wieloaspektowością spojrzenia na podejmowane kwestie.

Kazimierz Maciąg

Na pograniczu narodów i kultur, wybór i opracowanie Bogusław Wróblewski i Łukasz Janicki, Czytelnik, Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Warszawa – Lublin 2020.

KRONIKA

MOJE SPOTKANIA Z ADAMEM ZAGAJEWSKIM*

Bardzo luźną znajomość z Adamem Zagajewskim, trwającą trzy dekady, podzieliłbym na trzy etapy: kalifornijski, chicagowski i krakowski. Pierwszy to oczywiście znajomość poprzez „Zeszyty Literackie”, w których czytałem jego wiersze oraz teksty Czesława Miłosza, wielokrotnie wspominającego młodszego kolegę po piórze. Osobiście poznałem autora *Sklepów mięsnych* 29 kwietnia 1987 roku, kiedy miał spotkanie autorskie w San Francisco w The First Unitarian Church, na które przybyło ponad sześćdziesiąt osób. Gość z Europy świetnie czytał swoje wiersze po angielsku, na życzenie publiczności przeczytał także dwa wiersze po polsku i zrobił bardzo dobre wrażenie na zgromadzonych.

Stałem z boku, przyglądałem się młodym, przeważnie studentom, i byłem szczęśliwy, widząc, że poeta z Krakowa bardzo im się spodobał. Czytał ściszym głosem, można powiedzieć, że było go słabo słycać, ale ja słyszałem dobrze. Skupiony, starał się jak najlepiej wypowiadać i akcentować angielskie słowa, zdając sobie sprawę z tego, że każde źle wypowiedziane słowo, źle położony akcent może zniweczyć zrozumienie wiersza. Gdy padały pytania, uważnie patrzył na zebraną publiczność, jego czoło błyszczało w świetle fleszy, zastanawiał się, ważył słowa, zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności za nie. Robił wrażenie angielskiego dżentelmena z poczuciem humoru, rozpiętą pod szyją jasną koszulą, pełen nieufności wobec wyciągniętych rąk, ust zadających pytania. Chyba czuł się zakłopotany znajomością swojej twórczości, szczegółowymi pytaniami dotyczącymi nie tylko samej poezji, ale i sytuacji w Polsce, roli literatury w czasach komunizmu.

Spotkanie poprowadziła Victoria Nelson z San Francisco Poetry Center, a udział w nim wzięli poeta i tłumacz Miłosza, profesor Robert Hass z Uniwersytetu w Berkeley, a także dziennikarka i tłumaczka Renata Gorczyńska, którzy wspólnie przetłumaczyli wiersze Zagajewskiego, nadając tomikowi tytuł *Tremor*. Wydało je wydawnictwo Farrar, Straus and Girroux w Nowym Jorku w 1985 roku, a słowo wstępne napisał Czesław Miłosz. Tym samym namaścił Zagajewskiego na urząd swojego następcy poetyckiego. Miłosza na spotkaniu w San Franci-

* Wspomnienie o Adamie Zagajewskim jest fragmentem niepublikowanych wspomnień Adama Lizakowskiego zatytułowanych *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?*



Adam Zagajewski i N.N., Chopin Theatre, Chicago 1.10.2011 r.

sco nie było, ale powołał kapłana, czyli pośrednika pomiędzy nim a czytelnikami jego poezji. To zaszczytne powołanie to także spory obowiązek, trud kontynuowania dzieła mistrza wobec świata coraz bardziej wrogiego poezji, który nie zakończył się z chwilą śmierci Miłosza. Zagajewski miał wtedy czterdzieści lat, przez następne trzydzieści pięć lat będzie traktował swoją misję bardzo poważnie, ani na chwilę nie zapomni także o swoich mistrzu.

Po spotkaniu poszliśmy do chińskiej restauracji, aby tam przy rybie w chińskich warzywach i zupie z chińskimi pierożkami porozmawiać o życiu na emigracji i w Polsce, o poezji i pracy, która pozwalała zapłacić rachunki. Zagajewski się ożywił, angielska flegma jakby zniknęła, on sam stał się szybszy w słowach i ruchach ciała. Ciekawy był, jak nam się żyje w San Francisco, z jakich miejsc w Polsce pochodzimy, nas z kolei intereso-

sowało, jak mu się żyje w Paryżu. Gdy usłyszał, że jestem z Dzierżoniowa (czasem mówiłem, że jestem z Pieszyc, a czasem że z Dzierżoniowa), zaczął wspominać Dni Literatury w Dzierżoniowie (organizowała je w latach siedemdziesiątych XX wieku dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej, Maria Zarzycka-Chołody we współpracy z Domem Kultury „Pegaz”). Nabrałem wtedy odwagi, aby poprosić go o zabranie kilku moich wierszy do redakcji „Zeszytów Literackich”. Oczywiście nie miałem ich w torbie, bo nie zakładałem, że pójdziemy razem na kolację, ale była możliwość, żeby dostarczyć mu je do hotelu następnego dnia. Odmówił jednak, sugerując, że będzie lepiej, gdy wyślę je pocztą do Paryża.

Po kilku tygodniach wysłałem wiersze wraz z miesięcznikiem społeczno-literackim „Razem” wydawanym w San Francisco, którego byłem redaktorem naczelnym. Był to numer majowy, na okładce widniało zrobione przeze mnie zdjęcie Zagajewskiego. Na tylnej stronie okładki zamieściłem stronę tytułową jego wydanego w 1983 roku w Paryżu tomu *List. Oda do Wielości*, z dedykacją od poety dla Slavic Department w Berkeley. W czasopiśmie opublikowałem siedem jego wierszy, m.in. *Maj, Wieczór i Moi mistrzowie*. Jego poezja podobała mi się wtedy i po blisko czterdziestu latach wciąż mi się podoba. Ku mojemu zdziwieniu odpowiedź od Barbary Toruńczyk nadeszła bardzo szybko, co jest rzadkością w dzisiejszym świecie. Nietety nie była ona pomyślna, pani redaktor uzasadniła odmowę publikacji moich wierszy tym, że są zbyt emigracyjne i nie wpisują się w problematykę pisma.

Z Adamem Zagajewskim spotykałem się w 2011 roku: w San Francisco, Chicago, w Krakowie i po raz kolejny w Chicago. Pierwszego października odbyła się głośna debata na temat poezji Czesława Miłosza, w której wzięli udział poeci Charles Simic, Philip Levine oraz Adam Zagajewski. Miała miejsce w chicagowskim teatrze Zygmunta Dyrkacza, Chopin Theatre, jej moderatorem był Stephen Burt. Spotkanie odbyło się dzięki profesorowi Michałowi Pawłowi Markowskiemu, który został szefem Katedry Języka Polskiego i Literatury na Wydziale Sztuk Wyzwolonych i Nauk Ścisłych Uniwersytetu Illinois w Chicago. Jego przyjazd do Chicago było radością dla osób na co dzień związanych z polską literaturą i kulturą, dla Polonii amerykańskiej i Polaków w kraju.

Kilka dni później zaprosiłem poetę na lampkę wina do jednej z restauracji znajdującej się na ulicy Michigan Avenue, równoległej do Millennium Park, na wprost rzeźby nazywanej



Fot. A. Lizakowski

Adam Zagajewski i Charles Simic,
Chopin Theatre, Chicago 1.10.2011 r.

przez mieszkańców miasta „The Bean” (fasola), autorstwa słynnego rzeźbiarza sir Anisha Kapoora, który nazwał swoje dzieło *Cloud Gate* (*Brama chmurowa*). Na tej samej ulicy, niecałe sto metrów na południe, znajduje się Chicago Arts Institute, w którym czytają swoje wiersze najwybitniejsi poeci świata, wśród nich byli też Czesław Miłosz i Adam Zagajewski.

To nie był już ten sam Adam Zagajewski, którego poznałem w 1987 w San Francisco. Przez ćwierć wieku stał się gigantem poezji polskiej. W tym czasie spadł na niego deszcz najważniejszych zagranicznych nagród literackich. Cenił go nie tylko Czesław Miłosz, ale i rosyjski noblista Josif Brodski oraz setki wybitnych poetów na wszystkich kontynentach, omawiano jego twórczość na najważniejszych uniwersytetach świata. Był poetą poetów.

W krótkiej rozmowie emigrantów, nietrwającej chyba nawet godzinę, był stroną pytającą, a ja odpowiadającą. Nazywam ją „rozmową emigrantów”, choć pan Adam już nim wtedy nie był, powrócił do Krakowa na stałe, ale wciąż pracował jako wykładowca w USA. Po kilku pytaniach o życie w Ameryce i pracę literacką przy drugiej lampce wina wyjąłem z plecaka dwa kilogramy swoich wierszy z prośbą o napisanie wstępu do zbioru *156 listów poetyckich z Chicago do Pieszyc*, który planowałem wydać na trzydziestolecie pracy twórczej. Ku mojemu zaskoczeniu zgodził się, choć początkowo zasłaniał się brakiem czasu. Gdy jednak powiedziałem mu, że czas nie ma znaczenia, zmienił zdanie. Zajął mu to prawie pół roku. Dołączyłem przedmowę do maila, który wysłałem do Wydziału Promocji Miasta w Pieszycach prowadzącego całe przedsięwzięcie i pech chciał, że słowo wstępne gdzieś im się zapodziało.

Książka została wydana latem następnego roku. Kilka lat później, podczas wizyty w Krakowie, zadzwoniłem do pana Adama z prośbą o spotkanie, ale był zbyt zajęty, by móc się ze mną spotkać (kamień spadł mi z serca). Wskazał kawiarenkę blisko miejsca swego zamieszkania, gdzie u pana za kontuarem zostawiłem dla niego swój tomik wierszy, bez wyjaśnienia dlaczego nie ma w nim jego wstępu. Było mi bardzo wstyd, że tego nie dopilnowałem. Kilka lat po wydaniu książki dowiedziałem się od osób zaangażowanych w to przedsięwzięcie, że nazwisko Zagajewski niewiele mówiło wydawcom i zamiast jego wstępu zdecydowali się zamieścić list gratulacyjny z okazji trzydziestolecia mojej pracy twórczej podpisany przez burmistrza Pieszyc i przewodniczącą Rady Miasta...

Słowo wstępne napisane przez Adama Zagajewskiego było dla mnie dużym wyróżnieniem i sprawiło mi wielką radość, tym bardziej, że rzadko robił takie „przysługi” poetyckie. Cieszyłem się z tym bardziej, że Czesław Miłosz zawsze mówił o twórczości Zagajewskiego z dużym uznaniem, zarówno publicznie, jak i wśród znajomych. Nie jest też tajemnicą, że przez wiele lat promował jego twórczość do Literackiej Nagrody Nobla. Pamiętam, że w roku 1988 po spotkaniu poetyckim, podczas którego Miłosz wygłosił odczyt o poezji polskiej, gdy podszedłem pogratulować mu wystąpienia, ze zmartwioną miną zapytał mnie, czy mi się podobało. Nie zaskoczył mnie, często pytał znajomych, co myślą o jego najnowszej książce, odczycie, publi-

kacji, wierszu czy wieczorze autorskim. Nie czekając na moją odpowiedź, dodał: „zapomniałem wspomnieć Staszka Barańczaka”. Tak, ale to Adam Zagajewski był jego faworytem, bardzo go cenił także jako człowieka.

Moja znajomość z Adamem Zagajewskim trwała ponad trzy dekady, spotykaliśmy się w różnych miejscach i okolicznościach. Stwierdzeniem: „poznałem Lizakowskiego dzięki Miłoszowi”, zawsze zamykał mi usta w towarzystwie. Należał chyba do ostatnich osób, które poznałem w towarzystwie Noblisty, gdy mieszkalem w San Francisco i studiowałem w Berkeley.

Adam Lizakowski

WIERSZE Z CZASÓW PANDEMII

Kiedy na początku listopada ubiegłego roku czytaliśmy z jurorkami XVI edycji Konkursu im. K. Ratonia – Joanną Oparek i Kariną Stempel – nadesłane nań zestawy wierszy, mieliśmy za sobą pół roku pandemii. Właśnie rozpędziała się w Polsce jej pierwsza duża fala, coraz więcej z nas chorowało, żegnaliśmy też pierwszych zmarłych z grona krewnych i znajomych. Pracujące w sektorze kultury jurorki dzieliły się podczas zdalnych obrad, które rzetelnie odbyliśmy, swoimi problemami ze znajdowaniem zatrudnienia i przedłużającym się zawieszeniem artystycznych i kulturalnych projektów, w które były zaangażowane. Wszystkim nam pozostała już tylko samotna praca przy komputerze...

Spisuję refleksje o ostatniej edycji konkursu Ratonia w kwietniu 2021 roku i – jak wiadomo – sytuacja się od tej pory znacząco nie poprawiła. Zmagamy się z kolejną falą zachorowań i niekończącym się pasmem przedwczesnych zgonów spowodowanych pandemią. Jest tak samo, jak było, a może nawet gorzej, przede wszystkim dlatego, że z braku nadziei na rychłe wygaśnięcie pandemii i powrót do jako takiej normalności, choćby tylko w formie możliwości bezpośredniego kontaktu z bliźnimi, upadamy na duchu, ogrania nas fala smutku i gorszej od niego – depresji. Już się nawet nie denerwujemy, chyba że na chwilę, przez kilka dni lub tygodni, najczęściej z powodu kolejnych kontrowersyjnych decyzji i działań rządzącej partii, podporządkowanego jej parlamentu, administracji państwowej i części sądownictwa, które, choć tak bardzo doskwierają nam pandemiczne ograniczenia, dodatkowo ograniczają wolność (zwłaszcza kobiet) i ingerują w mechanizmy kontroli demokracji – takie jak niezależne od interesów aktualnej władzy sądy i media. A pandemia w naturalny sposób ogranicza możliwość obywatelskich protestów.

Przygnębiającą bezsilność wielu z nas świetnie wyraża krążąca po Internecie fotografia płaczącego mężczyzny, siedzącego na pniu ściętego drzewa. Różne są miary rozpacz – wydaje się, że nie tylko moją nadzieją zachwiała zmasowana wycinka lasów na terenie całej Polski. Najbardziej boli to, co bliskie – wycięcie w ciągu ostatnich kilku lat (nasilone w okresie trwania pandemii) wspaniałych, stuletnich, iglastych lasów Dolnego Śląska. Moje ukochane góry są teraz „łyse”, a lasy, naturalny skarb tej krainy, dramatycznie przetrzebione. Straszą połączenie wycinek w „parkach krajobrazowych”, którą to nazwę można odbierać dziś wyłącznie ironicznie. Żeby szybko wyciąć i zwieść te skarby, uruchomiono potężne leśne maszyny, pracujące nawet w nocy, i wryto dla nich w zboczach gór nowe, śródleśne drogi. A przecież pierwszą społeczną reakcją na ograniczenia pandemii była ucieczka z zamkniętych miast na wieś i do lasów. I tam dziś nie znajdziemy azylu, tylko warkot maszyn i pił – dotkliwy analogon naszej własnej sytuacji. Jesteśmy jak te ostatnie, łamane przez huragany drzewa w spu-

stoszonym i pustynniejącym lesie, czekające na ścięcie, patrzące na hektary gołych pni, sterzających ku górze korzeni i stopy połamanych gałęzi. Krajobraz po bitwie człowieka z naturą... Ta analogia zdaje się odnosić do losu naszych seniorów, starych drzew... Przecież drzewo od zawsze było symbolem człowieka, społeczności i narodów. Napisał Krzysztof Kamil Baczyński, patron innego bliskiego mi konkursu:

Byłeś, jak wielkie, stare drzewo,
narodzie mój, jak dąb zuchwały,
wezbrany ogniem soków żrących
jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

I jęli ciebie cieśle orać
i ryć cię rylcem u korzeni,
żeby twój głos, twój kształt odmienić,
żeby cię zmienić w sen upiora.

Jęli ci liście drzeć i ścinać,
byś nagi stał i głowę zginał.

To brzmi dziś bardzo koturnowo... Może mniej wtedy, gdy to cytuję, czyli dokładnie w 78. rocznicę wybuchu powstania w warszawskim getcie (a do zagłady Żydów odnosi się wiersz Baczyńskiego, który nosi datę powstania „IV 1943”). Z wszystkich rodzajów literackich pozycja najszybciej reaguje na ważne wydarzenia historyczne, społeczne i polityczne. Jest czułym barometrem nastrojów, mód i tendencji, a tymi są obecnie także głęboka ekologia i (w Polsce) zwrot ku wsi i wnikliwsza niż do tej pory rewizyjna lektura tradycji ludowej (czyli tzw. zwrot plebejski). Czytane przez nas wiersze, także te, które się nam najbardziej spodobały, zostały nagrodzone, wyróżnione, wskazane do nagród, wyrażają wszystkie te osobliwe cechy naszych czasów. Przede wszystkim – na różne sposoby – prezentują fenomen pandemii (jak inkantacyjne, oparte na inwariantnych powtórzeniach, rytmiczne utwory laureata drugiej nagrody Aleksandra Wiernego: *stare ciała, wielka niedziela, cały strach, wewnątrz wierzymy* oraz haikopodobne miniatury nominowanego do nagrody konkursu Henryka Czempieła).

Równie często powraca poczucie osaczenia przez śmierć (we wszystkich chyba zestawach, ale bodaj najwyraźniej w wierszach wielokrotnego laureata konkursów Rationia, Wojciecha Roszkowskiego, tym razem uhonorowanego trzecią nagrodą). Pewną innowacją wyrażania tego tematu są wyrastające z rosnącej wrażliwości ekologicznej wizerunki wspólnoty życia i śmierci ludzi, zwierząt i roślin, jak to dzieje się w wysnutych ze wspomnień dzieciństwa wiejskich obrazkach laureata jednego z trzech równorzędnych wyróżnień – Macieja Kijki – *Patroszenie ryb* i *Bicie kury* oraz w lirykach zwycięzcy konkursu Łukasza Barysa, który identyczność naszego losu wyraża już w wyliczeniowych tytułach wierszy: *Kocięta, szczenięta, chłopięta; Kawki, pustułki, dzierlatki; Dynie, kabaczki, cukiernie*.

Mocniej zaznacza się w najnowszej liryce spotęgowana przez pandemię samotność w tłumie, poczucie wyobcowania i alienacji (jedynym towarzyszem heroicznej, próbującej naprawiać świat Danuty z wyróżnionego cyklu wierszy Eweliny Kuśki, jest pies, nazywany z dystansem i bezosobowo „czworonogiem”). O samotności współczesnych singli – zamkniętych w małych, często wynajętych kłitkach blokowskich lub przymuszonych okolicznościami do powrotu z zagranicznych wędrowek do prowincjonalnych lub wiejskich rodzinnych domów opowiadają w swoich wierszach wyróżniony Tomasz Berrached oraz nominowani do nagród Mateusz Andała i Piotr Smolak. Skądinąd w ich wierszach zawarty jest potencjał opowieści

– filmowych (Andała) lub teatralnych (Smolak). Czytając je, widzi się znaczące kadry lub słyszysz wyraziste głosy monologujących bohaterów. Te potencjalne historie dopowiadałyśmy sobie w trakcie obrad jury.

W tej edycji konkursu zwyciężył Łukasz Barys – nadzieja młodej poezji. Ostatnio nie schodzi z podium konkursów poetyckich, często będąc laureatem pierwszej nagrody. Kiedy zastanawiałam się, dlaczego tak się dzieje (a wygrał dosłownie o włos z Aleksandrem Wiernym), dostrzegam migotliwe bogactwo znaczeń i podjętych tematów (właściwie wszystkie przeze mnie wskazane) oraz odpowiadające tej wielości falowanie nastrojów, które „dzieje się” nawet na przestrzeni jednego, niezbyt długiego wiersza. Barys tworzy bardzo (po)nowoczesną poezję; można ją zestawzić z towarzyską, dialogiczną liryką Franka O’Hary i jego wybitnego polskiego tłumacza – Piotra Sommera. Liryki Barysa są lekkie (wystąpił, *nomen omen*, pod godłem Puste gnu), dowcipne, we właściwych proporcjach: opisowe i refleksyjne, metaforyczne i kolokwialne, osadzone w realiach świata i otwarte na skojarzenia, grę wyobraźni, reportażowe i wzięte z tradycji kultury. Dobrym przykładem jest utwór *Lekcja historii*, w którym na marginesie dorywczej pracy „na czarno” przy remoncie starej szkoły przerabianej przez właściciela szałni na „dworek szlachecki”, pojawia się odniesienie do *Umarłej klasy* Tadeusza Kantora:

O świecie wchodzę do klas i omiata mnie
wołanie widmowych dzieci, które mieszkają
pod podłogą, w ścianach i obrazach.
Po prostu umarła klasa. Jak z Kantora
ale kto u nas na wsi brał udział w takim seansie?
Właściwie każdy boi się śmierci-sprzątaczk
i dzieci staruszków, które prowadzą mnie
w to, co odwrotne. I każda klasa – to umarła
klasa, a historia siada mi na kolanach i łasi się
jak szczenię, które jedno z dzieci musiało
wziąć ze sobą na lekcje. [...]

Zaciekawiał mnie, najwyraźniejszy w wierszach nominowanych do nagród Jacka Świłły i Bartosza Simińskiego powrót do nowofalowej dykcji lingwistycznej – skądinąd także wywodzący się z ducha czasów, w których królują reklama i fake newsy, jawnie manipuluje się faktami, rozwija się kolejny wariant oficjalnej nowomowy, ale też jesteśmy coraz bardziej krytyczni, uważni i uświadomieni na mowę nienawiści i przemocy, stygmatyzujący i wykluczający język patriarchalnej kultury.

Jeszcze mocniej niż zwykle są obecne w wierszach ratoniowych takie znaki naszych czasów, jak elektroniczne media – zwłaszcza komputer, Internet i smartfon oraz związany z nimi idiom. To nasze okna na świat, aktualne miejsca pracy wielu z nas, dostarczające nam namiastek społecznego życia, estetycznych przeżyć i rozrywek. Są zbawienne, to niekiedy jedyny sposób komunikacji z najbliższymi, ale jednocześnie zmieniają nam one życie w koszmar. Oczywiście pandemia ma swoje nieoczekiwane „blaski” – jak zwolnienie tempa życia, odkrycie uroków swojego miejsca i najbliższej okolicy. Ograniczenie kontaktów uczyniło nas wszystkich po trosze pustelnikami, co sprzyja rozwojowi duchowemu, refleksyjności, kontemplacji, kształceniu umiejętności cieszenia się małym. Z konieczności i potrzeby wróciliśmy do natury, więcej spacerujemy i wędrujemy, zakładamy ogródki, czerpiemy siłę i radość z obserwowania przyrody, w której, jak się wydaje, jest więcej życia niż w nas, o czym pięknie napisał Maciej Kijko w wierszu bez tytułu, którego bohaterami są owady:

[...] Warczący wir narodzin i śmierci,
kwitnienia i więdnienia, odsłania bezinteresowność
istnienia miriady nieważkich prawie drobin.
Świat w niej właśnie nieustannie się odradza.

Magdalena Rabizo-Birek

JIRÍ, JURI, JUREK (1943–2021)

Jiřtemu Července

Pociągał sznur dzwonu głośniejszy
bezglóśnie poruszał wargami
skrzydłami Anioł Pański

Wczoraj wieczorem Iwona weszła do pokoju i wyraźnie poruszona powiedziała: Červenka umar! Stało się więc to, czego obawialiśmy się już rok, dwa wcześniej, wiedząc o stanie jego zdrowia. Umarł poeta, niezmordowany wędrowiec, który przemierzył pieszo całe Czechy, który, nie bacząc na pogodę, patrzył na ten swój kraj ojczysty z poziomu drogi, drzew i krzyży przydrożnych, potoków mniejszych i większych. Wolnego horyzontu. „18 listopada. Przez cztery rzeki. Zerwany most pod Výstrkovem. Idę zwinnym krokiem. Nic mnie nie boli. Ścieżka znika za widnokreplem. Pod wzgórzem zaczyna. Wąwozem traktor. Bażant z krzaków wleciał. W plecaku mnie grzeje, co córka dała mi na drogę”. W młodości pracował jako robotnik leśny w Jesionikach, razem z innym świetnym poetą, Tadeášem Bironem (Františkem Kouřilem): „Byliśmy młodzi a nasze motorowe piły / jak jeleń na rykowisku grzmiały po lasach”. Albo: „Siekierą w plecaku, wypełniam normę, dziennie pięć kubików”. Studiował bohemistykę i filozofię w Brnie, przez lata był kasztelanem, to jest gospodarzem zamku Pecka w Czeskim Raju. Ale emocjonalnie związany był szczególnie ze Znojmem na Morawach (*Znojmo jest stanem duszy*), gdzie spędził dzieciństwo i dokąd powrócił na stałe w 2004 roku. Wymowny jest pod tym względem tytuł jego książki *Uvidět Znojmo* („Zobaczyć Znojmo”) z roku 2008. To od niej, a raczej od czasu jej ukazania się i wydawnictwa, gdzie się ukazała, rozpoczęła się nasza znajomość. Juri współpracował z oficyną „Opus” naszych martinkoviczkich sąsiadów, Mědilkův i kiedyś pojawił się u nas, by ze mną skonsultować zawilości polszczyzny, na jakie natrafił w tłumaczeniu tekstu Agnieszki Kuciak. Spotkaliśmy się także w Pradze, na promocji publikacji wydawnictwa Opus, gdzie i on występował, a później pomagał mi trafić na odpowiedni przystanek. Iwonę interesował jego zachwyty Vincenzem, którego poznawał i interpretował po swojemu, metodą perypatetyką, odwiedzając Huculszczyznę, doświadczając tamtejszego krajobrazu i nawiązując więzi międzyludzkie, podobnie jak swego czasu odbył pielgrzymkę na Litwę, do Miłoszowych Szetejni. Na początku nowego milennium przełożył Vincenzowskie *Dialogi z Sowietami* i w ten sposób zapoczątkował swoją pracę translatorską. W jego tłumaczeniu ukazały się w Czechach książki: Kazimierza Orłosia, Leszka Kołakowskiego, Karola Maliszewskiego, Czesława Miłosza, Andrzeja Barta i Huberta Klimko-Dobrzanieckiego. W roku 2015 „Opus” opublikował tom wzajemnych przekładów Červenki i Maliszewskiego pt. *Na obou stranách* (tutaj znów byłem konsultantem, tym razem dotyczyło to paru wierszy czeskich). Polska jest w ogóle mocno obecna w poezji Jurka. Także ta z pieszej perspektywy. „8 sierpnia. Za godzinę Radków. Za dwie Wambierzyce. W kieszeni *Tryptyk rzymski*. Artykuł w „Polityce”. Święty Prokop z diablem. Dziw, że go nie uśmierci.

Przy drodze krzyżyk. Chroń nas, Panie Boże, od złośliwej śmierci”. Razem odbyliśmy wycieczkę do Wapiennika w Starej Morawie, gdzie zachęcony przez gospodarza, profesora Jacka Rybczyńskiego, miał m.in. okazję zadzwonić na Anioł Pański. Zapamiętałem jego skupienie – w tej chwili nie był zwiedzającym, któremu zaproponowano dodatkową atrakcję, on rzeczywiście, od serca, nawoływał ludzi do modlitwy, a przede wszystkim sam się modlił. Jakże to znaczące w zestawieniu z jego dziennikiem poetyckim z czasu służby wojskowej: „Kwiecień 1965. Burzymy kościół. Absurdalny ranek. Kwitnące drzewa. Hałdy płonnego kamienia. Z dachu blacha. Po stokroć fałszywi łgarze. Za ciągnikiem lina. Kto jest bez winy? Dzwon się urywa. Stwardniały chleb na ołtarzu. Odarty łokieć. Chrystusowe Ciało. Jeden świat tylko. Wieczne przeciwstawienia. Trwa niezmiennie. Zmieniając się stale. Vřesováv bieli. Brązowe Počerady. Zielony Světec. Ledvice w mgłę zapadłe”. W ogóle uderzała mnie jego religijność, wiara odnowiona w dojrzałym już wieku i wciąż zaskakująca dziecięcą prostotą i ufnością, w słowach i gestach, jak np. znak krzyża przed posiłkiem w restauracji w Starém Měście pod Sněžníkiem, dokąd odwieźliśmy go na pociąg. Także mnóstwo pośrednich i bezpośrednich nawiązań w poezji. Było to coś wolnego od dewocji i deklaracji, ponieważ mówiąc o tym, odkrywał siebie. Tak jak wspominając demoniczne halucynacje na szpitalnym łóżku, napisał: „Dopiero zalew niewysłowionej miłości, / jaki mnie przeniknął, dał mi pewność, / że jesteś i żeś mnie nie opuścił”. Jego ostatnią aktywnością społeczną był udział w poświęceniu odnowionej kapliczki w okolicy. Umarł tego samego dnia, we własnym ogrodzie, pod dziką różą, której krzaki, jak świadczą jego wiersze, spotykał wielokrotnie na miedzach i poboczach. Ta właśnie wewnętrzna wierność niebu, w połączeniu z bezpośrednim, anteuszowym chciałoby się powiedzieć, dotykem ziemi, w całej złożoności jej natury i kultury, czyniła mi go bliskim, o wiele bliższym, niżby wynikało to tylko z naszych kontaktów. Z własnej inicjatywy przełożył przed laty mój *Arkusz biały*. Miał taką zasadę, że tłumaczył to, co jemu samemu odpowiadało, a potem starał się zainteresować tym jakieś czasopismo czy wydawnictwo. (W moim wypadku naturalna zdawała się oficyna „Opus”, obaj mieliśmy na to nadzieję, ale...). W końcu posłałem rzecz do brneńskich „Větrných mlýnův”, z którymi Juri również współpracował i gdzie, jak wiem, przyczynił się do podpisania ze mną umowy. Zakończę tak, jak on zakończył wiersz pt. *F. K. (František Kouřil)*: „Zostań chwilę / jeszcze. Teraz nie odchodź, przyjacielu”.

Co będzie z duszą, o, mój Panie,
tę do siebie weźmiesz albo nie,
lecz ciało, cóż się z nim stanie,
kiedy zostanie tu beze mnie?

Będą je wlekli miastem ulicami,
nagie na marach albo w trumnie.
Tak obce w ziemi między czerwiemi,
nim w proch obróci się w próchnie.

Antoni Matuszkiewicz

Martínkovicze, 2 czerwca 2021 r.

Cytaty (w moim tłumaczeniu) pochodzą z kolejności z książek Jiříego Červenki: *Uvidět Znojmo*, 2008: s. 33, s. 15, s. 14, s. 39, s. 38, s. 10; *Na obou stranách / Po obu stranach* (współautor Karol Maliszewski), 2015, s. 40, 26, s. 18.

AUTORZY „FRAZY” ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE, KOMUNIKATY

MATEUSZ ANDAŁA

Ur. w 1981 r., poeta, slamer; za debiutancki tom *Światło w lodówce* (SDK, Warszawa 2015) nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”.

LUKASZ BARYS

Ur. w 1997 r. w Pabianicach. Poeta, prozaik, student filologii polskiej i prawa na Uniwersytecie Łódzkim. Laureat konkursów poetyckich, między innymi: Grand Prix konkursu im. Rainera Marii Rilkego oraz pierwszych nagród w Konkursach Literackich im. Rafała Wojaczka i im. K. Ratonia (2020). Publikował w „Toposic”, „Arteriach”, „Tlenie Literackim”, „Wizjach” i „Kontencie”. W 2020 r. zadebiutował tomem poetyckim *Wysokie słońce* (SPP Łódź, Instytut Literatury w Krakowie).

JAN BELCIK

Ur. w 1960 r. w Dukli. Poeta, krytyk, autor zbiorów wierszy: *W cieniu Cergowej* (1989), *Fotografie (nie)przypadkowe* (1995), *Incognito* (2001), *Inne cienie* (2009), *Drugi brzeg* (2013), *Cienie Getsemani* (Biblioteka „Frazy” 2017). Jego wiersze znalazły się w dwujęzycznej, polsko-węgierskiej antologii *Złoto aszú* (2003). Jest laureatem ogólnopolskich konkursów literackich. Prezentował swoją twórczość na łamach wielu pism oraz na antenie Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. Laureat Nagrody Miasta Krosna (2019). Jego wiersze przetłumaczono na język węgierski, słowacki i serbski. Mieszka w Krośnie.

TOMASZ BERRACHED

Ur. w 1979 r. Poeta, tekściarz, wokalista zespołu Mrzonki. Finalista XXVI OKP im. J. Biereczina i XII Ogólnopolskiego Konkursu na Autorską Książkę Literacką Świdnica. Mieszka i pracuje w Mielcu.

TADEAŚ BIRON

Właśc. František Kouřil (1943–2013). Zignorowany przez tzw. środowisko czeski poeta. Do wydania jego wierszy doprowadził przyjaciel, poeta Jiří Červenka. Książka *Neviditelné slunce (Niewidoczne słońce)* wyszła w Ústí nad Orlicí w 1998 r. Jego wiersze do tej pory nie były tłumaczone na język polski.

CHARLES BUKOWSKI

(1920–1994), poeta i prozaik amerykański, jeden z najbardziej płodnych autorów swego pokolenia. Pierwsze opowiadanie opublikował w 1944, pierwszy wiersz – jedenaście lat później, pierwszy druk zwarty, arkusz poetycki, *Flower, Fist and Bestial Wail*, już jako twórca czterdziestoletni. Jakby kompensując sobie późny debiut, Bukowski między 1960 a 1993 ogłosił drukiem około pięćdziesięciu pozycji: tomów wierszy, zbiorów opowiadań i powieści, których tłem są Los Angeles i Kalifornia. Po trudnych początkach, kiedy czasopisma i wydawnictwa odrzucały

większość jego materiałów, przysły pomyślnie lata sześćdziesiąte, kiedy ukazało się kilkanaście książek, i siedemdziesiąte, gdy Bukowski wzbudził zainteresowanie wydawców europejskich. Tłumaczony na kilkanaście języków, stał się jednym z bardziej znanych autorów amerykańskich. Wieczny outsider – nigdy nie wiązał się i nie był łączony z żadnym ugrupowaniem literackim, koterią, szkołą czy ideologią. W Polsce znany z większości powieści i zbioru wierszy *Miłość to piekielny pies. Wiersze 1974–77* (2003) w przekładzie Leszka Engelkinga.

JAN BURNATOWSKI

Ur. w 1984 r. w Sanoku. Literaturoznawca, krytyk, sekretarz redakcji pisma „Czas Literatury”. Tytuł doktora nauk humanistycznych obronił na podstawie rozprawy „Proza Mariana Pankowskiego jako projekt literatury innowacyjnej” (promotor: dr hab. K. Latawiec). Publikował m.in. w „Annale Academiæ Paedagogicæ Cracoviensis”, „Didaskaliach. Gazecie Teatralnej”, „Faj-Arcie”, „Postscriptum Polonistycznym”, „Ruchu Literackim”, „Nowych Książkach”, „Twórczości”, „Zeszytach Literackich”, „Frazie”. Mieszka w Krakowie.

ANDRZEJ BUSZA

Ur. w 1938 r. w Krakowie. Poeta, krytyk, historyk literatury, tłumacz. W czasie wojny na Bliskim Wschodzie, w latach 1947–1965 w Anglii, gdzie studiował w St. Joseph’s College, a następnie w University College w Londynie (anglistyka). Od 1965 r. w Kanadzie, gdzie został wykładowcą, a następnie profesorem literatury angielskiej na University of British Columbia w Vancouver. Był członkiem redakcji „Merkurysza” i „Kontynentów”. Laureat I edycji Nagrody Fundacji Kościelskich (1962). Tworzy w języku polskim, a od lat 80. XX wieku – także w angielskim. Opublikował zbiory wierszy: *Znaki wodne* (IL Paryż, 1969); *Astrologer in the Underground / Astrolog w metrze* w przekładzie M. Bullocka i J. Boraks (Athens, Ohio, 1971); w przekładzie B. Czaykowskiego *Glosy i refrakcje* (Berlin – Toronto 2001) oraz *Obrazy z życia / Laquedema Scenes from the Life of Laquedem* (Berlin – Toronto 2003), *Pełnia i przesilenie / Full Moon and Summer Solistice* (współautor B. Czaykowski) (Toronto – Rzeszów 2008), poemat *Kohelet* (z posłowiem i notami B. Tarnowskiej) (Toronto – Rzeszów 2008), *Niepewność* (Toronto 2013), *Ant. Wiersze wybrane* z posłowiem J. Pasternskiego (Toronto – Rzeszów 2017) i *Ekfrazy* (Toronto 2020). Przełożył na język angielski z Czaykowskim poezję Mirona Białoszewskiego *The Revolution of Things* (Washington, D.C., 1974) oraz *Gathering Time: Five Modern Polish Elegies* – poematy M. Białoszewskiego, J. Iwaszkiewicza, M. Jastruna, C. Miłosza i K. Wierzyńskiego (Mission, B.C., 1983). W 2019 r. ukazała się monografia zbiorowa poświęcona jego twórczości: *Kontynenty*, t. pierwszy: *Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (red. M. Kisiel i J. Pasternski). Jest cenionym znawcą i badaczem twórczości Josepha Conrada. Mieszka w Vancouver w Kanadzie.

TOMASZ CHOMISZCZAK

Ur. w 1965 r. Romanista, literaturoznawca, krytyk i tłumacz; profesor w Instytucie Neofilologii Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie. Autor monografii *Mistrz ceremonii. Marian Pankowski – od filologii do rytuału* (2014), wybrał i przetłumaczył z francuskiego bruckelskie artykuły naukowe Pankowskiego (2014). Opracował antologię dramatów tego pisarza (2015); *Opowiadania* Zdzisława Beksińskiego (2015), nieznaną prozę Kalmana Segala (*Błękitna kawiarnia*, 2017; *Jeszcze żyjemy*, 2020). Opublikował kilkadziesiąt rozpraw, artykułów i rozdziałów w tomach monograficznych oraz czasopismach: „Literatura na Świecie”, „Przegląd Humanistyczny”, „Teatr”, „Poznańskie Prace Polonistyczne”, „Topos”, „Fraza”, „Nowa Okolica Poetów”, „Konspekt”. Jest redaktorem naczelnym pisma „Acta Pancoviana” i członkiem komitetu naukowego „Rocznika Sanockiego”. Mieszka w Sanoku, gdzie od lat inicjuje lub współorganizuje regionalne działania promujące czytelnictwo i dobrą literaturę.

HENRYK CZEMPIEL

Ur. w 1965 r. Z wykształcenia inżynier górnik oraz matematyk, pracuje w administracji samorządowej w Strzelcach Opolskich, gdzie mieszka. Pisze miniatury poetyckie, które dostrzeżono w kilku konkursach poetyckich, m.in. nominowano do nagród w XVI OKP im. K. Rationia (Olkusz 2020). Laureat kilkunastu międzynarodowych konkursów haiku w językach angielskim

i rosyjskim, m.in. w Kanadzie, USA, Rosji, Japonii, Indiach, Trynidadzie i Tobago. Jego utwory tłumaczone były na siedem języków obcych.

LENKA DAŇHELOVÁ

Lenka Kuhar Daňhelová, ur. w 1973 r. w Karniowie, miasteczku blisko polskiej granicy, czeska pisarka, tłumaczka i malarka. Autorka książek publicystycznych *Nové Heřminovy – Neu Ebersdorf* (2003), *Jak žít s povodněmi* (2005), powieści *Cizinci* (2004) i zbiorów wierszy: *Neuvřčeno / Nezařazeno* (edycja dwujęzyczna, serbsko-czeska, wydana w Belgradzie w 2009), *Pozdrav ze Sudet* (2010), *Její bolest* (2012), *Hořem* (2014). Przełożyła na język czeski *Widnokrąg i Traktat o łuskaniu fasoli* Wiesława Myśliwskiego oraz utwory: Franciszka Kameckiego, Ryszarda Krynickiego, Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej, Wojciecha Orlińskiego, Idy Fink, Franciszka Nastulczyka, Mikołaja Łozińskiego, Zofii Staniszewskiej, Wojciecha Tochmana i rozprawę o alchemii Rafała Prinkego. Tłumaczy również z języków: słoweńskiego, włoskiego i francuskiego. Wspólnie z mężem, słoweńskim pisarzem Petrem Kuharem, wydała w Pradze dwujęzyczną antologię współczesnej poezji słoweńskiej *Padesáti hlasy hovořím / S petdesetimi glasovi govornim* (2013). Małżonkowie organizują coroczny międzynarodowy festiwal literacki i Stranou – evropských básníci naživo” w miejscu swojego zamieszkania – Berounic niecopodal Prahi.

STANISŁAW DŁUSKI

Ur. w 1962 r. w Dębowcu k. Jasła. Poeta, krytyk, historyk literatury. Absolwent filologii polskiej WSP w Rzeszowie, adiunkt w Zakładzie Literatury Polskiej XX Wieku UR. Autor książek *Wyzstencja i metafizyka. O poezji Anny Kamińskiej* (Rzeszów 2002) oraz *Umarł Tyrteusz, niech żyje Orfeusz. Idee – wartości – poezja* (Rzeszów 2015). Wiersze, recenzje, szkice, felietony i eseje publikował w wielu pismach literackich, m.in. „Kulturze”, „Twórczości”, „Zeszytach Literackich”, „Kresach”, „Nowym Nurcie”, „Toposie”, „Studium”, „Odrze”. Współzałożyciel „Frazy” i jej redaktor naczelny w latach 1994–1998; założył i redagował „Nową Okolicę Poetów” (1998–2006). Opublikował m.in. tomiki poetyckie: *Stary dom* (wyróżnienie w Konkursie im. K. Hłakowiczówny za debiut poetycki), *Dom i świat* (1998), *Samotny zielony krawat* (2001), *Elegie dębowieckie* (2003), *Szczęśliwie powieszony* (2009), wybór w opracowaniu i z posłowiem Grzegorza Kociuby *Wiersze dla samotnych i wydrążonych* (2016), *Oda do próchna* (2020). Tłumaczony na język angielski, francuski, ukraiński i włoski. Jego wiersze znalazły się w antologiach poezji po roku 1989 i w antologii *La comunita dei vulcani, guarderno situlo-lacco di poesia* (2006). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Mieszka w Rzeszowie.

STEFAN GEORGE

(1868–1933), niemiecki poeta i filozof, przedstawiciel symbolizmu i parnasizmu. Inspirował się poezją francuską (m.in. A. Rimbauda, P. Verlaine’a i S. Mallarmégo) oraz filozofią A. Schopenhauera i F. Nietzschego. Jego melodyjne utwory inspirowały współczesnych mu kompozytorów tzw. drugiej szkoły wiedeńskiej. Napisał m.in. poemat *Algabal* (1892), *Siódmy krąg* (1907), *Księżę wiszących ogrodów*, *Kobierzec życia*, *Rok duszy*. W Polsce jego utwory przekładali m.in. jego bliski przyjaciel Wacław Rolicz-Lieder, Jarosław Iwaszkiewicz, Stefan Napierski, Robert Stiller i Andrzej Lam.

LOUISE GLÜCK

Ur. 22 kwietnia 1943 r. w Nowym Jorku, amerykańska poetka i esejistka, od 2004 r. wykładowczyni Yale University. Wychowała się na Long Island. Ukończyła Sarah Lawrence College i Columbia University. Debiutowała tomem *Firstborn* (1968). Inne zbiory jej wierszy to m.in. *The House on Marshland* (1975), *Descending Figure* (1980), *The Triumph of Achilles* (1985), *Ararat* (1990), *The Wild Iris* (1992), *Meadowlands* (1997), *Vita nova* (1999), *The Seven Ages* (2001), *Averno* (2006), *A Village Life* (2009), *Faithful and Virtuous Night* (2014). Opublikowała także dwa tomy esejów o poezji *Proofs and Theories* (1994) i *American Originality* (2017). Zdobyła najważniejsze amerykańskie nagrody literackie: Pulitzera, National Book Award, National Book Critics Circle Award oraz Nagrodę Tranströmera. W 2020 r. otrzymała Literacką Nagrodę Nobla „za swój niepowtarzalny poetycki głos, który surowym pięknem czyni indywidualną egzysten-

cję uniwersalną”. Znana jest z warsztatowej precyzji. Pisze o cierpieniu, przemijaniu, śmierci, odrzuceniu, braku akceptacji przez ukochane osoby, niepowodzeniach, a także o próbach samoleczenia i uzdrowienia, pragnieniu bycia kochaną, pożądaną, darzoną uwagą. Ważnym tematem jej twórczości jest świat przyrody. Podobnie jak Czesław Miłosz, Glück jest zwolenniczką „poezji rozumiałej”, poezji „prostego języka”: „Odkąd w wieku czterech, pięciu lub sześciu lat zaczęłam czytać wiersze, najpierw pomyślałam o poetach, których czytałam, jako o moich towarzyszach, moich poprzednikach – od początku wolałam najprostsze słownictwo. Fascynowały mnie możliwości kontekstu. To, na co odpowiadałam na stronie, to sposób, w jaki wiersz może wyzwolić się za pomocą ustawienia słów, subtelności czasu, tempa, pełnego i zaskakującego zakresu znaczenia słowa. Wydawało mi się, że prosty język najlepiej pasuje do tego przedsięwzięcia; taki język, będący pospolitym, prawdopodobnie będzie zawierał największą i najbardziej dramatyczną różnorodność znaczeń poszczególnych słów. Lubiłam zakres języka, ale podobała mi się niewydzialność. Uwielbiałam wiersze, które wydawały się tak małe na stronie, ale które narastały w pamięci. Nie lubiłam tej powiewności, pomnicjszającej” (przeł. A. Lizakowski). W Polsce do czasu zdobycia Nagrody Nobla mało znana. „Fraza” była bodaj pierwszym polskim czasopiśmie, w którym ukazały się przekłady jej wierszy – *lamentacji* i *Matce* w tłumaczeniu Piotra Zazuli – w numerze 14 z 1996 r.

JANUSZ GOĘDA

Ur. w 1948 r. w Jasionowie, poeta, prozaik, publicysta. Zadebiutował w 1970 r. w rzeszowskim miesięczniku społeczno-kulturalnym „Profile”. Wiersze i prozę publikował w pismach ogólnopolskich i lokalnych (m.in. „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Radarze”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Poezji Dzisiaj”, „Ricie Baum”). Współpracował z „Gazetą w Rzeszowie”, „Sycyną” i „Gazetą Wiejską”. Opublikował kilkanaście tomów poezji (m.in. *Zwyczajna łagodność*, 1998; *Wiersze leskie*, 2001; *Tańczący na promieniu*, 2010; *Prowincja*, 2016; *Dwa*, 2019; *tamtu*, 2020) oraz kilka tomów prozy: *Tajemnice Hnatowego Berda* (2002), *Trzęsienia* (2005), *Nie ma miłości w naszym mieście* (2007), *Klasztor* (2008), *Znaki czasu* (2009), *Opowiadania z drugiej ręki* (2011).

ANNA HANUS

Dr hab., prof. UR., pracuje w Instytucie Neofilologii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jest kierowniczką Zakładu Lingwistyki Mediów. Jej zainteresowania naukowe oscylują wokół lingwistyki tekstu i dyskursu, lingwistyki kontrastywnej, mediolingwistyki i translatoologii; jest autorką 2 monografii autorskich, współredaktorką 5 monografii zbiorowych oraz licznych publikacji i tłumaczeń z zakresu lingwistyki tekstu i dyskursu, genologii lingwistycznej, polsko-niemieckiej lingwistyki i mediolingwistyki kontrastywnej a także pragmatyki i translatoologii. Popularyzuje ponadto polską poezję w niemieckojęzycznym kręgu kulturowym. Jest współautorką tłumaczeń i współwydawczynią zbioru poezji Janusza Szubera *Esej o niewinności / Essay über die Unschuld – Gedichte von Janusz Szuber* (współautorka Ruth Büttner, Wrocław – Dresden, 2015), a obecnie przygotowuje we współautorstwie dwujęzyczną antologię współczesnej poezji polskiej.

RENATA JABŁOŃSKA

Ur. w 1935 r. w Łodzi. Polsko-izraelska poetka, prozaiczka i tłumaczka, pisząca głównie w języku polskim. Po powrocie z wojennej tułaczki ukończyła w Łodzi liceum i studiowała polonistykę. Od 1957 r. mieszka w Tel Awiwie. Pracowała w telawiwskim dzienniku „Nowiny”. Była współzłożycielką Sekcji Polskiej przy Federacji Związków Pisarzy w Izraelu, a także prezeską Grupy Literackiej Akcenty oraz redaktorką rocznika „Akcenty”. Uczyła języka polskiego na Uniwersytecie w Tel Awiwie. W Polsce ukazały się jej następujące książki prozatorskie: *Sen na cztery ręce* (1995), *Śpiew kameleona* (2000), *Niknące twarze* (2004), *Zimno, ciepło* (2006), *Przed odlotem* (2009), *Rozmowa z Łosiem* (2010), *Zabawy białych plam* (2012), *Fragmenty. Urywki wspomnień 1939–2009* (2014), *Śmierć lekarzy* (2016), *Jesień snów* (2016), *Zastony* (2017), a także tomiki poezji: *Chamsin* (2002), *Statysci* (2008), *i tyle* (2010), *Inna* (2015), *dopóki jestem* (2018). Wydała także tom przekładów prozy izraelskiej *Powiedział między innymi... Opowiadania izraelskie* (2009). W języku hebrajskim opublikowała zbiór opowiadań *Kikar hamelech Albert* [Plac króla Alberta] (1993) oraz tomik poezji *Ir zara* [Obce miasto] (1999).

ALICJA JAKUBOWSKA-OŻÓG

Prof. dr hab., literaturoznawczyni, krytyczka literacka, kierowniczka Zakładu Kultury Mediów w Instytucie Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego, redaktorka naczelna rocznika „Dydaktyka Polonistyczna”. Autorka monografii *Poezja emigracyjna Józefa Łobodowskiego* (2001), *Poeta i świat. Twórczość literacka ks. Janusza A. Ihnatowicza* (2008), *Wciałowziewy. Szkice o poezji Janusza Szubera* (2019). Współredaktorka trzech tomów pokonferencyjnych. Redaktorka ponad dwudziestu książek, w tym m.in. wydanych w serii Biblioteka „Frazy” tomów poezji Janusza A. Ihnatowicza: *Epigramat o nadziei i inne wiersze (1992–2003)* (2004), *Od czasu kto nas wyzwoli. Wiersze 1950–2006* (2007), *Poezje zebrane* (2012). Mieszka w Rzeszowie.

GRAŻYNA JAROSZ

Ur. w Warszawie, cioteczna siostra poety Janusza Szubera. Dzięki niej został wydany debiutancki „pięcioksiąg” Szubera – tomy: *Paradne ubranko i inne wiersze, Apokryfy i epitafia sanockie* (Sanok 1995), *Srebrnopiódre ogrody, Gorzkie prowincje, Pan Dymiącego Zwierciadła* (Sanok 1996). Po obronie pracy doktorskiej w Polskiej Akademii Nauk otrzymała stypendium naukowe w Norwegii, gdzie od wielu lat mieszka i pracuje zawodowo.

JERZY Ł. KACZMAREK

Ur. 13 grudnia 1964 r. w Jarocinie, zmarł 7 kwietnia 2021 r. w Poznaniu. Socjolog, doktor habilitowany nauk społecznych, poeta, prozaik, dramaturg, tłumacz literatury niemieckojęzycznej. Ukończył socjologię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w którym pracował na stanowisku profesora. Zajmował się polsko-niemieckim życiem społecznym na pograniczu, postsekularyzmem i socjologią sztuki. Opublikował monografie: *Joseph Beuys. Od sztuki do społecznej utopii* (2000), *Gubin i Guben – miasta na pograniczu. Socjologiczne studium sąsiedztwa* (2011) oraz *Zobaczyć społeczeństwo. Film i wideo w badaniach socjologicznych* (2014). W latach 80. i 90. XX wieku redaktor kwartalnika literacko-artystycznego „Już Jest Jutro”. Wiersze publikował w antologiach i czasopiśmie literackich w Polsce i Niemczech. Uczestnik międzynarodowego projektu poetycko-plastycznego „gedichtet/gezeichnet. dichter und künstler im dialog”. Teoretyk i inicjator „Akcji Droga”. W latach 1996–1997 i 2002 stypendysta DAAD w Mannheim, Bielefeld i Erkner. Autor tomów poezji *Przepowiednie. Z kręgu nocy i dnia* (Bydgoszcz 2015) oraz *Niewidzialny stygmat* (Sopot 2019). W przygotowaniu znajduje się zbiór wierszy przywieziony z wędrowki po Ziemi Świętej jako poetycki dialog z zaprzyjaźnionym poetą ks. Wacławem Buryłą. W roku 2018 za swoją twórczość literacką otrzymał Złotą Książkę – Nagrodę im. Witka Różańskiego.

MARIUSZ KALANDYK

Ur. w 1963 r. Poeta, krytyk, dr nauk humanistycznych, redaktor naczelny „Kwartalnika Edukacyjnego”. Na przełomie lat 80. i 90. XX w. członek grupy poetyckiej Draga, współpracownik i redaktor „Frazy” (w latach 1993–1996). Zadebiutował w 1997 r. tomikiem *Powrót Atanaryka* (Nagroda im. Kazimierza Hłakowiczówny za najlepszy poetycki debiut roku). Wydał również zbiory: *Timbaktu – fuga* (2001, nominacja do „Paszportu Polityki”), *Karczma Rzym* (2006), *Zmientarz gołębi* (2009) oraz *Szrama – deuteronomimy* (WBPiCAK, Poznań 2019). Autor monografii *Poetycki światopogląd Jarosława Marka Rymkiewicza. Próba antropologii literackiej* (2015). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Rzeszowie.

MACIEJ KIJKO

Ur. w 1972 r. Pracownik Instytutu Kulturoznawstwa UAM. Animator kultury, w latach 2008–2017 członek zarządu Fundacji Barak Kultury, nadal z nią związany. Wydał książkę *Nikła sita. Szkice kulturoznawcze* (2017). Współpracuje z portalem kulturaupodstaw.pl, gdzie publikuje m.in. wywiady i omówienia książek. Stypendysta Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury na rok 2021.

RYSZARD KOŁODZIEJ

Ur. w 1967 r. w Krynicy, poeta i krytyk. Debiutował w „Twórczości”; publikował również w „Akcentie”, „Arkuszu”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Toposie” i „Wyspie”. W 2001 r. ogłosił tomik poetycki *Po tej stronie*. Mieszka w USA.

MACIEJ F. KUBIAK

Ur. w 1993 r. w Szprotawie, filolog germański, poeta, prozaik, muzyk. Jest autorem prac poświęconych muzyce rockowej, metalowej oraz poważnej, zajmuje się badaniem twórczości Stanisława Staszewskiego oraz literatury Austrii i Szwajcarii. Miłośnik niemieckiej literatury i filozofii oraz genealogii. Współautor monografii poświęconej tematyce Kresów *Mieszkańcy Stryjówki koto Zbaraża w świetle Spisu familij i wspomnień* (Zielona Góra 2019). Autor wierszy i opowiadań tworzonych w językach polskim i niemieckim.

EWELENA KUŚKA

Ur. w 1966 r. w Wodzisławiu Śląskim. Mieszka w Jastrzębiu-Zdroju, gdzie pracuje i prowadzi zespół folklorystyczny. Pisze w gwarze śląskiej oraz w języku literackim. Wydała książki gwarowe: *Tak tu bywało* (2003), *Idom Gody* (2012), *Skąd się bierom diobły* (2015) oraz tomik wierszy *Danuta goni tęczę* (2018), który był nagrodzony w konkursie im. Janusza Różewicza w Radomsku. W 2012 r. zdobyła tytuł Wice Ślązaczki Roku w konkursie organizowanym przez Radio Katowice „Po naszymu, czyli po śląsku”. Laureatka konkursów literackich i gawędziarskich.

WOJCIECH KWIECIŃSKI

Ur. w 1972 r. Adiunkt w Zakładzie Historii Najnowszej Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jako historyk zajmuje się pracą przymusową Polaków na rzecz Trzeciej Rzeszy oraz działalnością Organizacji Todta. W obszarze zainteresowań kulturoznawczych koncentruje się na rzeszowskiej sceny muzyki rozrywkowej, estetyce bluesa i jazzu. Równocześnie aktywny muzyk (basista) w zespołach *Kłusem z blusem*, *Clap-tone Tribue Band*, *Nine Walking Trees*.

ANDRZEJ LAM

Ur. w 1929 r. w Grudziądzu. Historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki, tłumacz. Emerytowany profesor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1962–1966 redaktor naczelny „Współczesności”, pracował także w „Miesięczniku Literackim”, a w latach 1979–1984 był redaktorem naczelnym „Rocznika Literackiego”. W latach 1985–2009 przewodniczył jury Warszawskiej Premiery Literackiej. Zajmował się zagadnieniami poezji awangardowej (*Polska awangarda poetycka*, t. 1–2, 1969; *Z teorii i praktyki awangardyzmu*, 1976). Ogłosił m.in. tomy szkiców: *Pamiętnik krytyczny* (1970), *Lupus in fabula* (1988), *Inne widzenie. Studia o poezji polskiej i niemieckiej* (2001), *Poznać to, co mówimy. Prace filologiczne i wspomnienia* (2009); *Portrety i spotkania* (wyd. drugie 2018). Autor antologii: *Opisanie w pamięci. Antologia londyńskiej grupy „Kontynentów”* (1965), *Kolumbowie i współcześni. Antologia poezji polskiej po r.1939* (1972, 1976), *Ze struny na strunę. Wiersze poetów Polski Odrodzonej (1918–1979)* (1980). Wydawca dzieł: W. Sieroszewskiego, *Pism* K. Irzykowskiego, wspomnień S. Lama. Tłumacz Horacego (*Dzieła wszystkie*, 1992, 1996), średniowiecznej literatury niemieckiej (*Pieśń o Nibelungach* i wszystkie utwory Wolframa von Eschenbacha), poezji Hölderlina, utworów Anioła Ślązaka, J.V. Eichendorfa, i J.W. Goethego oraz wierszy niemieckich ekspresjonistów: G. Trakla (*Wiersze zebrane; Wiersze z rękopisów*), E. Mörikego, G. Heyma, E. Stadlera i G. Bennana. Ogłosił we własnym wyborze i przekładach *Cienne źródła. Niemiecka poezja klasyczna. Antologia prywatna* (2017). Mieszka w Warszawie.

KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, tłumaczka, krytyczka, animatorka życia literackiego. Opublikowała trzynaście tomów poezji (w tym dwa dwujęzyczne polsko-angielskie i jeden polsko-ukraiński), m.in. *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do przyszłego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (2014), *Troska / Typōma* (Lwów 2014), *Carte Orange* (przeł. na j. francuski K. Wojewoda, 2017), *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020). Wiersze, fragmenty prozy, tłumaczenia, esaje, noty i wywiady opublikowała w wielu pismach literackich w Polsce (m.in. w „Akencie”, „Fracie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Pracowni”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tyglu Kultury”, „Zeszytach Literackich”), w USA, w tłumaczeniu E. Hryniewicz-Yarbrough (m.in. „Absinthe”, „Boulevard”, „Chelsea”, „Confrontation”), w Ukrainie, w Rumunii i w Czechach. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W 2016 r. zadebiutowała tomem prozy *Babeliada* wydanym w serii Biblioteka „Frazy”. W 2018 r. ukazał się w wydawnictwie Oficyna w jej prze-

kładzie tom Emily Dickinson *Jest pewien ukos światła. Poezje wybrane*. Wkrótce ukaże się jej bajka *Krysia od Rysia. Niestylchane historie o życiu (i nie tylko)*. Mieszka w Rzeszowie.

ADAM LIZAKOWSKI

Ur. w 1956 r. w Dzierżoniowie. Mieszkał i pracował w Pieszczych na Dolnym Śląsku, od 1981 r. w USA. Polsko-amerykański poeta, prozaik, tłumacz, laureat Międzynarodowej Nagrody Fundacji Turzańskich (Kanada, 2000) i Award World Poetry Day UNESCO (2008), Elma Stuckey Poetry Award (2010). Studiował w Columbia College Chicago na kierunku *creative writing* oraz w chicagowskim Northwestern University. Jest członkiem redakcji kwartalnika „TriQuarterly Online” wydawanego przez ten uniwersytet. Opublikował w języku polskim i angielskim ponad 20 tomów poetyckich. Ostatnio m.in. *Dziennik pieszycki* (Biława 2016) i *Jak zdobyto Dziki Zachód. Wiersze i poematy* (WBPICAK, Poznań 2017). Przekładał na polski wiersze Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Carla Sandburga, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Boba Dylana, a także Lao Tsy i Rumiego (przekłady z języka angielskiego). W serii Biblioteka „Frazy” ukazały się jego *Zapiski znad Zatoki San Francisco* (2004). Jest także autorem sztuk teatralnych. Odznaczony m.in. brązowym medalem Kultury Gloria Artis i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). W 2016 r. powrócił do Polski. Mieszka w Świdnicy.

WASYL MACHNO

Ur. w 1964 r. Ukraiński poeta, eseista, tłumacz. Przed wyjazdem do Nowego Jorku (2001) mieszkał w Tarnopolu, gdzie pracował na tamtejszym uniwersytecie, w którym wcześniej studiował i obronił doktorat poświęcony poezji Bohdana Antonycza. Autor zbiorów wierszy: *Schizma* (1993), *Samotność Cezara* (1994), *Księga pagórków i godzin* (1996), *Lutowe elegie* (1998), *Płetwa ryby* (2002), *Cornelia Street Cafe* (2007), *Zimowe listy* (2011), *Chcę być jazzem i rock'n'rollem* (*Wybrane wiersze o Tarnopolu i Nowym Jorku* (2013), *Rower* (2015), *Wiersze jerozolimskie* (2016), *Papierowy most* (2017), *Poeta, ocean i ryba* (2019), książek eseistycznych *Park kultury i wypoczynku im. Gertrudy Stein* (2006), *Toczyła się torba* (2011), *Rowerem wzdłuż oceanu* (2020), tomów opowiadań i esejów *Dom w Baiting Hollow* (2015), *Przedmieścia i pogranicza* (2019). W 2019 ukazała się jego monumentalna powieść *Kalendarz wieczności*, pierwsza laureatka nowej nagrody „Encounter” (2020), którą wydano w Polsce w 2021 r. w przekładzie B. Zadury. Ma w dorobku dwie sztuki *Coney Island* (2006) i *BITCH/BEACH GENERATION* (2007). Opublikował autorską antologię nowej poezji ukraińskiej lat dziewięćdziesiątych *Imiennik*, wybór wierszy Zbigniewa Herberta *Struna światła* (1998) i dwujęzyczny tom poezji Janusza Szubera *Spijamnyj u sit' / Złowiony w sieć* (2008). Tłumaczył na ukraiński wiersze: G. Benna, J. Łobodowskiego, C. Miłosza, V. Popy, J. Valentine, S. Dajda, B. Zadury. Utwory Machny przetłóżono na dwadzieścia pięć języków, jego książki ukazały się w Izraelu, Niemczech, Rumunii, Serbii i USA. W Polsce opublikował: wybór wierszy *Wędrowcy* (2003) w tłumaczeniu A. Nowaka, R. Rusnak i B. Zadury oraz (w tłumaczeniu tego ostatniego): *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko* (Wrocław 2006), dwujęzyczny wybór wierszy *Nitka* (Sejny 2011), autobiograficzna sylwa *Dubno, koło Leżajska* (Leżajsk 2012), tom opowiadań *Listy i powietrze* (Lublin 2015) oraz zbiór esejów *Express „Wenecja”* (Mikołów 2016).

KAZIMIERZ MACIĄG

Ur. w 1965 r. Dr hab., prof. w Zakładzie Literatury i Kultury XIX Wieku oraz Badań Mitoznawczych Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR, krytyk literacki, współpracownik „Frazy”. Pełnił funkcję prodziekana Wydziału Filologicznego UR i kierownika studiów doktoranckich. Opublikował książki *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”* (2001) i „*Naczelnym u nas jest artystą”*. *O legendzie Fryderyka Chopina w literaturze polskiej* (2010). Współredaktor kilku tomów zbiorowych, ostatnio: *Poe-land. Studia i szkice* (2017). Mieszka w Borku Starym.

KAROL MALISZEWSKI

Ur. w 1960 r. Poeta, prozaik, krytyk, tłumacz, animator kultury. Opublikował dziewięć książek krytycznoliterackich (ostatnia z nich to *Bez zaszeregowania. O nowej poezji kobiet*, Universitas, Kraków 2020), osiem książek prozatorskich (ostatnia to *Czarownica nad Włodzicą. Baśnie i legendy z Nowej Rudy i okolic*, 2021), oraz czternaście tomów wierszy (*Teatnia – Piosenka o przymerzaniu*, 2019), a także przekład wyboru poezji Jiříego Červenki (*Teatnia przekładu* (2016) i

edycję *Wierszy zebranych* Anny Zelenay (Biblioteka Zapomnianych Poetów, t. 15, Lublin 2019). Laureat nagród im. Marka Jodłowskiego, im. Barbary Sadowskiej, im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruno; za tom szkiców *Rozproszone głosy* nominowany do nagrody Nike 2007. Absolwent filozofii, dr hab. w dziedzinie literaturoznawstwa. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Mieszka w Nowej Rudzie.

JACEK MACZKA

Ur. w 1965 r. Poeta, literaturoznawca, wykładowca akademicki. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Rzeszowskim, gdzie uzyskał także stopień doktora nauk humanistycznych na podstawie rozprawy *Światopogląd poetycki Janusza Szubera* (2006). Laureat wielu konkursów poetyckich, m.in. finalista XII edycji OKP im. Jacka Bieriezina, laureat głównej nagrody Tyskiej Zimy Poetyckiej. Opublikował monografię *Powidła dla Tejrzejaszka. O poezji Janusza Szubera* (2009) oraz tomy wierszy: *Pomyśleć prześwit* (2009), *Kroisz coraz cieńsze* (2009), *Bliższe okolicie* (2010), *Zważone mrozem czyżynie* (2011), *Tupot, świst, chrzęst* (2012), *Dróżnik* (2014), *Brudy prac* (2016), *Kawatek uważnie / A Piece Mindfully* (2018). Mieszka i pracuje w Sanoku.

WOJCIECH MARYKA

Ur. w 1984 r., adiunkt w Zakładzie Romantyzmu i Pozytywizmu Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego. Autor monografii „*Nieśmiertelne pieśni*”? *Twórczość Adama Mickiewicza w „młodej” poezji polskiej po 1989 roku* (Rzeszów 2016). Jego zainteresowania naukowe koncentrują się na dziedzictwie romantycznym w literaturze polskiej XX i XXI wieku oraz poezji najnowszej. Publikował m.in. w „Pamiętniku Literackim”, „Przeglądzie Humanistycznym”, „Studiach Norwidianach” i „Frazie”. Mieszka w Rzeszowie.

ANTONI MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1945 r. we Lwowie. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, animator życia kulturalnego na polsko-czeskim pograniczu. Od 1946 mieszka na Dolnym Śląsku. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowe studia w zakresie muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy i Muzeum Okręgowym w Wałbrzychu. W 1981 r. członek zarządu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Woj. Wałbrzyskiego, organizator i redaktor naczelny pisma „Niezależne Słowo” (1980–1981 i 1989–1990). Internowany 13 XII 1981 r. W latach 80. zaangażowany w działalność Klubów Inteligencji Katolickiej, także w ruch Communione e liberazione, organizował poetyckie spektakle w świdnickich kościołach. Debiutował w 1972 r. w miesięczniku „Odra”. Jest autorem ponad trzydziestu książek poetyckich i prozatorskich oraz redaktorem kilku almanachów literackich. W 1996 r. zamieszkał na Ziemi Kłodzkiej (Stronie Śląskie, Stary Gieraltów), gdzie założył i redagował pismo Związku Gmin Śnieżnickich „Stronica Śnieżnicka” (1999–2000). Ostatnio opublikował: prozę *Znad Czarnego Wierchu* (2015), książkę esecystyczną *Bezustanny. Wobec pisarstwa Mariana Jachimowicza* (2016), *Wiersze o ziemi i niebie* (2017) i wspólny z Věrou Kopecką polsko-czeski zbiór wierszy we wzajemnych tłumaczeniach A. Matuszkiewicz, *Pod Wielką Sową / V. Kopecká, Echa z Gór Sowich* (2017). Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek honorowy Polsko-Czeskiej Grupy „Pocci 97”. Od 2008 r. mieszka w Martínkovicach koło Broumova w Czechach.

IWONA MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1969 r. w Świdnicy, absolwentka wrocławskiej polonistyki oraz podyplomowych studiów dla nauczycieli języka angielskiego. Doktorantka w zakresie komparatystyki na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze (twórczość Stanisława Vincenza) i w zakresie literatury czeskiej na Uniwersytecie Palackiego w Olomuncu (twórczość Václava Vokolka). Pracuje jako nauczycielka języka angielskiego w gimnazjum w Broumovic. Opublikowała (pod panieńskim nazwiskiem Mesjasz) zbiór opowiadań *Gagufy* (2003). Pisze wiersze i prozę oraz aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym polsko-czeskiego pogranicza. Od 2008 r. mieszka w Czechach, w Martínkovicach koło Broumova.

RYSZARD MŚCISZ

Ur. w 1962 r. Nauczyciel języka polskiego w Zespole Szkół w Jeżowie, gdzie mieszka. Krytyk

literacki, publicysta, satyryk, poeta. Opublikował sześć tomów poezji: *Życie to tylko impresje* (2000), *Wibracje* (2002), *Na strunach lat* (2004), *Roześnięcie* (2007), *Strumienie poezji* (2010), *Kołatanie do wrót nocy* (2019), zbiór felietonów satyrycznych *Zezem na świat* oraz tom prozy *Swojski diabeł i inne humoreski* (2012). Publikował w „Głosie Nauczycielskim” i w prasie lokalnej („Super Nowości”, „Gazeta Jeżowska”). Jest współautorem albumu *Jeżowe* (2004).

LINDA PASTAN

Ur. w 1932 r. w Nowym Jorku, amerykańska poetka i cseistka żydowskiego pochodzenia. Opublikowała piętnaście tomów poezji. Ostatnie to: *Traveling Light* (2011), *Insomnia* (2015), *A Dog Runs Through It* (2018). Jest laureatką wielu prestiżowych nagród, m.in. Dylan Thomas Award, Alice Fay di Castagnola Award (Poetry Society of America), Bess Hokin Prize („Poetry Magazine”), Poet Laureate of Maryland. Jej tomy były dwukrotnie nominowane do National Book Award. Jest matką powieściopisarki Rachel Pastan. Mieszka z mężem w Chevy Chase w stanie Maryland.

JOLANTA PASTERSKA

Prof. dr hab. w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR, od 2019 r. zasiada w Radzie Uniwersytetu Rzeszowskiego. Kierowniczka Pracowni Badań i Dokumentacji Kultury Literackiej, redaktorka rocznika naukowego UR „Tematy i Konteksty” i kilku jego numerów problemowych, redaktorka serii wydawniczej „Z Archiwum Pisarza”. Opublikowała monografie: *Świat według Tyrmanda. Przewodnik po prozie fabularnej Leopolda Tyrmanda* (1999); „*Lepszy Polak*”. *Obrazy emigrantów w prozie polskiej po 1945 roku* (2008); *Emigrantki, nomadki, wagabundki. Kobięce narracje (e)migracyjne* (2015); *Wygnanie i mit. Szkice o pisarzach (e)migracyjnych* (2019). Redaktorka i współredaktorka ponad 30 tomów zbiorowych, m.in. *Skład osobowy. Szkice o prozaikach współczesnych*, cz. 1 (2014); t. 2 (2016); *Pisarstwo Kazimierza Brauna* (2017), „*Tu jestem. Zamieszkuję własne życie*”. *Studia i szkice o twórczości Anny Frajlich* (2018); *Dyskursy pogranicza. Wektory literatury* (2019). Mieszka w Rzeszowie.

JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964 r. Prof. dr hab. w Zakładzie Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, od 2019 dyrektor Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. Historyk literatury, krytyk literacki, poeta. Opublikował *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie wielokulturowości* (2011), *Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej* (2019) oraz tomy poezji: *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka* (2018). Współredaktor publikacji: *Proza polska na obczyźnie*, t. 1 i 2 (2007), *Inne dwudziestolecie 1989–2009*, t. 1 i 2 (2010), *Przybysz dzisiaj* (2017); *Kontynenty, t. pierwszy: Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (2019). Redaktor książki *Dwudziestolecie międzywojenne. Nowe spajrzania* (2019). Od 1997 r. w redakcji „Frazy”, gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

TOMASZ PYZIK

Ur. 1975 r. w Zabrzcu. Krytyk literacki, historyk literatury związany z Uniwersytetem Śląskim. Nauczyciel w I LO w Gliwicach, współpracuje z International Baccalaureate Organization. Autor książek *Predestynacja w twórczości Aleksandra Wata* (2004) i *Twórczość poetycka Wojciecha Bąka* (2007). Publikował artykuły i szkice krytyczne w pracach zbiorowych i czasopiśmie. Stale współpracuje z pismem „Topos”.

MAGDALENA RABIZO-BIREK

Ur. w 1964 r. w Kamińsku. Literaturoznawczyni, krytyczka literacka i krytyczka sztuki. Dr hab. prof. UR, w latach 2016–2019 kierowniczka Zakładu Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego, w kadencji zaczynającej się w 2020 r. wybrana do Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Od 1998 r. redaktorka naczelna „Frazy”. Autorka książek: *Czytanie obrazów. Teksty o sztuce z lat 1991–1996* (1998), *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza*

Odojewskiego (2002), *Romantyczni i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej* (Rzeszów 2012). Kuratorka wystaw w Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu *Bez końca o człowieku* (2003, 2008) i *Refleksje o naturze w sztuce ponowoczesnej* (2009). Współautorka (z Józefem Ambrozowiczem) albumu *Józef Mehoffer – artysta dwóch epok* (Rzeszów 2010). Redaktorka pracy zbiorowej *Boom i kryzys. Nowe polskie czasopisma literacko-artystyczne i społeczno-kulturalne po roku 1980* (2012). Współredaktorka m.in. książki: *Poeta czulej pamięci. Studia i szkice o twórczości Janusza Szubera* (2008), *Światy Olgi Tokarczuk* (2013), *Przyboś dzisiaj* (2017), *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka* (2018), *Obroty liter. Szkice o twórczości Tomasza Różyckiego* (2019). Redaktorka i autorka szkiców czterech tomów *Sztuki Podkarpacia* (2010, 2011, 2013, 2015). Członkini Podkarpackiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Stowarzyszenia Literackiego im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi, Stowarzyszenia Góry Babel w Nowej Rudzie. Laureatka Nagrody Fundacji Turzańskich (Toronto 2004). Mieszka w Rzeszowie i Jedlnicz-Zdroju.

EWELINA RADION

Dr nauk humanistycznych, absolwentka filologii polskiej (WSP Rzeszów 2000) oraz poddyplomowych studiów interdyscyplinarnych i komparatystycznych (UJ Kraków 2007). Autorka pracy doktorskiej o twórczości Wiesława Kulikowskiego, prac z zakresu akustyki muzycznej i akustyki mowy, szkiców o melancholii w poezji i melancholii ponowoczesnej. Publikowała m.in. w „Archives of Acoustics”, „Ruchu Muzycznym”, „Acta Humana” i we „Frazie”. Mieszka w Rzeszowie.

PHILIP ROSENAU

Ur. w 1946 r. w Świebodzicach, w 1957 r. wyjechał z rodzicami do Izraela. Studiował matematykę na uniwersytecie w Tel Awiwie i Uniwersytecie Nowojorskim (gdzie się doktoryzował). Następnie pracował na politechnice w Hajfie, od 1994 na stanowisku profesora matematyki stosowanej uniwersytetu w Tel Awiwie, gdzie sprawował m.in. funkcję dziekana Wydziału Matematyki. Jego specjalności to nieliniarna fizyka matematyczna oraz badanie matematycznej struktury teorii i hipotez fizycznych. Jego najbardziej znaną pracą naukową jest rozprawa *Compactions. Solutions with finite wavelength* (1993, współautor James Mac Hyman). Opublikował zbiory wierszy i aforyzmów: *Kavha'shever* [Pęknięcie], 1994 (Nagroda im. Czernichowskiego), 2000; *Machshavot taunot tipuach* [Myśli na wydaniu], 2001; *Sapney ha'shefel. Shirim 1991–2007* [Żeglarczy odplywu. Wiersze 1991–2007], 2008; *Lavoreshbon* [Obrachunek], 2010; *Neged kivun-ha'shaon* [Pod prąd zgiełku], 2015; *Mukdam midai hechel lihiyot meuchar* [Za wcześniej zrobiło się późno], 2012; *Al chuda shelshtika* [Na szpicy milczenia] 2016; *Café KAFKA* [Kawiarnia Kafka], 2017; *Mar'e me'al geszer hazman* [Widok z mostu czasu], 2019. Jego utwory tłumaczone były na język polski (także w formie autoprzekładów), angielski, francuski i niemiecki.

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Ur. w 1974 r. w Białymstoku. Poeta. Autor czterech tomów wierszy (*Tykocin – miasteczko bajeczka*, 2003, *Odcienie*, 2008). Laureat Nagrody Głównej IV Ogólnopolskiego Konkursu na Autorską Książkę Literacką za tom *Kulki rłęci* (2011), Laureat Grand Prix XII Tygodni Ziemi poetyckiej w 2012 za tom *Dworzec św. Łazarza*, trzykrotnie głównych nagród w OKP im. K. Rantonia (I miejsce: 2014, II: 2018, III: 2020). Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za najlepszą książkę literacką roku 2011 oraz 2012. Publikował w prasie literackiej i almanachach. Jego twórczość była tłumaczona na języki: angielski, rosyjski i szwedzki. Mieszka w Nowym Sączu.

ROMAN SABO

Ur. w 1957 r. w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Poeta, tłumacz, eseista. W 1980 r. wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na Uniwersytecie w Toronto. Wiersze, eseje, przekłady poezji publikował m.in. w „Twórczości”, „Akcentie”, „Przeglądzie Polskim” (Nowy Jork), „Nowym Prądzie” (Toronto). Opublikował tomy wierszy: *Niech będzie* (2005), *Cienie* (2011) i *Podwórko* (Biblio-

teka „Frazy”, Toronto – Rzeszów 2015). W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Seamusa Heaney’a w jego przekładach. Mieszka w Vancouver.

JOANNA SARNECKA

Antropolożka kultury, animatorka, opowiadaczka w założonej przez siebie grupie Opowieści z Walizki (www.opowiescizwalizki.pl), performerka; praktykuje taniec butoh. Brała udział w spektaklach teatralnych, m.in. spektaklu *Czarna Mańka królowa przedmieścia* – jako tancerka i aktorka – teatr Scena Lubelska (Warszawa), *Mamuna – czyli baba-dziwo* (aktorka i współautorka scenariusza), grupa Furu Kolektyw (spektakl zrealizowany na Rok Tuwima ze środków MKiDN). Pracuje teatralnie ze społecznościami lokalnymi, także osobami z niepełnosprawnościami. Od kilku lat mieszka na Podkarpaciu, gdzie prowadzi projekty kulturalne z dziedziny ochrony dziedzictwa żydowskiego oraz edukacji międzykulturowej. Aktywnie działa w Stowarzyszeniu Sztetl Dukla. Działa jako trenerka Szkoły Dialogu. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – projekt „Spódnica ze wszystkich kwiatów świata” (badania terenowe wśród Romów Karpaccich i wspólne z nimi działania, także teatralne). Otrzymała wyróżnienie w konkursie „Tygodnika Powszechnego” na opowiadanie oraz w konkursie na prozę kryminalną (Festiwal Kryminału we Wrocławiu). Wyłowiona w połowie poetyckim Biura Literackiego 2016. Doktorantka w Kolegium Humanistycznym UR. Zadebiutowała tomem prozy *Dziennik uciekiniera* (wyd. Oficynka, 2017).

MAŁGORZATA SKAŁBANIA

Ur. 1965 r. w Tychach. Pisarka i malarka. Studiowała malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie; dyplom u prof. Jerzego Nowosielskiego, staż w ASP w Kampen (Holandia). W Paryżu uczestniczka pracowni ADAC. Publikowała wiersze i opowiadania m.in. w „Twórczości”, „Akcentie”, „Toposie”, „Ricie Baum”, „Śląsku”, „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, „Latarni Morskiej”, witynie literackiej Fundacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wydawnictwie j, zbiorach poetyckich i magazynach literackich w USA oraz Indiach. Autorka tomów poezji: *Naleciałości*, *Szmucytul*, *Ćwirko*, miniatury *Jest coś do zrobienia. It something to do. Che barbaro momento, Skruhowi*, dramatu *Golej divi-divi*. Wyrzucona z teatru w Lublinie, podjęła pracę opiekunki w Wielkiej Brytanii.

PIOTR SMOLAK

Studiował medycynę, ukończył teatrologię. Autor wierszy i sztuk teatralnych, z których kilka zostało opublikowanych, m.in. *Nowa Huta, moja miłość; Upadek trójekątów, Made in Pornoland* (wystawiona przez teatr offowy *Eloë*). Ze składem R.i.p. Rap wydał minialbum *Modlitwy z okresu przeklinania*. Był scenarzystą kilku seriali telewizyjnych, aktorem w Teatrze Sytuacji oraz w Teatrze Om.

GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w 1958 r. w Łodzi, gdzie mieszka. Prozaik, poeta, krytyk, artysta sztuk wizualnych. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w empiku, domach kultury i bibliotekach, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Debiutował w 1992 r. wydanym przez Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego w Łodzi zbiorem opowiadań *Zagłada fasoli*. Ostatnio opublikował zbiór opowiadań *Kra* (2016). Wyróżniony w Konkursie Fundacji Kultury za powieść *Łzy* (1999, adaptacja w Teatrze Telewizji w reżyserii F. Zylbera z M. Bonaszewskim w roli głównej), dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” (za powieści *Łzy* oraz *Pigment*). Prace malarskie i fotograficzne prezentował na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych w Łodzi.

ROBERT SUWAŁA

Ur. w 1971 r. w Tychach. Z wykształcenia prawnik, ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikował swoje teksty w „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, z którymi stale współpracuje, w „Kresach”, „Twórczości i „Akcentie”. Miłośnik twórczości Brunona Schulza.

ANDRZEJ SZUBA

Urodzony w 1949 r. w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji angielskojęzycznej. W ostatnich latach opublikował m.in. Walt Whitman, *400 wierszy i poematów* (2014); *Wiersze z Walii* (2015); *Wiersze ze Szkocji* (2015); *Obraz i wir. Antologia anglo-amerykańskiego imagizmu* (2016; z Leszkiem Engelkingiem); Emily Dickinson, *333 wiersze*; Ron Padgett, *Bezczynność butów* (2018); D.H. Lawrence *Kici, kici* (2019) oraz zbiory własnych utworów: *44 strzępy* (2015); *33 strzępy* (2016); *Milczysz* (wybór; 2016), *22 strzępy* (2016); *11 strzępów* (2017); *Jest tam kto?* (2017); *444 strzępy* (wybór; 2018); *Wygasic* (2020). Mieszka w Katowicach.

JACEK ŚWIŁO

Ur. w 1965 r. Studiował we Wrocławiu polonistykę, prawo i podyplomowo filozofię. Miał się wielu zawodów (m.in. grał jako saksofonista w niszowych kapelach, aktualnie: The Overview Effect, wystawiał na prowincji prace plastyczne, prowadził rubrykę satyryczną w tygodniku lokalnym). Jest laureatem konkursów literackich, ostatnio II nagrody w Konkursie Poetyckim im. S. Grochowiaka (Leszno, wrzesień 2020), II nagroda w Konkursie Poetyckim „Refleksy” (Szczecin, luty 2021). Późny debiut książkowy, tomik poetycki *Tu, w dole* ukaże się 2021 r. w wydawnictwie Norbertinum.

BEATA TARNOWSKA

Literaturoznawczyni, prof. dr. hab. Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, tłumaczka literatury (głównie poezji) anglojęzycznej i izraelskiej, edytorka. Autorka książek: *Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza* (1996), *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”* (2004), *Wokół „Kontynentów”. Szkice i rozmowy z poetami* (Olsztyn 2011), *Tel Awiw – Jerozolima. Literackie kreacje przestrzeni miejskiej* (2019). Opublikowała tomy przekładów: poezji Amira Ora *Wiersze* (2006) i *Twarze* (2014), Hesi Leskligo *Taniec na torach* (2017), Magdaleny Stąpik, *sine wave / sinusoida* (2018), Agi Mishol *Jestem stąd. Wiersze* (z A. Adamczyk i J. Radczyńską, 2020), opatrzyła notami i posłowiami tomy *Kohelet* Andrzeja Buszy (Biblioteka „Frazy”, Rzeszów 2008), Renaty Jabłońskiej *I te. Wiersze wybrane* (2010) oraz też zbior opowiadań *Zastój* (2017). Szkice i przekłady publikowała m.in. na łamach „Literatury na Świecie”, „Frazy”, „FA-artu”, „Archiwum Emigracji”, „Portretu” oraz w naukowych wydawnictwach zbiorowych. Laureatka Nagrody Fundacji W. i N. Turzańskich (2007). Mieszka w Olsztynie.

MARTA TOMCZYK-MARYON

Ur. 1968 r. Poetka, prozaiczka i blogerka. Z urodzenia i zamilowania krakowianka. Autorka książek edukacyjnych m.in. *Jak czytać wiersze? (Interpretacje wierszy)* (2006), *Jak czytać wiersze i oglądać obrazy?* (2010) oraz biografii *Wyspiański* (2009). Pisuje horrory i opowiadania kryminalne. Prowadzi dwujęzyczny blog „Trolle i misie” poświęcony skandynewskiej literaturze dla dzieci i młodzieży <http://trolleimisie.blogspot.no/>. W roku 2015 zdobyła I nagrodę w konkursie poetyckim im. Kazimierza Ratonia. Rok później ukazał się jej debiutancki tomik *Sto par bytów*. Od roku 2010 mieszka w Norwegii, gdzie pracuje jako dziennikarka.

TERESA TOMSIA

Poetka, eseistka, animatorka kultury. Pochodzi z ziemiańskiej rodziny kresowian, urodzona w Wołowic na Dolnym Śląsku, wychowała się w pomorskim miasteczku przesiadleńców, co opisuje w książce *Świdwin przypomniany* (2018). Absolwentka polonistyki UAM i studium rezserii. Publikowała w pismach literackich: „Czas Kultury”, „W Drodze”, „Kultura” (Paryż), „Zeszyty Literackie”, „Topos”, „Gazeta Malarzy i Poetów”, „Tygiel Kultury”, „Wyspa”, „Akcent”, „Fraza”, w antologii *Poznań Poetów* (2011), albumie *Homo homini res sacra* wydanym na 40-lecie Centrum Dialogu w Paryżu (2016). Jej książki poetyckie ukazały się w tłumaczeniu na język niemiecki: *Wieczna rzeka / Der ewige Fluss* (1996) oraz na język niemiecki i francuski: *Schöner / Piękniejsze / C'est plus beau* (2000). Wydała prozę dokumentalizowaną o deportacjach z ziemi nowogrodzkiej *Dom utracony, dom ocalony* (2009) oraz szkice literackie *Z szarego notatnika* (2015) i *Niedosyt poznawania* (2018). Ostatnio ogłosiła tomiki wierszy *Gdyby to było proste* (2015) i *Kobieta w kaplicy* (2016). Uehonorowana m.in. maledem Zasłużony Kulturze

Gloria Artis (2007) i Medalem Wojewody Wielkopolskiego im. W. Celichowskiego (2015). Od 1981 r. mieszka z rodziną w Poznaniu. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

ANDRZEJ TOPCZYJ

Ur. w 1962 r., zmarł 30 listopada 2020 r. Poeta i prozaik. Od 1987 r. nauczyciel języka polskiego w LO w Bieczu, poeta, animator życia kulturalnego w rodzinnym mieście (m.in. założyciel Klubu Inteligencji Twórczej). Ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie, podczas studiów aktywnie działał w ruchu studenckim. Był członkiem grupy poetyckiej „Draga” i zadebiutował w jej antologii *Ślepcy pod słońcem* (drugi tom Biblioteki „Frazy”, Rzeszów 1992). Współzałożyciel „Frazy” i jej redaktor w pierwszych latach istnienia. Został wyróżniony w Konkursie Poetyckim im. R.M. Rilkego (1999). Ogłosił tomiki wierszy *Wieczorny chłód* (1999) i *W stronę ulicy Parkowej* (2009). Został uhonorowany Nagrodą Starosty Powiatu Gorlickiego.

JAN TULIK

Ur. w 1951 r. w Gołęczynie k. Tarnowa. Poeta, prozaik, eseista, animator życia literackiego na Podkarpaciu. Autor tomów wierszy: *Zdarzenie w C-durze*, *Ocalone drzewo*, *Budzenie licha*, *Wada pierworodna*, *Suplikacje*, *Godzina drogi*, *Szepty przy „Początku świata”* oraz wyborów wierszy *Kaligrafia zdziwienia* (2011) i *Poezje wybrane* (2012). Opublikował również: powieści *Doświadczenie* (nagroda w konkursie wydawnictwa MAW), *Furta* (nagroda Fundacji Kultury), zbiór opowiadań *Gry nieużyteczne*, dramat *Kontynenty* (wystawiony przez krakowski Teatr Bez Rzędów). Jest autorem monografii o wynalazcy Janie Szczepaniku, życiu i twórczości Franciszka Pika-Mirandoli, kilkuset esejów i szkiców oraz słuchowisk radiowych (prezentowanych w I i III programie PR oraz zrealizowanych w Radiu Rzeszów). Ostatnio opublikował w serii Biblioteka „Frazy” poemat *Trzewiczek Amalii albo umarłych z żywymi obcowanie* (2016), tomy poezji *Opisze to noc. 101 pomysłów na uty i haiku* (2019); *Tratwy Nostradamusa* (2020). Laureat nagród: im. Stanisława Piętaka, im. R. Milczewskiego-Bruno, kilkakrotnie stypendysta Ministra Kultury i Sztuki, nagród Miasta Rzeszowa (1998) i Miasta Krosna (2002) w dziedzinie literatury. Mieszka w Miejscu Piastowym.

KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Poetka, eseistka, nowelistka; autorka książek: *Klasztor żeński* (1988), *Stabość* (1992), *Innocenty Białe Piórko* (2008), *Bracia Strach i inne opowiadania* (2009); Krakowska Książka Miesiąca, *Szept nad szeptami* (2016). Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji, prozy, dramatu i twórczości dla dzieci – wśród nich: im. Poświatowskiej, Grochowiaka, Żeromskiego, Tuwima. Eseje, opowiadania i wiersze drukowała w „Dekadzie Literackiej”, „Nowej Dekadzie Krakowskiej”, „Zadrze” i „Frazie” (cykl podróży *Wielki Brat Zachód*). W tłumaczeniach publikowana m.in. w czasopiśmie: „The Rialto”, „Verse” (Wielka Brytania), „Iton 77”, „Pseyfas”, „Gag” (Izrael).

JACEK UGLIK

Ur. w 1976 r. w Zielonej Górze. Filozof, poeta, eseista. Debiutował tomikiem poetyckim *Jeszcze nie całkiem umarły* (Olsztyn 2005). Autor książek *Michała Bakunina filozofia negacji* (2007), *Dostojewski, czyli rzecz o dramacie człowieka* (2014), *Aleksandra Hercena dyskurs o człowieku, czyli projekt rosyjskiej filozofii otwartej* (2016). Ostatnio opublikował drugi tom wierszy *Trzeba by jakoś umrzeć* (Szczecin 2017). Wybrane teksty własne publikuje pod adresem: jacekuglik.blogspot.com.

VÁCLAV VOKOLEK

Ur. w 1947 r. w Děčínie w północnych Czechach. Syn katolickiego poety i eseisty Vladimíra Vokolka. Poeta, prozaik, eseista, autor prac o kulturze czeskich ziem. Także malarz, grafik, autor publikacji bibliofilskich oraz twórca projektów fotograficzno-literacko-muzycznych. Po niedokończonych studiach wyższych był zarządcą zamku, pracownikiem muzeum i konserwatorem dzieł sztuki. Po 1989 r. redaktor czasopism, współtwórca wydawnictwa „Triada”. Od roku 1995 wykładowca Wyższej Zawodowej Szkoły Publicystyki w Pradze. Opublikował kilkadziesiąt książek, w tym również zakazaną dawniej twórczość ojca i innych członków rodziny. Interesuje

się kulturą polską. W latach siedemdziesiątych XX w. miał kilka wystaw w Polsce (nie mogąc wówczas wystawić w Czechosłowacji). Kilkakrotnie odwiedził Dolny Śląsk po roku 2000, m.in. w roku 2017 w Kłodzku miała miejsce wystawa jego malarstwa, a w Wałbrzychu odbyło się spotkanie autorskie. Jego wiersze i fragmenty prozy były kilkakrotnie prezentowane we „Frazie”. Mieszka w Milovicach.

ALEKSANDER WIERNY

Ur. się i mieszka w Częstochowie, pomieszkuje w Sygontce. Absolwent filozofii na Uniwersytecie Wrocławskim. Kiedyś dziennikarz prasowy i telewizyjny w lokalnych redakcjach, dziś urzędnik. Wydał prozę gatunkową – kryminały *Światło i Teraz*, horror *Krew i strach* oraz autobiograficzną prozę *Matka mojego dziecka*. W 2019 r. ukazała się jego debiutancka książka poetycka *Sygonka* (nominacja do nagrody Orfeusz), w 2020 r. kolejny tom poetycki *Częstochowa*.

ZYGMUNT WAWRZYNIEC WOJSKI

Ur. w 1941 r. w Skierniewicach. Dr nauk humanistycznych. Studiował filologię romańską na Uniwersytecie Warszawskim oraz filologię hiszpańską i hispanoamerykańską na Uniwersytecie Hawańskim (Kuba). Ukończył także: Wyższy Kurs Filologii Hiszpańskiej w Maladze (Hiszpania) i Kurs Szkoły Badań Lingwistycznych w Madrycie. Odbył staż naukowy w Instytucie Studiów Hispanistycznych na Sorbonie. Był wykładowcą w Państwowym Instytucie Pedagogicznym w Caracas (Wenezuela) i w Instytucie Kultury Hispanistycznej w Madrycie. Wygłaszał wykłady na Kubie, w Meksyku, w Niemczech, we Francji, w Danii, w Hiszpanii, w Portugalii, w Brazylii, w Argentynie, w Gwatemali i w Panamie. W latach 1976–2007 był wykładowcą języka i kultury portugalskiej, gramatyki francuskiej i hiszpańskiej, historii i kultury Ameryki Łacińskiej oraz historii języka hiszpańskiego w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego (w latach 1998–1999 kierował Zakładem Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego). Przetłumaczył na polski z hiszpańskiego: powieści Ramóna Gómeza de la Serna *Co by Pan zrobił, gdyby Pan stracił głowę* i Augusto Roa Bastosa *Syn człowieczy*, wiersze panamskiej poetki Elsie Alvarado de Ricord; z portugalskiego wyborów wierszy José Saramago *Iberyjski gawędziarz i Trzy krople smutku*. Jest także autorem przekładów na język hiszpański Stanisława Wodzickiego *Z ulanami cesarza Maksymiliana w Meksyku* i wierszy Wisławy Szymborskiej. W serii Biblioteka „Frazy” opublikował dwa wybory wierszy Janusza Szubera – w przekładach na język hiszpański *Entelechia / Entelequia* (2012) i portugalski *Próba dębu / Teste do carvalho* (2019). Autor *Atlasu turystycznego Wysp Kanaryjskich* (2018).

JAN WOLSKI

Ur. w 1959 r. Dr hab. w Zakładzie Mediów Uniwersytetu Rzeszowskiego. Krytyk literacki, tłumacz literatury niemieckojęzycznej, wydawca, pasjonat sztuki książki, kierownik literacki i aktor teatru UR Scena Propozycji. Opublikował m.in. książki: *Wacław Iwaniuk. Szkice do portretu emigracyjnego poety* (2002), *„Im dalej w czas, tym mocniej będzie świecił”*. *Iwaniuk – Czechowicz* (2003), *Dotykanie wiersza* (2004), *Piotr Mordel – polski typograf i bibliofil w Berlinie* (Opole 2011, współautorka Maria Kalczyńska) oraz tomy przekładów pisarzy szwajcarskich: Flurina Speschy, Franza Hohlera, Hermanną Burgera, Luise Famos, Armina P. Bartha, Hugo Loutschera. Współredaktor i redaktor kilkunastu tomów prac zbiorowych oraz wielu tomów poezji, prozy, esejów, wspomnień, wydanych w serii Biblioteka „Frazy”. Ostatnio opublikował w serii Biblioteka „Frazy”: monografię *Szwajcaria w piśmiennictwie polskim. Od XIX wieku do czasów najnowszych* (2019), zbiór tekstów krytycznych *Reagować – opisywać* (2021), antologię polskiej poezji o Szwajcarii (2021). Zredagował monografię zbiorową *Zaglądać w oczy makom i stokrotkom. Twórczość Stanisławy Kopiec. Studia, szkice, wspomnienia* (2019). Laureat Nagrody Miasta Rzeszowa w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za „popularyzowanie i promowanie literatury emigracyjnej w polskojęzycznym świecie” (2020). Mieszka w Rzeszowie.

STEFAN ZABIEROWSKI

Ur. w 1940 r., prof. dr hab., emerytowany profesor Uniwersytetu Śląskiego, badacz polskiej literatury współczesnej, szczególnie zaś pisarzy pokolenia Kolumbów (Jana Józefa Szczepańskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Borowskiego), interesujący się też sposobami prezentacji wojny w literaturze. Szczególnie dużo miejsca w jego pracach zajmuje problematyka

biografii i twórczości Josepha Conrada-Korzeniowskiego oraz różnorodnych związków tego pisarza z kulturą polską.

BOHDAN ZADURA

Ur. w 1945 r. w Puławach, gdzie mieszka do dziś. Poeta, prozaik, krytyk, tłumacz literatury angielskiej, ukraińskiej, węgierskiej, rosyjskiej i białoruskiej, redaktor czasopism literackich „Twórczość” (w latach 2004–2020 jej redaktor naczelny) i „Akcent” (1980–2004), współpracownik „Literatury na Świecie”. Debiutował w 1968 r. powieścią *Lata spokojnego słońca* i tomikiem wierszy *W krajobrazie z amfor*. Ogłosił ponad 20 tomów poezji (m.in. *Małe muzea*, 1977; *Prześwietlone zdjęcia*, 1990; *Cisza*, 1994; *Ptasia grypa*, 2002; *Nocne życie*, 2010; *Po szkodzie*, 2018; *Puste trybuny*, 2021) oraz kilka tomów prozy i tekstów krytycznoliterackich. W latach 2005–2007 wydawnictwo Biuro Literackie, z którym stale współpracuje, opublikowało jego *Dzieła zebrane*. Uhonorowany m.in. nagrodami im. Stanisława Piętaka (1994), im. Józefa Czechowicza (2010), im. Gábora Bethlena (2013), Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Hryhorija Skoworody (2014), Złotym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” (2015), im. Cypriana Norwida (2015), Nagrodą ZAiKSu (2016); Wrocławską Nagrodą Poetycką „Silesius” za całokształt twórczości (2018); Nagrodą „Literatury na Świecie” w kategorii przekład poezji (2020), a także nagrodami na festiwalach Kijowskie Laury i „Diēt e Naimit” oraz nagrodą im. Pantelejmona Kuliszka. Opublikował autorskie antologie poezji ukraińskiej *Wiersze zawsze są wolne* (2004, 2005, 2007) i poezji węgierskiej *Węgierskie lato* (2010) oraz tomy wierszy m.in.: D.J. Enrighta, Johna Ashbery’ego, Tony’ego Harrisona, Johna Guzłowskiego, Mihály’ego Babitsa, Dmytra Pawłycki, Jurija Andruchowycza, Serhija Żadana, Andrija Bondara, Wasyla Machny, Ostapa Sływynskiego, Natałki Biłocerkiweć, Hałyny Kruk, Wasyla Łozińskiego, Wasyla Słapczuka, Istvána Kovácsa, Pétera Kántora, Andreja Adamowicza, Julii Cimafliejew, Siarhija Pryłuckiego, Petra Milčáka; powieści i zbiory prozy: D.J. Enrighta, Johna McGaherna, Dzwinki Matijasz, Andrija Lubki, Kateryny Babkiny, Natałki Śniadanko, Jurija Wynnyczuka, Ołeha Sencowa, Andrija Bondara i Wasyla Machny. Przełożył *Tragedię człowieka* – poemat Imre Madácha, główne dzieło węgierskiej dramaturgii. W 2011 r. Biuro Literackie opublikowało wybór rozmów z poetą *Klasyk na luzie*, przygotowany przez Jarosława Borowca. Jego wiersze tłumaczono na wiele języków, weszły do licznych antologii poezji polskiej, kilka osobnych wyborów ukazało się w Ukrainie i na Węgrzech. W 2020 r. w Łucku jego powieść *Lata spokojnego słońca* ukazała się w przekładzie Wasyla Słapczuka.

JACEK ANTONI ZIELIŃSKI

Ur. w 1936 r. w Warszawie, gdzie mieszka. Malarz, rysownik, krytyk sztuki, autor opowiadań i dramatów. W latach 1954–1960 studiował w warszawskiej ASP (dyplom w pracowni prof. Tadeusza Kuliszewicza). Jest twórcą kolekcji „Krań Arsenau” w Muzeum Lubuskim im. J. Dekerta w Gorzowie Wlkp., którą kierował w latach 1978–2002. W latach 1971–1981 stworzył i prowadził galerię „Wystawy na Pięknej”, w latach 1984–1989 współpracował z galerią Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Był współtwórcą i redaktorem ukazującego się w drugim obiegu w latach 1984–1989 pisma o sztuce „Szkie”. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych, m.in. *Dokumenty rzeczywistości i koncepcje przestrzeni w sztuce współczesnej* (Muzeum Narodowe w Warszawie 1979, 1984), *Kosmos i Metafora – Przestrzeń* w Muzeum Lubelskim (1977, 1978), *Rysunek i opis, 10 lat później i Rysunek na koniec wieku* w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu (1980, 1992, 2000). Z wielu wystaw indywidualnych wyróżnia wystawy w: warszawskiej galerii Kordegarda (1976, 1993), galerii Domu Artysty Plastyka w Warszawie (*Motyw zimowy*, 1980 i *Światła nocy oraz inne prace z lat 1968–1999*, 1999–2000), BWA w Rzeszowie (2000), galerii „Krypta u Pijarów” w Krakowie (2006), zrealizowaną wspólnie ze Stanisławem Zbigniewem Kamińskim wystawę *Obrazy o niebie* w warszawskiej galerii „Test”, wystawę w Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach (wrzesień–październik 2019) oraz cztery wystawy w Muzeum Lubuskim w Gorzowie Wlkp. (1977, 1984, 1993, 2011). Opublikował książki: *Prawdziwe pozory sztuki nowoczesnej* (1965), *O widzeniu artystycznym* (1966), *Szkice o malarstwie i strukturze materii* (1991), z Joanną Stasiak dwa podręczniki do plastyki *Wiedza o sztuce* 5–8 i *Świat sztuki*. Jest autorem tekstów o sztuce i artystach oraz opowiadań, publikowa-

nych w monografiach zbiorowych, katalogach wystaw oraz pismach: „Fundamenty”, „Kierunki”, „Życie i Myśl” (kierował w nim działem „Sztuka”), „Miesięcznik Literacki”, „Arkusz”, „Fraza”, „Twórczość”. Jego prace znajdują się w zbiorach: Muzeum Narodowego w Warszawie, Biblioteki Narodowej, Centrum Sztuki Studio im. S.I. Witkiewicza, Muzeum ASP w Warszawie, Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, Muzeum Śląskim, Narodowym Muzeum Sztuki im. M.K. Čiurlionisa w Kownie i w zbiorach prywatnych w Polsce, Francji i Litwie.

EDWARD ZYMAN

Ur. w 1943 r. w Dobromierzu (woj. kieleckie), dorastał w Radomsku. Poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta, wydawca. Absolwent socjologii UJ. Do chwili wyjazdu z Polski dziennikarz Polskiego Radia w Katowicach oraz redaktor wydawanego poza cenzurą „Tygodnika Katowickiego”. Internowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981, rok spędził w więzieniach. Od marca 1983 w Kanadzie. Wydał kilka tomików poetyckich, m.in. *Z podręcznego leksykonu* (2006), *Jasność* (2011), *Poemat współczesny* (2014), *Bez prawa azylu* (wybór poezji, 2018), *Z dziecięcej fabryki złudzeń* (2018), *Bluźniąc bez umiaru. Wierszyki wszeteczne* (2019) oraz powieści dla młodzieży *Gdy krzywe jest proste* (2011) i *Ściana pełna jerzyków* (2011, wyróżnienie w III edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Wydawnictwa Telbit, Warszawa 2011). Jest także autorem monografii Fundacji im. Władysława i Nelli Turzańskich *Scalić oddalone* (Toronto 2008) oraz *Moty z papieru. O życiu literackim, sytuacji pisarza i jego dzieła na obczyźnie dla przykładzie działalności Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie w latach 1978–2008* (2010, Nagroda Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na Obczyźnie 2011). Prezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, jeden z członków założycieli Fundacji Turzańskich działającej w Toronto. Mieszka w Mississauga w Kanadzie.

ZAPROSILI NAS

Galeria Sztuki Współczesnej w Przemysłu na wystawy: online malarstwa Pawła Myszk *Czarne na czerwonym jedzie po zielonym* Galeria Zamek Przemyskie Centrum Kultury i Nauki Zamek w Przemysłu – 14.11.2020–28.02.2021; *Artefakty 20 / Teraz My! Młoda grafika Podkarpacia* (kurator: Łukasz Cywicki, artyści: Ewelina Bielecka, Amelia Kalwas, Klaudia Lech, Katarzyna Łach, Kinga Ostrowska, Sylwia Zawisłak) – 11.12.2020–13.01.2021; malarstwa Romana Opalińskiego (wystawa towarzysząca Międzynarodowemu Tricennale Malarstwa Srebrny Czworokąt Przemysł 2021 – 15.01–10.02.2021); Magdaleny Cybulskiej *Kołtuny i Rogorzec* – 12.02–24.03.2021; wystawę linorytów Sylwii Zawisłak (online) – 26.03.–5.05.2021; Andrzej Zalecki, *Linoryty z kolekcji Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu* w cyklu *40 x Słonne* – 7.05–2.07.2021; *Malarstwa Kazimierza Wiśniaka z kolekcji Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu* w okazji 90. urodzin artysty w cyklu *40 x Słonne* – Kresow Dom Sztuki w Dubiecku 30.05–9.07.2021.

Zespół Archiwum Włodzimierza Odojewskiego na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM na spotkanie online poświęcone monografii *Zapomniane, nieuśmierzone... Pamięć, zapomnienie, trauma w twórczości Włodzimierza Odojewskiego* – 2.12.2020

Instytut Polonistyki i Dziennikarstwa Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego na cykle Spotkania Naukowe online: prof. msc Alicja Goczyła Ferreira (Uniwersytet Federalny Stanu Paraná, Brazylia) *Emigracja polska w Brazylii oraz jej język jako jeden z brazylijskich języków imigracyjnych* – 23.11.2020; prof. dr hab. Marcin Wodziński (Uniwersytet Wrocławski) *Przestrzenie chasydyzmu. Humanistyka cyfrowa a badanie kultury i religii* – 7.12.2020, dr hab. prof. UJ Dorota Korwin-Piotrowska, *Eutoryka czyli sztuka dobrej rozmowy* – 8.12.2020; dr Michał Żmuda (Uniwersytet Rzeszowski) *Materialne okna na niematerialne krajobrazy. Dyskursywne i medialne aspekty interfejsów gier* – 18.01.2021; prof. dr hab. Alfred Gall (Johannes-Gutenberg Universität Mainz, Niemcy) *Trauma i fantastyka naukowa: casus Lema* – 1.03.2021; dr Agata Bloch

(Uniwersytet Warszawski, Polska Akademia Nauk) *Studia nad grupami podporządkowanymi – przypadek latynoamerykański. Teorie i ich zastosowanie przez polskiego badacza* – 19.04.2021; prof. Hélène Włodarczyk (Sorbonne Université) *Na kresach Europy? 50 lat literatury polskiej 1939–1989* – 24.05.2021; Spotkania Warsztatowe IPiD: *Podzielmy się doświadczeniem*. Seria pierwsza *Ucząc języka polskiego za granicą*; dr Romuald Narunec (Vytautas Magnus University, Kowno) „*Ojczyzną był język i i mowa...*”. *W poszukiwaniu tożsamości* – 26.04.2020; mgr Marcin Raiman (Uniwersytet Jagielloński) *Ucząc języka polskiego w Brazylii* – 22.03.2021; Spotkania Warsztatowe Studentów IPiDz cyklu *Miejsca świata: Indie* (z udziałem dr Tatiany Szurlej, Uniwersytet Delhijski, Delhi) – 29.03.2021; *Niderlandy* (z udziałem Agnieszki Bienias, Agnieszki Panasiuk, Olgi Sowy) – 10.05.2021; *Białoruś* (z udziałem Stypendystów Programu Stypendialnego Rządu RP im. Konstantego Kalinowskiego) – 17.05.2021; *Wiedeń* (z udziałem skrzypaczki Anny Gutowskiej) – 31.05.2021.

Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie na wydarzenia online: *To i ovo w historii sztuki: Czas – miniPodkast* (prezentuje Katarzyna Solińska) – 28.01.2021; Wirtualne spotkanie na wystawie Marleny Makiel-Hędrzak *Mijanie i trwanie* (oprowadzenie Marek Burdzy i Grzegorz Stefański) – 29.01.2021; *Czytamy o sztuce: Linie i słowa. O PreTekstach Marleny Makiel-Hędrzak* (szkie Janusza Pasternskiego czyta Marek Burdzy) – 31.01.2021; wystawy: *Artefakty 19 / Abstrakcja i natura* (kurator: Piotr Wójtowicz, artyści: Andrzej Cieszyński, Magdalena Cywicka, Bartosz Nalcępa, Antoni Nikiel, Narcyz Piórecki, Piotr Rędziniak) – 5.02.–31.03.2021; *Bogdan Biernat. Człowiek, artysta, pedagog* – 16.04.–12.05.2021; wystawę *Podkarpackie ślady Cybisów*. *Hanna Rudzka-Cybisowa i Jan Cybis w Wiśniowej* – 23.04.–12.05.2021; *Jakub Kaska Uropek* – 30.04.–30.05.2021 (wernisaż 7.05.2021); *Noc Muzeów* – 15.05.2021 (w programie m.in. wystawa Marka Burdzego *Noce obrazu*; spotkania otwarte z Krzysztofem Bryneckim w pracowni grafiki, „Teatr Malowania” Marka Burdzego, Pokaz *Screen-tests – Twarze Krosna*), wernisaż wystawy Mirosława Rymara *Bez cukru. Plakat* (kurator Grzegorz Stefański) – 21.05.2021.

BWA Galeria Sanocka na wystawę Barbary Porczyńskiej *Rytuály codzienne* – 12.02.2021–12.03.2021.

Teatr Przedmieście w Rzeszowie do siedziby teatru przy ul. Reformackiej w Rzeszowie na spektakle: *Święto* na motywach powieści W. Myśliwskiego *Kamień na kamieniu* – 7.11.2020; *Faust* wg tekstów J. W. Goethego i Ch. Marlowe’a – 11.11.2020; *Kroniki podwórkowe* – 14.02., 23.05.2021; *Otello Tonight!* – według dramatu W. Szekspira – 20–21.02.2021; *Podróż* na podstawie powieści T. Manna *Józef i jego bracia* – 28.02.2021; *Obietnica* według scenariusza Anety Adamskiej-Szukały i spotkanie z autorką i aktorami z okazji 10 lat prezentacji spektaklu – 6.03.2021; premierę spektaklu *Kiedys Ci opowiem...* wg tekstu i w reżyserii Anety Adamskiej-Szukały – 19.03.2021 i kolejne jego prezentacje: 29–30.05.2021, 6.06.2021.

Prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie Regina Wasiak-Taylor na Wręczenie Nagród Literackich Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za rok 2020 (z udziałem laureatów: Jana Wolskiego, Pawła Panaśa, Katarzyny Zechenter) – 28.03.2021 (spotkanie w trybie online).

Dyrekcja i Zespół Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie na premiery spektakli *Granica* w reżyserii Katarzyny Szyngiercy – 27.02.2021; Jarosława Jakubowskiego *Hiob’51* w reżyserii Jana Nowary i 60. Międzynarodowy Dzień Teatru – 16.05.2021.

Dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego na wystawę Marleny Makiel-Hędrzak *Mijanie i trwanie II*– Galeria Instytutu Sztuk Pięknych im. prof. Włodzimierza Kotkowskiego – 19.04.–16.05.2021 (uroczyste wirtualne otwarcie: 29.04.2021); otwarcie wystawy Międzynarodowego Projektu Artystyczno-Naukowego *Marina Abramović. Wolność absolutna* – 27.05.2021.

Jan Pastuła do Galerii Pastuła na wernisaż wystawy malarstwa Igora Przybylskiego *Polska. Tu mieszkam* – Poręby Kupieńskie 8.05.2021.

Dyrektor Kujawsko-Pomorskiego Centrum Kultury w Bydgoszczy Ewa Krupa na Gałę wręczenia Nagrody Poetyckiej im. Kazimierza Hoffmana „Kos” – Salon Hoffman Kujawsko-Pomorskiego Centrum Kultury w Bydgoszczy 5.06.2021 (prowadzenie: Dariusz Jakubowski).

Synagoga Rutika w Dzierżoniowie i The Polish Art and Poetry Association w Chicago na uroczyste zakończenie obchodów 40-lecia pracy twórczej Adama Lizakowskiego (z udziałem Doroty Mól z Klasą Fortepianu „d-mol” i tancerzy Kuba Dance Studio Jakuba i Iwony Karpierz z instrumentalistami – 9.06.2021).

Mirosław Szewczuk na pierwszą wystawę w Kamienicy Deskurów w Radomiu *Portrety i metafory życia* (Kolekcja Sztuki Współczesnej Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu) – 11.06.2021.

Galeria Sztuki Współczesnej Biura Wystaw Artystycznych w Olkuszu na Jubileusz 20-lecia Galerii BWA (w programie m.in. projekcja filmu dokumentalnego z okazji jubileuszu 20-lecia Galerii BWA w Olkuszu, otarcie wystawy rysunków Zdzisława Beksińskiego) – Aula Zespołu Szkół nr 3 i siedziba Galerii w Olkuszu 18.06.2021.

PUBLIKACJE NADEŚLANE

CZASOPISMA

„Elewator” 2020, nr 4 (2020)

„Akcent” 2020, nr 4 (162), 2021, nr 1 (163)

„Kroniki” (według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach) 2020, nr 2 (43), 3 (44), 4 (45), 2021, nr 1 (46)

„Nowy Napis” 2021, nr 9, 10

„Odra” 2020, nr 11 (697), 12 (698), 2021 nr 1 (699), 2 (700), 3 (701), 4 (702), 5 (703)

„Topos” 2021, nr 1 (176)

„Twórczość” 2020, nr 12 (901), 2021, nr 1 (902), 2 (903), 3 (904), 4 (905), 5 (906)

POEZJA

Manolis Aligizakis, *Nostos and algos / Powrót i ból*, przełożyli na j. polski z wersji angielskiej Mirosław Grudziń i Małgorzata Żurecka, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2020.

Anna Augustyniak, *Między nami zwierzętami*, Wyd. słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2020.

Wojciech Banach, *Mecz z Realem*, Biblioteka „Toposu”, t. 192, Sopot 2021.

Stanley H. Barkan, *Wiersze wybrane*, przekład Adam Szyper, Tomasz Marek Sobieraj, Jacek Świerk, Biblioteka „Krytyki Literackiej”, Edition Sur Ner, Łódź 2018.

Łukasz Barys, *Wysokie słońce*, Biblioteka Literacka kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź – Kraków 2020.

Marek Baterowicz, *Nad wielką wodą*, Vide Publishing, Sydney 2015.

Marek Baterowicz, *Na smyczy słońca*, Wyd. Fundacja Kulturalna „Puls Polonii”, Sydney 2008.

Marian Lech Bednarek, *Widowisko*, Wydawnictwo Pisarze.pl., Warszawa 2018.

Kazimierz Brakoniccki, *Pies na wiersze albo Pieczewo*, Wyd. Instytut Mikołowski, Mikołów 2021.

Sebastian Brejnak, *Filo*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Michał Ciruk, *Noceany i Popapranki*, Wyd. Książnica Podlaska, Białystok 2020.

Marek Czuku, *Jedenście metafor*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział w Krakowie, Kraków 2020.

Dominik Ćwik, *Cierpliwłość niespokojna*, Wyd. WBX, Rzeszów 2020.

David Day, *A letter from the hive / List z ula*, przekład Jacek Świerk, Tomasz M. Sobieraj, Editions sur Ner, Biblioteka „Krytyki Literackiej”, Łódź 2020.

Leszek Długosz, *Do szkiełka z Muzeum Czartoryskich*, słowo wstępne Waldemar Smaszcz, Wyd. Biblioteka Kraków, Kraków 2020.

Jelina Durković, *Kobiety serbskie*, przekład Olga Lalić-Krowicka, Wydawnictwo Ruthenus, Krosno 2020.

Olgierd Dziechciarz, *Podest na piedestale*, Wyd. Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2020.

- Zygmunt Ficek, *Na przedprozach baśni*, Biblioteka „Toposu”, t. 187, Sopot 2020.
- Anna Frajlich, *W pośpiechu rzeka płynie*, seria Tablice, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury 13 Muz, Szczecin, *Bezrzecze* 2020.
- Robert Gawłowski, *Dotknięcie*, Biblioteka „Toposu”, t. 183, Sopot 2020.
- Robert Gawłowski, *Wieża wiatrów*, Oficyna Wydawnicza Akwedukt, Wrocław 2021.
- Janusz Gołda, *Pejzaż ulotny*, [bw], Lesko 2021.
- Krzysztof Grzelak, *Poborca mocy*, Wyd. Łódzki Dom Kultury, Łódź 2020.
- Piotr Gwiazda, *Wiersze*, Biblioteka Pisarzy Warmii i Mazur, Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Olsztynie, Olsztyn 2020.
- Jerzy Hajduga, *Uważaj na siebie*, Biblioteka „Toposu”, t. 182, Sopot 2020.
- Bogdan Jaremin, *Słowa i liczby (poemat podróżny)*, Biblioteka „Toposu”, t. 188, Sopot 2020.
- Robert Kania, *Noc amerykańska*, Issa Books, Warszawa 2021.
- Bogusław Kierc, *Atrakcje i nieszczęścia dla chwilowo żywych (epifanie, satyry i satyriazy)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021.
- Damian Kowal, *Pieśni*, Biblioteka Literacka kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź – Kraków 2020.
- Bartłomiej Kucharski OCD, *Wieczór nad Wisłą*, Wyd. Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2020.
- Olga Lalić-Krowicka, *Iskra i faza*, Edycja Sirm, Sremska Mitrovica 2018.
- Krystyna Lenkowska, *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział w Krakowie, Kraków 2020.
- Adam Leszkiewicz, *Apokalipsa psa*, Biblioteka Literacka kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź 2020.
- Ślawomir Matusz, *O rzeczach strasznych i zakazanych*, Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Stowarzyszenie „Solidarni 2010”, Sosnowiec 2020.
- Mateusz Melanowski, *Pierwsi napotkani*, Wyd. Fundacja czar(T), Krzywogoniec 2020.
- Yvon Le Men, *Tu i tam*, wybór i przekład Kazimierz Brakoniecki, seria: Szczęście i pół, Fundacja im. Henryka Berezy, Szczecin, *Bezrzecze* 2020.
- Metafora współczesności. Antologia*, Międzynarodowa Grupa Literacko-Artystyczna „Kwadrat”, [bmw] 2018.
- Katarzyna Michaleczak, *Tysiąc saun*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.
- Łukasz Michalski, *Smokonie*, Biblioteka „Toposu”, t. 193, Sopot 2021.
- Śladana Milenković, *September city*, przekład z j. serbskiego Olga Lalić-Krowicka, Wyd. Ruthenus, Krosno 2019.
- Grzegorz Musiał, *Circulus mundi. Wiersze z lat 1995–2010*, Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2020.
- Anna Nasiłowska, *Sztuczne światła*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021.
- Tomasz Nowak, *Byłem tutaj*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Kraków 2020.
- Lesław Nowara, *Ość wieloryba*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział w Krakowie, Kraków 2020.
- Mariusz Olbromski, *Na szlaku dialogu*, Oddział Warszawski Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Warszawa 2020.
- Anna Oliwińska-Wacko, *Zamyślenia*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Kraków 2017.
- Tomasz Ososiński, *Dom Andersena*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Kamila Norwida w Świdnicy, Świdnica 2020.
- Jan Polkowski, *Wiersze wybrane 1977–2019*, słowo wstępne Józef Maria Ruszar, Wyd. Biblioteka Kraków, Kraków 2020.
- Agata Puwalska, *haka!*, Wyd. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2021.
- Teresa Radziejewicz, *Ś*, Wyd. Książnica Podlaska, Białystok 2020.
- Artur Jan Szczęsny, *Zdroje niespokojne. Wybór wierszy z lat 1980–2020*, Wyd. Książnica Podlaska, Białystok 2020.
- Wasył Śłapczuk, *Nowiutki rower starych binokli*, przeł. Bohdan Zadura, rys. Olga Czyhyryk, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021.
- Mustafa Spahiu, *Ani bambus, ani klucz*, przekład z j. serbskiego Olga Lalić-Krowicka, Wyd. Ruthenus, Krosno 2018.

- Bartosz Suwiński, *Nawie*, seria 21, Wydawnictwo Forma, Fundacja im. Henryka Berezcy, Szczecin, Bezzręcze 2020.
- Maciej Taranek, *Impresariat*, Wyd. Instytut Literatury, Biblioteka Literacka kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź–Kraków 2020.
- Dušan Vidaković, *Na rozdrożach (haiku i dwa haibuny)*, przekład z j. serbskiego Olga Lalić-Krowicka, Wydawnictwo Jednooki Kruk, Biała Podlaska 2014.
- Wieczór / Wespera. Antologia „Toposu”*, wybór tekstów i redakcja tomu Krzysztof Kuczkowski, Biblioteka „Toposu”, t. 191, Sopot 2020.
- Wiersze znad Sanu. Almanach poetycki*, red. Mirosław Osowski, Wydawnictwo autorskie Mirosław Osowski, Stalowa Wola 2020.
- Wiersze znad Sanu 2. Almanach poetycki*, red. Mirosław Osowski, Wydawnictwo autorskie Mirosław Osowski, Stalowa Wola 2021.

PROZA

2020. *Antologia współczesnych polskich opowiadań*, red. Maciej Libich, Anna Nowakowska, seria: Kwadrat, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzręcze 2020.
- Marian Lech Bednarek, *Sianoskręt. Prozy*, Wyd. TextPartner, Katowice 2012.
- Marian Lech Bednarek, *Zapiski*, Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2016.
- Paweł Hohmann, *Iskra i kamień*, Biblioteka Literacka kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury i Lethe / Animi 2, Kraków / Bielsko-Biała 2020.
- Jolanta Jonaszko, *Portrety*, seria: Piętnastka, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzręcze 2020.
- Marta Kozłowska, *B.Bomb*, Biblioteka Literacka kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury i Lethe / Animi 2, Kraków / Bielsko-Biała 2020.
- Leszek Libera, *Testament Utopka*, przeł. Sława Lisiecka, Wydawnictwo Od Do, Łódź 2020.
- Artur Daniel Liskowacki, *Hotel Polski*, seria: Kwadrat, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzręcze 2020.
- Południe / Meridies. Proza, antologia „Toposu”*, wybór tekstów i redakcja tomu Krzysztof Kuczkowski, Biblioteka „Toposu”, t. 190, Sopot 2020.
- Karol Maliszewski, *Czarownica nad Włodzicą. Baśnie i legendy z Nowej Rudy i okolic*, ilustracje Tatiana Tokarczuk, Wydawnictwo Pasaze, Kraków 2021.

DRAMAT

- Jarosław Jakubowski, *Witaj Barabasz. Nowe dramaty*, Wyd. Agencja Dramatu i Teatru ADiT i Instytut Literatury, Warszawa 2020.
- Rafał Jaworski, *Miasto i rubieżę słowa*, Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lublińca 2021.
- Zoran Pejkovski, *Requiem dla miłości. Dramat w jednym akcie i pięciu scenach z prologiem i epilogiem*, przekład z j. macedońskiego Olga Lalić-Krowicka, Wyd. Ruthenus, Krosno 2019.
- Anna Popiel, *Nowosielski. Byt (nie)subtelny. Moralitet*, Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2020.

INNE

- Magdalena Boczkowska, *Stacherski. Niecierpliwe serce*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020.
- Kazimierz Brakoniecki, *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Olsztyn, Olsztyn 2020.
- Walery Butewicz, Jacek Adameczyk, Miłosz Tomkowicz, *Świat w grupie ryzyka*, Seria: Dzienniki Pandemiczne Instytutu Literatury, Wyd. Instytut Literatury / Oficyna Wydawnicza Volumen, Kraków – Warszawa 2020.
- Tomasz Chomiszczak, Agnieszka Kukuryk, Przemysław Szczur, *Wędrujące tożsamości. Trzy studia o migracjach literackich we francuskojęzycznej Belgii*, Wydawnictwo Unum, Kraków 2020.

- Stefan Chwin, *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku*, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2021.
- Czesław Gawlik, Anna Małecka, *Jazz w Rybniku*, Wyd. Rybnicka Agencja Wydawnicza, Rybnik 2014.
- Lech Giemza, „*Rzeka, która cierpi*”. *O poezji Czesława Miłosza*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury, Kraków 2021.
- Donat Kirsch, *Prounowa eksmisja Henryka Berezny*, [b.w.], Katowice 2020.
- Agata Kłopotowska, „*Życ dla pisania prawdy*”. *O twórczości literackiej Janusza Krasińskiego*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury, Kraków 2021.
- Monika Krajewska, *Wilcze tropy. O twórczości Mariusza Wilka*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury, Kraków 2021.
- Kresowa bałagutka*. Wywiady Anny Gordijewskiej z Mariuszem Olbromskim dla „Kuriera Galicyjskiego”, cz. 1, Lwów 2020.
- Anna Kryńska, „*Rzeczy niepokój*”. *O twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury, Kraków 2021.
- Czesław Miłosz, *Z archiwum. Wybór publicystyki z lat 1945–2004*. Pod kierunkiem Aleksandra Fiuta zebrali, odczytali z rękopisów, zredagowali i opracowali: Mateusz Antoniuk, Stanley Bill, Karina Jarzyńska, Ewa Kołodziejczyk, Marzena Woźniak-Łabieniec. Seria *Dziela Czesława Miłosza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.
- Andrzej Niewiadomski, *Przeciw entropii, przeciw arkadii. O pisarstwie Zygmunta Haupta*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury, Kraków 2021.
- Maciej Nowak, „*Inaczej przeżyta nowoczesność. O pisarstwie Andrzeja Bobkowskiego*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Wyd. Instytut Literatury, Kraków 2020.
- Anna Oliwińska-Wacko, *I szedł na święte kraju werbowanie... Opowieść o żołnierzu Józefie Gwoździńskim z Kożuchowa*, Wyd. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2019.
- Jan Polkowski, *Pandemia i inne plagi. Notatki marzec–lipiec 2020*, Seria: Dzienniki Pandemiczne Instytutu Literatury, Wyd. Instytut Literatury / Oficyna Wydawnicza Volumen, Kraków – Warszawa 2020.
- Edward Przebieracz, *Myśli uczesane. Wybór myśli z lat 1990–2020*, Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2020.
- Ranek / Mane. Eseje – szkice – przyczynki krytyczne. Antologia „Toposu”*, wybór tekstów i redakcja tomu Krzysztof Kuczkowski, Biblioteka „Toposu”, t. 189, Sopot 2020.
- Gabriel Szumilas, *Matka Jezusa w więzieniu*. Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2020.
- Twórczość poetycka Leopolda Staffa. Konteksty i relacje*, red. A. Czabanowska-Wróbel, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2020.
- Visegrad 4 Art – teksty krytyczne / critical texts, Odkrywanie malarstwa / Painting Rediscovery*. 1. Międzynarodowa Wystawa Malarstwa Państw Grupy Wyszchradzkiej Polska – Czechy – Słowacja – Węgry, red. Janusz J. Cywicki, Andrzej Cieszyński, Wydawnictwo Sejmowe 2021.
- Dorota Walczak-Delanois, *Poetyckie podwojenie. Marian Pankowski – polski poeta języka francuskiego / Dédoublement poétique. Marian Pankowski – poète polonais de langue française*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2020.
- Wiosnę odwołano. Antologia dzienników pandemicznych*, Seria: Dzienniki Pandemiczne Instytutu Literatury, Wyd. Instytut Literatury / Oficyna Wydawnicza Volumen, Kraków – Warszawa 2020.
- Stefan Pastuszewski, *Krótką historią literatury w Bydgoszczy*, Instytut Wydawniczy Świadection, Bydgoszcz 2020.
- Ryzyko bycia Polakiem. Z Janem Polkowskim rozmawia Piotr Legutko*, Wyd. Instytut Literatury i Fundacja Lethe, Kraków 2019.

KOMUNIKATY

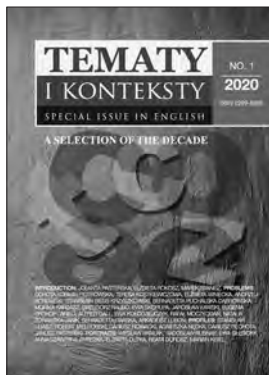
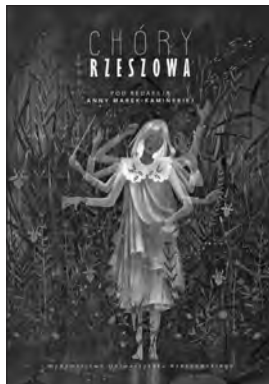
XVI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2020

10 listopada 2020 r. podczas internetowego posiedzenia jury w składzie: Magdalena Rabizo-Birek (przewodnicząca), Joanna Oparck i Karina Stempel po lekturze 69 zgłoszonych i spełniających wymogi regulaminu zestawów wierszy przyznało I miejsce **Łukaszowi Barysowi**, II **Aleksandrowi Wiernemu**; III **Wojciechowi Roszkowskiemu**. Trzy równorzędne wyróżnienia zdobyli: **Maciej Kijko**, **Tomasz Berrached** i **Ewelina Kuśka**. Wskazano także osoby nominowane do nagród i wyróżnień: Rafała Barona, Bartosza Simińskiego; Jacka Świłły, Piotra Smolaka, Mateusza Andałę i Henryka Czempieła.

XXIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego

Dnia 30 marca 2021 roku odbyło się posiedzenie Jury XXIX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego w składzie: przewodnicząca: Magdalena Rabizo-Birek; członkowie: Jakub Kornhauser, Joanna Mueller, Przemysław Owczarek, Radosław Wiśniewski; sekretarz: Sylwester Kołodziejczyk. Na konkurs nadesłano 106 zestawów. I Nagrodę przyznano **Justynie Wysockiej** z Krakowa za zestaw opatrzonego godłem „Ficjka”; II Nagrodę przyznano **Wojciechowi Kopciowi** z Krakowa za zestaw opatrzonego godłem „Szymon Załocha”; III Nagrodę przyznano **Łukaszowi Barysowi** z Pabianic za zestaw opatrzonego godłem „Mocowanie wstęgi”. Nagrodę TETIS przyznano **Annie Piliszewskiej** z Wieliczki za zestaw opatrzonego godłem „Mzimu”. Cztery równorzędne wyróżnienia przyznano: **Rafałowi Derdzie** z Gronowa za zestaw opatrzonego godłem „Termofoer Jarona Laniera”; **Tomaszowi Lorencowi** z Łodzi za zestaw opatrzonego godłem „Prawie biotop”; **Joannie Nowak** z Płocka za zestaw opatrzonego godłem „Gereza”; **Martynie Pankiewicz-Piotrowskiej** z Wrocławia za zestaw opatrzonego godłem „Prząśniczka”.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO



Prezentowane książki można nabyć, składając zamówienie pocztą elektroniczną lub bezpośrednio w Wydawnictwie (pok. 112; ul. prof. S. Piłgonia 6, 35-310 Rzeszów).
Wydawnictwo UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO
e-mail: wydaw@ur.edu.pl, <http://wydawnictwo.ur.edu.pl>

CENA 15 zł

nr indeksu 332593



W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Literatura fińska, grecka, hiszpańska, rosyjska, rumuńska, serbska.

Portrety: BELCIK, MACHNOWSKI, KRUKOWSKI, RITSOS.

Wiersze, proza, esej: Bałczewski, Bazylak, Bednarczyk, Bieleń, Boba-Dyga, Bzinkowski, Cuprjak, Graczyk, Kołodziejczyk, Kosiba, Lenkowska, Lewandowska, Masternak, Nowosielski, Sławiński, Solomej, Szuba, Szymczyk, Tomczak, Tomsia, Tulik, Wojewoda i inni. Szkice o Kornelu Makuszyńskim, Cyprianie Norwidzie, Zbigniewie Wilczyńskim.

Rozmowa z Radkiem RAKIEM. Trzydziestolecie „Frazy”.

SZTUKA: Chiny w polskim filmie, plakaty Patrycji LONGAWY.